

MIZAR & AMBER

ERIC VAN LUSTBADER

M
I
K
O



Eric Van Lustbader jest bardzo znanym amerykańskim autorem powieści sensacyjnych. Urodził się w 1946 roku w Greenwich Village. W 1968 roku ukończył wydział socjologii Columbia University. Przez kilka lat związany był z przemysłem muzycznym. Od 1979 roku poświęcił się wyłącznie pisarstwu. Powieść *Ninja* (1980) odniosła międzynarodowy sukces wydawniczy (przez pięć miesięcy utrzymywała się na liście bestsellerów „New York Timesa”) i wkrótce doczekała się kontynuacji - *Miko* (1984), *Biały ninja* (1990) i *Kaisho* (1993). Do serii książek o Azji zalicza się również *Zero* (1988).

Eric Van Lustbader, zafascynowany kulturą i obyczajami Japonii, wiernie odmalowuje zderzenia i konflikty z rzeczywistością Zachodu.

M I K O

Nicholas Linneer powraca do Japonii po wielu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych. Kraj dzieciństwa wywołuje w nim mieszane uczucia. Spłot dziwnych wydarzeń każe mu przypomnieć sobie o przeszłości. Nicholas daremnie pragnie się wyzwolić z obowiązków członka klanu ninja. Wkrótce po przybyciu do Tokio otrzymuje wiadomość, że KGB planuje zamach na jego życie. Wykonawcą ma być piękna Miko, skośnooka mistrzyni ninjutsu...

Cena det. zł 80 000,-



ISBN 83-85509-45-4

ERIC VAN LUSTBADER

M
I
K
O

Przełożył
MAREK FEDYSZAK



Tytuł oryginału

THE MIKO

Autor ilustracji KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Opracowanie graficzne Studio Graficzne „Fototype”

Konsultacja merytoryczna WITOLD NOWAKOWSKI

Redaktor KRYSTYNA JURIEWICZ

Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1984 Eric Van Lustbader

For the Polish edition

Copyright © 1993 by Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Published in cooperation with

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-85309-45-4

WIKTORII

z wyrazami miłości... w czas deszczu i pogody

MOJEMU OJCU

z wyrazami miłości dla „ludzkiej encyklopedii”

PODZIĘKOWANIE

Żadna postać w powieści „Miko” nie jest w najmniejszym stopniu podobna do jakiegokolwiek prawdziwej żyjącej lub zmarłej osoby, z wyjątkiem osób wymienionych jako znane postaci historyczne. Chociaż MITI jest prawdziwą korporacją i chociaż jej potęga i rola w rozwoju powojennej gospodarki japońskiej zostały dokładnie przedstawione, to jednak pewne zdarzenia oraz opisani w książce ministrowie są wytworem wyobraźni.

Wyrażam należne podziękowania:

Roni Neuer i Herbowi Libertsonowi z Ronin Gallery;
Richardowi Bushowi z Asia Society w Waszyngtonie za rozszyfrowanie zagadki *Wu-Shing*;
Charlotte Brenneis, asystentce prezesa Asia Society w Nowym Jorku;
Nancy Lerner;
wszystkim z Grill & Bar w Kapalua za pomoc w tym, by moja praca była tak przyjemna;
HM za pomoc edytorską;
VSL za pomoc edytorską i wsparcie duchowe;
oraz szczególnie — Tomomi Seki z Ronin Gallery za tłumaczenia, pomoc we wszystkich sprawach podczas pobytu w Japonii, nie tylko za „Miko”,
lecz również za „Ninę”. *Domo arigato, Seki-san*

*Tsugi-no ma-no
mo kiete
yo-samu kana*

*Światło w sąsiednim pokoju
również gaśnie —
nadciąga chłód nocy.*

Shiki (1867-1902)

*Pani DARLING: George, musimy zatrzymać Nanę. Powiem ci, dlaczego.
Mój drogi, gdy weszłam dziś wieczorem do tego pokoju, dostrzegłam w
oknie twarz.*

J.M. Barrie *Piotruś Pan*

Prefektura Nara, Japonia

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

Sensei Masashigi Kusunoki przyrządzał herbatę. Klęczał na trzciniowej *tatami*; kimono z jasnoszarym wzorem na ciemnoszarym tle otulało go tak, jakby był okiem wielkiego mrocznego cyklonu.

Gdy już wlał parujący wrzątek do glinianej czarki i unosił bambusowy pędzel, by ubić bladozieloną piankę, cień sylwetki Tsutsumu przesłonił otwarte wejście. Za schyłym ciałem Kusunokiego rozciągała się wypolerowana drewniana podłoga *dojo* — błyszcząca i nieskazitelnie czysta.

Kusunoki klęczał plecami do wejścia. Twarzą zwrócony był w stronę rozsuwanych drzwi *shoji* i dużego okna.

Widział kwitnące wiśnie oraz chmury idące na spacer po ziemi, wędrujące po szczelnie pokrytych drzewami zboczach Yoshino. Pochylone gałęzie, równie zielone jak rozciągające się za nimi wzgórza, porastał wieloletni mech. Czuł intensywny zapach cedru tak charakterystyczny o tej porze roku w tej części prefektury. Tylko przez parę zimowych tygodni, gdy śnieg grubą warstwą pokrywał grzbiety i zbocza gór, nie wyczuwał go.

Widok, który tak bardzo zrósł się z historią Japonii, nigdy go nie nużył. To właśnie tu, wśród gór, szukał schronienia Minamoto no Yoshitsune, próbując pokonać swego brata, zdradzieckiego shoguna; to właśnie tu skazany na zapomnienie cesarz Go-Daigo zebrał swoje wojska i powrócił z wygnania, by podjąć próbę odzyskania tronu; tu również rozwinęło się *shugendō*, droga górskiej ascezy, szczególne połączenie buddyzmu i shintoizmu. Na zboczach góry Omine zbierali się *yamabushi* — wędrowni asceci, wyznawcy tej religii.

Spojrzał teraz na herbatę, rozjaśniającą swą barwę w miarę jak pieniała się coraz bardziej, i widział wszystko, co można było dostrzec.

Tsutsumu miał właśnie cicho oznajmić swe przyjście, lecz gdy zobaczył klęczącego, pogrążonego w myślach mistrza, słowa zamarły mu na ustach.

Przez dłuższy czas obserwował postać klęczącą na *tatami*. Widok ten sprawił, że jego mięśnie napinały się stopniowo. Przedtem miał się na baczności, teraz był gotowy. W myślach szukał dróg do zwycięstwa. „Dłonie muszą się poruszać — pomyślał Tsutsumu — wiem, że przygotowuje herbatę... chociaż równie dobrze mógłby być posągiem”.

Wiedział, że nadszedł czas i — nieproszony — powstał prostując się niczym żagiel na wietrze. Zrobił dwa szybkie, bezszelestne kroki, przestąpił próg i *sensei* znalazł się w zasięgu uderzenia. Ciałem Tsutsumu targnął pierwszy poryw wewnętrznej energii.

W tej samej chwili Kusunoki odwrócił się i wyciągając do niego czarkę z gorącą herbatą, powiedział:

— To zaszczyt zaprosić do swojej pracowni tak pojętnego ucznia.

Jego spojrzenie sprawiło, że Tsutsumu poczuł się tak, jakby uderzył w niewidoczną, nieprzenikloną ścianę. Czuł, że traci energię, tłumioną tak długo i nareszcie uwolnioną. Zadrzał. Zmrużył oczy niczym sowa oslepiona dziennym światłem. Bez tej energii, która zawsze w nim tkwiła, poczuł się zupełnie bezbronny. *Sensei* uśmiechał się figlarnie.

— Chodź — powiedział. Tsutsumu zobaczył, że nagle pojawiła się druga czarka herbaty.

— Napijmy się, żeby okazać sobie szacunek i dobre manieri.

Tsutsumu uśmiechnął się z zakłopotaniem. Niezgrabnie usiadł na *tatami* twarzą w twarz ze swym mistrzem. Dzielili ich pusta przestrzeń między trzcinowymi matami, która stanowiła nie tylko element estetyczny, ale także stwarzała dystans między gospodarzem a gościem.

Tsutsumu wziął czarkę i trzymając ją ostrożnie w obu dłoniach zbliżał do ust. Ciepło herbaty gwałtownie napłynęło do jego dłoni. Ukłonił się, przytknął do ust rzeźbiony brzeg czarki i wypił gorzki napój. Na chwilę przytknął oczy, zapominając o tym, gdzie jest, a nawet kim jest, tak dalece, jak tylko było to możliwe. Poczuł smak japońskiej ziemi, a z nim smak historii i legendy, honoru i odwagi, znaczenie *kami*, wyczekiwania. A nade wszystko — obowiązek. *Giri*.

Otworzył oczy — wszystko było jak przedtem. Ponownie poczuł niewygodę rozłąki z domem. Pochodził z Północy i Nara była miejscem dla niego obcym; nigdy mu się tutaj nie podobało. Mimo to przyjechał i pozostał na dwa długie lata. *Giri*.

— Powiedz mi — rzekł Kusunoki — co w walce jest najważniejsze?

— Przeciwnik — padła natychmiast odpowiedź. — Poznanie jego zamiarów i intencji pozwala nam ocenić, jak mamy postępować dalej.

— Doprawdy — powiedział Kusunoki, tak jakby było to dla niego nowością, i pogrążył się w zadumie. — Więc myślimy o zwycięstwie.

— Nie — odrzekł uczeń. — Zastanawiamy się, co zrobić, by nie zostać pokonanymi.

Sensei spojrział na niego swymi surowymi, czarnymi oczami, które sprawiały wrażenie wydartych z dzikiego oblicza jastrzębia.

— Dobrze — rzekł w końcu. — Naprawdę bardzo dobrze.

Powoli popijając herbatę Tsutsumu zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Słowa, coraz więcej słów. *Sensei* zadawał mu pytania, na które każdy dobry uczeń musiał znać odpowiedź. „Bądź ostrożny” — ostrzegał sam siebie, pamiętając jeszcze niedawny odpływ energii. „Miej się na baczności”.

— Więc porażka równa się śmierci?

Uczeń potwierdził skinieniem głowy.

— Sun Tzu napisał, że „śmierć rządzi polem walki. Musimy walczyć, bezustannie”. — Teraz Kusunoki uśmiechnął się szeroko.

— Lecz Sun Tzu napisał również: „Ujarzmienie wroga bez walki dowodzi najwyższego poziomu umiejętności. A zatem najważniejsze jest to, by rozszyfrować strategię przeciwnika”.

— Wybacz, *sensei*, ale wydaje mi się, że Sun Tzu w tym wypadku mówił wyłącznie o walce.

— No cóż — skwitował jego słowa Kusunoki — czyż nie rozmawiamy także o niej? — Tsutsumu poczuł lekkie bicie serca i z wielkim trudem zachował spokój.

— O walce? Wybacz mi, *sensei*, ale nie rozumiem.

Twarz Kusunokiego przybrała teraz łagodny wyraz. Pomyślał: „Sun Tzu napisał także, że ci wprawieni w sztuce wojennej mogą stać się niezwyciężonymi, lecz nie mogą sprawić, aby przeciwnik stał się podatny na ciosy”.

— Walka może mieć różne oblicza, różne maski. Czyż tak nie jest?

Tak jest, *sensei* — odpowiedział Tsutsumu, a serce podeszło mu do gardła.

— Można zapytać, jaka wojna może rozegrać się tutaj — ramię Kusunokiego zakreśliło łuk w kierunku cudownie spokojnych, zalesionych wzgórz za oknem — w Yoshino, gdzie żyje i kwitnie historia Japonii. Ktoś może uznać walkę za pojęcie niestosowne — tu, pośród wiśni i cedrów. — Spojrzenie wielkich, czarnych oczu przeniknęło Tsutsumu. Poczuł, jak mięsień po wewnętrznej stronie uda zaczyna drżeć. — A jednak walka dotarła do tej

niezdobytej fortecy natury. Tak więc trzeba ją podjąć.

Teraz Tsutsumu naprawdę się przeraził. To nie było zwykle zaproszenie na rozmowę przy herbacie o banalnych sprawach dotyczących codziennych zajęć.

— W Yoshino jest zdrajca — rzekł Kusunoki.

— Co takiego?

— Tak, to prawda — Kusunoki ze smutkiem pokiwał głową. — Ty jesteś pierwszy, z którym o tym rozmawiam. Obserwuję cię. Jesteś szybki, szybki i inteligentny. Teraz będziesz ze mną współpracował. Będziesz dla mnie szpiegował wśród uczniów. Zacznesz już teraz. Czy zauważyłeś coś niezwykłego, co mogłoby nam pomóc w odnalezieniu szpiega?

Tsutsumu myślał chaotycznie. Był świadom wspaniałej szansy, jaka się nadarzała, i zarazem ogromnie za nią wdzięczny. Czuł, jakby zdjęto mu z serca ogromny ciężar. Teraz musi tę szansę jak najlepiej wykorzystać.

— Chyba pamiętam — rozpoczął. — Tak, tak. Mam coś. Kobieta — użył najbardziej obojętnego tonu — była tu do późnych godzin wieczornych.

— Co robiła? — Nie było potrzeby wymawiać jej imienia. W *dojo* była tylko jedna kobieta. Kobieta wybrana przez mistrza. Wybór ten nie spotkał się z aprobatą uczniów, choć żaden nie śmiał otwarcie wyrażać swojego niezadowolenia. Kusunoki wiedział o tym.

— Któż to wie, *sensei*? — Tsutsumu wzruszył ramionami. — Z pewnością nie ćwiczyła.

— Rozumiem — Kusunoki wydawał się pogrążony w rozmyśleniach.

— Oczywiście dużo się o niej ostatnio mówiło; bardzo dużo. — Uczeń spróbował wykorzystać swą przewagę.

— Nie jest lubiana.

— Nie, *sensei* — potwierdził Tsutsumu. — Większość uczniów nie sądzi, by tu, w świętym *dojo*, było jej miejsce. Czują, że jest to wbrew tradycji. Uważają, że tego rodzaju... mhm... ćwiczenia nie powinny być dostępne dla kobiety. — Pochylił głowę, jakby nie bardzo chciał mówić dalej. — Wybacz, *sensei*, ale mówiono nawet o tym, że jej pojawienie się było przyczyną twojego odejścia z wysokiego stanowiska w Gyokku-ryu. Powiadają, że przyszła tam do ciebie, że w jej imieniu poszedłeś do rady *joninów* i nakłaniałeś jej członków, aby głosowali za jej wprowadzeniem do *ryu*. Powiadają, że odszedłeś dlatego, iż nie potrafiłeś zdobyć wystarczającej liczby głosów w swoim radzie. — Uniósł głowę. — Wszystko przez nią.

„Obrona stanowi podstawę niezwykłości — pomyślał Kusunoki. — Atak daje możliwość zwycięstwa”. Rzekł do swojego ucznia:

— To prawda, że byłem kiedyś *joninem* w Gyokku, ale powody, dla których odszedłem, są moją sprawą; nikt inny ich nie zna, nawet pozostali członkowie rady. Mój prapradziadek był jednym z założycieli Gyokku; podjęcie tej decyzji wymagało wielu przemyśleń. Trwało to bardzo długo.

— Rozumiem, *sensei* — powiedział Tsutsumu, myśląc, że to, co usłyszał, było wierutnym kłamstwem. W głębi serca był pewny, że Kusunoki z nie wyjaśnionych przyczyn poświęcił swą karierę dla tej kobiety.

— Dobrze — skinął głową Kusunoki. — Wiedziałem, że potrafisz zrozumieć. — Przymknął na moment oczy. Uczeń wydał z siebie niedosłyszalne westchnienie ulgi. Poczul, jak kropla potu spływa mu wzdłuż kręgosłupa. Usiłował utrzymać swe ciało w bezruchu. — Może mimo wszystko pomyliłem się co do niej — rzekł *sensei*. Tsutsumu wyczuł smutek w głosie. — Jeżeli prawdą jest to, czego się domyślasz, to musimy zająć się nią szybko i bezwzględnie.

Tsutsumu zrobił gwałtowny ruch głową, gdy padło słowo „musimy”.

— Tak, *sensei* — powiedział, myśląc: „spokojnie, tylko spokojnie”. Wiedział, że zostaje wprowadzany coraz dalej. Starał się pohamować swoją radość. — Zaszczycem jest służyć ci w jakikolwiek sposób. Właśnie dlatego tu przyszedłem.

Kusunoki skinął głową.

— Jest tak, jak podejrzewałem. Niewielu ludziom można zaufać, nawet w dzisiejszych czasach. Gdy proszę teraz o wydanie sądu, gdy proszę o podjęcie działań, to jedno i drugie musisz uczynić chętnie i z pełną wiarą.

Tsutsumu z trudem powstrzymywał ogarniającą go euforię; na zewnątrz nie okazywał żadnych emocji.

— Musisz tylko poprosić — powiedział.

— *Muhon-nin* — rzekł Kusunoki, pochylając się do przodu — to wszystko, o co proszę.

Słowo zdrajca zaczęło właśnie docierać do świadomości Tsutsumu, gdy poczuł niesamowity ból i spoglądając w dół zobaczył, jak dłoń mistrza dosięga go poniżej obojczyka. Był to cios, którego jeszcze nie opanował. Patrzył oszołomiony, usiłując ogarnąć jego tajniki. Spomiędzy jego drżących warg wydobywała się spieniona, różowa ślina. Skonał.

Kusunoki, obserwując, jak z Tsutsumu życie ucieka, niczym chmurka

niewidocznego dymu, cofnął rękę. Gdy ciało straciło oparcie, przechyliło się na bok i opadło, różowa ślina zabarwiła *tatami*, na której klęczał Tsutsumu.

Za plecami mężczyzny pojawił się sunący za *shoji* cień, po czym ukazała się postać. Słyszac stapanie nagich stóp, *sensei* rzekł:

— Czy wszystko słyszałaś?

— Tak. Miałaś rację. To on był zdrajcą — usłyszał delikatny, miły głos. Głos kobiety.

Ubrana była w ciemnobrązowe kimono w czarne koła wokół szarych ptaków. Błyszczące czarne włosy były mocno ściągnięte z tyłu głowy.

Kusunoki nie spojrział na nią, gdy cicho nadeszła. Wpatrzony był w zwój papieru ryżowego rozwieszony w niszy biegnącej wzdłuż nagiej ściany. Tuż pod nim stał gliniany wazon z lilią — kwiatem doskonałego dnia. Tego rana o świcie, tak jak każdego dnia swego dojrzałego życia, wyruszył w dziki las. Wędrował po zboczach, przez wciąż mroczne i mgliste polany, mijając wartko płynące strumienie odbijające ostatni, srebrzysty blask księżyca, w poszukiwaniu tego jednego kwiatu, który przez cały dzień odzwierciedlałby nastroj spokoju i zadumy. Zerwał go ostrożnie i powrócił do swojego *dojo*.

Na zwoju ryżowego papieru osiemnastowieczny mistrz Zen zapisał: „Skala i wiatr (jedynie one trwają) przez pokolenia”.

— Pozwoliłeś mi podejść tak blisko? — powiedziała.

Kusunoki uśmiechnął się do niej i odpowiedział:

— Pozwoliłem mu na luksus przecięcia własnego gardła. To wszystko. — Spojrzął na nią, gdy osunęła się na kolana. Był świadomy faktu, że wybrała miejsce blisko jego prawej ręki, trochę z boku. — Często sytuacja wymaga, aby bardziej zbliżyć się do wrogów niż do przyjaciół. To jest niezbędna lekcja życia; nalegam, abyś uważnie słuchała. Przyjaciele zobowiązują, a zobowiązania w życiu krępują. Zapamiętaj raz na zawsze: komplikacje rodzą desperację.

— Lecz czym jest życie bez zobowiązań? — spytała.

Kusunoki znów uśmiechnął się.

— To zagadka, której nawet *sensei* może nie rozwikłać. — Skinął głową w kierunku leżącego ciała. — Musimy teraz odnaleźć źródło, z którego wytrysnął ten *muhon-nin*.

— Czy to takie ważne? — Odwróciła lekko głowę, tak że delikatne światło przenikające przez *shoji* oświetliło jej policzek. — Został przecież unicestwiony. Powinniśmy powrócić do naszej pracy.

— Jeszcze nie masz prawa uczestniczyć we wszystkim, co się tu dzieje — poważnie odrzekł Kusunoki. — Sztuka walki to nie wszystko. W a ż n e jest, by odkryć źródło zdrady.

— W takim razie nie powinienes go tak szybko usuwać.

Sensei przymknął oczy.

— Ach, naiwna młodość! — Jego głos zabrzmiał miękko, niemal delikatnie, lecz gdy otworzył nagle oczy, diaboliczne spojrzenie przeszło kobietę.

Poczuła, jak przez ciało jej przeszedł dreszcz.

— To był profesjonalista. Pewnego dnia nauczysz się, że dla ludzi takich jak on nie należy marnować cennego czasu. Muszą być odprawiani tak szybko i tak skutecznie, jak to możliwe. Są niebezpieczni, nieobliczalni. I nic nie powiedzą. Właśnie dlatego idziemy dalej — rzekł, składając dłonie na kolanach. — Musisz powrócić do źródła... jego źródła. Ludzie, którzy go wysłali, którzy go wyszkolili, zagrażają Japonii. — Przerwał. Nozdrza drżały mu, jakby wyczuł jakieś ostrzegawcze wibracje. Gdy ponownie przemówił, jego głos stracił swoje ostre brzmienie, powieki opadły. — Jest jeszcze gorąca woda. Herbata stygnie.

Posłusznie wstała i przeszła obok niego. Uniosła dzbanek i nalała wody. Niebo pociemniało. Ciemne chmury przesłoniły tarasowate zbocza gór.

Ostrożnie przyniosła maleńkie czarki ustawione na czarnej łąkowej tacy, na której namalowane było stado złotych czapli podrywających się do lotu z wartko płynącej wody. Delikatnie postawiła ją i z wprawą zaczęła ubijać herbatę. Jej ruchy były sprawne, harmonijne. Kusunoki patrzył z dumą na to, co pomógł stworzyć.

Sześć, siedem, osiem... kobieta zwinnie manipulowała pędzlem. Po dziesiątym uderzeniu delikatnie puściła mieszadełko. Jej palce szybkim ruchem trafiły do szerokiego rękawa kimona. Gdy cofnęła dłoń, błysnęło krótkie stalowe ostrze. Po chwili zagłębiło się w karku Kusunokiego. Było tak doskonałe, że bez trudu przecięło skórę i kość kręgosłupa. Głowa w groteskowym ruchu osunęła się i opadła w dół zawieszona na cienkim kawałku skóry. Kusunoki wyglądał tak, jakby pograżył się w medytacji.

Strumień karmazynowej krwi wytrysnął z przeciętej tętnicy na *tatami*, na której oboje klęczeli. Ciałem mężczyzny wstrząsały spazmatyczne drgawki. Nogi wykonały ruch przypominający żabi skok.

Kobieta klęczała, jakby wrosnięta w podłogę. Nawet przez chwilę nie spuściła wzroku ze swojego nauczyciela. Tylko przez chwilę, gdy leżał na boku, poczuła, że coś w niej drgnęło jak liść na wzmagającym się wietrze. Jedna piekąca łza spłynęła po policzku. Potem jej serce znowu było harde, wola niezłomna; szybko stłumiła swe uczucia. Jednocześnie poczuła dumę. „To działa” — pomyślała,

czując, jak serce łomocze jej w piersiach. *Jaho*. Bez tego nie byłaby w stanie ukryć przed nim swoich zamiarów; teraz zrozumiała to wyraźnie.

Gdy spojrzała na swoje dzieło, pomyślała: „W tym nie ma nic osobistego, nic z tego, o czym mówił ten bękart, *muhon-nin* Tsutsumu. Nie jestem zdrajczynią. Musiałam się sprawdzić. Musiałam wiedzieć. I dlatego właśnie musiałam przyjąć wyzwanie najlepszego”.

Wstała. Poruszała się po *tatami* niczym widmo, omijając plamy rozprysniętej krwi. Podeszła do ciała Kusunokiego.

„Byłeś najlepszy — pomyślała, wpatrując się w swego mentora. — Teraz ja jestem najlepsza”. Schyliła się i starła z ostrza krew — jego krew. Na kimonie pozostała krwawa smuga.

Rozebrała go i nabożnie złożyła czarny strój, jakby był narodową flagą. Ukryła go w wewnętrznej kieszeni kimona.

A potem odeszła; wraz z jej odejściem nadciągnął deszcz.

KSIĘGA PIERWSZA

弛

SHJH

Sila, wpływ, władza, energia

Nowy Jork — Tokio — Hokkaido

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

Justine Tomkin, drzemiąc, poczuła, jak czarny cień powoli, niczym ostrze miecza, przeciął promienie słonecznego światła.

Otworzyła szeroko usta, chcąc krzyknąć, gdy zobaczyła twarz i rozpoznała Saigo; powróciły obrazy krwi i rzezi, wspomnienie śmiertelnej oblawy, zbyt przerażającej, aby o niej myśleć. Grobowy zapach przeniknął kiedyś tak spokojny pokój w domu jej ojca na Long Island, pokój pełen wspomnień z dzieciństwa: o misiu z jednym okiem i pasiastej żyrafie.

Przejście Saigo przez pokój i towarzysząca mu gęsta fala powietrza stłumiły jej okrzyk, tak jakby jednym ruchem dłoni potrafił kontrolować wszystkie boskie żywioły. Jego tors rozrósł się, powiększony przez światło spływające z wielkiej szklanej kopuły na suficie; wokół unosiła się opalizująca mgła, zacierając w oczach Justine jego kontakt z ziemią.

Pochylił się nad wyciągniętym ciałem Justine i gdy w jej podświadomości odezwał się krzyk: „Obudź się! o b u d ź ”!, Saigo zaczął powoli odprawiać nad nią swe czary. Lodowate spojrzenie jego oczu w niewytłumaczalny sposób przeniknęło do serca Justine.

Czuła, jak ogarnia ją przerażenie. Tworzyły się między nimi piekielne więzy, których nie miała siły zerwać. Była teraz jego częścią, spełniłaby każdy rozkaz i zabiłaby jego wroga.

Pod zaciskającymi się palcami wyczuła chłodną rękojeść ciężkiego *katana*. Podniosła go z podłogi. Uchwyciła go tak, jak zrobiłby to Saigo, gdyby żył.

Przed nią stał Nicholas. Bezbronny, odwrócony plecami. Uniosła *katana*, którego cień zaczął już ciąć padające na kręgosłup promienie słońca. „Nicholas, moja jedyna miłość”. Myśli Justine zawirowały w chorobliwym szale, a ta ostatnia, przed zadaniem śmiertelnego ciosu, nie była jej własną: „*Ninja, g i ń , z d r a j c o !...*”

Justine poderwała się ze snu. Była mokra od potu. Serce waliło jak młot. Trzęsącą się dłonią powoli odgarnęła mokre włosy spadające na oczy, po czym z głębokim westchnieniem, przechodzącym w nerwowy dreszcz, zaciśnęła ramiona i zaczęła się miarowo kołysać. Robiła podobnie będąc jeszcze dzieckiem, przerażona snami nadciągającymi z czarnych jak smoła mroków nocy.

Sięgnęła na oślep w stronę pustego miejsca na dużym, podwójnym łóżku, i lęk ponownie przeszył jej serce. To, co w niej teraz wezbrało, to nie był paniczny strach wywołany koszmarnym snem. Ten strach był inny. Obróciła się, chwytając poduszkę, która leżała obok, w miejscu, gdzie zawsze był Nicholas. Przytrzymując poduszkę przy piersiach, ścisnęła ją, jakby ten gest mógł przenieść go w jej ramiona i bezpieczne granice Ameryki.

Nicholas przebywał po drugiej stronie Pacyfiku. Teraz Justine była już pewna: lęk, który odczuwała, był lękiem o niego. Co dzieje się w Japonii? Co robi w tej chwili? Jakie niebezpieczeństwo mu zagraża?

Po chwili rzuciła się do telefonu. Ciszę panującą w pokoju wypełnił cichy płacz.

Panie i panowie, podchodzimy do lądowania na lotnisku Narita. Prosimy sprawdzić, czy oparcia foteli są podniesione, czy stolik jest zamknięty i zabezpieczony. Bagaż podręczny należy wsunąć pod znajdujący się z przodu fotel. Witamy w Tokio, witamy w Japonii.

Kiedy stewardesa powtarzała komunikat po japońsku, Nicholas Linnear otworzył oczy. Marzył o Justine, myślał o wczorajszym dniu, gdy wyjechali poza miasto, aby — co często robili — uciec od gwaru miejskiego, od pokrytych stalą i przyciemnionym szkłem wąwozów Manhattanu. Przed swym domem w West Bay Bridge zdjęli buty i, mimo wiosennego chłodu, ścigali się boso po białym piasku.

Biegł za nią do oceanu. Błękitne fale rozbijały się o jej stopy. Dogonił ją. Chwytał w objęcia. Ciemne włosy musnęły mu twarz; łączył ich długie pasma — skrzydła o miękkich piórkach składane z nadejścia nocy. Przyciągnął ją twardym, błyszczącym ramieniem. Poczul jej dotknięcie jak pocałunek złożony na rozgrzanym słońcem ciele. Usłyszał szept niesiony słonym wiatrem:

— Och, Nick. Nigdy przedtem nie byłam szczęśliwa, nigdy. Dzięki tobie nie ma już we mnie smutku.

Wyrażała świadomość tego, że uratował ją od wielu demonów, które życie trzymało w zaciśniętych szponach; masochistyczna jaźń nie była wcale

najsłabszym z nich; jej ego obrabowane — jak powiedziała — przez widmo ojca dominujące nad jej osobowością. Położyła głowę na ramieniu Nicka, całując go w szyję.

— Szkoda, że musisz jechać. Szkoda, że nie możemy na zawsze pozostać tutaj, pośród fal.

— Wpadlibyśmy w przygnębienie — roześmiał się, nie chcąc poddać się jej nagłej melancholii. Miłość, którą do niej czuł, była jak rzeka łagodnie szemrząca nocą, niewidoczna dla oczu, lecz mimo wszystko obecna. — Zresztą, nie sądzisz, że to lepiej, gdy oboje jesteśmy tak zajęci przed ślubem? Nie ma czasu na to, aby się przestraszyć i wycofać. — Znowu żartował. Justine uniosła głowę. Miała niezwykle oczy, mądre, choć kryjące szczególnego rodzaju naiwność, tak fascynującą go od chwili pierwszego spotkania. Wciąż była ponętna. Obserwował kilka purpurowych plamek w lewej tęczę. Jej piwne oczy przybrały tego dnia odcień zieleni. Stwierdził z wdzięcznością, że koszmary minionego roku nie spowodowały w Justine istotnej zmiany. Patrząc w jej oczy mógł czytać w sercu.

— Czy kiedykolwiek o tym śnisz? — spytał. — Czy kiedykolwiek w snach powracasz do tego domu z *dai-katana* w dłoniach? Czy myślisz o Saigo?

— Usunąłeś wszystko, co uczynił ten dziwny rodzaj hipnozy — odrzekła. — To właśnie mi wyjaśniłeś.

— Tak właśnie zrobiłem. — Nicholas skinął głową.

— Dobrze więc. — Wzięła go za rękę i wyprowadziła z zimnych fal na brzeg poza granicę przyływu, usianą ciemnymi strzępami morskich wodorostów i kawałkami szarego drzewa, idealnie gładkimi jak kamienie. Uniosła twarz ku słońcu. — Cieszy mnie, że zima się skończyła. Jestem szczęśliwa, będąc tu znowu, gdy wszystko powraca do życia.

— Justine — rzekł poważnie — chciałem tylko wiedzieć, czy były jakieś — przerwał szukając angielskiego odpowiednika japońskiego określenia — jakieś echa tego incydentu? Przecież Saigo zaprogramował cię, byś zabiła mnie moim własnym mieczem. Nigdy o tym nie mówisz.

— Dlaczego miałabym mówić? — Blask słońca sprawił, że jej oczy pociemniały, ukrywając wszystkie ich subtelne odcienie. — Nie ma o czym mówić.

Na pewien czas zamilkli. Wsłuchiwali się w szum fal, idąc wzdłuż brzegu. Na linii horyzontu ujrzeli trawler zawieszony w otchłani błękitu. Justine czuła, jak gdyby bezkres oceanu zamknął w sobie jej przeszłość.

— Zawsze wiedziałam, że życie jest bezpieczne. Do chwili, gdy spotkałam

ciebie, nie miałam powodu, aby się czymkolwiek przejmować. Nie jest tajemnicą, że byłam kiedyś równie samodestrukcyjna jak moja siostra teraz. — Oderwała wzrok od świetlistego horyzontu. Spojrzała w dół na swoje splecione palce. — Wiele bym dała, żeby to się nigdy nie wydarzyło. Ale, niestety, wydarzyło się. Miał mnie w ręku. Czułam się tak jak wtedy, gdy jako dziecko zachorowałam na ospę wietrzną. Było ze mną tak źle, że mało nie umarłam; zostały blizny. Jednak przetrwałam. Teraz też przetrwam. — Podniosła głowę. — M u s z ę przetrwać, sam rozumiesz, ponieważ jesteśmy razem. Muszę myśleć o nas.

Nicholas wpatrywał się w jej oczy. Czy coś przed nim ukrywała? Nie potrafił odpowiedzieć i nie wiedział, dlaczego miałoby go to niepokoić.

Nagle roześmiała się. Jej twarz stała się twarzą licealistki, niewinną i beztroską. Delikatne piegi na kremowej skórze wychwytywały promienie słońca. Jej śmiech był czysty, nie zabarwiony sarkazmem i cynizmem. Nie było w nim żadnych niebezpiecznych oznak.

— Jutro nie będziesz już przy mnie, więc wykorzystajmy ten dzień. — Pocałowała go czule. — Czy to było bardzo orientalne?

— Tak, sądzę, że tak. — Roześmiał się.

Jej długie palce wędrowały po twarzy Nicka. Zatrzymały się na delikatnych wargach.

— Jesteś mi droższy niż... nigdy nie myślałam, że ktoś mógłby mi być aż tak drogi.

— Justine...

— Gdybyś zawędrował na koniec świata, odnalazłabym cię. To brzmi jak wyznanie małej dziewczynki, ale ja mówię poważnie.

Ku swemu zdumieniu Nicholas przekonał się, że naprawdę mówiła poważnie. I w tej samej chwili spostrzegł w jej oczach coś, czego w nich nigdy przedtem nie widział. Rozpoznał determinację kobiety samurajów, z którą zetknął się wcześniej u swojej matki i ciotki. Była szczególnym połączeniem zapалу i lojalności, prawie niemożliwym — jak sądził — dla istoty z Zachodu. Uczucie dumy przeppełniło go serdecznym ciepłem. Uśmiechnął się.

— Wyjeżdżam na krótko. Mam nadzieję, że nie dłużej niż na miesiąc. Zrobię wszystko, żebyś nie musiała po mnie przyjeżdżać.

Jej twarz przybrała poważny wyraz.

— To nie są żarty, Nick. Japonia dla mnie jest na końcu świata. Ten kraj jest przeraźliwie obcy. Wszędzie w Europie mogę czuć się trochę obco, ale wciąż jednak mogę tam odnaleźć swoje korzenie. Jest przynajmniej pewne poczucie przynależności. Japonia jest nieprzenikniona jak mrok. To mnie w niej przeraża.

— Pochodzę ze Wschodu — powiedział beztrosko. — Czy cię przerażam?
— Sądzę, że tak, czasami mnie przerażałeś. Ale teraz już nie tak bardzo.
— Wsunęła się pod jego ramię. — Och, Nick, wszystko byłoby idealnie, gdybyś tylko nie jechał.

Przytulił ją mocno. Chciał powiedzieć, że nigdy jej nie opuści, lecz było to kłamstwem, ponieważ za niespełna dwadzieścia cztery godziny, gdy wsiądzie na pokład samolotu lecącego do Tokio — właśnie to robi. Poza tym, wschodnia część jego osobowości oraz ćwiczenia uczyniły go człowiekiem skrytym, skoncentrowanym na swym wnętrzu, zagadką pustej ściany. Nicholas podejrzewał, że był bardzo podobny do swego ojca, mimo że ten pochodził z Zachodu. Obydwu — ojca i syna — łączyły wspólne tajemnice, skrywane nawet przed kobietami, które kochali.

Nicholas odetchnął głęboko, wyczuwał zmianę ciśnienia, ozonowane powietrze, tak rzadkie i suche, że aż zatrzymywało się wewnątrz nosa.

Boeing 747 przechylił się na lewe skrzydło w powolnym, leniwym łuku, ścigając pasma chmur do momentu, gdy zaczęły pojawiać się bladezielone pola pocięte równymi bruzdami. Potem, w oddali, ukazała się pokryta śniegiem korona Fuji, majestatyczna i niezmienna. Był znowu w domu.

Weszli w warstwę gęstego smogu leżącego niczym kir na świątecznym stole; unosił się stale rosnącym kręgiem znad intensywnie uprzemysłowionych stref rojącej się od ludzi metropolii.

— Chryste — rzekł barczysty mężczyzna, który siedział obok, wykręcając szyję, aby lepiej widzieć. — Powinienem być przywieźć swoją cholerną maskę gazową. — Grubym palcem wskazywał na to, co znajdowało się za szybą z pleksiglasu. — Warstwę inwersyjną mają gorszą niż w San Fernando Valley.

Uwagę mężczyzny o twarzy pokrytej bruzdami, agresywnej, przyciągnął znikający pod warstwą smogu krajobraz. „Ma oczy — pomyślał Nicholas — zahartowanego w boju rzymskiego generała — przezorne i znużone zarazem. Obydwa te stany były wynikiem ciężko wywalczonego doświadczenia, bitew na dwóch arenach: z Hunami na froncie i politycznymi adwersarzami na jego tyłach”.

Mężczyzna miał krótko przycięte, szare jak metal włosy; ubrany był w szyty na zamówienie, lekki urzędowy garnitur o staromodnym kroju. Był człowiekiem, który z biegiem lat przywykł do umiarkowanego luksusu, lecz skrzywiony nos i grube wargi wskazywały, że nie zawsze tak było. Raphael Tomkin, przemysłowiec-milioner, dla którego teraz pracował Nicholas, nie

urodził się w bogatym domu. Za zabicie Tomkina Saigo miał dostać pieniądze; Nicholas obronił go, pokonując Saigo, chociaż miał pewność, że Tomkin jest tym człowiekiem, który kazał uśmiercić oficera śledczego, Croakera, najlepszego przyjaciela Nicka.

Nicholas ukradkiem obserwował profil potężnej twarzy Tomkina. Przekonał się już, że amerykańska potęga często jest powierzchowna, a dla niego nacięcie tej powierzchni i dotarcie do miękkiego wnętrza nie było trudne. Jednak Tomkin był niepodobny do swoich kolegów — prezesów rad nadzorczych. Jego *wa* była naprawdę bardzo silna, stanowiła dowód wewnętrznej determinacji oraz niewzruszonej mocy.

Nick chciał go dokładnie poznać, ponieważ ślubował sobie oraz *kami* swego nieżyjącego przyjaciela, że dotrze do wnętrza tego człowieka, a posiadłszy wiedzę o nim, zasieje ziarno niepokoju, które powoli doprowadzi go do zniszczenia.

Przywołał w pamięci wspomnienia chwil, gdy dowiedział się, że Croaker poniósł śmierć w wypadającej na wypadek kraksie samochodowej, tuż za Key West. Croaker wybrał się tam na własną rękę i tylko Nicholas wiedział, że podążał on jedynym konkretnym śladem w sprawie zamordowania Angeli Didion. Angela była modelką, kochanką Raphaela Tomkina.

Pamiętał współczesną wersję powszechnie znanej zasady Ieyasu Tokugawy, największego ze wszystkich japońskich shogunów, którego rodzina rządziła przez ponad tysiąclecie, pielęgnując tradycję i chroniąc kraj przed wyjąławiającym wpływem Zachodu:

By poznać swego wroga, trzeba stać się jego przyjacielem. A gdy już będziesz jego przyjacielem, staje się on wobec ciebie bezbronny. Wówczas możesz obmyślić najlepszą metodę jak go zniszczyć.

Przyrzeczenie zemsty oraz żarliwe argumenty Justine spowodowały, iż rok wcześniej przyjął propozycję pracy dla Tomkina. Od pierwszego dnia wszystkie ich starania zmierzały do punktu, w którym się znaleźli. Tomkin przygotowywał proponowaną fuzję jednej ze swych filii z oddziałem *kobunu* koncernu petrochemicznego Sato. Każda umowa z Japończykami był bardzo trudnym zadaniem, lecz ta, dotycząca fuzji dwóch wysoce wyspecjalizowanych firm, zupełnie go wyczerpała. Tomkin przyznał, że rozpaczliwie potrzebuje pomocy. A któż lepiej niż Nicholas Linneer, półkrwi Azjata, urodzony i wychowany w Japonii, potrafiłby jej udzielić.

Gdy koła samolotu uderzyły na moment o pas startowy, kapitan włączył hamowanie czterech silników samolotu.

Wylądowali. Odpiąwszy pasy bezpieczeństwa, sięgnęli po płaszcze schowane w luku nad głową. Nicholas obserwował Tomkina. Od chwili, gdy po raz pierwszy złożył przyrzeczenie, coś się w nim zmieniło. Gdy zbierał informacje o Raphaelu Tomkinie, zdobywając jego zaufanie i przyjaźń — dar, którego przemyslowiec często nie używał, zaczął go widzieć takim, jakim naprawdę był.

I było jasne, że nie jest aż tak złym człowiekiem, za jakiego uważały go córki Justine i Gelda. Początkowo usiłował ukazać Justine to nowe oblicze ojca, lecz dyskusje te nieuchronnie prowadziły do gorzkich starć. W końcu zrezygnował z przekonywania Justine o ojcowskiej miłości. Zbyt wiele goryczy było w jej sercu, aby mogła kiedykolwiek zmienić swoje zdanie o ojcu. Uważała go za potwora.

„I pod jednym względem miała rację” — pomyślał Nicholas, gdy wysiadali z samolotu. Jednakże coraz trudniej było mu uwierzyć, że Tomkin był zdolny do popełnienia morderstwa. Z pewnością żaden człowiek nie mógł osiągnąć takiego stanowiska nadstawiając lewy policzek swym wrogom lub tym, których musiał przeskoczyć. Złamane kariery, bankructwa, rozbite małżeństwa — to zostawiał Raphael Tomkin na drodze, jaką przebył, by osiągnąć sukces.

Był bystry i, z całą pewnością, bezwzględny. Robił to, czego Nicholas nigdy nie uczyniłby nawet w myślach. A jednak trudno było uwierzyć, że mógłby z zimną krwią wydać rozkaz zabicia, zgaszenia życia — wzgardliwie i z olimpijskim spokojem. Jego szczerą miłość do córek powinna wykluczyć tak chorobliwie zbrodniczą decyzję.

Jednak wszystkie dowody, jakie Croaker wydobyl na światło dzienne, prowadziły prosto do Raphaela Tomkina. Wskazywały, że to on wezwał członka swej obstawy i polecił mu zakończyć życie Angeli Didion. Dlaczego? Co skłoniło go do popełnienia tak desperackiego czynu?

Nicholas wciąż jeszcze nie znał odpowiedzi, ale miał zamiar znaleźć ją, zanim weźmie odwet na tym potężnym i skomplikowanym człowieku. Być może pragnienie poznania prawdy opóźni moment zemsty, lecz nie miało to istotnego znaczenia. Wraz z mlekiem matki Nicholas poznał już smak i pojęcie bezgranicznej cierpliwości. Czas był dla niego jak wiatr — niewidoczny, przepływający stałym strumieniem. Tajemnice tkwiące w jego sieci, postanowienie nieuchronne, lecz zapadające tylko w sprzyjającym momencie, niczym „brodem przekraczana rzeka”, jak napisał Musashi.

Tak więc postawił sobie zadanie: zrozumienie swojego przeciwnika, zbadanie każdego zakamarka, każdej szczeliny w jego życiu, obnażenie jego ciała i kości, aby w końcu dusza tego człowieka stanęła przed nim otworem.

Tylko rozumiejąc powód, dla którego Tomkin zamordował, mógł znaleźć usprawiedliwienie tego, co będzie musiał uczynić.

Gdyby nie zdołał zrozumieć Tomkina, gdyby pochopnie ruszył wąską, czerwoną od krwi drogą zemsty, nie byłby w niczym lepszy od swego przeciwnika. Nie mógł czegoś takiego zrobić. Jego kuzyn Saigo wiedział o tym i wykorzystując to, ściągnął śmierć na przyjaciół Nicholasa. Szalony Saigo nie miał skrupułów, jeżeli chodziło o morderstwo. Nauczył się niszczyć życie poprzez *Kanaku na ninjutsu* i później poprzez wzbudzające lęk *kobudera*. Lecz gdzieś po drodze siły, które usiłował powstrzymać, zawładnęły nim, wykorzystując do swych własnych, złowieszczych planów. Saigo posiadał moc, tylko po to, aby zostać nią opętany. W końcu okazał się zbyt słaby duchem, co doprowadziło go do szaleństwa.

Nicholas odetchnął głęboko i potrząsnął głową, by odegnąć wspomnienia. Saigo nie żył od roku.

Wrócił do Japonii i przeszłość zaczęła go przytłaczać niczym zastępy rodzimych bóstw *kami* dźwięczące w jego uszach; wszystkie krzykiem wymuszały jego uwagę. Tyle wspomnień, tyle wzruszeń. Czeong, pułkownik, Itami — jego ciotka, wiedział, że w końcu musi z nią się zobaczyć. I jak zawsze, Yukio, naznaczona piętnem smutku Yukio. Piękna, oszłamiająca Yukio zawładnęła jego młodzieńczym umysłem, gdy spotkali się po raz pierwszy na przyjęciu *keiretsu*. Ich zetknięcie było elektryzujące, była w nim seksualna obietnica. Pamięta jej ciepłe, jędrne udo między nogami, gdy tańczyli zapatrzeni w siebie, obojętni na spojrzenia młodego Saigo.

Chociaż zginęła z rąk Saigo, jej *kami* nadal go nawiedzał. Chociaż z całego serca kochał Justine, jego duch wciąż tańczył ten pierwszy taniec z Yukio w tajemnym, promiennym świetle, którego śmierć nie ma we władaniu. Umysł był jednak zdumiewająco potężny. Jeżeli kiedykolwiek można byłoby mówić o zmartwychwstaniu, to właśnie teraz, gdy Nicholas siłą swych wspomnień sprowadził ją z wilgotnego grobu.

Teraz, po raz pierwszy od dziesięciu lat, dotknął stopami ojczystej ziemi. Wydawało mu się, że minęły wieki. Był teraz bliżej Yukio, bliżej wszystkiego, co się wydarzyło. „Tańcz, Yukio. Trzymam cię mocno i dopóki to robię, nic nie może nas rozdzielić, nikt nie może cię już skrzywdzić”.

— Dobry wieczór panom — przed nimi, kłaniając się, stanęła młoda Japonka. — Koncern petrochemiczny Sato wita panów w Japonii. — Tuż za nią, z lewej strony, stał młody Japończyk w ciemnym garniturze i przeciwsłonecznych okularach. Wyciągnął dłoń i zabrał ich kwity bagażowe.

Właśnie skończyli odprawę celno-paszportową. — Nasz pracownik zajmie się bagażem panów. — Jej uśmiech był pełen słodyczy. — Proszę iść za mną, dobrze?

Nicholas ukrył swoje zaskoczenie faktem, że powitała ich kobieta. Nie chciał jednak mówić o tym Tomkinowi. Nie wróżyło to nic dobrego w nadchodzących negocjacjach. Mógł być osobiście oczarowany tym stworzeniem, a Tomkina mogłoby to w ogóle nie obchodzić, lecz dla każdego Japończyka byłoby poważną obrazą. Im ważniejszy był witający cię wysłannik przedsiębiorstwa, tym wyższa opinia o twojej pozycji. W Japonii kobiety osiągały niski szczebel kierowniczej hierarchii.

Poprowadziła ich przez zatłoczone centrum lotniska Narita, wśród pędzących grup wycieczkowych, których przewodnicy wymachiwali sztywnymi chorągiewkami, jak generałowie na polach bitewnych dawnej Japonii, obok uformowanych w zastępy dzieci szkolnych, odzianych w mundurki i przyglądających się z szeroko otwartymi ustami niewiarygodnie wysokim *gaijinom* potykającym się o nie w oszołomieniu; obok starych małżeńskich par z brązowymi papierowymi torbami na zakupy, odsuwając się przed kolorowym orszakiem ślubnym.

Zanim wyprowadziła ich z zatłoczonej hali do oczekującej limuzyny, Tomkin był już zirytowany. Przystanęła otwierając przed nimi tylne drzwi.

— Nazywam się Yoshida, jestem asystentką administracyjną pana Sato — powiedziała. — Proszę wybaczyć, że nie przedstawiłam się wcześniej, lecz chciałam jak najszybciej wydostać was z tego tłumu.

Nicholas uśmiechnął się do siebie, słysząc jej sympatycznie niezgrabną angielszczyznę. Obserwował, jak się ponownie ukloniła, automatycznie powtórzył jej gest, mamrocząc po japońsku:

— Nie ma mowy o niegrzeczności, panno Yoshida. Pan Tomkin i ja doceniamy pani troskliwość.

Jeżeli nawet była zaskoczona faktem, że tak dobrze mówił w jej języku, nie okazała tego. Jej oczy osadzone w owalnej, nieskazitelnie gładkiej twarzy były jak ze szkła. W każdym innym kraju zarobiłaby miliony, użyczając twarzy kamerom. Lecz nie tutaj. Koncern Sato był jej drugą rodziną i winna mu była lojalność równą lojalności wobec rodzinnych więzów krwi. Nicholas wiedział o tym. Polecenie firmy wykonywała perfekcyjnie i bez zbędnych pytań. To również było tradycją przekazywaną od czasów shogunatu Tokugawy.

— Czy zechcą panowie skorzystać z wygód samochodu?

— Chryste, mógłbym sobie naprawdę dogodzić — mruknął Tomkin, gdy

pochylając głowę wsiadał do błyszczącej, czarnej limuzyny. — Ta podróż dała mi w kość.

Nicholas roześmiał się, udał, że był to tajemniczy żart *gaijina*. Jego śmiech sprawił, że znikło zakłopotanie panny Yoshidy. Roześmiała się bez troski, wtórując mu muzykalnym głosem. Ubrana była w dość skromnie skrojony, służbowy kostium z jedwabnej surówki. Jego soczysta zieleń stanowiła przyjemny kontrast z brązoworudym kolorem bluzki z kasztanową wstążką pod małym, okrągłym kołnierzykiem. W klapie żakietu miała dyskretną złotoemaliowaną ozdobną szpilkę, z symbolem Sato Petrochemicals. Szmaragdowe kolczyki błyskały w uszach.

— To musi być miłe uczucie znaleźć się znowu w domu, Linnear-san — powiedziała, wymawiając jego nazwisko jako „Rinear”.

Nie byłoby oznaką dobrych manier, gdyby Nicholas zareagował na jej aluzję. Dała bowiem do zrozumienia, że poinformowano ją o jego przeszłości.

— Te lata odeszły w niepamięć. — Uśmiechnął się. — Teraz, gdy wróciłem, wydaje się, że wyjechałem tylko na chwilę.

Panna Yoshida odwróciła swą piękną twarz od Nicholasasa. Z terminalu wyłonił się Junior obładowany bagażem. Spojrzała w oczy Nicka i rzekła cichszym, przez chwilę mniej formalnym głosem:

— Gdyby chciał pan zapalić laseczki kadzidła, samochód będzie do pańskiej dyspozycji.

Nicholas usiłował ukryć swoje zaskoczenie. Wiedział już, jakie informacje przekazano panie Yoshidzie na jego temat. Nie tylko powiedziała, że Sato dostarczy mu środek transportu, gdyby zdecydował się odwiedzić groby swych rodziców, ale również, że chciałby zapalić laseczki kadzidła na kamiennym grobie matki. Nie wszyscy wiedzieli, że Czeong była co najmniej półkrwi Chinką. Laski kadzidła były elementem właściwym dla Chin, chociaż Japończycy, będący buddystami, palili kadzidło na grobach rodziny i przyjaciół.

— Wiem, że nie mam prawa proponować, lecz jeżeli mogłabym być panu pomocna, jestem do pańskiej dyspozycji. — Panna Yoshida spuściła wzrok.

— To szalenie uprzejmie z pani strony — rzekł Nicholas, kątem oka obserwując zbliżającego się Juniora — ale nie chciałbym sprawiać pani tak wielkiego kłopotu.

— To żaden kłopot. Niedaleko pochowany jest mój mąż i dziecko. Tak czy inaczej bym pojechała.

Ich oczy spotkały się, lecz nie potrafił odgadnąć, czy mówiła prawdę, czy też po prostu kłamała, by czuł się mniej skrupowany jej propozycją. Tak czy

owak zdecydował, że weźmie ją ze sobą, gdy pozwoli na to przerwa w negocjacjach.

— Byłbym zaszczycony, panno Yoshida.

Gdy samochód prowadzony przez Juniora wjechał na zatłoczone ulice miasta, Tomkin pochylał się do przodu, by lepiej widzieć stalowo-szklany las domów, wznoszący się za granicą zielonych pól.

— Chryste — powiedział — tu jest jak w Nowym Jorku. Kiedy, u licha, oni przestaną budować? Pokonuję dwanaście tysięcy mil i czuję się, jakbym nigdy nie wyjechał z domu. — Nagłym ruchem opadł z powrotem na oparcie, uśmiechając się. — Oczywiście z wyjątkiem faktu, że ty i ja jesteśmy najwyższymi stworzeniami na przestrzeni tysięcy mil, co, Nick?

Nicholas wykonał w kierunku swego pracodawcy ruch, z pozoru przypominający skinienie głową i jednocześnie powiedział po japońsku do siedzącej z przodu panny Yoshida:

— *Gaijinowie* bywają często w niezamierzony sposób nieuprzejmi, prawda? — Wzruszył ramionami. — Czegóż innego można by oczekiwać od źle wychowanych dzieci?

Panna Yoshida zakryła dłonią wygięte w łuk usta, lecz iskierki wesołości w jej oczach były bardzo wyraźne.

— O czym wy tam, u licha, ćwierkacie? — burknął Tomkin, który poczuł się opuszczony.

— Właśnie informowałem tubylców, że wzrost nie jest jedyną cechą tych piekielnych cudzoziemców — skłamał Nicholas.

Uderzył we właściwą strunę.

— Ha! — Tomkin parsknął rubasznym śmiechem. — Masz cholerną rację! Bardzo dobrze, Nicky.

Po ponad godzinnej jeździe cała trójka wyszła z szybkobieżnej windy na ostatnim piętrze trójkątnego gmachu Shinjuku Suiryu. Całe Tokio leżało u ich stóp migocząc niczym szlifowany diament. Nicholas, obserwując z wysokości sześćset czterdziestu stóp, z pięćdziesiątego drugiego piętra, miasto, zdumiony był liczbą supernowoczesnych drapaczy chmur, które wyrosły podczas jego nieobecności. Wystrzelały z granitowych chodników jak błyszczące paznokcie mandarynów, unosząc dzielnicę Shinjuku w centrum Tokio ku sklepieniu niebios.

Tomkin zatrzymał się z grymasem na twarzy i przyciągając Nicholasa do siebie, wyszeptał:

— Przyjazd tu zawsze przypomina mi o tranie dorszowym. Gdy byłem dzieckiem, mój ojciec nalegał, bym każdego rana pił dwie łyżki tego świństwa. Stale mi powtarzał, że to dla mojego dobra, mówił to samo, gdy bił mnie, przyłapawszy na wylewaniu tranu do toalety. Potem i tak musiałem

wypić. — Ciężko odchrząknął. — Możesz sobie jeść swoje surowe ryby z tymi barbarzyńcami, Nick. Ja wciąż mam w ustach smak dorszowego tranu.

Panna Yoshida wprowadziła ich przez drewniane drzwi o przesadnie dużych klamkach, rzeźbionych w kształcie herbu Sato, do korytarza oświetlonego miękkim, rozproszonym światłem. Na ścianach wisiały „obrazy płynącego świata”, *ukiyo-e*, z okresu Edo, autorstwa Hiroshige, mistrza deszczu, Hokusai, mistrza krajobrazu, i Kuniyoshi, mistrza japońskich legend. Stąpali po szarym dywanie, tłumiącym odgłosy krzątania dobiegające zza drzwi niezliczonych pomieszczeń biurowych. Cicho stukwały teleksy, elektroniczne maszyny do pisania pracowały z maksymalną szybkością.

Panna Yoshida zatrzymała się przed kolejnymi drzwiami. Zrobione były z grubych, jesionowych płyt, połączonych szerokimi drewnianymi kołkami w tradycyjny japoński sposób. Klamki, wykonane z szorstko wykończonego, kutego żelaza, przypominały Nicholasowi *ryokan* — gospody na prowincji, w których się zatrzymywał.

— Pan Sato wiedział, że podróż będzie męcząca — powiedziała panna Yoshida. — Taka podróż jest wyczerpująca nawet dla najsilniejszych organizmów. Junior pojechał do hotelu „Okura” z bagażami. Dopilnuje rezerwacji. — Podniosła dłoń ku górze. Był to prosty gest, lecz, mimo swojej prostoty, elegancki. — Tutaj panowie mogą się odprężyć bez obaw — jej wiśniowe usta rozjaśnił uśmiech — jeżeli będą panowie tak uprzejmi, aby pójść za mną.

— Co tu się, do cholery, dzieje? — powstrzymał ją gniewny głos Tomkina. W jego oczach pojawiły się wojownicze błyski. — Nie po to przebyłem pół świata, żeby poparzyć sobie skórę w jakiejś przeklętej kąpieli, podczas gdy ten ważniak zajmuje się własnymi sprawami. — Palcami stuknął w swą teczkę z krokodylej skóry. — Muszę doprowadzić do fuzji — parsknął. — Jeżeli o mnie chodzi, inne sprawy mogą poczekać.

Panna Yoshida starała się nie okazywać swych uczuć. Na jej twarzy nadal malował się uśmiech.

— Panie Tomkin — zaczęła — zapewniam pana, że...

— Sato! — Przerażliwy głos zagłuszył jej ciche i wyważone słowa. — Chcę zobaczyć Sato teraz! Nie pozwolę, aby trzymał mnie w poczekalni, jak byle pracownika. Raphael Tomkin na nikogo nigdy nie czeka!

— Zapewniam pana, panie Tomkin, że tu nie chodzi o brak szacunku — kontynuowała panna Yoshida, usiłując uspokoić Tomkina. — Moim zadaniem jest służyć panom, pomóc się odprężyć i sprowadzić wasze myśli na właściwy tor...

— Nie potrzebuję, abys ty, ani ktokolwiek inny mówił mi, jaki ma być tor moich myśli! — zagrzmiał Tomkin, robiąc krok w jej kierunku. — A teraz sprowadź tu Sato albo...

Nicholas zrobił krok do przodu, stając między nimi. Zobaczył, że twarz panny Yoshida zrobiła się szara jak popiół. Ręce jej się trzęsły.

— Co ty wyprawiasz, Nick?

Nicholas zignorował Tomkina, energicznym ruchem ciała odsunął swego pracodawcę. Po czym uśmiechnął się, promieniował swą własną beztroską, chcąc w ten sposób uspokoić wyraźnie zatrwożoną asystentkę.

— Proszę wybaczyć *gaijinowi* — powiedział po japońsku; nie chciał posługiwać się imieniem Tomkina. — Miał długą, męczącą podróż. — Ściszył głos i mówił dalej, nadal napierając na Tomkina.

— Prawda jest taka, że dokuczają mu hemoroidy i zachowuje się jak pies, który siadł na mrowisku. Warczy na wszystkich — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Nie jest w stanie zauważyć pięknego kwiatu, bo w bólu, na oślep rozgniata rosnące przed nim piękno.

Panna Yoshida rzuciła Tomkinowi ostrożne spojrzenie, po czym skłoniła się, dziękując Nicholasowi.

— Sato-san spotka się z panami niebawem — powiedziała. — Chciał jedynie, aby panowie odprężyli się i odpoczęli przed trudnymi negocjacjami.

— Wszystko rozumiem, Yoshida-san — rzekł uprzejmie Nicholas. — To bardzo rozważne ze strony Sato-sana, że troszczy się o nasze dobre samopoczucie. Proszę, aby była pani uprzejma przekazać mu wyrazy naszego szacunku. — Uderzył muskularnym ramieniem szamoczącego się Tomkina. — A *gaijina* proszę zostawić mnie.

Panna Yoshida, z ulgą malującą się na twarzy, ponownie skłoniła się; tym razem nie próbowała maskować swych uczuć.

— Dziękuję, Linnear-san. Nie potrafię wyobrazić sobie, co powiedziałby Sato-san, gdyby dowiedział się, że nie postąpiłam tak, jak tego oczekiwał. — Precisnęła się obok nich i popędziła z powrotem korytarzem.

Tomkin odzyskał swobodę ruchów. Twarz miał zaczerwienioną. Uniósł do góry palec przypominający parówkę.

— Winien mi jesteś wyjaśnienie, Nick, i niech będzie dobre, do cholery, bo...

— Zamknij się. — Nicholas nie powiedział tego głośno, lecz wydawało się, że ten ton zaskoczył Tomkina. Błyskawicznie zamilkł.

— Zdążyłeś wyrządzić wystarczająco wiele szkód — kontynuował, usiłując, tak jak panna Yoshida, kontrolować swoje uczucia.

— Szkód? O czym ty...

— Przez ciebie straciliśmy twarz przed tą kobietą. Będziemy obaj szczęściarzami, jeżeli nie poszła prosto do Sato, by powiedzieć mu o tej zniwadze.

Nicholas kłamał. Panna Yoshida była tak przerażona, że uraziła gości, iż nie zrobiłaby tego. Tomkin nigdy tego nie zrozumie, a odrobina strachu dobrze mu teraz zrobiła.

Nicholas precyzyjnie przeszedł obok Tomkina. Byli w dość małym, słabo oświetlonym pokoju. Podłoga wykonana była z wąskich cedrowych desek. Wzdłuż jednej ściany stał rząd obszernych metalowych szaf. Podeszedł do jednej i otworzył ją. W środku znalazł nie tylko włochaty szlafrok, lecz również grzebień i szczotkę oraz cały zestaw przyborów toaletowych. Na prawo od szafki było przejście prowadzące do wyłożonej lustrami łazienki z umywalkami, pisuarami i rzędem kabin. Domyślił się, że łazienka musi być za nimi. Powietrze było wilgotne i ciepłe, wyraźnie zachęcające do kąpieli. Zaczął się rozbierać.

Tomkin wszedł za nim. Stał pośrodku łazienki. Wpatrywał się w Nicka, chcąc ściągnąć jego spojrzenie. Nicholas nie przerwał swych metodycznych czynności. Jego długie, smukłe mięśnie drgały pod skórą. Świadomie pozwalał Tomkinowi ochłonać.

— Słuchaj gnojku, nie waż mi się tego więcej robić — rzekł Tomkin po jakimś czasie. Jego głos był pełen powstrzymanej furii. — Słuchasz mnie? — spytał w końcu.

— Ściągnij ubranie. — Nicholas złożył spodnie, powiesił na metalowym wieszaku. Był teraz nagi, pozbawiony tego, co nakazywała mu nosić cywilizacja. Jego ruchy, postawa były zwierzęco drapieżne, nieomal przerażały. Justine wyczuła to, gdy po raz pierwszy zobaczyła, jak nago przechodzi przez pokój; był jak widmo, tancerz, nocny drapieżnik. Nawet wtedy, gdy wykonywał ruch tak zwyczajny, jak stawianie jednej stopy przed drugą, używał swego ciała jak instrumentu, uzyskując harmonię wdzięku i siły.

— Odpowiedz mi grzecznie, do cholery! — Tomkin podniósł głos nie tyle ze złości, lecz z nagłego lęku.

Był zakłopotany. W jego świecie wielkiego biznesu nagość była stanem bezbronności. Patrząc teraz na Nicholasa Linneara, poczuł tak ostro swoją bezbronność, że słyszał tłoczące krew serce, jego przyspieszony rytm.

Nicholas odwrócił się w stronę Tomkina.

— Zatrudniłeś mnie w specjalnym celu. Uprzejmie pozwól, bym bez przeszkód wykonywał moją pracę. — W jego głosie nie było już gniewu; zdołał go opanować.

— Nie zatrudniłem cię po to, byś mnie obrażał — odpowiedział Tomkin spokojniejszym tonem, usiłując opanować gwałtowne bicie serca.

— Jesteś teraz w Japonii — przypomniał Nicholas. — Jestem tu po to, żebyś przestał wreszcie myśleć jak Amerykanin.

— Znowu myślisz o utracie twarzy. — Tomkin parsknął śmiechem i zachaczył szerokim jak łopata kciukiem o zamknięte drzwi. — To była tylko dziewczyna. Co mnie, do cholery, obchodzi, co ona o mnie myśli.

— Ona jest osobistą przedstawicielką Seiichiego Sato — uspokoił go Nicholas. — To czyni ją ważną. — Kłamstwo było teraz istotne, aby utrzymać Tomkina w ryzach. Gdyby tylko nabrał podejrzeń, że zostali potraktowani lekceważąco, nic by go nie powstrzymało. — Jest tutaj częścią samego Sato i dlatego jest tak ważna.

— Sądziś, że powinienem pokłonić się i czołem jej bić? Po tym, jak Sato nie był nawet na tyle uprzejmy, aby nas powitać osobiście?

— Bywałeś tu wielokrotnie — powiedział spokojnie Nicholas. — Zdumiewa mnie fakt, że niczego się nie nauczyłeś o japońskich obyczajach. — Pokazał gestem dłoni: — Tak traktuje się najwyższych dostojników. Czy zdajesz sobie sprawę, ile ta japońska łaźnia musi kosztować, w tak atrakcyjnym miejscu Tokio? — Nicholas westchnął. — Zmień sposób myślenia. Spróbuj zaakceptować ich styl. Musisz sobie zadać wiele trudu. — Sięgnął do swojej szafki, wyciągnął puszysty biały ręcznik z wyhaftowanym emblematem Sato Petrochemicals.

Tomkin milczał przez chwilę, po czym nagle chrząknął i zaczął się rozbiierać. Był to najwyraźniejszy gest przeprosin, na jaki potrafił się zdobyć. Kiedy był nagi, wyciągnął ręcznik oraz klucz od szafy.

— Nie używaj go — rzekł Nicholas.

— Dlaczego? — Przez chwilę wpatrywali się w siebie, po czym Tomkin skinął głową. — Utrata twarzy, prawda?

Nicholas uśmiechnął się, otwierając drewniane drzwi obok rzędu szaf i rzekł: — Chodź.

Weszli do pomieszczenia o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych. Podłoga była z tych samych cedrowych desek, a ściany wyłożone błyszczącymi, błękitnymi kafelkami. Sufit z mniejszych kafelków tworzył mozaikę, w środku której umieszczony był symbol koncernu, przedstawiający zazębujące się koła. Pokój wypełniały dwie olbrzymie wanny z parującą wodą. Obok stały dwie młode kobiety.

Nicholas bez wahania stanął przed nimi. Zaczęły polewać go gorącą wodą, a potem natarły namydlonymi gąbkami. Po chwili Tomkin poszedł za jego przykładem.

— To rozumiem — powiedział, pozwalając umyć się kobiecie. — Najpierw się umyj, potem pozwól, by ciepło cię odprężyło.

Starannie opłukani weszli do jednej z parujących wanien.

Woda była bardzo gorąca, tak bardzo, że Tomkin skulił się. W ściankach wanny odkryli nisze, mogli więc usiąść tak, że tylko głowy wystawały z wody. Twarz Tomkina poczerwieniała, krople potu spływały mu po policzkach. Stwierdził, że każdy ruch czynił temperaturę niemożliwą do zniesienia. Oczy Nicholasa były zamknięte, ciało odprężone. Oprócz łagodnego, hipnotycznego plusku wody wywołanego powolnymi ruchami ich ciał, nie docierał żaden dźwięk. Wyłożone kafelkami ściany były pokryte kropelkami rosy.

Tomkin oparł głowę o drewnianą posadzkę, wpatrzony w trójkolistny znak Sato.

— Gdy byłem chłopcem — rzekł — pamiętam, że nie znosiłem kąpeli. Nie wiem dlaczego. Myślałem, że to niemęskie, czy coś takiego. W szkole był chłopak, który zawsze pachniał tak, jakby wyszedł wprost z kąpeli. Chryste, jak ja go nienawidziłem. Sprąłem go kiedyś po lekcjach. — Gdy oddychał, jego pierś powoli unosiła się w górę i opadała w dół. — Sądziłem, że będę bohaterem, wzorem dla pozostałych dzieci, ale tak się nie stało.

Na moment zamilkł. Słychać było tylko rytmiczny odgłos kąpiącej wody.

— Pamiętam ojca biegnącego za mną, wrzucającego mnie do wanny, szorującego proszkiem do czyszczenia — „Ajaxem” lub czymś takim. Powiem ci, że bolało jak diabli. „Płacz — mówił. Słyszę jego głos jak dzisiaj. — To ci wyjdzie tylko na dobre — mówił. — Jutro wykąpiesz się sam, nie będę musiał cię znowu szorować”. Tak — Tomkin pokiwał głową — mój ojciec z pewnością nauczył mnie czystości — przymknął na moment oczy, jakby raz jeszcze wyobrażał sobie tę scenę.

Nicholas patrzył na niego i myślał o swym zmarłym przyjacielu. Lew Croaker był przekonany, że to Tomkin zlecił zamordowanie Angeli Didion. Ta obsesja miała szczególnie japoński posmak, ponieważ wypływała z jego ślepego posłuszeństwa nakazom prawa. „Nick — rzekł raz do niego przyjaciel — guzik mnie to obchodzi, co Angela Didion robiła i jaką miała reputację. Była ludzką istotą, tak jak my wszyscy. To, co robię... no cóż, myślę, że jest czymś, na co ona zasługuje. Jeżeli ona nie może otrzymać sprawiedliwości, to nikt w ogóle na nią nie zasługuje”.

To, co Croaker zwał sprawiedliwością, Nicholas nazywał honorem. Croaker wiedział, na czym polega jego obowiązek, i zginął, wywiązując się z

niego. Była to śmierć samuraja, Nicholas dobrze o tym wiedział, lecz nie koło to smutku, który go chwilami ogarniał; nie wypełniało też pustki, jaką czuł w sobie. Jego śmierć odczuwał tak, jakby zniszczono nagle istotną część jego samego.

— Nick, ty i Craig Allonge dobrze ze sobą współpracujecie. — Tomkin mówił o głównym księgowym swojego przedsiębiorstwa. — Wiesz, że bardzo na nim polegam. Wie więcej o prawdziwym funkcjonowaniu firmy Tomkin Industries niż ktokolwiek inny, oprócz mnie. Jest w samym jej sercu.

Gdy Tomkin chciał poruszyć jakąś sprawę, nie kończył kwestii. Starał się raczej kluczyć.

— Craig przechodzi teraz ciężki okres w swoim życiu. Wyprowadził się z domu. Nie widuje się z żoną od czasu, gdy powiedziała mu o swoim kochanku.

Tomkin przesunął się mimowolnie i piekący żar zatkał mu oddech w piersiach.

— To niesamowita sytuacja. Craig powiedział, że chce zamieszkać w hotelu, w mieście, ale nie chciałem o tym słyszeć. Zostanie u mnie do momentu, gdy zdecyduje, co robić dalej. Powiedziałem, że mu pomogę w załatwieniu rozwodu, jeżeli tego chce. Opłacę również adwokata, jeśli sądzi, że jest jakaś szansa na pojednanie. — Przymknął oczy. — Ale, co w tej chwili ważniejsze dla niego, Craig potrzebuje prawdziwego przyjaciela. Ja jestem jego szefem, nie mogę być jednocześnie jego przyjacielem, nie w ten sposób. Ty go lubisz, a ja wiem, że on ma o tobie bardzo dobre zdanie. Wiesz, co naprawdę znaczy słowo przyjaźń.

Nicholas zanurzył się w parzącej skórze wodzie, myśląc: „Ludzie Zachodu są tacy nieobliczalni. W jednej chwili wybuchają, brutalnie ignorując zasady grzeczności, po czym w następnej okazują niezwykle zrozumienie i troskę”.

— Zrobię, co będę mógł, jak tylko wrócimy — odrzekł.

Tomkin spojrział na Nicholasa, a gdy przemówił, jego głos brzmiał niezwykle łagodnie.

— Nicky — spytał — czy masz zamiar ożenić się z moją córką?

Nicholas, na pół drzemiąc, wyczuł jednak cień desperacji w jego głosie, co go zdziwiło.

— Tak — odrzekł natychmiast. — Oczywiście. Jak tylko wrócimy do Stanów.

— Omówiłeś to z Justine?

— Pytasz, czy się oświadczyłem? — Uśmiechnął się. — Tak.

Usłyszał głębokie westchnienie, otworzył oczy i spojrział na drugiego mężczyznę.

— Mam twoje błogosławieństwo?

Twarz Tomkina pociemniała i wydał z siebie chrapliwe szczenięcie, w którym Nicholas rozpoznał bolesny śmiech.

— O tak, na wszystko dobro, jakie może was spotkać. Ale nie mów o tym Justine. Chryste, mogłaby zdecydować, że nie wyjdzie za ciebie tylko na złość mnie.

— Sądzę, że te czasy już minęły.

— Och, mylisz się. Nigdy już się nie ułoży między mną a moimi córkami. Zbyt wiele goryczy zebrało się po obu stronach, zbyt wiele pretensji o sposób, w jaki, ich zdaniem, ingerowałem w ich życie. Słusznie czy niesłusznie. Nie jestem nawet pewien, czy wiem teraz, jak.

„Czas zmienić nastrój” — pomyślał Nicholas i powoli zaczął wychodzić z wanny.

Tomkin ruszył za nim. Drugimi drzwiami weszli do sauny. Usiedli na sześciokątnych płytkach. Długa, pionowa rura zaczęła wyrzucać z siebie porcje wody, która bulgocząc spływała na dół. Potem z otwartego końca rury z głośnym sykiem zaczęła uchodzić para. Rozmowa stała się niemożliwa.

Dokładnie pięć minut po ich wejściu zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Mimo że siedzieli dość blisko, nie widzieli się. Rura, biegnąca wzdłuż kafelkowanej ściany, od czasu do czasu, tłocząc nową chmurę pary, wydawała z siebie odgłos podobny do krzyku ducha — zwiastuna śmierci; jej kłęby zasnuwały ich ramiona. Poczuli nową falę gorąca.

Nicholas dotknął mięsistego ramienia Tomkina. Wyszli przez drugie drzwi umieszczone w przeciwległej ścianie.

Znaleźli się w dość dużym, słabo oświetlonym pokoju, w którym unosił się delikatny zapach brzozy i kamfory. Wzdłuż jego ścian ustawione były cztery długie, obite materacem stoły. Na dwóch leżały ciemne bryły, w których wkrótce mogli rozpoznać ludzkie ciała. Przy każdym stole stała młoda kobieta.

— Panowie.

Mężczyzna leżący na stole, na prawo od nich, uniósł się i siadł. Skłonił się lekko,

— Ufam, że jesteście bardziej odprężeni niż wtedy, gdy przekraczaliście nasze progi.

— Sato — zaczął Tomkin, lecz czując na ramieniu ucisk dłoni Nicholasa, przerwał w pół zdania, po czym rzekł: — Cóż za niesamowity sposób powitania. Hotel „Okura” nie byłby w stanie uczynić tego tak dobrze.

— Ależ nie, nie możemy dorównać takim standardom — odrzekł Seiichi Sato, lecz skinął głową w podziękowaniu za komplement.

— Linnear-san — powiedział obracając się nieznacznie — w końcu mam zaszczyt poznać pana. Wiele o panu słyszałem.

Podciągnął nogi i ułożył się wygodnie.

— Proszę mi powiedzieć, cieszy się pan z powrotu do domu?

— Ameryka jest teraz moim domem, Sato-san — ostrożnie odpowiedział Nicholas. — Od czasu gdy wyjechałem, wiele się w Japonii zmieniło, lecz ufam, że jeszcze więcej pozostało bez zmian.

— Minął się pan z powołaniem, Linnear-san. Powinien pan zostać politykiem.

Nicholas zastanawiał się, kto leży na stole pod ścianą.

— Panowie, połóżcie się, proszę — rzekł Sato. — Jeszcze nie skończył się czas waszego relaksu.

Uczynili, jak proponował, i w chwilę potem z półmroku wyłoniły się dwie młode kobiety. Nicholas poczuł, jak olejek, którym go skropiły, został rozarty, a wprawne ręce zaczęły ugniatać jego mięśnie.

— Pewnie już się pan zastanawiał, Linnear-san, dlaczego te dziewczyny nie są Japonkami? Niech pan nie myśli, że nie jestem nacjonalistą. Jednak jestem również realistą. Te dziewczyny są z Tajwanu — zachichotał. — Są niewidome, Linnear-san, czy zgadłby pan? Panuje przekonanie, że ich ślepotą sprawia, iż mają czulszy zmysł dotyku. Gotów jestem się zgodzić. Od czasu mojej pierwszej podróży na Tajwan, w pięćdziesiątym szóstym roku, marzyłem o sprowadzeniu tajwańskich masażystek do Japonii. Co pan o tym sądzi, Linnear-san?

— Wspaniale — wystękał Nicholas.

Dziewczyna swymi wprawnymi palcami i dłońmi ubijała jego twarde niczym skała mięśnie jak śmietaną. Dyszał ciężko, mimo to doznawał odurzającego niemal uczucia wesołości.

— Musiałem zostać na Tajwanie przez dziesięć dni, gdy wspólnie ratowaliśmy upadającą transakcję. Zapewniam was, panowie, że jedynie godne uwagi w tym kraju są: kuchnia oraz niezwykle, niewidome masażystki.

Przez pewien czas słychać było tylko usypiający odgłos uderzeń dłoni o ciało; unosił się ostry zapach olejku kamforowego, który potęgował uczucie senności.

Nicholas powrócił myślami do tajemniczego czwartego mężczyzny. Dobrze znał kręte korytarze gmachu japońskiego biznesu, tak odmienne i obce dla ludzi z Zachodu. Wiedział, że chociaż Sato był prezesem tej *keiretsu*, grupy przedsiębiorstw, wciąż istniało wiele szczebli, wielu wpływowych ludzi; w najwyższych kręgach władzy w Japonii były osobistości nieznanne cudzoziemcom, a nawet większości Japończyków. Czy był to jeden z tych

ludzi? Jeżeli tak, Nicholas musiał uwierzyć Tomkinowi, który podczas długiego lotu nad Pacyfikiem ostrzegał, aby zachowywać najwyższą ostrożność.

— Nick, ta transakcja z Sato Petrochemicals jest potencjalnie największa, jaką kiedykolwiek zawarłem — mówił. — Fuzja mojej filii Sphynx Silicon i *kobunu* Nippon Memory Chip będzie przynosić Tomkin Industry niesłychane zyski przez następne dwadzieścia lat.

Znasz amerykańskich producentów; tak cholernie powoli myślą. Właśnie dlatego dwa i pół roku temu zdecydowałem się uruchomić Sphynx Silicon. Miałem dosyć liczenia na tych sukinsynów. Zawsze byłem przez nich o trzy do sześciu miesięcy spóźniony i zanim wreszcie docierała do mnie ich dostawa, Japońce wchodziły już na rynek z czymś znacznie lepszym.

Tak jak we wszystkim; biorą nasze standardowe konstrukcje, wykonują produkt lepszy i o wiele tańszy. Zrobili to Niemcom z aparatami małoobrazkowymi, zrobili to nam i Europejczykom z samochodami. Teraz robią to samo z mikroprocesorami komputerowymi, jeżeli nie ruszymy naszych tyłków.

Nick, wiesz lepiej niż ktokolwiek, jak piekielnie trudno jest zagranicznej firmie zacząć się w Japonii. Ale teraz mam coś, czego potrzebują — potrzebują tak bardzo, że pozostawiają mi pięćdziesiąt jeden procent udziałów w moim własnym przedsiębiorstwie. To w Japonii zupełnie niesłychane. Gdy IBM wszedł na rynek Tokio, przejęli go do cna — od dyrektora po sprzątaczkę.

Nicholas dobrze pamiętał ten incydent. Japońskie Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu, znane lepiej jako MITI, powstało po drugiej wojnie światowej, aby istotnie dopomóc w postawieniu japońskiej gospodarki na nogi. W latach pięćdziesiątych szef MITI, Shigeru Sahashi, stał się samurajem, szukającym sposobności, by zniechęcić do tego, co w jego oczach jawiło się jako zmasowana inwazja amerykańskiego kapitału.

Dostrzegł on również ogromny, ogólnoświatowy rynek, tworzący się dla komputerów. W tym czasie Japonia nie miała absolutnie żadnej technologii komputerowej. Sahashi wykorzystał fakt, że IBM pragnął otwarcia japońskiego rynku dla swoich towarów, do skutecznego utworzenia narodowego przemysłu komputerowego.

MITI określiło już zasady poważnie ograniczające zaangażowanie zagranicznych przedsiębiorstw w japońską gospodarkę. Ministerstwo było tak potężne, że w efekcie mogło wykluczać wszelkie obce udziały wnoszone bez jego zgody.

Sahashi zezwolił na utworzenie IBM-Japan, lecz gdy tylko nowe przedsiębiorstwo zaczęło funkcjonować, dokonał posunięć, które pokazały im, w co się wpakowali. IBM, rzecz jasna, miał wszystkie patenty potrzebne Japonii do uruchomienia swego rodzimego przemysłu.

Na historycznym spotkaniu z IBM-Japan Sahashi powiedział im: „Podjmiemy wszelkie możliwe kroki, aby przeszkodzić w sukcesie waszego przedsięwzięcia, jeżeli IBM nie udzieli japońskim firmom licencji na swoje patenty żądając opłaty patentowej nie wyższej niż pięcioprocentowa”.

Gdy ogarnięci zrozumiałym przerażeniem urzędnicy IBM gniewnie oskarżyli Japończyków — za jego pośrednictwem — o wyolbrzymiony kompleks niższości, Sahashi rzekł: „Nie mamy wobec was kompleksu niższości; potrzebujemy tylko czasu i pieniędzy, aby skutecznie konkurować”.

Oszołomieni Amerykanie stanęli przed trudnym wyborem: całkowicie wycofać IBM z głównej części planowanej ogólnoswiatowej ekspansji, albo poddać się totalnej dominacji MITI.

Wybrali uległość i przez wszystkie następne lata Sahashi z dumą przypominał szczegóły swych triumfalnych negocjacji.

— Wyciągnąłem naukę z tego fiaska — głos Tomkina przywołał Nicholasa do rzeczywistości.

— Nie jestem tak łapczywy, aby dać się złapać w pułapkę, żeby ryzykować pierwszy krok, zanim nie dowiem się, co, u licha, się dzieje. Nie wydam jednego dolara na japońskie przedsiębiorstwo, zanim nie ustalę warunków umowy. Mam przewagę w postaci patentu, ale nie mam szans na produkcję nowego typu procesora w Ameryce przy kosztach czyniących jego sprzedaż niemożliwą. Sato może mi dać taką możliwość; kontroluje sześć największych *koncernów* Japonii. Może wyprodukować go wystarczająco tanio, aby przedsięwzięcie przyniosło ogromne zyski. — Roześmiał się. — Naprawdę ogromne, Nick. Wierz w to lub nie, mówimy o stu milionach dolarów czystego zysku w ciągu dwóch lat.

Jego oczy płonęły.

— Dobrze słyszałeś. Sto milionów!

Nicholas spał chyba, gdy dłonie oderwały się do jego mięśni. Od lat nie czuł się lepiej. Usłyszał stłumione odgłosy, a potem rozkazujący ton Sato:

— Weźmiemy teraz prysznic, potem ubierzemy się i przystąpimy do omawiania naszych spraw. Panna Yoshida przyjdzie po panów za piętnaście minut.

Zamajaczył gruby, czarny cień. Nicholas wykręcił głowę, próbując dobrze mu się przyjrzeć. Zdołał jedynie spostrzec, że, według amerykańskich kryteriów, Sato nie był wysoki. Z tyłu, za nim, poruszył się cień czwartego mężczyzny. Nicholas przesunął wzrok, lecz masywna sylwetka Sato odgrażała go od tajemniczego nieznanego.

— Omówimy tylko kilka spraw — ciągnął japoński przemysłowiec. — Panowie, rzecz jasna, muszą być jeszcze zmęczeni podróżą, no i przecież pora jest już późna. Ale jednak — pokłonił się — mamy poniedziałek i rozmowy wstępne nie mogą czekać. Czy zgadza się pan ze mną, Tomkin-sanie?

— Bierzmy się do tego, koniecznie!

Mimo że Tomkin był bliżej Nicholasa, jego głos był dziwnie stłumiony.

— Doskonale — krótko rzucił Sato, skinąwszy małą okrągłą głową. — Więc tymczasem.

Gdy zostali sami, Nicholas usiadł z owiniętym wokół pasa ręcznikiem.

— Bardzo mało mówileś — rzucił w mrok.

W krótkiej przerwie, jaka nastąpiła po jego słowach, kobiety odeszły, szeleszcząc kimonami niczym trzciny na wietrze. Tomkin zsunął się ze stołu.

— Po prostu wczuwałem się w sytuację. — Owinął się dużym ręcznikiem. — Sato wydawał się zajęty rozmową z tobą; pozwoliłem mu na to. Cóż mi to szkodzi? Zastanawiałem się, kto jest z nim.

— I co? — spytał Nicholas, gdy przechodzili pod natrysk.

Tomkin pokręcił głową.

— Znasz przemysł Japońców. Bóg jeden wie, jak oni kierują biegiem spraw, i nie byłbym zaskoczony, gdyby nawet jemu myliło się co jakiś czas — wzruszył ramionami.

— Ktokolwiek to był, musi być jakimś ważniakiem; inaczej nie zostałyby dopuszczony tak blisko Sato.

Biuro Seiichiego Sato było urządzone w zachodnim stylu: wygodne sofy i fotele ustawione wokół niskiego, czarnego stolika z wszechobecnym znakiem Sato wygrawerowanym na środku. Pod oknem stało duże biurko z mosiądzu i różanego drzewa oraz niskie szafki. Na podłodze leżał puszysty dywan. Na ścianach wisiały drzeworyty — wszystkie, co spostrzegł Nicholas, wykonane przez artystów dwudziestego wieku.

Gdy w towarzystwie Tomkina przechodził przez biuro, zauważył za

rozchylonymi drzwiami *tokonomę* — tradycyjną wnękę, w której codziennie układano świeże kwiaty. Na ścianie wisiał stary zwój pergaminu z wciąż widocznymi śladami złotej farby. Nicholas nie był w stanie odczytać napisu, ponieważ kąć widzenia był zbyt ostry. Domyślał się, że jest to przysłowie Zen zapisane przez starego mistrza.

Seichi Sato szybko, pewnym krokiem wyszedł zza swojego biurka. Był, jak Nicholas zdążył się zorientować, dość niskim mężczyzną. Pod eleganckim garniturem, od Ralpa Laurena, kryły się zwały mięśni otulające barki i ramiona niczym stalowy płaszcz. Nicholas pomyślał: ten człowiek musi sumiennie trenować. Przyjrzał się badawczo twarzy Sato. Była ospowata i dość kanciasta; kości policzkowe wznosiły się wysoko do oczu, a szerokie i gładkie czoło wieńczyły grube, obcięte na jeża włosy. W fizjonomii tego człowieka nie było nic subtelnego. Nie był też zbyt przystojny. Jego twarz była odzwierciedleniem wewnętrznej energii i siły woli.

Uśmiechając się, Sato wyciągnął do każdego z nich dłoń w typowo amerykańskim geście powitania. Za jego wielkimi ramionami Nicholas dostrzegł ze zdumieniem szczyt Fuji. Wiedział, że w bardziej pogodne dni widać ją ze szczytu nowego budynku Centrum Handlu Międzynarodowego przy stacji Hamamatsu-cho, skąd kolej jednoszynowa wyrusza do Haneda. Ale tu, w sercu Shinjuku: coś fantastycznego.

— Proszę — rzekł Sato wskazując gestem dłoni — sofa daje więcej wygody zmęczonemu podróżnikowi.

Gdy usiedli, Sato wydobył z głębi gardła lekki dźwięk, nie głośniejszy niż chrząknięcie, jednak wystarczający, aby w uchylonych drzwiach prowadzących do *tokonomy* pojawiła się jakaś postać.

Mężczyzna był dość wysoki i chudy jak patyk.

Jego twarz była jak morze — niezmienna i groźna. Mógł być o dziesięć lat starszy od sześćdziesięcioletniego Sato, ale trudno było dokładnie określić wiek. Siwiejące włosy przypominały zeschnięte liście. Miał nieskazitelnie przycięte wąsy, u dołu poślizgi od papierosowego dymu.

Ruszył w ich kierunku sztywnym, prawie lunatycznym krokiem, tak jakby nie w pełni panował nad swymi mięśniami. Gdy zbliżył się, Nicholas spostrzegł, że coś stało się z jego prawym okiem; powieka była półprzyknięta, nieruchoma, a błyszcząca wewnątrz gałka oczna pokryta bielmem niczym pęknięty agat.

— Panowie pozwolą, że przedstawię: pan Tanzan Nangi.

Jednooki mężczyzna uklonił się ceremonialnie, a Nicholas odwzajemnił ukłon.

Nangi ubrany był w ciemnoszary garnitur w delikatne prążki, śnieżnobiałą koszulę oraz gładki szary krawat. Nicholas rozszyfrował go natychmiast; reprezentował starą szkołę — konserwatywny i ostrożny wobec każdego zagranicznego biznesmena, może równie ostrożny jak Sahashi z MITI.

— Nangi-san jest prezesem Daimyo Development Bank — powiedział Sato.

Nic więcej nie musiał mówić. I Nicholas, i Tomkin wiedzieli, że prawie wszystkie wielobranżowe *keiretsu* w Japonii stawały się w końcu własnością jednego lub drugiego banku, ponieważ tam właśnie były wszystkie pieniądze; to zupełnie logiczne. Sato Petrochemicals należał do Daimyo Development Bank.

Panna Yoshida wniosła tacę z parującym porcelanowym dzbankiem i czterema kruchymi czarkami. Uklękła przy brzegu stołu i powoli zaczęła przyrządzać zieloną herbatę, używając do tego bambusowej packi.

Nicholas obserwował, z jaką wprawą, opanowaniem i gracją posługiwała się przyborami. Gdy wszyscy mężczyźni zostali obsłużeni, podniosła się i wyszła w milczeniu. Nawet przez moment nie spojrzała nikomu prosto w twarz.

Nicholas czuł na sobie spojrzenie Nangiiego. Wiedział, że jest poddawany surowej ocenie. Nie miał wątpliwości, że ten biurokrata wiedział o nim wszystko; nigdy nie przyszedłby na podobne spotkanie nie mając dokładnych informacji. Wiedział również, że jeżeli Nangi rzeczywiście był takim konserwatystą, na jakiego wyglądał, nie będzie darzył sympatią kogoś takiego jak on, Nicholas Linnear, na pół orientalny, na pół angielski. W oczach Nangiiego plasowałby się poniżej *gaijina*.

Razem, jak nakazywała tradycja, unieśli swe małe czarki, zbliżyli do ust zieloną piankę, wypili okazując zadowolenie. Nicholas z rozbawieniem dostrzegł, jak Tomkin skrzywił się lekko, czując jej bardzo gorzki smak.

— A teraz — rzekł Tomkin, niespodziewanie odstawiając swą czarkę i garbiąc się niczym futbolista przed linią obrony — przejdźmy do interesów.

Nangi, przypominający manekina, sztywnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i ostrożnie wyciągnął maleńkie platynowe pudełko. Otworzył je i dwoma szczupłymi, podobnymi do szczypiec palcami wyciągnął papierosa. Równie ostrożnie pstryknął starannie dobraną do papierośnicy zapalniczką, przypalając papierosa, zaciągnął się głęboko. Gdy odwrócił głowę, z jego szerokich nozdrzy wydobył się dym.

— *Softlee, softlee, catchee monkey* — wypowiadał te słowa tak, jakby językiem wyczuwał ich gorzki smak. — Czyż nie takiego właśnie określenia używają Brytyjczycy tu, na Dalekim Wschodzie, panie Linnear?

Nicholas, ukrywając wzburzenie, z błąkającym się na ustach dobrotliwym uśmiechem odparł:

— Sądzę, że niektórzy starzy koloniści mogli używać tego zapożyczonego chińskiego zwrotu.

— Sfałszowanego raczej — poprawił go Nangi.

Nicholas przystał na to skinieniem głowy; była to całkowita prawda.

— To było dawno temu, Nangi-san. Czasy się zmieniły i przyniosły ze sobą nowe, bardziej postępowe wartości.

— Doprawdy?

Nangi wypuścił kłęby dymu, wyraźnie zły, że nie miał na to przygotowanej odpowiedzi.

By przerwać starcie i skierować rozmowę na inny temat, Sato wkroczył do akcji.

— Panie Tomkin, pan i pan Linnear dopiero co przybyliście tutaj. Pan Greydon, wasz doradca prawny, oczekiwany jest jutro rano o godzinie jedenastej piętnaście. Może zatem ograniczymy się do uzgodnienia zarysu planowanej fuzji. Na omówienie szczegółów mamy wystarczająco dużo czasu.

— Wielkość udziałów, jakie przyznano Nippon Memory w tym kraju, jest zupełnie nie do zaakceptowania — wtrącił Nangi. Zgniół niedopałek swego papierosa i prawie natychmiast zapalił następnego. — Mamy tu do czynienia z próbą grabieży, grabieży czystej i łatwej.

— Zważywszy, że nowy mikroprocesor, który Sphynx wnosi do tego wspólnego przedsięwzięcia, stanowi rewelacyjne rozwiązanie — powiedział Nicholas, zanim Tomkin zdołał otworzyć usta — trudno sądzić, żeby proporcja pięćdziesiąt jeden do czterdziestu dziewięciu procent była ceną wysoką. Pomyślcie o...

— Jestem bankierem, panie Linnear — cięty głos Nangiego był tam samo zimny, jak jego nieruchome spojrzenie. — Wprawdzie nasza *keiretsu* posiada wiele różnego rodzaju *koncernów*, łącznie z trustami i firmami ubezpieczeniowymi, towarzystwami handlowymi i agencjami handlu nieruchomościami oraz grupą przedsiębiorstw Sato Petrochemicals, ale dwa czynniki są elementami łączącymi wszystkie inne. — Niedbale wypuścił dym z papierosa, pewny, że ponownie odzyskał kontrolę nad ich rozmową. — Pierwszy: wszystkie uzależnione są od pieniędzy, którymi obraca dla nich Daimyo Development Bank. Drugi: podstawą istnienia wszystkich jest

zdolność przynoszenia zysków; gdy ona istnieje, one również istnieją.

— Zdolność przynoszenia zysków jest dokładnie tym, co niesie ze sobą ta fuzja, Nangi-san.

— Nie daję nam kapitału, którym moglibyśmy od razu rozporządzać, a ja o mikroprocesorach komputerowych nie wiem nic — rzekł Nangi, jak gdyby zamykając temat.

— Żeby zrozumieć niebywałe znaczenie tego, co posiadamy — spokojnie rzekł Nicholas — istotne jest uzyskanie ogólnego wyobrażenia. Mikroprocesor pamięci komputera jest maleńkim plasterkiem krzemu, który — chcąc wyrazić się ściślej — składa się z mikroskopijnych ziarenek przechowujących bity informacji. Na przykład, najbardziej powszechnie stosowany mikroprocesor, 64K RAM, składa się z sześćdziesięciu czterech tysięcy ziarenek, które można zmieścić na końcu palca.

Nangi założył nogę na nogę, nadal paląc papierosa, jakby był na herbatce u przyjaciół. Nie rzekł ani słowa, a Nicholas ciągnął dalej:

— RAM to angielski skrót nazwy: pamięć o dostępie swobodnym. Te mikroprocesory wykorzystuje się najczęściej, ponieważ są bardzo szybkie, a prędkość w pracy komputera odgrywa istotną rolę. Kłopot z procesorami RAM polega na tym, że gdy odcięte zostaje ich zasilanie, tracą wszystkie zapamiętane informacje i trzeba je programować od początku.

Dlatego właśnie wynaleziono procesory ROM. Są całkowicie nieulotnymi mikroprocesorami pamięci stałej. Oznacza to, że ich bity są albo wypełnione, albo puste — przez cały czas, co oczywiście jest ich wadą. Aby je ponownie zaprogramować, trzeba je wyciągnąć z komputera.

Przez lata całe marzeniem techników komputerowych była nieulotna pamięć RAM: szybki, możliwy do programowania na poczekaniu mikroprocesor, który nie straci przechowywanych w nim informacji po odcięciu zasilania.

Nicholas popatrzył na wszystkich, zanim podjął ponownie; nikt nie wydawał się znudzony.

— Ostatnio w przemyśle częściowo rozwiązano ten problem. Zastosowano procesory EPROM lub inaczej: elektrycznie kasowalne, programowalne mikroprocesory pamięci stałej. Trudność polega na tym, że są one zbyt powolne, aby zastąpić w sercu komputera procesory RAM.

Xicor, jedna z konkurujących z nami firm, posunęła się nawet o krok dalej. Zaczynają łączyć pamięć RAM z pamięcią EPROM; pozwalając, by procesory RAM wykonywały wszystkie szybkie obliczenia. Następnie, tuż przed

wyłączeniem zasilania, zapamiętane informacje przeniesione zostają do pamięci EPROM. Lecz procesory te są nieelastyczne, drogie i wciąż nie potrafią wykonać pełnego zakresu działań. Ponadto systemy przechowywania danych na dyskach lub taśmach, przełączniki mechaniczne lub po prostu procesory RAM z zapasowymi bateriami wciąż wykonują wiele z tego, co potrafi ten podwójny mikroprocesor.

Nicholas złożył dłonie i skoncentrował się na bankierze:

— Innymi słowy, Nangi-san, wciąż umykająca badaczom nieulotna pamięć RAM, która na zawsze zmieni oblicze przemysłu komputerowego, ciągle nie była dostępna w zastosowaniu. Aż do teraz. — Czy mu zapłonęły. — Sphynx ją posiada. Ludzie pana Sato sprawdzili wiarygodność wyników badań. Nie może być żadnych wątpliwości. Mamy ją i oferujemy wam na zasadach wyłączności. — Wzruszył ramionami w pełnym rezygnacji geście. — Naturalnie, tak monumentalne odkrycie nie może długo pozostać naszą wyłączną własnością. Z pewnością pojawią się imitacje. Lecz w tym czasie Sphynx-Sato uzyska na starcie przewagę istotną dla opanowania rynku. Nasze wytwórnie będą już wtedy pracować na pełnych obrotach, realizując zamówienia, podczas gdy pozostałe *koncerny* wciąż jeszcze będą się zmagać, rozpracowując elektronikę.

— Oto pańska podstawa zdolności przynoszenia zysków — rzekł Tomkin. — W ciągu dwóch lat należy spodziewać się łącznego zysku netto wielkości stu pięćdziesięciu milionów dolarów. To odpowiada...

— Trzydziestu sześciu miliardom sześciuset sześćdziesięciu tysiącom jenów — wtrącił Nangi tonem wyniosłego profesora stojącego w obliczu krzykliwych, lecz czujących swą niższość uczniów. — Niech pan nie próbuje mnie pouczać, panie Tomkin. To wszystko jest kwestią przyszłości. To są pańskie dane, nie nasze. Ich astronomiczna wielkość jest problematyczna.

Tomkin miał najwyraźniej dość.

— Niech pan teraz posłucha, panie Sato — rzekł, rozmyślnie ignorując bankiera. — Przybyłem tu w dobrej wierze, sądząc, że mamy dopracować szczegóły umowy. Jestem przygotowany na rozwiązanie pojawiających się problemów; są częścią wszystkich przedsięwzięć. — Wykonał nieokreślony gest. — Ale nie na tego typu nonsensy. Słyszę tu takie stwierdzenia, jak na posiedzeniu MITI.

— Nangi-san był w MITI wiceministrem — odparł Sato z szyderczym uśmiechem — gdy przed siedmioma laty, jako *ronin*, pomógł utworzyć Dai-imo Bank oraz, prawie natychmiast potem, Sato Petrochemicals.

— Nie jestem tym zaskoczony — rzekł rozwścieczony Tomkin. — Może mu pan jednak powiedzieć, że nie chodzi tutaj o sytuację, w której szatan z zagranicy próbuje naruszyć równowagę japońskiej gospodarki. Każdy z nas ma coś, czego drugi chce... i potrzebuje. Ja mam towary, a pan wszystko, co niezbędne, aby wyprodukować je po właściwej cenie. Z korzyścią dla wszystkich. — Nagle przerzucił spojrzenie na dziwną, przypominającą maskę, twarz bankiera. — Czy rozumie pan, Nangi-san?

— Rozumiem dość dobrze, że przybywa pan tu, chcąc otrzymać okazały kawałek posiadłości naszej *keiretsu* w Misawie, terenu, który przeznaczaliśmy już pod rozbudowę firmy Niwa Mineral Mining. Ziemia jest tutaj w cenie, cenie niewyobrażalnej dla kogoś takiego jak pan, kto niczym hedonista rozpiera się w swojej wielohektarowej posiadłości z basenami, stajnikami i domami dla służby.

Prosi pan nas, abyśmy z tego właśnie rezygnowali; zawsze oczekujecie od nas rezygnacji właśnie z tego. — Oczy mu lśniły surowym blaskiem obsydianu. — W zamian za co? Za technologię przyszłości. Ale pytam pana wprost, czy ta „nowa technologia” złagodzi olbrzymi problem braku terenów? Czy uczyni Japonię bardziej niezależną od bogatych w paliwa narodów, które chcą nas wykrwawić? Czy uwolni nas od niegodziwego zobowiązania wobec Stanów Zjednoczonych, że będziemy przeszkodą dla rozprzestrzenienia się komunizmu na Dalekim Wschodzie?

Wyprostował się jeszcze bardziej, jak zmija gotowa, by zaatakować.

— Czasy rzeczywiście się zmieniły, jak sam pan zresztą zauważył. Nie jesteśmy już pokonanym przez was wrogiem, zmuszonym do ślepego akceptowania waszych żądań.

— Niech pan posłucha — rzekł Tomkin. — Przywożę wam klucz do fortuny, a pan prawi mi reakcyjne kazania. — Krótkim palcem wskazującym dotknął własnej piersi. — Jestem apolityczny, rozumie pan? Jestem człowiekiem interesu, to wszystko. Jeżeli chce pan dalej ciągnąć ten wątek, będę musiał pomyśleć, czy nie udać się gdzie indziej. Na przykład do Mitsubishi lub do Toshiba.

— Musi pan spróbować zrozumieć — spokojnie powiedział Sato — że, ze względu na naszą historię, jesteśmy w trudnym położeniu. Japonia nie ma prawie przestrzeni oraz, mhm, swobody ruchów — w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych. Dlatego mamy zupełnie inne podejście do przedsiębiorstw zagranicznych, które chcą zdobyć plasterki japońskiego placka.

— Ale w tym właśnie rzecz — odparł gniewnie Tomkin. — Nie interesuje mnie Japonia. W ubiegłym roku trzy wielkie amerykańskie kompanie

komputerowe sprzedały do Japonii zaledwie dwa z sześćdziesięciu pięciu produkowanych systemów. Rynek światowy jest tym, o czym myślę. Wy powinniście myśleć również. Tak bardzo jesteście zajęci budową tego, co nazywacie „zabezpieczeniem” dla waszego biznesu, że wszyscy macie poważnie ograniczone pole widzenia.

Te tak zwane zabezpieczenia są niczym więcej niż barierami dla handlu międzynarodowego — zaczynał właśnie wpadać w rytm. — Myślę, że czas najwyższy, aby Japończycy już wydorośleli i przyznali się do swojej odpowiedzialności jednego z narodów świata.

Nangi wydawał się spokojny.

— Gdyby, jak pan mówi, te zabezpieczenia zostały w pośpiechu zniesione, miałyby to katastrofalny skutek dla japońskiej gospodarki. Lecz niezależnie od tego, całkowite wpływy z amerykańskiego eksportu do tego kraju wzrosłyby nie więcej niż — mhm — o osiemset milionów dolarów. Nawet pan, panie Tomkin, widzi, że byłaby to zaledwie kropla w morzu; nie rozwiązałoby to problemu ogromnego deficytu handlowego waszego kraju.

— Myślę, że lepiej będzie, panowie, jak zmańdrzejecie — rzekł Tomkin, a jego twarz zaczęła robić się czerwona. — Wasza reakcyjna, wyspiarska polityka handlowa zaczyna was izolować od reszty świata. Za bardzo jesteście uzależnieni od obcych źródeł energii, aby na to pozwolić. Przestańcie zalewać nasz rynek swoimi produktami, przeszkadzając jednocześnie w sprzedaży naszych wyrobów tutaj, bo możecie stać się dobrze prosperującymi sierotami na arenie międzynarodowej.

— Dlaczego Japończycy muszą być bezustannie karceni za wytwarzanie lepszych produktów? Nie zmuszamy waszych amerykańskich nabywców; nikt nie kazał im kupować japońskich wyrobów. Prostem i smutnym dla was faktem jest, że wytwarzamy lepiej i znacznie taniej. Amerykanie bardziej ufają naszej wiedzy i doświadczeniu niż udoskonaleniom swoich własnych przedsiębiorstw.

Tomkin nie myślał teraz kończyć swej wypowiedzi.

— Sato Petrochemicals nie należy obecnie do jednej z sześciu głównych japońskich firm komputerowych. Rozumiem, że poszukujecie wejścia do tego zaczarowanego kręgu.

Pamięć nieulotna RAM firmy Sphynx jest waszym kluczem. Moje źródła podają, że MITI zleciło projekt, którego ukończenie ma nastąpić do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku: projekt maszyny zdolnej wykonać dziesięć miliardów operacji w ciągu sekundy, co uczyniłoby ją urządzeniem sto razy szybszym od najnowocześniejszego superkomputera, który firma

Cray Research wprowadziła obecnie na rynek. MITI przeznaczyło na ten projekt dwieście milionów dolarów rocznie. — Przerwał.

Zaden z Japończyków nie uczynił ruchu. Tomkin wiedział, że zdobył nad nimi przewagę.

— Co więcej, wiemy o następnym, finansowanym przez ministerstwo projekcie — budowy superkomputera zdolnego rozumieć ludzką mowę. Byłby on niesłychanie łatwy w użyciu. — Splótł palce. — A teraz przejdźmy do sedna sprawy, to znaczy do tego, że nasza nieulotna pamięć RAM dałaby panu Sato przewagę w odniesieniu do tych projektów. MITI byłoby zmuszone do zwrócenia się o pańską pomoc, a to oznacza, że wielka szóstka stałaby się wielką siódmką. — Przeniósł spojrzenie z jednej obcej twarzy na drugą; jedna zimna, na drugiej odrażająca mina. „Są tylko biznesmenami — pomyślał — niczym więcej”. Nangi nie powiedział ani słowa, co zdaniem Tomkina stanowiło gigantyczny krok naprzód.

— Propozycji i kontrpropozycji nie wolno składać w pośpiechu — rzekł Sato. — Wojnę przegrywa się często z powodu impulsywności nieumiarkowanego charakteru. Jak mądrze mówi nam Sun Tzu: „Cios sokoła rozszarpuje ciało zdobywcy, ponieważ trafia we właściwym momencie”.

Wstał i uklonił się. Nicholas i Tomkin podnieśli się automatycznie. Nangi uniósł się niezgrabnie, zataczając się lekko.

— Na spotkaniu jutro po południu — ciągnął Sato — omówimy te sprawy w obecności naszych współników oraz doradcy prawnego, którzy wesprą nas swoją mądrością. Tymczasem mam nadzieję, że znajdą panowie czas, aby nacieszyć się Tokio.

Mruknęli potakująco, a Sato powiedział: — Dobrze. Mój samochód będzie w „Okurze” jutro o drugiej po południu i przywiezie was tutaj, panowie.

Znowu uklonił się ceremonialnie. Nangi uczynił to samo.

— Do jutra, panowie. Życzę spokojnego wieczoru — rzekł, po czym wprowadził Nangiego z pokoju, zanim mogło paść następne słowo.

Ten cholerny sukinsyn Nangi! Dlaczego moi ludzie nie wspomnieli mi o nim?

Tomkin wędrował po pokoju. Tam i z powrotem. Nicholas obserwował go.

— Ten pocisk, którym nas poczęstował mówiąc, że był ministrem w MITI. Chryste! Czy myślisz, że faktycznie zablokuje naszą fuzję?

Nicholas zignorował wzburzenie szefa. Tomkin znalazł odpowiedź na swoje własne pytanie.

— Wiem, że na pewno spróbuje powiększyć ich procentowy udział.

Nicholas podniósł z sekretarzyka dużą, jasnożółtą, kwadratową kopertę. Uderzał paznokciem po jej sztywnym rogu.

— Prześtań się bawić i powiedz mi, co o tym sądzisz, do cholery.

Nicholas uniósł wzrok.

— Cierpliwości, Tomkin — rzekł łagodnym tonem. — Powiedziałem ci na początku, że doprowadzenie do tej fuzji wymagać będzie cierpliwości — być może większej niż ta, którą masz.

— Bzdura! — Tomkin podszedł do miejsca, w którym stał Nicholas. Zmrużył oczy. — Twierdzisz, że mnie podpuszczają?

Nicholas skinął głową.

— Przynajmniej próbują. Japończycy nigdy nie są otwarci w negocjacjach. Do ostatniej chwili nie będą zgadzać się na warunki, ponieważ wyczekują, żeby zobaczyć, co się jeszcze wydarzy. Dziewięć razy na dziesięć — tak sądzą — stanie się coś, co przyniesie im korzyść. Więc do tego czasu będą robić wszystko, co w ich mocy, aby nas wyprowadzić z równowagi.

— Tak jak Nangi — wtrącił zamyślony Tomkin.

— Wprowadź lisa do klatki z kurami...

— I zobacz, co z tego wyniknie. — Nicholas ponownie skinął głową.

— Właśnie. Sądzi, że być może takie starcie odśloni twoje prawdziwe pragnienie zawarcia umowy i mogliby jutro lub w poniedziałek negocjować korzystniejsze warunki. — Uderzył kopertą o palec. — Japończycy wiedzieli, że podczas rozmów nie ukazujesz swego prawdziwego oblicza. Aby poradzić sobie z tobą, muszą cię poznać. Nazywają to „ruchem cienia”. Wiedzę tę zaczerpnęli z podręcznika strategii, którego autorem jest Miyamoto Musashi. Napisał go w roku tysiąc sześćset czterdziestym piątym, lecz wszyscy japońscy biznesmeni stosują jego zasady w swoich interesach.

— „Ruch cienia” — rzekł pogrążony w myślach Tomkin. — Cóż to takie-go?

— Kiedy nie możesz poznać prawdziwego charakteru twojego przeciwnika, przeprowadzasz szybki pozorowany atak. Zgodnie z tym, co pisze Musashi, przeciwnik przyjmie postawę bojową — dziś możemy to tłumaczyć jako „podejście do negocjacji” — myśląc, że poznał twój charakter. Lecz ty nie pokazałeś mu niczego, co miałyby jakkolwiek wartość, on natomiast odślonił przed tobą swą prawdziwą strategię.

— I to właśnie miało miejsce parę minut temu z Sato i Nangim?

Nicholas wzruszył ramionami.

— Zależy od tego, jak dużo zdołali z ciebie wydobyć.

Tomkin dotknął końcami palców skroni.

— No cóż, nie ma to najmniejszego znaczenia — odparł lekko zdyszany głosem. — Mam ciebie, Nick, i razem wciśniemy tych sukinsynów do pudła, które dla nich przygotowałem. Ze strategią Musashiego lub bez niej.

— Tak jak różnicę w wielkości zysku? — sardonicznie zapytał Nicholas. — Powiedziałeś mi, że udziały Sphynxa dojdą do stu milionów, lecz dane, które podałeś Sato, wskazują, iż Sphynx i *kobun* Sato podzielą między siebie sto pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt milionów więcej czy mniej, cóż to jest? — odparł Tomkin dość mocno masując skroń. — Przekłeta migrena — dodał z grymasem na twarzy i znużonym wzrokiem spojrzął na Nicholasa. — Mój lekarz twierdzi, że to tylko produkt świata, w którym żyję. — Posłał pełen żalu uśmiech. — Wiesz, co mi przepisał? Bezustanne wakacje w Palm Springs. Chce, żebym gnił nad brzegiem basenu jak reszta tych zarobaczywionych palm. — Skrzywił się z bólu. — Ale on powinien się na tym znać. Píše książkę zatytułowaną „Piętnaście sposobów na uwolnienie się od migreny”. Sądzi, że będzie bestsellerem. „Wszyscy dzisiaj miewają migreny — mawia. — Boże, pobłogosław ludzkie stresy”.

Tomkin podszedł i siadł na brzegu pluszowej sofy. Otworzył stojącą tuż za nią małą lodówkę, nalał sobie drinka.

— Co tam masz?

— To zaproszenie dostarczone przez posłańca.

Tomkin odstawił drinka.

— Zobaczmy. — Otworzył kopertę, wyciągnął sztywną, zapisaną kartę. — To w tych cholernych *kanji* — rzekł gniewnie, podsuwając ją z powrotem Nicholasowi. — Co tam jest napisane?

— Wygląda na to, że ty i ja jesteśmy zaproszeni na wesele Sato. W sobotę.

Tomkin chrząknął i jednym haustem opróżnił resztę zawartości swojej szklanki.

— Chryste — mruknął — tylko tego nam teraz brakowało. — Uniósł wzrok, nalewając sobie następnego drinka. — Nie masz ochoty?

Nicholas potrząsnął głową i Tomkin wzruszył ramionami.

— Próbuję tylko przygotować twoją wątrobę. Te sukinsyny piją swoją suntory scotch, jakby to była woda. Wychodzisz z nimi wieczorem, więc lepiej się przygotuj na gwałtowny atak.

— Tym bym się nie martwił — odparł Nicholas zimnym tonem. — Dobrze znam ich przyzwyczajenia.

— Oczywiście, oczywiście, ja tylko staram się być życzliwy. Dobrze sobie radziłeś na polu bitwy z tymi dwoma żartownisiami. — Uczył gest trzymaną w dłoni szklanką. — Rozmawiałeś już z Justine?

— Nie — Nicholas potrząsnął głową — ona nie chciała wcale, abym wybrał się w tę podróż.

— Cóż, to naturalne. Jestem pewien, że tęskni za tobą.

Nicholas obserwował, jak Tomkin wypija swoją drugą szkocką z lodem, i zastanawiał się, czy jest ona antidotum na jego migrenę.

— To jest coś więcej niż tęsknota — odparł powoli. — Gdy Saigo się do niej dobrał, zastosował na niej *saiminjutsu*, sztukę mało znaną nawet pośród *ninja*.

— Rodzaj hipnozy, czy tak?

— W pewnym sensie, w zachodnim rozumieniu. Lecz to znacznie przekroczyło granice hipnozy. — Siadł obok Tomkina. — Justine próbowała mnie zabić. Była to hipnotyczna sugestia, którą zaszczerpił w niej Saigo. — Potrząsnął głową. — Moja kuracja zniszczyła zakłęcie *saiminjutsu*, ale głębokich wyrzutów sumienia, które odczuwa... nie byłem w stanie wymazać.

— Czyni sobie wyrzuty? Przecież to nie jej wina!

— Ileż razy ją zapewniałem o tym.

Tomkin bezustannie grzechotał resztkami kostek lodu w swojej szklance.

— Jest twardą dziewczyną. Wierz mi, wiem o tym. Dojdzie do siebie.

Nicholas myślał o tym, jak źle przyjęła jego postanowienie pracy dla Tomkina. Gorycz Justine z powodu tego, co uważała za ojcowską manipulację swoim życiem, była dla Nicka zrozumiała. Czuł, że byli dwojgiem ludzi niezdolnych porozumieć się ze sobą. Raphael oczekiwał od córki pewnych ustępstw, a nie znajdując ich, reagował w typowy dla siebie, arogancki sposób. Justine nie potrafiła mu po prostu przebaczyć różnych ingerencji w jej życie.

Tomkin niejednokrotnie używał gróźb lub przekupstwa, aby zniechęcić kolejnych przyjaciół córki.

— Mój ojciec jest mistrzem manipulacji, Nick — powtarzała mu bezustannie. — Jest pozbawionym serca i sumienia łajdakiem. Nigdy nie troszczył się o nikogo oprócz siebie. Nie troszczył się o mnie, z pewnością też nie o Geldę, nawet nie o moją matkę.

Jednak Nicholas wiedział, iż Justine nie dostrzega tego, że wszyscy mężczyźni, którzy się jej podobali, byli większymi manipulatorami, niż był

kiedykolwiek jej ojciec. Nic dziwnego, że Tomkin był do niego tak wrogo usposobiony, gdy spotkali się po raz pierwszy. Zakładał naturalnie, że Nicholas był następnym z długiej kolejki szukających sposobności, aby wykozystać jego córkę.

W żaden sposób nie można było sprawić, by Justine zrozumiała, że to właśnie miłość do niej nakazywała mu ingerować w sferę, nad którą nie potrafiła właściwie zapanować. Nie uwalniało to Tomkina od winy, lecz wydawało się dla obojga realnym punktem wyjścia na wspólnej drodze do — być może — wzajemnego zrozumienia.

Po tyradzie, którą poprzedziło ogłoszenie przez Nicholasa zamiaru podjęcia pracy dla Tomkin Industries, nadeszły, oby tylko chwilowo, dni przykrego milczenia; Justine nie chciała więcej o tym rozmawiać. Jednak w dniach poprzedzających podróż wydawało mu się, że odrobinę złagodniała i lepiej odbierała jego decyzję.

— W końcu — powiedziała żegnając go przed odlotem — to tylko na pewien czas, prawda?

— Słucham? — spytał teraz, spychając swój niepokój o Justine w mroczne zakamarki świadomości.

— Pytałem, z kim żeni się Sato? — odparł Tomkin.

Nicholas spojrział na zaproszenie.

— Z kobietą o nazwisku Akiko Ofuda. Czy wiesz coś o niej? — Tomkin potrząsnął głową. — Jest najnowszym, głównym tematem w życiu twojego przyszelego współnika — z powagą stwierdził Nicholas. — Sądzę, że czas już, abyś pomyślał o wynajęciu nowego zespołu informatorów.

Tanzan Nangi z ogromnym trudem wykonał pełny obrót ciałem. Za jego plecami pokryte śniegiem zbocza Fuji szybko znikwały w rozległej złotej mgłę o konsystencji biskwitu. Tokio huczało u jej stóp niczym gigantyczny automat do gry w *pachinko*.

— On mi się nie podoba — odezwał się głosem, który brzmiał jak skrzywienie kredy po tablicy.

— Tomkin?

— Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. — Nangi uniósł brew, wyciągając papierosa z papierośnicy.

Sato posłał mu życzliwy uśmiech.

— To oczywiście, że ci się nie podoba, mój przyjacielu. Czy to nie dlatego wyznałyś pannę Yoshidę — k o b i e t ę — aby ich powitała na lotnisku? Powiedz mi, którego ze współpracujących z nami japońskich biznesmenów

znieważylbyś w taki sposób? Żadnego, wiem to na pewno! Nie apróbujesz nawet zakresu obowiązków, które jej przydzieliłem, ponieważ są, jak powiadasz, domeną mężczyzn, a nie tradycyjnym zwyczajem.

— Zawsze kierowałeś tym *kobunem* tak, jak ci było wygodniej. Jak dobrze wiesz, niczego ci nie zazdrozczę. Ale jeżeli chodzi o tych *iteki*, nie widziałem najmniejszego powodu, dla którego powinniśmy tracić cenny czas pracy, przydzielając im, dla ich wygody, wyższego rangą pracownika.

— Och, tak — rzekł Sato. — Tomkin jest *gaijinem*, a Nicholas Linnear jest dla ciebie kimś daleko gorszym. Jest tylko pół-Azjata. A poza tym nigdy nie zostało do końca wyjaśnione, ile japońskiej krwi płynie w tej połowie.

— Czy chcesz powiedzieć, że jestem rasistą? — spytał Nangi wypuszczając dym.

— Bynajmniej. — Sato rozparł się w fotelu. — Tylko patriotą. — Wzruszył ramionami. — Lecz cóż znaczy dla nas pochodzenie Czeong Linnear?

— To potencjalny punkt oparcia. — Dziwaczne skośne oczy zapłonęły poślepym światłem. — Będziemy potrzebowali wszelkiej broni dostępnej w naszym arsenale, aby sprowadzić na ziemię tych zuchwałych *iteki* — tych barbarzyńców, którzy więcej myślą o tym, ile ryżu mogą zeżreć, niż o nas. — Ramionami Nangiego wstrząsały niespodziewane dreszcze, jak gdyby były niezależne od jego woli. — Myślisz, że fakt, iż jego ojcem był pułkownik Linnear, białoskóry zbawca Japonii, ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? — Skrzywił z pogardą twarz. — Powiedz mi, Seiichi, jakim cudem *iteki* mogłyby coś dla nas czuć?

— Usiądź, stary druhu — powiedział łagodnie Sato, odwracając wzrok od starszego mężczyzny, aby ten mógł zachować twarz. — Wyrządziłeś już wystarczająco dużo szkód.

Nangi nie odpowiedział. Krocząc niezgrabnie, zdołał usiąść bokiem do Sato; plecy miał sztywne, wyprostowane, chudymi pośladkami dotykał samej krawędzi fotela.

Sato wiedział, że Nangi miał szczęście, iż przeżył. Lecz, rzecz jasna, szczęście jest pojęciem względnym i jego myśli nigdy nie przestały krążyć wokół tej bolesnej tajemnicy, nawet teraz, po trzydziestu ośmiu latach. Czy ten człowiek ze sztucznym płucem sądził, że życie warte jest zachodu? Sato miał czasem ochotę wkraść się do myśli przyjaciela na chwilę, potrzebną, aby poznać rozwiązanie tej zagadki. W takich przypadkach ogarniał go wstyd dokładnie tego samego rodzaju, jaki czuł wtedy, gdy jego starszy brat

Gotaro znalazł go w stanie seksualnego podniecenia, przeglądającego książkę ojca z *shunga* — erotycznymi rycinami.

Mówiło się często, że w Japonii nie ma spraw intymnych. Gęste zaludnienie istniejące od stuleci, materiały budowlane — woskowany papier i drewno — używane ze względu na możliwość szybkiej odbudowy po nękających wyspy trzęsieniach ziemi oraz sezonowych tajfunach — te czynniki w znacznej mierze sposób pokierowały rozwojem japońskiego społeczeństwa.

Ponieważ prawdziwa intymność, tak jak rozumie ją człowiek Zachodu, jest fizycznie niemożliwa, Japończycy wykształcili rodzaj wewnętrznej intymności; przejawia się ona wielowarstwową ceremonialnością i grzecznością, z czym żyje każdy człowiek, ponieważ stanowi to jego jedyne schronienie przed wdzierającym się wszędzie chaosem.

Właśnie dlatego myśl o wkroczeniu do czyjegoś umysłu, zwłaszcza do umysłu tak bliskiego mu przyjaciela, sprawiła, że Sato aż spocił się ze wstydu. Aby ukryć swoje ogromne zażenowanie, wertował teraz teczkę, w której zgromadzone były informacje na temat firmy Tomkin Industries.

— Jeżeli zaś chodzi o Tomkina, to nie powinniśmy go nie doceniać, Nangi-san — rzekł.

Nangi uniósł wzrok, ponieważ w głosie młodszego mężczyzny usłyszał ton znużenia.

— Czyżby?

— Jego zawadiacki i barbarzyński styl bycia nie może przesłonić faktu, że ma przenikliwy umysł. Trafił w sedno, gdy mówił, iż za bardzo jesteśmy uzależnieni od obcych źródeł energii, aby pozwolić sobie na odizolowanie od reszty świata.

— To tylko pchnięcie na oślep. Ten człowiek to zwykle zwierzę, nic więcej — zachnął się Nangi.

Sato westchnął głęboko.

— Jednak ma zupełną rację. Po cóż więc byśmy tak długo i ciężko pracowali nad *Tenchi*? To jest rzecz, która w niebezpiecznym stopniu pochłania nasze zasoby finansowe; najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie, jakie Japonia podjęła od czasów inwazji na Pearl Harbour. Z wielu powodów jest bardziej decydujące dla przyszłości kraju niż ostatnia wojna. Z tamtej porażki potrafiliśmy się otrząsnąć. — Sato potrząsnął głową. — Lecz gdyby *Tenchi* nie powiódł się lub gdyby — niech Budda broni! — został odkryty, to boję się, że z naszych ukochanych wysp pozostałby jedynie atomowy popiół.

Tsutsumu nie żyje, Kusunoki również. — Głos był bezbarwny i zimny. Równie dobrze mógłby przekazywać informację „Oto dziesięć funtów ryżu”.

— Zginął przed nim czy po nim? — W przeciwieństwie do tamtego ten głos był mocny, z silnym, obcym akcentem. — Tylko to ma znaczenie.

— Przed nim.

Padło stłumione przekleństwo, którego pierwszy człowiek nie mógł zrozumieć.

— Jesteś pewny? Absolutnie pewny?

— Byłem na tyle sumienny, że przeprowadziłem badanie odbytu. Nie miał nic na sobie. — Nastąpiła krótka przerwa. — Czy życzysz sobie, żebym odszedł? — Głos nadal był obojętny, jakby wyprany z wszelkich uczuć.

— Oczywiście, że nie. Zostań dokładnie tam, gdzie jesteś. Każdy nagły ruch z twojej strony mógłby wywołać podejrzenia, a tych ludzi nie należy nie doceniać. Są fanatykami; wyjątkowo niebezpiecznymi fanatykami.

— Tak... wiem.

— Znasz rozkazy; ich się trzymaj. Co najmniej przez następnych parę dni w *dojo* będzie panować zamieszanie. Nawet oni potrzebują czasu, aby dojść do siebie. Nie wybrali jeszcze następcy Kusunokiego, prawda?

— Odbywają się spotkania, w które nie jestem wtajemniczony. Niczego do tej pory nie ogłaszano. Ale w całym *dojo* panuje ogromne napięcie.

— Dobrze. Nadszedł czas, by rozpocząć śledztwo. Trzeba dostać się tak blisko, jak będzie to możliwe. Potem uderzyć, korzystając z tego zamieszania; w takiej atmosferze nasze posunięcia taktyczne będą skuteczniejsze.

— Śmierć Kusunokiego zamieniła ich w panikarzy; dostrzegają wrogów nawet w ruszających się cieniach.

— Bądź więc szczególnie zuchwały.

— Niebezpieczeństwo wzrosło.

— Czy zmniejszyło się przez to twoje poświęcenie sprawom ojczyzny?

— Nie poniecham naszej sprawy, wiesz o tym.

— To dobrze. W takim razie nasza rozmowa dobiegła końca.

Na blacie podniszczonego biurka zapaliło się blade drgające światło; jarzyło się zimnym blaskiem. Stara wygięta lampa koloru khaki była okropna będąc nową, a teraz wyglądała jeszcze gorzej.

To nierówne, bladopurpurowe oświetlenie ukazało twarz nie mniej zwyczajną niż twarz księgowego bądź profesora. Czarne oczy nad wystającymi słowiańskimi kośćmi policzkowymi były wprawdzie przenikliwie inteligentne, lecz rzadkie kępki włosów, plamy wątrobowe na wysoko sklepionym czole i dość słabo zarysowany podbródek składały się na obraz dobrotliwego, niegodnego uwagi człowieka. Nic nie mogło być bardziej mylące.

Odsunął szczerpłą dłoń od telefonu; w głowie rozpoczęła się już gonitwa myśli. Nie podobało mu się nagłe zamordowanie starego mistrza, dobrze znał potęgę Kusunokiego i zdumiony był faktem, że *sensei* w ogóle został pokonany. Mimo to nauczono go wykorzystywać wszelkie nieprzewidziane okoliczności, a uderzenie w sposób błyskawiczny i pewny w okresach zamiętu było normalnym tokiem postępowania.

W przeciwieństwie do swych braci zakonnych lubił pracować z miejscowymi ludźmi. Wprawdzie nigdy by nie zaproponował żadnemu z nich poślubienia własnej córki — gdyby ją miał — mógł jednak podziwiać ich wiedzę fachową i doświadczenie, zawzięty upór oraz, nade wszystko, ich wściekły fanatyzm. To go fascynowało; było również jego tajną bronią wymierzoną przeciwko zamachom politycznym w rodzinnych stronach.

Chociaż miał ugruntowaną pozycję wśród wszystkich zakonnych braci i czuł się bezpiecznie — po prostu dlatego, że karmił ich stałą dawką strachu i tajemnic, dwoma składnikami, które nigdy nie zawiodły w przyciągnięciu ich uwagi — wciąż dobrym posunięciem było stałe tasowanie kart, pozostawianie otwartych furtek, znajdowanie słabych punktów w osobistym życiu zwierzchników, które mogłyby obnażyć ich przeszłość. Była to lekcja, którą dobrze opanował.

Odwrócił się od telefonu i włączył przenośny terminal komputerowy, wyposażony w potężną pamięć 512K. Ponownie sprawdzał niezliczone zmienne losowe, które wrzucił do programu wyjściowego. Komputer bezustannie pracował.

W pokoju rozległo się ciche chrząknięcie wyrażające zadowolenie. Podniósł się z wysiłkiem i ciężkim krokiem podszedł do drzwi, grubych i niedostępnych niczym w podziemiach banku. Wybierając kombinację cyfr otworzył je i wy dostał się na zewnątrz.

Nicholas zostawił za sobą oślepiający blask bijący od olbrzymiego hotelu, miasta w mieście. Nieskazitelnie czystą, cichą koleją podziemną pojechał do dystryktu Asakusa. Tłum rozpychających się pasażerów o twarzach bez

wyrazu, ubranych modnie, w europejskim stylu, różnił się wyraźnie od ludzi z wojennego pokolenia. Mimo to nie potrafił zapomnieć o zdarzeniach z dziewiątego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku: o zrzuconiu bomb zapalających na Tokio przez amerykańskie samoloty bojowe.

Ludzie w dystrykcie Asakusa szukali schronienia we wspianiałej, obdarzanej czią świątyni buddyjskiej bogini litości, Kannon. Zbudowana w siedemnastym stuleciu, uważana była za bezpieczną, ponieważ przetrwała wszystkie wielkie pożary Tokio oraz najtragiczniejsze trzęsienie ziemi z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. Lecz gdy setki ludzi stłoczyły się w jej wnętrzu, długie, sklepione w łuki drewniane belki, tak cudownie obrobione przez rzemieślników z legendarnej przeszłości, zajęły się ogniem. Dach skonstruowany z szarych wąskich desek, który przez setki lat był stałym elementem krajobrazu, runął do środka, przygniatając płonący już tłum. Na zewnątrz stare, majestatyczne drzewa morelowe w otaczających świątynię ogrodach zamieniły się w trzaskające pochodnie; snopy iskier tryskały łukiem w straszliwą purpurową poświatę, pędziły wzdłuż ulicznych ścieków niczym nienasycony grabieżcy.

Nicholas uświadomił sobie, że Asakusa, podobnie jak reszta miasta, nie nosiła żadnych śladów tych zdarzeń. Japończycy bardzo o to zadbali. W tej części centrum Tokio, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu miasta, wciąż panował etos wspianiałego okresu Edo.

Tłumy kłębiły się wokół wrót Kaminarimon, rzucając smugi cieni na ich wspianiałą, wysoką na dwa piętra, cynobrową fasadę. Gigantycznych rozmiarów lampion ze szkarłatnohebanowego papieru ryżowego zwisał pomiędzy dwoma drewnianymi posągami bogów wiatru i burzy, chroniących boginię Kannon, która — choć zawiodła swoich wyznawców w tyglu wojny — wciąż była czczona i kochana.

Chcąc ominąć rozbieganych Japończyków, Nicholas skierował się w wybrukowaną kamieniami Nakamise-dori, przechodząc obok sklepów ze słodyczami i pamiątkami.

Skręcił odruchowo w pobliską boczną ulicę i powolnym krokiem przechadzał się w zapadającym mroku. Zatrzymał się nagle przed frontem sklepu z napisem „Yonoya”. Wewnątrz sklepu szklane półki zastawione były grzebieniami wykonanymi z lekko oleistego bukszpanu.

Nicholas pamiętał, jak Yukio powoli, rytmicznie czesła włosy takim grzebieniem. Jakże miękkie, długie i błyszczące były jej warkocze, grube i lśniące. Kiedyś spytał, czy wszystkie Azjatki mają takie piękne włosy, a ona roześmiała się zażenowana, odpychając go od siebie.

— Tylko te, które stać na takie grzebienie — odparła, wciąż się śmiejąc. Pokazała mu przepięknie, ręcznie inkrustowany przedmiot. — Dotknij go — zaproponowała.

— Jest lepki — stwierdził bez namysłu.

— Ale jest gwarancja, że nigdy nie zapłacze się we włosy, Nicholasie — odpowiedziała śpiewnym głosem. — Ten bukszpan sprowadzany jest z samej Kyushu, południowej wyspy. Jest cięty i wyparzany, aby usunąć wszelkie skazy, a następnie suszony przez ponad tydzień nad płonącymi wiórkami bukszpanu. Potem jego kawałki wiąże się ze sobą, a wiązki wsuwa w bambusowe pierścienie; tak pozostawione schną przez lat trzydzieści. Daje to pewność, że wyschną całkowicie, zanim będą rzeźbione.

W sklepie w Asakusa, gdzie je kupuję, rzemieślnicy uczyli się przez dwadzieścia lat. Przez dziesięć lub dwanaście godzin siedzą nieruchomo. Jedynie ich zwinne dłonie się poruszają, nadając kształt grzebieniom.

Wtedy Nicholas był równie zafascynowany jak teraz. Nawet w przypadku tak zwyczajnego przedmiotu jak grzebień, pomyślał, wkładamy w jego wytworzenie tyle wyjątkowej troski i artyzmu. Czy człowiek Zachodu — jak i k o l w i e k człowiek Zachodu — mógłby to zrozumieć? Czy też raczej pomyślałby, że jesteśmy szaleni, poświęcając tyle czasu i ogromnego wysiłku tak małej i na pozór nieistotnej sprawie?

Odruchowo wszedł do sklepu i kupił grzebień dla Justine. Gdy czekał, aż sprzedawczyni na nowo nasaczy bukszpan olejem, starannie owinie w trzy oddzielne warstwy wysokogatunkowego papieru ryżowego, a następnie umieści w ręcznie polerowanym cedrowym pudełku, wodził wzrokiem po grzebieniach leżących w artystycznie urządzonej gablocie wystawowej. W każdym idealnie wyciętym narożu, w każdym misternie dopasowanym końcu zęba znowu widział stojącą przed lustrem Yukio, jej bladą dłoń wznoszącą się i opadającą niczym fale na rzece jej ciemnych włosów. Widział tę hebanową kaskadę rozświetloną na tle śnieżnobiałego kimona ze szkarłatną lamówką przypominającą krew.

Pochylił się do przodu i, kładąc dłonie na delikatnych ramionach, odwrócił ją, uniósł do góry. Rozległ się cichy szelest jedwabiu, delikatnego jak kwaśno-słodkie błękitnawe płatki wiśni płynące w powietrzu w połowie kwietnia, gdy wydawało się, że powrócili antyczni bogowie Japonii, wypełniając pachnące powietrze swą eteryczną obecnością.

Jej dotyk, jej widok i jej zapach łączyły się, by go sparaliżować, by znowu doświadczył głęboko utajonego lęku przed tym, co w nim wzbudzała — przed

siłą seksualnych doznań. Miał zaledwie osiemnaście lat, był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. Nie miał żadnych doświadczeń z kobietami, tym bardziej nie z tak władczymi jak Yukio.

Było tak, jakby rzuciła na Nicka czułe zakłęcie, i teraz jej dłoń uniosła się, aby pogłodzić jego policzki; zdrzął pod wpływem płomiennego impulsu, jaki wywołała w nim ta pieszczota.

Jak zwykle, gdy byli ze sobą, to ona musiała zrobić parę pierwszych kroków; końcami palców sunącymi po ciele ściągała z ramion brzegi kimona. Rozchyłało się z szelestem, odsłaniając jej piersi o twardych sutkach. Nicholas patrzył z zapartym tchem, a jego brzuch ścisnął bolesny skurcz.

Miękkie białe kimono zsuwało się z ramion Yukio; karmazynowa lamówka biegnąca wzdłuż jego brzegu drżała niczym płomień. Była teraz naga; światło obnażało ją jeszcze bardziej, pogrążając w głębokim cieniu miłosne zagłębienia na jej ciele, kryjąc i ukazując zarazem.

Nicholas czuł przepelniające go przerażenie, podczas gdy Yukio, niczym czarodziejka, poruszała się wyzwalając jego żądze, uzewnętrzniając jego trzymane na wodzy pożądanie. W takich chwilach nie potrafił jej niczego odmówić.

A jednak był w niej głęboko ukryty smutek, gdy sięgała dłonią między jego uda i delikatnie głaaskała.

— Czy to wszystko, o czym potrafisz myśleć? — pytał stłumionym głosem.

— To wszystko, co mam — z jękiem odpowiadała, kierując nim i jego młodym ciałem.

Powoli odzyskujący ostrość wzrok Nicholasa spoczął na pustym miejscu w gablocie wystawowej, gdzie jeszcze przed chwilą leżał grzebień kupiony w prezencie dla Justine. Wspomnienie Yukio zniknęło, tak jak zniknął z gabloty bukszpanowy grzebień.

Reflektory odbijały się silniejszym blaskiem w tym właśnie miejscu, potęgując pustkę i nicość. Zastanawiał się, co się stało z magicznym bukszpanowym grzebieniem Yukio. Czy Saigo cisnął go za nią do cieśniny Shimono-seki? Czy miała go, gdy uderzył ją pałką, ogłuszając i wiążąc przed długą podróżą łodzią wiosłową przez te uczęszczane wody? Czy też po prostu jakieś małe dziecko znalazło go wśród jej porzuconych rzeczy i nosiło dzisiaj?

Nicholas stwierdził, że oczy ma pełne łez. Mimo iż przyrzekł sobie solennie nigdy już nie powracać myślami do chwili, gdy jego diabelski kuzyn powiedział mu o śmierci Yukio, uczynił to jeszcze raz. Serce mu znowu pękało; w tej chwili odczuwał jej utratę równie dotkliwie jak przed rokiem. Być może była to rana, której czas nigdy nie zdoła wyleczyć.

Bez zastanowienia odebrał elegancko zawiniętą paczuszkę, podpisał rachunek kredytowy American Express. Wydawało się, że *kami* Yukio pojawił się u jego boku, oplótł ramionami i tak stojąc patrzył teraz razem z Nickiem na wystawę bukszanowych grzebieni.

I przez tę chwilę było tak, jakby śmierć wygnano ze świata żywych, jak gdyby nie istniała mroczna granica między życiem a śmiercią, jakby nieznane stawało się czymś znanym i akceptowanym. Czy może Yukio przekroczyła tę granicę, aby znowu żyć u jego boku?

Nicholas drgnął. Znowu był w sklepie sam. Sprzedawczyni przyglądała mu się ze zdziwieniem, niepewna, czy ma się uśmiechnąć, czy zmarszczyć brwi na widok szczególnego wyrazu malującego się na jego twarzy.

Był ponownie na Nakamise-dori. Powrócił w zaułki świątyni Sensoji, gdzie wciąż, tak jak sto lat temu, sprzedawano ryżowe sucharki oraz szylkretowe pałeczki. Pragnął pozostać w przeszłości, nadal się w niej pograżać. Nie chciał jeszcze puścić ostatnich, wzruszająco bolesnych nici swego pierzchającego snu. Przystanął przed ulicznym straganem, aby kupić ciastko. Przyrządzał je stary sprzedawca, wrzucając jajka i mąkę do wysmarowanej konfiturami foremki w kształcie lalczki. Następnie całość przypiekał na ruszcie. Jego ruchy były zręczne i oszczędne.

Lecz gdy Nick trzymał już w dłoni maleńkie ciastko, stwierdził, że nie ma ochoty na jedzenie, a zwłaszcza na słodczy. Przeszłość zostawiła w jego ustach smak popiołu. Myślał, że wraz ze śmiercią Saigo pozostałości jego dawnego życia wyschną i odpadną niczym delikatna, łuszcząca się skóra węża. Lecz po przyjeździe do Japonii spostrzegł, że tak nie jest. Nie mogło tak być. W życiu była pewna ciągłość, której istnieniu nie należało zaprzeczać. Jak mawiał często ojciec Nicholasa, pułkownik Linnear: „Jest to jedyna prawdziwa nauka wypływająca z historii i ci, którzy jej nie wezmą sobie do serca, zginą przez swą ignorancję”.

Przy wejściu do świątyni Sensoji dał niechciane jedzenie starcowi o plecach tak chudych i pochylonych jak pień młodego drzewa na wietrze. Starzec, w czarnym kapeluszu z naderwanym rondem i zachodnim odzieniu, podziękował skinieniem głowy, lecz nie uczynił żadnego wysiłku, aby się uśmiechnąć.

Kiedy Nicholas wszedł do środka, echa i szmery historii zdawały się wydobywać z mrocznego, przepelnionego zapachem kadzidła wnętrza z jego wysoko sklepionym sufitem i chłodną kamienną posadzką, aby mu jeszcze raz przypomnieć o wszystkim, czego nie śmiał puścić w niepamięć.

Gdy wyszedł ze świątyni, by ponownie wkroczyć w migotliwą noc *shita-machi* tokijskiego centrum, starzec wciąż tam stał. Jedną dłoń ułożył na grubej, miedzianej krawędzi ogromnego naczynia do palenia kadzidła.

Nicholas miał dość starej Japonii i splątanej sieci wspomnień, które przywoływała. Tęsknił do żywotności i oślepiającego blasku nowego Tokio, wzbijających się w powietrze brzydkich budynków, nowych tak, że lakier jeszcze nie wysechł w ich wysokich, podobnych do galerii korytarzach; tęsknił do krzątający młodych Japończyków, tak szykownych i pięknych w swoich marynarkach z poszerzonymi ramionami, luźnych bluzowatych koszulach i w spodniach o wysokiej talii.

Metro; w krótkiej podróży do Roppongi przejechał dziewięć przystanków linii Ginza i przesiadł się na linię Hibiya. Wyłonił się z wyjścia metra i poszedł na zachód, w kierunku Shibuya. Przeszkłoną windą wjechał na najwyższe piętro gmachu Ishibashi i wszedł przez opancerzone drzwi z napisem Jan Jan. Przez wychodzące na południowy wschód okna, sięgające od podłogi do sufitu, mógł dostrzec zalane światłem kamienne ściany radzieckiej ambasady...

Powietrze wibrowało perkusyjnymi rytmami muzyki rockowej: Yellow Magic Orchestra oraz angielskiej grupy Japan. Było już dobrze po północy, a miejsce to tętniło życiem. Dym papierosów zasnuwał błękitem blade ściany. Promienie punktowych światel umieszczonych na niezwykle wysokim, podzielonym akustycznymi przegrodami suficie znaczyły jasnymi cętkami sprężysty drewniany parkiet, padając niczym strzały prosto w dół, zamieniając go w marszczące się tygrysie futro.

Wokół centralnego parkietu wnosiły się trzy kondygnacje, na których ustawione były kłody z przezroczystego pleksiglasu oraz stoły bankietowe pokryte niebieskim, w świetle północy, welurem. Kelnerki szybko i sprawnie poruszały się wśród tłumu. Ruch, upał, miazdzące fale dźwięków. Elektryczne studium współczesnego życia.

Nicholas był pogrążony w myślach, gdy powoli przesuwiał się przez tłum podskakujących, pełnych energii gości. Błądził wzrokiem po młodych umalowanych twarzach; słyszał śmiech ludzi zaabsorbowanych własnymi odczuciami; obserwował zrecznie upięte, skrzydlate fryzury, ramiona splecione wokół bioder i pośladków, wirujące torsy, derwiszów nocy oczarowanych kombinacją muzycznego rytmu, upojenia alkoholem i, być może, nielegalnie zażywanych narkotykami oraz — nade wszystko — upajającym poczuciem wiecznej młodości. Nie było tu miejsca na pojęcie śmiertelności, a

nawet gdyby się pojawiło, nie zostałyby rozpoznane.

Przez moment Nicholas zastanawiał się, czego właściwie szukał. Następnie pomyślał o Justine i wiedział, że nie znajdzie tego tutaj.

Gdy Akiko Ofuda zobaczyła Nicholasa wchodzącego przez wysokie, pochodzące z okresu Edo portale klubu Jan Jan, odwróciła głowę, tak że częściowo przesłonił ją cień. Oszołomiona nagłym pojawieniem się Nicka usiłowała zrozumieć przyczynę. Czy coś wiedział? Czy mógł wiedzieć?

„Lecz nie — pomyślała uspokajająco. — To za wcześnie. Jego obecność musi być tylko zbiegiem okoliczności; igraszką bogów”. Wstała od stołu w drugim rzędzie, przy którym siedziała, i szła powolnym, zgrabnym krokiem, okrążając zalany strumieniami światła taneczny parkiet.

Cały czas nie traciła go z pola widzenia, obserwując ukradkiem, ostrożnie. Widziała kanciastą twarz o grubych rysach, nie mającą w sobie nic z klasycznego piękna. Była na to zbyt osobliwa i wyrazista. Wąskie, ukośne oczy, podobnie jak wystające kości policzkowe, zdradzały jego azjatyckie pochodzenie. Miał za to porządny, mocny anglosaski podbródek, równie zachodni jak jego ojciec.

Był czarnowłosy, szeroki w ramionach; miał wąskie biodra tancerza oraz grubo umięśnione nogi prawdziwego atlety.

Akiko poczuła, że tęskni za tym, aby obnażyć go i zachwycać się widokiem jego długich, mocnych mięśni. Lecz poza tym ciężko było określić, co w pierwszej chwili o nim myślała; tyle sprzecznych, walczących o pierwszeństwo uczuć kłębiło się w niej.

Jakże go nienawidziła! Siła tej nienawiści uderzyła ją na nowo. Fakt, że zobaczyła go tak nagle, tak niespodziewanie, wydobył na powierzchnię całą falę utajonych emocji, które tak długo w sobie tłumiała. Drżała z gniewu nawet wtedy, gdy oczy upajały się emanującą z niego siłą: sposób uniesienia głowy, kołyszący się, płynny krok, nieznaczące ruchy barków i ramion. Wszystko to mówiło o ogromnej, z trudem powstrzymywanej i groźnej mocy drzemiącej we wnętrzu tego człowieka.

Lecz gdy Akiko posuwała się naprzód dotrzymując mu kroku, poczuła, jak zaczyna ją ogarniać dziwne podniecenie, i pomyślała: „Cóż za niezwykłą *karmę* muszę posiadać, aby już na samym początku zdobyć nad nim dodatkową przewagę!” Serce biło mocno, podczas gdy oczy wpijały się weń; dostrzegała jego siłę, potęgę jego ducha. Lecz tęskniła do chwili, gdy Nick ją

zobaczy. Nieświadomie uniosła palce do policzka, delikatnie gładząc napiętą skórę. Intensywność tej tęsknoty przyprawiała ją niemal o zawrót głowy; część jej świadomości pragnęła przeciągać to uczucie tak długo, jak było to możliwe. Po tylu latach nie chciała, żeby koniec nastąpił tak szybko, zanim sama nie dokona wyboru.

O tak, sugestia, aby Sato zaprosił *gaijinów* na wesele, była przebłyskiem geniuszu.

— A zwłaszcza tego Linneara — wyszeptła mu do ucha pewnego późnego wieczoru. — Wszyscy znamy historię jego rodziny. Pomyśl, ile uznania przyniesie ci jego obecność na takiej uroczystości!

Tak, tak, Nicholasie, nuciła bezgłośnie, zbliżając się do niego, szybko nadejdzie chwila, gdy spojrzę ci prosto w oczy i zobaczę, jak twoja siła kruży się i rozwiewa niczym szary popiół na wietrze.

Czuła odurzenie, ucisk w gardle; mięśnie jej ud drżały w rytm kołatającego serca. Poczwała nieubłaganą chęć zbliżenia się do niego. Lecz użyła całej swojej wiedzy, aby powstrzymać się, by w jednej chwili ekstatycznej rozkośzy nie zniszczyć wszystkiego, nad czym tak długo pracowała.

Zboczyła z drogi, którą szedł. Idąc szybciej, ignorowała spojrzenia mijających osób — pożądanie w oczach mężczyzn, zazdrość w spojrzeniach kobiet; przyzwyczała się już do tego. Nadszedł czas, by odebrać Yoki; Sato powróci wkrótce do domu ze swych zmagañ.

Akiko kątem oka obserwowała Yoki, gdy pędziły przez centrum Tokio i znowu je opuszczały. Jest wspaniałym stworzeniem, pomyślała Akiko. Dobrze wybrałam. Znalazła Yoki parę tygodni temu i gdy już była pewna swego wyboru, ucięła sobie z nią rozmowę. Doprowadziło to do osobliwego — tak przynajmniej odbierała to Akiko — rodzaju przyjaźni. Jej granicą była noc, podczas której wylaniały się obie niczym nocne ptaki.

Akiko spytała kiedyś Yoki, czym się zajmuje podczas dnia.

— Ach, od czasu do czasu bywam sprzedawczynią — odpowiedziała. — Wiesz, sprzedaż domokrażna. Perfumy i kosmetyki. Poza tym oglądam telewizję. Nie tylko filmy, także programy, z których uczę się kaligrafii, układania kwiatów, a nawet ceremoniału parzenia herbaty.

W świecie, w którym dziewięćdziesiąt trzy procent ludności oglądało telewizję przynajmniej raz dziennie, nie było to, być może, zaskakujące. Mimo wszystko jednak zdeprymował Akiko fakt, że państwo obarczyło telewizję

obowiązkiem kształcenia swych obywateli. Ona sama nauczyła się ceremoniału od matki i pamiętała, jak obserwowała twarz starszej kobiety, słuchała intonacji jej głosu, patrzyła, jak poruszają się wzory na jej kimonie. Postanowiła, że zachowa w pamięci każdy szczegół, nawet najdrobniejszy, ponieważ — jak powiedziała kiedyś jej matka — szczegóły będą wszystkim, co zostanie dostrzeżone.

Czy obrazy emitowane z ekranów telewizyjnych mogły zapewnić taką naukę? Miała pewność, że nie, i była zdegustowana na myśl o liczbie kobiet uczących się w taki bezimienny sposób.

Ale nie okazała swej dezaprobaty. Yoki była dla niej ważna — przynajmniej przez następnych parę godzin.

Limuzyna zatrzymująca się na wysypanym żwirze podjeździe przed piętrowym domem z powrotem skierowała jej myśli ku teraźniejszości. Seiichi Sato mieszkał na północ od parku Ueno, w Uguisudani, przy Taito-Ku. Półtorej przecznicy dalej na południe znajdowała się szeroka Kototoi-dori, aleja wijąca się niczym wąż wokół parku. Dalej widoczne były strzeliste wierzchołki starannie przyciętych cyprysów, sztywne i zupełnie czarne na tle jarzących się żółto i bladoróżowo nocnych świateł Ginzy i Shinjuku. Drzewa były naturalną granicą miejsca spoczynku shoguna Tokugawy, usytuowanego na północnym krańcu Ueno za niezliczonymi torami kolejowymi.

Dom Sato, zbudowany zgodnie z zasadą *ken* — standardowego sześciostopowego modułu konstrukcyjnego — był duży jak na warunki tokijskie. Wykonany został z bambusa i cyprysu: trójwarstwowy dach skonstruowano z płytek terakoty. W przeciwległym końcu domu było wielkie wycięcie mieszczące ponad stuletnią kryptomerię; jej konary obrosły na osiem stóp wysoki płot zabezpieczający i kołysały się nad samą drogą.

Kierowca obszedł samochód, otworzył im tylne drzwi i Akiko wprowadziła swą podopieczną do domu.

Seiichi Sato popijał gorącą sake z malutkiej porcelanowej czarki i kontemplował Pustkę. Robił to czasami w chwilach ogromnego napięcia, aby rozjaśnić swój umysł. Lecz z tej formy umysłowego ćwiczenia korzystał głównie wtedy, gdy tracił cierpliwość. W krainie, w której cierpliwość była nie tylko cnotą, ale i sposobem życia, Sato musiał uczyć się tej postawy, niczym ktoś obcy. Wciąż jeszcze pilnie, wręcz opętańczo nad nią pracował i wiedział, że swojej cierpliwości zawdzięcza to wszystko, co osiągnął.

Znajdował się w pokoju wielkości sześciu *tatami* — powierzchnię w ja-
pońskich domach określa się ilością mat z ryżowej słomy mieszczących się
na podłodze — gdzie był jedynie mały stół, bawełniany futon oraz *naga-
hibachi*, piec z jesionowego drzewa, pochodzący z początków dziewiętna-
stego wieku. Zagłębienie w prawej pokrywie długiego kosza pozwalało na
podgrzewanie zarówno sake, jak i potraw.

Sato miał na sobie jedynie białe bawełniane kimono, na którym wyha-
ftowany był wyzywająco szkarłatny kwadrat, przedstawiający herb aktorów
teatru *kabuki* z rodu Danjuro. Sato wyglądał na spokojnego i pewnego sie-
bie, wpatrując się zimnymi oczyma w punkt nie należący do materialnego
świata.

Ciche pukanie do *fusuma* sprawiło, że przymknął oczy, ale poza tym nie
uczynił żadnego ruchu. Uwolnił się od swych myśli i pozwolił, aby napięcie
wywołane oczekiwaniem ogarnęło go niczym chłód długiego, zimowego
wieczoru.

Wyciągnął rękę i przesunął obite papierem drzwi o cal w prawo. Pod
półprzymkniętą powieką dostrzegł wyrazisty obrys połowy wpatrzonego w
niego oka Akiko. Sobolowa śniadość przyprószająca delikatną skórę wyglą-
dała jak zmierzch malujący się na zmieniającym swe oblicze niebie. Czarna
jak smoła źrenica była niczym serce głęboko zakopanego skarbu. Sato mi-
mowolnie poczuł przyspieszony puls, jego oddech rozpałał gardło swym
gorącem.

— Spóźniłaś się — stłumionym głosem rozpoczął ich rytuał. — Myślałem,
że już nie przyjdiesz.

Akiko wyczuła w głosie ochrypłość i uśmiechnęła się do siebie.

— Zawsze przychodzę — odpowiedziała szeptem. — Nie mogę uczynić
inaczej.

— Masz prawo odejść. — Sato poczuł ucisk w sercu, gdy wypowiadał te
słowa.

— Daję ci moją miłość z własnej woli i to mnie zobowiązuje. Nigdy cię
nie opuszczę.

Scenariusz tej rozmowy był doskonalony przez miesiące, dostarczając
oboju pewnej dozy podniecenia oraz zaciekawienia, mieszczącej się w sta-
rannie wyznaczonych granicach towarzyskich zalotów. Były oczywiście
pewne aspekty dotyczące ich konkurów — co prawda, mało znaczące —
które sprawiały, że gdyby matka Sato żyła, potępiłaby je w najbardziej gwał-
towny sposób.

Sato pochylił głowę i szerzej otwierając *fusuma*, wycofał się na kolanach,
aby umożliwić wejście Akiko. Gdy weszła do środka, podwójne ideogramy
kanji, określające *sobi*, unosiły się pośrodku ideogramu Sato, wiszącego
niczym proporzec feudalnego *daimyo*; Akiko była naprawdę majestatycznie
piękna. Mimo ich rytualnego dialogu Sato wiedział, że to on jest z nią zawsze

związany, ciałem i duszą.

Przez pewien czas klęczeli naprzeciw siebie; małe palce Akiko opierały się delikatnie na zwróconych ku górze dużych i zęczych dłoniach Sato. Spojrzenia ich przenikliwych oczu spotkały się. Sato rozmyślał nad *karmą*, która ich złączyła, czuł poruszenia jej duszy — malowanego latawca wznoszącego się ponad dachy i szeleszczące korony cyprysów i sosen. Nagle silny podmuch wiatru porwał latawiec i rzucił nim prosto w jego serce, gdzie utkwiał jak złamane skrzydło.

— O czym myślisz?

Pytanie przeraziło go. „Czy to z powodu nagłego dźwięku zakłócającego milczący rytm naszych serc?” — zapytał w myślach. Ogarnął go głęboko skrywany lęk przed tym, że w pewien niemożliwy do pojęcia sposób jej umysł mógł przeniknąć jego ciało, czytając w niedostępnych dla nikogo myślach. I w tym ułamku sekundy przez mięśnie jego lekko wygiętych pleców przebiegł krótki dreszcz. Zmrużył powieki. Badawczo wpatrywał się w jej oczy, tak jakby była kimś zupełnie mu obcym.

Usta Akiko rozciągnęły się w uśmiechu, ukazując białe, równe zęby.

— Jesteś dziś tak poważny. — Roześmiała się, a on dostrzegł, jak światło igra na jej szyi, kładąc — niczym kroplę lzy — drobny cień w fałdzie skóry.

Nie odpowiedział i Akiko, przyglądając się przez chwilę jego ostrym jak granit rysom, zrobiła ruch, by wstać.

— Będę... — Ale jego palce owinięte wokół przegubu powstrzymały ją. Zastygła jak ptak. Po chwili dokończyła: — Sato-san.

Powoli ściągnął ją z powrotem na kolana, po czym uniósł się. Materiał kimona zmarszczył się, gdy Sato wyprostował ramiona, i wtedy Akiko gwałtownie uświadomiła sobie jego siłę, nawet więcej, jego moc.

— Dzisiejsza noc jest szczególna — rzekł przytłumionym głosem. — W całym naszym życiu będzie tylko jedna taka noc. — Przerwał na chwilę, jakby zbierając myśli. — Zatem nasze życie będzie ściśle związane prawami Amida Buddy. — Obrzucił spojrzeniem jej twarz. — Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

— Przez cały dzień nie myślałam o niczym więcej.

— Więc zostań. — W tym momencie jego palce zwolniły uchwyt i ręka Akiko, swobodna, opadła na kolana. Gdy splotła palce, jej nieskazitelne, polakierowane paznokcie zachodziły na siebie; na lśniącej powierzchni każdego z nich spoczywała smuga światła. — W tę najszczególniejszą z nocy... odeślij mój dar.

Twarz Akiko, opanowana i nieruchoma niczym porcelanowa maska, nie ujawniała żadnych uczuć. Sato z trudem potrafił dostrzec wznoszenie i opadanie jej piersi przy oddychaniu. Jej *wa* była równie niewzruszona jak nieruchome lustro wody górskiego jeziora, odbijając raczej niż ukazując jej oblicze.

— Musisz z pewnością wiedzieć, że to ciebie właśnie pragnę. — Sato był zaniepokojony.

Akiko odwróciła głowę, jakby zadał jej prawdziwy cios.

— Zatem nienawidzisz daru, który niosę; nienawidziłeś wszystkich darów, które ci złożyłam, odkąd...

— Nie! — Sato, drżąc, w milczeniu złorzeczył pałapce, w którą wpadł.

— Okryłam cię hańbą, pragnąc sprawić ci przyjemność. — Akiko wykręcała swoje dłonie jak boleśnie dotknięta mała dziewczynka. Sato pochylił się do przodu.

— Kochałem wszystkie twoje dary. Zachowałem w sercu towarzyszącą im myśl. — Jeżeli nawet nie panował nad uczuciami, odzyskał panowanie nad swoim głosem. — W tym, co mi przyniosłaś, nie ma hańby, jest tylko honor, zważywszy... — uciekł od niej wzrokiem, uporczywie wpatrując się w dzielącą ich *tatami*. — Zważywszy, że nigdy nie... byłeś z mężczyzną, rozumiałaś moje pragnienia — odetchnął głęboko — i chciałaś dać mi pełnię szczęścia.

— To mój obowiązek. Ja... — Opuściła głowę. Jego ręka ponownie wystrzeliła, nakrywając jej dłoń.

— Lecz tej nocy jesteśmy tak bliscy połączenia. Widząc ciebie i...

— To, o co prosisz... — Błyskawicznym ruchem uniosła głowę. — Cóż zatem z naszą nocą poślubną? Czy uczynimy z niej farsę? Czy zniszczymy naszą wspólną drogę? Czy tego chcesz?

Sato poczuł, jak jej paznokcie wpijają się w jego gruboskóre ciało, i wiedział, że to ona ma rację. Spróbował opanować dreszcz wielkiego pożądania, wyrzucając je z siebie. Pochylił głowę i wyszeptał wyschniętymi wargami:

— Twoim jest dar, którego pożądam.

Akiko stała obok *naga-hibachi*, czując jak dociera do niej jego ciepło. Zwracała jedynie minimalną uwagę na pracę, którą wykonywały jej ręce; gotowała *soba*, makaron gryczany, przygotowywała w małych porcelanowych czarkach sos sojowy, wlewała resztę do małego dzbanuszka harmonizującego z czarkami, nakładała zielony chrzan i siekany ogórek na podobny do spodka talerzyk.

Przyrządzone *soba* przenosiła małutkimi porcjami na prostokątne tace z czarnej laki, ustawione jedna na drugiej. Normalnie zostałyby obsłużone

tak jak Sato. Lecz dzisiaj stanowiło to część jej daru dla niego. Służący o tej porze przebywali w drugiej części domu.

Akiko podawała potrawy i dodatkową ilość gorącej sake. Zauważyła, że Sato i Yoki rozmawiali cicho i serdecznie. Dobrze przygotowała dziewczynę. Yoki wiedziała, czego się spodziewać i czego od niej oczekiwano.

Akiko wstała i bezszelestnie podeszła do brzegu *fusuma*. Przystanąła trzymając delikatną dłoń na lekkiej drewnianej ramie. Zanim zasunęła za sobą obite papierem drzwi, spłynęły na nią dźwięki ich rozmowy.

Znalazła się na zewnątrz, lecz zamiast opuścić dom, ruszyła w lewo i weszła do mniejszego pokoju wielkości dwóch *tatami*. Ostrożnie zasunęła za sobą *fusuma* i klęcząc, przesuwiała się po trzcinowych matach, aż dotarła do *shoji* dzielącej ją od pokoju, w którym leżeli Sato i Yoki.

Rozsuwana przegroda składała się w rzeczywistości z wielu długich, pionowych dekoracyjnych i miłych dla oka płyt. Wcześniej, tuż po tym, jak została wprowadzona do rodziny, Akiko w tajemnicy zmieniła jedną z tych płyt, tak że można ją było zdjąć lekko, manipulując cienkim, drewnianym obramowaniem.

Spoglądała teraz przez tę szczelinę na Sato i Yoki. Zjedli już *soba*; sake prawie się skończyła. Leżeli bardzo blisko siebie. Klęcząc przy swym judaszu, Akiko przygotowała się na to, co miało nastąpić.

Sato był odwrócony do niej plecami. Widziała ruch jego ręki, a potem dostrzegła, jak kimono miękko zsunęło się z ciała Yoki — Akiko wiedziała, że lepiej nie przedstawić Sato dziewczyny ubranej według zachodniej mody — do tyłu i w dół, i odsłoniło gładkie, białe ramię.

Akiko wstrzymała oddech na widok wspaniałej gry jej delikatnych mięśni. Spojrzenie Sato zatrzymało się na piersiach dziewczyny; brązowo-szare kimono leżało niczym skrzydła na *tatami*, nadal zakrywając część ud. Sato pochylił się do przodu. Głowa Yoki opadła w dół, palce pieściły jego uszy, a on językiem gwałtownie dotykał brodawek jej piersi.

Akiko skrzyżowała ramiona na swych piersiach, czując ich gorącą twardość niczym żar płonących węgli. Zaszło jej w ustach; tęskniła do chwili, gdy sake ugasi to nagłe pragnienie.

Niewiele brakowało, a tego wieczoru oddałaby się Sato. Spadło to na nią niczym grom z jasnego nieba. Przez te wszystkie długie tygodnie trzymanie go na dystans było stosunkowo łatwe. Czowała odrazę na widok pożądania błąkającego się w jego oczach. Lecz tej nocy było inaczej.

Yoki była teraz zupełnie naga. Sato wargami to muskał, to ssał jej skórę z taką gwałtownością, że Akiko poczuła mrowienie i żar narastającego podniecenia, zupełnie tak, jakby to z nią się kochał.

Dlaczego? Co było inne? Akiko szukała w swoich myślach i analizowała w sposób, którego dawniej nauczył ją Sun Hsiung:

— Weź jedną czwartą swej pamięci, potem podziel ją na połówki, ćwiartki i tak dalej. W końcu — mówił jej — odnajdziesz szczegół, którego szukasz, ponieważ twoje zmysły są najczulszymi z receptorów. Rejestrują wszystko; to tylko twój świadomy umysł odfiltrowuje to, co uważa za istotne. Musisz pojąć — i to jest najtrudniejsze — że twój umysł często dokonuje błędnego wyboru.

Teraz, gdy oczy upajały się miłosnym aktem odbywającym się tuż za szczeliną w *shoji*, rozpoczęła penetrowanie swej dzielonej na ćwiartki pamięci; była równie dobrze dostrojona do własnych uczuć, jak do uczuć innych.

Tej nocy, tak samo jak każdej innej, rozstawiła właściwą pułapkę, aby schwytać Sato w sidła i uniknąć jego ataku. Zawód, jaki mu sprawiała, naplnił ją uniesieniem. Lecz było to uczucie krótkotrwałe. Dlaczego?

Pierwotny rytm rocka, tak pełen gniewu, agresji i pożądania, pulsował w jej krwi, upajał jak alkohol: sala niebieska od dymu, który sprawiał, że ludzkie sylwetki były niewyraźne, niczym kapłani w świątyni spowici dymem palonego zmarłym kadzidła. Podkradała się tygrysim krokiem, giętka, pełna przerażającej, zwierzęcej siły. To wspomnienie pociągało ją; nęciło jak zjawą.

Teraz, śladem swych słabnących doznań seksualnych, dotarła do chwili, gdy jak głodna hiena krążyła wokół Nicholasa Linneara. Przywołując jego obraz we wnętrzach egzotycznego Jan Jan, raz jeszcze doświadczała mocnego bicia serca, delikatnego drżenia wewnętrznych powierzchni ud i szalonej potrzeby zbliżenia się do niego.

Jej palce znowu, tak jak w nocnym klubie, uniosły się, aby dotknąć zarumienionej skóry policzka, jakby chciała się upewnić, czy nadal tam jest. To nie było tak dawno. Musi o tym zawsze pamiętać. Nie znając samej siebie musi nauczyć się, jak zostać swoją najlepszą przyjaciółką. Nigdy nie potrafiła tego dokonać... do tej pory. W oczekiwaniu swych powtórnych narodzin ślubowała sobie, że spróbuje. Lecz najpierw nie zakończona sprawa. A Nicholas Linnear był w nią wplątany. O, tak. Z pewnością!

Oczy Akiko otworzyły się szeroko. Sato i Yoki leżeli na *futonie*, spleceni ze sobą. Kimona marszczyły się wokół poruszających się ciał, jak docierające do brzegu morskie fale; skrywały je i natychmiast ukazywały.

Ich zdyszane jęki docierały do niej niczym stada mew i wciągały do uczestnictwa, jednocześnie podsycając płomień ich namiętności.

Widziała jego członek, duży i zaczerwieniony od pieszczot partnerki. Przymknięte powieki Yoki drgały z rozkoszy, a jej miękkie piersi falowały w nieczułych dłoniach Sato. Jego głowa osuwała się coraz niżej po jej ciele; otwarte usta odnalazły w końcu rozgrzane łono.

Akiko nieświadomie naprężyła się, cicho westchnęła i gdy zobaczyła, jak jego język wysuwa się, by pieścić ciało Yoki, strużka ciepłego potu zsunęła się niczym ogon węża po zagłębieniu wzdłuż jej kręgosłupa, znacząc plamą pożądania jej kimono. Jej dłonie błędziły po rozsuniętych udach, aż wreszcie uniosły materiał kimona i napotkały nagie ciało.

Zamiast dotknięcia końca swych palców poczuła teraz, że to drgający język Sato w przyprowadzającym o szaleństwo rytmie wędruje po jej wilgotnym łonie; że to jego ręce na chwilę znalazły się pod kolanami i uniosły je ku górze.

Łono Yoki, łono Akiko. Nie czuła różnicy w dotknięciu — to, co jej uczyniono, nie zniszczyło jedwabistej gładkości jej ciała. Ale wiedziała, że gdyby Sato zobaczył, co znajdowało się wewnątrz, na ukrytych ściankach pochwy, mógłby odwołać ślub, a na to nie mogła sobie pozwolić. Potem... cóż, wtedy będzie ją musiał przyjąć, nie będzie miał innego wyboru.

Usta Sato przesunęły się w górę i zakryły skręcone włosy na uniesionym wzgórku łonowym. Akiko widziała, jak biodra dziewczyny drżały z podniecenia i jak stopniowo narastał jej orgazm. Twarz Sato pograżyła się w wilgotnym żarze jej podniecenia. Yoki odrzuciła do tyłu głowę; wąskie pasma żył wystąpiły na boku szyi, otworzyła usta, obnażając błyszczące zęby.

W tym czasie zręczne palce Akiko rozchylały płatki łona, krążąc delikatnie w harmonii z ruchami głowy Sato. Czuła go w sobie, lecz to nie wystarczało, potrzebowała mocniejszych doznań. Uczucie podniecenia muskało ją niczym krople deszczu, lecz nie syciło pragnienia, by rwąca fala przyplwy uniosła ją i bezwładnie cisnęła w otchłań ekstazy.

Nie nadchodziła; Akiko wzmogła ucisk swych palców; zaczęła wgłębiać się w miękkie fałdy, rozsuwać je, coraz mocniej drażniąc lechtaczkę.

Sato unosił głowę. Jego pierś falowała niczym tors walczącego byka. Potężna męska sylwetka wygięła się łukiem nad uległym kobiecym ciałem Yoki, rzucając w rozproszonym świetle smugi cienia na jej twarz; sprawiały wrażenie dziwnego makijażu.

Przyciągnęła go teraz ku sobie i ocierała o niego, aż w końcu nie miała innego wyboru, jak tylko wygiąć się ku górze i gwałtownym ruchem podebrać z futonu swe biodra, pozwalając, by wbił się w nią. Słysząc było pośpieszny oddech wyrwywający się z jej piersi; drżały targane potęgą nie pohamowanych uczuć.

Nareszcie, tak bardzo tęskniła za tym, co teraz czuła. Fala narastała, przywoływała, płynęła do niej z bezkresnych głębi oceanu i niczym całun nocy pogrążała wszelką myśl, cały ból, wszystkie wspomnienia w mknącym zalewie wibrującej rozkoszy.

Sato uderzał swym ciałem, aby nadążyć za szalonymi pchnięciami Yoki; mocno zwarli biodra, słony pot spływał po napiętych mięśniach, a jego krople zbierały się w fałdach dziewczęcej skóry.

Zaczęła krzyczeć, objęła go ramionami, przyciągając do siebie z całej siły, tak że Akiko wydawało się, iż to ją Sato przygniata swą masą. Rytmiczne jęki nabrały tempa, a ruch ich bioder stał się nierówny i niewyraźny.

Długimi, gwałtownymi westchnieniami Yoki wyrzucała z siebie namiętność; na jej napiętej twarzy nie było żadnej zmarszczki. Wpiła się dłońmi, niczym ostrogami, w potężnie umięśnione pośladki Sato, ponagłując go, aby wszedł w nią jeszcze głębiej.

— Ruszaj się, ruszaj, ruszaj... — w głosie Yoki była nuta hysterii i czegoś jeszcze. Cokolwiek to było, Akiko pragnęła tego równie gwałtownie. Pragnęła uwolnienia od nagromadzonego napięcia ściągającego jej uda i łono. Doznała skurczu mięśni i — jak zawsze podczas tych sesji — pojawił się ból krzyczący w jej wnętrzu. Zagryzła dolną wargę, usiłując powstrzymać krzyk. Serce waliło jak młot grożąc, że rozsadzi swą klatkę z kości i delikatnych błon i niczym słońce smutku eksploduje w jej ściśniętym gardle.

„Błagam — jęczała do siebie — błagam, błagam, błagam”. Choć początkowo czuła mocniej niż kiedykolwiek przedtem, choć myślała już, że może zaznać błogosławieństwa deszczu uwolnionego z nagromadzonych chmur, ta noc niczym nie różniła się od pozostałych. Słyszała zwierzęce jęki Sato, który wytrysnął gwałtownym ogniem w głąb targanej spazmami rozkoszy Yoki.

Tego Akiko nie potrafiła już znieść i upadła uderzając ramionami w rozścieloną na podłodze *tatami*. Białka jej oczu wyszły na wierzch; słyszała pęd porywistego wiatru przez chwilę tak krótką, że nie była pewna jego nadejścia. Ból i straszliwa tęsknota przeniosły ją na czarną równinę. Słyszała, jak Sun Hsiung mówi: „Jest pewien sposób — i jeżeli będziesz cierpliwa, nauczę

cię go — takiego zbadania zewnętrznego wyglądu przeciwnika, że można będzie rozpoznać jego ukryte myśli”.

Potem straciła przytomność.

Nicholas wstał tuż przed szóstą rano, zbudzony przez swój wewnętrzny zegar. Wziął szybki prysznic, najpierw parzący skórę, potem zimny jak lód. Wyszedł z łazienki ze skórą rozpaloną od gwałtownego wycierania ręcznikiem. Usiadł w pozycji lotosu twarzą do okna. Zrobił trzy długie i głębokie wdechy, po czym skupił swój umysł na sobie. Promieniował swą energią witalną, aż w końcu wypełnił nią cały wszechświat i stał się jego cząstką.

Dyskretne pukanie do drzwi wyrwało go z głębokiej medytacji; Nicholas oczekiwał go. Skoncentrował spojrzenie na strzelistych budynkach miasta. Wstał, znowu oddychał normalnie. W milczeniu zjadł śniadanie złożone z zielonej herbaty i ryżowych placków. Potem lekko ubrany, z małą czarną torbą przerzuconą przez ramię, wyszedł z hotelu. Było tuż po dziesiątej.

Przeszedł dwie przecznice — na wschód, potem na południe — i znalazł się w Toranomonocho. Mijając mały, idealnie utrzymany park po drugiej stronie Sakuradori, doszedł do *sanchome*, trzeciego rodzaju oznaczenia miejsc w Toranomono. W Tokio nie istniały dokładne adresy ulic; było to osobliwością wprawiającą w zakłopotanie wszystkich zagranicznych gości. Rozległe miasto podzielone było na *ku*, czyli dzielnice, potem na strefy, takie jak Ginza, oraz na *cho*. W granicach *cho* mieściły się ponumerowane *chôme*, były jeszcze oznaczenia obszarów między przecznicami.

Przy dziwnie ukształtowanej trzynastej przecznicy znalazł to, czego szukał. Mała, starożytna świątynia usytuowana u stóp wysokiego budynku i wzgórze Atago wznoszącego się tuż za nim.

Znalazłszy się w środku zmienił ubranie. Sięgnął do czarnej torby i wyciągnął białe bawełniane spodnie z szerokimi nogawkami, ściągane w pasie tasiemką. Włożył luźną bawełnianą bluzę, a biodra owinął czarnym szerokim pasem. W końcu nałożył *hakama*, tradycyjne, przypominające spódnice czarne spodnie, noszone współcześnie tylko przez adeptów *kendo* i *kyudo* oraz tych, którzy posiadali *dan* — stopień mistrzowski w *akido*. *Hakama* wiązane były nisko na biodrach, dając poczucie pełnej kontroli nad energią wewnętrzną *ki*, której ośrodek — w myśl przekazów — znajdował się w dolnej części brzucha.

Nicholas, ubrany w *gi*, wspinał się po stopniach idealnie wypolerowanych drewnianych schodów. W myślach słyszał charakterystyczny trzask

uderzających o siebie drewnianych *bokkenów*. I nagle znowu było ostatnie lato. Nick i Lew Croaker znajdowali się w *do jo* w Nowym Jorku. Nicholas obserwował wyraz oczu przyjaciela, gdy po raz pierwszy zobaczył błyskotliwy pokaz *kenjutsu*.

Nicholas był ostrożny w zawieraniu przyjaźni, głównie dlatego, że pojęcie to we wschodniej postaci znaczyło o wiele więcej niż na Zachodzie. Dla niego, jak i dla wszystkich ludzi Wschodu, przyjaźń oznaczała obowiązek, obronę honoru przyjaciela, żelazne więzy, których nie mógł pojąć żaden człowiek Zachodu. Lew Croaker nauczył się znaczenia tych pojęć u boku Nicholasa i obdarzył go swoją przyjaźnią.

Przyrzekli sobie, że gdy Croaker powróci z Key West i ostatecznie zakończy sprawę morderstwa Angeli Didion, wybiorą się na rekiny z dala od Montauk. Teraz to już nigdy nie nastąpi. Croaker nie żył i Nicholas tęsknił za nim tak bardzo, że to uczucie sprawiało mu niemal fizyczny ból.

Wiedział, że powinien oczyścić swój umysł w przygotowaniu do tego, co oczekiwało go na szczycie schodów, lecz nie potrafił wymazać z myśli wspomnienia o przyjacielu. Pożegnanie — ostatnie, jak się okazało — było wzruszającą chwilą, pełną wyciszonego uczucia, które mogliby wyrazić tylko dwaj japońscy przyjaciele.

Byli w Michita, japońskiej restauracji w środku miasta, którą Nicholas często odwiedzał. Ich buty leżały tuż za drewnianym progiem w wyłożonej *tatami* sali; ciężkie robocze buty Croakera ustawione obok lekkich jak piórko pantofli Nicholasa. Klęczeli naprzeciwko siebie. Parująca herbata i gorąca sake w małych glinianych czarkach stały pomiędzy nimi. Czekali na *sushi* i *tonkatsu*.

— O której wylatujesz? — spytał Nicholas.

— Samolot mam o północy — Croaker uśmiechnął się krzywo. — To najtańszy lot.

Obaj jednak wiedzieli, że chce dotrzeć do Key West pod osłoną nocy.

Przytłumiony gwar restauracyjny rozlegał się wokół, lecz wyjątkowo nie był w stanie zakłócić ich spokoju. Stanowili nietykalną wyspę milczenia.

Nagle Croaker uniósł wzrok.

— Nick... — Podano jedzenie: wyczekał, aż znowu będą sami. — Nie jest tego dużo, ale mam trochę akcji, obligacji i innych papierów zdeponowanych w sejfie bankowym. — Przesunął na stole mały klucz w brązowym plastikowym futerale. — Zajmiesz się tym, gdyby... — Podniósł pałeczki, owinał surowego tuńczyka wokół białych jak kości stępionych końców. — No, gdyby nie wszystko dobrze poszło.

Nicholas wziął klucz; czuł się zaszczycony. Zabrali się do jedzenia. Nastrój wydawał się poprawiać. Gdy skończyli i zamówili następną porcję sake, Nicholas powiedział:

— Obiecuj mi jedno, Lew. Wiem, co czujesz do Tomkina. Myślę, że to zaślepienie...

— Ja wiem swoje, Nick. To cholerny rekin pożerający wszystko na swej drodze. Mam zamiar powstrzymać go i ten trop jest moją jedyną szansą.

— Chcę tylko, żebyś nie pozwolił, aby... twoje zaślepienie nie wywiodło cię w pole. Kiedy już tam będziesz, nie śpiesz się, rozejrzyj się, oceń sytuację.

— Mówisz mi, jak mam wykonywać moją robotę?

— Nie bądź taki delikatny. Chodzi mi po prostu o to, że świat nie jest wyłącznie czarno-biały, często jest w nim wiele odcieni szarości. Tomkin nie jest Księciem Ciemności; taką właśnie wyznaczyłeś mu rolę. Możliwe po prostu, że n i e r o z k a z a ł zamordować Angeli Didion.

— Czy wierzysz w to?

— Nie sądzę, aby miało znaczenie to, w co ja wierzę.

Teraz Nicholas nie wiedział, czy to była prawda, ponieważ przestał być jedynie obserwatorem. Przyjął do wiadomości nagłą śmierć Croakera w dalekim Key West; był teraz tu, w Japonii, ze względu na niego. *Giri*.

— Do zobaczenia, Nick — Croaker uśmiechnął się szeroko. Stali przed restauracją. Zrobił ruch wyciągniętą dłonią, lecz potem, po chwili namysłu, skinął w geście pożegnania. Nick odpowiedział tym samym gestem i obaj roześmiali się w otaczającej ich nocnej ciszy, jakby chcieli odegnąć czający się niepokój.

W ostatnich wspólnie spędzonych chwilach zachowywali się w sposób równie niedbały jak większość ludzi rozstających się na krótko. Niezależnie od tego, co Croaker przekazał Nicholasowi, żaden z nich nie wierzył, że policjantowi przydarzy się coś na Florydzie. A teraz okazało się, że mieli tak mało czasu, aby odczuć smak tego, co posiadali. Dla kogoś takiego jak Nicholas, tak ostrożnego, tak skrytego w sobie, była to naprawdę rzadka okazja. Stwierdzał teraz, że lubi wspominać wspólnie spędzony czas; odtworzył te sceny w swoich myślach, tak jakby były fragmentami ulubionego filmu.

Gdy dotarł do szczytu schodów, potrząsnął głową. Był pewien bardziej niż kiedykolwiek, że droga, którą obrał, była właściwa. Nie mógł pozwolić na to, aby śmierć jego przyjaciela została nie pomszczona. Spoczywał na nim

obowiązek. *Giri*. Był, jak odkryli wszyscy, którzy nadeszli przed nim, silniejszy nawet od samego życia.

Sensei siedział przy *kamiza* — najważniejszym miejscu sali treningowej. Był mężczyzną w średnim wieku, o kocich oczach i surowym wyrazie twarzy. Usta przecinały ją szeroką kreską warg. Miał krzepkie ramiona i wąskie biodra. Wydawał się prawie zupełnie pozbawiony włosów.

Nazywał się Kenzo. Nicholas uzyskał tę informację — razem z listem polecającym — w Nowym Jorku od swojego mistrza, Fukashigiego.

— Jest surowy — rzekł Fukashigi — ale nikt inny, kto pasowałby do twojego zestawu, mhm, niekonwencjonalnych *bujutsu*, nie przychodzi mi do głowy. — Wiedział, że Nicholas był *ninja*, tak jak wiedział, że w całym szeregu dyscyplin mógłby być jego nauczycielem. — Kenzo nie będzie wiedział, kim jesteś, Nicholasie, ale pozna twoje umiejętności i będzie z tobą pracował.

Z tyłu, za Kenzo, Nicholas dostrzegł podium ze stojącymi z obu stron dwoma siedemnastowiecznymi *dai-katana* — najdłuższymi i najbardziej śmiertcionośnymi spośród samurajskich mieczy — tradycyjny, ceremonialny bęben oraz wiszący pomiędzy nimi na ścianie zwój papieru ryżowego z napisem: „Wszystkie rzeczy ukazują się, lecz nie widzimy bramy, którą przychodzą. Wszyscy ludzie cenią swoją wiedzę, lecz niczego w rzeczywistości nie wiedzą. Naprawdę wiedzą jedynie ci, którzy cofają się przed tym, czego wiedza nie potrafi rozpoznać”. Nicholas rozpoznał słowa Lao-tse.

Wszedł boso na *tatami* i wykonał *ritsurei*, ukłon na stojąco, po czym wręczył list Fukashigiego.

Kenzo zaczął go czytać. Ani razu nie spojrzął na Nicholasa. W końcu starannie złożył kartki i włożył je z powrotem do koperty. Odsunął ją na bok i kładąc dłonie na *tatami*, pochylił się do przodu w *zarei*, ukłonie w pozycji siedzącej. Nicholas odwzajemnił powitanie.

W chwili gdy Nick kończył swój ukłon, spadło na niego uderzenie krótkiego kija. Kątem oka dostrzegł jedynie rozmazany kształt i gdyby zastanawiał się przez moment, cios na pewno pozbawiłby go przytomności.

Zamiast czekać, odruchowo uniósł ramię i w okamgnieniu usunął się w bok.

Cios nie trafił w cel, lecz Kenzo skoczył do przodu i pociągnął Nicholasa, usiłując powalić go na matę. Jednocześnie zadał *shomen uchi*, proste cięcie w głowę.

Nicholas zastosował technikę *yonkyo*. Gwałtownym skrętem nadgarstka

chwycił lewą dłoń przeciwnika zaciśniętą na swoim przegubie i głęboko wbił kciuk w splot nerwowy. Kenzo, zamiast wyrwać się z uścisku, pozostał w paraliżującym objęciu, poświęcając jedną rękę, by nie przegrać całego starcia.

Nie wiadomo skąd w jego prawej dłoni pojawił się drugi krótki kij. Kenzo z całej siły ciął w ramię Nicholasa. Linnear zrezygnował z *yonkyo* i zamiast — jak podejrzewał przeciwnik — ponowić chwyt obezwładniający, wykorzystał *atemi* — serię krótkich uderzeń we wrażliwe miejsca ciała — wykraczającą poza zasady *aikido*. Uznał, że wolno mu tak postąpić, ponieważ Kenzo również nie stosował się do przyjętych reguł.

Wbił sztywne końce palców pod obojczyk przeciwnika. Głowa Kenzo podskoczyła spazmatycznie w górę i w bok. Nicholas wzmocnił ucisk. Nagle na jego pierś spadła seria ciosów zadanych krótkim kijem. Skrócił dystans, gdyż zdał sobie sprawę, że Kenzo usiłuje zaatakować mięśnie znajdujące się bezpośrednio nad sercem. Nie mógł do tego dopuścić.

Dwukrotnie wykonał *kite*, mierząc w grzbiet przeciwnika. Nie pomogło. Kij powoli przesunął się w lewą stronę klatki piersiowej Nicholasa. Linnear poczuł, że traci kontrolę nad energią wewnętrzną, że jego dotychczasowe umiejętności stają się czymś odległym i bezużytecznym.

Przeklinał siebie — wiedział, że przegra. Brak snu i różnica czasu podstępnie zachwiały jego koncentracją. Wszystkie rezerwy, jakie wciąż miał, topniały gwałtownie pod wielokrotnymi atakami *tambo*. Krew tętniła w uszach, niosąc ze sobą pierwsze zwiastuny utraty równowagi. Wiedział, że potem przyjdzie kolej na koordynację ruchów, chyba że zrobi coś, aby temu zapobiec.

Wtedy właśnie przemknęła mu w myślach lekcja *kendo*; przypomniał sobie o „cięciu czerwonych liści” Musashiego, skoncentrował się na odzyskaniu kontroli nad kijem przeciwnika.

Zamiast się bronić, zwolnił uchwyt i przeszedł do kontrataku.

Przed oczami miał rozmazane plamy. Pochwycił śliski kij, skręcił go w dół i w lewo; szarpnął przeciwnika za przegub i zachwiał nim na moment wystarczająco długi, aby zadać złośliwe *kite* na wątrobę.

Kenzo zatoczył się do tyłu. Nicholas poszedł za ciosem, po to tylko, aby natrafić na kamienną zaporę zrogowaciałej pięści. Ból rozlał się płomieniem po całym ciele; zacisnął zęby, pociągnął przeciwnika na siebie, w dół, uderzył grzbietem dłoni w ramię, wykorzystał ruch, aby poderwać jego biodra.

W momencie gdy ramię Kenzo dotknęło *tatami*, Nicholas zerwał się na

równe nogi. Pot spływał mu po ciele, serce waliło; przy każdym oddechu odzywał się ból.

Myślał o tym, jak bliski był porażki.

Ichiro Kagami był człowiekiem o niezwykle spokojnym i zrównoważonym usposobieniu; zaletom tym zawdzięczał funkcję wiceprezesa Sato Petrochemicals do spraw finansowych.

Lecz dzisiaj był w złym nastroju, nie potrafił skoncentrować się na żadnym ze szczegółów dopracowywanych pomiędzy tym *kobunem* i amerykańską firmą wytwarzającą mikroprocesory. Był niezwykle wdzięczny, gdy Sato-san dał asystującym członkom zarządu sygnał do zakończenia posiedzenia.

Po prawie godzinnym wpatrywaniu się w okno, na którym krople deszczu tworzyły dziwaczne wzory, miał tego dosyć. Odwrócił się w swym fotelu, końcem palca wcisnął guzik interkomu, a gdy usłyszał głos sekretarki, polecił odwołać wszystkie spotkania. Powiedział tylko, gdzie można go będzie znaleźć, gdyby Sato musiał się z nim nagle skontaktować, po czym wstał i wyszedł.

Ulice Tokio były ponure, stalowoszare. Wesołość *hartami*, która panowała w całym mieście przez kilka ostatnich dni, zniknęła z nadejściem złej pogody. Ale tego roku nawet widok kwitnących wiśni nie dawał Kagamiemu poczucia szczęścia.

Kiedy wychodził z biura, miał ponurą minę. Miękkie światła i piękne ryciny *ukiyo-e* nie koily jego myśli. Doszedł do drzwi łaźni wykonanych z platerowanego żelaza i przecisnął się przez nie do szatni. Wewnątrz zaczął zdejmować ubranie.

„Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie mój krewniak Toshiro” — rozważał Kagami. Szwagier, prawdę powiedziawszy, pomyślał zgorzkniale. Żona Kagamiego była *hera-mochi*; obecnie z przyjemnością rewanzowała się za ciężkie próby, jakim poddawała ją jego matka. To ona trzymała za sznurki sakiewki.

„O wiele za mocno” — pomyślał, gdy nagi szedł po drewnianych listwach do łaźienki.

Gdy młoda kobieta o miłej, płaskiej twarzy pokrytej kropelkami potu myślała go, myślał o swojej żonie. Nie chodziło o to, że zazdrościła mu jego gejszy. Czyż nie przychodziły do niej co miesiąc rachunki? Czyż nie płaciła ich bez słowa protestu dokładnie piętnastego każdego miesiąca? Robiła wszystko, co powinna robić żona. A jednak sposób, w jaki wydzielala skąpe porcje pensji, *oseibo* i *ochugen* — noworoczne i półroczne dary od współpracowników, którzy nadskakiwali mu z chęci awansu i w trosce o względy

— pozostawiał niesmak i sprawiał, że częściej odwiedzał Anmitsu, gdzie przebywały wszystkie jego faworyty.

Ale to Toshiro był tym, który zaszedł mu za skórę, nawet bardziej niż własna żona. Kagami zamyślił się przechodząc do drugiej kąpieli.

Był sam; wdychał parę unoszącą się nad powierzchnią wody. Woda była tak gorąca, że gdy nawet nieznacznie poruszył kończynami, zaczynał w nich odczuwać piekący ból.

Toshiro był farmerem, człowiekiem o wiele bogatszym od niego. Oczywiście nie miał takich przywilejów, jakimi Sato Petrochemicals obdarzał rodzinę swoich pracowników. A jednak był bogatszy. Pod koniec roku znacznie wzrastała kwota na rachunku bankowym Toshiro. Kagamiego złościł bezgranicznie fakt, że przynajmniej w części — subsydiował swojego szwagra.

Kagami myślał o idiotyzmie takiej sytuacji. Udział rolnictwa w gospodarce nie przekraczał trzydziestu procent i szybko spadał. Mimo to farmerzy wciąż mieli równie dużą władzę polityczną jak tuż po drugiej wojnie światowej, gdy Japonia była w siedemdziesięciu procentach krajem rolniczym. Działo się tak dlatego, że nie dokonano nowego podziału na okręgi wyborcze i Partia Liberalno-Demokratyczna, będąca od tego czasu niemal bezustannie u władzy, robiła wszystko, aby farmerzy nadal lojalnie na nią głosowali.

Kagami wyczytał w tygodniku „Time”, że przeciętna amerykańska farma miała czterysta pięćdziesiąt akrów powierzchni. Dla porównania: przeciętna farma japońska miała 2,9 akra. Jak to wpływało na wydajność? Kagami aż parsknął śmiechem.

I jakby tego nie było dosyć, istniał jeszcze problem ryżu. Japońscy farmerzy produkowali go rocznie znacznie więcej, niż kraj był w stanie spożyć. Produkowana drobnoziarnista odmiana nie cieszyła się w świecie powodzeniem. Jej eksport wymagałby obniżenia ceny, a ponieważ poprzez subwencje rządowe cena została wywindowana w górę, nadwyżki ryżu marnowały się całkowicie.

Kagami wiedział, że rząd wydaje ponad dwadzieścia miliardów dolarów rocznie na tego rodzaju dotacje. Większa część tych pieniędzy pochodziła ze sprzedaży importowanego zboża japońskim młynarzom po wziętych z księżycy cenach. Ale nawet to nie było wszystko. Wykorzystywano również wpływy z podatków, ograniczając w całym kraju inwestycje mieszkaniowe i roboty budowlane.

Kagami uznał za największą zniewagę, gdy Toshiro, z kapeluszem w ręku, przyszedł po pożyczkę. Wiedział, że Toshiro był utracjuszem. Wydawał więcej, niż zarabiał. Mówiło się często, że Japończycy są bardzo oszczędni.

Sądząc po zachowaniu Toshiro, można było z pewnością wydać zupełnie odmienny sąd. Był wdowcem. Kobiety i hazard stały się jego pasją. Do prowadzenia farm zatrudnił nadzorców, którzy zaniedbywali swoje obowiązki.

Tak przynajmniej mówił Toshiro. Kagami ponownie parsknął. Bardziej prawdopodobne, że właśnie Toshiro zaniedbał swoje obowiązki, gdy ich zatrudnił. To do niego pasowało. Tarapaty szwagra sprawiłyby Kagamiemu satysfakcję, gdyby nie prośba o pożyczkę.

Oczywiście, pożyczka była sprawą bezdyskusyjną. Żona Kagamiego ujęła to dosyć wyraźnie:

— Nie masz innego wyboru — stwierdziła stanowczo, gdy Toshiro opuścił ich dom. — Jest twoim szwagrem. Trzeba myśleć o więzach rodzinnych. To nasz obowiązek. — Jej oczy błysnęły. — Nie muszę ci chyba przypominać o sprawach tak podstawowych.

Nie warto było mówić jej, że gdyby sytuacja się odwróciła, nie zobaczyłby nawet jena. Toshiro troszczył się jedynie o siebie. W końcu, czy przysłał prezent z okazji uzyskania dyplomu przez Kena lub trzynastych urodzin Tamiko? Och, dzieci nigdy się o tym nie dowiedziały. Prezenty otrzymywały we właściwym dniu i w takiej formie, jakby ofiarodawcą był Toshiro. Ale Kagami wiedział, że żona w tajemnicy podróżowała do Daimaru, aby kupić je osobiście — za jego pieniądze.

Kagami zamknął oczy, czuł, jak krew mocno pulsuje w jego żyłach. Tego było już naprawdę za wiele. To przekroczyło granice obowiązku.

Westchnął, podniósł się i, ociekając wodą, przeszedł krótkim korytarzem do sauny. Chciał odprężyć się przed masażem.

Gdy siadł na wyłożonej kafelkami ławie z głową opartą o pokrytą strużkami wilgoci ścianę, pomyślał o masażu, jaki zrobiono mu kiedyś w Korei. Jeździł tam w interesach, kiedy był młodszy. Teraz nikt nie namówiłby go na taką podróż. Zadrżał na samo wspomnienie ich masażu. Raczej tortur niż masażu. Powinien był o tym wiedzieć. Koreańczycy byli barbarzyńcami we wszystkim, co próbowali robić. Shogun Tokugawa nazwał ich „czosnkojadami”. Było to w tysiąc sześćset piątym roku, ale od tego czasu nic się nie zmieniło. Może jedynie nauczyli się, jak brać łapówki od Amerykanów. Nędznicy, bez poczucia honoru.

Kagami potrząsnął głową chcąc odpędzić myśli o Koreańczykach, Toshiro, i wszelkie inne koszmary. Dzień rozpoczął się fatalnie, ale zdecydowany był zakończyć go zupełnie inaczej.

Z rury z sykiem napłynęła nowa porcja pary. Gorąco narastało i Kagami zaczął się coraz mocniej pocić. Zapomniał przed wejściem schłodzić ciało pod prysznicem. To również zawdzięczał Toshiro.

I dobrze się stało. Ułożył dłonie na brzuchu. Trochę za dużo tego tłuszczu. Może dodatkowo wylany pot wyjdzie mu na dobre. Przymknął oczy. Rozluźnił się całkowicie.

Otworzyły się drzwi. Kagami przez chwilę poczuł powiew chłodnego powietrza. Potem znowu otoczyły go wirujące kłęby pary.

Nie zastanawiał się, kto wszedł do środka. Najwyżsi rangą członkowie kierownictwa korzystali z tej części piętra w ciągu całego dnia, a nawet nocą, gdy pozostała część budynku była zamknięta i pogrążona w ciemnościach. Mężczyźni rzadko z sobą tutaj rozmawiali, rozumiejąc doskonale istotę procesu odnowy, który sprawiał, że dzień pracy był dla wszystkich bardziej efektywny.

Czuł czyjąś obecność, nie bardziej rzeczywistą niż cień. Gdy przesunął się obok, coś sprawiło, że Kagami otworzył oczy. Nie mógł od razu określić, co to było, może przecucie, może subtelna zmiana w otoczeniu.

Po drugiej stronie pomieszczenia dostrzegł postać; kłęby pary zamazywały obraz.

Postać chwilę stała, po czym ruszyła naprzód dziwnym, posuwistym krokiem. Ruch wydawał się tak płynny, jakby przesuwająca się istota pozbawiona była kości. Kagami otarł pot z oczu. Poczuł absurdalną potrzebę uszczypnięcia się, by upewnić się, że nie zasnął odurzony gorącem.

Teraz dostrzegał już wyraźniej zbliżającą się postać i wydawało mu się, że mogłaby być kobietą. Nie, z pewnością nie! — odegnał to przypuszczenie. Nawet niewidome Tajwanki nie miały prawa wstępu do sauny.

Kagami rozchylił usta i ciężko odetchnął. Nie mógł się mylić: z obłoków mgły wyłoniła się plama kobiecych włosów łonowych, ciemnych jak noc; krople wody trzymały się ich kurczowo niczym perły morskiego dna. „To potworne — pomyślał z oburzeniem — cóż za ordynarne naruszenie zasad. Muszę złożyć protest u Sato”.

Nagie biodra zaczęły kołysać się lekko. Kobieta podchodziła do niego coraz bliżej. Poczuł w podbrzuszu pierwsze delikatne dreszcze. Było w tym coś niezmiernie podniecającego, z każdą chwilą wzrastało, nasycalo parne powietrze. Kagami czuł, jak krew zaczyna mu mocniej pulsować, jak zaczyna nabrzmiewać mu członek.

Jednocześnie czuł gwałt zadany świadomości, ponieważ wraz z podnieceniem przyszło wyraźne — choć zupełnie dotychczas nie znane — uczucie, że został sprowokowany, że pożąda wbrew swojej woli.

Widział teraz kolejne fragmenty jej ciała, wysokie stożkowate piersi, twarde i nabrzmiałe ciemne sutki, płaski, lekko wygięty brzuch.

Nie mógł już dłużej skrywać swego podniecenia i, usiłując zataić zażenowanie, wsunął dłonie między uda. Wtedy właśnie po raz pierwszy wyczuł niebezpieczeństwo. Kobieta zatrzymała się przed nim i, stojąc prosto, szeroko rozstawiła nogi. Błyszczące niczym klejnoty krople wody spadały ze skręconych włosów na mocne filary jej ud. Kagami poczuł, że mimo woli wyteża wzrok, aby zobaczyć biegnącą w środku pionową wstęgę — najpiękniejszą z dróg stworzonych przez naturę.

Westchnął głęboko i zaczął krztusić się własną śliną. Żółć napłynęła mu do gardła; oszołomiony, poczuł pustkę w głowie. Na nic erekcja — mógł jedynie wpatrywać się z opuszczoną szczęką we wnętrze jej łona.

Gdy uniósł wzrok, osłupienie wciąż malowało się na jego twarzy; zobaczył tylko parę ciemnych enigmatycznych oczu skrytych za rozpostartym wachlarzem, złota, czerwieni i błyszczącej czerni.

— Kim... — rozpoczął, odnajdując nagle głos.

Wachlarz poruszył się teraz, odsunął i odsłonił łagodny uśmiech na jej twarzy. Pięknej twarzy. Jej śliczny owal i młodzieńczość sprawiły, że Kagami westchnął. I nagle — przebłysk pamięci. Wróciła jasność myśli i owalna twarz o wystających kościach policzkowych zamieniła się w maskę demona.

— To ty! — krzyk wytrysnął z jego otwartych ust niczym gejzer.

I w tym momencie poczuł, jak krawędź odwróconego ruchem mistrza wachlarza przecina jego spocone rozgrzane ciało. Najdotkliwiej zadrasnęła kość policzkową.

Kagami był zbyt powolny, żeby uskoczyć. Cios był tak niespodziewany, zadany tak zręcznie ostrzem ostrym jak brzytwa, że z trudem zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

Myślał tylko, jak ochronić genitalia, i tym samym nie stawiał prawdziwego oporu. Wspaniały złoty wachlarz z trzaskiem uderzył go znowu, znowu i znowu. Krzyczał przy każdym cięciu, lecz uparcie trzymał swe dłonie pomiędzy udami.

Tors kobiety płynął do niego niczym dym na łagodnym wietrze podczas bezchmurnego, letniego nieba. Wydawał się wypełniać pomieszczenie swoją obecnością, wypierając wszelkie światło, całe powietrze. Tak jakby całe życie chwytala dla siebie, za sobą pozostawiała jedynie nieprzeniknioną ciemność.

Ból i cierpienie przesywały jego skulone i drżące ciało jak pociski. Był przerażony ilością krwi tryskającej dokoła, mocą, z jaką odczuwał bicie serca, aż w uszach, i tym, jak mały zrobił się jego członek pod osłoną opiekuńczych rąk.

Wachlarz ponownie uderzył z krótkim świstem. Kagami wytrzeszczył oczy, szeroko otworzył usta. Poczul gwałtowne szarpnięcie stali przecinającej tchawicę i krąg szczytowy.

W jego myślach rozległ się histeryczny krzyk i Kagami zrozumiał w końcu ostateczny cel tego ataku. Uniósł dłonie, końcami palców usiłując odprzeć natarcie. „Wachlarz? — belkotał w myślach. — Wachlarz?” Szarpnął głową i plecami zaczął przesuwając się do góry po gładkich kafelkach ściany. Byle tylko uciec, powrócić do życia.

Kłopoty z żoną, z Toshiro wydały mu się teraz śmiechu warte. Jakże były trywialne w porównaniu z pierwotną walką o życie. O życie! „Nie umrę! — krzyczał jego własny umysł. — Uratuj mnie!”

Dzikim ruchem wyrzucił pięści, usiłując skontrolować napastnika. Ale brakowało mu umiejętności, a upiorny obraz tego, co zobaczył we wnętrzu jej łona, rósł w nim tak, jak rosła jego rozpacz. Wiedział, kim była, chociaż wszelka logika, wszelka tradycja krzyczały, że to niemożliwe.

Kagami wiedział, co go dręczy. Znalazł się pośród koszmarne snu, z którego już nigdy się nie przebudzi. Mimo to wciąż walczył, ponieważ nadzieja była wszystkim. Kurczowo chwycił się życia, trzymał je w sobie, cieszył się świadomością swego istnienia.

Wtedy stalowe ostrze uderzyło jeszcze raz i tlen ledwo przechodzący przez zgniecioną tchawicę przestał docierać do płuc. Krew nie miała dokąd płynąć, płuca falowały najpierw nerwowym rytmem, potem nierównym, gdy dwutlenek węgla wypełnił je i — przez naczynia porowate — cały organizm.

Powieki Kagamiego zatrzepotały, oczy zaczęły płasnąć. Widział przed sobą przeraźliwe oblicze kobiety. Nieczułymi palcami, jak dziecko grzebiące w piasku, przesunął po jej zroszonym potem ciele. Jego świadomość — ostatnia w drodze ku śmierci — usiłowała walczyć dalej, nie pojmując, że ciało, w którym wciąż tkwiła, wpadało już w wyzbytą marzeń otchłań snu.

Kagami wpatrywał się ostatkiem sił w tę twarz, miotał gorzką nienawiścią niczym pociskami. Jego wściekłość była tak dogłębna, że skręcała mięśnie gasnącego ciała. Zaciśnął palce.

Gest ten był daremny, bowiem fale skurczów targały jego podbrzuszem, dostał oczopląsu i nic nie widzące białka błędziły po parujących kafelkach, dryfującej mgłę, stróżkach krwi, które tworząc wzór podobny do labiryntu, powoli spływały do ścieku pośrodku pustego pomieszczenia.

Nangi wstał i odszedł od stołu konferencyjnego na swych sztywnych, niezdarnych nogach. Był to sygnał do przerwy w posiedzeniu.

W czasie gdy Tomkin podnosił się ociężale, by wyjść z pokoju, Nicholas podszedł do jednego z wysokich okien wychodzących na Shinjuku. Krople deszczu spadały na morze parasoli i porywały pozostałości kwiatów wiśni porzucając je wzdłuż rynsztoków i alei parkowych; stopy przechodniów rozcierały je wkrótce w drobny pył.

Nicholas wpatrywał się pustym wzrokiem w pogrążone we mgle miasto. Przez ostatnie trzy i pół godziny siedzieli w zamknięciu niczym wojownicy walczący zażarcie na polu bitwy: Sato, Nangi, Suzuran — ich prawnik, Matsuo Ishii — wiceprezes do spraw operacyjnych i prawa ręka Sato, wspierany przez trzech kierowników wydziałów, Tomkin, Greydon — doradca Tomkin Industries i on sam. Była teraz godzina szczytu i tłumy ludzi pędziły jaskrawo oświetlonymi ulicami Tokio do swych domów lub na połączone z kolacją rendez-vous.

Ale tutaj, w przestronnych biurach Sato, nie było żadnego ruchu. Nicholas westchnął. Czasami nawet on sam stwierdzał, że kontakty z Japończykami stanowią męczące doświadczenie. Ich widoczna niechęć do podejmowania decyzji, choć stanowiła oczywisty element taktyki negocjacyjnej, była często posunięta do przesady. Nicholas częstokroć żywił przekonanie, że po upływie tygodni, a nawet miesięcy Sato i Nangi wciąż będą walcować te same kwestie, które podjęli podczas pierwszych pięciu kwadransów obrad wstępnych.

Godzinę temu, gdy kierownicy wydziałów: Oito — wiceprezes do spraw akwizycji, Kagami — wiceprezes do spraw finansowych oraz Sosuro — wiceprezes do spraw badań i rozwoju przeprosili wylewnie i po podwójnej rundzie ceremonialnych ukłonów zebrali się do wyjścia, wydawało się, że jest jakaś nadzieja na przełom.

Nicholas dostrzegł dyskretny znak dłonią, który dał im Sato, i nabrał otuchy. Wierzył wtedy, że negocjacje mają wejść w fazę, w której według Japończyków — czujących się pewniej w otoczeniu sztabu kierowników — powinni uczestniczyć wyłącznie szefowie.

Lecz to, co nastąpiło potem, było rozczarowujące: jeszcze jedna z wyraźnie nie kończących się dyskusji, której uczestnicy miotali się wokół tych samych głównych punktów dotyczących rozbieżności. Jedną był podział środków finansowych pomiędzy Sphynxem a Nippon Memory. Druga rozbieżność była trochę bardziej dezorientująca dla Nicholasa, ponieważ chodziło o temat, o którym nie został poinformowany przed negocjacjami.

Dotyczyła kwestii, gdzie należy zbudować wytwórnię spółki Sphynx-Sato. Tomkin najwyraźniej dokonał prawie osiemnastomiesięcznej

analizy kosztów, porównując harmonogramy wykonawcze, raporty pogodowe, logistyki produkcji i dostaw. Wszystko wskazywało na budowę zakładów w Misawie, na terenie będącym własnością *keiretsu*. Jedynym sąsiadem zakładów w tym małym mieście, najbardziej na północny zachód wysuniętym punkcie Honshu, głównej z japońskich wysp, była baza armii amerykańskiej.

Lecz — jak Sato zaznaczył podczas spotkania otwierającego negocjacje — ten skrawek łądu został już przeznaczony do wykorzystania jako teren rozbudowy *kobunu* Niwa Mining, który wchodził w skład *keiretsu*.

Omawiali w kółko tę sprawę i żadna ze stron nie zyskiwała, ani też nie traciła pola. To doprowadzało do szału. Był pewny, że zdołają przetrzymać Sato i Nangiego.

Przypomniał sobie teraz rozmowę, którą odbył z Tomkinem przed opuszczeniem hotelu.

Uderzyła go bladość Tomkina, lecz szef lekceważąco zbył jego pytanie.

— To tylko nawrót grypy — powiedział. — Gdybyś nie spał całą noc z powodu biegunki, też nie byłbyś w najwyższej formie, twarzędziu.

— Cokolwiek tam się wydarzy, zachowaj spokój — radził Nicholas. — Zrobię wszystko, co tylko mogę, aby zwolnić tempo, aby używać wymijających sformułowań i jednocześnie prowokować. Zechcą nam zajrzeć za gardę, żeby poznać naszą strategię. Będą również musieli się dowiedzieć, jak mocno mogą nas przycisnąć. Przekroczenie tej granicy spowodowałoby, że utraciliby twarz. — Wzruszył ramionami. — To surowo przestrzegana standardowa procedura operacyjna.

Tomkin pochylił swą zmizerowaną twarz ku twarzy Nicka, tak że mógł czuć kwaśny oddech tamtego dobywający się z pustych, skreconych trzewi.

— Więc zrób coś, Nick, żeby zmienili tę procedurę. Jest mi obojętne, jak tego dokonasz, po prostu zrób to. Nie jestem jednym z tych wazeliniarzy, którzy z czapką w dłoni przychodzą do Japończyków, aby wyżebrać koncepcję.

— Świetnie. W takim razie wystarczy, że ich przeczekamy. Czy muszę ci znowu powtarzać, iż cierpliwość jest tutaj wszystkim? Jest to jedyna cecha, której nie są w stanie wyobrazić sobie u piekielnego obcokrajowca. Nie obawiaj się. Uzyskam to, czego od nich oczekujesz.

Wtedy głos Tomkina zmienił się. Jak dziecko uchwycił się ramienia Nicholasa.

— Nie, nie — rzucił zdyszczanym głosem — nie rozumiesz, Nicky. Nie ma na to czasu. Ta umowa musi być zawarta najpóźniej do przyszłego tygodnia.

— Zmrużył swe piwne oczy. — Mam... mam zobowiązania. Nie mogę zawrócić... Od tej fuzji zależą wielkie sumy... Pożyczki do spłacenia... Płatności, których trzeba dokonać. Przede wszystkim płatności... Długi do oddania. — Spojrzenie nabrało ostrości, oczy spoczęły na twarzy Nicholasa. — Ty mnie nie zawiedziesz, Nicky. Nie teraz. Jesteś przecież prawie moim zięciem.

Nicholas odwrócił się od pokrytego strużkami deszczu okna, gdy usłyszał powracającego Tomkina. Po chwili poczuł obok siebie obecność wielkiego mężczyzny.

— Nadszedł czas, Nicky — wyszeptał Tomkin. — Parę minut temu omal nie trafiłem Nangiego. Oni są jak cholerne muły.

— To o niczym nie świadczy — rozpoczął Nicholas. — Robią dokładnie to, o czym ci mówiłem. To tylko kwestia...

Tomkin chwycił go za rękaw.

— Posłuchaj, Nicky. Nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Wiesz o tym. Widziałeś raporty, na litość boską. Pożrą nas żywcem, jak wrócimy.

— Więc zostawmy im Misawę. Możemy wybudować...

— Nie! — Ton głosu Tomkina był ostry. — Misawa nie będzie przedmiotem negocjacji pod żadnym względem, rozumiesz?

Nicholas spojrział surowo na szefa.

— Czy dobrze się czujesz? Może powinienem wezwać lekarza?

Tomkin skrzywił się z bólu.

— Cholerne japońskie robactwo. Zżera mnie od środka i od zewnątrz. — Warknął krótko, jakby chcąc rozwiać obawy Nicholasa: — O co chodzi, Linnear, nie sądzisz, że wiem, kiedy łapię grypę?

Nicholas wpatrywał się w niego surowo przez następną minutę, po czym lekko skinął głową.

— W porządku. Usiądź przy stole. Będę tam za chwilę. Chcę być ostatni. Potem się zamknij i pozwól mi mówić.

— Co masz zamiar powiedzieć?

— Nie lubisz niespodzianek?

— Nie, gdy w grę wchodzi wielomilionowa fuzja — mruknął Tomkin, ale zrobił tak, jak mu kazano.

Nicholas powrócił do zamazanego obrazu miasta. Nie myślał o niczym. W pokoju zapadła cisza. Czuł woń tytoniu następnego papierosa, którego zapalił Nangi, słyszał delikatny szum klimatyzacji. Nic poza tym.

Strategia. Powrócił myślami do Musashiego. To, czego wymagała sytuacja, było odmianą układu: „Istniejące nastawienie — nie istniejące nastawienie”. Uczono go, że w chwili gdy walczący chwytają rękojęć miecza, ilekroć

podrywa się, broni lub paruje ciosy przeciwnika, musi w tym samym ruchu zadawać śmiertcionośne cięcia. Jeśli zbyt mocno zastanawia się nad swym postępowaniem, nie zdobędzie przewagi i nikomu nie wyrządzi krzywdy.

Nicholas trzy razy głęboko odetchnął. Odwrócił się i podszedł do stołu konferencyjnego, przy którym pozostałych pięciu mężczyzn czekało na niego cierpliwie. Wiedział teraz, co musi zrobić, lecz zanim mógł zdecydować, jak tego dokonać, potrzebował klucza do strategii Japończyków.

Spojrzał na Nangiego, który, niczym dyrygent zaprowadzający porządek wśród muzyków, strzepywał papierosa do stojącej przed nim ceramicznej popielniczki.

— Chyba omówiliśmy dzisiaj tyle spraw, ile było można — rzekł obojętnym tonem.

Sato natychmiast potrząsnął głową.

— Wiem z własnego doświadczenia, że dobijanie targu jest często trudne. Przez długie okresy drogi są zamknięte, po czym nagle stają otworem. Sądzę, że powinniśmy kontynuować.

Nicholas obserwował tę szaradę z ogromnym zainteresowaniem. Spotkał się już wcześniej z tą strategią niedźwiedzia i borsuka; doprawdy, dobrze ją znał. Gdy pracował dla agencji reklamowej Sama Goldmana w Nowym Jorku, zaproponował, aby właśnie tę strategię zastosować wobec opornego klienta. Dość dobrze zdała egzamin. Goldman był w niej niedźwiedziem — człowiekiem nieugiętym. To sprawiło, że klient instynktownie zaprzagnął przeciągnąć Nicholasa na swoją stronę. Nicholas perfekcyjnie odegrał rolę borsuka — człowieka ustępliwego.

Zanim Tomkin zdołał odpowiedzieć, Nicholas rzekł:

— Jeżeli o mnie chodzi, to widzę, że jesteśmy w zupełnym impasie. Zgadzam się z Nangi-san. Nie rozumiem, co dobrego w tej chwili może nam przynieść dalsza dyskusja.

— Chcesz zerwać negocjacje? — Sato spytał z lekkim niedowierzaniem; był tak przestraszony, że zapomniał użyć grzecznościowego zwrotu.

Nicholas potwierdził skinieniem głowy.

— Chyba że możecie wystąpić z bardziej konstruktywną propozycją. Sądzę, iż najkorzystniejsze dla nas wszystkich byłoby chwilowe ochłonięcie. — Chodziło o zamianę ról: wzięcie strony niedźwiedzia, odtrącenie borsuka.

— Mam przeczucie — rzekł cicho Sato — że przerwa tylko usztywni nasze wzajemne stanowiska. Boję się, że gdy ponownie spotkamy się, będziemy

różnić się jeszcze bardziej, stawiać jeszcze silniejszy opór.

— Nikt z nas, jak sądzę, nie pragnie konfrontacji — rzekł ostrożnie Nicholas. — Przyjechaliśmy tu, aby razem pracować dla wzajemnych korzyści. — Przerwał oczekując, iż Tomkin wpadnie mu w słowo i potwierdzi nagłą potrzebę rozpoczęcia procesu wytwarzania mikroprocesorów. Lecz ten milczał. — Wszyscy zdajemy sobie sprawę z potrzeby szybkiego utworzenia *kobunu* Sphynx-Sato — mówił Nicholas. — Muszę wam wyznać, że wokół głównych siedzib firmy Sphynx w Connecticut oraz w Dolinie Krzemowej miały miejsce pewne... mhm... sekretne działania. Mówiąc zupełnie otwarcie, jesteśmy w podobnej sytuacji jak ta, w której wy znajdujecie się tutaj. Jesteśmy małym przedsiębiorstwem, chociaż mamy ogromny potencjał wzrostu. Lecz dziś znajdujemy się w cieniu trzech lub czterech gigantów, którzy zrezygnowaliby dosłownie z połowy swych czystych zysków z ostatnich pięciu lat, żeby zdobyć sekret nowego mikroprocesora T-PRAM firmy Sphynx, mikroprocesora całkowicie programowalnej pamięci o dostępie swobodnym.

— Jeżeli macie trudności z zabezpieczeniem waszych tajemnic — rzekł Ishii, zbliżając się do przynęty — z pewnością nie możecie spodziewać się, że wyciągniemy dłoń, aby wam pomóc. Z pewnością nie po skandalach w roku ubiegłym i dwa lata temu. — Miał na myśli członków wielu najśłynniejszych firm komputerowych w Japonii, przyłapanych podczas prób szpiegostwa przemysłowego w Dolinie Krzemowej.

— Pan mnie zupełnie nie zrozumiał — odparł Nicholas; jego ton i słowa były rozmyślnie szorstkie. — Chodzi mi o to, że jeśli próby przemysłowego szpiegostwa zaczynają się w Ameryce, jest rzeczą rozsądną i rozważną oczekiwać powstania identycznej sytuacji tutaj. Oprócz posiadłości w Misawie, która — sądzę, że wszyscy się z tym zgadzamy — jest idealna dla naszego przedsięwzięcia, o ile, rzecz jasna, nie zaczęliście już wielkiej rozbudowy *kobunu* Niwa Mineral Mining, dostępny jest mały, lecz odpowiedni obszar pośrodku pasa przemysłowego Keiyo w prefekturze Chiba.

Ishii skinął głową. Był niedźwiedziowatym człowiekiem, dość przystojnym, z krótkimi, szpeciniastymi włosami i bystrzymi oczami w kolorze delikatnego brązu. Marynarka jego garnituru marszczyła się na mięśniach ramion i klatki piersiowej.

— Oto nasze idealne miejsce.

Nangi uśmiechnął się blade, wyczuwając, że *gaijin* sam zapędził się w kozi róg.

— Ishii-san ma zupełną rację. Jak pan wie, Keiyo zbudowano na terenie wydartym Zatoce Tokijskiej. Jest blisko centrum miasta, blisko głównych biur i zakładów Sato Petrochemicals. Logistyka wysyłki oraz odbioru dostaw byłaby znacznie uproszczona i, jako taka, z nawiązką wynagrodziłaby wyższą cenę samego terenu. — Nangi rozparł się, zadowolony z kierunku, w jakim postępowały negocjacje.

Jednak tylko Nicholas potrafił odczytać tę subtelną mimikę twarzy, która poza tym była idealnie spokojna. Pozwolił, aby zapadła krótka cisza, po czym pochylił się do przodu i kierując swe słowa przede wszystkim do Nangi, rzekł:

— Ale to właśnie niepokoi mnie najbardziej. Bliskość Keiyo względem Tokio. Ta bliskość w połączeniu z faktem, że zakłady byłyby rzeczywiście otoczone przez naszych większych i potężniejszych konkurentów, wzbudza we mnie niepokój.

Konzern Sato nie mógłby zatrudnić dostatecznej liczby personelu, aby zapobiec nieuniknionym problemom z bezpieczeństwem; nie chcielibyśmy tego. Koszt oraz dodatkowe działania byłyby z pewnością niekorzystne dla interesów nowego *kobunu*. Dla kontrastu natomiast, jeżeli zorganizujemy zakład w Misawie, małym mieście daleko na północ od wszelkich głównych ośrodków przemysłowych, będziemy mieli za sąsiadów jedynie firmę Niwa oraz bazę armii USA; żadna z nich moim zdaniem nie stanowi najmniejszego zagrożenia dla bezpieczeństwa tajemnic procesora T-PRAM firmy Sphinx. — Spojrzał na kilka kartek papieru leżących przed nim, jakby dotyczyły tego, co właśnie miał powiedzieć. — Panowie, jeżeli zaś chodzi o teren utracony przez Niwę, rozmawiałem z panem Tomkinem i zgodził się — w momencie naszej fuzji Niwa będzie jedną z naszych siostrzanych firm, za której pomyślność musimy ponosić częściową odpowiedzialność — sfinansować zakup nowego terenu, tak aby plany *kobunu* związane z natychmiastową rozbudową nie zostały w jakikolwiek sposób opóźnione.

Rozpostarł dłonie i obserwował, jak na twarzach Japończyków zaczyna malować się przerażenie.

— Cóż mogłoby być bardziej uczciwe...

Poruszenie tuż za drzwiami biura sprawiło, że przerwał. Słysząc było kilka głosów przepełnionych niepokojem lub gniewem. Potem — w przeważającej części męskie głosy zagłuszył wysoki głos kobiety, bliższy teraz niż pozostałe, zabarwiony uczuciem bliskim histerii.

Po chwili drzwi otworzyły się z hukiem i panna Yoshida, potykając się, wpadła do środka. Pasma czarnych włosów wypadły spod jej nieskazitelnego

czepka i nie przytrzymywane spływały teraz na uszy i oczy.

Twarz miała ściągniętą i wydawało się, że krew odpłynęła z jej policzków.

Pochyliła się do ucha Sato. Początkowo Nangi, który wciąż boleśnie odczuwał uwagę Nicholasa, nie patrzył na dziewczynę. Za bardzo był wściekły. W miarę jak panna Yoshida kontynuowała swój szeptem składany raport, ziemistość cery Sato stawała się coraz bardziej wyrazista; Nangi skierował na nią miażdżące spojrzenie.

Nie powiedział nic, tylko uważnie obserwował. Panna Yoshida, skończywszy opowieść o tragedii, wstała. Jej oczy były rozbiegane niczym para przerażonych siewek; wzrok nie zatrzymał się nawet na chwilę, ani razu nie spojrziała w oczy mężczyźni siedzących dokoła stołu.

Po chwili Sato zwrócił się do Ishiiego:

— Poinformuj, proszę, Kotena, że jest potrzebny. — Potem, gdy kierownik odszedł, pochylił się i przez chwilę mówił coś Nangiemu do ucha. Ciało starszego mężczyzny zeszywniało, odskoczył od Sato, jakby ten poraził go prądem elektrycznym. Odwrócił głowę.

— Panowie nam wybaczą. Naprawdę muszę o to prosić. Spotkanie dobiegło końca. Proszę wychodząc skontaktować się z panną Yoshida, która ustali termin naszego następnego spotkania.

Dłoń Sato spoczęła na jego ramieniu.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Nangi-san, chciałbym, żeby pan Linnear nam towarzyszył.

— Co takiego? — Okrzyk Nangiego, będący naruszeniem — przynajmniej jeżeli o niego chodzi — żelaznej etykiety, której zgodnie z nakazami tradycji nie wolno było łamać, został szybko stłumiony. Chciał powiedzieć, że to nie jest interes żadnego z *gaijinów*, że wprowadzenie w tak intymną sprawę jest niebezpieczne. Lecz nauczono go, iż nie dyskutuje się z członkiem rodziny — złączonym więzami krwi czy też firmy — wobec ludzi z zewnątrz. Tak więc, mimo że stanowczo był temu przeciwny, nie rzekł ani słowa, skłonił jedynie lekko głowę.

— Proszę, Linnear-san — rzekł Sato tytułem wyjaśnienia — wydarzyła się straszna tragedia. Znam pańskie umiejętności. — Gdy Nicholas zaczął protestować, uniósł rękę. — Naprawdę niepotrzebnie pan zaprzecza. — Płasko ułożył dłoń na stole. — Ale zanim pójdziemy, muszę mieć pańskie zapewnienie, że to, co pan zobaczy i usłyszy, zachowa pan wyłącznie dla siebie.

Nicholas zrozumiał, jakiego dostąpił zaszczytu, i zaczął potwierdzać skiniem głowy.

— Żaden z pracowników mojego przedsiębiorstwa nie złoży tak jednostronnej obietnicy — rzekł nagle Tomkin. — To, o co pan prosi, może okazać się szkodliwe dla firmy Tomkin Industries. On nie może złożyć takiego przyrzeczenia.

— Mogę — powiedział Nicholas — i składam. Ma pan moje słowo, Sato-san, że nic nie wyjawię żadnej postronnej osobie.

— Łącznie z policją?

— Co to ma, do cholery, znaczyć? — zawołał Tomkin. — Co wy obaj próbujecie wykombinować? — Wstał. — Daj spokój, Nick, zbierajmy się stąd.

Nicholas nie uczynił żadnego ruchu. Jego spojrzenie utkwilo w oczach Sato. — Prosi pan o wiele. — Głos był cichy, lecz mimo to wyraźnie rozbrzmiewał w pokoju. Panna Yoshida ochłonęła już nieco. Stała teraz tuż za Sato; wpatrywała się w nich nieruchomo. Nawet Tomkin umilkł.

— *Hai* — Sato skinął głową. — Tak. Ale nie proszę o więcej, niż prosiłby partner partnera. Rozumie pan, to jest teraz rodzina.

— *Hai*. — Głowa Nicholasa schyliła się, jak chwilę wcześniej głowa Sato. — Moje przyrzeczenie jest aktualne. Obejmuje wszystkich.

— No cóż — rozpoczął Tomkin — nie chcę brać w tym udziału. Nick, jeżeli sądzisz... — Zamarł, gdy Nicholas spojrzał na niego; w tych ciemnych oczach była taka siła woli, że usiadł z powrotem bez słowa. Kiedy już siedział, Nicholas odwrócił głowę do Sato.

— To dotyczy również Tomkina. Sato uklonił się.

— Dobrze. — Wstał. — Proszę iść za mną.

Przy windzie spotkali Ishiego oraz innego Japończyka. Ten drugi mężczyzna był ogromnego wzrostu. Miał na sobie *montsuki* i *hakama*. Granatowoczarne włosy były misternie upięte w *chômage*, fryzurę wyróżniającą *yokuzunę* — wielkiego mistrza *sumo*. Sato przedstawił go jako Kotena. Nie było wątpliwości, że jest członkiem ochrony osobistej.

Nicholas zatrzymał ich w korytarzu przed sauną. Dopływ pary do pomieszczenia został odcięty, lecz mimo to Sato zasugerował, żeby przed wejściem zdjęli marynarki. Panna Yoshida każdą z nich starannie ułożyła na swej lewej ręce. Została za drzwiami; dziwaczna strażniczka o szklistych oczach. Nikogo więcej nie było w pobliżu.

— Jezu Chryste — powiedział Tomkin, gdy zobaczył ciało na kafelkowej ławie.

— Proszę uważać na krew — rzekł Sato i wszyscy zatrzymali się na obrzeżu pomieszczenia. — Kagami-san został znaleziony na parę chwil przedtem, jak panna Yoshida przerwała nasze spotkanie. — Nangi stał

kołysząc się lekko, wsparty na lasce; nie odezwał się ani słowem.

— Czy widzicie jego policzek? — spytał Sato. — Lewy.

Tomkin spojrział na Sato; miał dosyć samego widoku nieładu panującego w pomieszczeniu.

— Nie wygląda pan na załamanego.

Sato odwrócił się do niego.

— On nie żyje, Tomkin-san. *Karma*. Nie mogę uczynić nic, co przywróciłoby mu życie. Był z nami przez wiele lat i będzie mi go brakować. Intymność smutku jest czymś zrozumiałym w tym kraju.

Tomkin odwrócił głowę i włożył rękę do kieszeni. Sato obserwował go przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

— Linnear-san? — rzucił cichym głosem.

Nicholas nie poruszył się od momentu, gdy wszedł do sauny i dostrzegł zwłoki. Lewy policzek mężczyzny natychmiast przyciągnął jego spojrzenie.

— To mi przypomina ideogram. *Kanji*. — Głos Sato niósł się w pomieszczeniu.

— Widzę tylko krew — krótko uciął Nangi. — Zadano mu co najmniej tuzin cięć.

Nicholas bez słowa ostrożnie przeszedł po mokrej podłodze. Wszędzie były różowe, żyłkowate kałuże, lecz poruszał się z taką uwagą i gracją, że ich nawet nie dotknął. Tomkin widział już, jak Nicholas porusza się w ten sposób, tamtej nocy w jego biurówcu, gdy Saigo przyszedł go zabić.

Ruchem szybkim, niczym muśnięcie owada po nieruchomej powierzchni jeziora, Nicholas wyjął chusteczkę i starannie starł z policzka Kagamiego strużki na pół zakrzepłej krwi.

Przez rozchylone usta Nangiego wydobył się świszczący oddech.

— To mistyczny symbol.

— Co oznacza? — zapytał Tomkin.

— *Wu-Shing* — odparł Nicholas. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Krew tętniła mu w skroniach niczym kowalski młot. Poczul, że traci poczucie rzeczywistości.

— To po chińsku, wiem — rzekł Sato. — Po starochińsku na dodatek. Ale nie widząc symbolu, nie wiem, co oznacza.

Nicholas obrócił się; twarz miał bladą. Oderwanie się od widoku tego krwistopurpurowego znaku, jarzącego się ze złowieszczym rozmysłem, sprawiło mu wyraźną trudność. Spojrział na wszystkich.

— *Wu-Shing* — mówił powoli — stanowią w chińskim prawie karnym serię rytualnych kar.

Przez pewien czas panowała cisza. Sato przeniósł spojrzenie z Nicholasa na żalodne zwłoki swego pracownika i przyjaciela. Gdy ponownie spojrzął na niego, rzekł:

— Jest coś jeszcze, prawda?

Nicholas potwierdził skinieniem głowy. Miał smutne oczy. Nigdy nie sądził, że powie coś takiego w swoim życiu. Odwrócił się i ponownie spojrzął na znak wytrawiony w ludzkim ciele, straszliwy i drwiący.

— To *Mo* — rzekł. — Oznacza tatuowanie twarzy. I to jest pierwsza z okaleczających kar, których nauczano w Tenshin Shoden Katori. — Kiedy odwrócił się do nich, serce mu waliło; nie mógł już dłużej patrzeć na jarzący się znak. — To jest *ryu* wojowników, do których ja również należę.

Nicholas wchodził właśnie do pokoju Tomkina, gdy dotarł do niego dźwięk telefonu. Głos Justine, słaby i zniekształcony elektroniką, sprawił, że wydało mu się, jakby od tygodni był z dala od niej.

— Tak bardzo za tobą tęsknię, Nick. Bez ciebie West Bay Bridge nie jest już takie samo. Chciałabym być z tobą w tym obcym kraju.

— Japonia nie jest obca — odparł bez namysłu. — Za bardzo przypomina dom.

— Nawet teraz? Po tych wszystkich latach?

Poniewczasie wyczuł w jej głosie przerażenie, lecz nic nie mógł na to poradzić.

— Mam japońską duszę — odparł. — Powiedziałem ci o tym, gdy spotkailiśmy się po raz pierwszy. Być może zewnętrznie podobny jestem do ojca. Lecz wewnątrz... przebywa *kami* mojej matki. Nic na to nie mogę poradzić, równie dobrze mógłbym próbować ściągnąć chmury z nieba. Nie chciałbym tego robić.

Na chwilę zapadła cisza, delikatne trzeszczenie kabla nie było w stanie ukryć jej oddechu.

— Nie będziesz chciał zostać, prawda? — Jej głos był delikatny niczym głos dziecka.

— Na stałe? — Roześmiał się. — Dobry Boże, ależ nie. Skąd ten pomysł?

— Nick, proszę, pozwól mi przyjechać. Mogę polecieć wieczornym samolotem. Przysięgam, że nie będę przeszkadzać. Chcę tylko być blisko ciebie. Znowu trzymać cię w ramionach.

— Justine — rzekł najdelikatniej, jak tylko potrafił — to po prostu niemożliwe. Tutaj jest zbyt wiele do zrobienia. Nie mielibyśmy czasu dla siebie.

- Nawet nocą?
- To nie jest praca od dziewiątej do piątej.
- Myślę, że lubiłam cię bardziej, gdy nic nie robiłeś.
- Teraz jestem szczęśliwy.
- Nick, proszę, pozwól mi przyjechać. Nie będę...
- Nie ma mowy. Wkrótce wrócę do domu.

Ten śpiewny dźwięk w kablu, jak gdyby *kami* — unosząc się — stawały się niespokojne.

— Prawdę powiedziawszy jestem przerażona, Nick... Miałam powtarzający się sen; rodzaj... ostrzeżenia. Boję się, że przydarzy ci się coś okropnego. A ja będę tutaj. — Jej głos załamał się nagle. — Wtedy tam nie będzie nikogo.

— Justine — rzekł cicho — wszystko jest w porządku i nadal tak będzie. Jak tylko wrócę, pobierzemy się. Nic nie jest w stanie temu zapobiec. — Cisza. Usunął ze świadomości myśl o morderstwie. — Justine?

— Słyszałam. — Powiedziała to tak cichym głosem, że musiał wyężyć słuch.

— Kocham cię — rzekł i odłożył słuchawkę.

Zastanawiał się, czy mógł powiedzieć coś jeszcze. Opanowanie jej irracjonalnych myśli było czasami niemożliwe. Nocne lęki. Fobie. Groza ciemności. Wszystko to było obce Nicholasowi i trudno było mu zrozumieć trwałość ich władzy nad innymi, niepodobnymi do niego.

Nick, co tu się, u licha, dzieje? — Tomkin, popielaty na twarzy, oparł się o framugę drzwi prowadzących z sypialni apartamentu do dużej łazienki. — Przyjeżdżam do Tokio, żeby negocjować natychmiastową fuzję, i nagle zostajemy wplątani w dziwaczne, rytualne morderstwo; gdybym tego chciał, pojechałbym do południowej Kalifornii.

Nicholas uśmiechnął się blado, słysząc te pozory poczucia humoru i usiadł na brzegu królewskiego łóża. Znajdowali się z powrotem w hotelu „Okura”. Był późny wieczór, a obydwaj niczego nie jedli od śniadania, na które Tomkin nie miał nic prócz herbaty i grzanki; zwymiotował natychmiast po jej zjedzeniu.

— Najpierw coś zjedzmy — rzekł Nicholas. — Porozmawiamy potem.

— Porozmawiamy, a jakże! — odparł Tomkin, gdy chwiejnym krokiem wchodził do sypialni. — Wydajesz się wiedzieć coś więcej o tym — jak to nazwałś?

— *Wu-Shing*.

— Taaak. Jesteś ekspertem. Wytlumacz mi.

Nicholas przeczesał palcami włosy.

— Zgodnie z tradycją istnieje pięć rodzajów kar, każda z nich odpowiada poważniejszemu występкови. Dlatego też każda następna kara jest surowsza od poprzedniej.

— Cóż to ma wspólnego z Sato Petrochemicals?

— Nie wiem.

Tomkin zerknął na młodszego od siebie mężczyznę, po czym podszedł powoli do komody i naciągnął wyblakłe jeansy oraz błękitną roboczą koszulę. Nasunął parę lśniącoczarnych, ręcznie szytych mokasynów.

— Domyślam się, że jesteś głodny jak wilk. — Nicholas uniósł wzrok.

— A ty nie?

— Szczerze mówiąc, widok jedzenia przyprawia mnie o mdłości. Mam lekką gorączkę, więc nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Pozwolę, by sprawy biegły swoim torem. — Przerwał. — I nie patrz na mnie w ten sposób. Gdy to robisz, przypominasz mi matkę. Czuję się doskonale.

Zadzwoił telefon i Tomkin podszedł, by go odebrać. Przez pewien czas mówił ściszym głosem, potem położył słuchawkę na widełki.

— To Greydon. Chciał, żebym mu zezwolił na wyjazd do Misawy, w odwiedziny do syna. Wygląda na to, że chłopak stacjonuje w tamtejszej bazie lotniczej. Jest pilotem myśliwca i wyznaczono go do jednego z pierwszych lotów próbnych na nowych F-20, które właśnie zostały sprowadzone. Sądzę, że Greydon wyczuwa pewne niebezpieczeństwo.

— Ma zupełną rację — rzekł Nicholas. — Stacjonowanie w Misa- wie sprawia, że ponaddziesięć tysięcy odrzutowce znajdują się zaledwie trzysta siedemdziesiąt pięć mil od Władywostoku oraz w pobliżu należącego do Związku Radzieckiego wybrzeża Pacyfiku.

Tomkin wzruszył ramionami.

— No więc? W czym mogą ewentualnie zaszkodzić?

— Te F-20 mają zdolność przenoszenia głowic nuklearnych — odparł Nicholas. — A Rosjanie boją się ich jak ognia. Właśnie dlatego obserwowaliśmy w minionym roku alarmującą rozbudowę sowieckich urządzeń militarnych na Kuryłach.

— Kuryłach?

— Wyspach Kurylskich. Tworzą łańcuch na północ od Hokkaido, najbardziej na północ wysuniętej wyspy Japonii — tej samej, na której odbyła

się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku zimowa olimpiada. W rezultacie łączą one szeregiem kamiennych stopni południowy wschód Rosji z Japonią.

Kuryle stanowiły terytorium japońskie, zanim zostały zagarnięte — Japończycy twierdzą, że bezprawnie — w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, pod koniec wojny. Całkiem naturalne, że chcą je odzyskać. — Nicholas podniósł się z łóżka. — Ostatnie raporty podają, że na Kurylach stacjonuje obecnie ponad czterdzieści tysięcy żołnierzy rosyjskich. Całkiem niedawno wysłali szwadron dwunastu ponaddźwiękowych myśliwców bombardujących MIG-21, aby zastąpić nimi poddźwiękowe MIG-17; najwidoczniej czuli, że F-20 przewyższają je. Mają bazę lotniczą na Etorufu lub — jak ją nazywają — Iturup.

— Wydaje się, że sporo o tym wiesz.

— To dotyczy Japonii, Tomkin — spokojnie odparł Nicholas. — Tak więc dotyczy również mnie. Sytuacja jest poważna. Greydon ma wszelkie podstawy do niepokoju. Mam nadzieję, że dałeś mu wolny weekend. Jutro czeka nas tylko ślub, a negocjacje nie zostaną wznowione przed poniedziałkiem.

— Rezerwuje sobie teraz bilet — rzekł Tomkin. — Czy aprobujesz to?

— Jeżeli synowi Greydona nie uda się powrócić z tego lotu, będziesz szczęśliwy, że pozwoliłeś mu zobaczyć się z chłopcem.

Na moment zapadła cisza. Telefon zadzwonił znowu, ale żaden z nich nie zrobił ruchu, aby go odebrać. Za chwilę przestał i na jego podstawie zaczęło mrugać małe czerwone światełko.

— Mówiłem ci przedtem — rzekł w końcu Tomkin — że mój stary był prawdziwym sukinsynem. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo go czasami nienawidziłem. — Złożył dłonie jak do modlitwy. — Ale kochałem go również, Nick. Bez względu na to, co uczynił mnie oraz matce. Był moim ojcem... Rozumiesz? — Pytanie było retoryczne i Nicholas przemilczał je.

Tomkin westchnął.

— Sądzę, że pod pewnym względem okazałem się taki sam jak on. Wiele lat temu nie uwierzylbym, że coś takiego jest możliwe. Ale upływający czas... — Jego głos osłabł. — Czas zna sposób na formowanie ludzi dla swych własnych celów. Pamiętasz Chrisa? Justine musiała ci o nim opowiadać. Był ostatnim z jej chłopców, zanim poznała ciebie. Skończony drań. Seksowny jak diabli. Uwiódł ją, skłonił do przeprowadzki do San Francisco. Używała wtedy swojego prawdziwego nazwiska — Tomkin. Otrzymywała ode mnie comiesięczne stypendium. Było bardzo szczodre. Zabrała wszystko.

To... — Wzrok uciekł na moment w bok, być może szukał miejsca schronienia. Wzdrygnąwszy się, Tomkin zrobił głęboki wdech. — To, że zabrała wszystko, sprawiło, że poczułem się lepiej. Złagodziło poczucie winy za wszystkie lata, kiedy akceptowałem jej obecność i żądania, bym poświęcił jej swój czas, tylko wtedy, gdy to mi odpowiadało.

Pieprzyli się tam jak króliki; cały ten związek polegał tylko na seksie. Przynajmniej ja tak myślałem. Justine żądała coraz więcej pieniędzy, potem jeszcze więcej. Wynająłem w końcu zespół detektywów, żeby odkryć, co się, u diabła, dzieje. W dwa tygodnie później wsiadłem w firmowy odrzutowiec i poleciałem. Wręczyłem mojej drogiej córeczce wszystkie dowody. Spakowałem ją i tego popołudnia, zanim wrócił Chris, zabrałem ją do domu.

Wydawało się, że Tomkin miał trudności z oddychaniem w miarę narastania emocji.

— Ten gówniarz wykorzystywał moje pieniądze... — przerwał raptownie, oczy miał szeroko otwarte i rozpalone. — Jej pieniądze wykorzystywał do finansowania handlu kokainą. Sam zażywał, a poza tym... Zdradzał ją każdego dnia. — Nie krył swej odrazy. — Jednak ona nienawidzi mnie za tę ingerencję. Śmiechu warte, prawda? Powoli zabijał ją swą niewiernością i szaleństwami. Bił ją i... — Głos utkwiał mu w gardle. Przesunął dłonią po mokrych włosach. — Ale teraz przynajmniej ma ciebie, Nicky. To najważniejsze.

Przez cały ten czas Tomkin nie odrywał wzroku od Nicholasasa. Był przenikliwym człowiekiem o bystrym, analitycznym umyśle. Brak tolerancji dla obcego obyczaju i brak cierpliwości w żaden sposób nie mogły temu zaprzeczyć.

— A teraz twoja kolej. Zwlekasz z powiedzeniem mi czegoś. — Głos miał spokojny; było w nim więcej siły niż przez kilka ostatnich dni. Mówił prawie jak ojciec. — Myślę, że będzie lepiej, jeśli powiesz mi, o co chodzi, ponieważ mam zabawne wewnętrzne przeczucie, że to ma coś wspólnego z *Wo Ching*, czy jak tam to nazywasz.

— Tomkin...

— Nick, masz obowiązek wobec mnie. Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz.

— Miałem nadzieję, że ci tego nie powiem — westchnął Nicholas.

— Dlaczego, na litość boską? Mam prawo wiedzieć, jeżeli kładę głowę pod topór. — Nicholas potwierdził skinieniem głowy.

— Tak. Masz prawo. — Spojrzał wprost na Tomkina. — Ale prawdę mówiąc nie mam nic konkretnego, żadnych konkretnych faktów i liczb, jak

w przypadku sowieckiej rozbudowy na Kuryłach. Tutaj — co często zdarza się w Japonii — nie ma nic oprócz legendy.

— Legendy? — Tomkin roześmiał się niespokojnie. — Co to jest, początek filmu o wampirach? — Przyłożył dłoń do ucha. — Chryste, słyszę wycie wilków, Nick. Musi być dzisiaj pełnia księżyca. Zostańmy lepiej w domu i rozwieśmy wszystkie czaszki.

— Przestań — uciął krótko Nicholas. — Dokładnie dlatego miałem nadzieję, że ci nie będę musiał mówić.

— W porządku. — Tomkin uniósł dłoń. Podszedł z powrotem do łóżka i usiadł. — Obiecuję być grzecznym chłopcem i słuchać.

Nicholas utkwił w nim spojrzenie, zanim rozpoczął.

— W *ryu* Tenshin Shoden Katori, w którym przeszedłem przez szkolenie w *ninjutsu* i w którym nauczano *Wu-Shing*, opowiadano tę legendę i... wierzono w nią.

Dawnymi czasy, gdy wyspy Nipponu zamieszkiwali jedynie Ainu, a prawdziwa cywilizacja nie rozprzestrzeniła się z Chin na południowy wschód, *ninjutsu* rąkowała dopiero na kontynencie azjatyckim. Wciąż jeszcze w życiu tej dyscypliny było za wcześnie na prawdziwych mistrzów lub nawet, jak teraz, *joninów* — patriarchów *ryu* — po prostu dlatego, że zróżnicowane szkoły *ninjutsu* ledwie zostały uformowane.

Było wtedy o wiele więcej rytuałów, więcej przesądów. Zasady wyznane przez *senninów* — adeptów — były twarde i nieugięte, głównie dlatego, że siły, nad którymi próbowali zapanować, były wciąż nieznanne i śmiertelnie niebezpieczne. Każde odstępstwo było doraźnie i masowo karane. — Nicholas przerwał na chwilę, żeby nalać sobie szklankę wody. Wypił połowę i zaczął mówić dalej.

— Jak głosi legenda, jeden *sennin* był potężniejszy od pozostałych. Nazywał się Hsing, co ma wiele znaczeń w *kanji*. Jego imię znaczyło „kształt”.

Powiadają, że Hsing poruszał się tylko w ciemności, że noc była jego jedyną kochanką. Całkowicie oddał się doskonaleniu swego kunsztu, co spowodowało, że żył w celibacie. W przeciwieństwie do swych ziomek wziął tylko jednego ucznia, dziwnego chłopca o zmierzwionych włosach, który przybył ze stepów położonych na dalekiej północy, zamieszkałych przez Mongołów.

— Ten uczeń Hsinga — szeptano — nie zna żadnego cywilizowanego dialektu, nie potrafi też odczytać pisma mandarynow. Mimo to rozmawiał z Hsingiem. Nikt nie wiedział, jak.

Pozostali mistrzowie zaczęli podejrzewać, że Hsing powoli zgłębiał wiedzę o *ninjutsu*, eksperymentując w jej mroczniejszych i nieznanych aspektach,

których inni się wystrzegali. Jego moc coraz bardziej wzrastała i w końcu pozostali *senninowie* ze strachu — a może po prostu z zazdrości — zmówili się przeciwko Hsingowi i zniszczyli go.

Oczy Nicholasa płonęły i chociaż na zewnątrz panowała głęboka noc, a światła w apartamencie były przygaszone, Tomkin widział go wyraźnie — każdy szczegół ostro rysował się na tle nikłego światła.

Zaafelowany nowoczesnością świat zniknął na chwilę i ożywała pogrążona we mgłę azjatycka przeszłość. Tomkin był teraz w świecie tajemnych praw.

— Zbrodniczy *senninowie* — ciągnął dalej Nicholas — zadowolili się wygnaniem ucznia o zmierzwionych włosach i drwiąco wykrzykiwali, że powinien wrócić na północne stepy.

Jednak było już za późno. Hsing stworzył już ze swego ucznia *akuma*, jak Japończycy nazywają złego ducha, demona z *jit suryoku* — nadludzką mocą.

— Och, Nick, proszę, to jest...

— Chciałeś o tym usłyszeć, Tomkin. Wyświadczyć mi tę grzeczność i wysłuchaj legendy do końca.

— Ależ to jest historia z bajek.

— Hsing nauczył ucznia wszystkiego, co wiedział o *jaho* — rzekł Nicholas ignorując jego słowa. — To pewien rodzaj magii. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Nie mówię teraz o urokach i zaklęciach, demonach rodem z piekła, wyśnionych przez umysł człowieka.

Saigo studiował *kobudera* — to znaczy *jaho*. Praktykował *saiminjutsu* na twojej córce, to również jest pewna forma *jaho*.

— W porządku — Tomkin skinął głową — mogę w to uwierzyć. Ale cóż to wszystko ma wspólnego z morderstwem?

Nicholas odetchnął głęboko.

— Jedyne znane przypadki śmierci powiązane z czterema pierwszymi *Wu-Shing* — piątą rytualną karą jest śmierć — dotyczą ucznia Hsinga, który zapoczątkował serię takich właśnie morderstw w Kaifeng. Krwawych, straszliwych i przerażających; wymierzał perwersyjną, należną sprawiedliwość tym, którzy unicestwili jego *sennino*.

Stał się *maho-zukai* — czarownikiem.

Akiko Ofuda miała na sobie śnieżnobiałe kimono, ciężkie od ręcznie przyszytego brokatu. Na nim nosiła lekką jedwabną suknię w odcieniu identycznym jak ostatnie z kwiatów wiśni, kołyszące się w podmuchach wiatru nad jej głową.

Włosy miała ukryte pod ozdobnymi warkoczami błyszczącej peruki. Zawile

sploty były zwieńczone *tsunokakushi* — czepcem — ceremonialnym białym kapeluszem z szerokim rondem. Powiadano, że nosi się go, żeby ukryć wszystko, co złe w kobiecie.

Delikatny makijaż czynił jej oczy dużymi i jasnymi. Miała bardzo białą twarz, a usta były oszłamiającą plamą purpury. Nie miała kolczyków ani innej biżuterii. Zamknięty wachlarz tkwił zaciśnięty w prawej dłoni.

Sobota rozbłysła jasnym i czystym brzaskiem, orzeźwiający powietrze przypominało marzec — poprzedni miesiąc.

Olbrzymie purpurowe *sorii* z drzewa kamforowego, symbol świątyni shintoistycznej, wznosiło się nad głowami gromadzących się gości, których liczba — zgodnie z ostatecznie potwierdzonymi zaproszeniami — przekraczała pięćset.

Poranna mgła wciąż przylegała do stromych zboczy wzgórz, zdobiła pnie cedrów i jodeł, przesłaniała szafirowe błyski jeziora położonego w dole. Za plecami gości tłoczyły się — zwarte i zamglone — ogromne budowle północno-zachodnich obrzeży Tokio.

Cztery budynki świątyni rozrastały się w nierówny kształt końskiej podkowy. Ułożone na cedrowych belkach ukośne dachy z uniesionymi żebrami dzieliły światło słoneczne na pasma, tworząc strefy cienia i blasku.

Goście kręcili się bezładnie, gwarzyli ze sobą, komentowali dobrą pogodę, plotkowali o spóźnionych przybyszach bądź nawet — w jednym lub dwóch przypadkach — wykuwali podstawy ważnej transakcji. Obecna była większość czołowych osobistości ze sfer biznesu i administracji.

Seiichi Sato przeniósł spojrzenie z pięknej twarzy panny młodej na falujący tłum gości. W chwili gdy rozpoznawał twarz ze świata biznesu, recytował w myślach nazwisko i stanowisko tego człowieka, po czym umieszczał je w odpowiedniej przegrodzie niewyobrażalnej piramidy swojej pamięci. Struktura, którą tworzył, była dla niego ważna. Reputacja, jaką zdobył przez swoje małżeństwo, doprowadzi do podniesienia prestiżu jego *keiretsu*. Chociaż rodzice Akiko nie żyli, nazwisko Ofuda wciąż uznawane było za najbardziej zaszczytne; brało swój początek w odległych czasach Ieyasu Tokugawy.

Pierwszy Ofuda — na imię miał Tatsunosuke — był wielkim *daimyo*, pomysłowym i zręcznym dowódcą na polach bitewnych Ieyasu, na którego geniusz powoływał się wielokrotnie.

Bolała go świadomość, że Akiko nie знаła swoich rodziców, że w rzeczywistości nie miała żadnych krewnych, oprócz śmiertelnie chorej ciotki, którą tak często odwiedzała na Kyushu. Szeroka, uśmiechnięta twarz Gotaro

przemknęła krótkim posępnym błyskiem przez myśli Sato. Dobrze znał gorycz przecięcia rodzinnych więzów.

Jakże Gotaro kochałby dzisiaj! Jego uśmiech zagnałby poranną mgłę do jeziora. Jego potężny, szczekający śmiech, tak podobny do triumfalnego krzyku, odbijałby się echem od tego lasu, tak że nawet małe stworzenia w swoich norach wiedziałyby, jak niezwykle radosny jest ten dzień.

Sato szybko przesunął dłonią po oczach. Opuszkami palców otarł wilgotne plamki. Dlaczego to zrobił? — spytał bezgłośnie. Gotaro nie żył.

Kare wa gaikoku ni itte i masu, powiedziała matka Sato, gdy przyniósł jej tę wiadomość. Wyjechał za granicę. I nigdy nie powiedziała nic więcej. Straciła już swego męża. I teraz śmierć najstarszego syna była zbyt trudna do zniesienia. Chociaż nie spaliły jej pożary po bombardowaniach, nie przeżyła wojny. Wojna pochłonęła ją od środka.

„Nie — powiedział sobie Sato. — Nie bądź taki jak twoja matka. *Kare wa shinde shimai mashita*. Wypędź z siebie *kami* Gotaro. On nie żyje, nie istnieje”. Odwrócił się do Masuto Ishiego. Zaczął mówić z nim o interesach, o ich doniosłym znaczeniu dla nich obu, po to, aby odegnać smutek lub przynajmniej odsunąć go na bok w tym najszcześniejszym z dni.

Niedaleko stał Nangi, z plecami prostymi jak wycior; kościste knykcie obejmowały białego jadowitego smoka, który wieńczył laskę z twardego drzewa. Stał już tak długo, że ból zaczął ścisnąć go swą obręczą, lecz nie poruszył się. Znaleźć się wśród tych, którzy przybyli jako pierwsi, było jego obowiązkiem; nikt inny nie siedział, więc on również nie mógł.

Poza tym nie chciał stracić twarzy wobec tych kapłanów. Nangi wolałby oczywiście, aby Sato zorganizował ceremonię w kościele chrześcijańskim. Ornaty, sakramenty, cicha litania po łacinie, którą mógł w pełni zrozumieć i powtórzyć, dawały mu ukojenie, którego nie mógł dać tajemniczy shintoizm. Duchy i zjawy nie były specjalnością Nangiego. I spędzenie życia po to, aby zjednać sobie oszałamiający zestaw *kami*, wydawało mu się zajęciem groteskowym. Żarliwie wierzył w Chrystusa, Zmartwychwstanie i Zbawienie Święte.

Stał z młodszym od siebie mężczyzną pośród krążącego tłumu. Cieszyli się niemal stałą uwagą przybywających gości oraz tych, którzy byli tam od pewnego czasu i którzy, odczekawszy właściwą chwilę, wracali teraz prosić Nangiego o radę lub oczekiwali od Riuichiego Yano, nowego ministra, cennych informacji o MITI. Był on protegowanym Nangiego i ostatnie oficjalne

zarządzenie Nangiego, przed opuszczeniem tej instytucji sześć lat temu, miało na celu zapewnienie, że Yano będzie jego następcą.

Nangi uśmiechał się, odpowiadając troskliwie na wszystkie pytania najlepiej, jak mógł, a kątem oka poszukiwał *gaijinów*. Chciał śledzić ich ruchy od chwili, gdy przyjdą. Można było wiele wywróżyć, obserwując, jak gra przeciwnik.

Akiko także ukradkiem poszukiwała wzrokiem *gaijina*. Tylko jednego: Nicholasa. Nadszedł właśnie ten moment i jej oczy były jak kamery — gotowe rejestrować każdy ruch, upajać się wyrazem twarzy.

Czuła, jak bicie tętna błyskawicznie wzrasta, wydawało się, że serce rozewnie jej kimono. Opanowała się w końcu z trudem i zebrała siły, by rozpocząć akt swojej zemsty. Usiłowała skoncentrować się na obecnym przy niej Sato. Spojrzała w jego stronę i dostrzegła Ishiiego, który wpatrywał się w nią spod przymrużonych powiek. Uśmiechnął się, skinął głową i powrócił do toczonej półgłosem rozmowy z Sato.

Wśród zebranych gości rozległ się szmer, najcichszy z możliwych. Akiko, wiedziona wyostrozonymi zmysłami, uniosła wzrok. Jej intensywnie purpurowe usta zamarły w uśmiechu; twarz miała opanowaną, gdy dostrzegła, jak tłum zaczyna się rozstępować.

— Ach — rzekł Sato, odwracając się — przybyli nareszcie Tomkin i Linnear.

Akiko powoli uniosła jedną dłoń, palce rozpostarły jej złoto-czerwonoczarny wachlarz. Można było dostrzec tylko brzeg jednego oka. Pozostała część twarzy była zakryta.

Spokojnie, myślała, spokojnie. Nie zdradź za dużo. Jeszcze nie teraz. Daj mu czas, aby podszedł. Podejdz bliżej, Nicholasie. Chciała, żeby poczuł do niej sympatię. Podejdz bliżej i daj początek zniszczeniu twego życia.

Mogła teraz rozróżnić obydwu *gaijinów*; jeden był mocniej zbudowany, lecz obaj wysocy, górowali nad pozostałymi gośćmi.

Mogła rozpoznać rysy Nicholasa, podczas gdy *gaijinowie* nadal przeciskali się przez tłum. Tomkin miał na sobie ciemny prążkowany garnitur, białą koszulę oraz rypsowy krawat. Nicholas wybrał mniej konserwatywny strój: garnitur z lnu w kolorze morskim, szarą koszulę i niebieski jak głębia oceanu krawat.

Gdy obydwaj przeszli przez długi szpaler wysokich bambusów, jego szeroka twarz wciąż była pogrążona w cieniu, lecz Akiko mogła już dostrzec dziwne, ukośne oczy — ani prawdziwie indoeuropejskie, ani też orientalne. Dawały mu klasę, której nie potrafiła zrozumieć. Raz jeszcze poczuła tę samą magnetyczną falę, jakiej doświadczyła w Jan Jan, i musiała użyć całej

siły woli, żeby pozostać tam, gdzie była, u boku Sato.

Teraz byli blisko siebie. Twarz Nicholasa wyrwała się do słonecznego światła, jakby nagle wyostrzona w ognisku soczewki. Porywisty wiatr poruszył kędzior jego czarnych włosów, zsunął go, skręcając na czole. Uniósł odruchowo dłoń, żeby go odgarnąć na bok; przez mocne rysy jego twarzy przebiegło pasmo cienia.

„Już niedługo” — powiedziała do siebie szeptem Akiko. Chwila była bliska, wiedziała, że opanowała ją do perfekcji. Wirowało w niej uczucie niezmiernego podniecenia — niemal ekstazy — i dostarczało energii do tego, co miało nastąpić.

Różowy koniuszek jej języka wysunął się, aby zwilżyć wargi, kiedy obserwowала giętkość, z jaką się poruszał; nauka tańca lub *sumo* sprawiły, że kroczył z obniżonym środkiem ciężkości, kontrolując w ten sposób energię swego ruchu. W jej wyobraźni stawał się wielkim tygrysem, panem ziemi, kroczącym ukradkiem i bezszelestnie ze wspaniałą koordynacją ruchów przez gęsty las, gotowy w każdej chwili wykonać cudowny, zabójczy skok na grzbiet umykającego zwierzęcia.

Teraz. Nadeszła wreszcie ta chwila. Akiko czekała, aż Nicholas przesunie na nią swój wzrok utkwiony w Sato. Ze zrozumiałych powodów był zaciekawiony; nigdy nie widział jej wcześniej i z pewnością pragnie dowiedzieć się, jaką kobietę Sato miał zamiar poślubić.

Czuła intensywność jego spojrzenia. Zatrzymał oczy na wachlarzu, potem na jej oku. Ich oczy spotkały się i przez nieuchwytną chwilę Akiko poczuła się zawieszona w czasie i przestrzeni. Wszystkie przygotowania, ciężkie lata, przepłynęły znowu obok w jaskrawym błysku filmowego montażu, aby dostąpić kulminacji. Tu i teraz.

Pewnym ruchem dłoni odsunęła w dół wachlarz i odsłoniła twarz.

Gdy Nicholas wysiadł z limuzyny, zafascynowało go naturalne piękno otoczenia. Po drodze przeszli obok dużego jeziora. Oddalili się od jego spokojnej, pokrytej mgłą powierzchni, gdy zaczęli wspinać się krętą drogą w stronę urwiska, na którym znajdowała się świątynia shintoistyczna.

Nie był zaskoczony, że kapłani wybrali to miejsce na budowę swojej świątyni. Shintoizm stanowił harmonię duszy z naturą, z prądami życia. *Karma*. Życie było częścią znacznie dłuższego łańcucha, w którym każda żywa istota, człowiek, zwierzę, roślina i minerały odgrywały swoją rolę.

Dusza rozpierala Nicholasa, serce roslo, gdy stawal stopy na ilastej, upstrzonej iglami sosen ziemi. Wiatr byl orzezwiajacy, a powietrze rozgrzewalo sie powoli. Mgla zniknie wkrótce z pni sosen i powierzchni jeziora. Widok bedzie wtedy fantastyczny.

Zdawal sobie sprawe z trzepoczacych nad glowa skrzydel, z szelestu wielkich galazi, zgodnego kołysania bambusowej platformy. W uszach slyszal bzyczenie owadów, podczas gdy lagodny wiatr odchylal brzeg marynarki.

Wtedy rozpoznal poruszenie w tłumie. Bylo nieznaczne i watpil, czy Tomkin w ogole zauwazyl to. Ale Nicholas wiedzial. *Gaijinowie* byli tutaj. Nawet on. Nangi uzmyslowil mu wyniosle, ze wielu ludzi nie uwaza go za Japoniczyka.

Kiedy mijal ich, spoglajac po twarzach, zastanawial sie, co mysleli o pulkowniku Linnearze, ojcu Nicholasa. Czy byli dumni z tego, ze pomogl w odbudowie Japonii, gdy zostal sprowadzony przez oddzialy Naczelnego Dowodcy Sil Sprzymierzonych, generala MacArthura? Czy tez w tajemnicy przeklinali pamiec o nim, poniewaz byl obcym szatanem, dzialajacym w Japonii? Nie bylo sposobu, aby poznac dokladna odpowiedz, i Nicholas wola wierzyc, ze przynajmniej niektorzy z nich — jak Sato — wciaz czcili jego pamiec. Nicholas wiedzial, ze jego ojciec byl wielkim czlowiekiem, ze dlugo i zazarcie walczyl przeciwko zacieklej opozycji o stworzenie nowej i demokratycznej struktury wladzy po to, aby narod odrodzil sie po wojnie.

— Chryste, alez te skurczybyki sa male — szepnal Tomkin. — Czuję sie jak slon w skladzie porcelany.

Zmierzali w strone Sato. Nicholas widzial go wyraźnie. W poblizu stal Koten, gigantyczny zawodnik *sumo*, który w garniturze wygladal groteskowo.

Spostrzegl szczupla, elegancka kobieta w tradycyjnym stroju panny mlodej. Chcial sie jej dobrze przyjrzec, lecz twarz jej przeslanial szeroko rozpostarty ceremonialny wachlarz. *Tsunokakushi* zupełnie skrywal czubek jej glowy.

— Gdyby to bylo w innym kraju — powiedzial cicho Tomkin — w ogole by mnie tu nie bylo. Wciaz czuję sie jak smiec.

— Twarz — odparl Nicholas.

— Taak — Tomkin staral sie usmiechem zamaskowac kwaśna mine. — Ta twarz wykonczy mnie ktoregos dnia.

Przebyli juz cala droge wsród szpaleru gości. Nicholas widzial Nangiego daleko z prawej, posród mezczyzn odzianych w ciemne garnitury. Wygladalo, ze sa to wyzsi rangą przedstawiciele siedmiu lub osmiu ministerstw.

Zatrzymali się kilka kroków przed Sato i jego przyszłą żoną. Tomkin zrobił krok naprzód, gotów powitać Sato i złożyć mu gratulacje. Nicholas wpatrywał się w Akiko i zastanawiał się, jakie rysy kryją się za wachlarzem. Wtem — w magiczny niemal sposób, jakby w odpowiedzi na jego życzenie — wachlarz osunął się w dół. Zaparło mu dech. Jakby pchnięty niewidoczną ręką, zrobił krok w tył. Otworzył szeroko oczy i rozchylił usta.

— Nie!

Ten szept wydał mu się krzykiem. Krew tętniła mu w uszach, a bicie serca wydawało się sprawiać ból. Do kącików ust napłynęły łzy.

Przeszłość wyłoniła się niczym straszący demon. Umarli nie zmarłych wstają. Ich ciała złożono do grobów, a żywioły: ziemia, powietrze, ogień i woda dokonywały ich rozkładu.

Saigo zamordował ją, ponieważ należała do Nicholasa, należała ciałem i duszą, i nigdy nie mogła być jego. Utopił ją w cieśninie Shimonoseki, w której *kami* klanu Heike w skorupach krabów rzeźbiły ludzkie podobizny. Ona nie żyła.

A jednak stała tuż przed nim. Było to niemożliwe, lecz prawdziwe.

Yukio.

Wyspy Mariańskie, Północny Pacyfik

WIOSNA 1944 ROKU

Czerwone niebo było tym obrazem wojny, jaki najżywiej utkwiał w pamięci Tanzana Nangiego. Gdy słońce zachodziło nad ogromnym falującym Pacyfikiem, wydawało się, że świat został pozbawiony subtelnych barw; podczas powolnej wędrówki słońca w głąb oceanu widać było jedynie — niczym rozległe macki morskiego monstrum — błyski ognistej purpury i pomarańcza.

Długie noce z jękiem silników, stała wibracja potężnych śrub lotniskowca mijającego czarne garby wysp Bonin, niechętnie ustępowały miejsca dniom wypełnionym oślepiającym światłem. Zasłona z chmur wisiała nad linią horyzontu.

Chociaż znajdowali się zaledwie tysiąc mil morskich od Tokio, pogoda była tu zupełnie inna. Było mnóstwo domysłów co do celu ich rejsu. Nie byli częścią floty; nie mieli eskorty. W morze wychodzili w środku nocy. Rzucali surowe cienie na lekko falującą wodę. Zgarbieni wartownicy rozmawiali szeptem, ignorując ostrożne wyjście lotniskowca na otwarte morze.

„Rozkazy wyznaczające kolejne cele naszej misji są zapieczętowane” — tyle powiedział im kapitan Naguchi. Pragnął stłumić plotki, ale wywołało to przeciwny efekt.

Dokąd zmierzali?

W nocy, po wygaszeniu wszystkich świateł, marynarze tłoczyli się w ciasnych, pozbawionych iluminatorów kajutach. Prowadzili wielogodzinne spory na temat celu rejsu.

Gotaro Sato był przekonany, że kierują się na Mariany. Większość załogi uważała ten pomysł za nedorzeczny. Wyspy Mariańskie leżały za blisko Japonii, aby mogły toczyć się tam jakiegokolwiek walki, a ich rejs był najwyraźniej najważniejszą misją wojenną, co kapitan Naguchi uzmysłowił im w swoim przemówieniu.

Pomysł z Marianami pobudził wyobraźnię Nangiego i po rozejściu się ludzi odszukał Go taro. Sato był potężnym mężczyzną o grubym karku i krągłej twarzy. Miał szerokie, przenikliwe oczy, które nie wyrażały uczuć, lecz z pewnością nie był ich pozbawiony — miał skłonność do dzikich wybuchów świetnego humoru. Potrafił właściwie ocenić, kiedy porcja absurdu — a był żartownisiem — osłabi stresy lub uśmierzy lęki, których nie brakowało w tych ponurych dniach, w ostatnich miesiącach wojny. Alianci zwyciężyli już w dwóch długich, niezwykle ciężkich kampaniach: w pierwszej — na Wyspach Salomona, pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, i w drugiej — w Nowej Gwinei. Każdy wiedział, że zmierzają w kierunku Japonii. Oczekiwano od dowódców zwycięskiej strategii, mogącej odwrócić losy ostrego konfliktu.

Wyszli na pokład. Gotaro wyjął papierosa, po chwili schował go, przypominając sobie o zaciemnieniu. Dokoła rozpościerał się Pacyfik, mroczny i zwiastujący nieszczęście. Nie pierwszy raz Nangi poczuł niesamowity chłód. Był dzielnym człowiekiem i myśl o śmierci w walce — dumnym końcu samuraja — nie przerażała go. Jednak tu, pośród otaczającej go morskiej głębin, tak bardzo daleko od lądu, czuł bezustanne skurcze żołądka.

— To Mariany — powiedział, patrząc na południe, w kierunku, w którym płynęli — i powiem ci, dlaczego. Jeżeli Amerykanów nie ma tam jeszcze, to wkrótce się pojawią. Mamy tam bazę powietrzną. Wyspy znajdują się nie dalej niż tysiąc pięćset mil morskich od domu. — Odwrócił głowę. Nagły poryw wiatru zmierzwił jego krótkie włosy. — Czy potrafisz wyobrazić sobie lepszy cel dla aliantów niż baza, gdzie mogliby tankować swoje samoloty przed nalotami na Japonię? Ja nie.

Oparł łokcie na metalowej poręczy. Był przygnębiony. Wokół słychać było tylko szum morza.

Nangi poczuł nagle, jak ogarnia go straszna rozpacz.

— W takim razie nie można mieć żadnych wątpliwości. Wojna jest z pewnością przegrana, bez względu na to, co mówi nam cesarskie dowództwo.

Gotaro spojrział na niego. Jego oczy jaśniały pośród cieni rzucanych przez wieżę lotniskowca. Jej masywny stalowy pancierz przyprawiał o chłód takich jak oni, wywodzących się z kultury zawzięcie wznoszącej budowle z papieru ryżowego.

— Miej wiarę.

Z początku Nangi nie był pewien, czy dobrze usłyszał słowa drugiego mężczyzny.

— Wiarę? — spytał po namyśle, a gdy Gotaro skinął twierdząco głową,

rzekł: — Wiare w co? Naszego cesarza? Cesarskie dowództwo? *Zaibatsu*? Powiedz mi, której z tradycyjnych ikon mam się pokłonić dziś wieczorem? — Słyszał gorycz w jego głosie, lecz nie dbał o to. Ta noc, tak daleko od domu, tak blisko linii frontu, wydawała się stworzona do uwolnienia długo tłumionych emocji.

— Zachłanność pchnęła nas do tej szaleńczej wojny — rzekł pośpiesznie, zanim tamten zdołał odpowiedzieć na te retoryczne pytania. — Ślepe ambicje *zaibatsu*, które przekonały rząd, że Japonia nie jest wystarczająco duża na ich imperium. „Ekspansja, ekspansja, ekspansja” — doradzali, a wojna wydawała się doskonałą okazją do zdobyczy terytorialnych w Azji, okazją, której od dawna szukaliśmy.

Lecz odpowiedz mi, Gotaro-san: czy spróbowali zrozumieć naszego przeciwnika, zanim wydali rozkaz do ataku na Pearl Harbour? — Potrząsnął głową. — Ależ skąd. Nikt nie spróbował nawet, ani chwili nie poświęcono na badania. — Uśmiechnął się ponuro. — Historia, Gotaro. Gdyby cokolwiek wiedzieli lub rozumieli z amerykańskiej historii, może potrafiliby przewidzieć reakcję na atak. — Nangi opuścił wzrok, zapalczliwość zniknęła z jego głosu. — Co się teraz z nami stanie?

— Miej wiare — powtórzył Gotaro. — Zaufaj Bogu.

— Bogu? — Teraz Nangi zaczął pojmować. Odwrócił się do Gotaro. — Jesteś chrześcijaninem, prawda?

Wielki mężczyzna potwierdził skinieniem głowy.

— Moja rodzina nie wie o tym. Nie sędzę, żeby zrozumieli.

Nangi wpatrywał się w niego przez chwilę.

— Ale dlaczego?

— Dlatego — powtórzył cicho Gotaro — że strach dla mnie już nie istnieje.

Czwarta piętnaście rano, trzynastego marca. Nangi został wezwany na odprawę do kapitańskiej kajuty. Elegancko ubrany w świeżo odprasowany mundur podążał pustymi, wąskimi korytarzami. Zdawał się mieć dla siebie cały lotniskowiec. *Kami* starego shoguna wydawało się podążać razem z nim; był potomkiem niezwykniętych samurajów — chytrych jak lis i silnych jak tygrys.

To, że spośród całej załogi lotniskowca właśnie on został wezwany, odebrał jako wyraźny znak jego *karmy*. Chociaż nie pochwalał wojny, jego dusza wciąż należała do Japonii. Teraz, gdy byli w samym jej środku, przerażało go widmo porażki. Być może był częścią nowej strategii; być może wojna nie była jeszcze przegrana.

Zapukał cicho do pomalowanych na biało drzwi kapitańskiej kajuty, po czym wszedł do środka.

— Proszę usiąść, majorze — rzekł kapitan Noguchi po dokonaniu tradycyjnych formalności. Nangi zajął krzesło obok Go taro.

— Zna pan majora Sato — powiedział urywanym głosem Noguchi. Nangi skinął głową. — Dobrze. — Pojawił się steward niosący tacę z sake. Postawił ją na środku biurka Noguchiego i wyszedł.

— Jest połowa marca roku, który — jak się wszyscy obawiamy — może być ostatnim rokiem wojny. — Noguchi był zupełnie spokojny, jego oczy — powiększone przez soczewki okularów — obserwowały najpierw Nangiego, potem Gotaro. Gotaro by potężnie zbudowanym mężczyzną, promieniującym energią i pewnością siebie. Pod krzaczastymi brwiami osadzone były inteligentne oczy. Miał usta o grubych wargach, dziwne, ukośnie ścięte uszy, które sterczały z krótko przystrzyżonej głowy jak kapelusze grzybów.

— Europejski dramaturg Szekspir napisał, że nadchodzą Idy, złe czasy. — Noguchi uśmiechnął się. — Takie przynajmniej były dla Juliusza Cezara. — Rozłożył na blacie biurka dłonie o długich i delikatnych palcach. — I być może będą takie dla aliantów.

Kiedy mówił, miał zwyczaj patrzenia w oczy rozmówcy, a nie obok, jak robiło wielu jego kolegów — wyższych rangą oficerów. Nangi czuł instynktownie, że było to źródłem zaufania, jakie wzbudzał u swoich podwładnych.

— W ciągu miesiąca w naszej ojczyźnie znowu zakwitną wiśnie. — Jego oczy płonęły blaskiem. — Wróg zagraża kwiatom wiśni, zagraża naszemu życiu. — Pierś mu falowała, jakby wyrzucił z siebie coś ciężkiego i okropnego.

— W chwili gdy to mówię, mechanicy przygotowują dla was, panowie, inny rodzaj kwiatu wiśni. Widzę wasze zdumione twarze. Wyjaśnię więc. — Wstał zza biurka i zaczął chodzić po małej kajucie tam i z powrotem, jakby chciał wyładować nadmiar energii. — Mamy na pokładzie dokładnie sto pięćdziesiąt samolotów. Wszystkie — oprócz jednego — są bombowcami Mitsubishi G4M.2e. Tymi, które wróg z niewiadomego powodu drwiąco nazywa „Betty”.

Uderzył zaciśniętą pięścią w blat biurka tak mocno, że stojące na nim małe czarki aż podskoczyły.

— Ale już więcej nie będzie! Nie teraz, gdy mamy Oka! — Odwrócił się w ich stronę. — Jeden z naszych Mitsubishi został zmodyfikowany. Pod jego kadłubem znajduje się drugi, mniejszy samolot: jednoosobowy średniopłat długości niewiele ponad dziewiętnastu stóp i o rozpiętości skrzydeł równej szesnastu stopom i piętnastu calom.

Oka zostanie wyniesiona w górę przez Mitsubishi — samolot matkę. Na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy stóp obydwa samoloty rozdzielią się. Oka będzie zdolna przelecieć do pięćdziesięciu mil z efektywną prędkością dwustu trzydziestu mil na godzinę. Gdy dotrze na odległość, z której widoczny będzie cel, pilot włączy trzy silniki rakietowe napędzane paliwem stałym. Samolot będzie wtedy leciał z szybkością około sześciuset mil na godzinę. — Noguchi stał tuż przed nimi. Policzki zarumieniły mu się z emocji. — W ciągu dziewięciu sekund Oka osiągnie łączną siłę ciągu równą tysiąc siedmiuset sześćdziesięciu czterem funtom. Ogromny pęd, a potem... — Uniósł głowę. Przymrużył oczy oślepiiony blaskiem światła. — Potem staniecie się niosącym zemstę cesarskim mieczem, który rozpruje burtę amerykańskiego okrętu wojennego.

Nangi dobrze to zapamiętał. Noguchi nie musiał pytać, czy zrozumieli. Wszystko było jasne. Oka była precyzyjną raketową bombą załogową.

— *Yamato-dama-shii* — powiedział Noguchi, siadając za swym biurkiem — japoński duch wesprze nas w walce z przeważającymi siłami sprzymierzonych. On oraz ataki samolotów Oka szybko obniżą morale nacierającego wroga. Stąpimy ostrze ich ataku na Filipinach.

Noguchi podał wszystkim błyszczące czaraki z sake. Wzniósł toast:

— Człowiek umiera tylko raz. Śmierć może być ciężka jak Fuji, albo lekka jak puch. Wszystko zależy od sposobu, w jaki się ją traktuje. W naturze każdego Japończyka leży umiłowanie życia i nienawiść do śmierci, myśl o rodzinie i troska o żonę i dzieci. Tylko wtedy, gdy w grę wchodzi wyższe cele — *junsui-sei*, czystość rozwiązania — wszystko się zmienia. Istnieją sprawy, dla których musi wszystko poświęcić.

Nangi dostrzegł, że w kącikach oczu Gotaro pojawiły się łzy. Wtedy tłumaczył to sobie jego chrześcijańską wiarą albo ignorancją. W słowach, których kapitan Noguchi użył, aby ich pożegnać, udając, że są jego własnymi, Nangi rozpoznał fragment listu znanego z historii Chin. W rzeczywistości został napisany w dziewięćdziesiątym ósmym roku przed naszą erą przez Ssu-Ma Ch'iena. Noguchi odstawił swoją czarukę.

— Obydwaj macie zaszczyt być pierwszymi, którzy wypróbują tę nową i niszczącą broń w warunkach wojny przeciwko sprzymierzeńcom. Jesteście pierwszymi żołnierzami w eskadrze, która odtąd będzie znana jako *Shimpu Tokubetsu Kogekitai*: Specjalne Siły Atakujące „Boski Wiatr”.

To jest wasza szansa, żeby pójść w ślady majora Ody, żeby stać się nowym wcieleniem *shimpu*, boskich wiatrów z lat tysiąc dwieście siedemdziesiątego czwartego i tysiąc dwieście osiemdziesiątego pierwszego, które rozproszyły flotę mongolskich najeźdźców i uratowały Nippon przed zniszczeniem.

Zarówno Nangi, jak i Gotaro — oficerowie japońskiej cesarskiej marynarki wojennej — słyszeli historię o pilocie Oda, który skierował swój myśliwiec Ki-43 w bok kadłuba amerykańskiego bombowca B-17 i rozdarł większy samolot na pół, ratując w ten sposób cały japoński konwój. Był wtedy sierżantem. Po śmierci otrzymał dwukrotny awans.

— Majorze Sato — mówił teraz Noguchi — został pan wybrany do naprowadzenia pierwszego Oka na cel. Majorze Nangi, pan będzie pilotował samolot-matkę. — Spojrzał na plik dokumentów. — Poinformowano nas o pojawieniu się aliantów: okrętu liniowego i niszczyciela, które bez wątpienia stanowią straż przednią większej floty zmierzającej w kierunku Marianów. Niszczyciel jest waszym celem. Okręty są teraz — sprawdził raz jeszcze w swoich depe szach — trzysta pięćdziesiąt mil na południowy zachód od wyspy Guam. Gdy opuścicie tę kajutę, pójdziecie prosto na pokład. Wasz ekwipunek lotniczy będzie na was czekał. Wystartujecie o piętnastej trzydzieści. Będę w pancernej wieży dowodzenia, aby osobiście obserwować wasz lot.

Wstał. Odprawa była skończona.

Ranek był chłodny; porywisty i zmienny wiatr wiał z północnego wschodu. Nangi i Gotaro, ubrani w kombinezony lotnicze, szli rozległym górnym pokładem lotniskowca. Przed nimi wyłonił się brzuchaty kształt dwusilnikowego samolotu, zdeformowany przez dodatkowe wyposażenie.

— Mam za sobą większą liczbę lotów niż ty — rzekł Nangi. — Powinni mnie wybrać do pilotowania Oka.

Gotaro uśmiechnął się.

— Niewielu zostało takich jak ty, Tanzanie. Większość z tych, co przychodzą teraz, to surowi rekruci bez wy szkolenia lub po krótkim treningu. Mając to na uwadze — gdy wojna tak mocno przetrzebiła nasze szeregi — czy sądzisz, że to mądra decyzja, aby dokonywać próby tej latającej bomby z pilotem-weteranem? — Wzruszył ramio nami. — Cóż by to dało, skoro ci, którzy przyjdą po nas, prawdziwi członkowie *Shimpu Tokubetsu Kogekitai*, nie będą o niczym wiedzieli. Nie, mój przyjacielu, dokonali właściwego wyboru.

Był po nawietrznej, kiedy nagle zatrzymał się i odwrócił do Nangiiego, zasłonił ciałem jego twarz przed ostrym porywem wiatru.

Gotaro wyciągnął z kieszeni biały kwadrat świecący odbitym blaskiem. — Proszę — rzekł — to dla ciebie. *Hachimaki*. — Przywiązał go do hełmu Nangiiego. — Właśnie. Z tym odwiecznym symbolem determinacji i desperackiej odwagi wyglądasz po prostu jak inne wcielenie *shimpu*. Czy wiesz, o kim mówię?

Nangi potrząsnęła głową.

— Słyszałem w Tokio, że tak określa się żartobliwie kierowców-szaleńców. *Kamikaze* — Gotaro roześmiał się. — Nazwałbym cię tak w kajucie Noguchiego, ale z pewnością odebrałby to jako niefrasobliwość. Dla kapitana ten moment był dość uroczysty.

Nangi spojrzął z ukosa na przyjaciela. — I dla ciebie, Gotaro-san, skoro wiesz, jaki musi być koniec tej misji.

— Mam wiarę, przyjacielu — odrzekł. — Myślę tylko o służbie swojej ojczyźnie.

— Są szaleni, jeżeli myślą, że Oka przestraszy Amerykanów. Bardziej prawdopodobne, że — na tyle, na ile ich znam — będą się z tego śmiać. Nie mają pojęcia o *seppuku*, o śmierci wojownika.

— Tym gorzej dla nich — odparł Gotaro — ponieważ z pewnością była to wojna nieporozumień. Nie potrafię myśleć, co się z nami stanie lub co może zdarzyć się potem. Mam obowiązek do spełnienia. Całą resztę składam w ręce Boga.

Niebo na horyzoncie zaczęło się rozjaśniać, nieprzenikniona czerń nocy stopniowo przechodziła w błękit. Na wschodzie, w miejscu gdzie morze dotykało nieba, pojawiły się pierwsze przelotne różowe smugi; wędrowały ku górze.

— Posłuchaj, przyjacielu, kapitan Noguchi miał rację. — Gotaro wyciągnął rękę. — Wszyscy kochamy życie; to również jest naszym obowiązkiem. Ale są ważniejsze sprawy niż nasz własny interes. To jedno z głównych przykazań chrześcijańskich.

Gdy podeszli do samolotów częściowo pokrytych brezentem, powitali ich mechanicy. Zabrali obu na krótki, lecz wyczerpujący przegląd samolotu. Właściwie niewiele było do oglądania. Kadłub dwusilnikowego Mitsubishi został pozbawiony części wyposażenia. Dzięki temu mógł pomieścić bryłę pękatego Oka. Wnętrze zostało zmienione, tak aby jeden człowiek — pilot — mógł w nim latać w dostatecznie bezpieczny sposób.

Pod spodem był **K w i a t W i s n i**. Gdy Nangi zajrzał do środka, przeraził się. Samolot wydawał się niczym więcej niż latającą trumną, niemal bez wyposażenia. Miał jedynie układ sterowania oraz awiofon pozwalający na łączność z pilotem Mitsubishi.

Mechanicy wyjaśnili, że Gotaro będzie siedział z Nangim w większym samolocie aż do momentu, gdy w polu widzenia pojawi się cel. Potem zsunie się przez zmodyfikowane drzwi komory bombowej do małego kokpitu w Oka. Szczegółowo przeanalizowali wszystkie fazy misji, po czym majorzy poproszeni zostali o ich przećwiczenie. Gdy skończyli, była godzina piętnasta dziesiąta.

Wskoczyli do Mitsubishi.

Morze było jedną błyszczącą taflą; w jego rozległej pomarszczonej falami powierzchni odbijały się promienie wschodzącego słońca. Gdy upiorne smugi światła wzniosły się wyżej, niebo straciło cały swój błękit.

Dla Nangiego i Gotaro istniał tylko monotony szum obu silników, ciągła wibracja. Nangi zaczął pojmować rozpaczliwą sytuację swojego kraju. Czuł ogromną różnicę, a przecież bardzo dobrze znał ten samolot. Mechanicy nie raczyli wspomnieć o wszystkich brakach w wyposażeniu. Oczywiście nie było uzbrojenia — to było widać już na pokładzie, podczas pierwszej inspekcji. Ale zniknęła również znaczna część wewnętrznej izolacji. Nangi przypuszczał, że częściowo było to istotne dla zrównoważenia masy obciążonego Oka — cztery tysiące siedemset funtów; w jego dziobie znajdowało się ponad dwa tysiące pięćset funtów silnego ładunku wybuchowego.

Lecz im dłużej leciał tym „nowym” samolotem, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że usunięto więcej, niż było bezwzględnie konieczne. Pomyślał o tym, co Gotaro mówił o smutnym stanie liczebnym japońskiej armii. Czy nie dotyczyło to również sprzętu? Czy byli już tak zrujnowani, że musieli ogołacać samoloty? Czy znaczyłoby to, że przed upływem roku w delikatne dłonie niewykształconych nastolatków wsunięte zostaną karabiny i z japońskiego brzegu pośle się ich w łodziach wiosłowych na spotkanie nacierającego wroga? Na myśl o tym Nangi zadrżał; nieznacznie skorygował kierunek lotu.

Tuż za nim Gotaro, który pełnił rolę nawigatora, studiował mapę lotniczą północnego Pacyfiku. Spojrzał na zegarek i pochylając się, aby mieć pewność, że Nangi usłyszy go, powiedział:

— Powinniśmy je dostrzec za niecałe dziesięć minut, około dwustu pięćdziesięciu mil na południowy zachód od Guam. — Ponownie spojrzął na mapę. — Znajdziemy się więc niemal dokładnie nad Rowem Mariańskim. Przypuszcza się, że jest to najgłębszy rów oceaniczny na świecie.

— Wiem. — Nangi musiał przekrzyczeć ryk silników. — Staram się o tym nie myśleć. Czytałem gdzieś, że naukowcy podejrzewają, że może mieć głębokość ponad czterdziestu tysięcy stóp. — Wzdrygnął się.

— Nie przejmuj się — beztrzesko odparł Gotaro — żaden z nas podczas tej misji nie dotknie wody.

W sześć minut później Gotaro trącił Nangiego w ramię i wskazał na południe. Powierzchnia Pacyfiku wydawała się spokojna i tak płaska, że mogłaby skojarzyć się z arkuszem pancernej blachy, mocnej i twardej. Patrząc w kierunku wskazywanym przez Gotaro, Nangi dostrzegł dwie małe plamki. Dokonał następnej niewielkiej korekty kursu.

— Już czas — krzyknął mu do ucha Gotaro. Nangi zwiększał prędkość lotu.

— Poczekaj! — zawołał. Lecz gdy odwrócił głowę, przyjaciela już nie było. Nangi zobaczył, jak ześlizguje się prowizorycznym tunelem do ciemnego, ciasnego i przypominającego trumnę kokpitu.

— Jestem na dole.

Nangi usłyszał głos Gotaro wydobywający się z głównego końca awiofonu. Opuścił stery. Zaczęli opadać. Informował Gotaro o każdej fazie lotu.

— Trzydzieści pięć tysięcy stóp. Mogę już rozpoznać pewne elementy celu.

— Jest niszczyciel — rzekł Gotaro. — Naprowadź mnie, tylko dokładnie, resztą zajmę się sam.

Wprawne dłonie Nangiego były zajęte wprowadzaniem samolotu na kurs. Poczul dojmujący ucisk *hachimaki* owiniętego wokół hełmu i rzekł:

— Sato-san.

— Słucham, przyjacielu.

Cóż można było powiedzieć.

— Dwadzieścia dziewięć tysięcy stóp i cel coraz bliżej. — Uniósł dłoń, żeby dotknąć białego płótna, które lekko trzepotało na chłodnym wietrze.

Niebo wyglądało niesamowicie. Daleko z lewej, na horyzoncie gromadziły się cumulusy i Nangi przypomniał sobie o pierwszej raptownej zmianie położenia w kierunku wiatru. Wciąż silne promienie słoneczne rozpraszały obraz strefy celu. Dokoła rozpościerały się bezkresne wody oceanu.

— Dwadzieścia osiem tysięcy — rzucił Nangi i położył rękę na dźwigni zwalniającej. — Będę odliczał sekunda po sekundzie.

Gotaro musiał wyczuć coś w jego głosie, ponieważ powiedział:

— Nie przejmuj się, przyjacielu. Spokojnie.

— Nie mam w co wierzyć, w przeciwieństwie do ciebie. — Nangi starał się opanować wzruszenie. Wskazówka wysokościomierza zbliżała się do wysokości punktu wyczepienia. Wkrótce Oka będzie jedynie szybko opadającym kwiatem. — Czas, byśmy się pożegnali.

Szum wiatru, a potem głos Gotaro docierający z awiofonu:

— Dziś w rozkwicie, jutro rozrzucony przez wiatr — takie jest życie kwiatu. Jakże możemy myśleć, że jego zapach będzie trwał wiecznie?

Kiedy Nangi pociągnął za dźwignię, miał w oczach łzy.

— Żegnaj — wyszeptał. W chwilę potem włączyły się silniki rakietowe. Mitsubishi pochylił się raptownie w niebezpieczny sposób. Początkowo Nangi sądził, że zostali trafieni. Ale byli wciąż zbyt daleko od dział okrętów, a na niebie nie było samolotów przeciwnika.

Nagle koniec jednego skrzydła uniósł się ku niebu, a dziób opadł pionowo w dół. Nangi poczuł mrozący krew w żyłach strach. Wiedział już, co się stało. Wiatr wył w ogołoconym z poszycia kadłubie. Pochylił się do przodu i krzyknął do awiofonu:

— Gotaro! Gotaro!

— Utkwiłem tutaj, wciąż jestem przyklejony do spodu kadłuba!

— Rakiety odpaliły za wcześnie! Nie mogę podnieść dziobu! — Nerwowo manipulował przy sterach, ale wiedział, że było to daremne. Nie mógł korygować lotu przy tak dużym obciążeniu.

Stracił panowanie nad samolotem, lecieli ku płaskiej tafli morza, z zapierającą dech w piersiach prędkością sześciuset mil na godzinę. Jednak Nangi nie tracił nadziei i robił, co tylko mógł, aby zmniejszyć przerażające tempo spadania. Silniki rakietowe wyłączyły się po dziewięciu sekundach, olbrzymia początkowa siła ciągu spowodowała ich zniszczenie.

— Wracaj na górę! — krzyknął Nangi, usiłując odzyskać kontrolę nad samolotem. — Nie chcę, żebyś był pod kadłubem, gdy uderzymy o wodę.

Nie było odpowiedzi. Nangi był zbyt zajęty przy sterach, by powtarzać rozkaz. Teraz, gdy silniki wyłączyły się, samolot częściowo odzyskał sterowność. Byli niebezpiecznie blisko oceanu. Nangi uświadomił sobie, że nie ma żadnych szans na to, aby wyprowadzić samolot z korkociągu. Podwójne silniki Mitsubishi nie mogły przeciwstawić się potężnej sile ciągu niewłaściwie skierowanych rakiet. Kadłub płatowca trząsł się niebezpiecznie. Spadali pod bardzo ostrym kątem i obawiał się, że skrzydło pęknie i odpadnie. Wiedział, że gdyby tak się stało, nie mieliby żadnych szans. Samolot spadłby niczym kamień w wodę, a potężna siła uderzenia zmiażdżyłaby ich natychmiast.

Nangi porzucił daremne starania, aby wyprowadzić samolot z lotu nurkującego i za wszelką cenę usiłował zmienić kąt opadania. Gdyby mógł ustawić samolot trochę bardziej w poziomie, mieliby szansę ratunku. Oka zostałyby ścięty przy uderzeniu. Gdyby jednak Gotaro wydostał się z niego, wszystko byłoby w porządku — pękaty samolot przyjąłby impet uderzenia na siebie.

Za przednią szybą wirowało niebo; zlewało się z morzem — w górę i w dół — jak na karuzeli w wesołym miasteczku. Nitowane złącza na poszyciu kadłuba trzeszczały pod wpływem przeciążeń. Na morzu nie było okrętów wroga, a horyzont był pusty; tylko sztorm nadciągał wzdłuż jego linii — pupurowożółty niczym szrama.

Znajdowali się coraz bliżej powierzchni wody; do Nangiego dotarł ogłuszający jęk metalu. Oblał go pot. Górne skrzydło wciąż było uniesione i powietrze parło na nie z potworną siłą.

Bał się, że za kilka sekund skrzydło zostanie ścięte i pograży ich w otchłań śmierci. Nie chciał być zmiażdżony we wnętrzu tej stalowej trumny. Coraz bardziej nerwowo manipulował sterami.

Poczuł nacisk na plecach, potem dużą dłoń Gotaro chwytającą go za ramię i pomyślał: „Sporo czasu mu to zajęło”. Był zły na siebie i na Gotaro za denerwującą zwłokę.

Morze zbliżało się nieubłaganie. Pomyślał: „Teraz to bez znaczenia. Jeżeli siła uderzenia nie spowoduje naszej śmierci, to na pewno zrobią to ładunki wybuchowe zainstalowane w dziobie Oka”. Lecz mimo to nie zrezygnował. Górne skrzydło zaczęło opornie ustawiać się w poziomie.

Znajdowali się teraz nie wyżej niż pięćset stóp nad lustrem wody i Nangi zastanawiał się, czy nie wyszedł z korkociągu zbyt późno, ponieważ ciągle spadali. Morze dzieliło się na jasne wierzchołki i ciemne niecki fal — ciemnoniebieskie, czarne niemal. Ostatnia myśl zawirowała w jego mózgu: „Jesteśmy nad Rowem Mariańskim i jeżeli się zanurzymy, możemy tak spadać całą wieczność”.

Potem wyrósł przed nimi Pacyfik i uderzyli weń tak silnie, że z płuc Nangiego — jak z pękającego balastu — uszło całe powietrze. Usłyszał przeraźliwy gwizd dziesięciu tysięcy demonów, potem szybki, piekący wybuch gorąca i maleńki świat zawałił się na niego: pociski bólu eksplodowały przygważdżając go do krzyża agonii.

Gotaro musiał być tym, kto wyciągnął go ze zdemolowanego, skręconego kokpitu, ponieważ Nangi nie pamiętał, żeby sam z niego wychodził. Wiele lat później wciąż powracać będą do niego koszmarne sny o tych kilku straszliwych, pogmatwanych chwilach; żadnych rzeczywistych obrazów, tylko niewyraźne wrażenia, niepokój, trwoga, uczucie duszenia się, unieruchomienia.

Potem nad jego głową ukazało się jasne niebo, nieprzyjemny wiatr owiewał policzki, czuł kołysanie fal daleko od brzegu. Otworzył oczy, by zobaczyć czerwoną mgłę. Ból przesywał głowę, a gdy spróbował się ruszyć, nie mógł.

— Leż nieruchomo — powiedział ktoś tuż obok niego. — Leż nieruchomo, samuraju.

Oddychał z trudem, usiłował coś powiedzieć. Wydawało mu się, że coś zatyka jego krtań. Gardło trawił ogień, a w ustach czuł węgla. Znowu poczuł gorąco, płomienie jak lzy spływały po jego policzkach. Uszy wypełnił potężny trzask i cuchnący dym zatkał mu nozdrza; zaczął się dusić. Zwymiotował; ktoś przytrzymał mu głowę i wytarł usta poplamionym białym kawałkiem materiału zerwanym z jego głowy.

Obraz zaczął nabierać ostrości. Zobaczył, jak coś, co wzięło za czarną plewę olbrzymiego morskiego stwora, stanęło nad nimi dęba i przesłoniło fale. Zaczął skomleć. Irracjonalny strach zrosił skórę zimnym potem. Potem otrzeźwiał i rozpoznał część ogonową bombowca Mitsubishi. Zamknął oczy i stracił przytomność.

Gdy znowu otworzył oczy, pierwszym odczuciem było to, że jego wzrok utracił głębię ostrości.

— Straciłeś jedno oko — rzucił z boku Gotaro. — I nie próbuj się ruszać. Coś się stało z twoimi nogami.

Nangi milczał. Oswajał się z tym, co usłyszał. W końcu wypowiedział dwa słowa:

— Ładunki wybuchowe.

Gotaro uśmiechnął się do niego.

— To właśnie zabrało mi tak dużo czasu w Oka. Wyrzuciłem je na osiemnastu tysiącach stóp. Wywołało to niezły huk.

— Nie zauważyłem.

Gotaro potrząsnął głową.

— Byłeś zbyt zajęty. — Jego uśmiech ponownie spłynął na Nangię, usmierzając ból. — Uratowałeś nam życie, wiesz? W chwili, gdy rakiety za wcześnie odpaliły, byłem pewien, że już po nas. I byłoby tak, gdyby nie ty.

Nangi przymknął oczy. Wypowiedzenie kilku słów wyczerpało go. Kiedy obudził się ponownie, Gotaro pochylał się nad jego nogami, usiłując coś zrobić.

— Co się dzieje? — spytał Nangi.

Gotaro przerwał mu:

— Sprawdzam tylko twoje rany. — Uciekł oczami przed spojrzeniem Nangię; skierował wzrok na falujące morze.

— Ani śladu lądu.
— Słucham? — spytał Gotaro. — Tak. Ani śladu. Przypuszczałem, że możemy być dość blisko jednej z Wysp Mariańskich, ale chyba tak nie jest.
— Noguchi odnajdzie nas szybko.
— Tak, przypuszczam, że tak — odparł Gotaro.
— Będzie chciał wiedzieć, co się stało. Wszyscy wiceadmirałowie i admirałowie w Cesarskiej Marynarce Wojennej zechcą to wiedzieć. Muszą nas zabrać z powrotem — bezpiecznych i zdrowych. — Gotaro nic nie powiedział; błędził wzrokiem po wodzie. — Gdzie się podział ten sztorm, który przedtem widzieliśmy? — Mówienie sprawiało Nangiemu trudności i był potwornie spragniony. Ale nie rezygnował. W trwającej ciszy myśl o straszliwym, zięjącym bezkresem rowie, rozciągającym się pod nimi, wypełniała jego świadomość ponurymi wizjami, trzewia mu skręcało i z irracjonalnego strachu zaczęło mu się robić niedobrze.

— Wiatr nie zmienił jeszcze kierunku — powiedział nieobecny głosem Gotaro. — Sztorm nadal wisi nad północnym zachodem. — Jego myśli wyraźnie koncentrowały się na innych sprawach. Nangi nie potrafił odgadnąć, na jakich. Nie spytałby zresztą o to.

Potem zapadło milczenie. Wycie wiatru, uderzającego w nich niczym niewidzialna ściana, monotony ruch w górę i w dół, powodowany przez wzburzone morze, przyprawiały o mdłości. Nangi tęsknił za widokiem choć jednej mewy wznoszącej się i opadającej nad nagim horyzontem — za zwiastunem lądu.

Był mokry, i wiatr, który wdzierał się przez rozdarty mundur, przyprawiał go o gęsią skórkę. Miał pełny pęcherz. Stękając z wysiłku, ociężałym ruchem odwrócił się od Gotaro i oddał niezdarnie mocz; miał nadzieję, że wiatr i fale porwą zapach daleko od nich.

To prawda, coś niedobrego stało się z jego nogami. Chciał nimi poruszyć — nie reagowały. Uniósł się pokonując ból i dotknął ciała. Nic nie czuł; nogi były jak z drewna.

Aby odegnać odrętwiającą myśl o paraliżu, zaczął się rozglądać dokoła. Po raz pierwszy zauważył, na czym płynęli. Była to część gęsto uźbrowanej wręgi wzmocnionej bombowca Mitsubishi. W tym wypadku zmiany dokonane w samolocie działały na ich korzyść. Cała ciężka izolacja przeciwpożarowa, która pociągnęłaby ich w głąb morza, została zdarta i zastąpiona lekkim uźbrowaniem wypełnionym powietrzem.

Nangi chrząknął. Naguchi i admirałowie byliby bardzo zadowoleni wiedząc o tym, pomyślał z ironią. Nawet wtedy, gdy ich cenny Kwiat Wiśni odmówił posłuszeństwa.

Położył się z powrotem wyczerpany i zamknął oczy, lecz kołysanie wzmagających się fal nie sprzyjało odpoczynkowi. Spojrzał na Gotaro. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, nieruchomy jak posąg. Chyba się modlił. Chyba nie odczuwał strachu. Jeżeli naprawdę tak było, Nangi zazdrościł mu.

Zmęczenie i szok spowodowały wędrówkę myśli. Nie zdawał już sobie sprawy, czy to sen, czy jawa. Na granicy tych dwóch stanów, w półmroku zawładnęły nim czarne myśli i niemożliwe do zdefiniowania lęki, które w sobie tłumili; brały górę nad jego światem.

Miał świadomość własnej izolacji, tego, że był samotny jak dygoczący pyłek, zupełnie odsłonięty i bezbronny. Widział siebie na prowizorycznie skleconej tratwie, czuł ból, a nawet przesywające ciało fale ciepła mimo chłodu bezlitosnego wiatru.

I nagle nie był już samotny, bowiem z bezkresnych głębi oceanu podniosła się przerażająca postać demonicznej zjawy. Fale spiętrzyły się teraz wokół niego, jakby nadciągnął niewidzialny sztorm. Olbrzymie czarne piramidy narastały, wznosiły się niebezpiecznie wysoko i ściągały go w dół, wkręcając w jamy ciągnące się w nieskończoność jak tunele.

Przerażony Nangi przywarł do szorstkiej powierzchni tratwy; serce waliło jak młot i rozsadzało piersi. Czekał na to, co musiało — wiedział o tym — nadejść.

I wtedy z mrocznych głębi oceanu wynurzył się potwór. Był tak olbrzymi, że przesłonił gwiazdy na niebie: kraken o płonących oczach, rozwartej paszczy i długich mackach wijących się jak żmija.

Nangi wytrzeszczył oczy i krzyknął.

Gotaro wyrwał go ze snu.

— Tanzanie, Tanzanie! — nerwowo krzyczał mu do ucha. — Obudź się! Obudź się zaraz!

Oczy Nangiego otworzyły się nagle. Był zlany potem. Ciałem wstrząsały zimne dreszcze. Potrzebował paru minut, aby obraz widziany zdrowym okiem nabrał ostrości. Wtedy dostrzegł na twarzy przyjaciela wyraz przerażenia.

— Mamy kłopot.

— O co chodzi? — Nangi z trudem poruszał językiem, który wydawał się obrzmiały i oporny. — O przeciwnika?

— Chciałbym go spotkać — odparł Gotaro. — Nikogo nie widać. — Trzymał Nangiego mocno w ramionach, ciepło jego ciała łagodziło dreszcze drugiego mężczyzny. — Wstrzymywałem się przed powiedzeniem ci tego, ponieważ myślałem, że jakoś sobie z tym poradzę. Ale teraz... — Zadrżał. —

Jesteś ranny. Nie potrafię powiedzieć, jak poważne są te rany, ale tracisz krew.

„No jasne” — pomyślał Nangi zły, że sam się nie zorientował. To tłumaczyło jego słabość i krótkie momenty, gdy czuł ciepło.

— Wypróbowałem wszystkie znane mi sposoby, żeby zatamować upływ krwi, sączy się teraz zaledwie — wciąż jednak płynie... — W oczach miał smutek.

— Nie rozumiem — powiedział Nangi — czy ja umieram?

W tym momencie ich prowizoryczna tratwa przechyliła się gwałtownie. Gotaro był na to najwyraźniej przygotowany, ponieważ jedną ręką mocno chwycił Nangię, a drugą trzymał się ożebrowania. Jednak wstrząs był tak silny, że obaj uderzyli o twardą powierzchnię wręgi.

Twarz Gotaro była bardzo bliska jego twarzy. Nangi widział w hebanowej żrenicy odbicie swojego przerażonego oblicza.

— Popatrz tam. — Głos Gotaro zabrzmiał jak podzwonne; Nangi spojrział w kierunku wskazanym przez przyjaciela.

— Nie! — Jego głos przypominał gwałtowne szczeknięcie, pełne przerażenia westchnienie.

Tuż obok sterburty widoczna była wielka, czarna, trójkątna płetwa polującego rekina. Nangi obserwował ze ściśniętym gardłem, jak lekko zakrzywiona płetwa skręciła gwałtownie i zmierzała teraz prosto na nich. Była duża, ogromna. Mógł sobie wyobrazić wielkość płynącej pod wodą bestii, trzydzieści stóp, może czterdzieści; jej rozwarte szczęki.

Przy następnym przechyle zacisnął powieki, dostał mdłości i ponownie wymiotował na siebie i na Gotaro resztki tego, co zostało w żołądku.

— Nie — jęknął — och, nie. — Lecz był zbyt słaby, aby podnieść głos. Spełnił się jego najgorszy koszmar. Śmierć już nie napawała go trwogą. Ale to...

— Właśnie dlatego próbowałem całkowicie powstrzymać krwawienie. Natrafił na nas ponad godzinę temu, gdy krew lała się jeszcze z ciebie. Myślałem, że jeżeli uda mi się w porę powstrzymać krwawienie, zmęczy się krążeniem dokoła i popłynie za czymś innym. Nie udało się.

Po trzecim przejściu rekina odłamała się część z trzema okrągłymi przegrodami, osłabiona katastrofą. Coś, w odległości co najmniej dziesięciu stóp od płetwy grzbietowej, złamało przegrody na pół pod wzburzoną powierzchnią oceanu.

Nangi znowu dostał dreszczy; tym razem nawet ciepło ciała Gotaro nie zdołało ich stłumić. Zaczął szczekać zębami. Czuł, jak krew wypływa z rozbitego oka.

— To nie jest śmierć godna wojownika — wyszeptał. Wiatr porwał jego słowa, odrzucił je daleko jak znenawidzone dziecko. Oparł głowę na ramieniu Gotaro. Był zupełnie załamany. — Boję się, Sato-san. Nie samej śmierci. Ale sposobu, w jaki nadeszła. Od dzieciństwa przerażały mnie głębiny morskie. To jest lęk, nad którym nie można zapanować.

— Nawet wojownik musi odczuwać lęk. — Głęboki, dudniący głos Gotaro docierał do ucha Nangiego. — Samuraj musi mieć swoją Nemezis, tak jak musi toczyć walkę. — Mocniej zacisnął ramiona na ciele przyjaciela. Wręga kołysała się i trzęsała. Metal przeraźliwie zazgrzytał, po chwili skrzywienie umilkło. Fale piętrzyły się dokoła. Płetwa oddaliła się od nich, a potem błyskawicznie zakreśliła ciasny łuk.

— Ta Nemezis może nadchodzić w wielu postaciach, w wielu maskach — Gotaro mówił dalej, jakby nic się nie działo. — Może być wrogiem w ludzkiej postaci, z krwi i kości. Może też być potęgą dokonującego zemsty *kami*. A nawet demonem.

Słońce szybko gasło na niebie; nadciągająca noc wyzwała uczucie całkowitego odosobnienia i klaustrofobii. Chmury kłębiły się zbyt nisko, aby można było zobaczyć gwiazdy. Ciemność, gdy nadejdzie, będzie całkowita.

— Świat jest pełen demonów — rzekł Gotaro ze wzrokiem utkwionym w zbliżającą się płetwę — które nie mogą żyć tak jak my. Ich zazdrość zmienia się w nienawiść, zdobywają złowieszczą moc. — Wyciągnął jedną rękę, niczym żelazny pręt, aby uchwycić się przegród tak mocno, jak tylko potrafił. — Opowiadała mi to nocą moja babka. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, czy po to, aby mnie przestraszyć, czy może chciała uświadomić mi, że w życiu trzeba ciągle walczyć. Walczyć, by osiągnąć cel.

Tym razem uderzenie było straszliwe; wręga zaskrzypiała przeraźliwie i przechyliła się tak mocno, że zalała ich fala. Nangi poczuł, iż ześlizgują się. Gotaro rozpaczliwie wbijał dłoń w metal, aby się utrzymać. Nangi usiłował mu pomóc. Wydawało się, że nie da rady.

Kiedy już wyprostowali wręę, Gotaro przygarnął Nangiego obronnym gestem, tak jak matka przygarnia małe dziecko. Tratwa wciąż trzęsała się i skrzypiała.

— Dziękuję Bogu, że babka opiekuje się teraz moim młodszym bratem, Seiichim. Jest bardzo stara, ale taka mądra. Myślę, że jest jedyną osobą o dostatecznie silnej woli, aby powstrzymać go przed zaciągnięciem się do armii. Ma niecałe szesnaście lat i Bóg jeden wie, czy przeżyłby wojnę.

Gotaro poczuł, że tworzy się pod nimi szczelina. Jego głos zmienił się nagle:

— Tanzanie, musisz mi przyrzec, że odszukasz Seiichiego, gdy wrócisz do domu. Dom mojej babki jest w Higashiyama-Ku w Kioto, tuż obok południowego krańca parku Maruyama.

Obraz przed oczyma Nangiiego to zamazywał się, to nabierał ostrości. Czuł w głowie ból, jakby wbijano w nią do oporu stalowe ostrze, ból, który sprawiał, że każda spójna myśl była ogromnym wysiłkiem. „Park. Znam go dobrze”. Zobaczył cedry i drzewa wiśni, młode i wzruszające; ich niezliczone listki drżące na ciepłym letnim wietrze. Jasne koszule dzieci kontrastujące z precyzyjnymi wzorami kimon i parasolek z nasączonego olejkim papieru. Starannie przystrzyżona trawa. Muzyka zlewająca się ze śmiechem.

— „Pan jest moim pasterzem, on mnie nakarmi”. — Nangi słyszał dziwną litanie docierającą z daleka. Czuł przechodzące przez ciało drzenie. Osłabła trochę jego trwoga, gdyż wiedział, że obok jest ten wielki jak niedźwiedź mężczyzna. Pomyślał: dotrwamy jakoś do chwili, gdy odnajdzie nas Nogu-chi.

— Módl się za mnie, przyjacielu.

I nagle nie było już przy nim Gotaro. Nangi poczuł, jak chłodny wiatr szarpie nim bezlitośnie. Zakołysał się na uźebrowanej wrzędze. Usłyszał stłumiony plusk. Poczuł przesywający ból w zdrowym oku, gdy nerwowo rozglądał się dokoła. Było wystarczająco jasno, żeby dojrzeć pianę wzbijaną potężnymi ruchami nóg Gotaro, który odpływał od kołyszącej się tratwy.

— Wracaj! — krzyknął Nangi. — Och, Sato-san, błagam, wróć!

Oddychał ciężko, nierówny oddech palił jak ogień. Dostrzegł wielką, zakrzywioną płetwę wyłaniającą się z wody. Jej widok przyciągał i odpychał zarazem, a strach i obrzydzenie dławily w gardle. Niczego na świecie bardziej nie pragnął, jak zabić to monstrum. Krzyczał głośno, bezsilnie okładał pięściami bezużyteczne uda, widząc czarny kształt tnący wierzchołki fal.

Gotaro poderwał się raz przy uderzeniu, okręcił się dokoła na pół wynurzony z wody — wyrzucony w górę z pierwotną siłą.

Gorzkie łzy zamazały Nangiemu obraz; pochylił głowę. Wiatr wył w jego uszach niczym głosy potępieńców.

Po bardzo długim czasie zaczął się modlić do Boga, którego nie znał i nie rozumiał, lecz do którego zwrócił się teraz o pocieszenie i zachowanie życia.

KSIĘGA DRUGA

軍形

CHUN HSING

Kształt armii

Waszyngton—Nowy Jork—Tokio—Key West

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

C. Gordon Minck, szef Red Station, siedział na zawrotnej wysokości ośmiu stóp nad podłogą; unoszony hydraulicznym podnośnikiem fotel był na maksymalnej wysokości. Pomiedzy nim a drewnianą podłogą nie było niczego i Minck chciał, żeby tak właśnie było; najlepiej i najbardziej twórczo myślał wtedy, gdy miał poczucie niebezpieczeństwa.

Do niego należało jedyne biuro bez dywanów w budynku położonym sześć krótkich przecznic od Białego Domu.

Nie było dywanów, ponieważ Minck nie chciał, aby cokolwiek tłumilo dźwięki z zewnątrz. Był niewolnikiem sześciu zmysłów, był nim od lat, odkąd — jako prymus — ukończył elitarną Fairchild Academy, zagubioną gdzieś daleko w rolniczej Wirginii. Większość z tych, którzy przebrnęli przez wzbudzający grozę program zajęć, nazywała to miejsce „Domem tortur”.

Minck był stale pytany o znaczenie szóstego zmysłu i jego odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: Intuicja jest wszystkim.

Podczas gdy wielu z jego kolegów-dowódców stacji spędzało coraz więcej czasu przy konsolach wymyślnych komputerów, Minck spędzał go przy nich coraz mniej.

I dostrzegał różnicę: oni posępnieli coraz bardziej. Zielone, fosforyzujące światło codziennie oświetlało ich pomarszczone, zatroskane twarze. W końcu — świadomi szkodliwego wpływu monitorów — zaczęli zatrudniać asystentów, pracujących przy komputerach. Najwyraźniej nie przejmowali się koniecznością wymiany tych asystentów co sześć miesięcy, ani rosnącymi wydatkami na pilnie strzeżony ośrodek, w którym ich ulokowano. Był on usytuowany w zasięgu rzutu kamieniem od budynku Narodowego Ogrodu Zoologicznego — rozciągającej się na ogromnej powierzchni rezydencji, która miała ponad dwieście lat i została uznana za symbol narodowy. Co

roku Smithsonian Institution próbowała otworzyć ją dla zwiedzających — nie mając pojęcia o jej prawdziwym celu — i co roku odmawiano jej prawa do tego.

W biurach Mincka nie zainstalowano żadnych terminali komputerowych; były surowo zabronione. Było jednak wiele stanowisk wydruku, jedno z nich znajdowało się w jego przestronnym biurze. W dwóch ścianach o wysokości szesnastu stóp umieszczono olbrzymie prostokątne płyty wyglądające jak okna. W rzeczywistości były to gigantyczne ekrany wykonane w ten sposób, że wyświetlane od tyłu hologramy ożywały na nich ze zdumiewającą realnością. Hologramy zmieniały się, rzecz jasna, od czasu do czasu, lecz głównie, tak jak teraz, przedstawiały dwa widoki Moskwy. Pierwszym był plac Dzierżyńskiego, a ściślej mówiąc, wielki otwarty plac upstrzony tłumem przechodniów. W tle widać było czarną limuzynę marki Ził, uchwyconą, gdy wjeżdża w czarną jak kleks bramę nieprzystępnej, wzbudzającej lęk na całym świecie budowli, znanej jako więzienie na Łubiance i kwatery główna KGB.

Na drugiej ścianie widniało inne ujęcie placu. Minck był pewny, że niektóre okna cel na Łubiance wychodziły na drugi budynek, znajdujący się po przeciwnej stronie placu. Trzymane za rękę dzieci przechadzały się po nim z rodzicami — zbyt małe jeszcze, aby wiedzieć, jak blisko są prawdziwego ucieleśnienia zła na ziemi.

Minck wpatrywał się teraz z zadumą w ten drugi budynek. Raz jeszcze wyteżył umysł, przywołał wspomnienia; próbował odnaleźć wszelki ślad nienawiści i lęku, których kiedyś doświadczał patrząc na ten sam obraz. No, oczywiście nie tak rozległy. Wąskie jak szczeliny okna cel na Łubiance nie były oknami hotelowymi.

Ale pamiętał. Była wtedy zima, niebo szare, chmury ciągnące się długimi smugami. Światła w rozległym mieście były zawsze włączone, gdy z zamarzniętych stepów północy na swój osiemnastogodzinny dyżur nadciągała noc. Wszechobecny śnieg tłumił miejski gwar i nawet najnormalniejsze z dźwięków czynił dziwnymi i nierzeczywistymi, potęgując uczucie rozkojarzenia. Jakże nienawidził tego śniegu, bo to on właśnie doprowadził go na Łubiankę i zakął w kajdanki. Śnieg przykrył zlodowaciałą łatę na ulicy, na której się pośliznął. Gdyby nie to, wymknąłby się im bez wątpienia, bowiem myśleli z matematyczną dokładnością, lecz tak jak wszystkim pionkom w KGB, brakowało im intuicji.

Zdaniem Mincka, intuicja równała się wolności. I jego intuicja uratowałaby go tej mroźnej nocy w Moskwie. Gdyby nie śnieg, śnieg — tak nazywali go Rosjanie. Nienawidził go w każdym języku.

Nadal wpatrywał się w budynek, który był ostatnim obrazem Moskwy,

jaki widział, zanim wyciągnęli go z celi i rozpoczęli serię „rozmów”. Od tego czasu jego domem była pozbawiona okien komora o powierzchni nie większej niż piętnaście stóp kwadratowych, z wykonaną ze sklejk i przyśrubowaną do ściany pryzmą oraz dziurą, do której splukiwał swoje nieczystości. Smród był okropny, równie okropny jak zimno. O ciepłe w wewnętrznych celach nie słyszano.

Trzymali go jak szczura, w ciemności. Usiłował zachować jasność umysłu mimo odrętwiającego wpływu, jaki wywierali jego rozmówcy. Przywoływał w myślach obrazy widziane z wąskiego okna swojej celi; przez pewien czas był pewien, że to ostatni skrawek świata, jaki ogląda.

Obserwował spacerujące pary młodych Rosjan, rodziny brnące przez resztki wiosennego śniegu — hologramy zmieniały się wraz z porami roku — i czuł w sobie pustkę, żarzące się uczucie nienawiści i panicznego lęku, które trawiło jego wnętrze i które — na moment przed przekroczeniem granicy neutralnego terytorium — sprawiło, że przystanął, że wściekle rozmyślał nad tym, by wrócić i pozabijać ich wszystkich własnymi rękami.

Minck — niczym ostrożny kowboj na suchej i pokrytej pyłem równinie — rozrzucił kopnięciem żarzący się popiół karmiący się przedmiotem tamtej nienawiści: Protorowem. Całą uwagę skupił na budynku o oknach wąskich jak otwory strzelnicze, widocznym na hologramie, który zaczął dla niego znaczyć więcej nawet niż złowieszcza siostrzana budowla po drugiej stronie placu: na moskiewskim domu towarowym „Świat Dziecka”.

Przymknął oczy w spokojnej medytacji. Przycisnął palcem jedną z kilku śrub zagłębionych w lewym oparciu fotela.

— Taniu — rzucił cicho w pustkę pokoju — dwa polecenia. Po pierwsze: połącz mnie telefonicznie z tym doktorem Kiddem. — Jak on ma na imię? Timothy? Jeśli nie ma go w gabinecie przy Park Avenue, spróbuj w Mount Sinai Hospital. Wezwij go z obchodu.

— Jakiego pseudonimu użyjemy? — Głos, który wydobył się z ukrytych głośników, był mocny, z lekkim obcym akcentem.

— Och, bądźmy dziś pomysłowi, dobrze? Użyj nazwy Departament Międzynarodowych Taryf Eksportowych.

— Świetnie.

— Po drugie — powiedział Minck — ponieważ wydaje się, że gwałtownie tracimy czas, podłącz się do SAPICR * i wywołaj kartotekę Unnear NMS Nicholas.

[* SAPICR — System Aktywnego Pozyskiwania Informacji w Czasie Rzeczywistym.]

Był to jej pierwszy dzień w pracy i Justine była niespokojna, jak kotka na gorącym blaszanym dachu. Przez ponad trzy lata była mniej lub bardziej szczęśliwie ukryta we własnej, jednoosobowej firmie, dostarczającej niezależnych pomysłów reklamowych dla średniej klasy klientów. Nie zgromadziła wprawdzie fortuny, lecz jej talent był tak duży, że nawet w niepewnej sytuacji gospodarczej radziła sobie całkiem nieźle.

Oczywiście otrzymywała od czasu do czasu propozycje podjęcia pracy w innych agencjach, ale komfort pracy u siebie zawsze przeważał nad większym poczuciem bezpieczeństwa, jakie zapewniłaby praca u kogoś.

Jednak spotkanie z Rickiem Millarem wszystko zmieniło. Ponad sześć tygodni temu Mary Kate Sims zatelefonowała do Justine; natychmiast potrzebowała projektanta. Mary Kate pracowała dla Millar, Soames & Roberts, jednej z nowszych agencji, o wysokiej renomie i jeszcze wyższej rocznej wartości zamówień. Dwóch z ich najlepszych projektantów złożyła grypa. Zaproponowano, aby Justine zajęła się projektem reklamy dla American Airlines. Była to praca na wczoraj, ale Mary Kate powiedziała, że może zagwarantować Justine wysoką premię za dostarczenie projektu na czas.

Justine wzięła to zlecenie, harowała nad nim przez prawie tydzień, po osiemnaście godzin dziennie. Ale dziesięć dni później, w trakcie pracy nad trzema lub czterema własnymi projektami — z których jeden doprowadził ją do szału — zapomniała zupełnie o Mary Kate i jej pakiecie reklamowym dla American Airlines.

Aż do czasu, gdy zadzwonił Rick Millar, szef agencji. Projekt Justine najwyraźniej tak bardzo spodobał się zleceniodawcom, że zamierzali przejść od kampanii stanowej do kampanii ogólnokrajowej. Firma Millar, Soames & Roberts otrzymała pokaźną premię i długoterminowy kontrakt z American.

Rick powiedział, że pomysł Justine spodobał mu się, zanim agencja przedstawiła go American Airlines. Justine nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie. Umówili się na lunch.

Następnego tygodnia spotkali się w „La Cote Basque”, luksusowej francuskiej restauracji, o której Justine kilkakrotnie czytała w „Gourmet”, ale nigdy w niej nie była.

Wyśmienite jedzenie było najmniej godne zapamiętania z tych kilku godzin, ponieważ, jak się okazało, Millarowi chodziło o coś więcej niż po prostu o spotkanie.

— Justine — rzekł, gdy podano drinki — zasadniczo w interesach, jak i w życiu prywatnym jestem otwarty na ludzi. Wierzę w tworzenie atmosfery,

która sprawia, że moi pracownicy pracują pełną parą. Ponadto pozwałam niektórym ludziom przekraczać granice, gdy ich talent to usprawiedliwia. — Wypił łyk burbona. — Myślę, że ty jesteś taką osobą. Praca dla nas niewiele różniłaby się od posiadania własnej firmy. — Uśmiechnął się szeroko. — Z wyjątkiem, rzecz jasna, faktu, że o wiele szybciej zarobiłabyś masę forsy i ugruntowała swoją renomę wśród najlepszych klientów.

Justine odstawiła na moment swój kieliszek, serce waliło jej jak młot.

— Czy składasz mi konkretną propozycję pracy? — Millar skinął twierdząco głową. — Czy nie powinna paść przy suflecie Grand Marnier lub czymś takim? — Roześmiał się.

— Jestem dziwakiem pod każdym względem.

Obserwowała go przez chwilę. Był dosyć młody, miał chyba czterdzieści lat. Włosy były gęste, długie, sięgające kołnierzyka. Z pasmami w kolorze blond, czesane prosto do góry, mogłyby równie dobrze należeć do surfisty z Redondo Beach. Miał szczera, surową twarz z delikatnymi śladami kurzych łapek w kącikach mądrych, szeroko rozstawionych, niebieskozielonych oczu. Jego arystokratyczny profil przywodził na myśl mercedesa, pierwszorzędne alkohole oraz grę w polo na starannie przyciętych murawach u wybrzeży Connecticut. Powinien nosić zarzucony na plecy sweter zrobiony na drutach. Ale jego sposób bycia zadawał temu wszystkiemu kłam.

— Widzę, że zastanawiasz się nad propozycją — powiedział, gdy podano świeże ostrygi. Znowu uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe, zdrowe zęby, a jego twarz przybrała słoneczny wyraz. — Nie urodziłem się w bogatej rodzinie. Ciężko pracowałem, aby dojść do tego, co osiągnąłem.

Justine stwierdziła, że nie ma zbyt wielkiego apetytu; miała zamiar powrócić do jego propozycji. Sny takie jak ten rzadko spełniają się w życiu. Wprawdzie propozycja zaskoczyła ją, ale już dawno nauczyła się chwytać okazje, zanim bezpowrotnie przepadną.

Była tak pełna zapału do pracy, że spytała Ricka, czy może zacząć następnego dnia — w piątek — zamiast czekać przez cały weekend. Nicholas właśnie wyjechał i nie miała żadnych planów, a bezczynne czekanie przez trzy dni było zbyt wielką próbą dla jej cierpliwości.

Tuż po ósmej — o całą godzinę wcześniej — pojawiła się przy Madison Avenue i Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Biura firmy Millar, Soames & Roberts zajmowały trzy piętra. Urządzone na miarę dwudziestego pierwszego wieku: z najbardziej olśniewającymi meblami, jakie można było kupić, z ogromnymi, na całą ścianę oknami, z najnowocześniejszymi urządzeniami

technicznymi, które z pewnością mogłyby uczynić jej pracę zabawą — tak bardzo przyzwyczała się do robienia wszystkiego samodzielnie. Teraz, tak jak Rick powiedział jej przy lunchu, mogła się skoncentrować na pomysłach, a innym pozwolić wykańczać jej szkice.

Rick osobiście przedstawił Justine Min, jej sekretarkę. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, z plamą zieleni na ciemnych włosach sprawiała wrażenie, że jest ustępstwem agencji na rzecz ery postpunku. Justine stwierdziła wkrótce, że pod dziką fryzurą był bystry umysł.

Biuro Justine znajdowało się piętro niżej niż biuro Mary Kate i było trochę mniejsze: Mary Kate była wiceprezesem. Było jasne i przestronne. Świeży coleus z przypiętą do niego różową wstążką z napisem POWODZENIA stał na biurku. Gabinet urządzono zestawem mebli „z odrzutów”.

Rick przeprosił za wygląd biura mówiąc, że firma jest w trakcie reorganizacji wydziałów, ale Min przyniesie jej serię katalogów z meblami i drobnymi akcesoriami, „tak aby w ciągu paru tygodni można było naprawić to zaniedbanie”.

Podziękowała Rickowi za kwiat, ustawiła go przy oknie i usiadła za swym nowym biurkiem. Zadzwoiła najpierw do Nicholasa, zapominając z emocji, że w Tokio jest środek nocy. Telefonistka z centrali hotelowej uchyliła się od połączenia rozmowy, spytała, czy to sprawa niecierpiąca zwłoki. Gdy wyjaśniła, która jest godzina według czasu lokalnego, Justine zgodziła się zostawić wiadomość; nie wiedziała oczywiście, że Nicholas wyszedł z hotelu i wędrował po Jan Jan.

Gdy odkładała słuchawkę na widełki, poczuła nagły przypływ smutku. Nigdy jeszcze nie odczuwała tak gorzko nieobecności Nicholasa. Pragnęła, aby wrócił. Rozpaczliwie walczyła z lękiem i obawą, które wzbierały w niej na myśl, że Nicholas ma zamiar pracować dla jej ojca. Czy jej odczucia były irracjonalne, czy uzasadnione? Kształt, jaki przybrało jej życie, narzucony został przez ojca, Raphaela Tomkina. Gdy była kobietą dwudziestoparoletnią, w bolesny sposób przerwał jej miłosny związek; jako nastolatka obserwowała, jak jego szorstkość i skomplikowana osobowość niszcząco wpływały na matkę; gdy była dzieckiem, jego pochłaniały interesy.

Wprawdzie nowa praca Nicholasa była tymczasowa, przerażała ją jednak myśl, że mogłaby okazać się czymś stałym. Wiedziała aż za dobrze, jak przekonujący potrafił być jej ojciec, gdy się przy czymś uprze. Jego wyjazd przerażał ją także. Tak niedługo po okropnym koszmarze z Saigo, przez

którego Justine omal nie zabiła Nicholasa; czuła, że osamotnienie było rodzajem bolesnej agonii.

Wiedziała, że to, co uczynił jej Saigo, utkwilo w niej na zawsze. Mimo ogromnych wysiłków, Nicholas nie był w stanie wypędzić z niej tego osobliwego diabła. To prawda, wyzwoliła się z tajemniczego uścisku Saigo, ale nigdy nie potrafiła uwolnić się od wspomnień.

W najgłębszych oddechach nocy, kiedy Nicholas leżał przy niej pogrążony w spokojnym śnie, budziła się z przyprawiającym o dreszcze lękiem, w samym środku koszmarnego snu.

„Omala go nie zabiłam” — powtarzała, jakby w jej ciele żył ktoś obcy, komu musiała to wytłumaczyć. „Jak mogłam?” Następna powtarzająca się fraza, dręczący kontrapunkt: „Nie potrafię nawet zabić ryby, a co dopiero człowieka, mojego ukochanego”.

To oczywiście mogło być dla niej ratunkiem: przekonanie, że nie potrafiła zabić. Ale koszmar nadal wkradał się do jej snów. Gdyby Nicholas jej nie powstrzymał, z całą pewnością zabiłaby go. Dokładnie tak, jak zaprogramował to Saigo. Nie odpowiedzialności się bała, lecz poczucia winy, większego niż kiedykolwiek.

Odczuwała bolesną tęsknotę za Nicholasem. Bała się o niego, gdy przebywał w Japonii z jej ojcem. Znała bowiem wszystkie niezliczone sposoby, jakich Raphael używał, aby dostać to, czego chciał. W zależności od sytuacji potrafił być natarczywy albo subtelny. Mógł dostać cię, nawet wtedy, gdy byłeś pewien, że nie zdoła tego uczynić.

„Och, Nicholasie, gdybym tylko potrafiła ci uświadomić, jaki on jest — pomyślała. — Nie chcę, żeby wykradł mi ciebie”.

Myśl o trwałym związku Nicholasa z Tomkin Industries była dla niej nie do zniesienia. Chciała pozbyć się ojca ze swego życia; przez te wszystkie lata, gdy kształtował się jej charakter, walczyła o to, posuwając się nawet do zmiany nazwiska na Tobin. Wiedziała także, że gdyby chciał wkroczyć ponownie w jej życie, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby temu zapobiec.

Zła i samotna, wykręciła wewnętrzny numer Mary Kate. Gdyby Nicholas zadzwonił w tym momencie, wylałaby na niego całą żołąć za to, że zostawił ją w takim beznadziejnym położeniu, że sprawił, iż bała się o niego i o siebie.

Powiedziano jej, że przyjaciółka jest na spotkaniu, więc zostawiła wiadomość. Chciała z nią zjeść lunch. Potem poprosiła do siebie Min, która zapoznała ją z organizacją firmy, jej poszczególnych wydziałów.

Nicholas potrzebował całej swej sztuki, aby ukryć prawdziwe uczucia. Szok był tak wielki, tak zupełnie nieoczekiwany, że zrobił ten jeden chwiejny krok w tył, tracąc na chwilę kontrolę nad ciałem. Jego twarz pobladła, nozdrza wzdęły się na krótki moment, gdy instynktownie wyczuł zagrożenie. Skrył uczucia pod maską obojętności, podczas gdy łagodny zmieszany gwar głosów dokoła cichł stopniowo...

Był znowu w Nowym Jorku, błyszczące ostrze wyciągniętego *dai-katana* skierował w stronę Saigo. Zrobił krok do przodu, a jego kuzyn rzekł:

— Wierzysz, że Yukio żyje gdzieś i myśli często o dniach spędzonych z tobą. Lecz nie, tak nie jest! — roześmiał się. Nadal krążyli wokół siebie z morderczym zamiarem. Spojrzał Nicholasowi prosto w oczy, mówiąc: — Leży na dnie cieśniny Shimonoseki, kuzynie, dokładnie tam, gdzie ją wyrzuciłem.

Wiesz, jak cię kochała. Każdym swoim oddechem, każdym swoim słowem. I w końcu doprowadziło mnie to do szału. Była kobietą stworzoną dla mnie... bez niej istnieli tylko mężczyźni. — Oczy płonęły mu jak węgle, nabiegłe krwią, szalone. Obficie krwawił. — To ty sprawiłeś, że ją zabiłem, Nicholasie! — wyrzucił z siebie nagle.

Od miesięcy Nicholas żył z tym bolesnym wspomnieniem. I teraz może zobaczyć... Nie chodziło o to, że Akiko Ofuda przypominała Yukio: kogoś z rodziny, siostrę nawet. Jej twarz była twarzą Yukio. Jeżeli zaś chodzi o figurę, były z pewnością różnice. Ale Nicholas widział Yukio po raz ostatni zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku podczas długiej, strasznej podróży do Kumamoto i do Saigo. A gdy w końcu powrócił do Tokio, samotny i zdezorientowany, wszystko się zmieniło. Satsugai, ojciec Saigo, został zamordowany. Później zmarł pułkownik, ojciec Nicholas'a. Wkrótce potem Czeong, jego matka, popełniła *seppuku*.

Patrząc teraz surowo na Akiko Ofudę, Nicholas zastanawiał się, czy Saigo okłamał go wtedy. Czy to możliwe? Był mistrzem pokrętnych odpowiedzi. Umierał, gdy powiedział o tym Nicholasowi. Do czego skłoniłaby go śmierć? Do kłamstwa, czy też wyznania w końcu prawdy? Tego, co najbardziej zraniłoby Nicholas'a. Prawdy czy fikcji? Nicholas nie potrafił odgadnąć.

A jednak Akiko wpatrywała się w niego od chwili, gdy go dostrzegła; chociaż obecnych było ponad sto osób, jej oczy natrafiły na jego spojrzenie. Stworzyła aurę tajemniczości ukrywając swą twarz do chwili, aż podszedł zupełnie blisko. Rozmyślnie użyła wachlarza. Dlaczego? Gdyby nie była Yukio, dlaczego miałaby się nim interesować? I do tego ukazywać się tutaj jako przyszła żona Sato... Ten fantastyczny zbieg okoliczności nie uszedł

jego uwagi. Nicholas — zupełnie słusznie — nie wierzył w zbiegi okoliczności jako zrządzenia losu.

Podczas całej ceremonii, gdy Sato przekazywał Akiko tradycyjną czarękę z sake, myśli Nicholasa zajęte były tą dziwną lamigłówką. Lecz im dłużej myślał, tym bardziej wydawał się wikłać w zwodniczą sieć pytań pozbawionych odpowiedzi. Było jasne, że dopóki nie będzie mógł osobiście porozmawiać z Akiko, nie dojdzie do żadnych wniosków. Jednak jego umysł nie przestawał rozważać możliwych wariantów: była nią, nie była? Wpatrywał się w Akiko ponurym wzrokiem. Ta twarz, jej twarz. Było tak, jakby nagle wkroczył do domu, w którym straszy, i teraz, zdezorientowany, nie potrafił odnaleźć wyjścia. Czuł się dokładnie tak, jakby ziemia usunęła się spod stóp.

Czy ceremonia była długa, czy krótka? Nie potrafił powiedzieć. Tkwił zawieszony w dręczącej niewiedzy. Nadzieja, lęk, gniew i cynizm mieszały się w nim. Własne myśli i wspomnienia wzięły górę nad toczącymi się obok zdarzeniami. Ciało jak automat wykonywało odpowiednie ruchy.

I zawsze przyłapywał ją na tym, że patrzy na niego. Te oczy, które znał tak dobrze, kochał tak rozpaczliwie, tak szalenie, tak do głębi namiętnie w mrocznych czasach młodości, utkwily w pamięci. Próbował odczytać w nich jakieś uczucia, ponieważ był w tym — jak również w wielu innych sprawach — mistrzem, i stwierdził ze zdumieniem, że doznał zawodu. Czy widział w nich drwinę czy miłość, pragnienie czy zdradę? Uznał, że nie potrafi tego ocenić i to było równie przerażające, jak to *kami* wskrzeszone z jego przeszłości.

Nicholas mógł myśleć jedynie o znalezieniu okazji do rozmowy z Akiko. Ale szybko spostrzegł, jak trudno będzie porozmawiać z nią na osobności. W chwilę po zakończeniu ceremonii wokół nowożeńców gromadziły się grupki przyjaciół z życzeniami i gratulacjami.

Pozostali goście zaczęli przesuwając się wąską ścieżką w kierunku brzegu jeziora, gdzie poprzedniej nocy rozbito pasiaste namioty.

Dla niego nie było miejsca. Najlepsze, co mógł zrobić, to złożyć obojgu gratulacje. Sato uśmiechnął się szeroko; był w tym bardzo amerykański, ścisnął dłonie jak senator zabiegający o swój ponowny wybór.

Tomkin chrząknął i rzekł:

— Gotów jestem dla niego zrezygnować z cygar. — Odwrócił głowę. — idź na przyjęcie. Mnie wciąż boją flaki. Wracam do hotelu. Odeślę ci samochód.

Nicholas zaczął samotnie spacerować ścieżką biegnącą wzdłuż urwiska.

Przed sobą widział Sato i Akiko, wciąż otoczonych przez składających życzenia. Słysząc było teraz śmiech i wesołość, których zabrakło sztywnej ceremonii.

Zobaczył, jak schodzi pośród ruchomych cieni i błysków światła. Cienie sosen malowały abstrakcyjne wzory na delikatnym wygięciu jej pleców. Gdy za nią schodził, widział nieznaczne kołysanie ramion i bioder; pojawiała się i znikła.

Wesele, tłumy; gwar rozmów oddalał się, pozostał tylko z nią i żywiołami. Światło, cienie, zapach sosny i cedru, kadzidła i dzikiej cytryny przenikały jego świadomość, ale tylko dlatego, że wiązały się z Akiko.

Jej przejście było niczym powrót siewek po długiej i surowej zimie, gdy ziemię skuwał mróz i tylko płonące ogniska domowe emanowały ciepłem.

Kiedyś Nicholas przyrównał Yukio do wędnących bladych płatków, które spadają w ostatnim z trzech dni *hanami*. Wprawdzie wielu powiadało, że w szczytowym momencie *hanami* — drugiego dnia — kwiaty wiśni były najpiękniejsze, jednak prawie dla każdego Japończyka płatki trzeciego dnia były najbardziej wzruszające. Bowiem właśnie w tym ostatnim dniu naprawdę zrozumiała stawała się niewysłowiona natura ulotności piękna.

Lecz teraz, cóż miał myśleć? Cała rzeczywistość została wywrócona do góry nogami. Czy Akiko była Yukio? Jak to możliwe, że wciąż żyła? Czy Saigo wykonał zza grobu ostatnią diaboliczną sztuczkę? Czy przez cały czas, gdy żyła... trzymał go z dala od niej?

Nie był w stanie iść dalej z tą myślą; to wrażenie sprawiło, że poczuł mdłości równie silne, jak silna była tęsknota i gorzki zawód. Potem zdołał wziąć się w garść. Wiedział, gdzie jest i co będzie musiał uczynić, aby znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania. Musiałby pozwolić, aby wschodnia część jego osobowości wzięła górę. Czas... i cierpliwość. Wiedział, że będzie musiał skorzystać z obu, jeżeli ma rozwikłać tę doprowadzającą do szału zagadkę. Tymczasem zaś musiał po prostu zignorować zranione serce.

Obserwował Alix Logan od ponad pięciu miesięcy. Na skąpanych w słońcu ulicach Key West, wzdłuż wąskich, płaskich plaży, w małych sklepach z konfekcją i biżuterią i przed nimi. Udał się za nią nawet wtedy, gdy pojechała odebrać psa, dużego podpalanego dobermana. Skulił się, kiedy ujrzał czarno-biały szyld zwisający z drewnianej ramy na trawniku: „Gold Coast Obedience School” oraz niżej mniejszymi literami napis: „Nasza

specjalność — szkolenie policyjne i obronne”. Jedyne, co zaobserwował przez ten czas, to to, że nie było do niej żadnego dostępu.

Alix Logan była bardzo atrakcyjna. Miała smukłe ciało modelki, długie, gęste włosy w kolorze miodu, pięknie rozjaśnione słońcem Florydy. Oczy były barwy głębokiej zieleni. Widział je tylko przez lornetkę Nikon, siedem na dwadzieścia — spłaszczone przyzmatami soczewek w owalne, duże jak słońce ciała niebieskie.

Przez ponad pięć miesięcy była jego światem, światem potężnego mężczyzny o szerokich ramionach i płaskiej twarzy kowboja. Śledził ją tak długo i tak dokładnie, że wiedział, co je, w jakich gustuje ubraniach i mężczyznach. Co lubi, a czego nie.

Jej ulubionym przysmakiem były lody kawowe ze świeżymi owocami, bakaliami i dwiema wisienkami. Tym, czego najbardziej nie lubiła, była para potworów, którzy stale — niczym cienie — jej towarzyszyli. Tak przynajmniej o nich myślała. Słyszał, że właśnie tak nazwała jednego: — Potwór! — Wydarzyło się to na molo, pewnego jasnego bezchmurnego popołudnia wbiegła w mrok, aby bezpośrednio wyładować na nim swą złość, podkreślając ją uderzeniem swych małych pięści w zwalistą pierś mężczyzny.

Potwór wpatrywał się w nią nieruchomo wąsko rozstawionymi piwnymi oczami.

— Mam tego dosyć! — krzyknęła do niego. — Nie wytrzymam tego dłużej. Myślałam, że będę tutaj bezpieczna. Nie mogę pracować, nie mogę spać, nie mogę nawet kochać się bez was, potwory, bez waszych ognistych oddechów na moim karku — jej złote włosy rozwiewał słony wiatr. — Proszę, proszę, błagam, zostawcie mnie w spokoju!

Potwór odwrócił twarz, skrzyżował masywne ręce na piersiach i zaczął gwizdać melodię, coś z filmu Walta Disneya.

Mężczyzna o pomarszczonej twarzy kowboja obserwował to wszystko z małej łódki przycumowanej do molo. W rękę trzymał wędkę. Poplamiony płócienny kapelusz nisko zsunął się na czoło i ukrył jego twarz w głębokim cieniu. Był tutaj znany jako Bristol i lubił gdy tak właśnie go nazywali. Reagował również na „Tex”, niezbyt wymyślne przydomko, które nadał mu Tony, brygadzysta w dokach; zawdzięczał je swej twarzy.

„Tex” Bristol. Gdyby przez chwilę się nad tym zastanowił, było to idiotyczne. „Lecz cała ta scena nadaje się do książek” — pomyślał.

Odłożył wędkę i zaczął przygotowywać się do odbicia od brzegu.

Alix Logan odchodziła od potwora w stronę pomostu łodzi spacerowej. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

Odcumował i usłyszał za sobą przeciągłe dudnienie bliźniaczych śrub silnika. Nabral prędkości, pomyślał o marlinie.

Będąc daleko od brzegu, nie potrafił powstrzymać śmiechu. Jak na kogoś, kto od dawna już nie żył, prowadził życie pełne wrażeń.

W limuzynie, w drodze z przyjęcia do domu, Sato uściśnął lekko dłoń Akiko. Czują żar promieniujący z jego ciała. Nie uczynił wyraźnego ruchu, lecz mimo wszystko widziała przesywający go dreszcz napięcia, w miarę jak zbliżali się do domu.

Liczne obrazy nocy spędzonych w tym domu, ciał, którymi go obdarowała w ciągu długich miesięcy, sprawiły, że westchnęła cicho. Ścisnęła dłoń Sato, brzegi lakierowanych paznokci delikatnie drapały ciepłą skórę jego dłoni.

Gdy znaleźli się w domu, natychmiast poszła do łazienki. Zrzuciła kimono i zdjęła całą bieliznę. Nagie ciało starannie owinęła kimonem, związała *obi* i sprawdziła makijaż w lustrze. Ponownie nałożyła cień na powieki i szminkę na usta.

Sypialnia pana znajdowała się w *omoya*, daleko od pokoju wielkości sześciu *tatami*, w którym przyjmował dary. Tamte kobiety nigdy nie miały wstępu do tej części domu. Były przecież osobami z zewnątrz, a nie rodziną.

Na podeście, stojącym niedaleko obficie wypchanego *futon*, znajdowała się rzeźba Ankoku Doji, który rzucał gniewne, zacięte spojrzenie. Pomagał królom piekieł i, przykładając pędzel do pokrytej papierem deski, miał obowiązek notować grzechy każdego skruszonego grzesznika, który stawał przed bezlitosnym sądem, żeby ponieść karę za złe czyny na ziemi.

Posąg Ankoku Doji został wykonany w drzewie kamforowym i pochodził z dziewiętnastego wieku.

Akiko nienawidziła go. Rzeźbione oczy zdawały się ją śledzić, wydawały się wiedzieć, co zamierza uczynić jego właścicielowi. Postanowiła, że jak tylko się tutaj dobrze zadomowi, przeniesie go w inne miejsce, najlepiej takie, które nieczęsto będzie odwiedzać.

Sato powitał ją na *futon*ie. Pili gorącą sake. Zazartował kilka razy. Pamiętała o tym, żeby się śmiać, chociaż go prawie nie słuchała.

Czy była przerażona, czy czuła odrazę na myśl o tym, że jej śmiertelny wróg przeniknie jej ciało? Skorzystała ze wszystkich swych umiejętności,

aby odepchnąć czarne myśli. Nie chciała myśleć o tym, co powiedział jej Sun Hsiung, ale było to niezwykle trudne.

Sato dotknął jej. Poderwała się. Otworzyła szeroko oczy, zdała sobie sprawę, że powieki były mocno zaciśnięte, jakby w ten fizyczny sposób można było wymazać wszystkie myśli.

— Jesteś pustym naczyniem, przystąpię teraz do jego napełnienia — rzekł Sun Hsiung. — Przybyłaś do mnie z własnej woli. Musisz o tym pamiętać podczas dni, tygodni i miesięcy, które nadejdą. Spędzisz tu wiele długich dni. Nie jest wykluczone, że zapragniesz opuścić to miejsce. Powiem ci teraz: to niemożliwe, a jeżeli żywisz podejrzenie, że nie potrafisz znieść trudów, bólu i żmudnej pracy, to musisz stąd natychmiast wyjechać. Teraz jest na to czas, jedynie teraz. Czy wyrażam się jasno?

Z przerażeniem, które jak wartka woda wypełniało jej serce, skinęła głową i powiedziała:

— Tak — jakby to było potwierdzenie małżeńskiej przysięgi.

„Było nim, a jakże — pomyślała teraz. — Było”.

Jedwab kimona Akiko prowadzony jego zręczną dłonią zsuwał się z szelstem po delikatnej skórze jej ramienia. Byli blisko siebie, otoczeni ciszą pustego domu. Wszyscy służący zostali oddaleni na tę noc, aby spędzić ją bezpłatnie w najbardziej eleganckim hotelu w mieście: ślubny prezent Sato. Czowała męską obecność w taki sposób, jak samica uświadamia sobie obecność swojego samca. Nie było w tym nic poza potwierdzeniem pożądania, jednej krótkiej chwili wykradzonej z sieci czasu.

To, co właśnie miała rozpocząć, nie było niczym więcej jak tylko zetknięciem się pary mikroorganizmów. Nie mogła wyrazić swoich prawdziwych uczuć dla niego do czasu, gdy bliski stanie się moment zemsty. Rozszerzyła gwałtownie nozdrza, czując jego zapach.

Kimono ześliznęło się z obu ramion; przyciskała teraz dłonie do ciała, tak jak czyniły to uczennice zażenowane świeżo pączkującymi piersiami.

Sato pochylił się do przodu i musnął wargami jej szyję. Godząc się z tym, co może nastąpić, Akiko odemknęła tę intymną część, która była jej najdroższa.

Czuła, jak jego dłonie suną po jej ramionach, i całym wysiłkiem woli otrząsnęła się z odrętwienia; rozchyliła jego kimono, jaskrawożółty trójkątny wzór rozpląnął się w fałdach.

Był nagi o wiele wcześniej niż ona; pod sondującymi palcami czuła ciepło ciała. Było właściwie pozbawione włosów; skóra gładka i bez skazy. Przyłożyła policzek do jego brzucha, wyczuła życie pulsujące w nim niczym

fale przy dalekim brzegu. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Tak jakby przyłożyła ucho do pnia.

Unióś ją i leżeli teraz zetknięci ciałami. Nogi Akiko były zsunięte, jego — rozstawione. Wydawało się, że znajduje się tam drugie serce pulsujące swoim własnym rytmem. Czuła jego napór; rosło, wkradło się pomiędzy jej uda niczym wąż.

Sięgnęła dłonią i objęła jego mosznę. Sato wydał z siebie jęk, przeszył go dreszcz. Dotknęła nasady członka.

Sato zaczął się delikatnie obracać, ułożył ją na plecach. Nigdy przedtem nie była tak świadoma jednej części swej anatomii. Wnętrze jej łona płonęło, jakby przycisnęła się do pieca, jej ciało unosiły fale przerażenia.

Gdyby spostrzegł zbyt wcześnie, a jego miłość okazałaby się nie dość silna, odepchnąłby ją na pewno. Widziała, jak wyrzuca ją na ulicę, widziała siebie wygnaną z miasta, tak jak robiono to wieki wcześniej, gdy władał shogun. Kobiecie jej pokroju nie pozwolono by wejść do łóża samuraja, a co dopiero zostać jego żoną.

Zrozumiała, że w tym momencie nie było absolutnie żadnej różnicy pomiędzy nią a jej matką. To przeraziło ją tak bardzo, iż zaczęła drżeć niczym liść. Jej mąż omyłkowo odczytał to jako namiętność i jęknął głośno.

Czuła na ciele miękkiej jedwab rozchylonego kimona jak delikatną pieszczotę. Muskularne ciało Sato górowało nad nią, rzucając cień na piersi i brzuch.

Uniosła rękę, wodziła palcami po napiętych mięśniach. Naciskała je opuszkami kciuków.

— Lubisz moje ramiona? — spytał szeptem.

Z czarnych jak heban oczu wyczytał odpowiedź, której pragnął.

— O, tak — westchnął. — O, tak.

Odsunął głowę i jego usta objęły brodawkę jej piersi. Przesunął głowę nad drugą pierś, wpił się w nią. Końcami palców ugniatał jedną brodawkę, ssąc jednocześnie drugą; ciężko westchnęła czując kontrast pomiędzy miękkością jego ust a szorstkimi i niedelikatnymi otarzeniami palców. Nie wiedziała, czy krzyczeć, czy płakać. Nie uczyniła ani jednego, ani drugiego, przygryzła jedynie dolną wargę i wydała z siebie przejmujące westchnienie. Włożyła palce do ust i przeniosła ślinę pomiędzy uda.

Sato przewrócił ją na bok i przywarł rozgrzanym ciałem do jej pleców. Delikatnie unióś nogę Akiko i ułożył swe ciało pomiędzy jej pośladkami. Ciężko westchnęła, gdy poczuła go pomiędzy udami, w splątanym lesie włosów łonowych.

Palcami rozchylił jej wargi i Akiko na moment jeszcze raz pomyślała o wszystkich swoich darach, o jego ruchach, gdy się wtedy kochał. Potem otworzyła się na niego; pomiędzy nogami czuła, jak jego gorący członek sztywnieje niczym żelazny pręt.

Zaczęła płakać. Słyszała syczący oddech Sato, a jego potężne ramiona zaciskały się mocno wokół niej. Wbijała się w niego pośladkami, podczas gdy on wykonywał rytmiczne ruchy u wejścia do jej pochwy aż do momentu, gdy nie mógł już dłużej wytrzymać.

Unosząc się gwałtownie, z głośnym jękiem wszedł w nią cały, głęboko. Oczy Akiko otworzyły się tak szeroko, że wokół tęczówek ukazały się białka. Ogień rozpełtał się w jej piersiach, nie mogła zaczerpnąć tchu. Poczula straszliwy, rozdzierający ból w łądźwiach.

Poddała się namiętności, gwałtownie zaszlochała. Sato — mylnie odbierający jej zachowanie — jeszcze głębiej wbijał się w nią, usiłując zachować miłosny rytm.

Czarne wizje przepełniły umysł Akiko. Wydawało się jej, że niezliczone demony powstają ze swych zapleśniałych legowisk, aby tańczyć w świetle ognia płonącego w jej myślach. Noce uwięzione w górskim zamku przesuwają się przed nią w upiornych szczegółach niczym bezwstydné dziwki. Jej głowa miotła się na wszystkie strony, długimi, rozpuszczonymi włosami smagała Sato, rozpalając go jeszcze bardziej.

Sensei ciemności.

Jego imię sprawiło, że z ust Akiko wyrwał się jęk i zagryzła wargę na niegasnące wspomnienie, które było niczym całun dla trupa. Bowiern tak właśnie myślała teraz o sobie. Trup.

Kołysali się niczym statki ciskane nocą po wzburzonym sztormem morzu. Akiko, zamknięta w jego objęciach, przyzwalała mu na okrutną dominację; z pianą na ustach i nienawiścią w sercu. Nigdy przedtem nie oddała się wbrew własnej woli; nie chciała robić tego ponownie, chociaż była świadoma, że musi zachować trwałość tego małżeństwa aż do krwawego końca.

Jednak wiedziała, co zrobić; mogła dawać rozkosz nigdy jej nie otrzymując. To również stanowiło część roli, jaką sobie wyznaczyła. Wciąż płacząc, z powrotem sięgnęła pomiędzy uda i uchwyciła kołyszące się jądra. Zacisnęła jednocześnie mięśnie pochwy. Jej biodra obracały się gwałtownym korkociągowym ruchem. Lekko zaciskała dłoń.

Usłyszała głęboki jęk, poczuła, jak zadrżały jego mięśnie, i wiedziała, że jest coraz bliższy orgazmu. Nie mogła mu na to pozwolić, pomyślała bliska obłądu. Jutro lub pojutrze. Ale nie teraz.

Odsunęła się od niego z cichym okrzykiem, odwróciła, aby objąć ustami mokry, wibrujący członek i drażniła go muskając delikatnymi dotknięciami, aż chwycił jej rozrzucone włosy i błagał o wyzwolenie rozkoszy.

Wtedy zaczęła ssać; z zapadniętymi policzkami, palcami ponaglała go do spełnienia. Drugą dłonią zakryła wzgórek łonowy i, jakby opatrując ranę, ścisnęła mocno uda.

Jeszcze bardziej zwarła się w sobie w chwili, gdy jego ciałem wstrząsnęły seksualne konwulsje — tak jak dziecko, które pieści głęboką ranę, aby uśmierzyć ból. A potem pragnęła ze wszystkich sił, żeby jej nowy mąż zasnął. Obserwowała, jak odpływa w sen, wpatrując się nieobecny wzrokiem w pozbawione światła korytarze oraz w to, czym mogła być.

Akiko obróciła się ostrożnie i bezszelestnie podniosła ze ślubnego łoża. Stała przez chwilę naga, spokojna, obserwowała Seiichiego Sato — nasyconego i pogrążonego w drzemce.

Z tajemniczego wyrazu pięknej twarzy nie sposób było odgadnąć, co czuła. Być może prawdą było to, co kiedyś powiedział jej Sun Hsiung: „Nie rozumiesz do końca tego, co czujesz”. Ale gdyby tak było, mówiła do siebie, nigdy nie dowiedziałabym się, co posiadam. Nigdy nie wykroczyłabym poza *Kuji-kiri* i *kobudera*, tajemnicze dyscypliny, mistrzowsko opanowane przez Saigo. Oraz, pomyślała triumfalnie, nigdy bym nie zabiła tego chytrego lisa, Kusunokiego. Użyła *jaho* i *jaho* zadziałała, maskując jej prawdziwe intencje nawet przed mistrzem tak biegłym jak on.

Lecz jej rozkosz była krótkotrwała. Potrząsnęła głową, długie, rozpuszczone włosy spłynęły niebieskoczarną kaskadą po ramionach na plecy; schyliła się i podniosła swe barwne kimono. To samo, które wcześniej nosiła podczas weselnego przyjęcia.

Naciągnęła je na siebie, tak jak dziecko zawija się w szlafrok kąpielowy ciepły od grzejnika, żeby obronić się przed czymś więcej niż chłód nocy. Pogrążyła się w odrętwieniu, aby odeprzeć to, co określała jako atak. Był czas, gdy powtarzała sobie bezustannie, że musi się teraz wycofać, aby potem dokonać swej zemsty. Ale w ustach miała ohydny smak, słodkawo-słony, niczym smak krwi. Jej własnej krwi.

Nigdy przedtem nie czuła takiego obrzydzenia na myśl o swej *karmie*. Szkolenie powinno obronić ją przed takimi uczuciami. Fakt, że czuła się tak zbezczeszczonej jednym prostym aktem, zaskoczył ją i wprowadził w zażenowanie. Niezbędność tego aktu wydawała się nie mieć żadnego znaczenia. Znowu płakała w niemym cierpieniu.

Boso wyszła z sypialni i szła przez cały dom, aż znalazła *fusuma* otwierając się na ogród Zen.

Tam zawsze panował spokój. Gwiazdy świeciły mocnym, migotliwym blaskiem nad starą kryptomerią niczym zęby uśmiechniętego szeroko nocnego grabieżcy. Na jedną długą chwilę pozwoliła, aby opadły wszelkie bariery. Myśli o Nicholasie wkroczyły w jej świadomość, sączyły się przez jej umysł niczym dym z palonego drewna. Dosłownie przez chwilę narastało nieznane, potężne uczucie przepelniające ją niemal do granic załamania; wygięła szyję, zwróciła twarz w stronę nieba, zatęskniła za wcześniejszą śmiercią. Tam, miliony mil od wszystkiego, co znane, mogła stać się wolna. Krocząc przez zupełną ciemność kosmicznej przestrzeni mogłaby w końcu odpocząć od zgiełku, który ją osaczał.

Ale to uczucie trwało tylko przez chwilę, potem znowu wróciła na ziemię. Opuściła głowę, a jej ciemne oczy przypatrywały się pełnej precyzji wspaniałości ogrodu. Mniej znaczyło tu więcej, typowo japońska estetyka.

Kamyki przykrywające ziemię były dobierane ręcznie według wielkości, kształtu i koloru. Dwa razy dziennie grabiono je starannie po to, żeby utrzymać dokładną symetrię, nad której stworzeniem tak ciężko pracował projektant.

Z różnych miejsc ogrodu sterczały trzy czarne, kanciaste głązy. W przeciwieństwie do kamyków, każdy z nich był jedyny w swoim rodzaju, ich krawędzie i małe szczeliny wywoływały krańcowo różne odczucia.

Miejsce to było spokojne, a zarazem dodające sił.

Akiko odwróciła głowę i starannie podwijając pod siebie nogi, usiadła na zimnej kamiennej ławie. Dłonie złożyła na kolanach, palce były rozluźnione, lekko zagięte. Postawa, którą przyjęła, była tak pełna kobiecości, że nie sposób było odgadnąć, do jakich wybuchów energii zdolne było jej ciało.

Miała głęboką świadomość istnienia w swym wnętrzu strefy cienia, rozgraniczenia między światłem i ciemnością równie ostrego jak najdoskonalej kuty brzeszczot *katana*. Czowała, jak z tego pogrążonego w cieniu miejsca rozchodzi się falami nienawiść, pragnienie potwornej zemsty. Ciało Akiko zdrząło, głucho dudnienie rozsadzało mózg. Z jej ust wydobył się bolesny jęk.

Poczuła, jak woal wiatru pieści jej szyję, chłodzi ciało, osusza krople potu. Zawładnęła nią atmosfera cudownej symetrii ogrodu i znowu była zupełnie spokojna. Westchnęła na wspomnienie wielkiej burzy, przymknęła oczy. Głowa jej ciążyła i w miarę jak serce biło coraz wolniej, zaczęła przypominać sobie wydarzenia tego wieczoru.

W ciszy kamiennego ogrodu Zen, Akiko była wdzięczna losowi za to, że nie musi rywalizować ze świekrą. Matka Sato, jak wszystkie japońskie matki, rządziłaby w tym domu. Czy nie dlatego właśnie centralna część domu nazywała się, zgodnie z tradycją, *omoya* — dom matki? Wstrząsnął nią dreszcz. Jakim sposobem zdołałaby znieść rozkazy *hera-mochi*, tej, która miała prawo trzymać łyżkę używaną do nakładania ryżu, głowy domu? Nie. Lepiej, że dawno umarła i była pochowana razem z bratem Sato — bohaterem wojennym.

Została sam na sam z kryptomerią — czarniejszą nawet od otaczającej jej nocy — oraz z cieniami głązów Zen znaczącymi jej postać dziwacznymi, pomarszczonymi wzorami; wstała i pod badawczym spojrzeniem nieczułych gwiazd jednym konwulsyjnym ruchem zrzuciła z siebie kimono.

Naga weszła na precyzyjnie ułożone rzędy kamyków, a nocne niebieskie światło rywalizowało z różową poświatą neonów Shinjuku i odległej Ginzy, bulwarów, które nigdy nie kładły się do snu. Podeszwami bosych stóp czuła, jakie są zimne i gładkie.

Rozciągnęła się pomiędzy dwoma czarnymi, sterczącymi głązami, na płaskim podłożu, na pół w świetle, na pół w cieniu — zespoliła się z wszystkim, co ją otaczało.

W wykorzystaniu Tani przeciwko Rosjanom była gorzka ironia, eliptyczna symetria, wywierająca na Mincka taki sam wpływ, jak wpatrywanie się w olbrzymie płótna Thomasa Harta Bentona: samo jej istnienie sprawiło, że warto było żyć.

Po przeżyciach z Moskwy Minck potrzebował bodźców, które by w bezpośredni sposób wywoływały szlachetniejsze, bardziej wysublimowane stany ducha. Więzienie wyssało z niego to wszystko jak pijawka. Po powrocie do Ameryki musiał się od nowa uczyć dodatnich stron ludzkiej natury.

Spojrzał teraz do góry wyczuwając nadejście Tani. Była to kolejna konsekwencja pobytu w więzieniu. Niewidoczna warstwa jego świadomości została wymazana bezustannym badaniem, któremu był poddawany; niczym po przetarciu skóry papierem ściernym — przeczuleniu na ludzką obecność było tym, co ukazało się pod nią.

Minck wpatrywał się w zimne, niebieskie oczy nakrapiane szarymi plamkami. Były duże i szczerze i były tym, co dostrzegał patrząc na Tanię. Były jego osobistym czyśćcem.

Były oczami Michaiła. Oczami jej brata. Michaił, dysydent, główny powód jego przeniknięcia do Moskwy. Michaił wysłał wiadomość na Zachód:

miał informacje niezbędne dla sieci amerykańskich służb wywiadowczych. Minck został wybrany przez komputer — ze względu na łatwość w posługiwaniu się językiem rosyjskim, jak również słowiański typ urody. Wysłali go, żeby wyciągnął stamtąd Michaiła lub — gdyby było to, zgodnie z ich sformułowaniem, niewykonalne — wy dostał od niego informacje.

Chcąc zdobyć jak najwięcej informacji, został oszukany. Ktoś z otoczenia Michaiła doniósł władzom i spotkanie z dysydem zakończyło się serią ognia karabinów maszynowych, która przecięła Michaiła dosłownie na pół; światła reflektorów wyłowiły Mincka z cienia. Śnieg padał i padał. Wszystkie dźwięki były stłumione; plamy krwi na śniegu jak odłamki rozrzucone eksplozją złej woli, opony w łańcuchach dzwoniły dzyń-dzyń w jego uszach, gdy uciekał od podniesionych głosów; wyloty luf plujące czerwoną śmiercią kryły się za wściekłym, oślepiającym światłem reflektorów. I bieg w przesywającym zimnie; płatki śniegu jak oszronione bicze oślepiały go, nasuwały dziwaczne myśli o Kathy, ukochanej z college'u, jego żonie. Jakże kochała śnieg, wyciągała delikatną dłoń i śmiała się w zachwycie, gdy płatki śniegu opadały na nią, jeden po drugim, topiąc się dopiero po wyjawieniu im — tylko im — jej sekretów.

Posłizg na łacie lodu ukrytej pod płaszczem śniegu; gwałtowne szarpnięcie w kolanie, upadek, silne ręce wiążące go, snopy światła na twarz, zapach kapusty i barszczu wdzierający się do jego nozdrzy, szorstkie, gardłowe głosy:

— *Gdzie bumaga? Kak was zawut? Gdzie macie dokumenty? Nazwisko!* — powtarzane bez przerwy, życie sprowadzone do jednego posępnego wyćinka. Osiem lat temu.

— Carroll?

Tylko ona wiedziała, co oznacza „C.” przed nazwiskiem i tylko ona ośmielała się tak go nazywać. Stanowiło to jedyną zewnętrzną manifestację potężnej więzi, która istniała między nimi, na jaką pozwalał.

— Słucham, Taniu.

Spojrzała na zestaw dokumentów, które czytał.

— Czy akta Nicholasa Linneara są kompletne?

— Żadne akta ludzkiej istoty nie są nigdy kompletne, bez względu na to, jak bardzo są aktualne. Chcę, żebyś o tym pamiętała. — Ostatnie stwierdzenie było zupełnie niepotrzebne, ponieważ Tania pamiętała o wszystkim.

Gdy Minck spojrzał na nią ponownie, raz jeszcze uderzyło go niezwykle podobieństwo do Michaiła. Oboje mieli wystające kości policzkowe i delikatnie

rzeźbione rysy twarzy; twarze rasowych Białorusinów, tak inne od szerokich, pospolitych twarzy Rosjan. Oboje mieli gęste czupryny ciemnych włosów, później Tania przefarbowała swoje na jasny blond, ponieważ — powiedziała — pomaga to zagłuszyć wspomnienia.

Gdy z krwią pułkownika na drżących rękach wy dostał się z Łubianki, z całą potęgą *Komiteta Gosudarstwiennoj Biezopastnosti* wymierzoną przeciwko sobie, z milicją depczącą po piętach dysydentom, aby wydobyć informacje o jego losach, Tania wyprowadziła go z Moskwy i, w końcu, z Rosji.

Sporo jej zawdzięczał i rozgniewało go, gdy w Familii — wtedy oczywiście nie istniała Red Station — zabrali ją od niego i w pozbawionej światła celi zaczęli wyczytniać z nią to, co z nim robiło KGB. Wkrótce położył temu kres, ryzykując własne życie. Ale to był tylko pierwszy chwiejny krok do odzyskania życia, które, jak myślał, zostało mu odebrane ruchem równie profesjonalnym i pewnym jak ruch chirurga, gdy przykłada skalpel do ciała.

Ze względu na swoje uwięzienie sam był początkowo podejrzany. Jednak gdy dostarczył im informacje Michaiła, zrozumieli przyczynę i więcej nie podejrzewali, że został podstawiony. Nigdy jednak nie ujawnił, że informacje uzyskał od Tani długo po tym, jak Michaił zginął podczas moskiewskiej strzelaniny. Informacje wydarte po kawałku z jej przemarzniętego gardła podczas nie kończących się gorzkich nocy spędzonych w ukryciu, tak blisko wdzierającej się zewsząd śmierci. Niewiele sił mu pozostało po ciężkich doświadczeniach i to ona toczyła za niego walkę, wyłaniając się bezgłośnie z kryjówek w jamach i na moczarach, by zlikwidować każdego żołnierza, który podszedł zbyt blisko; zbroczona krwią zjawa powracała do niego po każdym śmiercionośnym wypadzie; aby prowadzić go dalej, ku wolności. Była mocna i harda, uratowała go wiele razy odwiedzając się za to, że zabrał ją ze sobą z Łubianki. Szybko się zorientował, że umysł Tani był równie bystry i potężny jak jej ciało. Jej pamięć była magazynem wszystkich tajemnic Michaiła, który był zbyt inteligentny, aby kartkom papieru powierzać coś tak wybuchowego.

Kiedy trzy lata temu Minck, błyskawicznie awansujący w Familii, zaproponował utworzenie Red Station, zajmującej się Rosjanami, ich sojusznikami i operacjami globalnymi, dano mu osiemnaście miesięcy, w ciągu których miał dostarczyć to, co obiecywał w przedłożonym projekcie. Zabrało mu to tylko osiemnaście tygodni, i od tego czasu zapewniono mu stałe rosnącą porcję rocznego budżetu Familii. Walczył o interesy swojego wydziału niczym dobry menedżer gwiazdy sportu pertraktujący z prezydentem

klubu. Jego kontrakt był niebotyczny. Jeżeli nadal dostarczałby punkty. I Minck pilnował, żeby tak było.

Ale nie budżety, Tania, ani nawet nie Familia były tym, co zaprzętało teraz myśli Mincka. Pogłębiał się w głębokiej zadumie, w ciągu kilku minionych miesięcy stopniowo stało się to jego przyzwyczajeniem.

Zastanawiał się, jak mogło dojść do tego, że wysoce inteligentny, dobrze przeszkolony oficer operacyjny Carroll Gordon Minck znalazł się w takich tarapatkach.

Był to dla niego swego rodzaju szok, ponieważ po koszmarnych przeżyciach na Łubiance nigdy nie sądził, że znowu poczuje się w ten sposób. Podczas tamtych ponurych, przepełnionych krwią dni wspomnienie Kathy było jedynym, na jakie sobie w myślach pozwalał. Myśl o wszystkim, co miało coś wspólnego z Familią, była ściśle wzbroniona, ponieważ w każdej chwili mogli go zwlec ze stalowej pryczy i wstrzyknąć, Bóg jeden wie jaką, nową mieszankę leków — środków psychodelicznych i neutralnych środków pobudzających — tak że wpadłby w ekstazę i mówił, zanim zorientowałby się, iż w ogóle otworzył usta.

Rosjanie poznali Kathy co najmniej tak gruntownie, jak on. Jednak o Familii nie dowiedzieli się nic więcej ponad to, co wiedzieli w dniu, kiedy śnieg był przeciwko niemu i kiedy go przyskrzynili.

— *Gdzie bumaga? Kak was zawut?*

Gdy Minck powrócił do Ameryki, jego związek z Kathy był nieodwracalnie zniszczony. Podzielił się ich najbardziej intymnymi chwilami ze zbyt wieloma ludźmi, którzy wzbudzali w nim tylko strach i odrazę. Było to tak, jakby usiadł i omawiał swoje życie seksualne z człowiekiem, który właśnie zgwałcił jego żonę. W głowie Mincka nastąpiła bezgłośna eksplozja. Po powrocie ze swojego własnego piekła kochał Kathy nie mniej niż przedtem, ale stwierdził, że nie potrafi jej dotknąć, żeby nie zostać porwanym w czasie i przestrzeni z powrotem do zimnej, strasznej celi w samym środku Moskwy. Nie pozwalała na to świadomość, więc żyli osobno aż do tej nocy, gdy ją zabito. Do tego czasu utwierdził się w przekonaniu, że odarli go ze zdolności przeżywania doznań seksualnych.

Potem zaczął się ten piekielny galimatias. Lecz nadal nie był w stanie pojąć, jak się stamtąd wydostał, beznadziejnie zakochany w kobiecie, której nie powinien był — nie mógł — kochać. Czy minęły tylko dwa tygodnie od czasu, gdy wpadł do niej ukradkiem, aby odwiedzić ją podczas weekendu? Chryste, miał uczucie, że to były dwa lata. Wpatrywał się nic nie widzącym

wzrokiem w swoje ręce i śmiał się z siebie. Musiał to uczynić, żeby nie rozdrzeć przegubów w poczuciu zupełnego zawodu. Jaki ze mnie głupiec! A jednak nie potrafił wyzbyć się tej miłości — tak jak nie potrafił wyzbyć się nienawiści do Rosjan. Cóż za uniesienie przepęniało go, gdy pomyślał o darze, który mu przyniosła — o zwykłej rozkoszy, ale takiej, która, tego był pewien, nigdy nie miała być jego. Jakże mógł z tego zrezygnować?

Jakże tęsknił za tym, aby zaufać Tani. Mógłby bez wyrzutów sumienia wyszeptać do jej ucha sekrety tego świata... ale nie swoje. Nie. Nie mógł pozwolić na to, żeby je poznała.

Byłoby to bowiem wyraźną oznaką jego słabości. Spojrzałyby wtedy w jego oczy, tym surowym, słowiańskim wzrokiem, zbyt poważnym, aby go wytrzymać, i powiedziałyby, co powinien uczynić, wiedział, że powinien był to zrobić dawno. Kobieta, którą kochał, musiała umrzeć, musiała, ze względu na bezpieczeństwo. Każdego dnia, kiedy pozostawała przy życiu, po ziemi chodził potencjalny przeciek.

Ile razy podczas minionych paru miesięcy podnosił słuchawkę i zaczynał wykręcać zakodowany numer lotnej brygady! Ile razy rozkaz likwidacji zamierał mu w gardle, pozostawiając w ustach cierpki smak popiołu. Nie potrafił tego zrobić. A jednak wiedział, że musi.

— ...tutaj.

Uniósł głowę.

— Przepraszam, byłem...

— Pograżony w myślach — rzekła Tania. — Tak, widziałam. — Jej oczy, oczy Michała, wytrzymały spojrzenie Mincka. — Myślę, że czas iść na basen.

Z westchnieniem skinął głową. Lubiła mawiać, że trening, dobry dla jej ciała, robił tak samo dobrze jej umysłowi.

Tania włączyła SAPICR, nowoczesną sieć komputerową zainstalowaną przez Familię dla Red Station na polecenie jej dyrektora. System kontrolował teraz wszystkie docierające i wychodzące informacje. Sieć została ten sposób zaprogramowana przez Mincka, aby sama radziła sobie z trzema pierwszymi stopniami danych. Przy stopniach od czwartego do siódmego musiała skontaktować się z Minckiem, bez względu na to, gdzie przebywał, aby zyskać dalsze instrukcje.

Winda obitą ołowiem pojechali na trzecie piętro do sali rekreacyjnej. Przeszli przez dwa różne rodzaje elektrycznej kontroli bezpieczeństwa. Ciało Mincka było jędrne i szczupłe; rozebrany wyglądał co najmniej dziesięć

lat młodziej. Z daleka wydawało się zupełnie normalne, aż do momentu, gdy podeszło się blisko, wtedy można było dostrzec szczegóły: ostre bruzdy i blizny, plamy martwej, białej skóry, błyszczącej i pozbawionej włosów. Łubianka była dla niego surowa.

Uderzył w wodę po szybkim, płaskim skoku; powierzchnia prawie się nie zmarszczyła, gdy gładko w nią wchodził. Po chwili Tania skoczyła za nim do basenu o olimpijskich wymiarach. Oboje ubrani byli w skąpe elastyczne kostiumy. Minck, jak zawsze, podziwiał jej gibkie, wysportowane ciało. Tak bezustannie polegał na jej umyśle — stalowej pułapce, na jej bezbłędnym sprycie w chwytaniu Rosjan w sidła w ich własnej grze, że te nieliczne chwile zawsze uderzały go niczym objawienie. Miała szerokie ramiona i włoskie biodra sportsmenki, ale nie było w niej nic męskiego. Była po prostu mocna.

Przepłynęli dwadzieścia pełnych długości basenu, swoją szybkość i wytrzymałość wykorzystywali jako wzajemny bodziec do dalszego wyścigu.

Tania wygrała w końcu, tak jak zawsze, lecz z mniejszą przewagą niż ta, którą uzyskiwała kilka miesięcy wcześniej.

— Niewiele brakowało — wyrzucił z siebie łapiąc oddech. Otarł wodę z twarzy. — Cholernie niewiele.

Tania uśmiechnęła się.

— Trenowałeś ostrzej niż ja. Będę musiała o tym pamiętać na przyszłość.

Sięgając ku górze, podciągnął się i usiadł na kafelkowanym brzegu basenu. Woda ściekała z niego, a ciemne włosy przykleiły się do czoła, nadając mu wygląd rzymskiego senatora. Czyste szare oczy były nienaturalnie duże w stosunku do twarzy. Zgolił ostatnio swe sumiaste wąsy i w rezultacie wyglądał zdumiewająco chłopięco jak na czterdzieści siedem lat. Tania, wciąż brodząc w wodzie, czekała cierpliwie, aż zacznie mówić. Od czasu gdy rozmawiał z doktorem Kiddem w Nowym Jorku, na jego twarzy malował się surowy wyraz. Nie została wtajemniczona w rozmowę, a Minck był szczególnie niekomunikatywny w tej sprawie. Miała nadzieję, że to jedynie pochłaniało teraz jego myśli.

Był mężczyzną, który — w zupełnie innych okolicznościach — byłby dla niej niezmiernie pociągający. Charakteryzowało go to, co podziwiała w ludziach najbardziej: potrafił połączyć intelektualną głębię z fizyczną siłą.

— To ten cholerny Nicholas Linnear — mówił teraz Minck z charakterystyczną gwałtownością. — Myślę, że będziemy musieli się nim zająć raczej wcześniej niż później.

Teraz wiedziała, jak przebiegła rozmowa z doktorem Kiddem, ale nic nie

powiedziała na ten temat. Szare oczy Mincka zatrzymały się na niej.

— Ani przez chwilę nie myślę, że polubię tego drania, jest zbyt niezależny, żeby mu to wyszło na zdrowie. I oczywiście jest potwornie niebezpieczny.

— Czytałam akta — powiedziała podciągając się obok niego. — Nigdy nawet nie rozważał agresji.

— Ależ nie — przyznał Minck. — Zupełnie. I to jest klucz do jego osoby. Linneer nie ma zielonego pojęcia o naszych metodach. Dlatego też musimy dopilnować, żeby znalazł się na naszym podwórku, abyśmy mogli go zwinąć, gdy da nam to wszystko, czego chcemy. — Przesunął dłońmi po prawie zupełnie pozbawionych owłosienia udach. — Jeżeli pozwolimy mu na powrót na własne podwórko, to wtedy... Boże ratuj. Stracimy jego, Rosjan, wszystko.

Halo?

— Nick. Nick, gdzie się podziewałeś? Cały dzień usiłuję cię złapać!

Wymamrotał coś do słuchawki. Jego powieki wydawały się skleione na dobre.

— Nick?

Otoczyły go obrazy. Śnił o Yukio. Ceremonia ślubna przed grobowcem Tokugawy, czarny latawiec krążący po niebie, szare siewki śmigające w ukrycie. Yukio w swoim białym kimonie z purpurową lamówką, oboje zwrócenii twarzami do buddyjskiego kapłana. Cichy, monotony śpiew osiadający jak śnieg na gałęziach sosen.

— Nick, jesteś tam?

Bierze jej dłoń, śpiew narasta, coraz głośniejszy, jej głowa odwraca się, wstrząs na widok poźółklej, zapadniętej czaszki. Odskakuje, potyka się, po czym widząc, że to Akiko... Akiko lub Yukio. Która? K t ó r a ?

— Przepraszam, Justine. Wczoraj był ślub Sato. Przyjęcie trwało aż do...

— Nie przejmuj się! — odparła. — Mam fantastyczną wiadomość. — Dopiero teraz usłyszał nutę podniecenia zmiękczającą, niczym kreska akcentu, jej głos.

— O co chodzi?

— W dniu, w którym wyjechałeś, rozmawiałam z Rickiem Millarem. Pamiętasz, jak koloryzował namawiając mnie na tę pracę-marzenie? No więc, przyjęłam ją! Byłam tak podniecona, że zaczęłam od piątku!

Nicholas przeczesał dłońią włosy. Było prawie ciemno, brzask był blisko.

Wciąż wydawał się tkwić w sieci wczorajszych wydarzeń, jakby nowy dzień wcale nie nadchodził; wydawało się, że z powrotem znalazł się w potrzasku tej dławiącej bicie serca chwili, gdy Akiko powoli opuściła wachlarz. Ta twarz! Czuł się jak prześladowany, wygnaniec z czasu, skazany na ciągłe przeżywanie tej okropnej chwili... aż znajdzie odpowiedź.

— Nick, czy słyszałeś cokolwiek z tego, co powiedziałam? — Teraz jej głos zabarwiło rozdrażnienie.

— Myślałem, że chcesz pracować dla siebie, Justine — rzekł. Myśлами wciąż był daleko. — Nie rozumiem, dlaczego chcesz się związać...

— O Boże, Nick! — uderzył go wyostrzony gniewem głos. Nagle to wszystko stało się dla niej zbyt przygniatające: że podjął tę odrażającą pracę, że był tak daleko, straszna samotność przez długie noce, podczas których nieśmiertelny duch Saigo powracał, aby nad nią krążyć, a teraz jego roztargnienie przypominające o ojcu pochłoniętym swoimi sprawami, teraz, kiedy był jej najbardziej potrzebny. O, tak, potrzebowała teraz jego wsparcia! — Gratulacje. To właśnie powinieneś powiedzieć. Cieszę się, Justine. Czy to takie trudne?

— Więc dobrze, cieszę się, ale myślałem...

— Chryste, Nick! — Ekspłodowała jak wysadzona bomba. — Idź do diabła, dobrze?

Po drugiej stronie była tylko głucha cisza, a gdy próbował wykręcić jej numer, był zajęty. Też dobrze, pomyślał ze smutkiem, powoli. Nie jestem w stanie skutecznie jej przeprosić.

Wrócił do łóżka, położył się nagi na pościeli zastanawiając się, na ile sposobów zdradzały go własne wspomnienia.

Dokładnie o dziewiątej rano rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Panna Yoshida była punktualna.

— Dzień dobry, Linnear-san — powiedziała. — Jest pan gotowy do wyjścia?

— *Hai*. Ale przyznam, że nie miałem czasu, by kupić...

Wyciągnęła rękę zza pleców i pokazała długie, zawinięty pakunek.

— Pozwoliłam sobie przynieść panu pałeczki kadzidła. Mam nadzieję, że się pan nie obrazi.

— Wręcz przeciwnie — odparł. — Jestem zachwycony. *Domo arigato*, Yoshida-san.

Była niedziela. Greydon pojechał do Misawy odwiedzić syna, a Tomkin w łóżku, złożony przez grypę, starał się zbić gorączkę. Nadszedł czas na rodzinne zobowiązania.

Wyjeżdżając z miasta limuzyną z przyciemnionymi szybami, Nicholas spostrzegł, że zmieniła makijaż. Mogłaby uchodzić za dwudziestolatkę i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, w jakim jest wieku.

Była bardzo spokojna, zamknięta w sobie. Siedziała po drugiej stronie tylnego siedzenia, celowo zachowując odstęp, który równie dobrze mógłby być ścianą.

Nicholas parę razy miał już coś powiedzieć, ale widząc wyraz skupienia na tej twarzy rozmyślił się. W końcu panna Yoshida złożyła ręce i odwróciła się do niego. Jej oczy były bardzo duże. Zdecydowała się ubrać w tradycyjny japoński strój i przepisowe kimono; *obi* oraz *geta* w pewien sposób przyczyniały się do dalszej transformacji odejmując jej lat.

— Linnear-san — rozpoczęła, po czym, wyraźnie dając za wygraną, umilkła. Widział, jak bierze głęboki wdech, jakby zbierając się na odwagę, w przygotowaniu do ponownej próby. — Linnear-san, proszę mi wybaczyć to, co za chwilę powiem, ale przeszkadza mi, że gdy mówi pan do mnie, używa pan słowa *anata*. Proszę, żeby używał pan słowa, które jest właściwe: *omae*.

Nicholas zastanowił się nad tym. Chodziło jej o to, że bez względu na to, jak daleko zaszła emancypacja kobiet w Japonii — z pewnością istniał szeroki zestaw frazesów, przynajmniej tyle, będących ustępstwem na rzecz zmian współczesnego świata — kobiety i mężczyźni wciąż używali różnych form w rozmowie. W rezultacie mężczyźni rozkazywali, gdy mówili, kobiety — prosiły.

Anata i *omae* znaczyły to samo — ty. Mężczyźni używali *omae* mówiąc do równych sobie lub będących na niższym poziomie. Naturalnie kobiety należały do tej kategorii. Zwracając się do mężczyzn, kobiety zawsze używały słowa *anata*, grzeczniejszego zwrotu. Jeżeli pozwalano im użyć mniej uprzejmego zwrotu, była to wersja *omae-san*.

Bez względu na to, co mówiono, Nicholas wiedział, że ta rozbieżność rodziła w kobietach pewien służalczy sposób myślenia.

— Byłbym szczęśliwy, Yoshida-san — odparł — gdybyśmy oboje zwracali się do siebie w ten sam sposób. Nie może pani chyba zaprzeczyć, że zarówno pani, jak i ja zasługujemy na taką samą grzeczność w rozmowie?

Panna Yoshida opuściła głowę, utkwiała wzrok w kolanach. Jedyнным zewnętrznym znakiem, że była poruszona, było bezustanne krącenie palców.

— Błagam pana, Linnear-san, aby pan się raz jeszcze zastanowił. Jeżeli mnie pan o to prosi, nie mogę oczywiście odmówić. Ale proszę rozważyć inne

aspekty. Jak mogłabym wytłumaczyć panu Sato tak jaskrawe naruszenie norm towarzyskich?

— Nie żyjemy w feudalnej przeszłości, Yoshida-san — tak delikatnie, jak tylko potrafił, odpowiedział Nicholas. — Sato-san jest z pewnością dostatecznie oświecony, aby to zrozumieć.

Głowa dziewczyny uniosła się i Nicholas dostrzegł drobne iskierki, które mogły być pierwszymi zwiastunami łez w zewnętrznych kącikach jej oczu.

— Gdy przyszedłam do Sato Petrochemicals, byłam pomocnicą biurową. Taki był mój tytuł, funkcje nie są w tej chwili istotne. Jednym z wymagań obowiązujących pomocnicę biurową był *yoshitanrei*.

— Piękny wygląd? Ale tak było dziesięć lat temu. Nie wyobrażam sobie, aby to samo obowiązywało w dzisiejszych czasach.

— Zgadza się, Linnear-san — powiedziała łagodnie, z wyraźną akceptacją kiwając głową. Nie mogła bardziej dobitnie zaakcentować swych słów.

— Dobrze — po chwili odparł Nicholas. — Pójdźmy na kompromis. Zwrotu *anata* będziemy używać między sobą, gdy jesteśmy sami. Nikt oprócz nas nie musi słuchać tych bluźnierstw.

Usta panny Yoshidy wygięły się w delikatnym uśmiechu i znowu skinęła głową.

— *Hai*. Zgadzam się. — Po chwili odwróciła głowę i ogarnęła spojrzeniem niewyraźnie zarysowany krajobraz przepływający obok nich. — Jest pan bardzo uprzejmy — powiedziała łagodnym szeptem.

Panna Yoshida była ledwie widoczną postacią tkwiącą w mglistej dali.

Nicholas odwrócił się i stanął przed kamieniami nagrobnymi rodziców. Tak wiele wspomnień, tak wiele okropnych śmierci. Szybkie i mocne szarpnięcie ramion jego matki, po czym krótki miecz *seppuku* dokonał swego dzieła. I Itami, szwagierka Czeong, posłusznie dzierżąca *katana*, który na zawsze ukrócił cierpienie jego matki.

— Była dzieckiem honoru — powiedziała mu Itami.

Nicholas ukląkł i zaczął zapalać pałeczki kadzidła, lecz żadna modlitwa nie przychodziła mu na myśl. Sądził, że wbrew swej woli i bez dostrzegalnego celu przypomni sobie to wszystko. Zamiast tego ogarnęły go inne wspomnienia.

Jako nastolatek szedł stromymi zalesionymi wzgórzami Yoshino, ukochanego przez wszystkich *joninów* Tenshin Shoden Katori. Zrozumiał, że

istnieje mistyczny związek między tą ziemią a ludźmi tajemnej profesji, którzy uczynili ją swym domem.

Błękitna mgiełka spływała z cyprysów i kroptomerii jak welon, barwy świtu stopniowo zmieniały się w pastelową zieleń, błękit, róż i biel chryzantem rozplywającą się w oddali. Bystrooki drożd śledził ich; białe plamki na końcach skrzydeł błyskały rytmicznie niczym błyskawicznie rozkładany i zamykany wachlarz, gdy przemykał się z drzewa na drzewo ćwierkając do nich.

Nicholas i Akutagawa-san szli ramię w ramię szybkim krokiem, jeden w czarnym prostym *gi* ucznia, drugi w perlistoszarym bawełnianym kimono, obszytym brązową lamówką. Kamienne mury i wyłożone zieloną dachówką dachy *ryu* Tenshin Shoden Katori za ich plecami pojaśniały, gdy powoli wschodzące słońce rozcięło płaszczyznę horyzontu.

Ukośne przebłyski słonecznego światła wdarły się przez gałęzie i, z delikatnością mistrzowskiego pociągnięcia pędzlem, uwydatniły szyszki sosen i brązowe igły.

Akutagawa-san był jeszcze w cieniu, gdy powiedział:

— Błędem, który wszyscy popełniamy, zanim tu wejdziemy, jest sposób pojmowania cywilizacji. Historia, etyka, sama koncepcja prawa zależą w swym istnieniu od tego zasadniczego oparcia.

Długa, melancholijna twarz Akutagawy z szerokimi ustami, dość ostrym nosem i mandaryńskimi oczami była jeszcze bardziej poważna niż zwykle. Wśród uczniów — którzy zgodnie z uczniowską tradycją na całym świecie tworzyli dla swych nauczycieli przezwiska, aby odzyskać przynajmniej namiastkę władzy, którą zabrał im *ryu* — znany był jako „człowiek bez uśmiechu”. Więc nie było w tym chyba nic niezwykłego, że obaj dostrzegli w sobie podobieństwa i to przyciągnęło ich.

Obaj na swój sposób byli banitami w *ryu* banitów, bowiem legenda o *ninja* głosiła, że wyłonili się z *hininów*, najniższej warstwy japońskiego społeczeństwa. A — jak działo się w wielu warstwach japońskiej społeczności — legenda często stawała się historią. To, czy źródło pochodzenia było prawdziwe, czy nie, wydawało się teraz nieistotne, ponieważ istniejący *ninja* podjęli tę legendę i obrócili ją na swoją korzyść, używając jej do ugruntowania swej mistyki wśród ludzi, którzy już pograżyli się w mistycyzmie.

Akutagawa-san był półkrwi Chińczykiem; takie pogłoski krążyły wśród chłopców, nowicjusze zawsze byli ciekawi, dlaczego pozwolono mu być częścią tak tajemniczego społeczeństwa w społeczeństwie. Odpowiedź na ich pytanie padła, gdy odkryli, że źródeł pochodzenia *aka-i-ninjutsu* należało szukać w Chinach.

— Faktem jest — opowiadał Akutagawa-san, wylaniając się z mroku — że nie istnieje nic takiego jak cywilizacja. Cywilizacja jest pojęciem, które stworzyli Chińczycy lub, jeżeli wolisz zachodni sposób — Grecy, po prostu po to, aby dać pewną wiarygodność moralną ich próbom dominacji nad innymi narodami świata.

Nicholas pokręcił głową.

— Nie rozumiem. A drobiazgowo aspekty japońskiego życia, które od różniają nas od wszystkich innych: złożoność ceremonii przyrządzania herbaty, sztuka *ukiyo-e*, *ikebana*, *haiku*, pojęcia honoru, synowskiego obowiązku, *bushido*, *giri*. Wszystko, co nas tworzy.

Akutagawa-san popatrzył w młodą, otwartą twarz i westchnął. Miał kiedyś syna, który zmarł w Mandżurii, w rękach Rosjan. Co roku odbywał pielgrzymkę do Chin, aby być bliżej. Nigdy nie był pewien: bliżej czego lub kogo. Ale teraz pomyślał, że wie.

— To, o czym mówisz, Nicholasi... wszystko to jest płodem k u l t u r y . Nie ma żadnego związku ze słowem: c y w i l i z a c j a z wyjątkiem tego, co dzisiejsze okoliczności na nie nakładają.

Przesuwali się dalej wzdłuż wzgórz, drozd dotrzymywał im chwiejnie kroku, oczekując pewnie, że jego śniadanie może zostać rozrzucone w pobliżu tych potężnych widm.

— Gdyby społeczeństwo było naprawdę cywilizowane — ciągnął dalej Akutagawa-san — samurajowie nie byłiby potrzebni; pewnie też nie tolerowałyby wojowników takich jak my. Nie byłoby po prostu takiej potrzeby, rozumiesz? Ale pojęcie cywilizacji jest takie, jak pojęcie komunizmu. Czyste w teorii, niemniej nie może zaistnieć w rzeczywistości. Jest to pojęcie zbyt abstrakcyjne dla człowieka. Mimo że najlepiej pomyślane, jest jedynie pokarmem dla rozważań, bowiem człowiek c y w i l i z o w a n y nie udzieliłby schronienia żadnym wojowniczym tendencjom. Nie szpiegowałby drugiego człowieka, nie byłby cudzołożnikiem, oszczercą i niszczycielem.

Akutagawa-san położył dłoń na ramieniu Nicholasa, aby go zatrzymać. Razem wpatrywali się w częściowo ukrytą dolinę; wierzchołki drzew wylaniały się z falującej mgły niczym kamienie na planszy Go.

— Nicholasi, oto z czego dla większości ludzi składa się życie: z rzeczy wyraźnych i ukrytych, możliwych do poznania i tajemnych. Ale dla nas tutaj jest inne. Gdy odkładamy na bok pojęcie cywilizacji, wyzwalamy siebie.

A pograżając się we mgle, uczy się osiodłać wiatr, stąpać po wodzie, kryć się tam, gdzie nie ma kryjówki, widzieć, gdzie nie ma światła, i słyszeć, gdy mamy zatkane uszy. Nauczysz się, że jeden oddech podtrzyma cię przez

godziny, i nauczysz się, jak radzić sobie z przeciwnikami.

Żadnej z tych spraw nie można traktować bez troski. Rozumiesz to, wiem. Jednak trzeba to powtarzać. Wraz z wiedzą o tym, jak traktować życie, przychodzi odpowiedzialność wobec Boga.

Istotą tego wszystkiego jest władza. Bez niej jest tylko chaos, a mając szansę, ten rodzaj złośliwej anarchii żarłocznie pochłonie naszą kulturę... całą kulturę.

Nicholas milczał, nieruchomy i dostrojony, próbując zrozumieć wszystko, o czym mówił Akutagawa-san. Wiele z tych słów było wtedy poza zasięgiem jego pojmowania; większe niż życie — były tym samym niezrozumiałe. Ale umieszczał je w pamięci, rozumiejąc, że jeżeli wykaże cierpliwość, wszystko stanie się dla niego jasne.

Akutagawa-san wpatrywał się w starą okolicę, wdychał jej ostre, czyste powietrze, jakby zmieszane z zapachem perfum najznamienitszych kurtyzan tego kraju.

— Musisz zrozumieć teraz — teraz, zanim nie będzie za późno, gdy jeszcze masz czas na podjęcie decyzji — że *aka-i-ninjutsu* jest tylko jedną z postaci całej dyscypliny i tak jak we wszystkich dyscyplinach istnieją jej złe strony. — Odwrócił głowę i jego czarne kamienne oczy utkwiły w Nicholasie. — Wkładając naszą opończę możesz również stać się celem dla tych złych... sił. Jednym z powodów, dla których tutaj jestem, jest to, że jestem *senninem* w wielu tych dyscyplinach. Czy słyszałeś o *Kuji-kiri*, cięciu dziewięciu rąk?

Nicholasowi zapało dech w piersiach. *Kuji-kiri* było dyscypliną, dzięki której Saigo pokonał go rok wcześniej w Kumamoto, pozbawił go czci i zabrał mu Yukio, po czym zniknął razem z nią, tak jakby obydwójka nigdy nie było na świecie.

Wargi miał suche i musiał dwa razy spróbować, zanim w końcu zdołał wyraźnie wymówić słowo.

— Tak — rzekł szorstkim, świszczącym szeptem. — Sły... słyszałem o tym.

Akutagawa-san skinął głową. Starał się nie patrzeć na Nicholas'a i nie narażać się tym samym na oglądanie targanego wewnętrznymi emocjami i tracącego twarz ucznia.

— Fukugashi-san również to podejrzewał. Sądził, że to odbiegające od utartych zasad szkolenie może być ci potrzebne, aby przetrwać. A sztuka przetrwania jest właśnie tym, czego się naucza tutaj, w Tenshin Shoden Katori.

Akutagawa-san odwrócił głowę jastrzębim ruchem i jego obsydianowe oczy wbiły się w Nicholas'a z siłą fizycznego kontaktu. Nie było to prawdziwe

uderzenie, ale elektryzująca siła kryjąca się w nim sprawiła, że Nicholas naprzężył wszystkie mięśnie.

Osobliwe było to, że umysł miał spokojny, idealnie jasny, po raz pierwszy od czasu, gdy powrócił ze swojej podróży przez cieśninę Shimonoseki — swój Styks — w poszukiwaniu Saigo w podziemnym świecie *Kanaku-na ninjutsu*.

Akutagawa-san uśmiechnął się nieznacznie.

— Jest tutaj wiele chińskich źródeł. Ale znasz Japończyków. Wszystko musi być zmienione i poprawione tak, aby pasowało do wrażliwości wykształconej przez nich samych. — Był to jedyny moment, gdy *sennin* przemówił w ten sposób do Nicholasa lub do kogokolwiek, znak, że rozpoznał w nim pokrewieństwo: ich pogmatwane dziedzictwo.

— Znasz teraz niebezpieczeństwa i ryzyko. Fukugashi-san żądał stanowczo, aby przekazać ci te zastrzeżenia.

— Ale ty byłeś temu przeciwny — rzekł Nicholas prawidłowo odczytując zabarwienie głosu *sennino*.

— Nie myśl sobie, że nie jestem ostrożny. Fukugashi-san i ja myślimy podobnie o wielu sprawach. Jednak nie sądziłem, abyś potrzebował tych ostrzeżeń.

— Miałeś rację. — Nicholas odetchnął głęboko. — Chcę, żebyś mnie uczył, *sensei*. Nie boję się *Kuji-kiri*.

— Nie — niemal ze smutkiem powiedział Akutagawa-san — ale po pewnym czasie nauczysz się. — Sięgnął po dłoń Nicholasa. — A teraz chodź. — Jego głos zmienił się. — Niech ciemność i śmierć na zawsze będą twoim drugim imieniem.

Zeszli ze wzgórz. Wkrótce pochłonęła ich mgła.

Potwory potrzebowały przydziału. Nigdy nie były z Alix Logan równocześnie, raczej pracowały na dwunastogodzinne zmiany. Ten muskularny miał służbę podczas dnia i Bristol nazywał go w myślach Czerwonym. Drugiego, chudego i żylastego — nocnego potwora z długą szyją i nosem jak dziób — nazywał Niebieskim.

Pierwsze pytanie, jakie sobie zadał, gdy natknął się na nich, brzmiało: czy to oni byli w samochodzie?

Upłynęło wiele miesięcy od tamtej ciemnej nocy, pełnej deszczu i piekielnego wiatru, który do ziemi niemal wyginał wysokie i cienkie palmy w Key West. Miał na liczniku czterdzieści pięć mil, gdy z dużą szybkością i wygaszonymi światłami najechali na niego z tyłu.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie do przodu i rzucił: — Co jest, do cholery! — nie zwracając się do nikogo konkretnego i dziękując swym pasom. Byli blisko i wiedząc, że jego oczy zwrócą się instynktownie w kierunku lusterka wstecznego, włączyli długie światła.

W chwili gdy był oślepiiony, ruszyli do dzieła. W tym błysku zrozumiał, jak bardzo są sprytni, wiedział także z długoletniego doświadczenia, że nie będzie czasu na to, aby odzyskać panowanie nad sytuacją; nie był Jamesem Bondem i to nie był film. Zrobił więc jedyną rzecz, którą mógł zrobić. Skoncentrował się na własnym przeżyciu.

W ułamku sekundy, przed ponownym uderzeniem, otworzył drzwi od strony kierowcy i uchylił je odrobinę. Odpiął pas. Nie przejmował się już więcej tym, co robią i jak to robią, wiedział jedynie, że jeżeli nie skupi teraz na sobie całej uwagi, na pewno go zabiją.

Gdy nastąpiło drugie uderzenie, trafiło dokładnie pod kątem prostym. Wahali się dostatecznie długo, dlatego też obydwa samochody pędziły teraz po lekkim łuku w prawo. Teren za niską barierą po lewej stronie opadał ostro w dół na głębokość około siedemdziesięciu pięciu stóp. Grunt nie był zbyt twardy. Wprawdzie ostatnie deszcze uczyniły z niego dość sprężystą nawierzchnię, ale przyczepność była bardzo słaba. Ten odcinek drogi był bardzo niebezpieczny, zwłaszcza podczas sztormu, co kilkanaście stóp przelatowały wzdłuż pobocza drogi duże tablice upstrzone jaskrawoczerwonymi światłami odbłaskowymi.

Poczuł, jakby ogromny potwór odgryzł kawałek samochodu. Brzeg bagażnika obrócił się w prawo, a kierownica zaczęła wysuwać się z rąk. Puścił ją, starając się utrzymać równowagę. Siła odśrodkowa oraz impet zderzających się samochodów działały przeciwko niemu, a ciemność nocy potęgowała jedynie poczucie ogromnej dezorientacji.

Błyskawicznie sięgnął dłonią do uchylonych drzwi i musiał walczyć ze wszystkich sił, żeby pozostać nieruchomo wśród odgłosów trącego o siebie metalu, w przerażającym, bezładnym ruchu, mając świadomość, że przelatuje przez brzeg skarpy i spada w dół.

Opuszczenie samochodu, zanim wypadnie z szosy, byłoby bezcelowe. Światła drugiego samochodu wyłowiłyby jego postać, rozjechałyby go w chwili, gdy byłby zupełnie bezradny.

W tym momencie przód samochodu uderzył w niską poręcz. Rozległ się zgrzyt rozdzieranej, podrywającej się do góry blachy. Został wyrzucony do przodu na tablicę rozdzielczą. Pamiętał o lekkim ugięciu ramion w łokciach, żeby zredukować siłę uderzenia i uniknąć ich połamania.

Przód samochodu został wypchnięty w górę, sprężyny fotela uginały się szaleńczo. Krople deszczu wpadały przez uchylone okno, zalewając i oślepiając go. Przez tę chwilę czuł wzbierający paniczny strach, obawiał się, że mimo wszystko uda im się.

Samochód skoczył do przodu, jakby został kopnięty z tyłu, przód przechylił w dół, koła kręciły się nie znajdując przyczepności. Dawno już zdjął stopy z pedałów gazu i hamulca. Zostawił wóz na biegu, chociaż może byłoby lepiej wrzucić luz. Nie chciał, aby odnaleziono jakiegokolwiek ślady prób wyjścia cało z opresji, nie chciał dostarczyć ich śledczym, którzy z pewnością przyjdą i starannie wykonają swoją robotę, jeżeli morze nie upomni się o jego trumnę.

Chciał być trupem.

Zaczął spadać, zostawiając za sobą wąskie pobocze śliskiej drogi. Poprzez hałas silnika usłyszał tarcie o grudy ziemi, tylne koła samochodu wpadły w przyprawiający o mdłości poślizg obracając nim ponownie, tak że uderzył w ramę drzwi i zachłysnął się własnym oddechem. Parę cali w bok, a wyleciałby głową przez otwarte drzwi.

Przytrzymał się i teraz zapadła dziwaczna cisza, która wdarła się w ślad za gwałtownym szaleństwem dźwięków. Wiatr gwizdał przez uchyloną szybę, samochód zachwiał się uderzając o ścianę stromego urwiska. Jedną stroną uderzył silniej niż drugą i to zapoczątkowało obrót. Wiedział, iż niedługo stanie się tak wyraźny — może po czwartym lub piątym zetknięciu z ziemią — że pojazd obróci się kołami do góry i wtedy nie będzie miał najmniejszych szans.

Nie widział żadnego ratunku. Był w tunelu nocy, w stalowej trumnie i wiedział, że musi całkowicie zdać się na instynkt.

Teraz albo nigdy.

Podciągnął nogi do góry tak, żeby stopy nie utknęły pod kierownicą. Szybko odwrócił się na plecy, stopami w stronę huśtających się drzwi.

Wyskoczył. Obserwował w oszołomieniu — szok i ból przemieniły go w obojętnego widza — jak spadający samochód uderzył maską o wzburzoną wodę i bez śladu pograżył w głębinach.

Bristol rzadko myślał o tej nocy, próbował tylko domyślić się, kim byli ci, którzy usiłowali go zabić. Początkowo był pewien, że to Frank, człowiek Raphaela Tomkina. Ale tak było, zanim nie natknął się na potwory. Teraz nie był już taki pewien.

Przyjechał do Key West, żeby znaleźć Alix Logan. Teraz, gdy stwierdził, że jest już strzeżona, zastanawiał się: „Kim oni są, te potwory, które nigdy nie spuszcza jej z oka? Czy pracują dla Tomkina? Czy byli częścią planu zatajenia morderstwa popełnionego przez Tomkina?” Bristol mógł się tego dowiedzieć jedynie od Alix Logan, nie było innego sposobu. Matty Gaduła dał mu jej nazwisko jeszcze w Nowym Jorku. Wiedział, że istnieje świadek morderstwa, i jeżeli miał przyskrzynieć Tomkina, musiał ją odnaleźć. Informator przekazał mu nazwisko i miejsce pobytu za zawrotnie wysoką sumę.

Ale były tego warte. Teraz wiedział, że jest bardzo blisko, i kazał Matty'emu Gadule przysnąć na pewien czas z miasta. Tyle był winien temu człowiekowi.

W Key West, po swojej domniemanej śmierci, po wyleczeniu złamanej ręki, nastawił się na czekanie. Miał mnóstwo wolnego czasu, nie miał do roboty nic oprócz czekania. Ruch i bezruch. Były wszystkim, co dla niego istniało. Oprócz Alix Logan.

Wpatrywanie się w nią często przywodziło na myśl Geldę, ale było to, rzecz jasna, bezcelowe. W żaden sposób nie mógł się z nią skontaktować. Musi pozostać martwy po to, aby nadal być blisko Alix Logan, nie wykryty i nie molestowany. Śledzenie kogoś było wystarczająco trudnym zadaniem; byłoby niemożliwe, gdyby ktoś go próbował uziemić.

Bristol. Ileż razy w ciągu długich, wlokących się godzin wyczekiwania powtarzał to nazwisko. Prawdziwe nazwisko rozplynęło się w niepamięci, jak obraz w starym albumie z pożółkłymi fotografiami, który był odległy w czasie i przestrzeni.

Stał się „Texem” Bristolem i tak właśnie teraz o sobie myślał, tak jak myśleli o nim wszyscy wokół, którzy go znali. Była tylko jedna osoba na świecie, która wiedziała o tym, że nie zginął tamtej nocy w płonącym samochodzie, a która nigdy o tym nie powie. Zostało mu wystarczająco dużo pieniędzy, aby dostać się do San Antonio. Poznał Marie dawno temu w Nowym Jorku. Wtedy byli po przeciwnych stronach prawa, a teraz nie był taki pewien, po której stronie stało każde z nich.

Była bystra, twarda i wszystkich знаła. Zapewniła mu opiekę lekarską i dostarczyła dowody jego nowej tożsamości: świadectwo urodzenia, kartę ubezpieczeniową, prawo jazdy, a nawet paszport, lekko podniszczony, kilkakrotnie ostemplowany w Europie i Azji. Potraktował go jako miły dodatek, chociaż nie sądził, że mu się przyda. Mimo to wziął paszport z trzydziestoma tysiącami w gotówce.

Marie nie zadawała żadnych pytań, a ponieważ on nic nie wyjaśniał, przeszła nad tym do porządku dziennego. Wydawało się nawet, że ucieszyła się, widząc go znów. Dawniej w Nowym Jorku doprowadzali się do białej gorączki; dla obojga było to coś nowego i lekcja na przyszłość. Można było nawet powiedzieć, że się lubią — na swój sposób.

Gdy wyjechał, wiedział, że zawdzięcza jej więcej, niż mógłby kiedykolwiek zwrócić.

Słucham?

Przenikliwe hebanowe oczy uniosły się w kierunku bladopurpurowego światła, na nagich ścianach pokoju zadrgały cienie niczym goniące za sobą kotki.

— Co to jest? — Głos był bardziej niż obcesowy; w swym gardłowym pomruku zawierał określony odcień pogardy, co sprawiło, że młody porucznik, który wszedł do pokoju, poczuł się trochę zawiedziony, jakby był w obecności nadludzkiej istoty.

„Sztuka udawania — pomyślał teraz mężczyzna, gdy przyjął do wiadomości obecność młodego porucznika, skinieniem głowy nakazując mu zbliżyć się — pomaga rządzić światem”. Staranne codzienne ćwiczenie głosu sprawiło, że sprawy w budynku KGB toczyły się gładko i bez przeszkód.

Z jego doświadczeń wynikało, że częstokroć wystarczy wzbudzić ledwie namiastkę strachu, a przeciwnik — czy to ten młody, żądny awansu porucznik, czy też jeden ze starych strażników w domu — dostarczy całej reszty. Pozwalało to na zajęcie się bardziej nagłymi sprawami.

— Najnowsze wydruki z Sakowa IV, proszę pana — odparł młody, umundurowany porucznik, oddając plik papieru milimetrowego.

— A ile mamy tutaj przejść, poruczniku? — spytał Wiktor Protorow, szef Dziewiątego Wydziału KGB.

— Niewiele ponad sześć, proszę pana.

— Rozumiem. — Wzrok Protorowa przesunął się w dół, w kierunku pliku papieru. Czuł, jak mężczyzna stojący przed nim odprężył się. — A cóż interesującego może zawierać ta masa danych, jeżeli w ogóle coś zawiera, poruczniku?

— Nie wiem, proszę pana.

— Niechże pan przestanie. — Protorow uniósł wzrok. Uderzył w kartkę dość długim paznokciem. — Nadchodzi nowa partia ściśle poufnych wydruków z Sakowa IV, nazwanego przez nasz rząd „satelitą zwiadowczym przesyłającym obrazy cyfrowe”, który przekazuje dane z obszaru Oceanu Spokojnego między Kury lami a naszą pozycją na północ od Hokkaido, obszaru, na którym skupiamy naszą uwagę od — od ilu już miesięcy?..

— Siedmiu, odkąd wyruszyliśmy z lotniska w Iturup.

— Właśnie. Jeżeli pan nie przyjrzał się im dobrze i uważnie, poruczniku, to jest pan albo głupi, albo niekompetentny. — Protorow rozparł się w swym fotelu. — Niech mi pan powie, czy któreś z tych określeń pasuje do pana?

Przez chwilę młody mężczyzna nie powiedział ani słowa; pod surowym spojrzeniem i serią pytań swojego zwierzchnika zaczął się pocić.

— Stawia mnie pan w położeniu nie do obrony. Jeżeli odpowiem, że tak, to moja kariera w wydziale jest skończona. Jeżeli odpowiem: nie, to będzie oczywiste, że rozmyślnie okłamałem mojego przełożonego.

— No cóż, poruczniku, jeżeli kiedyś nadejdzie dzień, w którym zostanie pan schwytyany przez kapitalistycznego wroga, to nie może pan być zupełnie pewien, czy oni również nie postawią pana w pozycji nie do pogardzenia.

Rozmawiali po angielsku.

— Niech mi pan wybaczy — rzekł młody porucznik — ale mówi się „nie do obrony”, a nie „nie do pogardzenia”.

— Niech pan odpowie na pytanie — uciał Protorow i zaczął badać dane dostarczone przez niezmiernie czułą noktowizyjną aparaturę wideo Sakowa IV. Mimowolny chłód przebiegł przez jego ciało na myśl o tym, że Amerykanie mogliby mieć tak potężną broń. Świadomość, że lasery antysatelitarne stacjonujące na terytorium jego kraju mogły — i uczyniły to w ostatnich dniach — zneutralizować tę groźbę, pocieszała go tylko nieznacznie. Przeszedł do trzeciej kartki.

— Czas ucieka. Śmiało, założę się, że Amerykanie nie dadzą panu tyle czasu.

— Nie znajdzie pan na tych wydrukach tego, czego szukamy — rzekł w końcu porucznik, jakby na jednym długim wydechu uszło z jego płuc całe powietrze.

Protorow przeszył go wzrokiem.

— Więc jednak p a t r z y ł pan na nie.

— Przepisy bezpieczeństwa wymagają, aby Wydział Operacyjny przekazywał mi do weryfikacji wszystkie bulwersujące dokumenty.

„Bulwersujące” było dość ironicznym określeniem, jakie Protorow ukuł dla dokumentów najwyższej wagi krążących po wydziale.

— Ma pan na myśli ukradkowe zerknięcia, co? — rzekł mrukliwie Protorow. Uniósł dłoń. — W porządku. Mam nadzieję, że równie dobrze poradzi pan sobie z Amerykanami, jeżeli kiedyś nadejdzie taki dzień.

— Bardziej boję się pana niż Amerykanów.

— Więc niech pan nauczy się ich bać, poruczniku. — Raz jeszcze uniósł wzrok. — Ponieważ chcą zniszczyć wszystko to, co jest drogie panu i mnie. — Był jednak zadowolony z tego młodzieńca. Znalazł jedyne wyjście z pułapki, którą na niego zastawił. Spozregł nawet rozmyślny błąd językowy Protorowa.

Po wyjściu młodego mężczyzny ponownie zagłębił się w zdjęciach satelitarnych przetworzonych przez komputer.

Lecz zanim zakończył drugie przejście, musiał przyznać się do porażki. Nie było żadnych anomalii. Znowu. Oczywiście nie wiedział dokładnie, czego szukał, znał tylko nazwę: *Tenchi*. Japońskie słowo oznaczające „niebiosa i ziemię”.

„Gdzie jesteś? — myślał teraz, bezsilnie wpatrując się w szczegółowe zdjęcia na leżących przed nim wykresach. — Czym jesteś? I dlaczego jesteś taki ważny dla Japończyków?”

Sprawa *Tenchi* zaczęła się zwyczajnie, jak jeszcze jeden z wielu raportów przechodzących przez jego biurko w Moskwie. Jednak dręczyła go, a kiedy przyjechał tu i pogрузzył się w wirze pogłosek, domniemyanych faktów i horrendalnej fikcji, stwierdził, że zaangażował się w to bezgranicznie. Aż do tej chwili miał obsesję znalezienia odpowiedzi. To, co zgromadził, przekonało go, że *Tenchi* — nawet sama wiedza o tej sprawie — dałby mu ostatni impuls do mistrzowskiego posunięcia w Moskwie.

Jaką gorycz sprawiła świadomość, że Fedorin, jeden z ludzi KGB, nie był w niczym lepszy od całej reszty polityków-karierowiczów, którzy zamieszkali przed nim na Kremlu. O, tak, najpierw wydawało się, że ten leniwy olbrzym, jakim była Rosja Sowiecka, zaczyna ponownie funkcjonować. Tu i tam można było zauważyć zmiany.

W końcu wszystko okazało się blefem, politycznym manewrem w obronie własnych interesów, prowadzącym do jednego celu: pozbycia się z komunistycznej hierarchii wszystkich tych, którzy mogliby wystąpić przeciwko nowemu sekretarzowi generalnemu.

Ale Protorow, rzecz jasna, nie żywił nadziei, aby Fedorin, lub ktokolwiek inny sprawujący władzę, mógł odnaleźć prawdziwy klucz do przebudzenia ZSRR, prawdziwej duszy tej bestii. Istotne było to, że Rosja nie jest jednolitym krajem, lecz niespokojnym zlepkiem wielu narodowości, z których wszystkie zaciekle broniły własnej tożsamości. Cóż w końcu obchodziło Uzbeka lub Kirgiza, co działo się w Moskwie? Czy Białorusin i Azerbejdżanin przejmował się tym, ile rakiet wycelowali na Władywostok Amerykanie? A Litwini, Estończycy, Gruzini — nie wspominając już o nie będących Słowianami Tatarach, Baszkirach, Mordwinach, Udmurcach lub Komi-Zyrianach — czy oni podchodzili do tego w inny sposób? Co ich zatem ze sobą łączyło?

Protorow znał odpowiedź na to pytanie. Nic. Pierwszy krok do poruszenia Rosji Sowieckiej to zjednoczenie wszystkich ludzi. W chwili, w której by to nastąpiło, ZSRR byłby nie do powstrzymania. Żaden naród na ziemi, żadna koalicja narodów nie mogłaby go powstrzymać.

Fedorin miał szansę, aby wzniecić nową rewolucję. Jednak jemu, tak jak wszystkim biurokratom, którzy rządili krajem, brakowało szerokiej wizji, koniecznej, aby wykonać jeden wielki skok, przekroczyć Rubikon i wejść na niebezpieczne i nieznanne lądy. Tym samym pozwolił, żeby gnuśny olbrzym z powrotem popadł w śpiączkę.

Protorow wiedział aż za dobrze, jak długo mogą trwać rządy kolejnego sowieckiego sekretarza. Nie miał zamiaru czekać na swoją szansę — a może był dostatecznie inteligentny, aby zrozumieć, że sama mogłaby nigdy nie nadejść. Dlatego zaczął realizować swoje własne plany skrócenia kadencji obecnego genseka.

Wierzył teraz, że *Tenchi* jest czarodziejską różdżką władzy, różdżką, której potrzebował do pokonania kliki wojowniczych generałów i oficerów w KGB, żeby natychmiast użyli swych wpływów.

Trzeba znaleźć punkt zapalny; Protorow wiedział o tym. Musi być mostem pomiędzy tradycyjnie wojującymi ze sobą KGB i GRU. W tym celu poświęcił ponad sześć lat, aby zjednać sobie młodego pułkownika GRU. Silny i ambitny Jewgienij Mironienko wkrótce także będzie w stanie pełnić rolę łącznika między frakcjami.

Wiedział, że jedynie łącząc te zbrojne siły spoza Kremla, mógł być pewien powodzenia swoich posunięć. Bez nich byłyby zgubiony. A bez niego zgubiona była Rosja. Brakowało mu tylko jednego ogniwa władzy, które sprawiłoby, że miałyby ich wszystkich w rękę.

Tym jednym elementem był *Tenchi*.

Interkom bzycał na biurku niczym rozżłoszczony owad i na moment oderwał uwagę Protorowa. Dotknął palcem przycisku.

— Słucham?

— Podejrzany jest gotowy.

— Dobrze. Wprowadźcie go. — Sięgnął dłonią i wyłączył bladopurpurowe światło, powodując, że pokój pogrążył się w zupełnych ciemnościach. Nie było w nim okien i było tylko jedno wyjście — przez piętnastocalowe, stalowe drzwi.

Protorow rozparł się w fotelu i walczył z pragnieniem zapalenia papierosa. Splatając palce zawarł ugodę z niespokojnymi dłońmi. Usłyszał jakiś ruch. Grube drzwi otworzyły się z westchnieniem pneumatycznego mechanizmu i trzech mężczyźni przeszli przez próg.

Przez chwilę ostre światło z korytarza załało pokrytą czarną gumą podłogę, po czym, gdy drzwi zamknęły się błyskawicznie, ciemność pochłonęła rozlane wstęgi światła.

Protorow nie patrząc wiedział, kto wszedł do środka: młody porucznik, lekarz oraz podejrzany. Razem z doktorem, który był specjalistą od neurofarmakologii, zajmowali się podejrzany już od trzech dni. Amerykanin

był bardzo upartym człowiekiem, musiał mu to przyznać. Nie załamała się; szczerze mówiąc, Protorow nie spodziewał się tego po nim. Spodziewał się, że umrze.

Na swój sposób współczuł temu człowiekowi, gdy słyszał niewyraźną paplaninę wywołaną lekami, które lekarz wstrzykiwał więźniowi. Nie była to droga, którą mógłby pójść współczesny wojownik; schwytyany przez wroga, wrzucony siłą w przemierzane w pośpiesznym rytmie dziennie-nocne continuum, w którym tygodnie kurczyły się do godzin, aż do osiągnięcia przez ciało stanu zupełnego rozkojarzenia. Zgodnie z dominującą teorią, ciało wykonywało za nich pracę znosząc blokady umysłu poprzez urazy, które samo w nim zwalowało.

Protorow nie wierzył w tę teorię. Obecnie istniały sposoby, aby ptaszek zaczął śpiewać, kiedy tego nie chciał: hipnoza, elektroniczne wszczepy. A gdyby wszystko zawiodło, mógł dokonać samozniszczenia.

Smutek ogarniał Protorowa, w miarę jak do jego uszu docierały stopniowo ożywiane zwierzęce odgłosy. Nie tak powinno się to kończyć dla każdego z nich. O wiele lepsza byłaby zacięta walka wręcz, narastająca złość, a wraz z nią — pierwotne pragnienie, aby za wszelką cenę uniknąć śmierci.

Powrócił myślami do chwili, gdy po raz pierwszy poczuł zimno. „Poczuć zimno” było wyrażeniem używanym przez mokre — to znaczy działające w terenie — wydziały KGB na określenie morderstwa. Ten pierwszy raz pozostawił w zakamarkach jego świadomości niezatarty ślad. Był wtedy nieopieczonym porucznikiem, dobrze wyszkolonym w ośrodku KGB pod Sewastopolem. Myślał, że jest twardzielem, zdobywcą świata. Nie wziął pod uwagę pola walki, które wszystkich sprowadza na ziemię.

Wysłano go na Syberię. Amerykanie przeniknęli na teren, gdzie wykonywano serię ściśle tajnych eksperymentów, pozwalających wykorzystywać na północy bezustannie sztormowe wiatry.

W Wierchojańsku, najzimniejszym miejscu na kuli ziemskiej, wykrył szpiega. Zmusił go do opuszczenia kryjówki i gonił przez zamarznąłą tundrę aż na pola lodowe. Dwóch zupełnych szaleńców.

Tylko zimno mogło zwyciężyć w Wierchojańsku. Człowiek był niczym, drobnym pyłkiem w bezkresnej otchłani natury, pełnej śniegu i lodu. Śnieg. Śnieg. Zawsze i wszędzie śnieg. Oślepiający, przenikający chłodem, paraliżujący. Oznaczał śmierć.

Protorow potrafił myśleć tylko o swym pierwszym zadaniu, choć nie rozumiał jego znaczenia. Zupełnie. Uporczywie gonił swą zdobycz pragnąc „poczuć zimno”.

Razem wpadli na lód ślizgając się i sunąc po nim; fontanny sypkiego

śniegu trysnęły w górę, gdy zderzyli się ze sobą. Protorow idiotycznie zdecydował się użyć broni z tłumikiem. Ale na długo przedtem żywiły, śmiejąc się, zmroziły wszystkie starannie naoliwione mechanizmy. Podobnie nie otworzył się jego nóż. Pozostały tylko ręce.

Przez prawie godzinę mocowali się w śniegu i lodzie. Grube ubrania uczyniły walkę wręcz niezdarną i trudną. Mróz wyczerpywał ich energię, dopiero później Protorow zrozumiał, że zwycięstwo zawdzięcza swoim siłom witalnym. Nie był ani bardziej inteligentny, ani silniejszy i szybszy, w co nauczono go wierzyć. To były kłamstwa. On po prostu wytrwał dłużej niż Amerykanin.

Jakże mało zadowolenia znalazł wgniatając ciemną głowę obcokrajowca w zaróżowiony krwią śnieg; rytm jego oddechu był coraz wolniejszy, aż w końcu znieruchomiał, pozbawiony świadomości tego, że on, Protorow, wciąż żył; z falującą piersią, suchymi ustami, piorunująco szybkim pulsem i żółcią napływającą do gardła; gorzką i palącą jak kwas.

Nagle jego kończyny zaczęły trząść się bezładnie, a całe ciało odpłynęło. Wpatrywał się w zgarbioną postać, na której siedział okrakiem, i pomyślał dziwiąc się: „To była kiedyś ludzka istota”. Wróg państwa, tak mu powiedziano. „Tak — powtórzył — Wróg. Wróg”.

— ...czas, który nam pozostał.

Otrząsnął się ze wspomnień.

— O co chodzi? — rzekł ostrym głosem, tak żeby lekarz zrozumiał, iż to z jego winy nie usłyszał.

— Wykorzystaliśmy cały czas, który nam pozostał, towarzyszu.

— Czy mamy coś? — zapytał. — Zupełnie nic?

— Magnetofony zarejestrowały każde słowo — odparł lekarz, a Protorow pomyślał: „Znam was dobrze, towarzyszu”.

— Jest jeden pozytywny szczegół.

Protorow zwrócił swą uwagę ku młodemu porucznikowi, widząc w nim część samego siebie.

— Wiemy teraz, że Amerykanie nie są bliżej *Tenchi* niż my. Zaryzykowałbym wręcz stwierdzenie, że w tej chwili jesteśmy bardziej zorientowani w tej sprawie.

Protorow rozważał to, co usłyszał. Porucznik miał oczywiście rację. Ale Protorow wiedział również, że był w tym drugi pozytywny element, a był nim sam podejrzany. Lub, mówiąc dokładniej, ktoś, dla kogo podejrzany pracował.

— W porządku — rzekł Protorow tonem będącym sygnałem do rozejścia się.

— Zapakujcie ciało i dostarczcie je z powrotem do jego nory na Honshu. Chcę, aby Amerykanie natychmiast uświadomili sobie swą pomyłkę.

Gdy znowu został sam w dziwnym, pozbawionym okien pokoju, włączył potężne wentylatory, aby usunąć zapachy lekarstw i śmierci, którymi był przesycony. Potem zapalił światło.

Włączając lampę, raz jeszcze zagłębił się w informacjach odczytanych przez Sakowa IV. Był teraz bliżej *Tenchi* niż kiedykolwiek. Czuł to. Oczyma przebiegał złożone arkusze. Czy był już tutaj? Dlaczego, w takim razie, go nie widział?

Z odrazą wrzucił plik do stożkowego pojemnika obok biurka i przełączył maszynę do cięcia papieru na automatyczne podawanie. W powietrzu rozległ się głuchy jęk tnących stalowych ostrzy.

Myśli o odczuwaniu zimna i przerażającej paczce, która wkrótce zostanie przesłana, doprowadziły do obaw o Sakowa IV. Stwierdził, że nawet z całą swoją superwyrafinowaną aparaturą satelita sprawił ponury zawód. Ale to była tylko maszyna; mogła robić tylko to, do czego zaprogramowali ją ludzie. Nic więcej. A może gdzieś w obwodach ciągnących się na mile, wartych miliony dolarów, nastąpiła awaria.

To bez znaczenia. Protorow miał swego ludzkiego satelitę i on wciąż doskonale funkcjonował.

Wspomnienia powróciły kolejną falą.

— Zaczynamy — rzekł niewidoczny we mgłę Akutagawa.

— Ale jak? — powiedział Nicholas. — Nic nie widzę.

— Czy ćwiczyłeś kiedyś z zawiązanymi oczami?

— Oczywiście. Lecz tylko w *dojo*. Przestrzeń była dokładnie określona, a nie wypełniona drzewami, kamieniami z poszyciem leśnym o nie znanym mi podłożu.

— Te opary — Akutagawa-san mówił dalej, jakby Nicholas nie odezwał się w ogóle — są jak ciemność, ale pokonać je jest jeszcze trudniej. W ciemności może cię prowadzić biel przedmiotów, srebro księżyca, plama domowej lampy, nawet migotanie gwiazd. Tutaj nie ma nic oprócz mgły.

— Nawet ciebie nie widzę.

— Ale mnie słyszysz.

— Tak. Zupełnie dobrze. Brzmi to tak, jakbyś był w moim lewym uchu, ale to chyba przez tę dziwną akustykę.

— Nigdy nie lekceważ akustyki — powiedział Akutagawa-san. — Spróbuj

raczej zrozumieć dźwięki, tak by stały się kolejną bronią w twym arsenale.

Nicholas nic nie powiedział, ale starał się skupić na szukaniu oparcia w dolinie Yoshino. W końcu doszedł do wniosku, że gdyby nie uspokajająca obecność *jonina*, zupełnie by się zagubił.

— Przypuszczam, że słyszałeś, iż znaczna część *Kuji-kiri* wywodzi swą siłę z *jaho*, z magii. Powiedz, Nicholasie, czy wierzysz w magię?

— Wierzę w to, co jest, *sensei*, a pomijam to, czego nie ma.

Na chwilę zapadła cisza.

— Bardzo mądra odpowiedź, jak na tak młodego człowieka. A teraz chcę, żebyś wysłuchał mnie uważnie. We wszystkich ludziach istnieje pewna warstwa — środkowa warstwa istnienia — która leży pomiędzy świadomością a podświadomością. To teren, którym rządzi wyobraźnia. Tam właśnie rodzą się marzenia, tam tworzą się gwałtowne, przemijające lęki. Tam właśnie lęgnię się codzienny niepokój. To nie jest magia, nie jest to również warstwa pozazmysłowa. Właściwie to źródła jej pochodzenia są dosyć prymitywne. Nasi przodkowie potrzebowali czynnej pomocy tej warstwy do wzmocnienia zdolności postrzegania po to, by przetrwać: przeciwko dzikim zwierzętom, grasującym bandom innym prymitywnych ludzi porywających ich kobiety lub odbierających schronienia w jaskiniach, które były dla nich domem. Tak, jaskinie. O tak odległych dziejach właśnie mówię. Lecz wraz z nadejściem tak zwanej cywilizacji racja istnienia tej warstwy powoli zanikała. A jednak nie zginęła. Zamiast tego stała się źródłem małych lęków — niepokoju w pracy, strachu przed zwolnieniem, obawy przed odrzuceniem w miłości, małostkowej zawiści w stosunku do innych pracowników — rozdętych niewspółmiernie, których celem miało być utrzymanie organizmu w czujności i sprawienie, by funkcjonował na najwyższych obrotach, aby przetrwał. Jednakże utrzymanie się przy życiu nie jest już codziennym problemem. Problemem jest raczej jego poprawa. Tak więc stępienie wrażliwości zmysłów rodzi niepokój, współczesną dolegliwość. Powtarzam ci, Nicholasie, w tej warstwie nie ma nic mistycznego. To nie medytacja. Nie mówimy teraz o sferze duchowej ludzi świętych, bowiem ani ty, ani ja nimi z pewnością nie jesteśmy. Jesteśmy obaj ludźmi tego świata i nie mamy ani czasu, ani skłonności do tego, by zrezygnować z całej obfitości ziemskich żądz, których musi się wyzbyć święty człowiek, żeby osiągnąć te podniosłe stany. *Getsumei no michi*, droga rozjaśniona blaskiem księżyca, stoi teraz przed tobą otworem, Nicholasie. Musisz ją odnaleźć i nauczyć się w niej pograżać.

Nie mogę ci w tym pomóc inaczej, niż przez wyczulenie cię na jej istnienie, ale pomocne może być marzenie, a potem pójście do końca za tym marzeniem.

— Jak rozpoznam *getsumei no michi, sensefi*

— Po dwóch doznaniach. Pierwsze to uczucie, że poprawiła się wrażliwość twoich zmysłów.

— Czy to znaczy, że będę lepiej słyszał?

— Tak, ale tylko w pewnym sensie. Nie myl poprawy ze wzmocnieniem. Nie będziesz, jak mówisz, słyszał lepiej, ale inaczej. Drugim doznaniem będzie świadomość obecności światła, nawet jeśli nie będzie go w twoim bezpośrednim otoczeniu.

— Wybacz mi, *sensei*, ale nie rozumiem.

— Nie trzeba rozumieć, Nicholasie. Wystarczy zapamiętać.

Przy ostatnich słowach głos Akutagawy zaczął cichnąć i Nicholas

bał się teraz, że został zupełnie sam na zboczu wzgórza. Był daleko od *ryu*, a mgła przytępiła wycucie kierunku, na którym zwykle mógł polegać.

Poczuł, jak w piersiach tryskają źródła bolesnej paniki. Stwierdził, że ma przemożne pragnienie zawołania Akutagawy, ale fakt, iż pociągnęłoby to za sobą gorzką kompromitację nie tylko jego, ale co ważniejsze, *Kansatsu*, dawnego *senseia*, który nim tu kierował, sprawił, że zamiast krzyknąć, zagryzł wargę.

Z łomoczącym sercem przywołał radę Akutagawy: rozmarzyć się i pójść za marzeniem. Usiadł na wilgotnej ziemi w pozycji lotosu i zamknął oczy. Usiłował opanować oddech, mocne pulsowanie krwi w tętnicach. Ręce ułożył na zgiętych kolanach dłońmi do góry.

Otworzył swe myśli przed pierwszym obrazem, który wypłynął na powierzchnię. Yukio. Instynktownie skupił się na nim. Pomyślał: „Nie, to wciąż zbyt bolesne, nie chcę myśleć o tym, że ją utraciłem, spróbuję czegoś innego”.

Ale nic innego nie nadchodziło. Yukio była tą, o której chciał marzyć. Olbrzymim wysiłkiem woli uspokoił się i pomyślał o niej.

Kaskada czarnych jak noc włosów, oczy o ciężkich powiekach, tak pełne miłosnych obietnic. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie na tańcach garnizonowych, jej mocne i ciepłe udo przyciśnięte do jego nogi, a potem, zdumiewająco niespodziewanie, podniecające dotknięcie wzgórek łonowego, ocieranie się o jego krocze, figlarne iskierki w oczach Yukio, gdy tańczyli wśród krążących par.

Pamiętał: brał prysznic, jakiś cień pojawił się za szklanymi drzwiami, gwałtownie otworzył je i ujrzał stojącą przed nim nagą Yukio. Kropelki wody zdobiły jej biodro, część piersi z ciemną brodawką.

Jęknął z przerażenia, gdy zbliżyła się do niego. Ciepłe otarcie, jedwabiste objęcie ramion, brzoskwiniowy smak jej ust, gorące dotknięcie języka. I żarliwe, płynne zespolenie, długi ekstatyczny lot w otchłań rozkoszy, gdy srebrzysta jasność wód kaskadą spływała na ich ramiona...

...Światła!

Uniósł głowę, otworzył oczy. I nagle zobaczył stojącego u jego boku milczącego i obserwującego Akutagawę. Nicholas czuł osobliwy ciężar w piersiach, dziwaczne seksualne podniecenie. Czuł, jakby spadł w dół, skąd miał idealny widok na świat. Uświadamiał sobie coś więcej, chociaż w normalnym pojęciu widział mniej.

Poruszył głowę. Czy rzeczywiście widział Akutagawę, czy tylko czuł jego obecność? Otworzył usta i wypowiedział to pytanie.

— Nie mam odpowiedzi, Nicholasie, powiem tylko, że to nie ma znaczenia. *Getsumei no michi* jest tam i skorzystamy z niej. Ale powiem ci o dość ważnej właściwości tej drogi. Jest to bardziej poczucie ciała niż jaźni. Tylko nieorientalna strona twojej osobowości poszukuje zrozumienia. Twoja orientalna strona pozwoliła, by jaźń opuściła twoje ciało, na co nie pozwoliłby żaden człowiek Zachodu, ponieważ za bardzo się boi. Boi się tego, bo wiem w prymitywnej umysłowości jaźni jest na zawsze powiązana ze śmiercią. Jesteśmy świadomi tego, że ludzie Zachodu poszukują zrozumienia śmierci, ponieważ tak bardzo się jej boją. Nie potrafią jej zaakceptować tak jak my: nie mają pojęcia o *karmie* ani nie widzą tego, co dla nas jest oczywiste, że śmierć jest częścią życia.

Akutagawa-san poruszył się, a gdy to zrobił, Nicholas odniósł wrażenie, że jego odziane w *geta* stopy nie dotykały ziemi.

— Teraz, gdy odnalazłeś drogę rozjaśnioną blaskiem księżyca, nadszedł czas, aby wykorzystać jej energię do wywołania pierwszych pobieżnych stadiów *Kuji-kiri*. Już one same będą wymagać wielu miesięcy ćwiczeń. Początkowo nie będzie to dla ciebie przyjemne, ponieważ wzbudzimy w tobie czysty paniczny strach i zanim zdołasz się przyzwyczaić do jego przejawów, musisz mu ulec. Koszmary będą nawiedzać zarówno twój sen, jak i godziny, gdy nie śpisz. Oczy zapadną ci się głęboko, a w chwili największego upadku może nawet zapragniesz popełnić *seppuku*.

— Nie przerażasz mnie, *sensei*.

Ponure oblicze Akutagawy nie rozjaśniło się.

— To dobrze. I pamiętaj o tym, co teraz powiedziałaś, gdy zaczniemy pograżać się w piekielnym wirze.

Świtanie przejmująco chłodnego, dżdżystego poniedziałku przywróciło wszystkim poczucie rzeczywistości. Zawły syreny alarmowe i Nicholas, gdy zrobił parę kroków od wyjścia z hotelu, natychmiast zorientował się, dlaczego. Powietrze nad śliskimi ulicami było brązowoszare i, w miarę jak unosiło się ku górze, tak gęste, iż wydawało się zupełnie zasłaniać wszystkie budowle powyżej dwunastego piętra. Nie było żadnej nadziei na to, by z biura Sato ujrzeć tego dnia wierzchołek Fuji.

Tomkin, który dołączył do niego w limuzynie przed pełną przystanków podróżą do Shinjuku, wydawał się czuć lepiej, chociaż wciąż był błydy i wyczerpany po ciężkich przeżyciach, powiedział, że smog przyprawia go o potworny ból głowy.

Gdy wychodzili z limuzyny przed budynkiem koncernu Sato, Tomkin złapał go za ramię i powiedział cichym, szorstkim głosem:

— Pamiętaj, Nick. W tym tygodniu wypada ostateczny termin. Musisz sprawić, żeby teraz doszło do fuzji. — Oczy wciąż miał błyszczące od gorączki, a oddech jak zwykle cuchnący.

Panna Yoshida spotkała się z nimi przy wyjściu z windy i wprowadziła do ogromnego biura Sato. Na tej wysokości za oknami panowała ciemność; równie dobrze mogły to być środek nocy. Wszystkie światła były włączone, by rozproszyć tę chmurę ciemności.

Kiedy wszyscy — z wyjątkiem Ishiiego, który jak wartownik stał pod ścianą — zasiedli wygodnie, przemówił Sato:

— Zanim podsumujemy przebieg negocjacji, chciałbym wyjaśnić, dlaczego poprosiłem doradców, żeby na chwilę wyszli. Nie było naszą intencją okazanie braku szacunku panu Greydonowi, lecz Nangi-san i ja uznaliśmy za rozsądne, aby tę część spotkania odbyć tylko w wąskim gronie. — Odchrząknął, a Nangi z rozmysłem zapalił papierosa. — Obawiam się, że trzeba będzie zmienić termin jutrzejszego popołudniowego spotkania, ponieważ musimy wziąć udział w pogrzebie naszego wiernego przyjaciela, Kagamię. — Przerwał na chwilę, jakby nie był pewny, co ma mówić dalej. — Może się to w tej chwili wydać beznadziejnie głupie, ale w zupełnie naturalny sposób sądzimy, że musimy dotrzeć do pewnych informacji.

Pochylił się lekko do przodu, tak że zbliżył się do miejsca, w którym na sofie, ramię w ramię, siedzieli Nicholas i Tomkin.

— Linnear-san, muszę panu powiedzieć, że sposób, w jaki zginął Kagami, jest dla nas nadal zupełnie niepojęty. Nic nie wiemy o tym *Wu-Shing*, o którym wspominał pan w piątek, ani też nie potrafimy określić motywu morderstwa, które tutaj popełniono. W świetle tych faktów wierzę, że — mając trochę czasu, aby uporządkować myśli — może nam pan wyjaśnić, co

się stało z naszym biednym kolegą i przyjacielem.

Przemówienie było eleganckie i Nicholas był nim zachwycony. Nie mógł jednak uczciwie przyznać, że w pełni skupił swoją uwagę na zamordowaniu Kagamiego. Prawdę mówiąc, odkąd na weselu ujrzał Akiko, jego myśli wypełniał tylko palący obraz jej twarzy i doprowadzające do szaleństwa pytanie: czy to Yukio?

Czuł się teraz lekko zawstydzony, że przez cały weekend był tak niewolniczo zaabsorbowany samym sobą. Było to zupełnie do niego niepodobne i to przede wszystkim go niepokoiło. Teraz, gdy przypomniał sobie o wszystkim, co zauważył wewnątrz i wokół spryskanej krwią sauny, odsunął na bok własne wątpliwości i lęki.

Splótł palce, złączył kciuki.

— Oprócz dziwnego wyglądu tatuażu *Wu-Shing* na policzku Kagamiego było wiele innych dziwnych szczegółów, które, jak sądzę, wykluczają proste wytłumaczenie, jak atak szaleńca i tym podobne.

— Zrobiono to z premedytacją — wtrącił Ishii. — Czy to właśnie chce pan powiedzieć?

— Tak — odparł Nicholas. — Z jednego powodu morderca nie zostawił żadnych dostrzegalnych śladów, stóp, chociaż to miejsce jest stale przesycone wilgocią.

Sato ciężko jęknął i spojrzał na Nangiego. Gdy ten nie odpowiedział spojrzeniem, wstał i podszedł do baru. Choć było dopiero trochę po dziesiątej, zrobił sobie drinka. Miarą jego poruszenia był fakt, że zapomniał zupełnie o swoich dobrych manierach i nikomu nie zaproponował trunku. Pociągnął spory łyk wpatrując się pustym wzrokiem w lustro za barem, odchrząknął.

— Linnear-san, powiedział pan, że było w i e l e dziwnych rzeczy.

— Może byśmy poczekali na policję?

Człowiek Zachodu oczywiście udzieliłby odpowiedzi. Sato spojrzał na Nicholasa. Z jego oczu można było wyczytać: „Właśnie dlatego dopuściliśmy cię do spraw Sato Petrochemicals, że nie chcemy interwencji policji”.

Nicholas zadał to pytanie, ponieważ musiał upewnić się co do tych ludzi. Fakt, że nie uśmiechała się im perspektywa zaangażowania policji, nie niepokoił go; niepokoiło go to, że zaangażowali właśnie jego.

— Obawiam się, że Kagami nie został zabity w pośpiechu.

— Proszę wybaczyć, ale co pan ma na myśli? — spytał Ishii.

— Ugodzono go wielokrotnie — odparł Nicholas. — Trudno określić, ile było pchnięć.

Sato opróżnił połowę dużej szklanki z whisky. Poza tym nie okazał swego poruszenia.

— Linnear-sanie — odezwał się — gdy po raz pierwszy wspomniał pan o tym *Wu-Shing*, powiedział pan, że jest to seria kar. Czy z faktu, że występuje w nim znak *Wu*, można wywnioskować, że jest ich pięć?

Nicholas wyglądał na zaniepokojonego.

— Tak, zgadza się. Mo jest pierwszą i dlatego najłagodniejszą z kar.

— Cóż może być bardziej okrutnego niż śmierć? — trochę gniewnie od-rzekł Nangi.

— Mówiłem o samej *Mo*. — Nicholas spojrział na Nangiego. — Mówiąc ściśle, powinno być tylko to: tatuaż na twarzy.

— W takim razie zamordowanie ofiary jest również niezwykle. — Nangi natychmiast poszedł tym tropem.

— Bardzo niezwykle — rzekł Nicholas. Siedział zupełnie nieruchomo, ręce zacisnął między kolanami. Zmusił swą twarz, by przybrała wyraz absolutnego spokoju. Ostatnią rzeczą, której pragnął, było to, żeby ktoś z nich zdał sobie sprawę z jego uczuć. Wciąż był wstrząśnięty myślą, że ktoś z jego *ryu*, ktoś znający tajniki *aka-i-ninjutsu* mógł popełnić taki czyn. Było to nie do pomyślenia. A jednak się stało. Widział przerażający dowód i wiedział, że nie może być żadnych wątpliwości. Modlił się żarliwie, żeby nikt nie zadał mu pytania, które mogło poruszyć lawinę.

— Jest coś, czego nie rozumiem — rzekł Tomkin i Nicholas przygotował się, by odpowiedzieć na pytanie, na które nie ma odpowiedzi. — To *Wo-Ching*, czy jak się to wymawia, jest chińskim określeniem. O co chodzi z tymi związkami pomiędzy japońskim i chińskim? Myślałem, że te dwie kultury są odrębne i odmienne. Myślałem, że tylko ignoranci z Zachodu twierdzą, iż nie mogą odróżnić jednej od drugiej.

Ciszę, która zapadła, przerwał dzwonek telefonu. Ishii rzucił się od baru, aby odebrać telefon. Czekali, podczas gdy on cicho mówił do słuchawki. Przekazał polecenie, żeby im nie przeszkadzano. Uderzył w przycisk, odłożył słuchawkę.

— To telefon do pana, Nangi-san — powiedział. Nicholas zastanawiał się, coż za tajemnicze uczucie czaiło się w tych oczach. — To najwyraźniej pilna sprawa.

Nangi skinął głową.

— Odbiorę w drugim pokoju. — Wycofał się przez biuro do *tokonomy*, w której po raz pierwszy ujrzał go Nicholas.

Atmosfera w pokoju była pełna napięcia. Nicholas wykorzystał całe swoje doświadczenie, by odwrócić uwagę od spraw, których nie chciał omawiać w tym gronie.

— To, dlaczego starożytna forma chińskiej kary miałyby być nuczana w zasadniczo japońskiej dyscyplinie, jest bardzo proste — rozpoczął. — Powiadają — jak sądzę, nie bez racji — że *ninjutsu* ma swe źródła gdzieś na kontynencie azjatyckim, dokładniej zaś w północno-wschodnich Chinach. Z pewnością istniało na długo przed dotarciem cywilizacji do Japonii. Stąd więc tyle zwyczajów i tradycji starszych niż japońskie. — Wstał i sprężystym krokiem przeszedł przez pokój. Poruszał się jak tancerki, które Tomkin widział, z bardzo obniżonym środkiem ciężkości, jak gdyby podłoga była sprężysta niczym mata z wysuszonej trawy.

Usadowiwszy się na sofie naprzeciw Tomkina, z Sato i Ishiim po lewej stronie, mówił dalej: — W rzeczywistości Chiny i Japonia są ściślej związane, niż każdy z tych krajów chce przyznać, ze względu na długotrwałą i gorzką wrogość, jaka panuje między nimi. Wystarczy jednak wziąć tak podstawową dla życia sprawę jak język, aby zrozumieć, co mam na myśli. Chiński i japoński są bardzo podobne.

Przerwał na moment, żeby sprawdzić, czy Japończycy zechcą zaprotestować.

— Aż do piątego stulecia nie istniał w ogóle język japoński pisany. Opierano się raczej na *katari-be*, ludziach szkolonych od urodzenia do roli zawodowych gawędziarzy, przekazujących wiernie historię wczesnej Japonii. Ale to, jak dzisiaj wiemy, jest cechą prymitywnych cywilizacji. Chińskie litery wprowadzono w Japonii w piątym wieku, lecz zwyczaj korzystania z *katari-be* był tak silnie zakorzeniony w tej zawsze niechętnej zmianom kulturze, że utrzymywał się przez co najmniej trzysta następnych lat.

— Ale istnieją różnice w tych dwóch językach — oświadczył Sato. Sprawiał wrażenie poszarzałego i przegranego.

— O, tak — powiedział Nicholas. — Oczywiście musiały istnieć. Nawet w tak odległej przeszłości Japończycy byli wierni własnej naturze. Nie byli nigdy zdolnymi wynalazcami, jednakże prześcigali innych w doskonaleniu cudzych wzorów. Problem z chińskim polega na tym, że jest straszliwie niewygodny w zastosowaniu. Zawiera wiele tysięcy znaków, a ponieważ stosowano go głównie do zapisu protokołów na dworze cesarskim i w urzędach, nie nadawał się zbyt dobrze do codziennego użytku. Japończycy zaczęli więc pracować nad pismem faretyczno-zgłoskowym w postaci sylabogramu, znanym obecnie jako *hiragana*, aby uczynić chiński *kanji* łatwiejszym w zastosowaniu oraz móc wyrażać specyficznie japońskie sprawy, na określenie których nie było żadnych znaków w języku chińskim. Dokonano tego w połowie dziewiątego stulecia. Zbiegiem okoliczności stało się to

mniej więcej w czasie, gdy kraje wschodnioeuropejskie rozwijały cyrylicę. W jakiś czas potem wprowadzono nowy sylabogram — *katakana* — stosowany dla wyrażeń potocznych i słów obcych, wprowadzanych do języka japońskiego jako rozszerzenie czterdziestoośmiosylabowego *hiragana*. W Japonii istniało już osobliwe podejście do chińskich obyczajów. Żadna chińska kobieta nigdy nie używała *kanji* i dlatego tutaj również uważano za, no cóż, nieeleganckie, aby kobieta japońska czyniła z niego użytek. Doskonalili *hiragana* i *katakana* i z czasem powstały w tym kraju pierwsze pisane utwory literackie — *Księga intymna* Sei Shonagon oraz klasyczna *Genji monogatari*; obie pochodzą z początków jedenastego stulecia.

Tuż za ścianą Nangi siedział za biurkiem uprzątniętym ze wszystkich dokumentów i folderów. Cedrowy blat błyszczał, tworzył prawie lustrzaną powierzchnię, w której widział część swojej twarzy.

— Słucham — powiedział do czekającego po drugiej stronie linii telefonicznej.

— Nangi-san — głos brzmiał piskliwie i dziwnie, jakby elektroniczne medium zniekształcało go wyciągając duszę — mówi Anthony Chin.

Chin był dyrektorem All-Asia Bank w Hongkongu, w którym Nangi wykupił udziały przed siedmiu laty, gdy w wyniku złego zarządzania finansami oraz serii niefortunnnych wahań na giełdach kolonii Korony Brytyjskiej był na skraju katastrofy.

Nangi poleciał do Hongkongu i w ciągu dziesięciu dni opracował system wykupu, który po dwudziestu miesiącach przyniósł jego *keiretsu* maksymalny przepływ gotówki, zapewniając jednocześnie minimum ryzyka po upływie roku i trzech kwartałów. Począwszy od wiosny tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, w małej, rojącej się od ludzi Kolonii rozpoczęło się na niebywałą skalę ożywienie w handlu ziemią. Anthony Chin był na pierwszej linii frontu i za zgodą Nangiego zainwestował w nieruchomości sporą część kapitału podstawowego All-Asia. Zarówno on, jak i *keiretsu* gromadzili olbrzymie zyski, w miarę jak wartość nieruchomości szła ostro w górę, aż z końcem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku powiększyli swój kapitał czterokrotnie.

Zanim do tego doszło, przez prawie rok, Chin doradzał ekspansję: „To musi po prostu dalej iść w górę — powiedział Nangiemu pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku — po prostu nie ma innej możliwości. Na wyspie i po drugiej stronie zatoki nie ma już w ogóle miejsca.

Rozważane są plany uczynienia z Sha Tin na Nowych Terytoriach miasta dla nowej klasy średniej. Widziałem projekty szesnastu kompleksów architektonicznych o różnej wysokości, wszystkie w odległości mili lub dwóch od torów wyścigowych. Jeżeli dostaniemy je teraz, w ciągu dwóch lat podwoimy kapital”.

Nangi jednak proponował ostrożność. „Przecież — tłumaczył sobie racjonalnie — dziewięćdziesięciodziewięćdziesięcioletnia dzierżawa Nowych Terytoriów przez Wielką Brytanię ma się ku końcowi”. Oczywiście żaden obywatel Kolonii nie przejmował się komunistycznymi Chinami, argumentując, że — ponieważ Hongkong i Makau były ich jedynymi prawdziwymi oknami na Zachód, zapewniały tak intratny dopływ kapitału do czerwonych Chin — zniesienie dzierżawy, albo niewznowienie jej, byłoby wbrew ich interesom.

Nangi prowadził z komunistami z Chin mnóstwo interesów i wiedział, w jaki sposób rozumują. I przed początkiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku pomyślał, że może istnieć coś jeszcze, czego będą potrzebować bardziej niż samych pieniędzy. Udało mu się przewidzieć upadek Mao i, w jego konsekwencji, Bandy Czwojga. Nie było to dla niego trudne, ponieważ we współczesnych Chinach rozpoznawał dokładnie te same okoliczności, które w jego własnym kraju wywołały obalenie trzystuletniego shogunatu Tokugawy i doprowadziły do restauracji Cesarstwa Meiji; aby przetrwać we współczesnych czasach, przywódcy chińscy w końcu doszli do przykrego wniosku, że muszą się otworzyć na Zachód. Musieli wycofać się z narzuczonego sobie izolacjonizmu, w który popchnął ich Mao, prawdziwego średniowiecza — przemysł zamierał razem z kulturą i handlem, a wszystko w imię planu pięcioletniego i ostrych prześladowań.

Nangi coraz wyraźniej widział, i napawało go to lękiem i grozą, że Chiny, bardziej niż zysków, potrzebowały dwóch rzeczy, które podtrzymałyby tego kolosa na glinianych nogach: przemysłu ciężkiego i potencjału nuklearnego. Chiny potrzebowały ogromnych inwestycji, a nie miały wystarczająco dużej sumy pieniędzy, żeby je sfinansować. Była tylko jedna inna droga: barter. I jedynym atrybutem, jaki posiadały w walce o tak astronomiczną stawkę, był Hongkong. Gdyby mogły zagrozić Anglii wyrzuceniem, zupełnym załamaniem tego wszystkiego, nad czym Brytania pracowała tak ciężko i tak długo na skrawku azjatyckiego wybrzeża i gdyby potrafiły uczynić tę groźbę zupełnie wiarygodną — wtedy mogłyby wymusić na tym kraju wszystko, czego by chciały. Anglia z pewnością posiadała nowoczesną technologię, na którą mogły liczyć Chiny.

Nangi czuł, że Chiny wkrótce wykonają swój pierwszy ruch. Bez wątpienia wymagałoby to swego rodzaju publicznego oświadczenia, wykazującego, że oryginalna umowa dzierżawna nie jest dla nich wiążąca. Potem nastąpiłoby nieuchronne ogłoszenie, że w pewnym momencie w przyszłości — w terminie, rzecz jasna, nieokreślonym — zaczną ponownie ustanawiać swoją władzę nad Kolonią.

Nangi w pełni zdawał sobie sprawę, że podobne rewolucje w mgnieniu oka zdruzgotałyby aktualną hossę na rynku nieruchomości. Jaki zagraniczny inwestor zechce utopić pieniądze w tego rodzaju politycznych ruchomych piaskach? Nieuchronnym efektem będzie to, że ceny na rynku nieruchomości oraz kursy na giełdach w Hongkongu spadną gwałtownie. Nangi nie chciał, by to go zaskoczyło. Więc stawiał weto wobec wszystkich ekspansywnych żądań wysuwanych przez Antony'ego China.

— Niech zrobią to inni — mówił. — My będziemy pilnować naszych dotychczasowych dochodów.

Rzeczywistość przerosła jego najgorsze obawy. Chińskie oświadczenia nadeszły pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku powodując, że Jej Królewska Wysokość, Elżbieta II, rozwinęła żagle swych działań. Wysłannicy królowej przystąpili do intensywnych rokowań z komunistami, mając nadzieję na natychmiastowe rozwiązanie kwestii zasadniczych, a tym samym odwrócenie groźby spodziewanego zastoj w gospodarce Kolonii.

Nangi nie mógł się z tego nie śmiać, tak jak nie mógł nie uśmiechnąć się na myśl o swojej przenikliwości, przezorności i ostrożności. Teraz, gdy mieli atuty w ręku, Chińczycy zamierzali przeciągać tę sytuację możliwie jak najdłużej, ciesząc się ze swojej przewagi. Istotne było, żeby Wielka Brytania cierpiała jak najdłużej, po to, by dobitnie uświadomić tępych ludzi Zachodu ogrom kłopotów, w których się znaleźli. Rozmowy zostały zerwane. W Hongkongu nastąpił krach. Hang Sen — indeks giełdowy Kolonii — spadł z wysokości tysiąca siedmiuset trzydziestu w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku do siedmiuset czterdziestu w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego. Na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku zaczęła upadać część mniejszych przedsiębiorstw handlu nieruchomościami, w trzecim kwartale tegoż roku ich śladem poszły dwa lub trzy z większych przedsiębiorstw.

„Lecz — stwierdził John Bremidge, podsekretarz skarbu w administracji Hongkongu — prawdziwym źródłem obaw jest sektor finansowo-bankowy. Oni są w tej chwili przestraszeni”.

Teraz, gdy odebrał telefon Anthony'ego China, Nangi raz jeszcze dziękował Bogu za swój mądry, zachowawczy sposób działania.

— Jak się rzeczy mają w chińskim ogródku? — Był to ich prywatny, kapitalistyczny żart, lecz tym razem nie było odzewu ze strony China.

— Obawiam się, że mam złe wieści, Nangi-san.

— Jeżeli chodzi o następną falę naporu na banki, to nie kłopotz się tym — rzekł Nangi — możemy to przetrzymać. Wiesz, jaki mamy kapitał.

— Właśnie o to chodzi — rzekł Chin. — Jest o wiele mniejszy, niż pan sądzi. Nie będziemy w stanie wytrzymać nawet małego naporu.

Nangi uspokoił pośpiesznie bijące serce. Usiłował zachować spokój. Odnalazł go sięgając w nicość, która była domem Trójcy Świętej. W myślach tłoczyły się tysiące pytań, lecz zanim otworzył usta, uszeregował je. Najpierw rzeczy najważniejsze.

— Gdzie są pieniądze?

— W sześciu z projektów zagospodarowania Sha Tin — odparł przygnębionym głosem Anthony Chin. — Wiem, jakie były pańskie polecenia, ale pana tutaj nie było. Kontrolowałem sytuację, dzień po dniu. Widziałem po prostu, ile pieniędzy jesteśmy w stanie zarobić. Teraz nie możemy znaleźć lokatorów, którzy by się wprowadzili; przy niepewnym klimacie politycznym, obawach przed komunistami to niemożliwe. Wszyscy tutaj są wstrząśnięci, wszyscy *tai-panowie*. Nawet...

— Jesteś zwolniony — rzucił krótko Nangi. — Masz dziesięć minut na opuszczenie budynku. Potem ludzie z ochrony otrzymają rozkaz aresztowania cię. Zrobią to samo, jeżeli tkniesz lub zmienisz jakieś dane. — Rozłączył się i raz jeszcze szybko wykręcił numer banku, prosząc Allana Su, wiceprezesa All-Asia do spraw statystyki.

— Panie Su, mówi Tanzan Nangi. Proszę nie zadawać żadnych pytań. Od tej chwili jest pan prezesem All-Asia. Anthony Chin już dla mnie nie pracuje. Proszę, aby w tej chwili wydał pan rozkaz usunięcia go. Niech pan każe im dopilnować, by nie zabrał ze sobą z banku żadnych rzeczy. A teraz do pracy...

Będzie musiał sprzątnąć jednego z nich. Czerwonego czy Niebieskiego? Unosząc się na falach w odcieniu jadeitu Bristol pomyślał, że będzie nim Niebieski.

Siedział w składanym, płóciennym reżyserskim krześle, które pamiętało

lepsze dni, luzował żyłkę i czekał, aż coś szarpnie przynętę kręcącą się piętnaście stóp niżej. Nie dalej niż sto jardów od przystani znajdowała się długa, smukła dwusrubowa łódź spacerowa, na pokładzie której była Alix Logan, pół tuzina jej przyjaciół oraz Czerwony Potwór. Czerwony robił, co mógł, aby się nie wyróżniać.

Posunął się tak daleko, że aż zdjął koszulę, co, pomyślał Bristol, było błędem, ponieważ uwydatniło jedynie bladość jego skóry na piersiach, plecach i górnej części ramion. Pod nią ukryta była masa mięśni i Bristol starannie odnotował ten fakt. Zastanawiał się, w jaki sposób Alix przedstawiła go swoim przyjaciółkom.

Żyłka naprężyła się, zaczął terkotać mechanizm zapadkowy. Bristol obserwował, jak koniec wędki wygina się, drga. Zaczął szybko nawijać żyłkę na kołowrotek.

Gdyby miał rzucić monetę, prawdopodobnie zdecydowałby się sprzątnąć Czerwonego Potwora, ponieważ był jeszcze większy od niego, a po tak długiej przerwie miał ogromną ochotę na walkę.

W tej sytuacji nie było jednak dyskusji. W ciągu miesiący dyskretnej obserwacji znienawidził Niebieskiego Potwora. Z jednego powodu: patrzył na Alix w sposób, który wykraczał poza ściśle zawodowe zainteresowanie. Z upływem czasu Niebieski zaczął ją traktować jako swoją własność.

Dla Czerwonego Potwora była po prostu jeszcze jedną osobą, przydzielonym zadaniem, takim jak wiele innych, które miał wcześniej i będzie miał później. Izolować i ochraniać; trzymał się ściśle polecenia, które otrzymał — mieli Listę Czystych, spis ludzi w jej życiu, którzy zostali sprawdzeni i mogli jej dotrzymywać towarzystwa.

Niebieski, nocny stróż, uwielbiał na nią patrzeć. Miał dostęp do jej mieszkania. Oczywiście nie przez całą noc, ale wystarczająco długo, żeby starannie sprawdzić to miejsce. Gdy wracała do domu, drzwi zatrzaśkiwały się, a on, nie śpiesząc się, schodził po betonowych schodach, żując drewnianą wykałaczkę.

Przechodził przez ulicę i kierował się do położonego niecałe pół przecznicy dalej pawilonu ze szkła i chromu, w którym sprzedawano pieczone kurczaki. Kupował kubek chrupkich udek, którymi posiliłaby się czteroosobowa rodzina, i przysiadł na pomarańczowym plastikowym krześle. Z ustami pełnymi tłuszczu i policzkami nakrapianymi kawałkami skóry kurczaka wpatrywał się w oświetlony prostokąt okna, za którym Alix Logan rozbierała się do snu; oblizywał wargi. Bristol nie sądził, aby miało to cokolwiek wspólnego z jedzeniem.

Poczuł silne szarpnięcie na końcu wędki. Oparł podeszwy podniszczonych

kaloszy o zrębnicę rufy i z całej siły pociągnął wędkę do tyłu. Jakaś niezemska siła drzemała tam w dole. Szarpnięcie omal nie ściągnęło go z krzesła. Na cóż, w imię Chrystusa, się natknął? Mięśnie na jego grzbiecie napięły się, gdy użył wszystkich sił przeciwko morskiemu stworzeniu na drugim końcu żyłki.

Sto jardów dalej, za diamentowo roziskrzoną taflą kołyszącego się morza, była Alix i jej przyjaciele w strojach kąpielowych. Twarze ich zwrócone były w stronę słońca. Włosy targał wiatr. Kelnerki częstowały gości obłożonymi lodem puszkami Budweisera. Po wodzie niósł się śmiech.

Bristol walczył z rybą nie spuszczać wzroku z łodzi spacerowej; jego myśli skupiły się wokół Niebieskiego Potwora.

Wielkie mięśnie prężyły się niczym struny i poczuł, jak stężenie adrenaliny, rosnąc, napęnia go triumfalnym uniesieniem. Niech to, dobrze było być żywym. Paniczny lęk przed grobem, do którego chciał go posłać Tomkin, tkwił w nim jak dyskretne widmo. Ta noc, spadający samochód, nie kontrolowany ruch, ściskające żołądek opadanie z wysoka, zbliżająca się ziemia, wszechogarniająca ciemność, zawrót głowy, wydostawanie się na zewnątrz, płonący meteor jego trumny, triumfalny krzyk płomieni liżących niemal jego policzki i obracanie się, obracanie, spoglądanie w oblicze śmierci raz po raz, z każdym gwałtownym obrotem.

Bristol zwił żyłkę z zaciętkim grymasem, odbierając każdym swoim zmysłem strumień przepływającego wokół życia. Czuł rytmiczne kołysanie łodzi, gdy zmagala się ze wzburzonym morzem, głęboko wdychał słone powietrze przesycone cierpkim zapachem okrętowego paliwa, czuł na rękach i ramionach gorące ukąszenia słońca. Woda błyskała przed nim swymi kolorami — teraz ciemnoniebieskim, potem akwamarynem, turkusem, a nawet, daleko, cienką i miękką linią bladej zieleni. Ale przede wszystkim czuł życie na drugim końcu żyłki, smak walki, obmyślał sposób ściągnięcia wielkiej ryby bliżej, coraz bliżej burty i ostatecznego wciągnięcia jej na pokład. Podczas długich, zimnych zim nowojorskich marzył o takich chwilach, a teraz je przeżywał.

Ryba była blisko. Od czasu do czasu widział jej spieniony ślad, gdy zbliżała się do powierzchni, wiedział, że nadszedł czas, aby wzmocnić uchwyt, zwolnić blokadę kołowrotka i pozwolić, aby głowa ryby zanurzyła się w głębi oceanu. Sprawi to jedynie, iż haczyk pewniej utkwi w jej pysku, ale ryba wiedziała jedno — że musi uciekać — i instynktownie popłynęła w dół.

Kołowrotek zafurkotał przeraźliwie, gdy drganie naprężonej żyłki zamazało

jej kształt; wiedział, że jeżeli zbyt mocno przytrzyma wędkę, żyłka pęknie pod wpływem ogromnej siły zanurzającej się ryby.

Podnosząc wędkę długim, łagodnym ruchem, zaczął nawijać żyłkę z powrotem na kołowrotek, powoli, jednostajnie, z ogromną cierpliwością. Popołudnie na morzu będzie długie, a i tak nie musiał nigdzie płynąć, chyba że szyper stojącej w pobliżu łodzi spacerowej zdecydowałby się ruszyć dalej.

Cały czas uważnie obserwował łódź. Wiedział, że ważne jest, aby nie stać się biernym obserwatorem. Nauczono go wykorzystywać czas do czynnego zdobywania wiedzy o przedmiocie obserwacji. Istotne były zarówno nastroje, jak i przyzwyczajenia, ponieważ z pewnością nadejdzie taki dzień, gdy obserwator i przedmiot jego obserwacji spotkają się i w takiej konfrontacji wiedza zgromadzona przez obserwatora często ma znaczenie przy nawiązywaniu kontaktu.

Wielka ryba słabła i gdy Bristol zaczął szybciej nawijać żyłkę, zobaczył, jak wysoka i gibka sylwetka Alix odrywa się od grupy i przechodzi pewnym, pełnym gracji krokiem wzdłuż pokładu. Czerwony Potwór, pijąc piwo, odwrócił na moment głowę i dostrzegł ten ruch. Nic się nie działo, więc powrócił do swego spokojnego zajęcia.

Alix dotarła do okrągłej aluminiowej poręczy na dziobie łodzi. Przystanąła, oparła się o nią. Jej dłonie o smukłych palcach owinięły się wokół górnego pręta. Przez dłuższy czas spoglądała w morze, na nieprzerwaną linię horyzontu, błękit na błękitcie. Potem spojrzała na wodę pluskającą delikatnie u jej stóp. Sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej przez coś, co zobaczyła w przejrzystej toni.

Ryba na drugim końcu żyłki ostatkiem sił dała nura w dół i dosłownie przez chwilę cała uwaga Bristola skupiła się na tym, aby nie stracić zdobyczy.

Gdy uniósł wzrok, Alix nie było. Zaczął nerwowo rozglądać się dokoła. Nie było jej na pokładzie. Musiała chyba skorzystać z kabiny albo miała już dosyć słońca.

Bristol czuł ucisk w trzewiach. Ten wyraz jej oczu, to spojrzenie. Widział je już wcześniej, gdy po raz pierwszy zobaczył Geldę. Jego zainteresowanie wzbudził skrawek oceanu tuż przed dziobem łodzi spacerowej. Karmelowe włosy unosiły się na powierzchni, potem nagle pojawiło się złociste ramie; płynęła czy tonęła?

Czerwony Potwór spojrzał przed siebie. Nie dostrzegł jej. Odłożył na bok puszkę z piwem i uniósł się. Otworzył usta i powiedział coś do szypra. Mężczyzna przecząco pokręcił głową i wskazał w kierunku poręczy.

Czerwony Potwór poderwał się. Bristol pomyślał, że będzie lepiej, jak się

pośpieszy, ponieważ ciało Alix dryfowało coraz dalej od łodzi i chyba nie było już żadnych wątpliwości: nie czyniła żadnych wysiłków, żeby utrzymać się w pobliżu łodzi, a w tej odległości i przy tak silnym prądzie było to równoznaczne ze stwierdzeniem: „Poddaję się”.

Biegący wzdłuż bocznego pokładu Czerwony dostrzegł ją i skoczył za burtę. Mocnymi, pewnymi pociągnięciami rąk błyskawicznie dotarł do Alix. Na pokładzie łodzi spacerowej szyper rozkładał małą pneumatyczną szalupę. Pomagało mu kilku nasmarowanych olejkami mężczyzn. Kobiety gapiły się z rozdziawionymi ustami.

Szyper opuścił szalupę, a Czerwony Potwór z dłonią wetkniętą pod brodę Alix powoli płynął w bezpieczne miejsce.

Wnosili na pokład ciało Alix, gdy ryba przebiła powierzchnię wody. Był to marlin i na dobrą sprawę, walcząc o życie, powinien był ściągnąć Bristola do morza.

Obserwował długi łuk jej złocistego ciała, wzniesiony niczym wędrująca do góry tęcza. Jej włosy pociemniałe od morskiej wody zwisały jak wodorosty, przysłaniając jedno ramię.

W parę chwil później, gdy Czerwony Potwór zrobił jej sztuczne oddychanie metodą usta-usta, obróciła się na bok. Woda morska wylewała się z ust obfitym strumieniem. Ktoś podszedł i nałożył na głowę Alix czapkę baseballową, aby osłonić ją przed słońcem. Szyper owinął ręcznikiem jej ramiona, gdy Czerwony Potwór zabierał ją na pokład.

Bristol spojrzął w olbrzymie błyszczące oko marlina. Jego długie cielsko miotало się, płetwa ogonowa posyłała bryzgi rozpylonej, chłodnej wody prosto w twarz.

Ryba była bardzo blisko. Przechylił się nad burtą z bosakiem i dostrzegł nagle w marlinie to, czym naprawdę był: godnego siebie przeciwnika, nie wypchane trofeum nad kominkiem w jego mieszkaniu, ale drugie życie.

Pomyślał o płonącym samochodzie, walce, którą musiał stoczyć, żeby uciec przed śmiercią, i zrozumiał, że desperacka walka marlina w niczym nie była inna. Obydwaj byli wojownikami, a to stworzenie nie bardziej zasługiwało na śmierć niż on.

Raz jeszcze spojrzął w okrągłe oko, tak obce, a mimo wszystko tak pełne życia. Nie mógł zabrać go temu stworzeniu. Puścił bosak i sięgnął do kieszeni po nóż. Użył jego ostrza, by przeciąć żyłkę tuż nad haczykiem.

Przez chwilę marlin unosił się blisko łodzi, z okiem utkwionym w Bristolu. Potem skoczył w bok z błyskiem potężnego ogona, błękitnozielonoczarne

ciało wygięło się w łuk, światło słońca mieniło się w jego łuskach; został tylko wąski spieniony ślad, drobne nacięcie na naskórku oceanu znaczące miejsce, w którym kiedyś był.

Tengu było imieniem, które zgodnie z nakazami tradycji nadał mu jego *sensei*. Był następnym z agentów Wiktora Protorowa w obrębie Tenshin Shoden Katori. Jako taki stąpał po wąskiej linii i nawet jego sen wykształcił rysę biegnącą do bardziej czujnych warstw świadomości, tak żeby nigdy nie można było go przyłapać na braku czujności. Tak jak przyłapano Tsutsumu.

Zawsze miał świadomość, że jest w ulu pełnym bzyzcących, rozszoszczonych pszczoł. Wiedział bardzo dobrze, że wystarczyło tylko jedno słowo oskarżenia, aby ta złość została wymierzona przeciwko niemu. Nigdy nie doznał takiej serii emocjonalnych wstrząsów, jakie wywołała niespodziewana i nie wyjaśniona śmierć Masashigi Kusunokiego, dotychczasowego zwierzchnika szkoły *ninja*.

Tengu pochodził z dużej wiejskiej rodziny w Kyushu i pamiętał dzień, w którym umarł jego ojciec. Rodzina zjednoczyła się w milczeniu, działając niczym jeden organizm. Ale nawet ten pokaz jedności nie mógł się równać z jednomyślnym pragnieniem, które najwyraźniej przeniknęło wszystkie warstwy tutejszej społeczności. *Joninowie*, przywódca — *sensei*, *chuninowie*, przywódcy grup taktycznych oraz *geninowie*, jak również uczniowie tacy jak on — wszyscy poddali mu się bezgranicznie.

W *dojo* działo się coś, czego Tengu nie rozumiał, jakiś nieprzytomny wir powietrzny, jakiś duchowy punkt zapalny, którego nie był częścią. Próbował — i udawał, że jest częścią otaczających go ludzi — w głębi duszy wiedział jednak, że to daremne. Był tu zagubiony i nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Gdyby potrafił spojrzeć na siebie z boku, dostrzegłby, że po prostu brakowało mu poświęcenia, koncentracji sił, które pozwoliłyby mu stać się częścią żaloby, odnowionego duchowego poświęcenia, które ogarnęło wszystkich wraz z odejściem Kusunokiego.

Tengu miał wiele obaw podczas tych zmiennych w nastroju dni, gdy musiał zmobilizować całą energię, żeby ukryć przed otoczeniem swą prawdziwą misję w Tenshin Shoden Katori. Jednak największy strach wzbudzał w nim Feniks.

Feniks był, obok samego Kusunokiego, najpotężniejszym z *joninów*. Właściwie, w mniemaniu Tengu, Feniks zawsze stanowił większe zagrożenie niż Kusunoki. Po pierwsze — był młodszy, osiągnął szczyt sił życiowych;

po drugie — był badaczem dróg, które, jak się wydawało Tengu, Kusunoki dawno odrzucił. Niemądrze.

Feniks zawsze spędzał więcej czasu ze skromnym *geninem* niż Kusunoki — przynajmniej w okresie, gdy Tengu przebywał w *dojo*. Stary *sensei* coraz bardziej wydawał się poddawać spokojnej kontemplacji oraz wpływom pewnych uczniów, których sam darzył względami, wśród nich jedynej kobiety, Suijin.

Było więc tak, że tuż przed świtem Tengu — wyczerpany i zupełnie wyczerpany z energii, po nocy spędzonej na przemian na ukrywaniu się i poszukiwaniu, z sercem tłukącym się w piersi, ilekroć wyczuwał czyjąś bliskość — wślizgiwał się bezszelestnie do swojej izdebki.

Skrywał w sobie paniczny strach. Żył w lęku, że Feniks dowie się o jego tajnych poczynaniach. Perspektywa znalezienia się przed jego badawczym i groźnym obliczem była zbyt przykra, aby o niej rozmyślać. O wiele lepiej zginąć z własnej ręki, niż być ofiarą zemsty takiego osobnika.

Dla Tengu, który został wychowany na przesądach i tradycjach wiejskiego ludu, byłoby to gorsze od walki z *kami*.

Feniks był cieniem, kimś, kogo Tengu nie potrafił zrozumieć. Widząc go, widząc na jego ramieniu i plecach tatuaż ze stojącym tygrysem o dzikim obliczu, Tengu czuł, jak chwyta go pierwotny lęk, paraliż, z którego nie potrafił się wyrwać. Dlatego też nie szarżował i skrycie kontynuował swe zdradzieckie poczynania.

Gdy Nangi powrócił do biura, twarz miał zupełnie spokojną. W tym momencie uczynił wszystko, co było w jego mocy. Do Allana Su i jego personelu należało teraz drobiazgowo sprawdzenie ksiąg Anthony'ego China i znalezienie odpowiedzi na pytania: co się właściwie stało z All-Asia, czy jest w stanie nadal funkcjonować? Su proponował, aby zawiesić na ten czas działalność, lecz Nangi, wiedząc, jak szybko pogłoski roznoszą się w Kolonii, zdecydował, by bank nadal był otwarty, a gazetom chińsko- i angielskojęzycznym przekazać informację z pierwszej ręki o zdymisjonowaniu Anthony'ego China za nadużycia. Nie miał żadnych skrupułów przed zrujnowaniem kariery człowiekowi, który doprowadził jego bank na krawędź finansowej katastrofy. Dodał, że trzeba w Hongkongu mącić wodę.

— Musimy zrobić wszystko, aby zyskać na czasie — powiedział. — Nie chcę stąd dokonywać transferu kapitału, żeby zapewnić pokrycie finansowe w już i tak gorączkowej atmosferze. Nie będę wyrzucał pieniędzy w błoto. Proszę o tym pamiętać, panie Su. Pańska posada i posady wszystkich pańskich

podwładnych są w pańskich rękach. Proszę nie sprawić mi zawodu.

Gdy raz jeszcze to analizował, był pewien, że załatwił wszystkie sprawy. Teraz wszystko było w rękach Boga. Niech on zdecyduje o losach All-Asia. Nie powiedział, rzecz jasna, Su, że *keiretsu* nie stać na zasadniczy transfer kapitału. Ale jeżeli bank nie będzie mógł go dostarczyć, kapitał będzie musiał nadejść z innych źródeł.

Chwilowo uspokojony, zwrócił całkowitą uwagę na sprawy omawiane w biurze Sato. Pamiętał, o co miał zapytać Linneara, gdy oderwał go telefon. Przystanął za sofą, na której siedzieli Nicholas, Sato oraz Ishii. Tomkin rozparł się teraz w przesadnie dużym fotelu, zwrócony do nich twarzą.

— Linnear-san — rzekł wyciągając następnego papierosa i zapalniczkę — zanim zostałem, nie w porę, wywołany, powiedział pan, że fakt, iż *Mo* towarzyszyła śmierć, jest wysoce niezwykły.

Nicholas pobladł, nic nie powiedział, a Nangi, wpatrując się w niego uważnie, zastanawiał się, czy trafił w czuły punkt, który w jakiś sposób pomoże mu w uzyskaniu przewagi nad *gaijinem*.

— Zastanawiam się, — ciągnął Nangi wypuszczając błękitny dym z na pół rozchylonych ust — jaki jest cel *Wu-Shing*. Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić mi to?

Nicholas mógł teraz wybierać między utratą twarzy a ewentualnym wywołaniem paniki wśród Japończyków, co groziłoby przerwaniem negocjacji, które, jak dobitnie zaznaczył Tomkin, musiały zakończyć się w tym tygodniu. Powiedział o tym częściowo Tomkinowi w piątek, w pokoju hotelowym, a teraz im wszystkim powiedział trochę więcej. Ale tylko on, Nicholas, wiedział o wszystkim, a wątek intrygi był tak przerażający, że — przynajmniej chwilowo — wolał o nim nie myśleć. Jednak ten nieustępliwy Nangi, ten inteligentny Nangi miał właśnie wywrzeć nacisk i, robiąc to, obrócić wniwecz... tyle lat planów Tomkina.

Jego umysł w pośpiechu analizował ten problem. Bezwiednie odwrócił głowę. *Haragei* — osobliwy szósty zmysł — ostrzegwał go... przed czym? Tomkin! Co się stało? Nicholas drgnął, zanim cokolwiek zauważył.

Piwnie oczy Raphaela Tomkina, zwykle tak przebiegłe, podstępne i nieprzeniknione, był teraz wodniste i rozbiegane, jak gdyby barwnik tęczówek wyciekał przez dolne powieki. Żrenice rozszerzyły się i chyba tracił zdolność ostrego widzenia.

Nicholas dotknął go, wyczuł delikatne drżenie ciała, arytmiczne, nerwowe, nieprawidłowe.

— Szybko — rzucił — wezwijcie lekarza!

— Jest w budynku — powiedział Sato dając znak Ishiiemu, który już zmierzał ku drzwiom — to nasz lekarz, jest bardzo dobry.

Tomkin próbował otworzyć usta; nie mógł mówić. Dłońmi uchwycił marynarkę Nicholasa, marszcząc ją w grube fałdy w zaciśniętych jak szpony palcach. W jego oczach migotały czerwone iskiarki panicznego przerażenia.

— Już dobrze — rzekł uspokajającym tonem Nicholas — lekarz jest już w drodze. — Coś usiłowało przebić się przez natłok myśli, niewyraźne wspomnienie, drobne, przelotne, najwyraźniej nieistotne w tej chwili. Co to było?

Pokryta cętkami twarz Tomkina była tak blisko, że Nicholas mógł słyszeć pracujące w szalonym pośpiechu płuca. Położył palec wskazujący na wewnętrznej stronie drżącego przegubu dłoni Tomkina. Po chwili przesunął palec, potem znowu. Ogarnęło go paraliżujące zdumienie. Nie mógł wyczuć pulsu!

Tomkin poruszał ustami i przyciągnął Linneara do siebie, usiłując powiedzieć coś szeptem. Nicolas przyłożył ucho do warg Tomkina i uważnie słuchał. Poczul ciężki oddech, jakby kowalskie miechy pracowały na nadgodziny, oraz chorobliwie słodki odór rozkładu. Wywołał dawno wygasłe wspomnienie, lecz przerwał je głos Tomkina, słaby, przeciągły, niesamowity.

— Greydon. — Nicholas starał się wyłowić słowa przerywane ciężkim oddechem. — Na... litość... boską... sprowadź... Grey... dona... T e r a z !

Różowe światło, które odbijało się od *kanzashi* we włosach panny Yoshidy, zamieniło kamienie na dnie basenu w błyszczące klejnoty. Klęczała pośrodku rozsuniętej *fusuma* na pięćdziesiątym piętrze gmachu Shinjuku Suriyu, siedziby Sato Petrochemicals. Powierzono go mistrzowi architektury wewnątrz, a następnie doświadczonemu ogrodnikowi, by stworzyli sanktuarium spokojnych medytacji w dusznym „domu szaleńców” centralnego Tokio.

Nad pochyloną głową panny Yoshidy rozległ się szmer wiatru. Na prawo od niej wznosił się szpaler smukłych zielonych bambusów, wysokich, młodych, elastycznych. Elastyczność była cechą ogromnie cenioną przez Japończyków. W takim otoczeniu odradzał się jej znużony umysł.

Ubrana w modny, ciemnoczerwony kostium klęczała nad brzegiem basenu. Wprawdzie była asystentką Sato do spraw administracyjnych, ale

nakazem tradycji była po prostu znana jako pomocnica biurowa. Była to etykieta, z którą od lat walczyła, bez żadnych oznak powodzenia. Właściwie w innych okolicznościach nie byłoby jej tu, wypełniałaby tradycyjne obowiązki żony i matki.

Przed sześcioma laty jej mąż został potrącony przez ciężarówkę, gdy schodził z zatłoczonego chodnika. Zgniotło mu czaszkę. Po jego śmierci Yoshida została sama z jedynym synem; Kozo rozpoczął wtedy naukę w szkole średniej, szkole powiązanej z prestiżowym *Today*. Panna Yoshida i jej mąż długo i ciężko pracowali, żeby Kozo się do niej dostał. Zwróciła się nawet do Sato, aby użył swych wpływów w tej sprawie. Oboje byli oburzeni brakiem wdzięczności chłopca; wydawał się nie pamiętać o tym, jak wielki krok na drodze ku pomyślnej przyszłości zrobił dzięki swoim rodzicom. Yoshida westchnęła, gdy przypominała to sobie, zgarbiła się przytłoczona olbrzymim ciężarem.

Początkowo przyjęła zaproszenie, by przyjechać i zamieszkać razem z teściową. Ale trwało to jedynie parę miesięcy, bowiem stwierdziła, że zamieniła tylko jedną postać piekła na drugą. Mieszkając tam poddała się bezpośredniej kontroli starszej kobiety, która jako *hera-mochi* była szalenie zaborcza. Upierała się przy przejęciu kontroli nad pieniędzmi z polisy ubezpieczeniowej syna oraz wieloma rachunkami bankowymi. Niewolnicza praca, którą musiała wykonywać jako synowa, stała się nie do zniesienia.

Zabrała Kozo i uciekła sprzed złych oczu *hera-mochi*. Wróciła do tej samej części miasta, którą pokochała jako dziecko, i wynajęła tam mieszkanie.

Stała się *Kyoiku mama*, matką-wychowawczynią. W jej życiu liczył się tylko Kozo. Pracowała z synem nad poprawą szkolnych ocen, tak aby mógł dostać się do elitarnych *juku*. *Juku* były grupami korepetycyjnymi, których członkowie zbierali się w niedziele i święta. Chociaż regularne zajęcia szkolne zajmowały dwieście czterdzieści dni w roku, chciała, aby Kozo zapisał się do *juku*. Znała bowiem poziom nauczania w jego szkole, dostosowany do możliwości mniej pojętych uczniów. W japońskich szkołach przepisy nie przewidywały powtarzania klas.

Dzięki jej pracowitości oraz wrodzonej inteligencji Kozo, poproszono go wkrótce, aby dołączył do szczególnie prestiżowej *juku*, która mieściła się w *Today*.

Panna Yoshida była szczególnie zadowolona, bowiem pamiętała swoją własną naukę. W gimnazjum, w którym były same dziewczyny, uczono, jak zachowywać się w społeczeństwie, jak traktować przyszłą teściową, jak wychowywać dzieci oraz jak przygotować się na niezbadane wyroki małżeńskiego losu. I to było wszystko, czego nauczyła się w szkole. Czula gorycz z

tego powodu i ślubowała sobie, że gdy będzie miała córeczkę, zapewni jej zupełnie inną edukację.

Lecz jej *karma* wiodła w innym kierunku i gdy lekarz powiedział, że może mieć tylko jedno dziecko, dążyła do tego, by jej syn otrzymał to, co najlepsze w japońskiej szkole, aby wszystkie drzwi do świata biznesu stały przed nim otworem. Wszyscy wiedzieli, że bez świadectwa ukończenia jednego z niezliczonych uniwersytetów młody mężczyzna zostanie zdany na łaskę losu.

Tak więc zignorowała narzekania Kozo, że nauczyciele w szkole poczuli się dotknięci tym, iż zapisał się do *juku*. Uważali, jak jej powiedział, że *juku* podkopuje ich autorytet, byli zazdrośni o utratę kontroli i utrudniali mu życie w klasie.

— Bzdura — powiedziała panna Yoshida. — To tylko wymówka, żeby wykręcić się od nauki. Czy ty masz w ogóle pojęcie, ile miesięcznie kosztuje mnie twoja *juku*? — Oczywiście, tego mu już nie powiedziała, ale skrycie cieszyła się, że mąż był takim oszczędnym człowiekiem; nawet po śmierci zapewniał im dobry byt. Wysoką polisę ubezpieczeniową.

Przed dwoma laty — „to już tak dawno?” — spytała samą siebie — Kozo był przygotowany do ukończenia szkoły średniej. Cały semestr poświęcił na przygotowanie się do egzaminów wstępnych w *Today*. Z bładą i napiętą twarzą wychodził każdego ranka z domu do biblioteki i wracał dopiero późnym wieczorem.

Potem, trzy tygodnie po Nowym Roku, gdy wszystkie normalne zajęcia zostały zakończone, Kozo rozpoczął ostre, bezustanne wkuwanie do próby znanej jako *shiken jigoku*, piekło egzaminów. Panna Yoshida wzdrygnęła się na myśl o tym.

Zarządziła, by Kozo miał jedną część mieszkania do intensywnej nauki. I wtedy, pewnego ranka...

Głośny szloch wstrząsnął ramionami panny Yoshidy siedzącej na skraju ślicznego ogrodu, niewrażliwej na szelest liści i szmer maleńkiego wodospadu, który spływał na gładkie kamienie w kolorze ochry.

„Nie! — krzyknął głos w jej wnętrzu. — Dlaczego się znowu torturujesz? Dlaczego sobie o tym przypominasz?”

Lecz przez cały czas wiedziała, dlaczego. Pokuta. Nieme łzy spływały po jej krągłych policzkach, znaczyły plamami jedwabną bluzkę i zdobiły kropkami lniany żakiet kostiumu.

„O Buddo! Jakże mogę zapomnieć o chwili, gdy weszłam tego rana do jego pokoju i znalazłam go, jak wisiał z szyją okręconą prześcieradłem, a przewrócony kopnięciem stółek leżał z boku. Ciało Kozo wahało się w przód i w tył jak potworny metronom... och, gdy był dzieckiem i spał spokojnie

z tajemniczym uśmieszkiem na ustach, okręcał prześcieradło wokół nóg — nóg, a nie szyi”.

Och, mój biedny Kozo!

W trzy miesiące po tym, jak pochowała go obok ojca, przeczytała w gazecie artykuł profesora Soichi Watanabe z tokijskiego Sophia University. W pewnej jego części użalała się nad „goryczą edukacyjnej katorgi”, którą zmuszeni byli przechodzić młodzi chłopcy, „wyrokiem, którego nie może uniknąć żadne dziecko”. I znowu zalała się łzami, przerażona własnym brakiem zrozumienia i współczucia.

Od chwili narodzin kształtowała go na wzór tego, kim chciała, żeby był. Zrozumiała teraz, że nie miała jasnego wyobrażenia o nim jako człowieka. Zawsze był raczej przedłużeniem jej samej. Najważniejszym przedłużeniem, co prawda, ale mimo wszystko jedynie jej częścią.

Kłęcząc z głową ukrytą w dłoniach, kiwała się łagodnie w przód, w tył i płakała gorzkimi łzami, pogrążona w tęsknocie i litości nad sobą.

I tak właśnie zastała ją śmierć, kładąc się na jej ciele cieniem, czarnym jak noc; wydawało się, że pojawił się znikąd biegnąc przez zgięte plecy, zostawiając smugi wzdłuż fałd lnianego zakietu, dzielące ją na pół niczym miecz Pustki.

Panna Yoshida była świadoma jedynie własnego bólu i smutku, niedawnego urazu wywołanego znalezieniem w saunie zbroczonego krwią Kagamięgo. I niezatartego wspomnienia Kozo. Nawet smród bijący od Tomkina, będący, jak przypuszczała, rezultatem jego mięsnej diety, odszedł w niepamięć pośród gęstniejącej chmury zupełnej rozpacz.

Wtedy poczuła na ramieniu delikatną dłoń, usłyszała łagodny kobiecy głos i powoli prostowała się, unosząc ramiona, odchylając zgięty kręgosłup, podnosząc głowę, aby zobaczyć źródło ukojenia.

Miała wystarczająco dużo czasu, żeby dostrzec barwne kimono, długą wstęgę granatowoczarnych włosów podkreślonych grubą, krwawą *Xi* w sposób charakterystyczny dla gejszy, zanim usłyszała dziwny wysoki świst i wielkie, ozdobione kryzą ostrze *gunsenu* przecięło kość, chrząstkę u nasady nosa i oderwało go od reszty twarzy.

Wydała z siebie ochryply krzyk, gdy odsłonięte nerwy pokonały pourazowy szok i ból przeszył jej ciało. Krew tryskała z rany w jej twarzy, spływała na bluzkę i zakiet. Upadła do tyłu ze stopami podwinętymi pod pośladki. Oczy otworzyły się szeroko, powieki mrugały gwałtownie w niepojętym zdumieniu; rozpoznała oblicze tej postaci i serce chwycił skurcz przerażenia.

Obawiam się, że to przekracza moje możliwości — rzekł lekarz. Był siwy i błydy, sprawiał wrażenie, jakby po przekroczeniu drzwi biura postarzał się o dziesięć lat. — Jego jedyną nadzieją jest teraz szpital. — Westchnął głęboko i odsunął drucziane okulary do góry na błyszczące czoło, po czym kciukami zaczął masować powieki. — Stokrotnie przepraszam. Cierpię ostatnio na stałe zatokowe bóle głowy. — Wyciągnął małą buteleczkę z tworzywa i podsunął pod nos. — Mój lekarz twierdzi, że wkrótce muszę na dobre wyjechać z miasta. — Schował buteleczkę do kieszeni. — Zanieczyszczenie, rozumiecie, panowie.

Był przygarbionym człowiekiem w wieku więcej niż średnim, o ramionach tak chudych, że pod wymiętą marynarką widać było łopatki. Miał przyjemne, inteligentne oczy. Odłożywszy buteleczkę, westchnął.

— Ale jeżeli chcecie panowie, bym wydał swoją opinię... nawet to wiele nie pomoże. — Spojrzał bacznie na zaniepokojone twarze mężczyzn w pokoju: Nicholasa, Sato, Nangiego, po czym na ciało Tomkina rozciągnięte na sofie.

— To nie serce — rzekł lekarz. — Nie wiem, co to jest.

— Badalem jego puls, gdy pana wzywano — powiedział Nicholas. — Nic nie wyzułem.

— Właśnie, właśnie! — Mrugnął oczami, które zza grubych soczewek przypominały oczy sowy. — I właśnie to jest niezwykle. Rozumie pan, on powinien nie żyć. — Spojrzał w kierunku złożonego atakiem mężczyzny. — Czy zażywał jakieś specjalne leki, Linnear-san?

Nicholas przypomniał sobie jak przez mgłę, że podniósł małą plastikową buteleczkę w apartamencie hotelowym Tomkina. — Zażywa prednison.

Lekarz zatoczył się do tyłu. Twarz mu pobladła, lecz nie wydobył z siebie okrzyku, powiedział tylko, tak cicho, że Nicholas musiał się pochylić w jego stronę, żeby usłyszeć: — Prednison? Jest pan absolutnie pewny, że to był prednison?

— Tak.

Lekarz zdjął okulary.

— Obawiam się, że karetka nie będzie już potrzebna — powiedział cicho. Starannie nałożył z powrotem okulary i popatrzył na nich. Jego twarz zmieniła się teraz, jak gdyby był artystą szybko zmieniającym charakterystykę. Oczy były czarne, pojawił się w nich chłód profesjonalizmu, który niczym kurtyna odgradził go od brutalnej rzeczywistości. Nicholas widział już wiele razy takie spojrzenie u lekarzy i u żołnierzy powracających z wojny. Było

rodzajem mechanizmu obronnego, celową hardością serca chroniącą je przed ostrymi cierniami smutku. Lekarz rzeczywiście nie mógł już w niczym pomóc, a tak bardzo nie znosił porażek.

— Obawiam się, że Tomkin-san przechodzi przez ostatnie stadium arteris Takayasu, złośliwej i śmiertelnej choroby. Znanej także pod nazwą choroby bez tętna. Sądzę, że przyczyna jego braku jest dla wszystkich oczywista.

Panna Yoshida miała pewność, że umiera. Nie wydawało się to straszne, bowiem kładło kres jej cierpieniom i kryło wstyd, że była zbyt tchórzliwa, aby wziąć *wakizashi* swego męża i zagłębić go w podbrzuszu.

Ale sposób, w jaki umierała — był zupełnie odrębną sprawą. Umierała jak pies na ulicy, biedne, żalosne zwierzę, kopane i okładane pięściami, a życie uciekało z niej krótkim, arytmicznym tchnieniem.

„Z pewnością nie w taki sposób powinna umierać »żona samuraja«” — mówiła do samej siebie, z umysłem na pół odrętwiałym od bolesnych uderzeń ostrego jak brzytwa, falistego ostrza stalowego wachlarza.

Ale widok górującej nad nią postaci — tej malowanej twarzy demona, trupiobladej, z jaskrawopomarańczową szminką nałożoną w sposób, w jaki teatr *kabuki* przedstawiał demony w swoich sztukach — paraliżował ją.

Czuła, jakby wciągnął ją straszny wir legendy, jak gdyby codzienne Tokio ze swymi tłumami pędzących ludzi, powietrzem gęstym od zanieczyszczeń i jaskrawymi światłami neonów zniknęło całkowicie. Na jego miejscu znalazły się domy z drewna i papieru, zielone, drżące gaje bambusowe Japonii zamierzchłych czasów, pokrytej całunem mgły, tajemniczej, pełnej czarów i heroicznych czynów.

To było istotą oblicza pochylającego się teraz nad nią, wymierzającego straszliwą karę.

„Ale ja jestem samurajem! — wykrzyknął głos z głębi jej osłupionego umysłu. — Jeżeli mam umrzeć, daj mi przynajmniej szansę szlachetnej śmierci w walce”.

Yoshida wyciągnęła długie i ostre jak szpony palce; najpierw jej paznokcie, a potem końce palców zostały odcięte śmiercionośnym *gunsenem*, który bezustannie spadał na nią ze świstem. Zaczęła odsuwać się cal po calu od ciosów, prostując się niezdarnie; używała teraz przedramion i łokci, a krew spływała obficie po jej rękach, gromadziła się pod pachami.

Wargi obnażyły zaciśnięte zęby w grymasie połączonym z warknięciem, poczuła przypływ adrenaliny; serce wyrwało się z ponurego letargu i raz jeszcze wzniciło w sobie ducha samurajskich przodków, którzy poprowadzili ją ku chwalebnej śmierci.

Diagnoza została potwierdzona stosunkowo niedawno. Na początku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku w klinice Mayo, jak przypuszczam.

— Nic nie może pan zrobić, Taki-san? — spytał Sato.

Lekarz wzruszył szczupłymi ramionami.

— Mogę mu podać lek uspokajający, uśmierzyć ból. Nic więcej.

— Ale szpital z pewnością ma urządzenia, które mogą...

Taki kręcił już głową.

— To prawie koniec, Sato-san. Jeżeli go ruszymy, będzie cierpiał o wiele bardziej. A szpital... no cóż, osobiście, gdybym miał wybór, nie chciałbym tam umierać.

Sato skinął głową, także godząc się z porażką.

Nicholas odszedł od nich; od tej grupy współczesnych specjalistów bezsilnych wobec pierwotnych i ostatecznych sił natury. Ukląkł obok Tomkina i patrzył na bladą, ściągniętą bólem twarz. Kiedyś widział w tej twarzy siłę, zmarszczki, które w niej wytrawiło życie, nadawały jej charakter i napępniały treścią.

Teraz te właśnie zmarszczki zaczęły dominować, robiły się coraz głębsze, szersze, rozwijały swe sieci. Czas wydawał się zamykać nad nim, czyniąc go starszym o dziesięć lat w ciągu dziesięciu minut. W przeciwieństwie jednak do doktora Taki, Tomkin nigdy nie odwróci jego biegu. Procesy regeneracyjne w jego organizmie zostały zniszczone przez chorobę.

Wydawało mu się teraz ironią losu to, że klęczał u boku umierającego człowieka, tego samego, którego ślubował zniszczyć. Ale nie kwestionował tego. *Karma* Tomkina była jego własną. Nicholas godził się z tym tak, jak godził się z innymi wydarzeniami w życiu, z opanowaniem i spokojem. Właśnie ta wyjątkowa cecha pozwoliła mu oddalić pragnienie rozmowy z Akiko, wyrwać się z oszołomienia jej cielesnością. Pozwoliła mu szybko odzyskać równowagę, gdy uświadomił sobie ukryte znaczenie okropnego morderstwa, którego dokonano na Kagamim, morderstwa wzbudzającego grozę.

Chociaż orientalne pochodzenie było ledwie zauważalne na twarzy Nicholasa, wywarło silny wpływ na jego osobowość. Włosy miał ciemne jak włosy matki, a w oczach nie było śladu europejskiej otwartości, jednak

pułkownik, gdyby żył, rozpoznałby w nim siebie z lat młodości.

Wir różnorakich uczuć ogarnął teraz Nicholasa. Rozpoznał nienawiść do Tomkina, która pozwoliła mu dla niego pracować, a nawet zyskać jego przyjaźń po to, by zbliżyć się do niego i zasiać ziarno zemsty za rozkaz zamordowania jego przyjaciela. A jednak... Zauważał w tym człowieku takie zalety, które zaczęły go wzruszać. Po pierwsze: lojalność. Każdemu ze swych ludzi, który znalazł się w prawdziwych kłopotach, spróbowałby nieba przychylić. Po drugie: niezachwiana, wzruszająca miłość do obu córek, a zwłaszcza do Justine. Charakter tego człowieka sprawiał, że nie potrafił właściwie wyrazić tej miłości. Jednak zrozumienie dla swej udręczonej młodszej córki oraz, co równie istotne, przyznanie się — przynajmniej przed sobą i Nicholase — do odpowiedzialności za problemy emocjonalne Justine, było chwalebne.

Wprawdzie Tomkin często potrafił być głośny i niedelikatny, ale w gruncie rzeczy był człowiekiem uczuciowym. Rzeczywiście, w chwilach, które spędzali razem, gdy opuszczał gardę i był rozluźniony, potrafił być ujmującym, czarującym wręcz towarzyszem.

Nicholas spojrzął na poszarzałą, skurczoną twarz. Pograżona w bezruchu miała rysy podniszczonej woskowej lalki. Przypomniał sobie smutek Tomkina wywołany znajomościami Justine; jak bolało go, gdy była wykorzystywana przez Chrisa; jego gniew, kiedy uratował ją i jednocześnie stracił, bo ostatecznie odwróciła się od niego.

Nicholas zrozumiał, że Justine powinna być tutaj; chyba tylko on wiedział, jak wielką ulgę sprawiłaby teraz Tomkinowi jej obecność. Ostatecznie to właśnie rodzina była jego czułym punktem. Było okrucieństwem losu, że musi umrzeć tutaj, tak daleko od domu i córek, wszystkiego, co kochał. Nicholas zawsze czuł swoją znikomość w obliczu śmierci. Rozumiał mgliście, że była to zachodnia część jego osobowości, dziedziczona po pułkowniku. Wschodnia część osobowości w pełni rozumiała, że śmierć jest zespolona z życiem, że są naprawdę tym samym. Jeżeli było się w pełni człowiekiem, to śmierć była częścią człowieczeństwa. To przynajmniej powinno przynosić mu pewną ulgę.

Nicholas dostrzegł, jak oczy Tomkina otwierają się z nerwowym drżeniem, piwny kolor tęczyówek był przybrudzony i prawie szary. Oddychanie sprawiało mu ogromną trudność, usta o wyschniętych wargach były na pół otwarte.

— Wezwałem Greydona — rzekł. — Już idzie.

Lecz gdy wzrok Tomkina wędrował po pokoju, wydawało się, że nie było w nim oznak zrozumienia. Za oknem umarł już dzień, a nocny przepych

Tokio jaśniał blaskiem neonowego ognia powstrzymującego ciemność swą wielobarwną tarczą.

Tomkin odwrócił głowę. Nicholas podążył za jego spojrzeniem. Zobaczył jedynie pustą ścianę. Co takiego spostrzegł tam Tomkin, że przyciągnęło to jego uwagę? Tylko koty siadały wpatrzony w pustkę.

Cień przebiegł przez mur i Tomkin zadrżał, jakby miało to jakiś związek z jego osobą. Nicholas rzekł: — Doktorze? — choć było to tylko formalności; poznał śmierć, gdy ją zobaczył.

— Panie Linnear?

Nicholas powoli uniósł się i odwrócił; zobaczył zmartwioną twarz Greydona, prawnika Tomkina.

— Jak on się czuje?

— Niech lekarz panu powie. — Nicholas poczuł nagle zmęczenie.

Taki uklęknął obok Tomkina ze swym stetoskopem i słuchał z przejęciem. Po chwili ściągnął instrument z uszu.

— Obawiam się, że skołał. — Wstał i zaczął pisać coś w swym notatniku.

Greydon otarł twarz lnianą chustką.

— To stało się tak nagle — rzekł. — Nigdy... cóż, nigdy nie podejrzewałem, że śmierć była tak blisko.

— Wiedział pan o chorobie Tomkina? — spytał Nicholas.

Greydon skinął nieprzytomnie głową.

— Tak. Doktor Kidd, jego osobisty lekarz, i ja byliśmy jedynymi, którzy wiedzieli. Widzi pan, Tomkin musiał zwrócić się do mnie o spisanie testamentu. Musiałem wiedzieć. — Odetchnął głęboko. — Czy mógłbym napić się whiskey z wodą sodową?

— Pan wybaczy — rzekł Sato. — Okoliczności... — Szybko podszedł do baru, zrobił Greydonowi drinka i podał mu go. Przyrządził także coś Nan-giemu, który był bardzo błądy.

Greydon pociągnął spory łyk i dotknął łokcia Nicholasa.

— Proszę pójść z mną — powiedział cicho. Gdy byli z dala od innych, Nicholas przystanął.

— O co chodzi? — spytał krótko. Myślamy był gdzie indziej. Greydon z trzaskiem otworzył swoją czarną walizeczkę z krokodylej skóry.

— Są pewne sprawy, które trzeba...

— Nie teraz — przerwał Nicholas, kładąc dłoń na ramieniu Greydona. — Później będzie mnóstwo czasu na załatwienie formalności.

Prawnik, na pół schylony, spojrział na niego.

— Panie Linnear, przykro mi, ale otrzymałem wyraźne instrukcje. Pan

Tomkin bardzo jasno postawił tę sprawę. — Sięgnął ręką do walizeczki i wyciągnął ogromną, płowozółtą kopertę. Na kopercie wypisane było nazwisko Nicholasa. Była zapieczętowana czerwonym lakiem. Wręczył ją Nicholasowi. — Pan Tomkin żądał, żebym natychmiast po jego śmierci dostarczył panu tę kopertę do rąk własnych, żeby pan przeczytał i podpisał w mojej obecności to, co zawiera.

Odrętwiały Nicholas spojrzął na kopertę.

— Co w niej jest?

— Kodycyl.

— Kodycyl?

— Do testamentu pana Tomkina. — Na twarzy Greydona znowu malował się niepokój. — Musi pan to teraz przeczytać, panie Linnear. To było wyraźnym życzeniem pana Tomkina. — Jego oczy sprawiały wrażenie dużych i wilgotnych. — Bardzo proszę!

Nicholas odwrócił kopertę i złamał pieczęć. Otworzył i wyjął kilka kartek papieru. Górna zabazgrana była łatwym do rozpoznania wielkim pismem Tomkina. Zaczął czytać.

Nicholasie!

Jesteś bez wątpienia lekko zdezorientowany ostatnimi zdarzeniami. To naturalne. Muszę wyznać, że bardzo chciałbym wiedzieć, jakie uczucia przeważają teraz w Twym sercu. Wiem tylko tyle, że gdybym tam teraz był, nigdy nie zdołałbym odczytać ich z Twojej twarzy. Pod wieloma względami byłeś dla mnie jeszcze większą zagadką niż moje córki. Przypuszczam, że słusznie, skoro z czasem odniosłem wrażenie, że stałeś się dla mnie synem.

Właściwie to myślę, że wszystko do siebie pasuje. Czyż to nie Edyp pragnął zabić swego ojca? O, tak, wiem. Ponieważ poznałem Cię. Zrobiłem wiele głupich rzeczy w moim życiu, rzeczy, nad którymi nie chcę się za bardzo rozwodzić.

Miałem nieposkromione pragnienie władzy i w tym celu niszczyłem ludzi, a nawet całe przedsiębiorstwa, po to tylko, by spełnić moje pragnienie. Ale, w końcu, życie ma swoje sposoby, by zakpić z nas wszystkich, więc dlaczego ze mną miałyby być inaczej?

Nie mogę zaprzeczyć, że spotkanie z Tobą zmieniło moje życie. Och, wcale nie od początku. Miałem na to zbyt silną wolę. Ale pamiętam tę długą noc, gdy obydwaj czekaliśmy na nadejście Saigo. Byłeś tam, żeby mnie ochraniać, a jednak, przerażony i zdesperowany, w rozmowie z nim proponowałem mu Twoje życie zamiast mojego.

Dopiero później zdałem sobie sprawę z tego, jakim byłem głupcem. Podejrzewam zresztą, że podsłuchiłeś naszą rozmowę. Mam rację, prawda? Chcę tylko powiedzieć, że po tamtej nocy zacząłem

Cię rozumieć. Pewna cecha w Tobie, której wciąż nie potrafię określić, zaczęła jak mgła zasnuwać moje myśli. Cieszę się, że przyszedłeś dla mnie pracować, tak jak cieszę się, że poślubisz moją córkę. To również do Ciebie pasuje.

Być może istnieje wiele powodów, dla których chciałbyś mnie zabić. Ale chyba najbardziej nagłym powodem jest to, co stało się z Twoim przyjacielem, Lewisem Croakerem. On sądził, że zabiłem Angelę Didion; a Ty sądziłeś, że ja poleciłem go zabić.

Mylisz się. I masz rację.

Naprawdę mi przykro, ale nie mogę wyrażać się jaśniej. Być może już powiedziałem więcej, niż powinienem. Przejdźmy do interesów.

Na następnej stronie odnajdziesz dokument prawny. Przydziela Ci on sześćdziesiąt procent uprawniających do głosowania akcji Tomkin Industries. Nie myśl o tym za dużo, kieruj się intuicją. Ale wiedz o tym, że właśnie tego chcę, Nicky, całym sercem i duszą, jeżeli taka rzecz naprawdę istnieje. Wkrótce Ty i Justine pobierzecie się. Cieszę się, że się kochacie. Nikt lepiej ode mnie nie rozumie, jak cenna w dzisiejszych czasach jest miłość. Rozumiesz więc, że pod każdym względem należysz teraz do mojej rodziny.

Jeśli podpiszesz, sprawisz mi wielką radość. Będę wiedział, że firma jest w dobrych rękach. Ale pamiętaj: jest jedna sprawa, którą musisz załatwić natychmiast po pogrzebie. Greydon, który bez wątpienia stoi obok, powie ci, o co chodzi.

Żegnaj, Nicky. Powiedz moim dziewczynkom, że je kocham

Raphael Tomkin

Spisano w obecności Greydona jako świadka, w dniu 4 czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

Nicholas usiadł na oparciu fotela. W głowie mu huczało i rozpaczliwie usiłował zapanować nad sobą. Był zupełnie nie przygotowany na to, co przeczynał.

— Panie Linnear?

Nicholas powoli uniósł wzrok uświadamiając sobie, że Greydon od pewnego czasu stara się przyciągnąć jego uwagę.

— Panie Linnear, czy podpisze pan kodycył?

Zbyt wiele rzeczy działo się równocześnie. Nicholas czuł się osaczony. Emocje wzbierały w nim gwałtowną falą, a on, ze swą orientalną mentalnością, rozpaczliwie usiłował je stłumić; uzewnętrznienie uczuć z pewnością spowodowałoby utratę twarzy. Po raz pierwszy w życiu Nicholas czuł, że jest pośrodku, w niezgodzie z każdą częścią. Chciał bowiem jednocześnie czuć i

nie czuć. Sato miał rację. W tym kraju smutek był niezwykle intymnym uczuciem, skrywanym nawet przed najbliższymi. A jednak czuł przenikliwie obecność pułkownika, który ponaglał go do wyrażenia żalu, mówił, że tak ma być, że rzeczą ludzką jest płakać, czuć i potrzebować ukojenia w chwilach napięcia; że tego właśnie wszyscy pragną.

Jednak z jego twarzy nie można było odczytać żadnych uczuć. Być może Nangi, wnikliwy mistrz obserwacji, dostrzegł cierpienie, które przemknęło w oczach Nicholasa jak ciemna ryba. Ale Nangi nigdy by nawet nie pomyślał o tak prostackim naruszeniu prywatności. Od czasu gdy Tomkin dostał ataku, Japończycy uparcie patrzyli tylko na siebie, nie ryzykując utraty twarzy.

— Panie Linnear?

Nagle Nicholas stwierdził, że jest w pozycji atakującej, z mięśniami napiętymi jak struny, biodrami i kolanami poruszającymi się własnym rytmem; gwałtowny morderczy impuls wzbierał w nim; ramię zaczęło się unosić.

— Tak?

Greydon zamrugał gwałtownie powiekami; stał nieruchomy i bezbronny, a Nicholas pomyślał: „Co ja robię?” — wzburzony niewłaściwie skierowanymi emocjami, gotowością swego ciała do działania zgodnie z zasadami *aka-i-ninjutsu*. Tak jakby strząsnął z siebie cały czas spędzony w Ameryce i teraz, znalazłszy się w naturalnym żywiole, powracał do poprzedniego stanu, a psychiczne funkcje mózgu ustępowały miejsca instynktowi zgodnie z tym, czego go nauczono. Bowiem *jaho*, magia *ninja*, wymagała pełnego uwięzienia praw i nakazów tak zwanej cywilizacji.

Ale to nie była prefektura Nara, nie znajdował się w chłodnych kamiennych murach Tenshin Shoden Katori. Nie był już uczniem, lecz mistrzem. Powinien mieć więcej rozumu. Ale nie był do końca człowiekiem Wschodu, bez względu na to, jak bardzo usiłował przekonać samego siebie, że jest inaczej.

I dokładnie w tej chwili — jak gdyby wielka i wyniosła kra lodowa, która tak długo blokowała przejście odbijając światło w swych lodowatych krawędziach, rozpadła się na części — zrozumiał utajony gniew na pułkownika za to, że obciążył go swoimi zachodnimi genami, reakcjami, instynktami oraz wpoił swój pospolity sposób patrzenia na świat. Zdał sobie sprawę z tego, że nie słabnąca cześć dla ojca była tylko maską dla urazy tłącej się białym żarem w jego wnętrzu. I nagle wiedział już, co musi uczynić.

Rozluźnił ciało, świadomie zwalczając napięcie, które wyzwoliło się spontanicznie w postaci *kokyū suru*, pozycji atakującej. Wręczając Greydonowi dokumenty rzekł: — Zechce pan dać mi trochę czasu, dobrze? — Przeszedł przez pokój obok czterech Japończyków, którzy nie śmieliby spojrzeć mu w twarz i którzy rozmawiali cichymi, urywanymi zdaniem o banalnych sprawach.

Obszedł z boku sofę. Zbliżył się do ciała Tomkina, ułożonego już jak na marach. Czuł w ustach gorzki smak i pieczenie w oczach. W dniu, w którym zmarł pułkownik, nowy ogrodnik Linnearów, następny starzec — mistrz Zen w swej liściastej dziedzinie, który miał zająć miejsce ukochanego Atake w domu na peryferiach Tokio, zaczął odgarniać śnieg. Nicholas zobaczył ciemnobiałe bruzdy: melancholijny obraz, którym zima osobistą tragedię zmieniała w ucieleśnienie śmierci.

Nicholas ukląkł prostopadle do ciała Tomkina i ceremonialnie skłonił głowę, jak ktoś, kto wyraża podziękowanie głowie rodziny. Po objawieniu, jakiego dostąpił przed chwilą, wydawało się, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy tymi zwłokami a zwłokami, które on, matka i Itami pochowali z takim ceremonialnym przepychem wiele lat temu.

Tym razem jednak ból, który odczuwał, nieznany i bezgraniczny, rozplynął się: Nicholas ostatecznie pogodził się ze swym wizerunkiem okrągłookiego barbarzyńcy. Mimo iż pułkownik darzył Wschód niewyczerpaną, namiętną miłością, był zawsze *gaijinem* i Nicholas, dorastający w Japonii, cierpiał z tego powodu. Krew, krew. Japończycy nie potrafili zapomnieć o niej, nie potrafili, w głębi swych serc dystansując się od publicznych przejawów miłości, nie mogli wybaczyć mu tego podstawowego grzechu.

W Raphaelu Tomkinie Nicholas dostrzegł, aczkolwiek nieświadomie, wszystkie cechy niesłusznie przypisywane jego ojcu. Pojął teraz, że nienawiść do Tomkina była spowodowana jego nienawiścią do pułkownika, nie było na to rady. Był człowiekiem Wschodu uwięzionym w pułapce ciała człowieka Zachodu. *Karma*. Zrozumiał, że nigdy nie potrafił tego zaakceptować, że przez tak wiele lat nieświadomie walczył z tą *karmą*, tak jakby uparcie odmawiał konfrontacji ze swą głęboką nienawiścią.

Teraz potrafił. Śmierć Tomkina wskazała mu drogę i będzie mu za to doggonnie wdzięczny. Wiedział również, że czuł do Tomkina coś znacznie więcej niż tylko nienawiść. Nigdy naprawdę nie uwierzył, że jest potworem, jak utrzymywały jego córki. Zawsze bezwzględny, czasami okrutny, mimo to potrafił okazywać zaskakująco głęboką miłość, zarówno do swych dzieci, jak i do życia. Nicholas czuł, jak wzbiera w nim żal wyzwolony z żelaznych więzów jego wschodniego dziedzictwa. Żal po śmierci Raphaela Tomkina wywołał na nowo żal za ojcem. Z oczu Nicholasa zaczęły spływać łzy. Były jak

strugi ulewnego deszczu spadające na równo ułożone kamyki ogrodu Zen, burzące jego harmonię tak, jak ludzka strata na zawsze burzy spokój bliskich.

Po pewnym czasie Nicholas podniósł się. Twarz miał teraz spokojną i opanowaną, a umysł przejrzysty i wolny od gorzkich wspomnień sprzed półgodziny. Wrócił do Greydona, który stał cierpliwie trzymając dokumenty, i zabrał mu je. Przeczytał list raz jeszcze, na nowo urzeczony przenikliwością Tomkina; najwyraźniej rozumiał znacznie więcej, niż pokazywała zewnętrzna powłoka tego brzydkiego Amerykanina.

Gdy dotarł do fragmentu dotyczącego Angeli Didion, przerwał. „Czy Croaker miał rację, czy nie? — zastanawiał się. — Jak to możliwe, aby ją miał i nie miał?” Wstrząs za wstrząsem. Paradoksalna sytuacja. Ogólny ton listu był osobliwie orientalny w swej przenikliwej introspekcji, swoich głębokich aluzjach.

Nicholas przez dłuższy czas wpatrywał się w list. Dawno już przestał go czytać. Nie wtajemniczony obserwator mógł odnieść nawet wrażenie, że w jego oczach była pustka. W rzeczywistości była to szczególna postać medytacji dostępna jedynie najwspanialszym wojownikom Wschodu, pozwalająca odnaleźć Pustkę oraz odpowiedź na największą chyba odmianę w jego życiu.

Nagle uniósł wzrok. Jego spojrzenie, skupione i bystre, napotkało spojrzenie Greydona. Starannie złożył list i włożył go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Co się stanie, jeżeli nie podpiszę? — spytał cicho.

— Wszystko jest w testamencie — odparł Greydon. — Nie mogę podać panu szczegółów; to naruszyłoby zaufanie, jakim mnie obdarzono. Upoważniono mnie tylko, żebym powiedział, iż rada nadzorcza podejmie decyzję w sprawie nowego prezesa.

— Ale kto nim będzie? — spytał Nicholas. — Czy będzie właściwym człowiekiem? Czy będzie zwolennikiem tej fuzji? Czy będzie kierował firmą tak, jak życzył sobie Tomkin?

Greydon uśmiechnął się nieznacznie.

— Cóż mam panu powiedzieć, panie Linnear. Pan Tomkin najwyraźniej chciał, żeby podjął pan decyzję nie wiedząc o tym. — Przez chwilę patrzył na Nicholasa. — Jednak, sądząc po pytaniu, jakie pan zadał, wierzę, że już pan zdecydował. — Wyjął wieczne pióro i zdjął nakrętkę. Złota stalówka błyszczała w świetle niczym ostrze miecza.

— Tomkin napisał, że jest coś, co muszę uczynić... jeżeli podpiszę. Panie, o co chodzi?

Greydon potwierdził skinieniem głowy.

— Zgadza się. Jako nowy prezes Tomkin Industries musi pan odbyć rozmowę z pewnym człowiekiem w Waszyngtonie. Nazywa się C. Gordon Minck. Mam jego prywatny numer telefonu.

— Kim on jest?

— Nie mam pojęcia. — Pióro czekało zawieszony w powietrzu. Nicholas wziął je, zwracając uwagę na jego ciężar i wyważenie. Położył kodycył na biurku Sato i umieścił swoje nazwisko w odpowiednim miejscu.

Greydon skinął głową.

— Dobrze. — Wziął kodycył, poruszał nim, aż atrament wysechł, po czym złożył. — Otrzyma pan kopię po przeczytaniu testamentu. — Wyciągnął dłoń. — Powodzenia, panie Linnear. — Czas teraz, żebym powiadomił firmę i dopilnował organizacji pogrzebu.

— Nie — odparł Nicholas. — Ja to zrobię. Greydon, zanim poinformuje pan biuro, proszę poczekać, aż porozmawiam z jego córkami.

— Oczywiście, panie Linnear. Jak pan sobie życzy. — Wyszedł z pokoju.

Nicholas spojrział w drugą stronę gabinetu Sato. Pozostali mężczyźni nie patrzyli na niego.

Podszedł do nich i kłaniając się ceremonialnie powiedział:

— Sato-san, Nangi-san, zostałem mianowany następcą Tomkina. Jego firma należy teraz do mnie. — Uniósł wzrok, żeby widzieć ich reakcje, ale byli bardzo ostrożni i przezorni. Zbyt wiele zdarzyło się już tego dnia.

Pierwszy odezwał się Sato:

— Gratulacje, Linnear-san. Przykro mi, że pański awans następuje w wyniku tak tragicznych okoliczności.

— Dziękuję. Ogromnie doceniam pańskie zatroskanie.

Ishii również złożył gratulacje w taki sposób, że zdołał być szczery, nie będąc wścibskim. Nangi nie powiedział słowa. Tak było dobrze. Nadszedł czas, aby kontynuować rozmowy.

— Niestety, będę zmuszony natychmiast powrócić do Stanów, żeby dopilnować ceremonii pogrzebowych. Nasze rozmowy muszą zostać odłożone. — Wszyscy skłonili głowy.

— *Karma* — rzekł Sato.

— Lecz nie zamierzam torpedować naszej fuzji — powiedział Nicholas. — I wrócę tak szybko, jak to możliwe. Sądzę, że w tym celu muszę przekazać panom pewne informacje, jakkolwiek mogą się one wydać dziwaczne. — Teraz uzyskał ich niepodzielną uwagę. „Dobrze — pomyślał — do dzieła”. —

Postanowiłem nie poruszać tej sprawy, ponieważ czułem, że muszę mieć trochę więcej dowodów. Myślałem, że mógłbym w tym trochę pomóc. Teraz jednak okoliczności nakazują postąpić inaczej. Wyjeżdżam, a ponieważ dotrzymałem naszej wzajemnej umowy i nie chcę, żeby cokolwiek stanęło na przeszkodzie, muszę teraz dokładnie odpowiedzieć na pytanie pana Nangiego.

Spytał on, czy znany mi jest przypadek śmierci związanej z *Wu-Shing*. Szczerze odpowiedziałem, że nigdy nie widziałem takiego przypadku. Jednakże prawdą jest, że słyszałem o nim.

— W jakich okolicznościach? — spytał Sato. — Co się naprawdę stało z Kagamim? Musimy to wiedzieć.

Nicholas zaczął opowiadać im starą legendę, którą opowiedział Tomkinowi. W powietrzu narastało milczące napięcie.

— Myślę, że czas już, żebyśmy wszyscy rozeszli się — przerwał milczenie Nangi.

Przybyli sanitariusze w uniformach wezwani przez lekarza i zaczęli teraz zawijać ciało Raphaela Tomkina w srebrzystoszary plastikowy pokrowiec.

Ishii wyszedł. Potem Sato i lekarz przeszli obok, jeden za drugim; Nangi, z twarzą bladą, jak pokryte białym ryżowym pudrem oblicze gejszy, został, utkwivszy swoje ciemne oczy w twarzy Nicholasasa.

Stali obok siebie.

— Za trzy dni — rzekł Nangi — narodzi się kwiat wiśni, pojawi się jak czarodziejska chmura, niebo zstąpi na ziemię na krótką chwilę. W otwarciu jego płatków znajdujemy radość; w zaniku — pocieszamy się bogactwem wspomnień.

— Czyż nie jest tak z każdym życiem?

Srebrzystoszary plastik z suchym szmerem otulił twarz Raphaela Tomkina szyfrem wiekiustego milczenia.

Kioto — Tokio

WIOSNA 1945 ROKU

- JESIEŃ 1952 ROKU

Kiedy Tanzan Nangi leczył wojenne rany w szpitalu wojskowym, jego kraj powoli tracił inicjatywę w rozpaczliwej walce z Zachodem. Chciał wrócić do domu.

Zwolnił swoje antyseptyczne łóżko jedenastego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, prawie rok od dnia, w którym uratowano go z prowizorycznej tratwy. Szpital upominał się o niego, skalpel chirurga wgłębiał się w jego ciało raz po raz w próbach uratowania uszkodzonych nerwów i mięśni. Stracił całkowicie widzenie w uszkodzonym oku i można było jedynie zaszyć powiekę, aby powstrzymać tik, który stał się dla niego utrapieniem.

Z nogami był zupełnie inny problem. Trzy drobiazgowo operacje przywróciły mu częściową sprawność kończyn. Nie został, jak początkowo obawiali się lekarze, poddany upokorzeniom amputacji. Jednak, powiedzieli, będzie musiał od nowa uczyć się chodzić, będzie to długotrwały i bolesny proces. Nangi nie przejmował się tym. Był wdzięczny Bogu, Jezusowi, do których modlił się w ciemnościach, by zachowali go przy życiu.

Podróż w tym czasie była trudna dla cywila, nawet dla bohatera wojny. Jeżeli nie nosiło się munduru, jeżeli nie było się w drodze do ośrodka mobilizacji, było się przeważnie ignorowanym. Japonia, w tej okropnej sytuacji, miała ważniejsze sprawy. Hegemonia biurokratycznej maszyny wojennej nad krajem była silniejsza niż kiedykolwiek.

Poczucie wspólnoty pod wzburzonymi falami wojny istniało wszędzie i Nangi znalazł możliwość przejazdu do Tokio farmerską zdezelowaną ciężarówką, trzeszczącą na wybojach i dziurach w drodze, zatrzymywaną prawie na każdym skrzyżowaniu, żeby przepuścić transporty wojskowe mające pierwszeństwo.

Jak się okazało, niepotrzebnie się śpieszył. Niebo nad Tokio było czarne od gęstego, gryzącego dymu, który nie miał żadnego związku z deszczowymi

chmurami unoszącymi się wyżej. Dławiący popiół wisiał w powietrzu, pokrywał twarz i ręce, usta i nozdrza napęchiał kamiennym pyłem.

Gdy wtoczyli się do miasta, Nangi, chwając się, stał na przyczepie trzęsącej się ciężarówce. Wydawało się, że nie zostało nic. Tokio było spustoszone. Ostry wiatr utrudniał obserwację, a on musiał stale mrugać powieką, aby chronić oko od popiołu. Nie tylko całe budynki, ale całe dzielnice miasta zostały spalone na popiół. Tam gdzie stał dom rodzinny Nangiego, pracowały teraz oddziały robotników robiących przejście wśród brył poczerniałych budowli. Powiedziano mu, że nikt nie przeżył. Ogromny żar płonącego napalmu w połączeniu z silnymi wiatrami — tymi samymi wiatrami, które rozdmuchały straszliwy pożar Tokio w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku — doprowadził do doszczętnego spalenia połowy miasta.

Pozostawało jedynie iść do Kioto. Nangi nie zapomniał obietnicy złożonej Gotaro, że zaopiekuje się jego młodszym bratem, Seiichim.

Starożytna stolica nie doznała tylu zniszczeń co Tokio, które zmieniło się w tłący, poczerniały szkielet, ale brakowało żywności, doskwierał głód. Nangi zdobył mały bochenek czarnego chleba, słoik dżemu, odrobinę masła i sześć *daikon* — białych rzodkiewek. Przyniósł to do domu Sato jako dar i zadośćuczynienie za naruszenie spokoju i przysporzenie kłopotu swoją wizytą.

W domu zastał jedynie starą kobietę, wyprostowane stworzenie o ściągniętych ustach i stalowosiwych włosach zaczesanych gładko w tył głowy oraz oczach ciekawego dziecka ukrytych w twarzy pełnej zmarszczek.

— *Hai?* — Pytający ton był trochę obronny. Nangi przypomniał sobie, co Gotaro mówił o swojej babce. W tej rodzinie było wiele cierpienia i śmierci; nie potrafił zmusić się do tego, żeby być zwiastunem następnych złych wieści. Podczas wojennego chaosu było bardziej niż prawdopodobne, że wiadomość o śmierci wnuka jeszcze do niej nie dotarła.

Uklonił się grzecznie i, wręczając paczkę z żywnością, powiedział, że służył razem z jej wnukiem i że Gotaro przysyła najgłębsze wyrazy szacunku. Westchnęła pobłażliwie, jej nos uniół się lekko, gdy powiedziała: — Gotaro nigdy nie okazywał mi szacunku, gdy tutaj mieszkał. — Jednak wyraźnie ucieszyła się wiadomością. Robiąc ukłon cofnęła się od drzwi, żeby umożliwić mu wejście.

Nangi wciąż miał trudności z poruszaniem się, a ona odwróciła się w tak naturalny i pełen wdzięku sposób, że nie był pewny, czy zrobiła to celowo, by oszczędzić mu zakłopotania.

— Oba-chama — Nangi znalazł ją tak jak inni, jako „babcię” — poszła przyrządzić mu herbatę, co było wyraźnym zaszczytem w tych ponurych i pozbawionych nadziei czasach. Siedzieli po przeciwnych stronach pokoju. Dzieliła ich, uświęconym zwyczajem, przestrzeń między *tatami*, jak między gospodarzem i gościem, *senseiem* i uczniem. Popijali słabą herbatę z liści, których najwyraźniej użyto więcej niż jeden raz.

Oba-chama mówiła, a Nangi słuchał i odpowiadał niekiedy na jej bystre i celne pytania, najlepiej, jak tylko potrafił, fabrykując niekłamstw, gdy doszło do pytań o miejsce, w którym aktualnie przebywa Gotaro.

— Wojna zniszczyła tę rodzinę — powiedziała, wzdychając — tak jak niszczy ten kraj. Mój zięć leży w grobie; moja córka — w szpitalu, z którego nigdy nie wyjdzie. Japonia już nigdy nie będzie taka jak była, bez względu na to, co z nami zrobią Amerykanie. — Jej oczy były surowe i błyszczące i Nangi stwierdził, że perspektywa stania się jej wrogiem jest przerażająca. — Ale to nie Amerykanów się boję. — Ponownie westchnęła i, kręcąc głową, wypila mały łyk herbaty.

Gdy pomyślał, że zgubiła wątek, ponownie zaczęła mówić, powoli wprowadzając go w rytm swojego życia: — Rosjanie przyłączyli się do wojny. — Słowa te zabrzmiały jak wyrok śmierci. — Czekali do ostatniej chwili, aż jej wynik stał się jasny nawet dla ich powolnych, niedźwiedzich umysłów. Teraz rzucili się pobrzękując mieczami i również będą chcieli wydrzeć kawałek naszej ziemi. — Jej białe dłonie o skórze przezroczystej jak porcelana ścisnęły małe, pozbawione uchwytów czarki z nienaturalną siłą.

— Czy widzisz te czarki, przyjacielu mojego wnuka?

Nangi spojrział posłusznie; były piękne i tak niewiarygodnie cienkie, że wpadające przez okno światło przenikało je od wewnątrz, sprawiając, iż materiał, z którego były zrobione, stawał się mleczny i błyszczący. Potwierdził skinieniem głowy.

— Są wspaniałe.

Oba-chama ponownie westchnęła lekceważąco.

— Dostałam je niedawno w prezencie. Od dalekiego krewnego. To wszystko, co zostało po jego rodzinie. Zatrzymał się tu w drodze z Tokio na prowincję. Został *sokajjinem* *. [* *sokajjin* oznacza dosłownie „uciekający na prowincję”. Terminu tego używano w stosunku do tysięcy uchodźców, opuszczających dymiące miasta w drodze do bardziej bezpiecznych wiejskich osad Japonii.] Namawiałam go, żeby został tutaj, ale miał dosyć bombardowania Tokio, nie mógł dłużej znieść pobytu w

granicach miasta. Każdego miasta. Biedak, nie rozumiał nawet sensu swej ucieczki, ale przynajmniej się uśmiechał.

„Oba-chama — powiedział — pożary po nalotach na Tokio zmusiły mnie do czterokrotnej przeprowadzki w ciągu minionych trzech miesięcy, najpierw z mojego domu, którego już nie ma, potem z jednego tymczasowego schronienia do drugiego. Z każdą przeprowadzką zmniejszała się moja bezcenna kolekcja antyków z dynastii Tang. Tu ogień pochłonął niektóre zwoje, tam potknięcie na ulicy zniszczyło wazę”. — Wręczył mi te filiżanki. „Proszę, Oba-chama, widzę, że wciąż prowadzisz spokojne życie. Proszę, weź je. Są ostatnimi z mojej kolekcji. Uwolniłem się, żeby na nowo rozpocząć życie, nie ciągnąc za sobą mojego zbioru niczym uciążliwego garbu. Wojna nauczyła mnie doceniać w życiu inne rzeczy”.

Oba-chama obróciła filiżankę w świetle, używając tylko kciuka i palca wskazującego.

— Wyobraź sobie! Trzymam w dłoni rzecz z dynastii Tang!

Nangi wyczuł lęk w jej głosie i nie był tym zaskoczony. Ponownie spojrzął na swoją filiżankę, podziwiając mistrzostwo wykonania i wiek. On również podzielał powszechne uznanie, jakim większość Japończyków darzyła tę najbardziej szanowaną ze wszystkich chińskich dynastii.

Oba-chama ostrożnie postawiła cenną czarkę i na chwilę przymknęła oczy.

— Ale jaki teraz sens ma rozmowa o sztuce i antykach? Wkrótce przybędą tu Rosjanie razem z Amerykanami i wtedy naprawdę będziemy zgubieni. — Pod zasłoną rozpaczony Nangi wyczuł głęboką i stale obecną w niej wściekłość i strach przed Sowieciami. Poczul gwałtowne pragnienie, aby sięgnąć ponad przestrzeń, która — zgodnie z nakazami tradycji i grzeczności — musiała na zawsze pozostać między nimi i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł. Słowa utknęły mu w gardle jak igły; wiedział, że dla nich nie w s z y s t k o będzie dobrze.

Miał właśnie otworzyć usta, aby coś powiedzieć — cokolwiek, byle przerwać napiętą i bolesną nić milczenia — gdy rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi. Oczy Oba-chamy pojaśniały i, kłaniając się, poprosiła o wybaczenie.

Nangi siedział w milczeniu; nie odwrócił się. Siedział plecami do drzwi frontowych; słyszał tylko cichy szmer głosów, krótką ciszę, po czym szmer rozległ się znowu. Potem drzwi zamknęły się cicho i nie słyszał nic do chwili, gdy Oba-chama ponownie pojawiła się w jego polu widzenia.

Usiadła z powrotem naprzeciw Nangiego. Schyliła lekko głowę i jej oczy znalazły się w cieniu.

— Otrzymałam wiadomość o Gotaro-chanie. — Jej głos był jak smuga dymu, unosił się delikatnie; jak muszla, przezroczysta i pusta w środku. — Nie wróci do domu.

Być może zawsze mówiła z siłą poety, choć Nangi podejrzewał, że nie. Gotaro był dla niej kimś szczególnym, tak jak — w krótkim, lecz niewiarygodnie znaczącym czasie, w jakim Nangi go poznał — był kimś szczególnym dla niego.

Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniona cząsteczkami pyłu zawirowała w promieniach słonecznych. Ich pozorne życie podkreślało tylko pustkę tej przestrzeni.

Z zewnątrz dotarły do niego słabe odgłosy bezdusznego ruchu ulicznego, odległe jak wspomnienie ożywione na pożółkłej fotografii. Cała era przesuwiała się przed nim, jak powolny i ociążały karawan pełen czarnych róż. Wszędzie unosił się zapach przeszłości, jedynie mroczna niepewność nieodgadnionej przyszłości dotrzymywała mu towarzystwa.

Coś na kształt rozpaczy sączyło się powoli z Oba-chamy, chociaż dzielnie usiłowała zachować stanowczość i wewnętrzny spokój.

Gdy siedzieli zwróceni do siebie twarzami, Nangi czuł głęboką bezradność. *Karma* pomarszczyła cienką jak bibuła skórę jej twarzy, a on czuł ból w sercu, obarczony ciężarem jej najświeższej straty, jednej z wielu na sznurze klejnotów goryczy.

Wtedy właśnie przyszedł mu do głowy wiersz — niezupełnie *haiku*, ale ogromnie wzruszający — napisany przez Chiyo, osiemnastowieczną poetkę uważaną za największą ze wszystkich japońskich poetek. Ten właśnie wiersz — znakomity przez to, czego nie mówił oraz przez to, co wyrażał — napisała po śmierci swojego synka.

Powiedział go teraz:

— „Był łowcą motyli — dzisiaj zastanawiam się, do jakich dotarł miejsc...”

Nagle oboje rozplakali się i Oba-chama, zawstydzona brakiem dobrych manier, odwróciła się szybko. Widział tylko drżące szczupłe ramiona, a między nimi pochyloną siwą głowę.

Po pewnym czasie rzekł cicho:

— Oba-chama, gdzie jest Seiichi-san? Powinien być tutaj z tobą.

Spojrzała na *tatami*, być może w poszukiwaniu śladów niedoskonałości. Nie uniosła oczu. Potem poruszyła się, jak gdyby zbrojąc się w słowa. — Jest na pielgrzymce. Do mauzoleum Tokugawy w Nikko.

Nangi uklonił się.

— W takim razie, jeżeli pozwolisz, Oba-chama, pójdę i przyprowadzę go. Jego miejsce jest tutaj; to czas, by być z rodziną.

Staruszka uniosła głowę: Nangi dostrzegł drobne, nerwowe drżenie, które opanowało jej ciało.

— Byłabym bardzo... wdzięczna, gdyby mój drugi wnuk znowu był przy mnie. — Kąciki jej oczu jaśniały diamentowym blaskiem łez, które powstrzymywała najwyższym wysiłkiem woli.

Nangi pomyślał, że czas już zostawić ją samą z jej nieszczęściem. Uklonił się ceremonialnie, dziękując za gościnność w tych złych czasach, i z pewnym trudem uniósł się, żeby wyjść.

— Tanzanie. — Po raz pierwszy wymówiła jego imię. — Gdy pan wróci z Seiichim — głowę trzymała prosto; kosmyk włosów zsunął się na ucho, kołysząc się — zostanie pan tutaj z nami — powiedziała zdecydowanym głosem. — Każdy młody człowiek potrzebuje domu, do którego mógłby wrócić.

Intensywna zieleń kryptomerii znaczyła smugami szary całun, który wciąż unosił się nad spalonym Tokio. Legiony cywilów nadal przeczesywały tony gruzu i szerniałych szkieletów Czerwonej Nocy, niczym miejscy farmerzy z pokrytymi popiołem grabiami, wygrzebujący żniwo rozpacz.

Po straszliwych wiatrach sprzed dwóch tygodni została tylko łagodna bryza zginająca kryptomerie i powodująca przeciągły szelest, który w połączeniu z naturalnym bzykaniem owadów niósł ze sobą harmonię, z której słyłał ten park.

Nangi przeszedł po kamiennej kładce na drugą stronę strumienia i ruszył wśród gęstych krzewów krętą stromą ścieżką, która miała go zaprowadzić do inkrustowanej złotem Bramy Yomei oraz grobowca Tokugawy. Nie powiedział Oba-chamie o tym — w tym czasie byłoby to niestosowne — że on także w czasach szkolnych spędził wiele szczęśliwych godzin, pogrążony w głębokiej zadumie, na skraju miejsca ostatniego spoczynku tego, kto przyczynił się do wielkości Japonii.

Nangi nie wątpił, że dalekowzroczna polityka Ieyasu Tokugawy zapoczątkowała historię nowoczesnej Japonii. Po latach waśni i sporów powstała dynastia, która miała przetrwać ponad dwa wieki. Nowo mianowany shogun był jedynym, który posiadał dostatecznie dużo siły i przebiegłości, aby nagiąć skłóconych *daimyo* do własnej woli.

Czyniąc to, zapoczątkował długotrwały okres pokoju i całkowicie zmienił

dalsze dzieje swego kraju. Bezwiednie zniszczył kastę samurajów. W czasach stabilizacji nie było miejsca dla wojowników. Rycerz powoli zmieniał się w urzędnika, zasilając szeregi „użytecznej arystokracji”.

Nangi często słyszał, jak mówiono w szkole, w której kształciły się bystre umysły — wystarczająco młode, aby nie odarto ich jeszcze z obiektywnego spojrzenia, którego pozbawią ich wiek i pełne uczestnictwo w systemie — że japoński rząd zbudowano na zasadzie rozgraniczenia potęgi i władzy.

Aby to zrozumieć, Nangi musiał powrócić do swoich studiów nad historią, wczytywać się w rozdziały, które jego gorliwi profesorowie wyraźnie ignorowali. W książkach znalazł historyczne i polityczne imperatywy, będące odpowiedzią na jego pytania.

Potężne rody feudalne z Choshu i Satsumy obaliły w końcu shogunat Tokugawy. Rozpoczął się okres Restauracji.

To, co zorganizowała grupa oligarchów, było rządami podobnymi do rządów Bismarcka. Fakt, że wielu tych przywódców miało silne powiązania z rządem niemieckim, wydaje się częściowo odpowiedzią na pytanie, dlaczego wybrali ten właśnie system. Innym powodem było to, że pragnęli skrycie utrzymać swą kontrolę nad rządem, który przynajmniej na zewnątrz wydawał się wrażliwy na potrzeby ogółu społeczeństwa.

W tym celu przystąpili do tworzenia czegoś, co nazywali apolityczną biurokracją państwową. Wydaje się ironią fakt, że oligarchowie Meiji, tak bardzo obawiający się samurajów, że oficjalnie znieśli system klasowy, musieli poszukiwać do roli administratorów swej nowo tworzonej biurokracji ludzi z tej samej klasy, której tak nienawidzili.

Ale byli zdecydowani stworzyć tę liczną i potężną grupę biurokratów do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku, w którym Zgromadzenie Narodowe, izba niższa nowego parlamentu, miała otworzyć swoje obrady i kandydaci partii politycznych zaczęli ubiegać się o społeczne poparcie i władzę.

Bismarckowski system monarchii konstytucyjnej dobrze służył również oligarchom Meiji, ponieważ czynił premiera oraz armię odpowiedzialnymi nie przed parlamentem, lecz przed cesarzem. Przejściowym efektem był bardzo słaby i nieskuteczny sejm oraz potężna biurokracja powiązana ze zwolennikami oligarchów Meiji. Tak właśnie wcielano w życie wolę ludu.

A jednak przy wszystkich jej wybiegach i niedozwolonych powiązaniach z władzą, rozwój apolitycznej biurokracji jako ośrodka rządów znalazł wielu zwolenników wśród Japończyków, gryzące bowiem wspomnienie przywilejów przyznanych rodom z Satsumy i Choshu wciąż paliło ich jak ogień.

Tym, co doceniali w utworzeniu biurokracji, był fakt, że była otwarta dla wszystkich ludzi, którzy sumiennie i solidnie się przygotowali i którzy dzięki odpowiednim uzdolnieniom i hartowi ducha uzyskali wysokie oceny na egzaminach; te natomiast nie mogły być bardziej bezosobowe i tym samym bezstronne.

A jednak oligarchowie okresu Meiji nigdy pewnie nie oczekiwali takiego efektu końcowego. Wraz z konsolidacją władzy biurokracji jako centrum nowego rządu oraz, w końcu, śmiercią ostatniego z oligarchów, prawdziwa władza w systemie przeszła w ręce biurokratów państwowych i, co równie ważne, wojskowych.

Wszystko to było faktycznie dziedzictwem Tokugawy. Ważna nauka, zwłaszcza dla młodego mężczyzny błądzącego po terytorium kraju, który wkrótce miał ponieść klęskę, mężczyzny, który musi myśleć o bardzo niepewnej i zmiennej przyszłości.

Nadchodziły zmiany i widok mauzoleum Tokugawy przebijający przez tarasy drzew, wśród których szedł, dobitnie uświadomił Nan-giemu, jak bardzo pragnął być częścią tych zmian. Alternatywa bowiem była zbyt okropna, aby o niej myśleć: mógł zostać stracony za zbrodnie wojenne wyrokiem trybunału wojsk okupacyjnych.

Nangi przystanął, rozejrzał się dokoła. Upewnił się, że jest sam. Zboczył ze ścieżki i pod osłoną drzew doszedł do małej polanki. Uklęknął. Z małej torby, kryjącej cały jego dobytek, wyciągnął swój mundur wojskowy. Zwinął go w kłębek i podpalił. Trwało trochę, zanim zamienił się w szary popiół. Powoli podniósł się. Roztarł nogą spopieliałe resztki i ruszył w stronę ścieżki. Teraz musiał odszukać Seiichiego Sato i przyprowadzić go do domu.

Seiichi był zupełnie niepodobny do swojego brata. Po pierwsze — brakowało mu poczucia humoru, który czynił Gotaro tak łatwym we współżyciu. Po drugie — nie był chrześcijaninem. Był poważnym, szybko dojrzewającym młodzieńcem.

Nangi zauważył, że jest wybitnie inteligentny i otwarty na nowe i niezwykle sposoby myślenia. Przede wszystkim ze względu na tę cechę — równie niezwykłą jak szalony humor Gotaro — obydwaj bracia stworzyli trwałą fundament odpowiedzialności i zaufania.

Seiichi mężnie zniósł wiadomość o śmierci starszego brata. Nangi po raz pierwszy zobaczył go w mrocznym wejściu do mauzoleum. Przedstawił się i potem długo ze sobą rozmawiali.

W pewnej chwili, kierowany intuicją, Sato uniósł wzrok i powiedział:

— Przyszedłeś powiedzieć mi, że Gotaro zginął.
— Umarł śmiercią samuraja — odpowiedział Nangi.
Seiichi spojrział na niego w osobliwy sposób.
— Chyba nie uszczęśliwiło go to tak, jak mnie uszczęśliwia.
— Był przecież Japończykiem — powiedział Nangi. — Jego... wiara w innego Boga w niczym tego nie podważyła. — Odwrócił się, jakby chcąc zmienić temat. — Uratował mi życie.

Tym, co ostatecznie złączyło ich ze sobą, było pragnienie, żeby nie zginąć pod koniec wojny. Żołnierze cesarza także tego pragnęli; z pewnością nie uważali siebie za *kamikaze*, ginąc niczym płatki kwiatów wiśni trzeciego dnia krótkiego rozkwitu. Mimo wszystko jednak byli patriotami. Właśnie miłość do ojczystego kraju była tyra, co ich pobudzało. Nangi był dostatecznie dalekowzroczny, by chcieć zobaczyć, jak Japonia podnosi się z ruiny, w którą obróciła ją głupia i niedorzecznie prowadzona wojna. Seiichi był dostatecznie młody, żeby wciąż wierzyć w idealizm. „Razem — myślał Nangi — możemy być nie do pokonania”.

W tym celu zaczął kształcić Seiichiego, który kończył ostatni rok na uniwersytecie w Kioto, w *kanryodo*, *bushido* współczesnego Japończyka, drodze biurokraty. Nangi pomyślał, że będzie musiał odwołać się do szczególnie ważnego przykładu, by zaszcześcić Seiichiemu nowy sposób myślenia. Spytał go, czy zna najlepszą drogę do władzy politycznej w Japonii.

Seiichi wzruszył ramionami.

— Zgromadzenie Narodowe, oczywiście — odparł z bezgraniczną pewnością młodości. — Czy to nie tam właśnie wszyscy politycy zdobywają swoje doświadczenia?

Nangi potrząsnął głową.

— Posłuchaj, Seiichi-san: żaden z ministrów gabinetu Tojo nigdy nie zasiadał w parlamencie. Wszyscy byli dawniej urzędnikami. Chcę, żebyś o tym pamiętał za każdym razem, gdy tracisz zainteresowanie nauką.

— Ale ja nie chcę zostać urzędnikiem państwowym — skarżył się Seiichi.
— I nie potrafię zrozumieć twojego pragnienia, abym nim został.

— Czy słyszałeś określenie *termo no kanri*? Nie? To definicja japońskiego urzędnika cesarskiego. Cesarska nominacja nadaje im status *kan*; słowo to, pochodzące z chińskiego, oznaczało w odległych czasach dom mandaryna, który rządził w mieście. *Kan* to władza, Seiichi, uwierz mi, i bez względu

na to, co z nami robią amerykańskie wojska okupacyjne, w końcu *kan* będą rządili Japonią i uczynią ją znowu wielką.

Historia oczywiście potwierdziła słowa Nangiego. Chociaż ludzie generała MacArthura, Naczelnego Dowódcy Sił Sprzymierzonych, przez siedem lat, od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, drastycznie zredukowali japońską administrację, nie zniszczyli jej, właściwie nie mogli jej zniszczyć. W rzeczywistości nieświadomie wzmocnili jedną sferę: ministerstwa gospodarcze. Naczelne Dowództwo całkowicie zlikwidowało siły zbrojne. Było do tego zmuszone, ale nie rozumiejąc struktury japońskiego rządu, nie zdołało przewidzieć konsekwencji swojego posunięcia. Wojsko bowiem było głównym rywalem ministerstw gospodarczych.

Trybunał rozpatrujący zbrodnie wojenne rozszerzał krąg swych poszukiwań i zaczął wzywać pewnych wpływowych członków *zaibatsu*, wielkich zarządzanych rodzinnie konsorcjów przemysłowych, którzy mogli popchnąć Japonię do wojny.

Podczas gdy pracujący z poświęceniem urzędnicy trybunału wertowali spisy w poszukiwaniu ukrywających się zbrodniarzy wojennych, następowała transformacja *zaibatsu* i osłabienie ich wpływów. Wytworzyło to próżnię w sferze władzy, w którą ponownie wkroczyły ministerstwa gospodarcze.

Wkrótce po usunięciu z Ministerstwa Handlu i Przemysłu czterdziestu dwóch pracowników — a był to najniższy odsetek usuniętych z ministerstw wchodzących w skład rządu — Tanzan Nangi otrzymał stanowisko w *kosan kyoku*, Urzędzie Mineralów. Było to w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Shinzo Okuda, aktualny wiceminister, cieszył się, że ma go wśród swoich pracowników. Nangi uczęszczał do właściwych szkół i, co równie ważne, przyszedł do ministerstwa jako człowiek bez wojennej skazy. Nigdy nie osiągnął wystarczająco wysokiego stopnia lub dostatecznego rozgłosu, aby jego sprawę rozpatrywał trybunał SCAP*. Na krótko przed wybuchem wojny i powołaniem do służby wojskowej pracował w Towarzystwie Doradztwa Przemysłowego, instytucji administracyjnej lub inaczej *eidan*. [* SCAP — Naczelne Dowództwo Sił Sprzymierzonych.]

Nie potrzebował dużo czasu, żeby zorientować się w sytuacji. Ponieważ MacArthurowi doradzono, aby wybrał okupację pośrednią — to znaczy utrzymanie istniejącego rządu japońskiego, zamiast wprowadzania nowej władzy — przenikliwi ministrowie znaleźli sposób własnej ochrony: *menju*

fukuhai. Okuda wyjaśnił to Nangiemu, gdy ten pracował już dostatecznie długo, aby swoimi umiejętnościami wywrzeć wrażenie na przełożonych i zdobyć ich zaufanie.

— Nasza strategia — rzekł wiceminister stojąc pośrodku swego małego gabinetu — polega na wykonywaniu poleceń Amerykanów tak długo, jak długo na nas patrzą, a potem, gdy przestają nas obserwować, r o b i m y w s z y s t k o n a o p a k .

Według słów Okudy administracja miała już za sobą pierwszy krytyczny moment.

— Pewnego dnia minister Hishijima wezwał mnie do swego gabinetu. Żebyś widział, jaki był poruszony. Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem. „Okuda-san — rzekł do mnie — MacArthur grozi, że zwróci się do społeczeństwa i skłoni je do zatwierdzenia nowego, obcego nam dokumentu, który Amerykanie nazywają konstytucją. — Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. — Czy pan wie, co by to oznaczało? Nie możemy pozwolić na bezpośredni udział społeczeństwa w rządach, jeżeli mamy zachować naszą absolutną władzę. Plebiscyt byłby początkiem naszego końca. Musimy teraz wszyscy zjednoczyć swoje siły i przeforsować natychmiastowe przyjęcie konstytucji MacArthura”.

Okuda uśmiechał się teraz.

— I zrobiono to, Nangi-san, w taki właśnie sposób.

W miesiącach, które miały nadejść, stało się oczywiste dla Nangiego, że los japońskiej administracji został na zawsze określony. Po pierwsze: rozpaczliwa potrzeba poprawy gospodarczej kraju czyniła koniecznym powiększenie legionu urzędników. Po drugie — przywódcy polityczni, którzy przenikali przez dziwaczny oraz tak czy inaczej nielogiczny dla Japończyków system selekcji SCAP, byli zupełnie niekompetentni. Wojska okupacyjne przywróciły do władzy wielu polityków, którzy nie działali od ponad dwudziestu lat. Nangi bardzo często spotykał ministrów, którzy musieli zwracać się do swoich wiceministrów o odpowiedź na prawie każde stawiane im pytanie.

Stało się także wyraźnie widoczne, jak mało władzy spoczywało w rękach sejmu. W jego własnym ministerstwie wykuwano zasady polityki, a potem przedstawiano je sejmowi do zatwierdzenia.

Nangi na swoim nowym stanowisku odpowiedzialny był za prowadzenie wielu spraw Ministerstwa Handlu i Przemysłu, których nie nadzorował osobiście zbyt zajęty wiceminister. Jedną z nich było górnictwo.

Morozumi Mining było tylko jednym z wielu przedsiębiorstw wymagających całkowitej restrukturyzacji. Prawie wszyscy wyżsi rangą kierownicy

zostali usunięci, a następnie osądzeni jako zbrodniarze wojenni kategorii A, ponieważ w połowie lat czterdziestych Morozumi zostało zreorganizowane, stając się jednym z czołowych producentów trójnitrotoluenu dla potrzeb wojska. Jego ówczesny dyrektor został nagrodzony kilkoma medalami za wysoką jakość produkcji przez samego Tojo.

Morozumi było jednak zbyt dobrze zarządzane, żeby zniszczyć je całkowicie, i gdy trybunał Naczelnego Dowódcy Sił Sprzymierzonych ogłosił drzewo ze wszystkich gałęzi, firma poprosiła Ministerstwo Handlu i Przemysłu o ponowne wyznaczenie personelu *koncernu*. Nangi był zachwycony tym zadaniem, ponieważ mógł umieścić w nim Seiichiego jako szefa produkcji, na stanowisku w lepszych czasach nieosiągalnym dla młodzieńca, który właśnie skończył osiemnaście lat. Seiichi był wyjątkowo bystry i dobrze wykształcony. Ponadto instynkt mówił mu, jak postępować z ludźmi starszymi od siebie. W ten sposób jego nominacja przeszła bez cienia protestu ze strony wiceministra.

Za pieniądze, które otrzymali za filiżanki z dynastii Tang, подарowane im przez Oba-chamę — nawet w najtrudniejszych czasach bywają nieliczni ludzie z inicjatywą czyhający na skarby — dwaj mężczyźni zdołali wynająć dość duże mieszkanie w Tokio. Sato wiedział, że przyjaciel nie chciał pozbywać się takich skarbów; Nangi zakochał się w starych filiżankach w chwili, gdy Oba-chama pokazała mu je po raz pierwszy. Nie mieli jednak innego wyboru.

Gdy tylko zdobyli trochę pieniędzy, Nangi kazał Seiichiemu sprowadzić Oba-chamę. Jej córka zmarła wkrótce po tym, jak Nangi przyprowadził Sato do domu. Chociaż kochała swój mały dom w spokojnym Kioto, wiek sprawiał, że samotne życie było dla niej coraz trudniejsze.

Pewnego wieczoru, na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, Nangi wrócił do mieszkania nieco wcześniej. Drzwi otworzyła jak zwykle Oba-chama. Pośpiesznie zabrała się do przyrządzania herbaty, nie zwracając uwagi na jego protesty. Razem z małymi filiżankami przyniosła trzy świeżo upieczone ciastka ryżowe, wyjątkowy rarytas w tamtych czasach.

Nangi obserwował roztargnionym wzrokiem, jak dokonuje subtelnej ceremonii przyrządzania herbaty; gdy bladozielona pianka miała właściwą konsystencję, wyciągnęła pędzel i podała filiżankę. Po przyrządzeniu własnej herbaty i wypiciu pierwszego łyku, oceniła, że cisza trwała wystarczająco długo, aby ją przerwać.

— Jeżeli odczuwasz ból w nogach, przyniosę twoje tabletki. — Wiek uczynił ją bardziej otwartą. W każdym bądź razie uśmierzenie ran wywołanych przez

wojnę nie krępowało jej. Była wdzięczna za to, że przynajmniej on został oszczędzony, skoro los nie oszczędził Gotaro-chana, jej córki i zięcia.

— Z moimi nogami nie jest ani lepiej, ani gorzej, Oba-chama.

Z zewnątrz docierały odgłosy ruchu ulicznego. Konwoje transportów wojskowych, nadzorowane przez wojska okupacyjne, przejeżdżały zgodnie z harmonogramem.

— Więc cóż cię martwi, synku?

Nangi spojrzął na nią.

— Chodzi o ministerstwo. Pracuję bardzo ciężko i wiem, że moje pomysły są postępowe i nowoczesne. A jednak wydaje się, że nie mam nadziei na awans. Obi-san, który jest ode mnie młodszy o ponad rok, o wiele mniej bystry i ma znacznie mniej wiedzy, awansował już na szefa urzędu. Jego *sotomawari*, wspinaćka po szczeblach kariery, już się rozpoczęła.

Nangi zamknął oczy usiłując powstrzymać łzy.

— To niesprawiedliwe, Oba-chama. Pracuję codziennie dłużej od innych. Przedstawiam propozycje rozwiązania wielu problemów. Wiceminister wzywa mnie, gdy potrzebuje wsparcia, ale nigdy nie zaprasza mnie po pracy na drinka, nigdy nie obdarza mnie zaufaniem. Jestem wyrzutkiem w moim własnym biurze.

— Ten Obi-san — powiedziała starszuszka siedząc jak Budda — ukończył Today, tak samo jak wiceminister, zgadza się?

Nangi potwierdził skinieniem głowy.

— A ty, synku, jaki uniwersytet ukończyłeś?

— Keio, Oba-chama.

— Aha! — Oba-chama pokiwała głową, jakby znalazła klucz do rozwiązania zagadki. — To wyjaśnia sprawę. Nie jesteś z ich kliki. Czy tak szybko zapominasz naukę historii, w której — co zawsze chętnie powtarza mój wnuk — jesteś prawdziwym ekspertem? Pozycja samu-raja-urzędnika zawsze zależała od cesarskiej nominacji, a nie od osiągnięć. — Wypiła następną łyk herbaty. — Dlaczego dzisiaj miałoby być inaczej? Czy sądzisz, że ingerencja jakiegoś *iteki*-barbarzyńcy może nas tak bardzo zmienić? — Parsknęła drwiąco. — Ale ty, synku, musisz się nauczyć działać w tym systemie.

— Staram się, jak mogę — powiedział Nangi z rozdrażnieniem w głosie — ale nie potrafię płynąć pod prąd. Keio nie jest znanym uniwersytetem. Wiem tylko o jeszcze jednym człowieku w ministerstwie, który ukończył ten uniwersytet. Jest młodszym urzędnikiem i nie jest kolegą z roku, więc na nie się nie przyda.

— Och, Nangi, przestań beczeć — ucięła Oba-chama. — Mówisz jak

dziecko. Nie życzę sobie takiego zachowania w tym domu, czy to jasne?

Nangi otarł oczy.

— Tak, Oba-chama. Proszę o wybaczenie. Przez chwilę moje położenie wydawało się zbyt trudne do zniesienia.

Oba-chama raz jeszcze parsknęła pogardliwie i Nangi czując, że jest przedmiotem jej drwin, skrzywił się.

— Cóż ty wiesz o zdolności znoszenia bólu, rozczarowań i cierpienia? Masz zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Gdy będziesz już w moim wieku, może będziesz miał o tym jakieś pojęcie, chociaż, niech cię Budda broni, mam nadzieję, że nie. — Skrzyżowała ramiona. — Dobrze. Zrobimy to, co zrobić trzeba. Nie można wiecznie rozpaczać nad niesprawiedliwością systemu, którą muszą znosić wszyscy młodzi ludzie. Oczywiście *gakubatsu**, pierwsze i, jeżeli o ministrów chodzi, najsilniejsze powiązanie jest dla ciebie niedostępne. Możemy również

wykluczyć *zaibatsu*, ponieważ te powiązania oparte są na pieniądzach, a ty masz ich w tej chwili bardzo mało.

[* Powiązania między kolegami ze szkoły i uniwersytetu.]

Pozostają *keibatsu* i *kyodobatsu*. Jeżeli chodzi o pierwsze, to zgodnie z tym, co mi mówiłeś, nie jesteś złączony więzami krwi z żadnym ministrem lub wiceministrem i szanse na to, żebyś wzenił się w taką rodzinę w najbliższej przyszłości, wydają się równe zeru. Czy mam rację?

— Tak, Oba-chama — odparł cicho Nangi. Wybuch wielomiesięcznej frustracji nie przyniósł ulgi. Raczej wywołał uczucie stłumionego przygnębienia.

— Unieś głowę do góry, Tanzanie — powiedziała stara kobieta. — Kiedy mówię do ciebie, chcę patrzeć w twoje oczy. — Nangi zrobił tak, jak mu kazała. Ton jej głosu zmienił się, złagodniał odrobinę. — Mówisz mi o tym, jak solidnie pracujesz w ministerstwie. Nadszedł czas, aby przekonać się o tym do końca, pokierować sobą. Rozumiem, że aby otrzymać awans, każdy młodszy urzędnik musi mieć starszego, który będzie bronić jego sprawy. Powiedz mi, synku, kim jest twój *sempaP*.

— Nie mam żadnego, jak dotąd, Oba-chama.

— Aha. — Stara kobieta odstawiła filiżankę i położyła dłonie na kolana. — Dochodzimy teraz do sedna sprawy. — Ściągnęła brwi, jej oczy znieruchomiały w skupieniu, stylizowanym *mie*, stosowanym w teatrze *kabuki* i w sztuce. — Trzy pierwsze powiązania zostały wykluczone, ale może *kyodobatsu*! Czy przypadkiem nie znamy wiceministra, który tak jak

ty, pochodzi z prefektury Yamaguchi? — Nangi myślał przez chwilę. Jedy-
nym urzędnikiem na takim wysokim stanowisku jest Yoichiro Makita. Uro-
dził się w Yamaguchi, dosłownie na tej samej ulicy.

— Dobrze więc.

— Oba-chama, Makita-san był podczas wojny ministrem w Minis-
terstwie Uzbrojenia. Uznano go za zbrodniarza kategorii A i odsiaduje karę
w więzieniu Sugano.

Oba-chama uśmiechnęła się teraz.

— Byłeś tak zajęty pracą w swoim ministerstwie, że nie miałeś czasu, aby
czytać gazety. Ostatnio było głośno o twoim Makicie. Wiesz, że będąc mini-
strem uzbrojenia, Makita-san otrzymał również od Tojo stanowisko mini-
stra gabinetu. — Nangi wpatrywał się w nią bystrym wzrokiem. Sprawiał
wrażenie, jakby nagle przebudził się ze snu. „Co Oba-chama miała na my-
śli?” — Gdy Amerykanie zdobyli Saipan w tysiąc dziewięćset czterdziestym
czwartym roku, Makita-san publicznie wyraził pogląd, że wojna dla Japonii
się skończyła, powinniśmy podnieść ręce do góry i poddać się. -Tojo był
wzburzony. No cóż, właściwie nie można go obwiniać. W tych czasach sło-
wo „podać się” zostało usunięte z języka i tak naprawdę w duchu wielkiego
patriotyzmu wszyscy uczestniczyliśmy w wiecach poparcia.

— Ale Makita-san miał rację — rzekł Nangi.

— O tak — skinęła głową — właśnie. Lecz Tojo zrugął go za to. Niezależ-
nie od tego, czy Makita był ministrem gabinetu, czy nie, Tojo nie tolerował-
by już więcej defetystycznych wypowiedzi. Jako szef *Kempeitai** [* Żandarme-
ria, potem tajna policja.] mógłby wydać rozkaz egzekucji Makity. Ale nie wydał.
Gdy to się stało, minister miał wielu wpływowych przyjaciół w rodzinie
cesarskiej, sejmie, a nawet w administracji, i byli oni dostatecznie silni, aby
powstrzymać rękę Tojo.

Oba-chama uniosła maleńką filiżankę i dołała sobie herbaty.

— Fakty te wyszły właśnie na światło dzienne. W zeszłym tygodniu sta-
tus Makity został zmieniony na „zwolnionego z zarzutów popełnienia
zbrodni wojennych kategorii A”, a procedura jego uwolnienia jest w toku. —
Ciemne oczy uważnie obserwowały Nangię znad brzegu delikatnej filiżan-
ki z herbatą. Przelknęła i powiedziała: — Wiesz, synku, Makita-san pracował
jako wiceminister handlu i przemysłu w trzech gabinetach i jako minister w
czwartym. Z pewnością byłby z niego dobry *sempai*.

— *Hai*.

Oba-chama uśmiechnęła się czarująco.

— A teraz zjedz ciastka ryżowe, synku. Upiekłam je specjalnie dla ciebie.

Więzienie Sugano było przygnębiającym miejscem. Z zewnątrz budynek więzienia wyglądał zupełnie zwyczajnie. Mogłyby tu równie dobrze mieścić się biura kogoś z ministerstw.

Obojętność tych, którzy zarządzali Sugono, przeraziła Nangiego bardziej niż cokolwiek innego. Tak, istnieli *iteki* — jak nazwałaby ich Oba-chama — zawsze obecni. Nangi odniósł wrażenie, jakby codzienną administrację więzienia powierzono Japończykom i właśnie zachowanie tych ludzi tak silnie nim poruszyło. Ze wszystkich, bez wyjątku, emanował wstyd i poniżenie doznane od wojsk SCAP, które uwięziły ich rodaków. Codzienny wstręt do karmienia, ćwiczenia, obserwowania oraz, nade wszystko, karania tych zbrodniarzy wojennych był wytatuowany na ich twarzach tak wyraźnie, jak atramentowe arcydzieło pokrywające ciało yakuza.

Przedarcie się przez labirynt urzędników strzegących wejścia do Sugano zajęło trzy tygodnie. Wiceminister okazał się pomocny, chociaż sam nie zdawał sobie sprawy, że to jego podpis, złożony na formularzu w trzech egzemplarzach, pomógł Nangiemu otworzyć opancerzone drzwi więzienia.

Powietrze wewnątrz Sugano przesiąknięte było zapachem raczej kłęski niż rozpaczy. Wszędzie widać było kraty, przez które przedostawały się promienie słoneczne. Podczas wielu godzin tam spędzonych, podzielone na pasma światło słońca zaczęło wydawać się Nangiemu normalne.

Makicie cofnięto kategorię zbrodniarza wojennego i był w trakcie uwalniania od kary, pozwolono mu więc usiąść naprzeciw Nangiego, bez obowiązującej przegrody ze stalowej siatki.

Nangi pamiętał, że tylko raz widział Yoichiro Makitę na zdjęciu w gazecie. Było to z okazji nominacji na ministra uzbrojenia. Tamten człowiek był krzepki i pulchny jak Chińczyk, z delikatną, szeroką twarzą i szerokimi ramionami herosa. Człowiek, którego teraz zobaczył, wyglądał zupełnie inaczej. Jego ciało znacznie straciło na wadze. Widać teraz było grube kości wystające spod zwiotczalej skóry. Był chorobliwie blady, co sprawiało, że wyglądał, jakby miał żółtaczkę.

Co najdziwniejsze, twarz nie straciła nic ze swej krągłości. Jeżeli już, to jej krągłość w niewytłumaczalny sposób uwydatniła się zamazując rysy.

Z wyjątkiem oczu, które wydawały się ginąć w miękkich fałdach skóry.

Nangi nie okazał swego przerażenia ani tonem głosu, ani gestem. Skłonił się ceremonialnie, gdy się przedstawiał.

Makita skinął z roztargnieniem głową i powiedział:

— To dobrze, że przychodzisz — jakby dokładnie wiedział, dlaczego Nangi pojawił się. — Czas na moje ćwiczenia. — Machnął dłonią w bezcelowym geście. — Mam nadzieję, że nie będzie sprawiało ci różnicy, jeżeli do-
trzymasz mi towarzystwa na zewnątrz.

„Na zewnątrz” oznaczało w Sugano wąski pasek podwórza między dwoma murowanymi, okratowanymi budynkami, które wznosiły się po obu stronach zaułka. Na jednym końcu znajdował się ceglany mur, za wysoki, aby wspięła się na niego jakakolwiek ludzka istota, mimo to zwieńczony spiralami kolczastego drutu. Na drugim końcu znajdowała się przeszklona wieża strażnicza. Asfalt, po którym spacerowali, był twardy jak skała.

— Proszę wybaczyć mi moje milczenie — powiedział Makita. — Przywykłem już do mówienia tylko do siebie. — Szedł z rękami splecionymi z tyłu, olbrzymią głowę spuścił w dół. Powłóczył nogami jak staruszek.

Nangi zaczął mieć wątpliwości, czy ten przytłoczony brzemieniem losu ludzki szkielet mógłby rzeczywiście stać się jego opiekunem. Teraz, gdy zetknął się z nim osobiście, wydawało się to nieprawdopodobne. Sprawiał wrażenie, jakby najlepsze lata miał już za sobą. Nangi miał właśnie przeprosić, mówiąc, że to wszystko jest pomyłką, i pogodzić się z utratą twarzy, gdy Makita odwrócił się do niego.

— Więc co jest we mnie takiego, młody człowieku, co sprawiło, że od-
szukałeś mnie tutaj, w otchłani świata umarłych?

— *Kanryodo* — Nangi powiedział to automatycznie, bez namysłu. — Po-
szukuję własnej drogi w nowej Japonii.

— Doprawdy? — Nangi chwilowo nie rzekł nic więcej, ale uniósł głowę.

Zaczęli znowu spacerować.

— Dla którego ministerstwa pracujesz?

— Dla Ministerstwa Handlu i Przemysłu, Makita-san, w Urzędzie Mine-
rałów.

— Uhm. — Makita wydawał się pogrążony w myślach, ale Nangi spo-
strzegł, że nie jest już tym samym powłóczącym nogami starcem, jakim był
na początku spaceru. — Powiem ci, Nangi-san, co dla mnie jest najbardziej
interesujące. Amerykanie bardziej się teraz interesują rozrastającą się na
cały świat groźbą komunizmu niż nami, jako pokonaną plagą. Gdy Na-
celne Dowództwo Sił Sprzymierzonych instalowało tutaj swą siedzibę,

było nieubłagane w jednej sprawie. Twierdziło, że ponieważ sami sprowadziliśmy na siebie gospodarcze nieszczęście, alianci nie mają zamiaru wziąć odpowiedzialności za, że tak powiem, postawienie nas z powrotem na nogi. Jest to interesujące, Nangi-san, ponieważ gdy tylko stwierdzili, że ze względu na zupełne załamanie naszego handlu zagranicznego taktyka ta doprowadzi tylko do rewolucji w tym kraju, zmienili kurs o sto osiemdziesiąt stopni i zażądali, żeby państwo przejęło całkowicie kontrolę nad wszystkimi instrumentami gospodarczymi. To dobrze dla nas, stosujących w praktyce *kanryodo*. Ale jeszcze lepiej, że usunęli największy cień z naszego boku, *zaibatsu*. Jak wiesz, te gigantyczne kartele były naszym największym rywalem przed i podczas wojny. Tak często, jak tylko mogły, wrywały nam, urzędnikom, władzę nad gospodarką. Czyniąc to, doprowadziły do własnego upadku. Naczelne Dowództwo słusznie zdecydowało, że *zaibatsu* były odpowiedzialne za gospodarkę czasów wojny i pozbawiło je dawnych praw. Ministerstwa odzyskały teraz władzę. Jest to niczym wkroczenie do ziemi obiecanej. Japonia jest obecnie traktowana jako amerykańskie przedmurze dla dalszego rozprzestrzeniania się komunizmu w tej części świata. W takiej sytuacji zauważyłem, że najważniejszą sprawą dla SCAP jest ożywienie naszej gospodarki. — Makita zatrzymał się i odwrócił do Nangiego. — A czy wiesz, jak chcą tego dokonać, młody człowieku?

— Obawiam się, że nie, proszę pana.

— Przez handel zagraniczny, rzecz jasna. — Zaczęli znowu spacerować, tam i z powrotem, pod okiem wartowników i błyskającym niebem. — W tym przypadku wydaje mi się oczywiste, że Ministerstwo Handlu i Przemysłu stało się przeżytkiem.

Na moment zapadła cisza. Nangi odniósł wrażenie, iż za murami więzienia wzmógł się wiatr. Słońce zostało przysłonięte gęstymi, ciemnoszarymi chmurami. Przelknął ślinę czując, że spada ciśnienie. Nadciągała burza.

— Wszyscy w Ministerstwie Handlu i Przemysłu są podzieleni na dwa obozy — rzekł Nangi. — Jedni wierzą w *seisan fukko setsu*, rekonstrukcję poprzez produkcję i zaangażowanie się w rozbudowę przemysłu ciężkiego; drudzy bronią *tsuka kaikaku setsu*, ograniczenia inflacji i inwestowania w przemysł lekki, który wykorzystalby nasze tanie i duże zasoby siły roboczej.

Makita roześmiał się.

— A ty do których należysz, mój orędowniku *kanryodo*?

— Właściwie to ani do jednych, ani do drugich.

— Hm? — Makita zatrzymał się i w zapadających ciemnościach zerknął na Nangięgo. — Wyjaśnij to, młody człowieku.

Nangi zebrał się w sobie. To był właśnie jeden z pomysłów, którego nie potrafił przedstawić nikomu w ministerstwie. Teraz zobaczy, czy Obachama miała rację kierując go do Makity.

— Wydaje mi się, że musimy poświęcić się rozwijaniu przemysłu ciężkiego, chociażby tylko ze względu na większą wartość wyrobów gotowych. Ale zignorowanie reformy walutowej byłoby, moim zdaniem, poważnym błędem, bowiem, jeżeli pozwolimy, by inflacja wymknęła się spod kontroli, to kwestia, jakiego rodzaju przemysł zaczniemy rozwijać, nie będzie już miała znaczenia. Wszystko zawali się jak dom podczas trzęsienia ziemi.

Makita stał wyprostowany i Nangi odniósł wrażenie, że patrzył na niego, jakby zobaczył go dopiero teraz. W ciszy, która zapadła, można było usłyszeć grzmot stłumiony przez wysokie mury. Gdy jednak wpadł w ich pułapkę, rozbrzmiewał zamazanymi, nachodzącymi na siebie falami, niczym echo gongu w świątyni wzywające bogów do wysłuchania modlitwy. Było teraz ciemno, przedwczesny wieczór lub pierwsza faza zaćmienia. Mimo to oczy Makity błyszczały mocno — jak diamenty na dnie studni.

— Interesująca teoria, Nangi-san. Tak. Ale aby ją zrealizować, potrzebowalibyśmy ministerstwa, które wykraczałoby poza zakres Ministerstwa Handlu i Przemysłu, Komisji Handlu bądź jakiegokolwiek obecnie istniejącej instytucji, nie sądzisz? — Nangi potwierdził skinieniem głowy. — Potrzebowalibyśmy ministerstwa o szerszych uprawnieniach. Dużego ministerstwa, którego podstawową funkcją byłoby kierowanie handlem zagranicznym. — Głowa Makity obróciła się niczym głowa wielkiego drapieżnika. — Rozumiesz, Nangi-san?

— *Hai. So desu.*

— Dlaczego?

— Ze względu na Amerykanów — odparł błyskawicznie Nangi. — Jeżeli nagle tak rozpaczliwie potrzebują, abyśmy znowu stali się krajem zdolnym do życia — żeby chronić ich dalekowschodnie skrzydło — to ich handel zagraniczny będzie tym, co musi nas wywindować do góry. Nic innego nie poskutkuje tak szybko i tak całkowicie.

— Tak, Nangi-san. Właśnie Amerykanie są tymi, których musimy uczynić swymi najbliższymi, choć nieświadomymi, sprzymierzeńcami w tym przedsięwzięciu. Dowództwo pomoże nam w stworzeniu ministerstwa zdolnego władać *denka no hoto*, mieczem samurajskim. Ten przyznany nam

status nagnie zarówno rząd, jak i przemysł do naszej woli.

Wtedy spadł deszcz; spłynął ogromną falą wilgoci. Po paru chwilach byli przemoczeni, ale żaden z nich nie wydawał się tym przejmować.

Makita zbliżył się do Nangiego i rzekł:

— Jesteśmy z tej samej prefektury, Nangi-san. To równie ważne jak więzy krwi. Nie, nawet ważniejsze. Jeżeli nie mogę tobie zaufać, to nie mogę zaufać nikomu, nawet mojej żonie, ponieważ jej kuzynka poślubiła jednego z moich głównych rywali nie dalej jak dwa tygodnie temu. — Zirytował się. — Tyle o lojalności w rodzinie. — Deszcz bębnił o asfalt, nasączając wodą skarpety, sprawiając, że buty skrzypiały, gdy szli.

— Istnieją dwa problemy. Jeden polega na tym, że dopóki tutaj siedzę, nie jestem poinformowany tak dobrze, jakbym chciał. Wracaj do swojej pracy w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, Nangi-san, i w wolnym czasie zgromadź dossier tylu ministrów i wiceministrów, ile tylko potrafisz. Wiem, gdzie pracujesz — twoje biuro znajduje się na tym samym korytarzu co centralna kartoteka. Drugi problem również jest związany z nią. Jestem uwalniany od kary przez najbardziej wymagającego człowieka, wysokiego funkcjonariusza Naczelnego Dowództwa, brytyjskiego pułkownika nazwiskiem Linnear. Jest bardzo skrupulatnym jegomościem, a jego denerwująca drobiazgowość wstrzymuje moje zwolnienie.

Makita uśmiechnął się.

— Zapłaci mi za przedłużanie mojego uwięzienia. — Położył na chwilę dłoń na ramieniu Nangiego; niezwykle gest. — Gdy zwolnią mnie w końcu, miej pewność, że ten *iteki* przekaże mi informacje, których będziemy potrzebować do uzupełnienia kartotek i rozpoczęcia naszego *mabiki*, procesu oczyszczania z chwastów.

Komisja Handlu, o której wspominał Makita, była fascynującą instytucją. Ze względu na warunki deklaracji poczdamskiej, które Japonia przyjęła jako część warunków swojej kapitulacji, żaden Japończyk nie mógł angażować się w handel zagraniczny jako osoba prywatna. Wszystko miało przechodzić przez SCAP.

Dlatego też wojska okupacyjne utworzyły japońską organizację, kierującą księgowaniem i dystrybucją towarów importowanych, sprowadzanych przez Naczelne Dowództwo, i przekazywaniem mu towarów eksportowanych, wytwarzanych przez miejscowych producentów.

Nangi nigdy nie miał wiele wspólnego z Komisją Handlu, a wzmianka Makity stworzyła właściwie pierwszą od dłuższego czasu okazję do tego, by pomyśleć o tym urzędzie. Jednak gdy powrócił do pracy w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, Komisja Handlu stała się najważniejsza w jego życiu.

Premier Yoshida, długoletni wróg ludzi z Ministerstwa Handlu i Przemysłu, z wyraźną pogardą odnoszący się do ich powiązań z ministrami czasów wojny, przed trzema miesiącami w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku mianował swojego doradcę administracyjnego Torazo Odę szefem Komisji Handlu.

Gdy Oda zaczął robić czystkę w Komisji, pod pozorem usuwania rzekomo odkrytych niedociągnięć, zaczęła krążyć pogłoska, że Yoshida planuje podnieść rangę kilku ministerstw podlegających jego bezpośredniej kontroli, aby ograniczyć potęgę Ministerstwa Handlu i Przemysłu.

Tego potężni ministrowie w Ministerstwie Handlu i Przemysłu nie mieli zamiaru tolerować i w tym samym dniu, w którym Nangi opuścił biuro, aby rozmawiać z Makitą w więzieniu Sugano, w Ministerstwie odbyło się nie zapowiedziane spotkanie na wysokim szczeblu.

Ministrowie postanowili, że ubiegną Odę i Yoshidę. Uzgodnili, iż muszą umieścić jednego ze swoich ludzi wewnątrz Komisji, żeby obserwował Odę i informował ich o każdym jego posunięciu. Sądziło, że w ten sposób będą zawsze wyprzedzać go o krok i dzięki temu potrafią go złamać.

Kandydatów było niewielu, głównie ze względu na wysokie wymagania stawiane każdemu z nich. Musiał to być człowiek bardzo inteligentny, o bystrym umyśle; przede wszystkim ktoś względnie młody i nie mający zwykłych powiązań *gakubatsu*, które nieuchronnie spowodowałyby, że Oda poddałby go skrupulatnym badaniom jako prawdopodobnego rywala. Mówiąc krótko, kandydat musiał trafić do Komisji właściwie nie zauważony.

Znaleźli tylko jednego: Tanzana Nangiego.

Gdy wezwano go do gabinetu wiceministra Hiroshiego Shimady, był w trakcie gromadzenia danych do swojej kartoteki *mabiki*. Właściwie dokładnie w chwili gdy nadeszło wezwanie, odkrył kilka niezwykle interesujących informacji o wojennych poczynaniach nowo mianowanego wiceministra.

Z obojętnym wyrazem twarzy wysłuchał propozycji składanej przez Shimadę. Odrzucenie jej nie wchodziło właściwie w grę. Urzędnika oraz zwykłego pracownika obowiązywało *aisha seishin*, poświęcenie dla firmy.

Było istotną częścią *kanryodo*. Jednakże gdyby nawet Nangi miał możliwość dokonania wyboru, skwapliwie skorzystałby z tej okazji, ponieważ natychmiast dostrzegł w niej to, co Sun Tzu nazwał *k'ai ho*, uchyleniem drzwi. Tak więc zdecydował się szybko wejść w tę lukę, którą mu pozostawiono, z gorliwością ukrytą pod maską uniżoności i przesadnego poświęcenia jak najlepszemu służbie dla wiceministra Shimady i jego biura.

W rzeczywistości Yoichiro Makita był tym, któremu Nangi poprzysiągł służyć. Droga *kanryodo* była dla niego najważniejsza, tak samo jak dla Makity. Każdy z nich rozpoznawał w drugim to, co było w nim samym: ducha bezpośrednich następców elitarnej klasy wojowników shogunatu Tokugawy, prawdziwego samuraja-urzędnika. Późniejsza nominacja Nangiego na szefa Wydziału Handlu w Komisji Handlu nie na długo powstrzymała gromadzenie dossier. W rzeczywistości zapewniła mu nowe źródło poufnych informacji. Tak więc zanim Makita został uwolniony od kary, Nangi miał stos akt, w których ujawnione były przewinienia, drobne i poważniejsze, złodziejstwa, przymykanie oczu oraz łapownictwo popełnione przez około dwóch tuzinów urzędników z pierwszym i drugim *dan*.

W dniu, w którym Makita stał się wolnym człowiekiem, zanim mieli okazję ponownie przyjrzeć się tej paradzie nadużyć, Nangi został wezwany do gabinetu Torazo Ody. To, o czym myślał minister Komisji Handlu, było dla Nangiego zupełnym szokiem.

Herbatę podano w filiżankach z kruchej porcelany na srebrnej, misternie rzeźbionej tacy. Obok filiżanek stał srebrny dzbanek ze skrzyżowanymi nóżkami. Serwis wydawał się Nangiemu groteskowy i przesadny, jak wszystkie europejskie przedmioty, jednak uśmiechnął się niczym małpa i gorliwie pochwalił wyborny gust starszego urzędnika, chociaż słowa więzły mu w gardle. Herbata również mu nie odpowiadała. Była ohydną i bezzmyslnie przyrządzoną mieszanką kilku gatunków, z przewagą Orange Pekoe, które zdołały wzajemnie zabić swoje aromaty. Równie dobrze mógłby pić pomyje.

Gdy pochwalił Odę za herbatę, starszy mężczyzna powiedział, że to amerykański importowany gatunek o nazwie Lip ton.

— Znaczenia Ameryki nie można przecenić, Nangi-san — rzekł Oda. Był ociężałym mężczyzną z wydatnym brzuchem mistrza *sumo*. Ubranie miał nienaganne: trzyczęściowy garnitur w drobne prążki uszyty specjalnie dla niego w Saville Row. Czarne buty o płaskich noskach błyszcząły jak lustra. — Czas już, abyśmy odłożyli kimono i *geta*, czas na lisi spryt i lwią siłę, czas,

abyśmy zaczęli myśleć o czymś więcej niż tylko o naszych ogrodach i doskonałości ceremonii parzenia herbaty.

Przez chwilę obserwował Nangięgo, jak gdyby oceniając jego reakcję na swoje przemówienie.

— Mamy tutaj zadanie do wykonania, a odkąd *gaijin* Joseph Dodge powstrzymał galopującą inflację, redukując popyt, znowu możemy myśleć jedynie o przyszłości. A nasza przyszłość, Nangi-san, zbawienie nowej Japonii leży w jednej dziedzinie: handlu między narodowym. *Tsusho daiichi-shugi*, handlowy ekspansjonizm, jest „izmem” numer jeden.

Przerwał na moment, aby wypić łyk herbaty.

— Niech mi pan powie, Nangi-san, czy mówi pan po angielsku?

— Nie, panie ministrze.

— Więc myślę, że czas najwyższy, aby się pan nauczył. Premier zorganizował wiele kursów dla pracowników urzędu. Zalecał uczestnictwo w nich, ja również zachęcam.

— Natychmiast się tym zajmę, panie ministrze.

— Dobrze. — Oda sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego. — Moja sekretarka dostarczy panu przed wyjściem wszelkich potrzebnych informacji. — Wypił następny łyk herbaty. Przestał już przyglądać się Nangiemu tak badawczo, właściwie to odwrócił się, aby przez okno obserwować ruchliwą ulicę.

— *Tsusho daiichi-shugi*. — Wypowiedział te słowa cicho, jakby zapomniał o obecności Nangięgo. — Godny podziwu cel... konieczny. Ale, do prawdy, mam wrażenie, że w tej nowej sytuacji będziemy potrzebowali zupełnie nowego ministerstwa. — Obrócił się nagle. Spojrzał Nangiemu prosto w twarz; jego oczy były ciemne i przenikliwe. — Co pan sądzi o tym pomysle, Nangi-san?

— Musiałbym... więcej o tym wiedzieć, panie ministrze — odparł Nangi, aby ukryć zaskoczenie.

Oda machnął mięsistą ręką.

— Och, wie pan, ministerstwo, którego główną działalnością byłoby nadzorowanie i kontrola nad całym handlem zagranicznym i obcą technologią, miałoby prawo udzielania preferencyjnych kredytów i przyznawania ulg podatkowych tym gałęziom przemysłu, które wytypuje rząd. — Oda ponownie zaczął uważnie obserwować Nangięgo. — Czy tego rodzaju ministerstwo wydaje się panu możliwe do stworzenia, Nangi-san?

Nangi znalazł się między młotem a kowadłem. Jaka powinna być jego odpowiedź? Czy Oda był sprzymierzeńcem, czy też wrogiem? Z pewnością był

przeciwnikiem zwierzchników Nangiego w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, ale nie to było w tej chwili najistotniejsze. Od chwili gdy na więziennym dziedzińcu ustalili z Makitą swoje dalekosiężne plany, Nangi świadomie przestał pracować dla Ministerstwa, przynajmniej w głębi serca.

Kwestią do rozstrzygnięcia było teraz to, czy Oda był wrogo usposobiony do ich planów, czy też nie. Gdyby zgodził się z ich teoriami, byłoby to dla nich ogromnym wsparciem. Jednakże wyjawienie jakiegokolwiek części planu, w sytuacji jeśli Oda okazał się do tego wrogo nastawiony, z pewnością zniszczyłoby ich pomysł w zarodku. „Co robić?”

— Wydaje mi się oczywiste — rzekł ostrożnie Nangi — że dopóki wojska okupacyjne nie opuszczą Japonii, mamy związane ręce. Jednakże dotarły do mnie wieści z Korei. Jeżeli tamtejsi komuniści zrealizują swoje groźby zawładnięcia całym krajem, sądzę, że Ameryka wciągnie nas do tego konfliktu.

— O...? — Oda miał ciężkie powieki, a światło znad jego głowy sprawiało, że nie można było wyraźnie dostrzec jego oczu. Nangi odnotował w myślach reakcję Ody. — Może pan tego dowieść?

— Myślę, że nie będą mieli innego wyboru, panie ministrze. Będą oczywiście potrzebować całego wojennego sprzętu: mundurów, pojazdów, sprzętu łączności, amunicji i tak dalej. Korea jest bardzo daleko od Ameryki. My jesteśmy blisko. Moim zdaniem wykorzystają naszą gospodarkę i zaprzęgną ją do pracy dla siebie.

— To będzie dla nas korzystne.

— I tak, i nie — odparł Nangi, wiedząc, że ryzykuje.

— Co pan przez to rozumie? — Twarz Ody była zupełnie nieprzenikniona i Nangi przeklinał oświecenie.

— Dokładnie to, panie ministrze. Oczywiście, że zlecenia, jakie otrzymamy, będą korzystne dla naszej gospodarki; ponieważ będą wysokie obroty, zyski szybko wzrosną. Jednakże w samym tempie, jakie jest konieczne, tkwi pewne niebezpieczeństwo. Nasze przedsiębiorstwa są niedoinwestowane i wydaje się, że nawet sześciomiesięczna zwłoka w płatnościach wystarczy, aby doprowadzić je do bankructwa. Ten interes mógłby być dla nas zabójczy.

— Jeszcze herbaty? — Oda ponownie napełniał swoją filiżankę. Nangi potrząsnął głową; spełnił już swój obowiązek w tym punkcie.

Oda powoli mieszał herbatę małą, misternie wykonaną łyżeczką.

— Jak uniknąłby pan, mhm, negatywnych stron tej sytuacji, Nangi-san?

— Pańskie nowe ministerstwo świetnie by się do tego nadawało, panie

ministrze. „No, stało się” — pomyślał Nangi, siłą woli powstrzymując pocenie się. Zostało powiedziane, chociaż słowa nie padły. Teraz ruch należał do Ody i od tego, jaki będzie, Nangi uzależniał swoją odpowiedź.

— Wie pan, młody człowieku, że pański wiceminister Shimada sprzeciwiłby się utworzeniu nowego ministerstwa.

— On nie jest moim wiceministrem, panie ministrze — odparł Nangi zgrabnie omijając pułapkę.

— Ach, tak. — Oda odstawił filiżankę. — Rzeczywiście. Przez moment umknęło to mojej uwadze.

Teraz była kolej na Nangiego; serce podeszło mu do gardła. Starannie powstrzymywał wzbierające falami emocje.

— Zorientowałem się, że ministrowie z Ministerstwa Handlu i Przemysłu są odrobinę przewrażliwieni na punkcie swojej władzy.

— Chyba słusznie, Nangi-san. Ci, którzy najbardziej obawiają się utraty władzy, są zawsze najbardziej, mhm, przewrażliwieni.

„On i Yoshida myślą o likwidacji Ministerstwa!” — pomyślał Nangi. To było jedyne możliwe wytłumaczenie kierunku, w którym zmierzała rozmowa.

— Gdyby pan był na moim miejscu, Nangi-san — rzekł Oda obojętnym głosem — kogo by pan wybrał na szefa nowego ministerstwa zajmującego się handlem zagranicznym?

Teraz Nangi musiał podjąć decyzję. Musiał sam zdecydować, czy Oda był przyjacielem, czy wrogiem. Wiedział, że z chwilą, gdy odpowie na pytanie, nie będzie już możliwości odwrotu.

Wiedział także, że w Ministerstwie Handlu i Przemysłu nie ma do kogo się zwrócić; poparcie wielu wpływowych przyjaciół Makity nie wystarczyłoby do tego, aby wysunąć go na czoło nowego ministerstwa bez błogosławieństwa Ody i Yoshidy.

Nagle poczuł odprężenie, decyzje podjęto za niego.

— Wybrałbym Yoichiro Makitę — rzekł bez wahania.

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza. Oda uderzył łyżeczką w ściągnięte usta. W końcu powiedział: — Wiceminister Shimada nigdy nie poparłby takiego wyboru.

— Z utworzenia nowego ministerstwa również nie będzie zadowolony — zauważył Nangi.

— Och, ale to nie to samo. Shimada i Makita są zazartymi wrogami. Utworzenie nowego ministerstwa to jedna sprawa, a postawienie Makity na jego czele to zupełnie co innego.

— Mogę zapytać, panie ministrze, czy kandydatura Makity spotkałaby się z pańską aprobatą?

— Cóż, widzi pan, nie ma to prawie żadnego znaczenia, Nangi-san. Są rzeczy, których wszyscy byśmy pragnęli, ale nie możemy mieć. Trzeba nauczyć się płynąć z prądem, żeby nie zostać wciągniętym w morze i nie utracić kontaktu z lądem.

Było już późne popołudnie. Za oknami zapadał zmrok. Nangi pomyślał o swojej kartotece *mabiki* oraz wykazie obciążających dowodów, które zgromadził przeciwko Shimadzie.

— Proszę mnie poprawić, jeżeli nie mam racji, panie ministrze, ale w *kanryodo* zawiera się bezustanny proces usuwania chwastów.

— Tak, oczywiście, na niższych szczeblach — odparł Oda. — Odchodzący wiceminister wybiera swojego następcę, a wszyscy pozostali w ministerstwie z grupy uniwersyteckiej nowego szefa składają rezygnacje, po to, żeby dać mu wolne pole do niekwestionowanej władzy.

— A jednak — ostrożnie rzekł Nangi — na górnych szczeblach hierarchii od czasu do czasu również zdarza się *mabiki*.

— O, tak — odparł Oda — ale wtedy zazwyczaj mówimy o skandalu na większą skalę. Pamiętam czasy, gdy takie sprawy mogły być preparowane... — Słaby uśmiech wykrzywił jego twarz. — Istnieli wtedy artyści od wszystkiego. — Twarz jego spoważniała. Wzruszył ramionami. — Ale obecnie są wojska okupacyjne i zawsze, niczym jastrzębie w słońcu, krążą nad nami. — Przerzucił jakieś dokumenty. — Tak czy inaczej starzy artyści odeszli.

— Jeżeli dobrze pana rozumiem — powiedział Nangi, a serce biło szalonym rytmem, gdy zbliżał się do sedna sprawy — mówi pan teraz o s p r e p a r o w a n i u skandalu z dymu i sosnowych igieł.

— Poetycznie powiedziane, Nangi-san. W zasadzie tak.

— Rozumiem zatem — rzekł Nangi, nie dopuszczając, aby drżenie, które czuł w sobie, pojawiło się w jego głosie — że wojska okupacyjne nie będą robiły nam przykrości z powodu p r a w d z i w e g o skandalu.

Gdzieś w sąsiednim biurze zadzwonił telefon; przez chwilę tuż za zamkniętymi drzwiami słychać było stłumione głosy. Migdałowe oczy ministra Ody błyszczały zza okrągłych szkieł okularów niczym ciemne perły.

Cisza w pokoju była tak namacalna, że Nangi czuł, jakby go oplatała. Teraz każdy ruch, każde słowo i każde spojrzenie stawały się kluczem do wyniku tego spotkania.

— Mam wrażenie, że skandal, Nangi-san, może oznaczać wiele dla wielu ludzi. Myślę, iż konieczne jest, aby dojść do sformułowania, mhm, jego definicji.

Nangi spojrział w oczy ministra i rzekł:

— Hańba dla naszych przeciwników.

Po pewnym czasie Oda sięgnął ręką w dół i wyjął butelkę pełną bursztynowego płynu.

— Czy napije się pan brandy?

Nangi skinieniem głowy wyraził zgodę. Gdy pili, w pokoju zapadła cisza. Na zewnątrz rozległ się stuk maszyny do pisania pracującej szybkim, przerywanym rytmem.

Oda ostrożnie odstawił swój kieliszek.

— Wydaje mi się, że Shimada-san był bardzo wspaniałomyślny przenosząc pana pod moją opiekę.

— Być może, ale był także głupi — odparł z niezwykłą otwartością Nangi.

Oda wzruszył ramionami.

— Powiadają, że Chińczycy nie mogą uwierzyć, iż obcokrajowiec potrafi mówić ich językiem, więc w sytuacjach, gdy rzeczywiście potrafi, nie jest słuchany. Wiceminister Shimada przypomina mi tych Chińczyków. — Ponownie napełnił kieliszki. — Może nie jest bardzo przenikliwy, ale ma wielu przyjaciół i sprzymierzeńców.

Nangi wiedział, co minister dawał pośrednio do zrozumienia.

— Żaden z nich nie ma dostatecznej władzy, aby uratować go przed własnymi błędami. Hiroshi Shimada był bardzo chciwym urzędnikiem.

— Nie tak jak w Ameryce.

— Och, nie — odparł Nangi, wczuwając się w nastrój gry. — Bynajmniej.

— Dobrze. Być może nawet doczekamy się pomocy z ich strony. — Tora-zo Oda zatarł ręce. — Jeżeli zaś chodzi o, mhm, sprawy formalne, wierzę, że doszliśmy do wzajemnie zadowolającego porozumienia.

— Proszę mi wybaczyć, panie ministrze, ale sądzę, że musimy ustalić jeszcze jedną sprawę.

Oda, podnosząc się właśnie, gotów odprawić Nangiego, znieruchomiał. Jego twarz była spokojna.

— Cóż to za sprawa? Może pan kontynuować.

— Z całym szacunkiem, panie ministrze, trzeba jeszcze rozwiązać sprawę mojego stanowiska.

Oda roześmiał się, siadając z powrotem, jego wielki brzuch trząsł się konwulsyjnie. Za nim pierwsze strugi ulewnego deszczu zaczęły znaczyć kroplami szybę, przysyłając śpieszących ulicami przechodniów.

— Młody człowieku. — Zachichotał. — Już nigdy nie zdarzy mi się pana nie docenić. Zobaczmy. — Dotknął krótkim, grubym palcem wskazującym ściągniętych warg. — To oczywiście, że jest pan zbyt inteligentny, aby pozostać tutaj, w komisji. Będzie pan moim okiem i uchem w nowym ministerstwie. Makita-san mianuje pana szefem sekretariatu. Tam oceni pan wszystkich kandydatów do nowego ministerstwa, zatwierdzając tych, którzy są lojalni wobec Makity i mnie. Powoli zmienimy oblicze całej biurokracji. Powoli odsuniemy tych, którzy się nam sprzeciwiają, tych, którzy nie rozumieją, że handel jest najważniejszy. To będą ponowne narodziny dwustu-letniego shogunatu Tokugawy!

Nangi spostrzegł dziki, zimny blask oczu ministra. Przypomniały mu boje świetlne na morzu. Zastanawiał się teraz, czym Oda zajmował się podczas wojny.

„Makita-san i ja będziemy musieli ostrożnie postępować z tym człowiekiem” — pomyślał wstając i kłaniając się ceremonialnie.

— Dziękuję, panie ministrze. — Odwrócił się, aby wyjść, lecz powstrzymał go głos Ody.

— Nangi-san, miał pan zupełną rację co do wiceministra Shimady. Dwukrotnie okazał się głupcem. Raz, gdy nie wykorzystał pańskiego wspólnego umysłu. Drugi, gdy spośród swoich ludzi wysłał właśnie pana, żeby mnie szpiegować.

Ministerstwo Handlu i Przemysłu nie zniknęło, jak proponował Nangi, ale utworzenie Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu brzmiało dla niego jak podzwonne.

Nangi i Makita ślęczeli nad kartoteką, *mabiki*. Tak jak wcześniej planowali, Makita oficjalnie zabrał do Ody informacje zebrane przez Nangiego. Ponieważ Shimada był wiceministrem, powiało potężnym skandalem. Oda czuł się w obowiązku przekazać wszystkie obciążające dowody premierowi. Lista wykroczeń Shimady obejmowała manipulacje funduszami ministerstwa, wykorzystywanie poufnych informacji ministerialnych do zdobycia intratnych posad dla członków rodziny oraz istnienie kochanki. W sześć dni po otrzymaniu dokumentów Yoshida musiał zdymisjonować wiceministra i ujawnić publicznie okoliczności jego zwolnienia. Naczelne Dowództwo wymagało takiej procedury, aby zapewnić rządowi ciągle społeczne poparcie oraz by przekonać japońskie społeczeństwo, że naprawdę żyje w demokracji, w której nic nie można ukryć.

Yoshida był, rzecz jasna, przeciwny takiemu publicznemu upokorzeniu i

walczył, wiedząc, jaki musi być końcowy rezultat. Członkowie wojsk okupacyjnych powzięli inną decyzję i w końcu, zwlekając dostatecznie długo, by w znacznym stopniu odzyskać utraconą twarz, przekazał dokumenty prasie.

W niecałe dwadzieścia cztery godziny później Hiroshi Shimada, klęcząc na włóknistej *tatami*, odziany w kimono ozdobione mglistymi kołami na popielatoszarym tle, skierował *wakizashi* w stronę muskularnego podbrzusza i przeciął je z lewej ku prawej, potem w górę; jego ciało drżało z wysiłku: opanowanie, zachowanie twarzy. Znaleziono przy nim jego żonę, Kaziko, kałuże zbrązowiałej krwi zmieszały się tworząc ich jedyny testament.

— Ciekaw jestem, jak bardzo Pułkownik Linnear nienawidził Shimady. — Yoichiro Makita klęczał na *tatami*. Naprzeciw niego leżał Nangi wsparty o złożony *futon*, by zmniejszyć do minimum ból w kręgosłupie.

Nangi był zaskoczony.

— Masz na myśli *gaijina*, który cię uwolnił od kary? Co on ma z tym wspólnego?

Makita wyglądał o wiele lepiej niż w Sugano. Ciało zaczęło się zaokrąglać, twarz natomiast pozostała pulchna jak poprzednio. Wyglądał teraz tak jak na zdjęciu, które Nangi widział w gazecie przed wielu laty; postać niemal o ikonograficznych proporcjach, agresywny i potężny samuraj-urzędnik.

— Podczas długich tygodni, które spędziłem z angielskim pułkownikiem, dużo mi wyjawiał — rzekł w zamyśleniu Makita — chociaż znacznie mniej, niż wyjawiłoby wielu innych *gaijinów*. Ten człowiek ma cierpliwość.

— Mówisz tak, jakbyś go podziwiał.

Makita uśmiechał się.

— Och, z pewnością nie aż do tego stopnia. Ale jednak... jak na *gaijina*... — Jego głos ucichł na moment, powrócił do własnych wspomnień.

— Myślisz, że on znał Shimadę osobiście — spytał po chwili Nangi — tak jak ty?

Oczy Makity błyskawicznie odzyskały ostrość spojrzenia i znowu był z Nangim.

— O, coś było między nimi, zgoda. Nie mam co do tego wątpliwości. Pułkownik Linnear był człowiekiem MacArthura, który najgłośniej domagał się, by fakty związane ze skandalem podać do wiadomości publicznej.

— Jak prawdziwy *gaijin*.

— Wręcz przeciwnie, Nangi-san. Jak prawdziwy Japończyk. Nangi zmienił pozycję, aby rozluźnić sztywniejące mięśnie.

— Nie rozumiem.

— W przeciwieństwie do większości *iteki*, w Naczelnym Dowództwie nie mieli pojęcia o skutkach takiego upokorzenia. Jedynie pułkownik Linnear wiedział, co Shimada będzie zmuszony uczynić. O, tak, Nangi-san, chciał śmierci Shimady niemal tak bardzo jak ja.

— Cóż znaczy życie Japończyka dla *iteki*?

Makita wyczuł gorycz w głosie swojego przyjaciela i zastanawiał się nad niezliczonymi rodzajami racjonalnej analizy, które ludzki umysł potrafi odkryć, aby bronić się przed urazem psychicznym. Najwyraźniej Nangiemu łatwo przychodziło uwierzyć, iż ktoś taki jak pułkownik Linnear zaplanowałby śmierć Japończyka tylko dlatego, że był barbarzyńcą. Czy Nangiemu nie przyszło na myśl, że on sam był w tej sprawie ministrem sprawiedliwości, wymierzając Shimadzie karę śmierci po to, by mieć swój udział w przyspieszeniu rozwoju Japonii poprzez bezpośrednią kontrolę MITI? „Kto teraz myśli racjonalnie” — zadał sobie pytanie Makita.

Jednakże nie wątpił w inteligencję Nangiiego. Ten człowiek miał zupełną rację przewidując wojnę koreańską. Amerykanie oczekiwali błyskawicznej produkcji materiałów i sprzętu wojennego, a wiele z japońskich firm było beznadziejnie niedoinwestowanych.

SCAP dostrzegło to natychmiast i pozwoliło Bankowi Japonii podwyższyć stopę procentową dwunastu bankom miejskim, które następnie przekazały pieniądze upadającym przedsiębiorstwom. Makita od wielu tygodni myślał nad sposobem doinwestowania przedsiębiorstw. Miał świadomość, że brak odpowiedniego systemu finansowania doprowadzi do przejęcia ich przez obcy kapitał. Czuł bardzo wyraźnie, że nie wolno do tego nigdy dopuścić. Był w trakcie rozszerzania uprawnień MITI w tej sferze, tak żeby wszyscy zagraniczni inwestorzy musieli zwracać się do MITI o pozwolenie nawiązania kontaktu z przedsiębiorstwem.

— Jak sobie radzi nasz przyjaciel Sato-san? — spytał.

— Całkiem dobrze — odparł Nangi sięgając po jedno z *mochi*, ciasteczek z gęstej mąki ryżowej, które upiekła dlań Oba-chama. Od trzech dni był tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy rok, a ciasteczka były tradycyjną potrawą noworoczną. — Zdołał dojść do stanowiska wiceprezesa swojego *konzernu* górniczego, nadzoruje wszystkie operacje związane z węglem.

Makita chrząknął.

— Postaraj się pić do nich dużo wody — zauważył. — Mój brat był lekarzem

i z przerażeniem oczekiwał dwóch pierwszych tygodni nowego roku, ponieważ stale biegał od pacjenta do pacjenta, starając się odblokować jelita zatkane ciężkostrawnymi *mochi*.

— Nie pozwolilibym na to, aby Oba-chama słyszała, że tak mówisz — rzekł Nangi odgryzając następny kęs. — Ale myślę, iż dla bezpieczeństwa napiję się jeszcze herbaty. — Nachylił się do przodu.

— Ona za nim tęskni — powiedział Makita, gdy opróżnili już swoje filiżanki. — Sato-san zarabia mnóstwo pieniędzy i zyskuje dobrą opinię, ale jest na północy i rzadko ma okazję widywać Oba-chama. Gdyby tylko jego *konzern* miał swoje biuro w Tokio. Są jednak jeszcze za małym przedsiębiorstwem. Nie byłoby to korzystne. Jedynie bank miejski, który udziela im subwencji, ma tutaj swoją siedzibę.

W głowie Nangiego zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Na pozór nie było żadnego związku między tym, co Makita właśnie powiedział, a problemem, nad którym pracował. A jednak wystarczająco ufał swoim zmysłom, aby wiedzieć, że jeśli poczeka i zobaczy, co kryją pozory, znajdzie rozwiązanie.

Problem dotyczył pieniędzy i tego, kto oprócz banków miał pieniądze. Przez chwilę w głowie Nangiego była pustka, po czym grad ząbających się pomysłów spadł na niego z tak oszałamiającą siłą, że zachwiał się do tyłu. „Ależ tak, oczywiście!”

Jego oczy pojaśniały.

— Makita-san — rzekł cicho — czy mogę liczyć na twoją pomoc?

— Z przyjemnością ci pomogę. Wystarczy tylko poprosić.

— Oto co musimy zrobić, Makita-san. MITI musi wskrziesić *zaibatsu*.

— Ale one były naszymi wrogami! Za każdym razem starały się odebrać władzę ministerstwom. W każdym razie wojska okupacyjne na zawsze zakazały *zaibatsu* ich działalności.

— Tak — odparł podekscytowanym głosem Nangi — dawnym *zaibatsu*. Ale to, o czym teraz mówię, jest czymś nowym, *kin-yu keiretsu*, powiązaniem finansowymi. Jako podstawy użyjemy banku, ponieważ tylko bank ma wystarczająco duży kapitał, aby sfinansować taką strukturę. Jego kapitał sfinansuje kilka firm przemysłowych, powiedzmy: stalowniczych, elektronicznych i górniczych oraz przedsiębiorstwo handlu ogólnego. W czasach ekspansji, jakie mamy teraz, bank będzie mógł udzielić gwarancji swym firmom i na odwrót, w czasach gospodarczej recesji, która musi w nas uderzyć, przedsiębiorstwo handlowe będzie mogło importować surowce na kredyt i promować wyroby *keiretsu* za granicą, pozwalając uniknąć w ten sposób ich magazynowania na kurczącym się rynku krajowym.

Oczy Makity błyszcząły, zacierał dłonie.

— Natychmiast zadzwoń do Sato. Rozpocznemy od banku asekurowającego jego firmę. Wyniesiemy go do góry i z czasem sprowadzimy do domu. Och, to genialne, Nangi-san. Genialne! Do przyszłego roku SCAP wyjedzie i MITI będzie mogło uczynić wszystko, co uzna za konieczne, żeby pchnąć Japonię na pierwszą linię handlu międzynarodowego.

— A co z kontrolą? — spytał Nangi. — Musimy zagwarantować, że to, co stało się z *zaibatsu*, nigdy nie zdarzy się z tymi nowymi *keiretsu*. Musimy statutowo powiązać je z ministerstwami.

Makita uśmiechnął się.

— I tak zrobimy. Ponieważ MITI ustala kierunki polityki, ponieważ możemy wprowadzić odpisy zadłużenia w pewnych dziedzinach, a w innych nie, ponieważ możemy zatwierdzać pokaźne wypłaty jako ubezpieczenie od strat na skutek nieściągalnych długów — możemy sprawować całkowitą kontrolę nad przedsiębiorstwami handlowymi. A bez przedsiębiorstw handlowych *keiretsu* jest bezużyteczne. Każdy bank zrozumie tę argumentację.

— Nawet premier dostrzeże niewinność *keiretsu*, ponieważ jest to doskonały sposób kierowania dostępnego kapitału do właściwych gałęzi gospodarki. — Byli jak dzieci oglądające z zachwytem wspaniałą, nową zabawkę. — To doskonały, długofalowy plan. Ponieważ poszczególne firmy wchodzące w skład *keiretsu* są całkowicie finansowane przez bank, mogą skoncentrować swą uwagę na penetracji rynku opracowując możliwie najlepszy wyrób, a nie na żądaniach natychmiastowej rentowności ze strony akcjonariuszy.

Makita poderwał się do góry.

— Musimy to uczynić, młody przyjacielu! Z Sato porozmawiamy jutro, to wystarczy. Dziś wieczorem wychodzimy do miejsca, które znam w *karyukai*. Noc w trzecim świecie na pewno wspaniale nam zrobi. Chodź, idziemy do *Fuyajo*, Zamku Który Nie Zna Nocy, gdzie sake płynie do białego rana, a my będziemy leżeć na łonach, które oddychają bezgraniczną czułością i tworzą wzorce wiecznej rozkoszy!

Egzaltowany śpiew skowronków rozległ się wśród udekorowanych gałęzi majestatycznego klonu, który rósł po jednej stronie ogrodu; ogrodu, który od początku zwrócił uwagę Nangiiego i Sato na ten dom blisko parku Ueno. Rześkie październikowe wiatry oczyściły niebo rozwiewając żyłaste chmury nisko nad horyzontem i zmieniając powietrze w kryształ.

Gdy Nangi, ubrany w wywatowane kimono z cynowoszarym wzorem na czarnym polu, obserwował ten widok, skowronki wyfrunęły z klonu, tworząc gęstą chmurę na niebie. Miał wrażenie, że znajduje się na dziobie statku prującego fale Pacyfiku. Potem odleciały, niczym siły okupacyjne, połknięte przez ogromne błękitne niebo — półprzezroczyste jak najlepsza chińska porcelana.

Chociaż był koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku i Japonia była znowu wolnym krajem, oczyszczonym z *iteki*, w sercu Nangiego nie było radości. Klęczał przy rozsuniętej *fusuma*, z rękami złożonymi na kolanach i wpatrywał się nic nie widzącymi oczami w bliskie doskonałości piękno ogrodu, który nigdy oczywiście nie będzie doskonały. Zgodnie z nakazami Zen trzeba poświęcić życie poszukiwaniu tej doskonałości.

Nangi słyszał za sobą ciche głosy Makity, Sato oraz jego żony, Mariko, delikatnej, lalkowatej kobiety o odważnym sercu i szczerzej duszy, zaletach, które Nangi mógł zawsze podziwiać. Była dobra dla Sato, wypełniła w nim pustkę, którą Nangi dostrzegł w chwili, gdy poznał Seiichiego.

Nangi był właśnie tym, który najdłużej oplakiwał śmierć Oba-chamy. Makita znał ją oczywiście bardzo słabo. Dla Sato była matką i ojcem; prawie przez tydzień po jej pogrzebie był niedysponowany.

Oba-chama zmarła przed ponad miesiącem, a Nangi wciąż czuł nieobecność jej ducha jak pustkę we własnej duszy. Była dla niego kimś więcej niż matką, była jego powiernikiem, a nawet mentorem, gdy tego potrzebował. Dzielili wspólnie radość z jego sukcesów, gorzkie smutki rozczarowań. Mądrze radziła mu w ryzykownych czasach i miała wystarczająco dużo energii, aby kopnąć go wtedy, gdy brakowało mu energii, by przeć do przodu.

Była już stara. Nangi wiedział, że wszyscy z prochu powstali i w proch się obrócą. Lecz jego serce było pełne goryczy bez jasnych oczu i ożywionego głosu Oba-chamy.

Gdy żyła, nie mógł tego w pełni zrozumieć, jej śmierć odbiła się piętnem na jego losie, a przynajmniej na znacznej jego części. Po śmierci Gotaro Nangi zawarł z samym sobą nieświadomy pakt, że nigdy więcej nie dopuści do takiej otwartości — a zarazem bezbronności — wobec kogokolwiek innego. Oba-chama w niewytłumaczony sposób odczarowała ten pakt.

Chociaż Nangi sypiał w tym czasie z wieloma kobietami, nigdy w głębi serca nic do nich nie czuł. Dwie śmierci z przeszłości były jak wiekuiste *kami* unoszące się w jego myślach i przypominające o tym, jak złe i niesprawiedliwe może być życie. To oczywiście były pojęcia bardzo zachodnie,

ale Nangi nigdy nie mógł dopuścić do siebie świadomości ciężącej nad nim kłątwy. W ten sposób dopełniła się jego *karma*. Walka między jego japońskim nacjonalizmem a tym, co było — takie podejrzania drzemały w zakamarkach jego świadomości — ostatecznym powodem przyjęcia przezeń chrześcijaństwa, będzie go prześladować do końca życia, jako wieczna kara za poddanie się ofierze Sato, za brak odwagi, by pokonać paniczny strach i zrobić dla przyjaciela to, co Go taro uczynił w końcu dla niego.

Ptaki odleciały, ale przepych jesiennych liści okrywał klon płaszczem spalonych barw. Głosy przepływały nad Nangim jak *kami*. Mariko była zajęta przygotowywaniem tradycyjnych potraw na wieczorne *tsukimi* — rytuał oglądania księżyca w medytacji i spokoju.

Nangi spojrział ponad wierzchołkiem kołyszącego się klonu na lśniące niebo, jakby wymiecione wirującym w górze wiatrem. Wkrótce wszędzie księżyc zalewając tę małą przestrzeń strumieniem sreb-rzystobłękitnego światła. A przez otwarte *fusuma* powoli wkradnie się chłód nocy.

KSIĘGA TRZECIA

開闔

K'AJ HO

- 1. Szczelina; pojawia się szansa, szybko wkraczaj do akcji*
- 2. Szpiedzy*

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

Serce zabiło mu mocno, gdy ją zobaczył. Przedarła się przez tłum kręcących się ludzi, podbiegła sprężystym krokiem i wpadła mu w ramiona.

— Och, Nick — płakała u jego piersi — myślałam, że już nigdy nie wrócisz do domu.

Uniósł jej głowę, by móc zachwycać się barwami jej dużych oczu koloru sjeny i butelkowej zieleni. Spostrzegł w nich łzy.

— Justine.

Jego westchnienie wywołało płacz. Czuł płynące gorące łzy, gdy ich wargi zwarły się ze sobą, jej słodki, ciepły oddech mieszał się z jego oddechem i pomyślał: „Dobrze jest wrócić do domu”.

— Przepraszam cię za to, jak skończyła się rozmowa telefoniczna — powiedziała. Ludzie brutalnie przepychali się obok nich i Nicholas zdał sobie sprawę, że blokują wyjście pasażerom samolotu, który właśnie przyleciał. Szybko odsunął się na bok.

— Ja także przepraszam — odparł. — Byłem oszołomiony — miałem tam tak wiele do zrobienia i tak mało czasu.

Spostrzegł, że zrobiła coś ze swoimi włosami. Były splątane i zmierzwiowane jak lwia grzywa. Gdy padające z góry światło odbijało się od nich, tu i ówdzie pojawiły się granatowe błyski.

— Podobają mi się — rzekł, wciąż obejmując ją ramieniem. Spojrzała na niego.

— Co?

— Twoje włosy.

Uśmiechnęła się, gdy zaczęli iść w stronę przeszkłonych drzwi.

— Liczy się tylko to, że wróciłeś cały i zdrowy. — Oparła głowę o jego ramię, zmuszając go do przesunięcia toreb.

Wydało mu się dziwne i niepokojące, że nie powiedziała zupełnie nic o swoim ojcu. Ale, zważywszy na to, co ich czekało, nie sądził, że jest to najlepszy moment, aby zadawać jej pytania. Zamiast tego rzekł:

— Opowiedz mi o swojej nowej pracy. Czy jesteś z niej zadowolona?

— O, tak — odparła i natychmiast zaczęła opowiadać o trzech głównych projektach, nad którymi pracowała na zlecenie Ricka Millara. Mówiąc to zmieniła się w nieustraszoną małą dziewczynkę. Interesujące, jak w takich chwilach ulatywała z niej cała bojaźliwość. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i dojrzałej. Nicholas zastanawiał się, jak praca mogła zmienić ją w tak krótkim czasie.

Gdy skończyła, powróciła dawna nieśmiałość. Oczywiście potrafiła wyrazić więcej niż ktokolwiek, kogo znał, i teraz, gdy uniosła głowę i spojrzała na niego, dostrzegł bojaźliwość i potrzebę aprobaty. W ich głębi wirował ten osobliwy chłód, który tak żywo pamiętał z pierwszych spotkań i który był bardziej wymowny niż ustne ostrzeżenie, żeby zachował dystans.

Poderwał ją do góry śmiejąc się.

— Ależ oczywiście myślę, że to cudownie! Czas już, żebyś opuściła swą skorupę.

— Posłuchaj, Nick, nie powiedziałam, że zostanę przy tym, albo... Postawił ją na ziemi.

— Ale mówiłaś, że podoba ci się.

Nagle wydała mu się tak delikatna i nierzeczywista, że przytulił ją do siebie jak zagubione dziecko.

Przed wyjściem czekała na nich błyszcząca srebrna limuzyna. Nicholas zatrzymał się, ale Justine pociągnęła go za ramię.

— Och, przestań — powiedziała. — Zdecydowałam się zaszastać częścią mojej nowej pensji. Wybacz mi.

Nicholas niechętnie oddał torby szoferowi i, pochylając głowę, wsunął się na pluszowe siedzenie obok Justine. Wydała instrukcje kierowcy. Włączyli się do powolnego ruchu w drodze na autostradę prowadzącą na Long Island.

— Rozumiem, że Gelda postanowiła nie witać swojego ojca. Justine odwróciła wzrok.

— Nie słyszałaś, jak prosiłam, żeby spojrzeć na trumnę.

— Tym zajęto się wcześniej. Nie było powodu, abyśmy tam byli. — W samochodzie zapadła cisza dzieląca ich niczym paciorkowa kurtyna. — Twój ojciec...

— Nie zaczynaj znowu, Nick — powiedziała ostro. Odwróciła głowę i dostrzegł gniew w jej oczach. — Nigdy, ani przez chwilę nie rozumiałam, dlaczego postanowiłaś dla niego pracować. Właśnie dla mojego ojca! Był tak nikczemnym człowiekiem.

— Kochał swoje córki.

— Nie kochał nawet siebie; nie wiedział, jak kochać innych.

Nicholas wsunął ręce między kolana i zacisnął palce. „To może zły moment, aby jej powiedzieć” — pomyślał. Ale nie mógł czekać na dobry moment. Miała prawo wiedzieć; był zbyt otwarty, żeby to przed nią zataić.

— Twój ojciec oddał mi całkowitą kontrolę nad przedsiębiorstwem.

Szum potężnego silnika, niski i basowy, widoki przemyskających obok przedmieść Queens. I poczucie bezradności.

— To kiepski żart, Nick — powiedziała. — Nawet nie wspominaj o tym.

Westchnął przygotowując się na burzę.

— To nie żart, Justine. Sześć miesięcy temu napisał kodycył do testamentu. Jego sześćdziesiąt procent uprawnionych do głosowania akcji czyni mnie nowym prezesem Tomkin Industries. Bill Greydon był świadkiem i poświadczył mój podpis na kodycyłu w Tokio.

— Podpisałeś ten cholerny kodycył? — Odwróciła się do niego. — Zgodziłeś się na to...! — Kręciła głową z niedowierzaniem, przez chwilę brakowało jej słów. — Chryste, ależ to szaleństwo! — Jej głos zrobił się gardłowy. Wyrzucała z siebie tłumione uczucia.

Przyłożyła dłoń do twarzy, jakby chcąc odepchnąć Nicholasa siedzącego tak blisko niej, jak gdyby ten gest miał wymazać to, co jej wyjawiał.

— O, Boże, nie. Nie, to niemożliwe. — Oderwała dłoń od oczu i spojrzała na niego, a jej piersi falowały z gniewu. — Myślałam, że to wreszcie koniec. Myślałam, że śmierć mojego ojca raz na zawsze położy temu kres, że oderwie mnie całkowicie od myśli o tym, jak szedł przez życie. Bowiem pewne jest, jak to, że siedzimy tu oboje, iż Tomkin Industries zbudowane zostało na krwi i łzach każdego, kogo w swym mniemaniu mój ojciec musiał pokonać pnąc się na szczyt. — Roześmiała się krótkim, gorzkim śmiechem, jakby chciała splunąć. — Szczyt czego? Czy możesz mi odpowiedzieć, Nicky? Co było tak ważne, że traktował moją matkę, Geldę i mnie jak... rzeczy, przydatne, gdy nas potrzebował, ale poza zasięgiem zainteresowania, gdy był zajęty czymś innym — wspinaniem się na szczyt.

Nicholas nie odezwał się, wiedząc, że jedyną jego szansą było pozwolić jej dalej mówić.

— A teraz — ten śmiech pojawił się znowu, tak mrozący, że wydawał się graniczyć z histerią — teraz, gdy mogę w końcu uporządkować swoje życie, mówisz mi, że znowu c i a ł e m i d u s z ą jestem związana z Tomkin Industries.

— Powiedziałem tylko, że podpisałem kodycył.

— A to, oczywiście, nie ma nic wspólnego ze mną! — wykrzyknęła. — Za miesiąc mamy się pobrać, a może powrót do domu sprawił, że tak szybko o tym zapomniałeś?

— Justine, na miłość boską...

— Nie. To dotyczy równie dobrze mnie, jak i ciebie. Ale takiemu draniowi jak ty nigdy to nie przyszło na myśl, prawda? Przyznaj się, do cholery! — Jej oczy rozgorzały, a zaróżowione policzki płonęły z gniewu. — Wiesz, co czułam do ojca; wiedziałeś, co czuję do jego przedsięwzięcia. Sądziłam, że twoja praca dla niego będzie tymczasowa. Sądziłam... O, Chryste. — Ukryła twarz w dłoniach, wściekłość rozplynęła się we łzach bezradności. — Och, jak ja ciebie nienawidzę. Zobacz, co nam zrobiłeś!

Nicholas oparł głowę o pluszowe obicie, przymknął oczy.

— To miało być chwilowe, Justine. — Powiedział to cicho, łagodnie, uspokajająco, ponieważ wykorzystał przeciwną stronę *kiai* do panowania nad tonem swego głosu. — Ale życie zmienia się, zdarzenia powodują, że zmieniamy swoje plany. To przepływ...

— Och, nie waż się zaczynać z twoją *karmą* — ucięła. — Nie chcę słuchać tego mrocznego bełkotu. Wypróbuj go na swoich japońskich przyjaciółkach, a nie na mnie!

— Justine — powiedział — jesteśmy oboje zmęczeni. Na moją decyzję złożyło się wiele przemyśleń i...

— Ale nie o mnie, nie o tym, co ja czułam!

— Tu chodzi o coś więcej niż to, czego ty chcesz, Justine — odparł zirytowany.

— A teraz posłuchaj mnie. Całe swoje życie spędziłam słuchając, co m ó w i ł m ó j o j c i e c, słuchając tego, co m ó w i ł i mi wszyscy moi chłopcy. I słuchałam ich wszystkich tak, jak powinna słuchać mała, grzeczna dziewczynka. Ale z tym wszystkim koniec. Ponieważ, widzisz, nie chodzi o coś więcej niż to, czego j a chcę. Nigdy w moim życiu nie miałam tego, czego j a chciałam. Zawsze się bałam spróbować, ze względu na to, co m ó w i ł m i m ó j o j c i e c, co m ó w i ł i mi moi chłopcy; jak się zachowywać, co robić, czego nie mówić.

Teraz jestem ja i tylko ja. Panuję nad własnym życiem, panuję nad własnym przeznaczeniem, ja — nie m ó j o j c i e c, nie ktoś inny. Nawet nie ty, Nicholasiu.

Pochyliła się w jego stronę, przesunawszy się z naroża fotela. Twarz miała czerwoną, jej zwykle pełne, zmysłowe usta były ściągnięte i wąskie.

— W końcu jestem wolna i nikt nie wsadzi mnie z powrotem do klatki.

Nie będę do niczego przykuta, a z w ł a s z c z a do czegoś tak ohydneho, jak Tomkin Industries.

— Zatem jesteście w pewnym impasie — rzekł Nicholas.

Ale Justine już kręciła głową.

— O nie, Nick, nie. To tylko twoja definicja tej sytuacji. Ale prawda brzmi tak: dopóki jesteś zaangażowany w firmę mojego ojca, nie chcę ciebie widzieć, nie chcę z tobą rozmawiać, nie chcę wiedzieć o twoim istnieniu!

W przestronnej sali sztuk walki na trzydziestym ósmym piętrze gmachu Shinjuku Suiryu trenował w pocie czoła Masuto Ishii. Podczas gdy inni spędzali godziny lunchu nad szklaneczkę suntory, Ishii wykorzystywał ten czas na fizyczną zaprawę.

Trzy razy w tygodniu wstawał przed świtem, aby przebiec dziesięć mil po pogrążonych w półmroku ulicach, po czym wracał do swojej maleńkiej kawalerki w dzielnicy Ryogoku, brał prysznic, ubierał się w nieskazitelny garnitur i szedł do pracy. W pozostałe cztery dni wczesnoporanne godziny spędzał w tej samej sali gimnastycznej. Odkąd dał kierownikom swego działu czterdzieści pięć minut na lunch, czuł, że musi nadal stosować się do takiego samego spartańskiego rozkładu zajęć. Na pełny zestaw ćwiczeń było za mało czasu, więc w południe ograniczał się do powtarzania jednej bądź dwóch trudnych technik wybranych z różnych dyscyplin, w których wykazywał biegłość.

Gdy odnalazła go Akkiko, wykonywał właśnie kilka skomplikowanych *waza* z użyciem *jo*, długiego kija wykorzystywanego w *aikido*. W pobliżu nie było nikogo, liczny personel biur Sato jak szarańcza wylewał się z budynku na błyszczące pole Shinjuku dokładnie o dwunastej trzydzieści. Przez pewien czas obserwowała go uważnie.

Długie mięśnie napinały błyszczącą, pokrytą cienką warstwą potu skórę; pochylił owalną głowę, potężna pierś nie ruszała się prawie, gdy koncentrował się coraz bardziej. Pamiętała długie, tęskne spojrzenie, jakie przesłał jej w dniu ślubu. Widziała wtedy w jego oczach skrywane pożądanie i zastanawiała się, czy to ona była tą, którą chciał zdobyć, czy też chodziło o symbol tego, co miał osiąść jego przełożony? Akiko bowiem dostrzegła jego uwielbienie władzy tak wyraźnie, jakby było zwierzęcym tropem. Nie dla niego było ciche zadowolenie z domu i rodziny, bezpiecznej pozycji człowieka numer dwa w Sato Petrochemicals. W głębi duszy nie był niczyją prawą ręką. Pragnął jedynie wybrać swój własny sposób panowania na wszystkich szczeblach.

O tym myślała, gdy szła po wypolerowanych deskach podłogi, czując pod białymi skarpetkami ich sprężystość. Sandały i płaszcz zostawiła przy drzwiach, które zamknęła od wewnątrz. Nikogo więcej nie było, nikt nie przyjdzie: byli teraz tylko we dwoje.

Ishii zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero wtedy, gdy była bardzo blisko. *Mmi*, nad którym właśnie pracował, było tym, czego nie potrafił opanować do perfekcji, nawet po wielu miesiącach bardzo pracowitych ćwiczeń. Jednak nie był ani zawiedziony, ani zły na siebie. Właśnie postanowił przejść do następnej techniki, gdy u k a z a ł a się Akiko.

Unióśł głowę, pot iskrzył się jak rosa na czarnych, gładko przyczesanych włosach. Ukłonił się natychmiast, wypowiadając tradycyjne pozdrowienie:

— *Ikagadesuka*, Oku-san.

Akiko, nieco z rezerwą, odpowiedziała pozdrowieniem:

— *Hai, okagesamade. Arigato gozaimasu.* — Recytacja uczennicy, to wszystko. — Powiedz mi — rzekła — czy w swojej pracy nad fuzją jesteś równie wytrwały jak w *aikido*?

— Robię to, czego się ode mnie oczekuje, Oku-san.

Akiko posłała błady uśmiech, patrząc na czubek jego głowy. Widziała skalp Ishiiego, wypolerowany niczym mosiądz.

— I to wszystko, co robisz?

Przy ostatnich słowach Ishii unióśł głowę i spojrzał zwodniczo łagodnymi, piwnymi oczami. Przez ułamek sekundy Akiko poczuła się jak obraz wywoływany na kliszy. Potem mrugnął i uczucie to minęło.

— Nie jestem robotem, jeżeli o to ci chodzi — odparł z rozmysłem. — Nie tylko służę firmie, ale też dla niej tworzę.

— W jaki sposób?

— Moim umysłem.

— Jesteś zuchwałym człowiekiem — powiedziała zimnym tonem.

— Przepraszam, Oku-san. — Znowu się ukłonił. — Proszę o wybaczenie.

Jej usta wykrzywiły się ku górze. Wyciągnęła rękę, palcami obejmując kij. Pociągnęła i Ishii zrobił niepewny krok w jej stronę. Sposób, w jaki stała, w jaki trzymała głowę, dodawał jej kobiecości; wyraz jej twarzy przypominał chwilę, gdy spojrzał na nią badawczo w dniu ślubu. Wtopiła się w jego myśli.

— Tego właśnie chcesz, prawda? — wyszeptła mu do ucha.

Czuła, jak bardzo był przerażony jej agresywną postawą, i uśmiechnęła się do samej siebie. Odpychały go konwenanse, pociągał jej żar. Były to chwile niezdecydowania.

Wykorzystując je, uderzyła kijem przez jego prawe ramię, stosując swoją odmianę cięcia *iai*, zbyt szybkiego, aby je wyraźnie dostrzec. Ishii był oszołomiony, a jego ciało tkwiło nieruchomo.

Trochę mu współczuła. Klęczał przed nią zgięty i załamany, nie wydając z siebie nawet jednego zwierzęcego jęku sprzeciwu; gdzie się podziała jego męskość, jego tradycyjna wyższość? Był teraz niczym: ani obrazem, ani ikoną, ani obrońcą, ani żywicielem; widziała, że nie był nawet przeciwnikiem. Był zaledwie środkiem do celu.

Unióśł twarz w jej stronę. Ciało pokryły krople potu cierpienia. Nierówny oddech wyrывał się z na pół rozchylonych ust niczym westchnienie gaśnącego silnika.

Przez dłuższy czas Akiko wpatrywała się w Ishiego, a do głowy cisnęły się najprzeróżniejsze myśli. Potem, wyciągając swój miecz, dostrzegła w jego oczach odbicie długiego błyszczącego ostrza. Wyczuła jego przerażenie i pomyślała: „Nie ma już na świecie wojowników!”

Po czym starannymi i precyzyjnymi ciosami swego *katana* odcięła mu stopy.

Gdy długi, czarny mercedes zatrzymał się, kierowca obszedł go dookoła, otworzył tylne drzwi i Seiichi Sato wyłonił się w świetle błyszczącego rosa poranka. Oprócz szofera byli z nim jeszcze dwaj inni mężczyźni: zgodnie ze zwyczajem stosowanym w Japonii przez wszystkich VIP-ów, nigdy nie ruszał się bez nich. Jednak tym razem poprosił ich, żeby zostali na swoich miejscach w samochodzie.

Powoli wspiął się upstrzoną igłami sosen ścieżką na teren świątyni shintoistycznej, w której brał ślub. Była to cotygodniowa pielgrzymka. Jeżeli był w Tokio, bez względu na pogodę odbywał wędrówkę nad jezioro.

Daleko w dole widział, przez gęste szpalery sosen i kryptomerii, jaskrawobiały, oślepiający blask słońca odbijającego się w wodzie.

W drodze do wewnętrznego sanktuarium przeszedł pod pokrytą purpurową laką bramą *Myojin torii*. Tuż za nią przystanął, by wrzucić coś do skrzynki na ofiary. Podnosząc rękę pociągnął sznur, którym rozkołysał święty dzwon budzący odpoczywające tu *kami* i sygnalizujący obecność zanoszącego błagania.

Wewnątrz głównego budynku sanktuarium uklękła przed stołami zastawionymi darami ofiarnymi. Wokół stołów zgrupowane były rzeźbione postacie siedzących luczników, włóczników i samurajów dzierżących *katana*.

Przed zamkniętymi drzwiami wewnętrznej komnaty, w której przebywały *kami*, stała *Gohei*, drewniana różdżka z kawałkami pozaginanego papieru

zwisającymi z niej zygzakowato. Obok znajdowała się *Haraigushi*, różdżka oczyszczenia, z gałęzią ze świętego drzewa *sakaki*.

Powyżej wisiały proporce przedstawiające chmury i księżyc, wskazując obecność *kami*. Z jednego ze stojaków, które podtrzymywały proporce, spływała fałdami obszyta brokatem tkanina, na której wisiał miecz i klejnoty oraz tarcza i halabarda świątyni. Były symbolami potęgi *kami* w sprawach mądrości i sprawiedliwości oraz obrony przed złem.

Pośrodku stołu, bezpośrednio przed proporcami, znajdowało się święte lustro, które było chyba najważniejszym, a z pewnością najbardziej tajemniczym elementem religii shinto. Miało odbijać najczystsze światło, odzwierciedlać wszystko takim, jakim naprawdę jest, a nie takim, jak byśmy sobie życzyli, by było.

Czyż *Jinno Shotoki* nie powiedział, że: „Lustro niczego nie ukrywa. Błyszczący bez samolubnego umysłu. Wszystko, co dobre i złe, właściwe i błędne, jest niezawodnie odzwierciedlone”. Czyż boski duch Bogini Słońca nie został uwięziony w takim lustrze wiszącym przed jej jaskinią?

Sato klęczał teraz przed lustrem, zerkając w przejrzyste oko szkła. Był skąpany w jego czystym świetle: pragnął spokoju myśli i ducha, pragnął głębokiego i trwałego wyciszenia, które symbolizowało błyszczące w oddali jezioro. Przyzywał *kami*.

Po chwili zawładnął nim osobliwy rodzaj spokoju, do którego przyzwyczał się od najwcześniejszych lat. Czuł, jak w powietrzu został przerzucony most łączący jego istotę z istotą jego szlachetnego ojca. Stary Sato przychodził do tej świątyni prawie każdego dnia i gdy Seiichi był już wystarczająco duży, żeby chodzić, ojciec zabierał go razem z Gotaro.

Nawet jako młody chłopiec Seiichi był oczarowany tym miejscem. Podczas gdy starszy brat niecierpliwił się i ziewał u jego boku, Seiichi czuł, jak duch świątyni spływa na niego niczym smugi odbitego w lustrze światła.

Kiedy jego szlachetny ojciec umarł, odbył tu własną pielgrzymkę po ceremonii pogrzebowej. Szedł wąską, kamienistą ścieżką, którą później, na jego drugim ślubie, schodzili wszyscy goście do brzegu jeziora. Mgła unosiła się wtedy z niego stale; tak chyba musiało wyglądać przed wiekami, u zarania japońskiej historii, odwieczne i czyste.

Dopiero wpatrując się w delikatnie pomarszczoną taflę jeziora, Seiichi

ponownie połączył się z *kami* swego ojca. Więc przychodził tu regularnie, aby być tak blisko historii swojej rodziny, jak tylko potrafił.

Potrzebował teraz ich całej nagromadzonej mądrości, aby poprowadziła go przez ten wir. Miał wrażenie, jakby cały świat walił się wokół niego. „Tworzyć trzydzieści siedem lat, a potem w przeciągu niewiele ponad roku znaleźć się na skraju katastrofy. Jak to się stało?” Nie potrafił odpowiedzieć. Może nigdy nie powinni byli angażować się w *Tenchi*. Ale rząd wyraźnie zasugerował nagrody, gdyby przedsięwzięcie odniosło sukces. „W sytuacji, w której znajdowała się *keiretsu*, tuż poza zaczarowanym kręgiem siedmiu czołowych przedsiębiorstw Japonii, nie mogliśmy się oprzeć” — myślał teraz Sato.

Wprawdzie rząd pchał państwowe pieniądze w *Tenchi*, wciąż jednak istniała ogromna liczba kosztów towarzyszących; oczekiwano, że *keiretsu* weźmie je na siebie. To był ich obowiązek i obciążenie nimi rządu po prostu nie wchodziło w grę. W czasie czternastu miesięcy *keiretsu* wyłożyła ponad sześćdziesiąt milionów dolarów, potworny odpływ kapitału dla każdej korporacji, nawet największej.

Sato przypuszczał, że *Tenchi* był jednym z głównych powodów tego, iż Nangi pozwolił rozszerzyć ich wpływy na międzynarodowy system bankowy w Hongkongu. Właściwie Sato od początku sprzeciwiał się temu posunięciu. Myśl o szaleństwach finansowych potentatów Kolonii Korony Brytyjskiej przyprawiała go o dreszcze. Było to równoznaczne z włożeniem stopy w pułapkę na niedźwiedzia i czekaniem, aż się zatrześnie.

Nangi naciskał i Sato czuł, że musi przychylić się do jego woli. W końcu naprawdę potrzebowali natychmiastowego zastrzyku pieniędzy, zarówno na *Tenchi*, jak i na to, by odzyskać kapitał stracony na stalowniach. Tak wiele bezczynnych rąk do pracy i niemożność uczynienia czegokolwiek oprócz wypłaty wynagrodzeń i premii, podczas gdy zakład wykorzystywał tylko siedemdziesiąt procent swoich mocy produkcyjnych. Sato był teraz bliski zawarcia umowy na sprzedaż *kobunu*. Byłby z tego bardzo skromny zysk, ale przynajmniej pozbędą się tego kłopotu.

Jednak to może teraz nie wystarczyć. Umowa z Tomkinem była zablokowana do powrotu Linneara, a odkąd Nangi otrzymał ten telefon z All-Asia Bank w Hongkongu, Sato miał jak najgorsze przeczucia. Nangi z największą niechęcią udzielał informacji o treści rozmowy, lecz jego pospieszna podróż do Kolonii była złą wróżbą.

Sato czytał gazety, wiedział, co dla Hongkongu znaczyło wypowiedzenie przez komunistyczne Chiny układu z Wielką Brytanią, i zgrzytał zębami, w miarę jak dzień po dniu potwierdzały się jego najgorsze obawy. Handel nieruchomościami i banki były dwiema ostojami gospodarki Hongkongu i

wiedział, że z chwilą gdy pierwsza padła, pojawienie się rys na drugiej było tylko kwestią czasu.

„Jak głęboko pogrążył nas Tony Chin? — spytał samego siebie. — Och, Amido! Modlę się, by miał ostrożną naturę. Modlę się, żebyśmy nie zostali złapani w niedźwiedzie wnyki”.

Wiedział, że on i Nangi znaleźli się już w jednej pułapce; zamykała się nieubłagane nad nimi. To, co Linnear-san nazwał *Wu-Shing*. Sato zadrżał. Trzy śmierci. Kagami-san, *Mo*, tatuaż; Yoshida-san, *Yi*, obcięcie nosa; a teraz Masuto Ishii, znaleziony z odciętymi stopami w sali gimnastycznej. Sato usiłował sobie przypomnieć. Falą przyprawiającą o mdłości dotarło do niego to słowo: *Yueh*. Znak będący połączeniem ideogramów noża i stopy.

Co się stało z *kobunem*? Ludzie firmy ginęli wokół niego i jeżeli Linnear-san nie znajdzie sposobu na powstrzymanie tych morderstw, on i Nangi będą skończeni. Bowiem w rytuale *Wu-Shing* zostały jeszcze dwa morderstwa i nie trzeba było być geniuszem, aby stwierdzić, kto będzie następnym celem.

Kto pragnie ich ukarać i dlaczego? Nagle, w tym miejscu ruchomych cieni i starożytnych *kami*, Sato nabrał rosnącego przekonania, że ich przeszłość — jego i Nangiego — została w jakiś sposób wskrzeszona w powłóczących nogami, przywróconych do życia zwłokach pozostawiających za sobą gnijące kawałki ciała, i nieugięte zmierzała w ich kierunku. Wkrótce nie będą mieli z czego realizować ostatnich etapów *Tenchi*. Co się wtedy stanie? Pochylił głowę i żarliwie modlił się o ratunek, albo przynajmniej wyrwanie z tego przerażającego koszmaru, który ogarniał ich, niszcząc najzdolniejszych kierowników *kobunu*, samo serce imperium, które tak długo usiłowali stworzyć. Nie wolno dopuścić, aby cokolwiek opóźniło *Tenchi*. Cokolwiek. Ale zimna dłoń zaciskała się wokół jego serca, coraz bardziej, aż oczy wypełniły się łzami, a ból palił usta.

I pomyślał: „Karać nas — za co? Co takiego zrobiliśmy?”

Wiktor Protorow powinien być teraz na Bliskim Wschodzie. Przed trzema tygodniami jego obecność w południowym Libanie była konieczna, aby położyć kres sporowi, który toczył się tak długo, aż nabrał charakteru wojny.

On jednak nie ruszył się z Hokkaido, z bezpiecznej kryjówki, na stworzenie której poświęcił cztery lata. Gdy był tutaj, nikt w Związku Radzieckim nie wiedział, gdzie się znajduje, ani też nikt nie mógł go wytropić. Protorow był tego zupełnie pewien. Miał kilku najlepszych aparatczyków mocno

osadzonych w Wydziałach. Na rozkaz swoich szefów wielokrotnie usiłowali go wytropić. Wszyscy ponieśli klęskę.

Jeżeli zaś chodzi o ludzi z Dziewiątego Wydziału, którymi obsadził tę bezpieczną kryjówkę, był ich zupełnie pewny. Wszyscy, co do jednego, byli lojalni: po pierwsze, wobec niego, po drugie, wobec Wydziału, po trzecie, wobec Matki Rosji. Oczywiście nie pozostawiał tak istotnych spraw przypadkowi. Co dwa tygodnie personel — jak również oficerowie operacyjni żyjący na terenie wysp japońskich — byli pośrednio badani w ramach bieżącego programu, aby upewnić się, czy kryjówka była całkowicie „sterylna”.

Tylko jeden człowiek nie był w ten sposób sprawdzany, z nim bowiem Protorow chciał widywać się osobiście, żeby być pewnym własnego bezpieczeństwa i aby raporty, jakie otrzymywał, były nieskazitelnie czyste. „Białe raporty” były raportami zawierającymi prawdziwe i bardzo precyzyjne informacje.

Prawdę powiedziawszy, „białe raporty” należały do rzadkości. Protorow wystarczająco długo pracował, aby wiedzieć, że większość raportów była do pewnego stopnia „szara”. To znaczy, że zawierały one pewne dezinformacje. Do niego należało oddzielenie ziarna od plew, odrzucenie kłamstw, żeby odkryć prawdę. To była zaledwie jedna z wielu zalet Protorowa.

Japonia była wyjątkiem, który potwierdzał regułę. Wielu oficerów operacyjnych Dziewiątego Wydziału tak fanatycznie wypełniało swe misje, że zawsze składali „białe raporty”. Człowiek, z którym Protorow miał się teraz zobaczyć, był jednym z nich.

Problemy w południowym Libanie nie zostały rozwiązane i właśnie tego rana Protorow wysłał tam jednego z najbardziej zaufanych poruczników, żeby przekazywał mu informacje dotyczące wojny. *Tenchi* stał się teraz dla niego niezwykle istotny, syrenia pieśń jego tajemnic wabiła go obietnicą wspaniałej nagrody.

Gdyby prawda wyszła na jaw, Protorow i tak nie chciałby wracać do gorącego, wilgotnego klimatu południowego Libanu. W powietrzu zawsze unosił się smród wielbłądziego łajna i rozgrzanego oleju silnikowego. Jakże nienawidził Arabów! O, tak, nie miał wątpliwości co do ich przydatności dla Związku Radzieckiego. Ich łatwowierność, ich głupota, właściwie klucz do ich użyteczności — były tym, czego nie mógł dłużej znieść. Byli nieprzyzwoitymi barbarzyńcami, a on czuł się znacznie lepiej tropiąc widmo *Tenchi*, niż będąc zmuszonym zastanawiać się nad sporem pomiędzy Arabami i Rosjanami.

„Arogancja — pomyślał teraz Protorow — była schorzeniem, na które cierpieli Rosjanie carskiej Rosji, stąd ich upadek. Ale ci cholerni Arabowie również tacy są”. Był daleko od nich, minęły miesiące od czasu, kiedy usunął ostatnie ziarnka piachu ze swych ubrań.

Wielka, masywna postać Kotena oddalała się od Shinjuku. Cotygodniowa pielgrzymka dała mu trochę wolnego czasu. Sato czuł, że w świątyniach nie było miejsca na przemoc i dlatego nie chciał, aby Koten mu towarzyszył.

Przejechał cztery przystanki zieloną linią, po czym przesiadł się w Kuidanshita na niebieską linię i dojechał nią do ogromnej stacji Nihon-bashi. Ludzie w metrze wpatrywali się w niego, ale był do tego przyzwyczajony. Z pozoru ignorował zainteresowanie, chociaż duma rozpiekała jego serce. Ciężko pracował, żeby zdobyć wyższy *dan**, i mimo że nie brał już udziału w zawodach, wciąż poświęcał mnóstwo czasu na utrzymanie dobrej kondycji, a nawet uczestniczył w walkach pokazowych. Przez pięć lat nie został w nich pokonany. [* Autor stosuje tu uproszczenie, ponieważ w *sumo* nie ma stopni mistrzowskich określanych terminem *dan*. Zawodnicy o wyższych umiejętnościach (i większej ilości zwycięstw podczas zawodów) otrzymują tytuły: *mae-gashira*, *komusubi*, *sekiwake*, *ozeki* i *yokozuna*. (przyj. konsult.)]

Wyszedł na Eit-dori i skręcił w prawo. Aleja była zatłoczona kupującymi. Przy następnej przecznicy czekał na zielone światło, po czym przeszedł na drugą stronę i wszedł do domu towarowego Tokyu.

Wnętrze Tokyu było tak ogromne i różnorodne jak miasto. Jeden z jego przyjaciół wziął tutaj ślub, inny kupił miejsca pochówku dla siebie i rodziny. Kotena jednak nie interesowała żadna z tych usług.

Kobieta z obsługi kiwnięciem ręki w białych rękawiczkach wskazała mu biegnące w dół ruchome schody. Spojrzał badawczo na jej pokrytą grubym makijażem twarz; speszona odwróciła głowę.

W podziemiach bezczynnie obserwował przygotowywanie ciastek, zwiżanie *sushi*, fermentację *tofu*, mieszanie i słodzenie fasolowej pasty. Z bezpłatnych próbek potraw wystawionych na licznych tacach na szklanych ladach przyrządził sobie lunch.

Gdy zjadł, przeszedł w kierunku jadących w górę schodów. W przepastnym żołądku wciąż odczuwał pustkę.

Wędrował do góry mijając niezliczone sklepy z kolekcjami ubrań, sprzętem gospodarstwa domowego, meblami, zabawkami oraz gramy, teatry, kliniki medyczne i dentystyczne, galerie pełne obrazów i rzeźb, sale z pokazami mody, przyrządzania herbaty, układania kwiatów oraz liczne restauracje.

W ogrodzie na dachu była herbaciarnia z wiszącymi na drutach czerwonymi, czarnymi i białymi lampionami wykonanymi z papieru ryżowego, tańczącymi na lekkim wietrze. Między starannie przyciętymi krzewami znajdowało się małe zoo oblegane przez tłumy dzieci; matki niektórych z nich były zajęte robieniem zakupów na dole.

Koten przedarł się między tą zgrają, aby lepiej widzieć pawiany i gibbony. Z daleka dostrzegł małe małpy pochodzące z północnych bagien Nagano; podszedł bliżej. Koten pochodził z Nagano i widok tych symboli rodzinnych stron uświadomił mu fakt, że nie był w domu od ponad dziesięciu lat.

— Widzisz coś interesującego?

Nie musiał odwracać głowy, by rozpoznać małą postać księgowego o czymś nie wyróżniającej się twarzy.

— Te maluchy szczebioczą mi o domu — powiedział.

— Ach — odezwał się niepozorny mężczyzna. — Góry. Ci z nas, którzy urodzili się w górach, nigdy nie mogą się z nimi rozstać.

Koten powoli skinął głową i złożył raport. Gdy skończył, posłusznie odpowiedział na pytania niepozornego mężczyzny, najlepiej, jak tylko potrafił.

— Muszę wracać — powiedział. — Sato-san wróci wkrótce ze swych modłów.

— Modlitwy — pogardliwie rzucił Wiktor Protorow — są dla pokonanych.

„Tex” Bristol musiał trzykrotnie rezygnować z planów usunięcia Niebieskiego Potwora, bardziej ze względu na Alix Logan niż na jej nocnego strażnika. Po próbie samobójstwa Niebieski Potwór nie ryzykował i wprowadził się do niej na noc.

Światła w mieszkaniu Alix nigdy nie gasły podczas długich nocy. Jej opiekun czuwał.

Światło w środku nocy nie było czymś, czego Bristol mógł się spodziewać. Był mu przecież potrzebny element zaskoczenia. Zorientował się już, że potwory Alix Logan nie są eks-glinami; były na to o wiele za sprytnie. Ich sposób bycia był niemal wojskowy. Bristol spędził długie godziny prażąc się na słońcu i obserwując z daleka Alix Logan. Zastanawiał się, gdzie ci ludzie odbyli swoje przeszkolenie. „Czy Tomkin stał się na starość sprytniejszy?”

Czy zaczął najmować do tej brudnej roboty gangsterów wyższej klasy?” To było jedyne wytłumaczenie.

Po trzeciej zaniechanej próbie zakradnięcia się w nocy do mieszkania Alix Logan Bristol niechętnie zrezygnował ze swojego pierwotnego planu. „Musisz być niesłychanie elastyczny w takich sytuacjach” — powtarzał sobie stale. Każdy plan musiał mieć wariant, a każdy zastępczy taki wariant musiał mieć swój własny wariant zastępczy. Był to jedyny sposób na to, by odnieść sukces, ponieważ żadna sytuacja, w której zaangażowani byli ludzie, nigdy nie była statyczna. „Uczyń to założenie i możesz równie dobrze przejść do innego zadania”.

Wprowadził więc plan, którego miał nadzieję nigdy nie wprowadzać. Uwielbiał łowić ryby, uwielbiał przebywać na wodzie. Ale być w niej, daleko w morzu, było czymś zupełnie innym.

Jednak pożyczony sprzęt do nurkowania, został sprawdzony przez przyszczatego chłopca, nie więcej niż osiemnastoletniego, sklepowego specja. Zaniedbał się odrobinę — pięć lat minęło od czasu, gdy uczył się nurkować — ale podstaw nigdy się nie zapomina. Po dwóch godzinach intensywnego treningu w wyłożonym różowymi kafelkami basenie, w hotelu położonym nad plażą przy tej samej ulicy co sklep, przyszczaty chłopak poklepał go po plecach i pokazał uniesiony do góry kciuk.

Bristol zabrał teraz swój sprzęt na łódź, która kołysała się na oleistych falach w basenie portowym. Ponownie skontrolował cały ekwipunek, tak jak go przeszkolono, a gdy siedział pochylony manipulując regulatorem, kątem oka śledził idącą nabrzeżem Alix; Czerwony Potwór kroczył tuż za nią.

Serce Bristola zabiło szybciej, gdy spostrzegł, jak skręca w kierunku małej łodzi. Żadnego spacerowego rejsu w tym samym kręgu bezmyślnych przyjaciół nie będzie tego popołudnia. Była tylko ona i Czerwony.

Czerwony Potwór zrzucił cumy na rufie i dziobie i szybko wskoczył do kołyszącej się łodzi; zaskrzypiały kalosze. Alix zdążyła już uruchomić silnik, niebieska chmura spalin unosiła się z rury na rufie. Ostro skręciła kierownicą i zaczęły wypływać z portu.

Bristol odczekał chwilę z bijącym sercem, po czym uruchomił silnik. Naciągnął daszek swej podniszczonej czapki i ruszył za nimi. Zmrużył oczy przed ostrym blaskiem promieni słonecznych odbijających się od wody. Nałożył ciemne okulary, zawijając za uszami końce drucianych oprawek.

Ten plan był znacznie prostszy od pierwszego, ale bardziej go przerażał. Stracił aż sześć miesięcy, zanim zdobył się na odwagę, by wziąć pierwsze

lekcje nurkowania, i w końcu zmobilizowały go bezpośrednie polecenia z góry. Należał do odważnych ludzi, ale czuł lęk przed głębią.

Ręce mu się trzęsły tak bardzo, że dwukrotnie opuścił kuszę, kiedy ją wydobył już z maskującego kokonu. Nie należała do sprzętu, który pożyczył. W sklepie ze sprzętem do nurkowania wyraźnie powiedział sprzedawcy, że czuje wstręt do takich rzeczy, gdy ten zapytał, czy chce pożyczyć coś jeszcze.

Pewnego ranka, gdy Alix Logan wciąż jeszcze przewracała się w swoim łóżku, Bristol kupił kuszę w sklepie w Boca Chica. Ubrał się w śmieszny garnitur z kreponu, staromodny słomkowy kapelusz i tandetne okulary z lustrzanymi szklami dobrze maskującymi jego twarz i stanowiącymi doskonały zestaw z sumiastymi wąsami, które przykleił sobie na tę okazję. Zapłacił gotówką.

Wracając w południe miał do wyboru trzy zakłady chemiczne trudniące się odzyskiwaniem azotanów z guana, a wybrawszy jeden, włamał się bez trudu i zabrał to, co było mu potrzebne. Resztę dnia spędził na swojej łodzi, obserwując statek spacerowy, na którego pokład zdecydowała się wspiąć tego dnia Alix. Dopracowywał szczegóły swojego planu.

Teraz, gdy nadszedł czas, aby go wcielić w życie, był tak zdenerwowany, jak rekrut pierwszego dnia służby. Nie wyglądało to dobrze. Przystanął. Czuł ciężar butli umieszczonych pomiędzy łopatkami. Stopy jakby wrosły w kołyszący się pokład. Starał się zwolnić oddech i uspokoić przyspieszone tętno.

Przez cały czas spojrzenie uciekało, prześlizgiwało się nad burtą jak niesforne dziecko i upajało długimi, wysokimi falami i bezkresną głębią, w którą wkrótce będzie musiał zanurkować. Wyciągnął przed siebie ręce, dostrzegł ich drżenie. — Do diabła z tym! — powiedział głośno, jakby chciał wyrzucić ze swego organizmu nadmiar powietrza. Pochylił się i wyciągnął kuszę, starannie przyglądając się złośliwie haczykowatemu grotowi na końcu harpuna.

Zatknął za obciążonym balastem pasem dwie laski środka odstraszającego rekiny, powtórnie sprawdził ręczny kompas; gdy mała łódź Alix przesunęła się trochę, skorygował ustawienie wskazówek. Będzie musiał pamiętać o tym i nie polegać wyłącznie na kompasie.

Podszedł do poręczy łodzi. Poślizgnął się na potężnych płetwach z włókna szklanego. Potem, przenosząc regulator nad głowę i przysuwając go do ust, upewnił się, czy przewód jest zupełnie czysty. W myślach powtórzył wszystkie czynności, które przerabiał z przyszczatym chłopakiem, częściowo dla

bezpieczeństwa, częściowo, aby zająć czymś umysł i odwrócić myśli od otchłani u jego stóp.

Sięgnął po maskę, obmył ją morską wodą, po czym splunął do niej obficie, rozsmarowując wewnątrz ślinę, żeby maska nie zaparowała od środka. Dopasował ją do twarzy i zsunął się za burtę.

Ogarnął go chłód morza. Nawet przez warstwę niebieskiej gumy kombinezonu czuł zimny prąd unoszący się z głębin oceanu niczym fizyczny stwór.

„Spokojnie, stary — powiedział sam do siebie. — Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebujesz, jest, żeby poniosło twoją wyobraźnię. Jesteś bezpieczny i ciepło ci w twoich pantofelkach, a mamusia zaraz przyjdzie, żeby cię przewinąć”.

Zawisł w niebieskozielonej głębinie. Wiedział, że nie może płynąć, zanim nie wyrówna oddechu i nie przyzwyczai się do osobliwego sposobu oddychania pod wodą.

Pasma słonecznego światła przenikały ukośnie, wywołując dziwaczne uczucie, że jest w katedrze. Pomyślał o dawnych czasach w Hell's Kitchen, gdzie w brudzie i ciemności zaułka, w sąsiedztwie katedry, zabito jego ojca.

Wtedy popełnił błąd; spojrzął w dół, w miejsce, gdzie pasma światła rozplływały się i nie potrafiły dalej przeniknąć, czarniejsze niż cokolwiek, co do tej pory widział. Uświadomił sobie, co znajduje się pod nim, głęboko, głęboko, głęboko.

Konwulsyjnym ruchem zmusił się do spojrzenia na kompas i zorientowany się w położeniu, ruszył w kierunku łodzi Alix Logan. Płynął powoli, leniwie niemal, ale było to mylące wrażenie, bowiem ogromne płetwy pchały go do przodu wielkimi skokami. Był w doskonałej kondycji i nie miał żadnych kłopotów nawet z falą pływową, która mogła stać się najgorszym wrogiem nurka, powodując tak silne mdłości, że najsilniejszy zmieniał się w bezradne niemowlę.

Po przebyciu jednej trzeciej drogi wypłynął na powierzchnię, aby zorientować się w swojej pozycji. Dokonał tego w niecałe trzy sekundy, tam i z powrotem w głąb morza. Ponownie sprawdziwszy kompas spostrzegł, że zboczył o sześć lub siedem stopni; skorygował kurs. Płynął dalej stosując kopnięcia podudziem; pryszczaty chłopak powiedział mu, że są bardziej ekonomiczne i mniej wyczerpujące na długim dystansie niż te, których nauczył się na początku.

Właśnie zszedł w dół po drugiej kontroli kursu korygując go nieznacznie, gdy kątem oka, prawie bezpośrednio pod sobą, wyłowił jakiś cień. Natychmiast przestał uderzać nogami i zawisł nieruchomo w wodzie. Jeżeli to był rekin, nie chciał, żeby wyczuł go swym wrażliwym na wibracje zmysłem.

Teraz dostrzegł przed sobą niewyraźną bryłę dna łodzi Alix, a pod nią napiętą żyłkę wędkę. Wprawdzie nie widział dokładnie żyłki, ale był pewien, że tam była. Czerwony Potwór złapał dużego potwora. Ryba mocno połknęła haczyk, jej ciało jak bicz smagało wodę na wszystkie strony. To właśnie było cieniem krążącym poniżej Bristola.

Zaczął bezgłośnie przeklinać Czerwonego Potwora, lecz gdy ponownie spojrzął w dół, spostrzegł rekina. Nie był ekspertem, ale potrafił odróżnić rekina olbrzymiego od szarego, panterkę od żarłacza tygrysięgo.

Ten miał około dwunastu stóp długości i, sądząc z plam na jego boku, był z pewnością rekinem żarłaczem, jednym z mięsożernych. Przyplłynął tutaj, ponieważ wyczuł krew sączącą się z ryby walczącej z żyłką ponad sto jardów dalej.

Bristol obserwował, jak plamy światła igrały na szorstkiej skórze rekina, gdy wijąc się płynął w górę. Nie potrafił odgadnąć, czy rekin wyczuł już jego obecność, ale starał się ze wszystkich sił płynąć równoległym kursem, utrzymując dystans. W pewnym miejscu będzie musiało się to skończyć i wtedy zobaczy, co zrobi rekin.

Żarłacz wznosił się leniwie, niemal obojętnie, przesuając się tak wolno, że Bristol mógł dostrzec drobne nacięcia na jego boku. Wtedy gwałtownie przechylił się w lewo, wystrzeliwując niczym pocisk przez zieloną otchłań. Skręcił i Bristol nie miał teraz żadnej wątpliwości: zobaczył go.

Serce boleśnie waliło w piersiach, całą siłą woli zmusił swe ciało do pozostania w bezruchu. Zawisł, obserwując, jak drobny zielony plankton unosi się obok ukośnymi taflami. Pasma wodorostów.

„Jedzenie jest z drugiej strony, głupku — mówił bezgłośnie do prymitywnego stworzenia. — Nie chcesz przecież spróbować ani kawałka mojego ciała. Wcisnę ci ten ptasi mózdzek w kręgosłup”.

Żarłacz obrócił się. Był teraz na wprost Bristola, patrzyli na siebie niczym para gladiatorów na rozległej falującej arenie, nad którą zaległa okropna cisza. Soczewka morza czyniła rekina monstrualnie wielkim.

Wbrew wszelkiej logice żarłacz ruszył w jego kierunku. Nie szybko, jak wtedy, gdy wyczuł jego obecność, lecz ostrożnie. W końcu to nie był w rozpaczliwym położeniu, informowały go o tym jego zmysły. Wprawdzie krew i jedzenie były obok, ale rekin chciał najeść się nie niepokojony.

Chociaż Bristol miał ze sobą dwie laski środka odstraszaającego rekiny, nie bardzo wierzył w skuteczność chemikaliów. Mimo to powoli, cal po calu, przesuwał prawą dłoń w kierunku pasa. Pomyślał o kuszy, lecz szybko od

rzucił ten pomysł. Widział zbyt wiele zdjęć rekinów z harpunami tkwiącymi na przestrzał w mózgu, wciąż żyjących i atakujących, a tego nie chciał. Miał tylko jeden harpun.

Żarłacz był teraz bardzo blisko. Widział złowieszczą paszczę w kształcie sierpa poniżej szeroko rozstawionych świńskich oczu. Do butelkowatego pyska przywarł różowy plankton, a trzy remory, dwie nad nim i jedna poniżej, naśladowały każdy jego skręt i obrót.

Wciąż przybliżał się. Bristol chwycił jedną z lasek i delikatnie wyciągnął. Pocił się. „Chryste — pomyślał — ten drań nie ma zamiaru się zatrzymać”.

Bristol zjechał z falą pływową cztery sążnie w dół i wprawnym ruchem uniósł łaskę. „No chodź, kolego — wyszeptał w myślach — mam dla ciebie niespodziankę”.

Okropny pysk żarłacza dotarł do niego i Bristol nagle ożył; z całej siły cisnął łaską w pysk rekina.

Rekin poderwał się, stając niemal pionowo na swym ogonie. Potem przekręcił się tak błyskawicznie, że na moment zostawił z tyłu dwie z remor i umknął w zieloną głębinę oceanu, dwa razy potężnie machnąwszy swym długim i mocnym ogonem.

Przez chwilę Bristol wisiał w bezruchu, czując, jak zimny pot wsiąka w gumowy kokon. Potem, wkładając środek odstraszający z powrotem za pas, sprawdził położenie łodzi. Popłynął w jej kierunku.

Dwadzieścia cztery stopy nad miejscem, w którym płynął Bristol, i w odległości około siedemdziesięciu pięciu jardów Jack Kenneally mordował się okrutnie wciągając na pokład swą zdobycz. Czerwony Potwór nie był zawodowym rybakiem, ale pochodził z Florydy i jako nastolatek złowił wiele morskich okazów. Teraz jego praca polegała na tropieniu większej zwierzyny i gorzko żałował tej przygłupiej zabawy w opiekuna do dziecka.

Kenneally z odrazą splunął przez burtę. Już raz uratował jej opalony tyłek od zapomnienia i zastanawiał się tylko, ile razy będzie musiał powtarzać ten wyczyn, zanim skończy się jego główniane zadanie. Zastanawiał się, komu nadepnął na odcisk, że je dostał. Był najlepszym w grupie i niecierpliwie czekał, by wyjechać i namierzać zdobycz w celowniku sztucera, a nie na końcu żyłki.

Spojrzał na Alix Logan w skąpym bikini, na jej opaloną skórę błyszczącą od olejku i cicho zaklął. „Kim, u licha, ona w końcu jest — spytał samego siebie — żebym musiał nadstawić karku, utrzymując ją przy życiu i odgradząc od reszty świata?”

Kenneally nigdy nie uzyskał odpowiedzi na to pytanie, w tym samym bowiem momencie światło odbiło się od wylaniającej się na powierzchnię maski i gdy ciągnąc swą zdobycz rzucił: — Co to, kurwa...! — sięgnął po swoje magnum trzysta pięćdziesiąt siedem, oddał strzał tuż przedtem, nim usłyszał wibrujące *tuang!*; nagły pęd wiatru, szybujący czarny przedmiot i palący ból pośrodku piersi.

— Aggh! — wykrzyknął, zataczając się do tyłu pod wpływem siły uderzenia, wędka wypadła mu z rąk i zniknęła pod powierzchnią fal. Kurczowo chwycił za harpun płonący w jego wnętrzu, próbując wyrwać grot, ale to tylko sprawiło, że jego zakrzywione wąsy głębiej wbiły się w ciało.

Jego klatka piersiowa rozrastała się. Widział nad sobą szczupłą sylwetkę Alix Logan. Dłonią zakrywała rozwarte usta. Jej piękne oczy były szeroko otwarte i Kenneally'ego uderzyło nagle to, jak bardzo przypominały mu oczy córki. Dlaczego tego nie spostrzegł wcześniej?

Palce zrobiły się jak nabrzmiałe kiełbasy i okropny paraliż zaczął ogarniać całe ciało; kończyny stawały się sztywne, gorączka rozsadzała umysł. Dostrzegł wielką zjawę unoszącą się nad burtą łodzi i otrzępującą morską wodę ze śliskiej, niebieskiej skóry.

Potem jego oczy wybałuszyły się nienaturalnie, krew popłynęła z nosa i uszu jaskrawopurpurowymi strużkami, a ciało zdrząło konwulsyjnie.

Wspinając się po burcie łodzi, Bristol zdarł ciężkie pletwy, podciągnął maskę na czubek głowy i rzekł:

— Alix Logan, jestem detektyw Lewis Jeffrey Croaker z Wydziału Policji w Nowym Jorku i prawdę mówiąc, przeżyłem parszywe chwile starając się z panią zobaczyć.

Po czym zarzygał cały pokład.

Justine stała odrętwiała. Uroczystość pogrzebowa toczyła się obok niej jak ogromna szarada, w której los wyznaczył jej bardziej rolę świadka niż uczestnika. Tłumy ludzi z firmy jej ojca, które napłynęły ze wszystkich stron świata, oszołomiły ją. Ich przypuszczalnie szczerze pomruki ubolewania spływały po niej jak krople deszczu. Czasami nie miała pojęcia, o czym mówią.

Myśli miała zajęte czymś innym, a gdy chmury odpłynęły dostatecznie daleko, by mogła pomyśleć o śmierci ojca, odczuła tylko głęboką ulgę.

W pewnym momencie uświadomiła sobie bliską obecność mężczyzny. Spoglądając w górę, z bijącym szybko sercem, myślała, że mógłby to być

Nicholas, jednak był to tylko Rick Millar. Uśmiechnął się i chwycił jej dłoń. Justine chyba go spytała, gdzie jest Mary Kate, lecz jeżeli nawet odpowiedział, nie słyszała.

Sprawiała wrażenie obojętnej na świat. Nawet piękne otoczenie wielkiego domu przy Gin Lane na południe od Southampton, położonego na plaży, w którym z Geldą wychowywały się, nie wydawało się jej wzruszać. Była znieczulona na swój własny sposób, tak jak w ubiegłym roku, po śmierci Croakera, jej starsza siostra. Leżała bez czucia w swoim mieszkaniu na Sutton Place, po wypiciu Bóg jeden wie ilu kwart wódki. Był jedynym mężczyzną, który umiał przebić się przez jej pozorną szorstkość. Teraz, gdy nie żył, była zagubiona, podatna na ciosy. Tylko cud mógł ją uratować, a Justine nie miała nic w zanadru. Nie potrafiła nawet poradzić sobie z własnym życiem, a cóż dopiero z życiem Geldy.

Jakże czuła się zdradzona! Ziemia pod jej stopami rozstąpiła się gwałtownie, ciskając ją w dół, w otchłań nicości. Teraz, gdy Nicholas jej to zrobił, teraz, gdy dołączył do długiej listy mężczyzn, którzy ją zdradzili, czuła jedynie rozpacz. Nawet wściekłości nie mogła wykrzesać. Tak jakby zgasała w niej iskra życia.

Opuściła głowę, kosmyki włosów spadły na jej twarz. Zgromadzeni goście ostrożnie odwracali spojrzenie, nie rozumiejąc źródła jej bólu.

Nicholas czuł tak silną tęsknotę za Japonią, że gdyby nawet nie otrzymał niepokojącego telegramu Sato, to i tak poleciałby następnym samolotem po pogrzebie Raphaela Tomkina.

Włożył dłoń do kieszeni spodni i wyczuł znowu cienką kartkę żółtego papieru. Nie musiał wyciągać jej, aby przypomnieć sobie treść:

LINNEAR-SAN WICEPREZES D/S OPERACJI, MATSUTO ISHII,
TRZECIA OFIARA WU-SHING. STOPY ODCIĘTE. POLICZEK WY-
TATUOWANY IDEOGRAMEM: YUEH. KOBUN W POWAŻNYM
NIEBEZPIECZEŃSTWIE. POTRZEBUJEMY PAŃSKIEJ POMOCY.

SATO

„Tak — pomyślał teraz — nie ma wątpliwości”. Yueh było trzecią z kar *Wu-Shing*. Pozostały tylko dwie. I Nicholas obawiał się, że wie, kim będą następne dwie ofiary.

Teraz jego powrót do Tokio był bardziej konieczny niż kiedykolwiek. Ostatnią wolą Tomkina było doprowadzenie do fuzji Sphynxa — tak szybko, jak to możliwe. Nicholas wiedział, że tego dokona. Ale najpierw musiał

uporać się z potworem odprawiającym ten straszny rytuał, ponieważ wiedział, że bez usunięcia tego niebezpieczeństwa nie będzie żadnej fuzji. Miał spełnić wobec Tomkina obowiązek. Zrozumiał teraz to, co było nieuniknione od chwili pojawienia się *Wu-Shing*; musi wystąpić przeciwko niemu.

Nadszedł ponury dzień, którego z Akutagawa obawiali się, a który przewidzieli, gdy Akutagawa zaczął go uczyć *ninjutsu*. Instynktownie wiedział, że aby przeżyć, będzie musiał wykorzystać wszystko, czego się przez lata nauczył.

Prawie cały czas przed ceremonią pogrzebową poświęcił na spotkania z dyrektorami wszystkich biur Tomkin Industries. Bill Greydon zadbał o to, by dobrze przygotowali się do spotkania ze swym nowym prezesem.

Nicholas tylko raz pomyślał o Justine, a stało się to, gdy dostrzegł ją z przystojnym blondynem, który sprawiał wrażenie, jakby zszedł ze stronicy katalogu mody. To musiał być Rick Millar, jej nowy szef. Obserwował ich beznamietnie. Zaangażowany był teraz w zdarzenia i sprawy ludzi na drugim końcu świata. Justine odsunęła się na dalszy plan. Jego uczucia były chłodne, pozbawione dawnego żaru namiętności.

Nie było mowy o tym, żeby porzucił Tomkin Industries. Nie mógł tego zrobić dla żadnej osoby. Jego matka, Czeong, z pewnością by to rozumiała. Pułkownik również. W życiu był zawsze *giri* do spełnienia. A dług honorowy był najważniejszy... ważniejszy nawet od własnego życia.

Wcale nie wydawało mu się dziwne to, że zaledwie przed sześcioma miesiącami pragnął dokonać zemsty na człowieku, wobec którego czuł teraz *giri*. Siły życia zmieniały się ciągle i były nieszczęściem dla człowieka, który pozostawał niezmienny i nieugięty.

Tomkin był odpowiedzialny za śmierć Croakera... i nie był. Co to znaczyło? Chwilowo Nicholas nie miał pojęcia, lecz jedno było teraz dla niego jasne. Cokolwiek Tomkin uczynił w tej sprawie, nie miało to znamion osobistej wendety. Przynajmniej pod tym względem Croaker mylił się. Ale gdzie w tym zamęcie tkwiła prawda?

Dyrektorzy z Doliny Krzemowej, San Diego, Montany, Pensylwanii, północnej części stanu Nowy Jork, Connecticut, Manili, Amsterdamu, Singapuru, Berna — był nawet jeden drobny siwowłosy dżentelmen z Birmy, w której firma zajmowała się zalesieniem — rozmawiali z nim w najwyraźniej nie kończącym się szyku. Wszyscy byli przyjaźni, wszyscy byli mu nie znani.

Wreszcie pojawił się przed nim Craig Allonge, szef operacji finansowych w Nowym Jorku.

— Bogu dzięki za znajomą twarz — powiedział Nicholas. — Zostań tutaj i nie ruszaj się. Gdy to wszystko się skończy, będę miał dla ciebie zajęcie.

W limuzynie powracającej na Manhattan Nicholas wykręcił waszyngtoński numer, który dał mu Greydon. Mówił przez kilka chwil, po czym odłożył słuchawkę. Odwrócił się do Allonge'a.

— Najpierw zatrzymamy się w biurze — powiedział. — Zrób mi szybkie szkolenie na temat wydobywania informacji z komputera, potem zostaw mnie samego. Weź paszport. Zakładam, że twoja japońska wiza jest aktualna? Dobrze. Spakuj małą torbę. Jesteś mi potrzebny, aby przeanalizować ze mną pięć ostatnich lat działalności tego przedsiębiorstwa, więc nie planuj snu w samolocie.

Nicholas był znacznie szybszy od Allonge'a i gdy cztery godziny później, podczas startu, wymizerowany Teksasńczyk nerwowo przerzucał akta, on pogrzążył się w *getsumei no michi*, zamykając oczy, by uniknąć rozproszenia uwagi.

Na środkowym poziomie świadomości, który kierował w równym stopniu uczuciami i myślami, najważniejsze było wzmocnienie intuicji.

Ominął ogromną falę kataklizmów, które wydarzyły się podczas minionych kilku dni. Na drodze oświetlonej blaskiem księżyca pojawił się dylemat. Orientalna strona jego osobowości, dominująca w tych dniach, odebrała go od głównego nurtu jego myśli, starannie otaczając szczelnym murem, tak aby żadne uczucia nie miały do niego dostępu. Dlatego mógł nadal podejmować liczne codzienne decyzje, a niepożądane emocje nie miały na niego wpływu.

I w końcu na horyzoncie wyobraźni zamajaczyło nieokreślone uczucie, które prześladowało go od chwili, gdy Akiko Ofuda Sato, zsunęła wachlarz i ukazała twarz. Ani na jawie, ani we śnie nie mógł dotrzeć do tego miejsca. Dopiero *getsumei no michi*, koryto rzeki wszystkich uczuć, sprowadziło go na ten odległy brzeg.

Czuł drżenie, które tłumił wcześniej, oraz, tak, lęk, niczym potężny strumień sił starających się wydrzeć mu panowanie nad sobą. Dosłownie przez chwilę był zupełnie pewien, że — jak za dotknięciem Meduzy — ogarnie go paraliż.

Potem, przypomniawszy sobie jedną z podstawowych lekcji wśród mgieł Yoshino, pogrążył się w tym lęku, pozwolił, by przeniknął go na wskroś.

Odkrył, że jego miłość do Yukio naprawdę nigdy nie umarła.

Tuż przed zachodem słońca Sato siedział ze skrzyżowanymi nogami w swojej pracowni. Przez rozsunięte *fusuma* widać było mały, porośnięty mchem ogród, starannie pielęgnowany przez wszystkie pory roku. Istnieje ponad sto odmian mchu. Tutaj było ich dwadzieścia.

W miarę jak słońce schodziło w dół pośród rozłożystych drzew, blade światło tu i ówdzie muskało omszałe głązy, dodając ogrodowi tajemniczości.

Usłyszał za sobą ruch, ale nie drgnął.

— Proszę pana?

Był to dziwacznie piskliwy głos Kotena. W domu nie było nikogo poza nimi. Akiko wyjechała na południe, by odwiedzić chorą ciotkę, która nie mogła przyjechać na ślub, a Nangi był w swoim domu, przygotowując się do podróży do Hongkongu. Zarówno on, jak i Nangi mieli złe przeczucia, gdy odkryto ciało Ishiiego, dosłownie parę godzin po odlocie Nicholasa Linneara do Ameryki. Jak gdyby jego odlot rozgniewał bogów.

Sato próbował zdobyć się na wyrażenie obaw, które ogarnęły go w świątyni, lecz były pewne sprawy, których nie poruszało się przy starszych wiekiem.

— Proszę pana?

— Ach, słucham, Koten-san — rzucił krótko. — O co chodzi?

— Telefon, proszę pana.

— Nie chcę, by mi przeszkadzano.

— Proszę wybaczyć, ale ten dżentelmen powiedział, że to pilne.

Sato zastanowił się przez chwilę. Być może był to ten młody Chińczyk, którego zatrudnił w Hongkongu do „nadzorowania” posunięć Nangiiego. Ponieważ Nangi postanowił nie mówić wszystkiego, Sato stwierdził, że rozsądne będzie podjęcie własnych kroków, by odkryć, co złego stało się w Kolonii.

Wstał, kiwając głową do Kotena, i wyszedł z pokoju. Pracownia była miejscem do kontemplacji i, jako taka, nie miała telefonu. Sato wszedł do swojego gabinetu, okrążył z boku biurko i podniósł słuchawkę.

— Tak? Mówi Seiichi Sato.

— Mówi Feniks, Sato-san.

— Ach. — Serce Sato zaczęło bić szybciej. — Proszę chwilę poczekać. — Położył słuchawkę i bezszelestnie podszedł do drzwi. Rozejrzawszy się pośpiesznie po korytarzu, zamknął drzwi, po czym wrócił do telefonu.

— Co masz do powiedzenia?

— Obawiam się, że wieści nie są dobre.

Sato poczuł kurcz żołądka. Najpierw All-Asia Bank, a teraz to. Duże ryzyko,

duża nagroda. Obaj z Nangim wiedzieli o tym angażując się w projekt. *Tenchi* zapewniłby im największą z możliwych do wyobrażenia nagród. Jednak widmo porażki z piekielną szybkością pędziło im na spotkanie.

— Kusunoki został zamordowany.

— O tym już wiem. — Sato był zniecierpliwiony, ryzyko, które podjął, oraz myśl o niepowodzeniu czyniły go takim.

— A czy wiedziałeś, że zrobił to jeden z jego uczniów?

Linia łącząca Sato i Feniksa wydawała się jęczeć agonalnie, jakby wiele rozmów rywalizowało ze sobą o pierwszeństwo.

— Sądzę, że lepiej będzie, jak mi o wszystkim powiesz — rzekł Sato zgrzytając zębami.

— Naturalnie *muhon-nin*, którego znaleziono razem z nim, był podejrzewany o zabicie *jonina*. Teraz ustalono, że nie zrobił tego. Sowieckiemu szpiegowi zabrakło odwagi, aby popełnić tak niewyobrażalny czyn.

— W takim razie, kto n a p r a w d ę go zabił?

W ciszy rozległ się głos Feniksa:

— Gdybyśmy znali odpowiedź, byłby już ukarany.

— Więc prawdopodobnie jest jeszcze jeden... sowiecki agent.

— Przyznaję, że taka możliwość istnieje.

Sato wpadł nagle w furję.

— Jesteś najlepszy. Właśnie dlatego wynająłem cię, żebyś strzegł tajemnic *Tenchi*. Gdybym chciał nająć bezmyślnych zbirów, mógłbym ich ściągnąć z miejscowego klanu yakuza. Co ty tam robisz?

— Miej wiarę — odparł Feniks. — Wszystko jest w porządku. Zajmuję się tą sprawą osobiście.

Feniks, tak jak Kusunoki, był mistrzem *ninjutsu*. Sato złagodniał.

— B ą d ź w kontakcie.

— Codziennie o tej porze będę dzwonił do ciebie pod ten numer.

— Doskonale. Postaram się być tutaj.

Sato odłożył słuchawkę, a w drugim końcu domu wyłączył się miniaturowy magnetofon, uruchamiany głosem, podłączony do urządzenia podsłuchowego, które Koten ukrył w gabinecie Sato; wzbogacił się o kolejną informację.

Nicholas i Allonge wyszli z samolotu na lotnisku Dulles International w Waszyngtonie.

— Pan Linnear? — spytała przystojna blondynka. — Czy to pan jest Nicholasm Linnearem?

Miała europejski akcent, który starała się ukryć. Udawało jej się w jakiś sposób zmiękczać samogłoski, unikać ich gardłowej wymowy. Pomyślał, że musiała chyba tu chodzić do szkoły.

— Tak. — Akcent był bez wątpienia wschodnioeuropejski i Nicholas natychmiast zaczął analizować rysy jej twarzy.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni prochowca, wyjęła czarny portfel na wizytówki.

— Zechcą panowie pójść ze mną.

— Czy pani matka albo ojciec pochodzili z Białorusi?

Spojrzał w jej oczy o barwie błękitu nieba, właściwie lazuruowe. Były szalenie bystre. Znakomicie ukrywały pewne sprawy. Stwierdził, że mimo wszystko dziewczyna podobała mu się.

Wyjął jej z ręki otwarty portfel na wizytówki i rzucił na niego okiem.

— *Gospoda Tania Władimowa, wstriečajcie Craig Allonge. On rabota-jet dla Tomkina Industrii.*

Zaskoczenie pojawiło się na jej twarzy, chociaż skinęła głową zaintrygowanemu Allonge'owi w odpowiedzi na prezentację. Odgarnęła z twarzy swoje gęste włosy i Nicholas spostrzegł, że paznokcie były równo przycięte i polakierowane. Najwyraźniej dłonie służyły jej do pracy i to go zainteresowało.

— Mój ojciec urodził się na Białorusi — odpowiedziała w tym samym języku.

— Czy jest pani podobna do niego?

— Był bardzo oddanym człowiekiem — odparła. — Niezwykle upartym, gdy wymagała tego sytuacja. Był wiejskim milicjantem. Moja matka była Birobidżanką.

W jej oczach pojawił się chwilowy błysk, rodzaj wyzwania i ślad czegoś więcej. Nicholas wiedział, jaki musiał być los jej rodziny w Rosji. Zważywszy na to, że ojciec był Białorusinem, a matka rosyjską Żydówką, niewiele możliwości mieli przed sobą. Jej ojciec wybrał jedną oczywistą drogę; czy inni w rodzinie wybrali inaczej?

— Ilu z was było dysydentami? — spytał cicho.

Posłała mu dziwne, badawcze spojrzenie. Poczul się nieswojo. Potem jej twarz rozjaśniła się.

— Wystarczająco wielu, aby mój ojciec na długi czas pograżył się w smutku.

— Przepraszam — wtrącił po angielsku Craig Allonge. — Nick, co się dzieje?

Nicholas uśmiechnął się.

— Doprawdy, nic takiego. Panna Władimowa tylko pilnuje, żebym dopełnił warunku w testamencie Tomkina, zanim odlećmy do Japonii. —

Położył dłoń na ramieniu drugiego mężczyzny i ścisnął je. — Odpocznij na lotnisku. Odpręż się, zjedz coś porządnego. Wróć tak szybko, jak tylko będę mógł.

Panie Linnear — czterdzieści pięć minut później powiedział C. Gordon Minck czystym i szorstkim głosem — to dobrze, że przybywa pan tak szybko. Wiem, że musi pan mieć w tej chwili wiele spraw na głowie.

Nicholas został zabrany do budynku przy F Street, niedaleko przejazdu pod Virginia Avenue. Ukryta winda zawiozła ich do wysokiego na cztery kondygnacje arboretum. Nicholasowi udało się ukryć zaskoczenie. Pośrodku tego nienaturalnego lasu pod dachem przycupnęła kubistyczna konstrukcja z białej wapnem cegły. Tania wprowadziła go do środka nie zwracając zupełnie uwagi na tę teatralną i, jak na gust Nicholasa, zbyt odpuśtawą konstrukcję.

— Testament Tomkina był w tej sprawie zupełnie wyraźny.

— Mimo to cieszę się, że pana widzę.

Nicholas uśmiechnął się i dwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

Przeszli przez budynek, mijając liczne pomieszczenia, wszystkie z wyłożonymi terakotą lub drewnem podłogami. Nie było w ogóle wykładzin dywanowych i Nicholas zdał sobie sprawę z odgłosów, które wydają idąc.

— Nigdy nie słyszałem o Departamencie Międzynarodowych Taryf Eksportowych — powiedział. — Czym się tu zajmujecie?

Minck roześmiał się.

— Byłbym zaskoczony, gdyby pan o nas w c z e ś n i e j słyszał. — Wzruszył ramionami. — Jesteśmy biurokratyczną instytucją, którą Kongres, w swej nieskończonej mądrości, uznał za służącą pożytecznym celom. — Posłał Nicholasowi szczerzy uśmiech. — Wydajemy licencje eksportowe i, w pewnych nielicznych przypadkach, unieważniamy je.

Nicholas zdał sobie sprawę, że Minck odpowiada na jego pytania nie udzielając właściwie żadnej odpowiedzi.

Wyprowadzono go na przeszkłone patio. Tania już tam była. Nalewała świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy do kryształowych kieliszków. Minck ruchem ręki zaprosił Nicholasa na jeden z wyglądających na wygodne bambusowych foteli obitych haitańskimi batikami. Wokół były rozstawione palmy w doniczkach.

— Jak na biuro rządowe, jest dziwne — rzekł Nicholas.

Minck uniósł rękę.

— Och, to tylko dekoracja. Przyjmujemy tutaj wielu zagranicznych dygnitarzy. — Uśmiechnął się. — Lubimy, gdy czują się jak u siebie w domu.

— Doprawdy? — Nicholas wstał. Obchodząc patio obserwował Tanię i Mincka. — Jest prawie północ, a jednak w tym budynku panuje taki ruch, jakby była dziesiąta rano. Sądzę, że gdyby ten departament był tym, czym, jak pan utrzymuje, jest, siedziałby pan za metalowym biurkiem w pokoiku zalanym jarzeniowym światłem. A o tej porze leżałby pan bezpiecznie w swoim łóżku. Chciałbym wiedzieć, kim wy oboje jesteście, gdzie naprawdę się znajdują i co ja tu właściwie robię.

Minck skinął głową.

— Zupełnie zrozumiałe obiekcje, Nicholasie. A tak na marginesie, czy mogę mówić do pana po imieniu? Dobrze.

Zadzwoił telefon, jego dźwięk tłumili ściany. Tania przeprosiła ich.

— Siadaj, proszę. — Minck rozpiął kreponową marynarkę. — Budowa i utrzymanie tego departamentu — występuje on pod wieloma nazwami: Departament Międzynarodowych Taryf Eksportowych jest właśnie jedną z nich — kosztuje mniej więcej tyle co system AWAC. To znacznie mniej niż koszt bombowca B-1. A jednak wybudowanie tego zespołu zajęło mi sześć miesięcy papierowych wojen i gróźb. — Ponownie uśmiechnął się. — Urzędnicze mózgi nie potrafią pojąć takiej konieczności jak ta, ale ja potrafię i pojmuję. To pierwszy widok, jaki ogląda rosyjski dezerterski pakowacz.

— Szpieczy? — powiedział z lekkim niedowierzaniem Nicholas. — Raphael Tomkin miał powiązania ze szpiegami? Nie wierzę w to.

— Dlaczego nie? — Minck wzruszył ramionami. — Był patriotą. I był bliskim przyjacielem przyjaciół mojego ojca. — Dolał im soku. — Pozwól, że wyjaśnię. Mój ojciec był jednym z założycieli OSS. Tomkin był specjalistą od materiałów wybuchowych — nauczył się swego rzemiosła w piechocie morskiej, w której się poznali. Potrafił oderwać skrzydło ziębie, nie strosząc ani jednego pióra na jej piersi.

Mój ojciec wykorzystał go w kilku dość delikatnych, bardzo ryzykownych misjach pod koniec kampanii europejskiej. Jedna misja była prawdziwym niewypałem. Z tego, co udało mu się dowiedzieć, z winy Tomkina, chociaż mój ojciec nigdy nie powiedział o nim złego słowa. Ten człowiek po prostu stracił nerwy i załamał się. Trzech ludzi z oddziału wyleciało w powietrze, gdy ładunek przedwcześnie zdetonował.

Minck opróżnił swoją szklanekę.

— Twój zmarły szef był prawym człowiekiem. Sądzę, że winił siebie i

choć mój ojciec wycofał go z akcji w polu, pozostał związany z, mhm, organizacją. Ojciec nie chciał, by przyjaciel wstydził się tego, co on uważał za ludzki błąd, a Tomkin, jak przypuszczam, nie chciał zrywać kontaktów.

— Więc odziedzyczyłeś go.

— Można tak powiedzieć. — Minck chrząknął. — Nie jestem nieczuły. Znajac okoliczności, po śmierci mojego ojca dałem Tomkinowi możliwość wyboru.

Było pytanie, które musiało paść przed dalszą rozmową.

— Powiedz mi — rzekł ostrożnie Nicholas — czy Tomkin Industries zostało zbudowane za pieniądze OSS?

— Dobry Boże, nie. — Minck wyglądał na szczerze wstrząśniętego. — Nie mamy najmniejszych udziałów w korporacji. Możesz być o to spokojny.

Nicholas skinął głową i ponownie wstał. Podeszedł do oszklonych drzwi, wyjrzał na zewnątrz. Stawał się coraz bardziej niespokojny. Zastanawiał się, dlaczego Tomkin domagał się, aby tutaj przyszedł; nie chciał o to pytać wprost.

— Co się dzieje, gdy widzą to miejsce? — spytał. — Chodzi mi o Rosjan.

— Są zdezorientowani — odparł Minck. — Zdziwiłbyś się, wiedząc, jak wiele zachodniej beletrystyki udaje im się przeczytać. Większość z nich oczekuje, że zostaną zabrani do kolonialnej rezydencji, gdzieś na pustkowiach Wirginii. — Roześmiał się. — Robią wrażenie rozczarowanych, gdy nie są przesłuchiwanie przez Aleca Guinnessa lub kogoś, kogo uważają za jego amerykańskiego odpowiednika.

Minck wstał. „Pora skończyć tę zabawę” — pomyślał.

— Twoja obecność tutaj — powiedział — ma związek z waszą fuzją z Sato Petrochemicals.

— Tak...? — Nicholas odwrócił się twarzą do niego. — W jakim sensie?

— To sprawa — odparł Minck — narodowego bezpieczeństwa.

Akiko nie spała od czasu, gdy Nicholas wyjechał. Był pewien rytm w jej życiu, we wszystkich jej działaniach; Kyoki nauczył ją szukać i wykorzystywać ten rytm, rytm, który tysiącrotnie zwiększał jej potęgę.

Cóż miała zrobić teraz, gdy Nicholas powrócił do Ameryki? Były trzy możliwości, z których musiała wybrać. Pierwsza — odrzucić całkowicie swój

plan, była nie do pomyślenia. Druga — ruszyć za nim do Ameryki, oznaczałaby ustawienie się w takiej samej niekorzystnej sytuacji, pod ciężarem której ugiął się Saigo.

Przewracała się na pojedynczym *futonie*. Nie było tu misternie zdobionych narzut, żadnych luksusowych urządzeń. Gdyby nie fakt, iż w małym pokoju nie było nikogo więcej, mogłoby się wydawać, że jest w siedemnastowiecznych koszarach. Wbrew temu, co powiedziała Sato, nie pojechała w odwiedziny do swojej ciotki. Byłoby to niemożliwe: nie miała żadnych żyjących krewnych.

Powoli wstała i, przeciągając się, rozpoczęła poranny rytuał ćwiczeń. Po upływie czterdziestu minut, gdy otarła ręcznikiem spływający pot i wzięła szybki, zimny prysznic, aby zamknąć pory na skórze, wróciła do pokoju i rozpoczęła powolną, przemyślaną ceremonię przyrządzania herbaty.

Robiła to każdego rana, bez względu na to, gdzie była. Pozostało to w jej pamięci jako jedyna więź z matką, jedyna czynność, której nauczyła ją ta kobieta. Matka Akiko była *chano-yu sensei*.

W krótkich, wyćwiczonych ruchach była niemal religijna żarliwość. Element doskonałości w obliczu P u s t k i wnosił pojęcie koncentracji Zen do sztuki przygotowania herbaty, tak jak wnosił je do wielu codziennych czynności Japończyków, podnosząc je z poziomu doczesnych do poziomu sztuki, angażując w nie zarówno serce, jak i umysł oraz ręce.

Akiko wstała z bladzieloną pianką herbaty w małej, pozbawionej uchwytu czarce i otworzyła *fusuma*. Za szeroką werandą był ogród rozmyślań. W pełnym świetle połyskiwały jaskrawobiałe kamyki. Trzy wulkaniczne głązy zostały harmonijnie zgrupowane z boku.

Po prawej stronie rósł rozłożysty gigantyczny cedr. Gdy Akiko powoli piła piekącą gorzką herbatę, jej oczy obserwowały fantastyczne konfiguracje światła i cienia na grubych igłach drzewa. Była tak tym pochłonięta, że gdy w końcu powróciła do punktu wyjścia, kształty doznały subtelnych zmian wraz z kątem padania promieni słońca.

Pogrążony w P u s t c e umysł Akiko znowu słyszał wibrujące podwójne tony bambusowego fletu, wydłużone i pełne smutku. To była jedyna muzyka, którą słyszała — oprócz śpiewów ptasich, które towarzyszyły zmianom pór roku — przez wszystkie długie lata jej pobytu z Kyokim.

Słodko-gorzka pieśń zaczynała się o północy, w chwili gdy podawała Kyokiemu herbatę, pochylając się przed nim, kłaniając nisko zgodnie ze starą chińską tradycją, przy której się upierał. Czowała na nowo chłód kamiennej

posadzki na swych lekko rozchylnych ustach; w starym zamku nie było *tatami*.

Często po południu, między zajęciami, spoglądała przez wąskie szczeliny okien wyciętych w grubych kamiennych murach bez szansy na to, że wśród zieleni dostrzeże grajka. Był *komuso*, wyznawcą sekty buddyzmu zwanej *Fuke*. Miał na głowie trzciniowy kapelusz, odziany był w prostą pasiastą suknię i drewniane *geta*. Grał tak pięknie, że często płakała słysząc delikatne tony, które z okrucieństwem, jeden po drugim, unosiły się w powietrzu niczym roztapiające się płatki śniegu.

Akiko miała na tyle sprytu, że nigdy nie pozwoliła na to, aby Kyoki widział jej łzy. Gdyby widział ją płaczącą, z pewnością by ją ukarał. Taki właśnie był Kyoki: dowódca w bitwie.

Wysoko na murach zamkowych powiewał zrobiony przez niego sztandar *sashimono* — stary bitewny sztandar. Jak nazywała tradycja, dominował na nim herb dowódcy, stylizowana *mempo* — stalowa maska bitewna. Były one w różnych stylach i kształtach. Maską Kyokiego wzbudzała największy strach wizerunkiem *akuryo* — obliczem złego demona na czarnym polu.

Podczas dnia Kyoki zawsze tak ustawiał Akiko, żeby *sashimono* był w polu jej widzenia. Nigdy nie mogła się od niego uwolnić, nawet we śnie nocą słyszała ciężkie trzepotanie materiału na wietrze.

Paniczny strach nękał ją tak długo, że w skrytości ducha podejrzewała, iż Kyoki wkradł się do jej komnaty, gdy spała, wyjął jej serce i z tajemnym zaklęciem na ustach zastąpił je sercem z kryształu, w które mógł spoglądać, kiedy tylko chciał.

Akiko otworzyła nagle oczy i spojrzała na czarękę, którą mocno trzymała w obu dłoniach. Łzy zmyły osad z liści, skręcając je w nowe wzory.

Zamrugnęła szybko i głęboko odetchnęła, wypuszczając nieświadomie zatrzymane w płucach powietrze. Za rozsuniętą *fusuma*, za kamiennym ogrodem, gdzie rozłożysty cedr kołysał się na wietrze, widziała szary mur, za którym rozciągały się zalesione zbocza i przysłonięte mgłą doliny Yoshino.

Alix odsuwała się od niego. Jej zielone oczy były otwarte tak szeroko, że Croaker widział białka dokoła tęczówek. Ręce wysunęła przed siebie, w obronnym geście, a gdy końcami stóp uderzyła w okrężnicę, była tak przerażona, że myślał, iż wpadnie do morza.

Rzucił się w jej stronę; Alix krzyknęła, odwróciła się, poślizgnęła i upadła na pokład, zdzierając skórę na kolanie.

— Odejdź ode mnie! — krzyknęła. W jej głosie była nutka hysterii. — Kim ty jesteś, na rany Chrystusa?

— Już ci powiedziałem. — W głosie Croakera było znużenie, którego nie usiłował nawet ukryć. — Lewis Croaker. WPNJ. — Siadł na przeciwległej okrężnicy; żołądek uspokajał się z wolna.

— Zarzygałeś mi całą łódź — powiedziała. A potem, jakby po namyśle: — Zabieś człowieka.

Spojrzał na nią, jakby zwariowała.

— Zabiłby mnie pierwszy, gdybym dał mu tę szansę. — Wskazał miejsce na pokładzie pomiędzy nimi. Pistolet Czerwonego Potwora leżał tam jak błyszcząca ryba. — Chciał rozwalić mi łeb.

— Zapach jest okropny — powiedziała odwracając się.

— Śmierć też taka jest — odpowiedział łobuzersko. Sięgnął po czerpak i morską wodą zmył swoje wymiociny do ścieków pokładowych. Potem podniósł magnum trzysta pięćdziesiąt siedem i przyglądał mu się uważnie. Nie było na nim oznaczeń, a numer seryjny został spiłowany. Był dziewiczy i dzięki temu źródło jego pochodzenia było nie do wykrycia.

Alix zaczęła teraz drżeć. Palcami zaciskała ramiona z taką siłą, że zrobiły się białe. Usta poruszały się jak w modlitwie.

Zrzucił maskę i rękawice na pokład, zdjął ciężką butlę z tlenem i oparł ją o poręcz.

— Co masz zamiar zrobić teraz, gdy jesteś wolna? — spytał cicho.

Alix wciąż drżała.

— Co... — Wydawała się dławić własnymi słowami. Przelknąwszy ślinę spytała: — Co masz zamiar z nim zrobić? — Pochyliła głowę, ale nie spojrzała na zwłoki.

— Pójdzie na dno razem z łodzią. — A gdy rzuciła mu ostre spojrzenie, potwierdził skinieniem głowy. — Łódź możesz spisać na straty, nie ma innego wyjścia.

— Jest jeszcze ten drugi. — Jej głos był bardzo słaby.

Croaker wiedział, że mówi o Niebieskim Potworze.

— Zatonięcie łodzi zatrzyma go wystarczająco długo, żebyś zdążyła wy dostać się z kraju.

Było oczywiste, że słuchała bardzo uważnie, ponieważ odwróciła się teraz i spojrzała mu prosto w twarz.

— Powiedziałeś „wydostała”, nie „wydostali”. — Skinął głową.

— Jak to możliwe?

— Byłaś już wystarczająco długo więziona. Nie mam zamiaru tego przedłużać.

— Ale chcesz czegoś ode mnie, to jasne, łatwo się tego domyślić.

Właśnie dlatego tutaj z... nimi jestem. Właśnie dlatego za mną przyjechałeś. — Obserwowała twarz Croakera. Croaker odwrócił wzrok.

— Wiesz, kim są ci dwaj? — W milczeniu potrząsnęła głową. — Skąd się wzięli? — Potrząsnęła głową. — Ktoś cię osłania?

— Nie.

— Ale przecież wiesz, czego nie możesz wyjawić. — Znowu w jego głosie pojawił się cierpki ton. Chrząknął, a nie otrzymawszy odpowiedzi zaczął metodycznie przeszukiwać łódź. Gdy wrócił na pokład, Alix nadal tkwiła na nim nieruchomo.

Wskazał Czerwonego Potwora.

— Ten facet nie ma nazwiska, żadnych dokumentów, niczego. Jest czysty jak świnia utyłana w gównie. — Spojrzał na nią w oczekiwaniu jakiegokolwiek reakcji, po czym sięgając do ręki Czerwonego Potwora powiedział: — Z wyjątkiem tego.

Alix wydała z siebie cichy okrzyk, gdy z końca palca mężczyzny zdarł coś, co wyglądało jak okrągły kawałek skóry. Powtórzył tę operację jeszcze dziewięć razy.

— Alix? Wiesz, co to jest. — Gwałtownie potrząsnęła głową. — To są „idioci”. „Idioci” służą do zmiany linii papilarnych. Bardzo wyrafinowany sposób. Sądzę, że przeciętny uliczny gangster jest o całe lata świetlne za tyłu za tego rodzaju wynalazkiem. — Nie okazał tego po sobie, ale żołądek skurczył się boleśnie, gdy spostrzegł, że jeden „idiota” zaczyna się łuszczyć.

Wchodzenie w czerwony krąg ze z góry ustalonymi sądami było chyba największym grzechem, jaki mógł popełnić detektyw. Musiał przyznać, że to właśnie zrobił na początku. Zakodował sobie, iż Tomkin jest łajdakiem, i żadna inna myśl nie przyszła mu do głowy.

Ale teraz, z „idiotami” w roli dowodów, przy braku innych dokumentów, w połączeniu z metodami, które stosowali ci dwaj „dozorcy więzienni”, Croaker dostrzegł inną możliwość i to mu się wcale nie podobało.

— Są odrażające — rzekła Alix. — Zabierz je, wyglądają jak ślimaki.

Croaker odłożył „idiotów” i podszedł do niej.

— Alix, kim u licha są ci faceci?

— Ja... ja nie wiem. Nie jestem... — Odwróciła głowę. — Pomieszało mi się już. Nie wiem już, co jest dobre, a co złe.

Zobaczył w jej oczach strach i postanowił nie męczyć jej dłużej. Bliskość trupa przerażała ją. Podniósł kotwicę, uruchomił silnik i błyskawicznie przechylił łódź na prawą burtę. Łagodnym łukiem podpłynął do swojej łodzi.

Wysprzęglił silnik, zarzucił kotwicę na swoją łódź, aby połączyć obie, i wspiał się na poręcz. Odwrócił się i podał rękę Alix.

Wyprostowała się powoli i niczym w transie weszła na pokład.

— Może zejdziesz pod pokład i położysz się? — spytał prowadząc ją delikatnie do zejściówki. — Odpocznij trochę.

Gdy zniknęła, zabrał się do pracy. Przeniósł dwulitrowy plastikowy zbiornik z benzyną na łódź Alix. Chwył zwłoki Czerwonego Potwora i używając rybackiego noża, odciął kolczasty grot harpuna. Wyrzucił drzewce za burtę, po czym przeniósł ciało i ułożył je na kole sterowym.

Na koniec podniósł leżące magnum i zszedł pod pokład, gdzie oddał trzy strzały w dno kadłuba. Woda zaczęła sączyć się przez dziury. Odkręcił zakrętkę zbiornika z benzyną i rozlał po kabynie jego zawartość. Wychodząc z kabiny zapalił zapalną; z trudem umknął przed nagłym wybuchem płomieni.

Wygramolił się na pokład i wciągnął kotwicę do środka. Owinął łańcuch wokół kostek Czerwonego Potwora. Otworzył do maksimum przepustnicę silnika, ster ustawił na wprost i ze zbiornikiem w ręku wyskoczył za burtę.

Bez trudu podpłynął do swojej łodzi i wspiąwszy się na pokład, schował swój sprzęt do nurkowania razem z pustym zbiornikiem. Wszedł pod pokład.

Alix leżała na wąskiej koi, prawą ręką przykrywając oczy. Usłyszała, jak się zbliża, i nieznacznie poruszyła wargami.

— Słyszałam jakieś hałasy. Przypominały trochę strzały.

— Twój silnik ma samozapłon. — Nie było sensu mówić jej o czymkolwiek, tkwiło w tym pewne niebezpieczeństwo.

— Nie ma już jej. — Powiedziała to tak, jak mała dziewczynka mówi o ulubionym misiu.

— Była to część ceny za twoją wolność.

Odsunęła rękę z twarzy i spojrzała na niego.

— No cóż, nigdy za nią nie zapłaciłam. Tak czy owa łódź nie była moja.

Croaker potwierdził skinieniem głowy i usiadł obok na koi.

— Chodzi o twoją przyjaciółkę, Angelę Didion.

— Tak. — Alix powiedziała z westchnieniem: — Zawsze chodzi o Angelę.

— Otrzymałem donos — rzekł Croaker. — Znalazłem ją martwą. I chcę dostać zabójcę.

Alix zamrugnęła powiekami.

— Czy tylko o to chodzi?

— Ktoś nie chce, żebym odnalazł mordercę. — Zawahał się teraz. Był bliiski zadania pytania, które prześladowało go przez ponad rok, pytania, które zaprowadziło go po informacje do Matty'ego Gaduły, pytania, które zawiodło go do Key West, mimo iż jego kapitan przestrzegwał go przed tą sprawą.

Zaschło mu w gardle. Miał wrażenie, że struny głosowe skurczyły się. Tyle czasu nad tą jedną sprawą, z taką determinacją. I teraz patrzył na zielone jak jadeit oczy osoby, która знаła odpowiedź.

— Czy to Raphael Tomkin ją zabił? — Pytanie zabrzmiało tak, jakby wypowiedziane było przez kogoś innego. Wiedział jednak, że to jego głos.

— Tomkin był przy tym.

— To nie jest odpowiedź.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, starając się podjąć decyzję. Łódź kołysała się łagodnie na falach. Nad wytartym pokładem unosił się zapach suszonych ryb. Poruszyła się w końcu. Usiadła.

— Zawrzemy umowę — wyszeptała. — Wydostaniesz mnie z Florydy, zabezpieczysz mnie tam, gdzie będę bezpieczna... — Przerwała, jakby obawiając się przekroczyć ostatni próg. — A ja powiem ci wszystko, co wiem o śmierci Angeli Didion.

Jeżeli Minck spodziewał się jakiejś reakcji ze strony swojego gościa, gorzko się rozczarował. Nicholas powiedział spokojnie:

— Ten wydział związany jest z Rosją Sowiecką. Jak to możliwe, że miał powiązania z Japończykami?

— Nie będzie dla ciebie niespodzianką fakt, że od czasu zakończenia wojny Japonia była głównym przedmurzem komunizmu na Dalekim Wschodzie. Od lat wywieramy na nich olbrzymią presję, domagając się, aby zwiększyli swój budżet wojskowy, co, mógłbym tu dodać, robią powoli, lecz niezawodnie. — Wzruszył ramionami. — To już coś. Tego roku zgodzili się, abyśmy zainstalowali sto pięćdziesiąt najnowszych naddźwiękowych myśliwców F-20 Tiger-shark w bazie Marynarki Wojennej w Misawie.

Rozmowa zaczęła przypominać rozmowę, którą Nicholas przeprowadził tydzień wcześniej z Tomkinem.

Najświeższe informacje naszego wywiadu mówią o tym, że każda z Wysp Kurylskich znajduje się w rękach co najmniej dwóch dywizji sowieckiej piechoty zmechanizowanej. Dwadzieścia osiem tysięcy żołnierzy. A na jednej z nich znajduje się sowieckie stanowisko dowodzenia zdolne koordynować działania całego korpusu armijnego.

Minck, siedzący naprzeciwko Nicholasa, pochylił się.

— Od czasu gdy przybyły nowe MIGI, odbyło się tam wiele skoordynowanych działań. Lecz osobiście nie sądzę, żeby wiązało się to z odrzutowcami ponaddzwiękowymi. Zostały sprowadzone tylko jako obrona przed naszymi F-20. Jeżeli coraz liczniejsze informacje służb wywiadowczych są prawdziwe, chodzi o coś znacznie poważniejszego. To, co sugerują nasze badania, jest potwierdzeniem tego, czego przez moment obawiało się wielu z bardziej wojowniczych szefów połączonych sztabów.

Minck wypił łyk soku.

— Czujemy teraz, że rozbudowa liczebna wojsk jest częścią wyraźnego planu stworzenia wojskowej kurtyny w tej części globu. Rosyjskie łodzie podwodne, przenoszące pociski balistyczne dalekiego zasięgu z głowicami nuklearnymi, zdolne dotrzeć do amerykańskiego terytorium, mogłyby za nią działać bez obawy o interwencję.

Nicholas mimo woli poczuł chłód.

— To, o czym mówisz, to szaleństwo. Globalne szaleństwo. Zginęlibyśmy w ułamku sekundy, nie wiedząc nawet o tym. Trzy czwarte ludzkości unicestwione. — Potrząsnął głową. — Nie mogę w to uwierzyć. Nawet dinozaury postępowaly mądrzej.

— Dinozaury nie były wystarczająco inteligentne, aby rozszczepić atom — rzekł ironicznie Minck. — Więc zacznij lepiej w to wierzyć. — Nicholas mógł teraz dostrzec iskierkę ognia w jego oczach. — Dzieje się dokładnie to, na co wskazują nasze informacje.

Nicholas przez chwilę nic nie mówił. Słyszał było szum automatycznych zraszaczy.

— Jest to z pewnością materiał „tylko dla wtajemniczonych” — powiedział po chwili. — Mimo to wyjawileś to wszystko mnie, cywilowi. Dlaczego?

Minck podniósł się, wyprostował nogi. Stał teraz przy podwójnych oszklonych drzwiach, z dłonią opartą na filarze z białego drzewa, który je oddzielał. Zamyślił się wpatrzony w liście roślin.

— Komitet Bezpieczeństwa Państwowego Związku Radzieckiego, znany powszechnie jako KGB, składa się z dziewięciu wydziałów — rozpoczął. Tembr głosu Mincka zmienił się i Nicholas miał wrażenie, że myślimi był wciąż daleko. — Każdy wydział ma określone zadania. Na przykład Pierwszy Wydział kieruje sprawami wewnętrznymi. Jeżeli znajdziesz się kiedyś w Rosji i zgarną cię, właśnie pracownikom tego wydziału zostaniesz przekazany w chwili, gdy dotrzesz do żółtego, murowanego budynku na placu Dzierżyńskiego.

— Minck przerwał, jakby zniewolony własnymi myślami. Z widocznym wysiłkiem ciągnął dalej:

— Z kolei Czwarty Wydział zajmuje się wszystkimi operacjami w Europie Zachodniej, Szósty w Ameryce Północnej, Siódmy w Azji. — Odwrócił się gwałtownie. — Jestem pewien, że masz już jakieś wyobrażenie. Kuryle, ze względu na bliskość Japonii, są i zawsze były pod kontrolą Siódmego Wydziału.

Minck przeszedł przez pokój i stanął przed Nicholasem. Był zbyt spięty, aby mógł usiąść.

— Nie dawniej jak dziesięć dni temu jeden z moich młodych geniuszy odszyfrowywania złamał jeden z nowych sowieckich szyfrów Alfa-trzy. Są one co tydzień zmieniane, więc ich przydatność jest ograniczona. Jednak ten człowiek pracuje wyłącznie na Alfa-trójkach, ponieważ za ich pośrednictwem nadawane są tylko najważniejsze informacje.

Wsadził ręce do kieszeni spodni, jakby nie miał pojęcia, co z nimi zrobić.

— Zanim powiem ci, co zawierał ten szyfrogram, muszę wyjaśnić, że przez ostatnie dziewięć miesięcy nie ustajemy w wysiłkach, aby ustalić, kto prowadzi operację na Kuryłach. Powinien to robić Rulczek, Anatolij Rulczek, szef Siódmego Wydziału. I rzeczywiście w tym okresie trzy lub cztery razy otrzymaliśmy informacje o jego wizytach na stanowisku dowodzenia. Ale szczerze mówiąc coś było podejrzane. W tym samym czasie była tam po prostu zbyt duża aktywność GRU. Znam dobrze Rulczeka! Nienawidzi GRU z zacięłym fanatyzmem starego reżimu. Otrzymuję również raporty o pewnym pułkowniku Mironience, który stopniowo przejmował dowodzenie, gdy Rulczek był w Moskwie. Zacząłem zadawać sobie pytanie, co się tam dzieje takiego, że nikt o tym nie wie? Czy gospodin Rulczek naprawdę prowadził te operacje, a jeżeli tak, dlaczego miałby oddawać GRU choćby częściową kontrolę nad nimi? Nicholasie, powiem ci zupełnie szczerze, że pomysł zjednoczenia KGB i GRU wzbudza we mnie bardzo złe przeczucia. Ale przypuszczenie, że pułkownik Mironienko kierował tą zabawą, wydaje się jeszcze bardziej niesamowite. Z pewnością operacje na Kuryłach były zbyt poważne, aby powierzać je młodemu pułkownikowi.

— Jak więc było naprawdę?

Minck pochylił się teraz przysiadając na poręczu białego bambusowego fotela. Gdy mówił, jego noga wykonywała ruchy w przód i w tył jak metro-nom.

— Wrócimy teraz do przechwyconego szyfrogramu. Mówi on o kims znanym jako Miira. Mówi nam, że Miira jest na miejscu i regularnie dostarcza. Co sprawia, że kierownictwo staje się bogatsze. — Minck wyciągnął ręce z kieszeni i złączył dłonie. Nicholas spostrzegł, iż są lekko spocone. —

Ten sygnał został nadany gdzieś na północy Hokkaido i odebrany przez sowieckie stanowisko dowodzenia na Kurylach. Stało się to w czasie, gdy dowodził pułkownik Mironienko, a nie gospodin Rulczek.

Nicholas pomyślał, że czas najwyższy, aby wniósł coś do tej rozmowy.

— Czy ten szyfrogram był podpisany?

Noga Mincka zatrzymała się na chwilę w swym hipnotycznym wahadłowym ruchu. Skinął twierdząco głową, jak profesor aprobujący pytanie ucznia.

— O tak, oczywiście. Ale dojdziemy do tego za chwilę. Może byłbyś najpierw uprzejmy powiedzieć mi, czy słowo Miira mówi ci coś.

Nicholas myślał przez chwilę.

— Przydałoby się, żebym zobaczył znak *kanji*, jakiego użyto znaczenia. Ale wnioskując, powiedziałbym, że jest to japońskie określenie m a m u s i .

— Uhm. Mamusia, mówisz.

Nie było sensu odpowiadać.

Minck uniósł głowę.

— Powiedziałbym, że raczej „Wykop Jamę”.

— Wykop Jamę?

Minck sprawiał wrażenie zadowolonego, że znów może coś wyjaśnić.

— Gra komputerowa. Dwa piętra niżej mamy ich duży zapas. Poprawia refleks naszych operatorów. „Wykop Jamę” zmusza gracza, by bezustannie rył w ziemi w celu zdobywania punktów.

— Twierdzisz, że osoba występująca jako Miira jest kretem?

— W istocie. Tekst rozpatrywany w tym świetle ma sens, prawda? Miira jest na miejscu i dostarcza — wprowadza tam informacje — regularnie. Oczywiście kierownictwo staje się bogatsze.

— Ale gdzie jest ten kret? — spytał Nicholas. — Czy sygnał dał ci klucz do odpowiedzi?

Minck wstał i zamiast odpowiedzieć, przejechał dłońmi po swych spodniach.

— Powiedz, czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego pan Tomkin tak uparcie domagał się, żeby miejscem lokalizacji proponowanych zakładów Sphynxa była Misawa?

Nicholas potwierdził skinieniem głowy.

— Oczywiście. Zwłaszcza gdy stało się to źródłem niezgody w negocjacjach. Radziłem mu, aby porzucił ten pomysł; wstrzymywał on dokonanie fuzji. Wtedy podał mi fakty i liczby dowodzące celowości uzyskania lokalizacji w Misawie.

— Gówno prawda — powiedział szyderczo Minck.
— Co takiego?
— To, co powiedział tobie i ludziom Sato, to bzdury — Minck uniósł dłoń.
— O, analiza kosztów została przeprowadzona i wszystkie liczby są prawdziwe. To po prostu nie jest prawdziwy powód, dla którego Tomkin upierał się przy Misawie.

— Nie rozumiem.

— Upór Tomkina w kwestii Misawy wypływał z tego samego źródła, co opór Sato w oddaniu jej wam. Jego firma jest zaangażowana we własne przedsięwzięcie. Nie wiemy, co to takiego, znamy jedynie jego nazwę: *Tenchi*. Z samej tylko nazwy, Niebo i Ziemia, sądzimy, że musi być ogromnie istotne.

— I czymkolwiek jest *Tenchi*, organizuje się je w Misawie?

— Tak, przypuszczamy, że tak właśnie jest. Wprawdzie *keiretsu* utrzymuje w Misawie biura *koncernu* górniczego, ale uzyskaliśmy potwierdzenie informacji, że nie prowadzi się tam wydobywania w skali, która uzasadniałaby panujący w miasteczku ruch. — Minck, mistrz w swojej profesji, zawiesił na chwilę głos, aby ta niewinna uwaga nabrała znaczenia, potem dodał: — Moim zdaniem Rosjanie również mają tę informację.

Nicholas przez cały czas był czujny.

— Od Miiry?

— W tej chwili nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się tego. — Minck spojrzał Nicholasowi prosto w oczy.

— O, nie — powiedział Nicholas. — To nie jest moja specjalność.

— Wręcz przeciwnie — Minck nie spuszczał z niego wzroku.

— Ale masz przecież przeszkolonych do tego ludzi. Wykorzystaj ich.

— Wykorzystywałem — krótko odparł Minck. — Przez dziewięć miesięcy. Ostatni został odesłany w przerażającym stanie. Nie ma sensu wysyłanie następnego; zdemaskowałem się. Poza tym czas ucieka.

Nicholas myślał o tym przez chwilę.

— Jesteś przekonany, że Miira został umieszczony w *keiretsu*?

— A gdzieżby Sowieci mogli umieścić „Wykop Jamę”, aby wyciągnąć maksimum informacji o *Tenchi*?

— W takim razie posunęli się prawdopodobnie dalej niż ty w rozwiązywaniu tej tajemnicy.

Przerwa, która nastąpiła w rozmowie, była bardziej znacząca niż jakiegokolwiek słowa Mincka.

— Czy wiesz coś jeszcze o mamusi? — spytał Nicholas wiedząc, że zbliża

się coraz bardziej do tego, czego rozpaczliwie oczekuje od niego Minck.

— Niestety nie.

— Chryste, może zawiążesz mi oczy, włożysz mi w dłoń ośli ogon i okręcisz mnie dokoła?

Minck wpatrywał się w wypolerowane paznokcie.

— Słyszałem, że *ninja*, to znaczy prawdziwi *ninja*, potrafią zabijać z przewiązanymi oczami, w ciemności. Słyszałem, że potrafią przenikać w najbardziej strzeżone miejsca; pojawiać się i znikać w mroku nocy jak na zawołanie. Maskować się w najdoskonalszy sposób.

— To wszystko prawda — odparł Nicholas — ale nie zrobię tego dla ciebie.

— Och, to nie dla mnie to zrobisz, Nicholasie. Wcale nie dla mnie. Istnieje, jak to nazywacie, *giri*. Tomkin obarczył cię odpowiedzialnością. Sądzę, że jemu jesteś to winny. Wiem, że poprosiłby cię o to, gdyby był tutaj. Poza tym fuzja nie będzie miała znaczenia, jeżeli Sowietom uda się spenetrować *Tenchi*.

Nicholas wiedział, że teraz nic nie ma znaczenia — ani to, co myślał o Mincku, ani to, czego Minck od niego żądał. Był *giri*. A życie bez obowiązku stałoby się pozbawioną znaczenia, bezładną gonitwą zdarzeń. Kiedy tu wszedł przed mniej więcej godziną, nie miał zamiaru zostać wplątany w sprawy, które go nie interesowały. Jednak Minck bardzo sprytnie pozbawił go możliwości wyboru. Był *giri*. Nicholas nie był Minckowi nic winien i Minck wiedział o tym. Ale z Tomkinem sprawy miały się nieco inaczej.

Co miał teraz zrobić, mając nowe informacje o trzech morderstwach w Sato Petrochemicals? Czy mogły być dziełem Miiry? Sądził, że jest to niemożliwe, ponieważ zadanie Miiry wymagało anonimowości i spokoju. Zdecydował nie poruszać tego tematu w rozmowie z Minckiem. Poza tym dał Sato słowo, że nie będzie o tym z nikim rozmawiał. Odnosiło się to, rzecz jasna, tylko do pierwszego morderstwa.

— Co wiesz o *Tenchi*! — spytał po chwili.

— Czteryście miliardów jenów, tyle właśnie japoński rząd włożył w ten projekt, a końca nie widać.

— Chryste, co to, u licha, jest?

— Twoje domysły będą prawdopodobnie równie trafne jak moje!

— O Boże!

Minck wstał.

— Nie ma nikogo oprócz ciebie, to nie kłamstwo. — Podszedł z powrotem do okna. Zraszacze rozpoczęły znowu swą pracę, rozpylona woda

zdobiła kropkami szybę w regularnych odstępach czasu.

— Sądzę, że doszliśmy do osoby, która podpisała przechwycony sygnał.

Minck zeszywniał, jakby wyczuł wroga.

— O, tak. Masz dobrą pamięć. Był podpisany „Protorow”.

— Wiktor Protorow, przyjacielu, jest szefem Dziewiątego Wydziału KGB.

— Jaki jest zakres ich działalności?

— Zależy, z kim rozmawiasz. Niektórzy twierdzą, że Dziewiąty jest jego prywatnym psem łańcuchowym. Ale wydaje mi się, że byłoby to grubą przesadą nawet u Rosjan. Poza tym byłby to układ, za którym agitowałby GRU, więc nie biorę tego pod uwagę.

— Cóż, w takim razie...

— Zgodnie z moją teorią Dziewiąty nadzoruje i steruje ogólnoswiatową siecią terrorystów, których Sowietci szkolą i którymi, w pewnych przypadkach, kierują.

— Ten gospodin Protorow to bardzo niebezpieczny człowiek. — Bacznie obserwował Mincka, ponieważ podejrzewał, że dotarli do sedna sprawy.

Minck powiedział prawie bez mrugnięcia okiem:

— Ogromnie niebezpieczny. Jest wyjątkowo wojowniczy. Wyjątkowo bystry. Ale, co gorsza, nie jest biurokratą.

— Zatem usuną go w końcu — zauważył Nicholas. — Zajmą się nim dla ciebie.

— Przypuszczam, że spróbują.

— To znaczy?

Minck odszedł od okna.

— Przez całe lata Protorow był szefem Pierwszego Wydziału, po czym, przed około sześciu laty, został awansowany. Właściwie to myślę, że ten gospodin ma już zbyt wielką władzę.

— Będę więc musiał pamiętać o zachowaniu szczególnej ostrożności.

— Ach — rzekł Minck. Obserwował Nicholasa. — Byłbym, mhm, wdzięczny, gdybyś tak zrobił. Protorow ma brzydki zwyczaj polowania z fretką.

— Czy tym właśnie teraz jestem? Fretką?

— Sato Petrochemicals to tunel, którym spuszcza cię w dół — powiedział Minck chwytając dłoń Nicholasa. — Pamiętaj tylko o zapalaniu światła, gdy będziesz szedł.

W powrotnej drodze przeszli przez dziwny budynek.

— Tania poda ci kod, który umożliwi dostęp do sieci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zawsze możesz złapać kogoś z nas. — Uśmiechnął się, być może z ulgą. — Nicholasie, byłbym wdzięczny, gdybyś zachował to wszystko dla siebie.

Zapadał zmierzch, gdy Tengu postanowił, że czas opuścić *dojo*. Od czasu gdy znaleziono jego towarzysza broni, Tsutsumu, nieżywego u stóp mistrza, poczuł się nieswojo w otoczonym murami zamku, który przez ponad rok był jego domem.

„W jaki sposób Tsutsumu został zdemaskowany? — Zaczął sobie zadawać to przerażające pytanie, gdy tylko dowiedział się o jego śmierci. — Jeżeli Tsutsumu, to dlaczego nie ja?”

Tutaj zrozumiał, że na świecie jest więcej złych sił, niż sobie wyobrażał. Był świadkiem wyczynów, które uprzednio uważał za niemożliwe i których do tej pory nie potrafił pojąć. Wszystkie, a może nawet więcej, mogły stać się jego udziałem, gdyby został i pilnie pracował. Ale nie tak miało być.

Zdecydował o tym sygnał z kierownictwa. Tengu zastanawiał się teraz, kogo się bardziej obawiał, kierownictwa czy tych obcych ludzi dookoła. Chociaż mieszkał z nimi, był dostatecznie inteligentny, by wiedzieć, że nie był ich częścią. Unosił się poza ich orbitą, tak jak księżyc unosi się poza orbitą słońca, świecąc zimnym odbitym światłem.

Chwilami myśl o wyjeździe była mu wstrętna, ale wiedział, że dokładne śledztwo musi wykryć prawdę; zwrócił więc swe myśli w innym kierunku.

Mimo wszystko nie gotowałyby się teraz do odjazdu, gdyby nie skrytki. To był przypadek. Dopiero później zdał sobie sprawę, że tylko w taki sposób można było się natknąć na tak sprytnie ukryty schowek.

Po kolei wszyscy nowicjusze zrywali lilie, które, uginając się pod ciężarem rosy, porastały zbocza wzgórz Yoshino za otoczonym murami zespołem zamkowym. Dziś była jego kolej i tuż przed świtem — tak jak robił Kusunoki, gdy jeszcze żył — Tengu wspinał się po zboczach w poszukiwaniu tych najbardziej cieszących oko kwiatów.

Wróciwszy do *dojo*, poszedł do gabinetu. Pokój był pusty. Zgodnie ze zwyczajem panującym w *dojo* pomieszczenie nie będzie już nigdy wykorzystywane do celów innych niż głęboka kontemplacja nad duchem mistrza, duchem wszystkiego, czego w nim nauczano.

Tengu klęczał przed kamionkową wazą, która stała na stopniu *tokonomy*, niszy medytacyjnej, w gabinecie Masashigi Kusunokiego. Nalał świeżej wody do wąskiego otworu wazy i zaczął starannie układać lilie.

Myślami był bardzo daleko. Zamiast skoncentrować się na duchu trzymany w dłoniach kwiatów, przypominał sobie wszystko, co robił podczas ostatniego tygodnia, aby odkryć tajemnicę nauczyciela. Co to miało wspólnego z nim, nie wiedział i nie jego sprawą było wiedzieć.

Oczywiście jego poszukiwania hamowała ostrożność, którą musiał zachować przebywając wśród tych niebezpiecznych ludzi. Teraz był zaabsorbowany myśleniem o tym, co zaniedbał.

Jego myśli w pojęciu Zen wędrowały i dlatego był niezręczny. Lecz, jak na ironię, to właśnie niezręczność doprowadziła go do odkrycia. Gdy układał lilie, na idealnie wypolerowaną drewnianą powierzchnię spadło kilka kropeł wody. Poruszył się, aby zetrzeć je brzegiem rękawa, i wtedy dostrzegł rysę cienką jak najcieńszy włos.

Najpierw myślał, że to zwykłe pęknięcie słoja, spowodowane rozszerzeniem i kurczeniem się drewna pod wpływem zmian temperatury. Gdy przyjrzał się dokładnie, zauważył, że linia biegnie prosto jak strzała na długości około pięciu cali. Spostrzegł też następną, łączącą się z pierwszą pod kątem prostym. Serce mu mocniej zabiło. Rozejrzał się pełen obaw, że ktoś go może obserwować. Wokół panował spokój.

Teraz, gdy wyciągnął szyję, widział, że porcelanowa waza stoi pośrodku czegoś, co mogło być tylko ukrytymi drzwiami.

Wyciągnął nóż tak cienki, że wydawał się cieńszy od drutu żarowego. Powoli zbliżył jego ostrze do cienkiej jak włos rysy, zachowując największą ostrożność. Gdyby popełnił błąd lub w jakiś sposób zostawił ślad na gładko wypolerowanej powierzchni, byłby zgubiony. Jego towarzysz broni został już zdemaskowany, nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób. Nie wolno mu było zostawić najmniejszego śladu sugerującego, że w *dojo* przebywał następny zdrajca.

Łowił najdrobniejsze zmiany w cichych dźwiękach dobiegających z budynku; manipulował nożem pewnie i zręcznie, ciesząc się z najmniejszych drgnień drewnianej płyty. Był zadowolony ze swej cierpliwości.

W końcu został nagrodzony. Odchylił kawałek płyty. Nie było zawiasów. Tengu pokiwał głową z uznaniem. Ten system zamknięcia był najbezpieczniejszy, bowiem *sensei* miał pewność, że przy tak szczelnym dopasowaniu płyty zauważy wszelkie próby otwarcia skrytki.

Pod płytą znajdowało się wgłębienie na około trzy cale oraz metalowe drzwiczki z zatraskiem sprężynowym. Ponownie użył swojego uniwersalnego noża, by podważyć zamek. W środku znalazł dokumenty. Były tymi, których poszukiwał. Pośpiesznie wepchnął zwitek papieru ryżowego pod

luźny bawełniany płaszcz. Czuł, jak papier, niczym uwięziony ptak, ociera się z szelestem o jego skórę. Potem zamknął skrytkę i delikatnie ułożył płytę.

Koncentrując się ułożył lilie dnia w najprostszy, choć bardzo majestatyczny bukiet. Mistrzowi spodobałaby się jego *ikebana*.

W słabnącym świetle skończył pakować swój skromny dobytek do bawełnianego tobołka. Dotknął mocno zaciśniętego pasa, pod którym ukrył zwitek dokumentów, i wyszedł ze swojego pokoju na pusty korytarz.

Błyskawicznie, chociaż bez nerwowego pośpiechu, przedostał się przez labirynt *dojo*, przeszedł bez przeszkód przez starą kamienną bramę. Minął czerwoną *torii*, która stała na straży terenów szkoły, i ruszył stromą, krętą ścieżką przez gęsto zalesione zbocza wzgórz Yoshino. Strzelające do góry szpalery cyprysów, cedrów i świerków sięgały prawie sklepienia niebieskiego. Tylko gdzieś tam przebłyskiwały promienie zachodzącego słońca. Powietrze przesycone było ich oszłamiającym zapachem drzew.

Na wschodzie widać już było gwiazdy: niczym groty strzał wbite w nadciągającą tarczę nocy. Jaskółki i szare siewki śmigały ponad szeleszczącymi łanami zbóż, chcąc się skryć w swoich gniazdach, zanim bystroocy drapieży ciemności zbudzą się i zerwą do lotu.

Za sobą pozostawił otoczoną murem fortecę. W *dojo* paliły się już drżące i mgliste światła. Czuł się wolny. Całkowita koncentracja w każdej chwili pobytu tam była wyczerpująca nawet dla takiego człowieka jak on. Z bacznej obserwacji wywnioskował, że w *dojo* uczono nie tylko tajemnego *bujutsu*, lecz również wielu innych sposobów walk angażujących umysł.

Tengu zastanawiał się nad tym, gdy po krętej ścieżce parł w górę leśnego zbocza. Był trochę zaznajomiony z mroczną stroną *ninjutsu*. Ale tutaj, w Yoshino, zaczął wkraczać w obszary, w których nie do końca czuł się pewnie.

Tak wędrując, stracił w końcu z oczu fortecę, która przez długi czas była jego domem. Czuł się tak, jakby ponury ciężar, który przygniatał mu serce, został z niego zdjęty. I niczym sowa, która z pokrwawionymi szponami i dziobem unosi w noc swą zdobycz, czuł jakieś niesamowite uniesienie, które wydawało się sprawiać, że krew burzyła się w jego żyłach.

Razem z tym uczuciem pojawiła się ciekawość, nad którą nie potrafił zapanować. Zboczył ze ścieżki pod ostrym kątem w poszukiwaniu małej przezińki. Teraz, ukryty wśród opiekuńczych cedrów, usiadł ze skrzyżowanymi

nogami na omszałym głazie. Wybrał go, ponieważ wyglądem przypominał Tokubei, wielką, mityczną, ziejącą ogniem ropuchę.

Wspinając się na głaz, poczuł się jak bohater. Wsunął rękę pod płaszcz. Uniósł wzrok i spojrzął nad ledwie widoczną górską ścieżką na szeroką dolinę, tu i ówdzie upstrzoną światłkami małych domów i farm. Poczuł gryzący zapach dymu i pomyślał o domowym ognisku, dymiącej misie zupy sojowej z kluskami. Otrząsnął się. Wyciągnął kieszonkową latarkę w plastikowym futerale i rozwinął arkusze papieru ryżowego, które zabrał ze skrytki Kusunokiego.

Lekko pochylając głowę, zaczął odczytywać pionowe kolumny ideogramów. „Dlaczego nie?” Z pewnością zasłużył sobie na ten przywilej. Przez pół godziny śleczął nad tekstem, wstawiając *kanji* w miejsce skomplikowanych monogramów *ryu*, a gdy to zrobił, serce zaczęło łomotać w jego piersi, tętno gwałtownie przyśpieszyło, z trudem panował nad oddechem. „Buddo! — pomyślał. — Na co ja się natknąłem?” Palce mu drżały, gdy pomyślał o ukrytym znaczeniu tych informacji dla Japonii.

Był tak pochłonięty czytaniem, że zobaczył małe skaczące światelko, przemykające jak błędny ognik wśród cedrów, gdy było bardzo blisko. Natychmiast zgasił latarkę, ale było już za późno. Światelko przerwało swój rytmiczny ruch i świeciło teraz nieruchomo poniżej miejsca, w którym siedział.

Przeklinając podniecenie, które stąpiło jego zwykle tak wyostrzone zmysły, złożył dokumenty i wetknął je z powrotem pod płaszcz.

Schował latarkę i zeskoczywszy z głazu zaczął powoli schodzić ze zbocza. Czuł, że znacznie lepiej będzie, gdy sam wyjdzie z lasu, niż żeby człowiek niosący światło wspinał się na górę i odnalazł go. Zwłaszcza gdyby to był jeden z instruktorów z *dojo*. Tengu przygotował się na taką ewentualność, wznosząc swą *ki* na odpowiedni poziom, tak aby w ułamku sekundy mógł zmobilizować swą siłę. Lecz gdy był już na krętej ścieżce, spostrzegł, że tym, kto niechcący zobaczył jego światło, był nie *sensei*, tylko młoda dziewczyna.

Była ubrana w szarzielone kimono i sznurkowe *geta* na bosych stopach. Niosła małą lampę naftową w jednej dłoni i *janomegasa* — parasol z jaskrawego, barwnego papieru ryżowego — w drugiej.

Dopiero gdy krople wody ozdobiły jego twarz, cichy szmer deszczu dotarł do jego świadomości. Nie słyszał go w opiekuńczej altance lasu. Zobaczył krople deszczu zsuwające się po woskowanym papierze ryżowym *janomegasa* i żałośnie opadające na ziemię.

— Wybacz mi, pani — rzekł kłaniając się głównie po to, aby ukryć malującą się w oczach ulgę. — Mam nadzieję, że moje światło nie przestraszyło pani. Wyszedłem, aby zbierać dzikie grzyby, gdy... eeh?

Dziewczyna zrobiła szybki krok w jego stronę unosząc lampę tak, że snop światła rozlał się na jej twarzy.

Rozpoznał ją. Poczul szybkie, bolesne ukłucie w sercu. To była Suijin, uczennica z *dojo*. „Co ona tutaj robi?” — zastanawiał się w chwili, gdy mały nóż wśliznął się w jego prawą dłoń.

Lampa spadała w dół. Uwolnioną dłonią Suijin chwyciła za dolną część powleczonej laką bambusowej rączki *janomegasa*, ściągnęła ją w dół i odebrała od rozłożonego parasola z szybkością zacierającą obraz ruchu.

Oczy Tengu zdążyły tylko zarejestrować zamianę nieszkodliwego bambusa w rozsmazane tysiącem warstw stalowe ostrze, po czym długi na stopę nóż ugodził w jego pierś i tnąc w dół rozdarł serce na dwoje.

Suijin obserwowała tylko jego twarz, gdy serce rozpadało się, a gorąca, tętniąca krew lała się obficie. W oczach Tengu pojawiło się oszołomienie, wściekłość, wstyd, potem źrenice uciekły w bok i wszystkie ludzkie uczucia zostały starte z jego twarzy. Niczym mały i bezbronny wojownik, którego figurkę kiedyś, jako dziecko, ulepiła z błota, gałęzi i porostów, upadł z głuchym odgłosem, bezwładnie, bez życia. Ułożyła dłoń na płask na naprężonej skórze podbrzusza, zastanawiając się, jaki cud spoczywał w jej łonie, miejscu stworzenia.

U jej stóp leżała teraz tylko skręcona masa, woskowa parodia tego, co kiedyś było żywym ciałem. Wbiła ostrze noża w wilgotną ziemię, aby uwolnić ręce i zetrzeć ślady krwi.

Opadła na ziemię. Jej nozdrza rozwarły się, gdy poczuła orzeźwiający zapach drzew. Deszcz lał coraz mocniej, zamieniając policzki zdrajcy w bezkształtną masę.

Podejrzewała, że może być jeszcze jeden, nawet wtedy, gdy zginął Tsutsumu. Właściwie nie powinno ją to w ogóle obchodzić. Okazanie wyższości nad Kusunokim oznaczało ukończenie nauk w *dojo*, a jeżeli doświadczenie nauczyło ją czegokolwiek, to była to zasada, by nigdy nie oglądać się za siebie. Działanie było wyłącznie domeną obecnych. Ci, którzy osiadali na laurach, by rozkoszować się swymi osiągnięciami, często ginęli.

Jednak, mimo tej świadomości, powróciła. Przeglądając zawartość kieszeni zdrajcy, ponownie poczuła oburzenie, tak jak rano, gdy obserwowała go, kiedy ograbiał mistrza z najpilniej strzeżonych tajemnic. Wiedziała, że Kusunoki był inny. Trafiał do niej w niewytłumaczalny sposób. Mocno odczuwała jego stratę i nagle wśród rozległego górskiego lasu, który tak kochał, mając jedynie porywisty wiatr i wirujący deszcz za towarzyszy,

rozpląkała się. Czowała ucisk w piersiach i niewymowną udrękę wypełniającą jej serce, ciężar zbyt potworny, aby go znieść.

Gdy uspokoila się, dokończyła drobiazgowo przeszukiwanie zwłok. Znalazła plik dokumentów wetknięty za pas przy biodrze zdrajcy; musiała być bardzo ostrożna odrywając go od mokrej skóry.

Chroniąc dokumenty przed deszczem, złożyła je i schowała pod kimono. Naruszenie tajemnic Kusunokiego byłoby naruszeniem jej własnych tajemnic. Nie spojrzała na dokumenty. Nie obchodziły jej. Były własnością jej nauczyciela i niezależnie od tego, czy zginął, czy żył, ich miejsce nadal było tam, gdzie je zostawił.

Wstała i wyciągnęła nóż z ziemi. Był znowu czysty i lśniący. Przymocowała go z powrotem do górnej części *janomegasa* i zniknęła w lesie, aby po raz ostatni przebrać się w uczniowskie *gi*. Przyzywały ją płonące światła *dojo*, a może *kami* Kusunokiego? Nie wiedziała. Dokumenty były bezpieczne w jej rękach, a wkrótce powrócą na właściwe miejsce.

Gdy Justine wróciła do pracy następnego dnia po pogrzebie, w Millar, Soames & Robberts czekała ją niespodzianka. Mary Kate Sims nie było już w dużym narożnym gabinecie, nie była już wiceprezesem agencji reklamowej.

Miała właśnie iść do Ricka Millara po wyjaśnienie — w pobliżu nie było ani Min, ani nikogo znajomego — gdy wkroczył do jej pustego gabinetu.

— Usłyszałem, jak weszłaś — rzekł ze skupionym wyrazem twarzy. — Sądziłem, że powiedziałem ci, abyś wzięła parę dni wolnego. Nie ma potrzeby, byś...

— Praca jest teraz dla mnie najlepszym pokrzepieniem — wtrąciła. — Nie znoszę wałęsać się po domu i wpatrywać w cienie. Zawsze wtedy się boję, że zamienię się w kota.

Rick ulegle skinął głową.

— W porządku. Tak czy inaczej, dobrze, że jesteś tutaj. Chciałbym ci coś pokazać. — Zaczął delikatnie wypychać ją za drzwi.

— Chwileczkę — powiedziała — jest coś, co...

— Później — odparł, prowadząc ją korytarzem w kierunku wind. — To jest ważniejsze.

Piętro wyżej poprowadził ją za róg korytarza.

— Proszę. Co o tym sądzisz?

„O Chryste Przenajświętszy — pomyślała — to niemożliwe. Co, u licha, moje nazwisko robi na drzwiach biura Mary Kate?”

— To teraz twoje biuro, Justine. To na dole było tymczasowe. Z pewnością wiedziałaś o tym.

Odwróciła się do niego i wykrzyknęła:

— Tymczasowe, dopóki nie pozbyłeś się Mary Kate!

— Ależ nie. Odeszła z własnej woli. Złożyła rezygnację wczoraj, przed końcem pracy.

— Nie wierzę ci — powiedziała żarliwie. — Gdyby myślała o odejściu, powiedziałyby mi o tym. Nie pamiętasz, że jesteśmy przyjaciółkami?

— Wejdzmy do biura, dobrze? — odparł szybko Rick. Zamknął drzwi.

— Lepiej będzie, jak mi powiesz prawdę, do cholery, albo w tej chwili sobie pójdę! — wykrzyknęła. Po tym, co się stało z jej ojcem, co się stało z Nicholasem, to już było po prostu nie do zniesienia. Kręciło się jej w głowie. Nagle spostrzegła, że trzyma się kurczowo, zbiełałymi już palcami, brzegu drewnianego biurka.

— Chodzi o to, że Mary Kate, mhm, nie rozwiązywała problemów. Wdawała się w ciągle kłótnie z głównymi kierownikami. Rozmawiałem z nią, oczywiście... nie raz. Ale — wzruszył ramionami — cóż, znasz Mary Kate.

— Znam ją na tyle, by nie wierzyć w te brednie, Rick. — Justine potrząsnęła głową. — Miałaś wyraźny zamiar zwolnić ją, już wtedy, gdy jedliśmy wspólnie lunch. Rozmawiałeś ze mną o jej pracy!

Rick ponownie wzruszył ramionami.

— Zawsze się tak dzieje, Justine. A poza tym, po co się tak unosisz? Wygrała lepsza. Przewyższasz Kate pod każdym względem. Powinnaś być...

— Co z ciebie za drań, żeby mi to zrobić! — Wykonała krok do przodu i uderzyła go w twarz. — Zrobić to nam! — Pozbierała swoje rzeczy. — Znajdź sobie kogoś innego, kto zrobi takie świństwo, ponieważ ja nie będę tą osobą!

— Niezły strzał — rzekł Rick śmiejąc się. — Jeżeli polujesz na większą pensję, masz moje poparcie. Będę musiał przycisnąć parę osób, ale nie powinno być żadnych...

— Czyś ty rozum postradał? — Justine cofnęła się w kierunku drzwi. — Nie chcę nawet dolara od twojej firmy. Idź do diabła!

Na dole, na zatłoczonym chodniku, uświadomiła sobie, że nie ma dokąd iść. O pójściu do Geldy nie mogła nawet myśleć. Jej depresja mogłaby ją doprowadzić na skraj przepaści. Jeżeli zaś chodzi o powrót do niezależnej

działalności zawodowej, myśl o ponownym starcie wydawała się teraz ponad jej siły.

Zmieszana przeszła przez ulicę i weszła do baru kawowego. Nie potrafiła jednak wypić kawy i chyba dobrze się stało. Łzy spływały po policzkach, gdy wpatrywała się w rozmazane barwy życia, które wartko toczyło się za szybą. „Muszę coś zrobić” — powiedziała do siebie.

Poszła do najbliższej filii swojego banku i podjęła pięć tysięcy dolarów. Połowę zatrzymała w gotówce, resztę zamieniła na czeki podróżne. Kupiła potem parę rzeczy do ubrania, wstąpiła do sklepu z torbami, żeby kupić lekką walizkę. Zapakowała do niej wszystko. Kosmetyki nie stanowiły problemu, lecz zanim się z tym uporała, zdała sobie sprawę z tego, że będzie musiała wrócić do mieszkania po pewne niezbędne drobiazgi, których nie mogła kupić. Zatrzymała się w nim tak krótko, jak tylko mogła. Mimo to uderzyła ją zmiana. Nie czuła się już tu jak w domu. Wszystko wydawało się nie na swoim miejscu, czegoś brakowało. Wygodne mieszkanie stało się niepokojące i smutne. Otarła łzy i wyszła zamykając za sobą drzwi tak, jakby wyjeżdżała na zawsze.

Dopiero gdy była już w powietrzu, w drodze do Honolulu, a stamtąd do Maui, uświadomiła sobie, że rzeczywiście w mieszkaniu brakowało jednej rzeczy.

Długa, pokryta czarną laką pochwa, która mieściła cenny *dai-katana* Nicholasasa, długi miecz, znikła ze swego miejsca na ścianie w sypialni. Oczywiście śmiertcionośna broń również.

Minck dostrzegł niepokój na twarzy Tani, gdy powróciła z lotniska po odprowadzeniu Linneara na samolot. Ukryta za szybą, która w przyległym pokoju wyglądała jak lustro, słyszała i widziała wszystko.

— Carrell, nie rozumiem, co ty wyprawiasz — powiedziała. — Posyłając go przeciwko Protorowowi wydałeś na niego wyrok śmierci. Tego nie było w planie... chyba że coś pominęłam.

Mimo odniesionego sukcesu z Nicholasem, Minck nie był w dobrym nastroju.

— Chodź ze mną — powiedział szorstko. Zaprowadził ją na drugi koniec krętego korytarza, gdzie wstęp był wzbroniony nawet niektórym z jego pracowników. Minck przeprowadził ją przez kilka pozbawionych okien laboratoriów do stalowej kabiny. W środku było bardzo zimno.

Włączył jarzeniową lampę. Tania zmrużyła oczy w ostrym purpurowoniebieskim świetle. Mimo to, natychmiast dostrzegła zasłonięte zwłoki.

Ostrożnie podeszła i ściągnęła biały muślin z głowy.

— O Boże — wyszeptła. — To Tanker. — Naprawdę nosił inne nazwisko. Odwróciła się do Mincka. — Kiedy go przywieźli?

— Gdy ciebie nie było.

Odsunęła się od zsiniałego ciała.

— Zastanawiałam się, dlaczego wymyśliłeś ten „podpis”. Każdy, kto jest zorientowany, jak to wszystko funkcjonuje, wiedziałby, że w sygnałach szyfowych używa się tylko pseudonimów, a nie prawdziwych nazwisk.

— Więc dziękujemy za to, że jest jeszcze dziedzina, w której nasz pan Linnear jest ignorantem — odparł cierpkim głosem. — Dzięki tej wspaniałej paczce podrzuconej pod naszym progiem na Honshu, muszę teraz mieć do czynienia z naszymi bratnimi służbami, które wysłały tutaj Tankera.

Zamknawszy za sobą drzwi, stali w przyćmionym świetle korytarza.

— Wiemy teraz jednak, że Krezus to pseudonim Protorowa. Tanker był jedynym, który był blisko — powiedziała Tania.

— Najwyraźniej dotarł z b y t blisko. — Minck zamknął oczy. — Teraz, czy to się nam podoba czy nie, musimy zadowolić się panem Linnearem.

— Sądziś, że to rozsądne?

— To się dopiero okaże. Ale rozsądne czy nie, nasz czas się skończył. Obawiam się, że gdybyśmy nie posłali Linneara do jaskini lwa, lew zjadłby nas na kolację.

— Wciąż może to zrobić.

Minck milczał przez pewien czas.

— Rozumiem więc, że nie apróbujesz mojej improwizacji.

Tania wiedziała, że stąpa po kruchym lodzie, dlatego ostrożnie dobierała słowa.

— Myślę, że to amator. Amatorzy dowiedli w przeszłości, iż są bardzo niepewni oraz niepokojąco nieobliczalni. Nie poddają się dyscyplinie.

— Uhm. Rzeczywiście. Ale to jest także jeden z jego wielkich atutów. Protorow nie może go powiązać z nami, jak zrobił to w przypadku Tankera i jak zrobiłby z tobą. — Minck zachowywał się jak wiejski kmiotek siedzący w niedzielę na tylnej werandzie swego domu i sennie spędzający czas z sąsiadem. Tak jakby nie działo się nic ważnego. — W końcu on jest naprawdę przerażający. — Wydawał się zastanawiać nad czymś. — Tak bardzo, że

sądzę, iż przeraziłby samego diabła. — Otworzył oczy i spojrzał na Tanię. — A nawet zabił, gdyby tylko dano mu powód ku temu; jeżeli on lub ci wokół niego, na których mu zależy, znaleźliby się w niebezpieczeństwie. Mam wrażenie, że pan Linnear jest niezwykle lojalnym, a przy tym zawziętym facetem.

— Sądziś, że rozgniewa się wystarczająco, by upokorzyć Protorowa? — Przyszło jej na myśl, że od początku było to celem Mincka.

— Tak — odparł Minck. — Wysłałem pana Linneara, muszę dodać, że dość sprytnie, aby przyniósł mi głowę Wiktora Protorowa; żeby raz na zawsze zakończyć naszą walkę. Nie podoba mi się ten związek KGB z pułkownikiem Mironienką. Właściwie to przeraża mnie on jak szkielet grzechoczący kośćmi u moich drzwi. Zaczynam odnosić wrażenie, że kontakt pomiędzy Protorowem i Mironienką jest bardzo istotny. Moja paranoidalna wyobraźnia kreśli scenariusz, w którym KGB i GRU mogłyby się zjednoczyć.

— To niemożliwe! — wybuchnęła Tania, lecz poszarzała twarz zdradziła jej własny strach. — Zbyt wiele jest między nimi kamieni niezgody, o wiele za dużo złej krwi.

— Tak, tak, moja droga Taniu. Wszyscy dobrze znamy tę linię rozumowania. — Minck sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego z siebie. — A jednak potrafię sobie wyobrazić taką próbę; potrafię zwłaszcza wyobrazić sobie Wiktora Protorowa na czele dokonujących próby. On ma występny umysł; nie jest ostrożnym aparaczykiem. U wroga jest to szczególnie szkodliwa kombinacja.

Poruszył się.

— W każdym razie, niezależnie od tego, czy to wszystko jest wytworem wyobraźni, czy też przerażającą rzeczywistością, nadszedł czas, by Protorow zginął. Pan Linnear będzie moim straszliwym, szybkim mieczem. Wierzę w niego dość mocno, mimo że ty nie wierzysz.

— Tego nie powiedziałam.

— Nie, nie w tylu słowach. — Pochwalił ją, jakby była głównym daniem ustawionym przed nim na stole. Wstał. — Ale na wypadek gdybyś miała rację w swych ocenach, wyślę cię jego śladem za parę dni. Czas ma decydujące znaczenie, więc musisz być natychmiast gotowa. Jeżeli będziesz poza budynkiem, sygnalizator da ci znać. Bilety będą czekać w biurze PanAm; reszta normalnie.

— A co z Linnearem?

Minck spojrzał na nią cynicznie.

— Pierwszeństwo ma, **pierwszeństwo absolutne**, Protorow. Jeżeli ty i pan Linnear potraficie się dogadać i stworzyć zespół, tym lepiej.

- A jeśli nie?
- Jeżeli nie — odparł Minck odchodząc — jeżeli Linnear stanie się przeszkodą, będziesz musiała się go po prostu pozbyć.

Seiichi Sato miał wielki *hara*.

Kłęcząc przy niskim stole z laki naprzeciw Nicholasa, zdjął już pokrywkę z jednego z małych naczyń i niezwykle zręcznie posługiwał się pałeczkami, aby z należnym szacunkiem obsłużyć swego gościa.

Mówiąc dokładnie, *hara* było japońskim określeniem brzucha, lecz było również symbolem człowieka głęboko zespolonego z wszelkimi przejawami życia.

Jednym z pierwszych wymagań wszystkich sztuk walki było, aby uczeń odnalazł tę głęboką studnię rezerw wewnętrznej siły, która spoczywała u każdego tuż poniżej pępka. Chińczykom znane było jako *tan tien*, Japończykom — jako *tanden*.

Mieściła się tam siła fizyczna oraz duchowa. Człowiek z wielkim *hara* był skoncentrowany na sobie, opierał się na siłach natury. Japończycy często dostrzegali, że ludzie z Zachodu idąc „podskakiwali”, co było oznaką tego, że jedynie ich myśli są skupione, i dlatego nie są w ogóle dostrojeni do otaczającego ich świata. Natomiast Japończycy poruszali się cięższym krokiem, ich ciało od bioder i miednicy płynęło łagodnym ruchem — wyraźny znak, że mieli *hara*.

Nicholasa intrygował wielki *hara* Sato; dla każdego Japończyka było to olbrzymim komplementem. Przeleciał szlak „nie kończącej się nocy”, jak nazywali go Japończycy, przez dwadzieścia jeden godzin ścigając ciemność; opuścił Waszyngton w nocy, przybył na lotnisko Nari ta tej samej nocy, w dzień później.

Pan Sabayama, jeden z wielu ulubieńców Sato, oczekiwał go na lotnisku przez wiele godzin; oczy miał kaprawe. Mruknął coś w odpowiedzi na przeprosiny Nicholasa i biorąc torby, wyprowadził ich z terminalu do czekającego samochodu. Nicholas spytał Sabayamę, czy mógłby zaopiekować się Craigm Allonge'em w hotelu „Okura”. Pan Sabayama zapewnił, że w hotelu był już ktoś, aby spełnić ich wszelkie życzenia; on będzie towarzyszył Nicholasowi w drodze do domu Sato na przedmieściu Tokio.

Przed hotelem Nicholas cicho powiedział do Allonge'a:

— Craig, mogę się nie odzywać przez kilka dni, nawet przez tydzień. Chcę, żebyś był w kontakcie z Nowym Jorkiem i dopilnował, aby wszystko przebiegało sprawnie. Mieliśmy już dosyć wstrząsów.

Nicholas słyszał teraz, jak gałęzie bukszanu ocierają się o bok drewnianego domu krytego dachówką. Powietrze było czyste i przejrzyste. Na zalanych deszczem ulicach przechodnie chylili się pod naporem wiatru, tylko częściowo chronieni swymi *amagasa*. Na krótką chwilę dostrzegł wysoki łuk Nihon-bashi, gdy przejeżdżali przez rzekę, która wpadała do szerszej Sumidy. Parasole na prześle mostu przypominały mu ryciny Utagawy Hiroshige; obrazy wielkiego artysty przemawiały doń z innego stulecia.

Wezwanie do domu Sato nie było dla Nicholasa niespodzianką, zważywszy na historyczny ton teleksu, który otrzymał od tego człowieka. Trzy morderstwa, nie wyjaśnione i dziwne, były dostateczną przyczyną tego nocnego rendez-vous. Japończycy byli ludźmi praktycznymi, a w nagłych wypadkach konieczność skutecznego działania pozwalała obejść zasady grzeczności.

Dla Nicholasa wezwanie łączyło się z czymś, o czym Sato nie mógł wiedzieć i czego nie mógł zrozumieć. Pobyt w domu przemysłowca oznaczał, że Nicholas znowu zobaczy Akiko i jeżeli szczęście mu dopisze, zdoła z nią porozmawiać.

Pamiętał złoto-purpurowy wachlarz drżący niczym kwiat w ułamku sekundy, zanim zaczęła opuszczać go i zanim na zawsze zmieniła jego życie. Wydawało mu się teraz, że wszystko, co zrobił po ujrzeniu twarzy Akiko, każda decyzja, jaką podjął, prowadziły do tego, aby znów ją zobaczyć.

Ciągnęło go do niej jak ćmę do światła, bez przyczyny, bez logicznego uzasadnienia, a nawet z atawistycznym przeświadczeniem, że podróż ta może zakończyć się unicestwieniem.

Nicholas nie był już tym, kim był kiedyś, gdy on i Yukio tak szaleńczo się kochali. Jednak odrobina tego szaleństwa wciąż płonęła w jego sercu. Wiedział, że nie potrafi dalej żyć, nie może wypełnić swojej *karmy* bez uprzedniego zbadania tej białej plamy w swojej świadomości.

Całe życie poszukiwał sposobu na odsunięcie zasłony ciemności. Stwierdził, że potrafi panować nad chaosem życia, gdy osiągnął mistrzostwo w sztukach walki. Nauczył się nie tylko opanowywać siły natury, które do tej pory wprawiały go w przerażenie, które pozbawiły go ojca i matki — ale również siły duchowe kłębiące się w nim samym.

Władza Yukio nad nim była oczywista. Przemówiła do jego duszy, zanim w pełni uświadomił sobie jej istnienie. Jej urok zwiódł jego racjonalny umysł, na którym tak bardzo polegał. Ciągnęło go do niej i nie wiedział, dlaczego. Przeraził się jej i samego siebie. W osobliwy sposób pogłębiło to jedynie jego miłość, wyrzyło ją w sercu jak czarny tatuaż, którego nie można wymazać.

Kiedy pędził przez pełną deszczu tokijską noc błyszczącą różowymi i pomarańczowymi neonami, do jego świadomości docierał tylko fakt, że znowu zbliża się do Yukio. Niemożliwe, lecz prawdziwe. Co było snem, a co rzeczywistością? Ciałem Nicholasa wstrząsnął dreszcz emocji; wkrótce się o tym przekona.

Gorzko rozczarował się, gdy Sato poinformował go, że Akiko wciąż była na Kyushu, u swojej niedołęznej ciotki. Zobaczył tylko Kotena, *stimatori* z ochrony osobistej, czającego się w tle niczym dobrze wyszkolony doberman.

Najpierw podano napoje, potem potrawy. U współczesnego Japończyka w nocy herbata ustępowała pierwszeństwa alkoholowi. Za to również musieli dziękować Zachodowi.

Nicholas uważał, że Suntory Scotch jest ohydna, lecz wypił mimo wszystko, dziękując Bogu, że nie było Allonge'a, pół-Szkota, aby zobaczyć na własne oczy, co zrobiono z jego najcenniejszym skarbem narodowym.

Zgodnie ze zwyczajem Japończyków rozmawiali o wszystkim, z wyjątkiem tego, o czym myśleli. Później miała przyjść na to pora. Sato wspomniał, że Nangi-san był w drodze do Hongkongu, gdzie miał zawrzeć ważną transakcję handlową.

— Czy uznalby pan za niegrzeczne — spytał Nicholas — gdybym powiedział, że moim zdaniem Nangi-san nie widzi tej fuzji w korzystnym świetle?

— Oczywiście, że nie — odparł Sato. — Pijemy ze sobą, Linnear-san. To czyni nas przyjaciółmi. To łączy nas bardziej niż interesy. Interesy nie są małżeństwem. Kręcą się i upadają. Kaprysy rynku. Czynniki ekonomiczne, które nie mają z nami nic wspólnego.

Sato przerwał na chwilę.

— Ale niech pan postara się zrozumieć Nangiiego. Wojna odcisnęła na nim piętno jak tygrysi pazur. Gdy się rano budzi, nie potrafi zapomnieć o atomowych widmach Hiroszimy i Nagasaki. Pan mnie rozumie. Wpływy promieniowania radioaktywnego wydają się nie mieć końca. Z tego powodu Nangi nie ma dzieci i żadnej prawdziwej rodziny oprócz mnie.

— Przykro mi, Sato-san, naprawdę — powiedział Nicholas.

Sato spojrział na niego; drewniane pałeczki zawisły nad parującym jedzeniem — trzema rodzajami gotowanej ryby, *sashimi*, przezroczystym makaronem, gotowanym na parze ryżem oraz morskim diablem w słodkim occie ryżowym.

— Tak, jestem pewien, że panu przykro — powiedział w końcu. — Widzę w panu pańskiego ojca. Ale jest jeszcze druga strona. Strona, której nie znam. — Ponownie przystąpił do częstowania gościa.

Przez pewien czas jedli w milczeniu szybkimi, oszczędnymi ruchami. Sato pił więcej, niż jadł, a jadł sporo. Było oczywiste, że chce rozmawiać otwarcie i bez skrępowania. W normalnych okolicznościach dla Japończyka było to zupełnie niemożliwe. Gdy był pijany, wszystkie czyny i wszystkie słowa natychmiast stawały się wybaczalne i dopuszczalne. Dlatego też Nicholas pił razem z nim. Spotkanie nie miałoby sensu, gdyby pił tylko Sato, a poza tym byłoby to obraźliwe. To tak, jakby Nicholas mówił: „Nie chcę, byśmy byli przyjaciółmi”.

Od momentu gdy Sato osobiście powitał go w drzwiach domu, wyczuwał, że starszy mężczyzna potrzebuje jego przyjaźni i wsparcia. Cokolwiek kryło się za morderstwami *Wu-Shing*, było to dla niego o wiele ważniejsze niż utrzymywanie patowej sytuacji poprzez przeciwstawianie się fuzji w formie pierwotnie nakreślonej przez Tomkina. Strach przed rytualnymi karami, który eksplodował w Nangim i Sato, przesłonił ich normalną ostrożność i skłonność do twardych negocjacji.

Nicholas, nauczony poddawać drobiazgowej analizie każdą sytuację, oceniać elementy, które ją tworzyły, dostrzegł w tym złągodzeniu stanowiska słabość Sato.

Wykorzystanie tej słabości do zdobycia przewagi nie przynosiło mu szczególnej chwały i szacunku, jednakże rozpaczliwie szukał dostępu do *Tenchi*. Dość dobrze wiedział, że w innych okolicznościach w sprawach dotyczących tego projektu natrafiłby na kamienny mur.

Sato dał wyraźnie do zrozumienia, że policja nie może być w to wmieszana. Nicholas był jedyną osobą, która mogła myśleć o przerwaniu łańcucha *Wu-Shing* i w ten sposób miał silną pozycję przetargową do rozpoczęcia negocjacji.

— Fuj! — wykrzyknął Sato, zwracając uwagę Nicholas. Rzucił kieliszkiem o podłogę. Nosił kimono w płomiennych barwach jesieni. Wspaniałomyślnie ofiarował Nicholasowi jedno ze swych własnych — to z trójkątym symbolem *No*, które nosił w nocy, gdy Akiko przyprowadziła mu swój ostatni „dar” przedślubny. Nicholas miał je teraz na sobie. Krople alkoholu spadły na rękaw, zdobiąc go brązowym ornamentem.

— Ta Suntory Scotch w ogóle nie nadaje się do picia. — Skierował zacierwione oczy na swego gościa. — Linnear-san, niech pan wybierze alkohol na ten wieczór.

— Dziękuję, Sato-san. — Nicholas uklonił się. — Bardzo chciałbym napić się sake. Gorącej, jeśli to możliwe.

— Możliwe?! — wybuchnął Sato. — Przecież to jedyny sposób, aby ją pić! — Ciężko uniósł się i słaniając podreptał w krótkich białych skarpetach do

baru. Pokój był dość duży, według japońskich kryteriów, miał powierzchnię szesnastu *tatami*. Bar z alkoholem mieścił również czarny *naga-hibachi* z żeliwa i bukszanu, mniejszy niż ten po drugiej stronie domu. Ten bar nigdy nie został tknięty ręką kobiet, był zarezerwowany wyłącznie dla pana domu.

Gdy Sato zabrał się do podgrzewania ryżowej wódki, nucił cicho starą wiejską melodię, którą Oba-chama śpiewała mu, gdy on i Gotaro byli jeszcze dziećmi. Zdawała się napępniać dom serdecznym ciepłem, tak jakby Sato przywołał dobre *kami*.

Gdy wrócił z sake, jego twarz przybrała posępny wyraz.

— Obawiam się, że trafiliśmy na złe czasy — rzekł, nalewając alkohol. — Ten *Wu-Shing...* — zdrygnął się. — Jestem samurajem, ale to... to jest po prostu barbarzyństwo. Wcale nie jestem zaskoczony, że wywodzi się z Chin. Jakże my, Japończycy, jesteśmy niewybredni przyjmując od nich zarówno najgorsze, jak i najlepsze. Klany yakuza nie różnią się w niczym od chińskich triad, a *ninja* również z nich się wywodzą.

Na moment uciekł oczyma w bok, jakby właśnie zapomniał o czymś istotnym, po czym opuścił głowę.

— Proszę o wybaczenie, Linnear-san. Stary człowiek w nocy miele i miele językiem.

Nicholas uniósł lewe ramię, jakby chciał uczynić gest, i zahaczył brzegiem rękawa o krawędź delikatnego dzbanuska z sake, który spadł i roztrzaskał się. Przezroczysty płyn rozlał się po stole.

Nicholas poderwał się.

— Stokrotnie przepraszam, Sato-san. Proszę mi wybaczyć moją zachodnią niezdarność.

Sato spokojnie starł alkohol i szybko pozbierał szczątki naczyń.

— Nic się nie stało, przyjacielu. Nie ma Akiko, która podała nam w najlepszej porcelanie. To był stary i podniszczony dzbanek, który trzeba było i tak wyrzucić. Właściwie tylko moje lenistwo zapobiegło temu, bym pozbył się go własnoręcznie.

W ten sposób Nicholas sprytnie pomógł ukryć ogromne zażenowanie swego gospodarza, zyskując bardzo w oczach Sato i jednocześnie ratując go przed upokorzeniem.

Gdy Sato powrócił po podgrzaniu następnej porcji sake, w jego oczach krył się szacunek. Ukłonił się, przesuwając napępnioną czarkę po stole.

— *Domo arigato*. — Nicholas odpowiedział ukłonem.

Sato wypił następną porcję sake, po czym znowu przemówił:

— Moim zdaniem *Wu-Shing* jest wymierzony przeciwko nam — to znaczy

Nangiemu i mnie — chociaż już trzy dotychczasowe zabójstwa poważnie podkopały skuteczność działania *koncernu*. W sposobie zadawania śmierci jest coś osobistego. Z każdą z osób — Kagamim, Yoshidą, Ishiim — zbliżamy się coraz bardziej do serca firmy. Droga do niego jest rzeczywiście przerażająca.

Spojrzał na pustą czarkę i Nicholas zdał sobie sprawę, że nawet po wypiciu tak dużej ilości alkoholu Sato z trudem może o tym mówić. Wszystko, co mógł zrobić, to nadal milczeć.

— Dużo myślałem o tych rytualnych karach. — Sato uniósł głowę. — Przypuszczam teraz, że to nasza przeszłość skrada się za nami. Czy potrafi pan to zrozumieć? Tak, tak też myślałem. Pan bardziej niż inni.

— Czy dyskutował pan z Nangim możliwe... źródła tych kar?

— Nie. Nangi-san to mój *sempai*.

— Rozumiem.

— Poza tym Nangi-san jest zupełnie nieprzydatny, jeżeli chodzi o przeszłość. Jest wiele spraw, o których chciałby raczej zapomnieć — jedne są zbyt nieznośne, a inne po prostu wypełnione nadmiarem intymnych przeżyć. Może pan sądzić, że Nangi jest zimny i bez serca, ale to nieprawda. Nie, wręcz przeciwnie, uczucia wiele dla niego znaczą.

Gorzko opłakiwał śmierć mojej Oba-chamy. Był przybity, gdy musiał sprzedać jej dwie czarki z dynastii Tang. To okropne; byliśmy zmuszeni to zrobić, żeby tuż po zakończeniu wojny przyjechać do Tokio i rozpocząć nasze kariery. Te czarki przezroczyście jak górski strumień były wspaniałymi przykładami genialności dawnych chińskich rzemieślników. Ale sądzę, że poza ich niezaprzeczną wartością estetyczną, część jego przywiązania do nich wypływała z gorzkich okoliczności, w których otrzymała je Oba-chama. — Opowiedział Nicholasowi o tym, jak jej daleki krewny uciekał przed bombardowaniami Tokio. — Myślę, że to zdarzenie bardziej niż jakiegokolwiek inne było przykładem niepotrzebnego okrucieństwa wojny. Przeszłość jest mu droga i sądzę, że potrafi pan zrozumieć, dlaczego nie chciałby o niej rozmawiać.

Sato pokręcił głową.

— Nie, obawiam się, że nie można na niego liczyć. Pamięć jest dla niego nieszczęściem. Nie będzie mówił o przeszłości, nawet ze mną.

— W takim razie to zależy od pana, Sato-san.

— Wiem — odparł starszy mężczyzna przygnębionym głosem — ale jak dotąd nie mogłem sobie przypomnieć nic niezwykłego. Wie pan, jak było tutaj po wojnie. To były wyjątkowe czasy. Nierzadko przetrwanie wymagało

zastosowania niezwykłych środków. Rządy się zmieniały. Pośpiesznie tworzone sojusze i równie szybko je rozwiązywano. — Sato dolał sake.

— Rozumiem. Można było sobie wtedy przysporzyć wielu wrogów i przyjaciół.

Sato potwierdził skinieniem głowy.

— To był bardzo napięty okres. Często myślę, że dekady skurczyły się do lat, lata do miesięcy. Osiągnęliśmy tak wiele, w tak krótkim czasie, powracając z otchłani klęski, odzyskując wiarę w siebie. Tak jakbyśmy musieli zaczynać zupełnie od nowa. Holocaust oczyścił nas w pewien sposób z najgorszych ludzi, którym pozwoliliśmy rządzić naszym społeczeństwem. Niczym pasażerowie Arki Noego zeszliliśmy na zbocze góry Ararat przygotowani do budowy nowego społeczeństwa. I to właśnie zrobiliśmy. Opanowaliśmy galopującą inflację, ukierunkowaliśmy rozwój przemysłu za pośrednictwem MITI i pozwoliliśmy, by w wybranych sektorach nastąpił najszybszy w świecie wzrost. — Spojrzał na Nicholasa i uśmiechnął się. — Udało nam się nawet zmienić przynoszący dotychczas ujmę slogan „Made in Japan” w symbol najwyższej jakości. Nic z tego nie stało się przypadkiem; nic z tego nie było dziełem szczęścia. Nasza *karma* jest wspaniała i nadal się rozwijamy, chociaż czasami doświadczamy narastających trudności.

Dolał sake, rozlewając trochę na lakierowany blat.

— Ale czy pan wie, czego wciąż nie potrafimy tolerować, Linnear-san? Tego, że nawet w czasach nadmiaru ropy, gdy flota tankowców dniami i nocami przy pływa i odpływa z Japonii, świat musi żywić nas, abyśmy mogli przetrwać. Ugrzęźliśmy na tych pięknych wyspach, na skałach pozbawionych surowców energetycznych, niczym kwilące dziecko, które nie potrafi przyrzadzić sobie pożywienia.

Czy potrafi pan zrozumieć, jak bardzo nas to irytuje? — Pokiwał głową jak mędrzec. — Ależ oczywiście, że pan rozumie. Jest pan przecież częścią nas. Umiem to dostrzec, nawet jeżeli inni tego nie widzą. Wie pan, ile prawdy jest w stwierdzeniu, że nieszczęście nigdy nie trwa całe życie.

Westchnął ciężko.

— Ale muszę panu powiedzieć, że czasami nie jestem pewien.

Włosy miał gładko przyczesane; kimono rozchyliło się trochę, odsłaniając pozbawione owłosienia piersi.

— Prawdę powiedziawszy — dodał lekko drżącym głosem — są chwile, gdy tęsknię za moją żoną. Och nie, nie chodzi o Akiko. Byłem już wcześniej żonaty. Miała na imię Mariko. Piękna Mariko. Była bardzo młoda, gdy się poznaliśmy. — Znowu się uśmiechnął i Nicholas mógł dostrzec, jak przez

lata nagromadzonego smutku przebija beztroska, chłopięca natura. — A ja? No cóż, byłem także o wiele młodszy. Nangi-san i ja znaleźliśmy się już. On pracował w MITI, a ja w biznesie. Miałem wtedy kilka *kobunów* i wszystkie działały z powodzeniem. W pewnych sprawach polegałem na sądach Mariko. To właśnie ona namówiła mnie, żebym kupił Ikiru Cosmetics Company. To było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku. Ikiru wytwarzało kremy kosmetyczne oraz środki wygładzające skórę, a gdy je kupilem, właśnie zaczynał się boom na japońskim rynku kosmetyków. Inwestycja okazała się fantastyczna. W pierwszym roku od nabycia firmy *keiretsu* nie tylko odzyskała kwotę równą cenie wykupu, ale wykazała nawet niewielki zysk z Ikiru. Przyszłość w drugim roku malowała się w naprawdę jasnych barwach.

Mariko również zaczęła stosować wyroby Ikiru, traktując to jako część rodzinnego obowiązku, i tłumaczyła, że na pewno nie może oczekiwać, iż wszystkie przyjaciółki będą używały wyrobów Ikiru, jeżeli sama tego nie zrobi. Była dumna ze swej doskonałej porcelanowej cery, stosowała krem do twarzy oraz środek wygładzający skórę dwa razy dziennie, tak jak robiła z wyrobami poprzednich firm. Po kilku miesiącach zaczęła narzekać na migrenowe bóle głowy. Często trwały przez kilka dni. Sporadycznie dostawała alarmujących zawrotów głowy. Zaprowadziłem ją do lekarza. Nie potrafił stwierdzić nic niewłaściwego w jej organizmie i zaproponował tydzień odpoczynku w uzdrowisku. Posłusznie stosując się do rady, zabrałem ją na spokojną prowincję. Ale w uzdrowisku Mariko zachorowała i dostała czterdziestostopniowej gorączki. Gdy zatrwożeni właściciele wezwali następnego lekarza, ten stwierdził nieregularne i za wysokie tętno. Po ich usilnych naleganiach zadzwonił do mnie. Pojechałem i natychmiast zabrałem stamtąd żonę. W Tokio skierowano ją do specjalisty, który po szeregu badań poinformował, że Mariko ma problemy z pęcherzy- _ kiem żółciowym. Przepisał lekarstwa, ale gorączka nie ustąpiła. Ciało pod lśniącą skórą jej twarzy zrobiło się miękkie, więc po każdorazowym użyciu kremu jeszcze gorliwiej stosowała środek wygładzający. Aż pewnego rana obudziła się i stwierdziła, że skórę na całym ciele ma równie gładką jak skóra twarzy. Gdy dotykała dłonią czoła, miała wrażenie, że należy raczej do woskowej lalki niż do ludzkiej istoty. Coraz bardziej zatrwożona wróciła do specjalisty, który podał ją jeszcze jednej serii badań. Tym razem stwierdził, że to trzustka. Przepisano następne leki, które posłusznie zażywała. Po upływie tygodnia Mariko obudziła się zrana z potem. Zerwała się z sercem walącym jak młot.

Miała sen. We śnie krew. I teraz, spoglądając na poduszkę, zobaczyła czerwoną plamę. Automatycznie przyłożyła dłoń do policzka. Zauważyła na niej krew i jakąś inną wydzielinę, której nie potrafiła nawet nazwać. Pełna przerażenia, zawołała mnie. Tym razem zażądałem, aby przyjęto ją do szpitala. Straciła dużo na wadze i miała trudności z oddychaniem. Jednak lekarze nie potrafili stwierdzić żadnych nieprawidłowości w płucach i w układzie oddechowym. Substancja nadal sączyła się z jej ciała. Mariko trzeba było przywiązać, żeby drapiąc nie raniła bezustannie swędzącej skóry. Uparcie twierdziła, że coś jest pod jej powierzchnią. Wydzielina została pobrana do analizy w szpitalnym laboratorium toksykologicznym, ale laboranci byli przepracowani, a poza tym takie badanie wymagało czasu. Tymczasem Mariko miała ciągłe biegunki; nie mogła jeść. Powoli odchodziła ode mnie, pogrzażyła się w śpiączce, która była dla lekarzy równie niewytłumaczalna jak wszystkie pozostałe objawy. Zmarła w niespełna tydzień później, odpływając z mroku śpiączki, ze stanu półśmierci w wieczny sen, nie odzyskawszy nawet przytomności. Nie pamiętam, czy pożegnałem się z nią, a nawet czy podczas tych długich dni i jeszcze dłuższych nocy powiedziałem, że ją kocham.

Nie było już nic do jedzenia i nawet zabrakło sake. Puste talerze wały się po zaśmieconym stole.

— Gdy laboratorium toksykologiczne wykonało analizy, było już za późno. Okazało się, że krem, który stosowała, zawierał polimery parafinowe, podobne do wykorzystywanych przy produkcji emalii. Środek wygładzający rozpuszczał polimery, umożliwiając w ten sposób wchłanianie ich przez krew. Zatykał pory w skórze Mariko, dusząc ją stopniowo, i działał na wiele organów wewnętrznych, łącznie z pęcherzykiem żółciowym i trzustką. Wstrząśnięty i przybity, natychmiast podjąłem kroki prowadzące do zmiany receptury wyrobów Ikiru i zrobiwszy to, zacząłem podawać wszystkie składniki tych wyrobów na opakowaniach. Ale dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku japońskie Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej w odpowiedzi na głosy protestu nie tylko moje, ale i tysięcy osób, które wskutek zawartej w pewnych kremach czerwieni dwieście dziewiętnaście, barwnika ze smoły węglowej, cierpiały na śmiertelny niemalże *kokuhisho*, syndrom czarnej skóry, wprowadziło ustawę wymagającą podawania na opakowaniu wszystkich składników kosmetyków. Sześć miesięcy po śmierci Mariko, gdy znowu mogłem trzeźwo myśleć, założyłem *Keshohinkogai higaiisha no kai*, Organizację Ofiar Wyrobów Kosmetycznych, wykorzystując zyski z działalności Ikiru.

Nicholas czuł gorycz w sercu, świadom potworności tego, co Sato musiał przeżyć. Mariko nie była jedyną ofiarą *kokuhisho*. Cierpienie i śmierć innych ofiar mogły być dla niego tylko trochę mniej bolesne. Nicholas dobrze wiedział, że pokutować to nie to samo co nigdy nie zgrzeszyć.

Sato odwrócił czarkę i ułożył na niej swą dłoń.

— Niech mi pan powie, Linnear-san, czy będąc zakochanym, odczuwał pan jeszcze coś innego niż tylko przyjemność? — Pokiwał spoconą głową. — O, tak, Budda jeden wie, że czasami, przez dzień lub dwa, czuje się ból, gdy trwają urazy. Ale oczywiście jest to chwilowe. Topnieją jak śnieg każdej wiosny, a gdy słońce rozbłyśnie, kwiaty rozkwitają na nowo. Mówię o czymś zupełnie innym. — Jego głowa zapadła się w szerokie ramiona. — Doświadczenie nie ma w tej sferze żadnego znaczenia. Czy czuł się pan kiedyś więźniem swej miłości, Linnear-san? Jakby pan kochał wbrew własnej woli, a nie dlatego, że pan tego pragnie. Nie pragnie, lecz musi, rozumie pan? — Odsunął dłoń i Nicholas zobaczył, że mała porcelanowa czarka, którą trzymał, zniknęła. — Jakby rzucono na pana jakieś okrutne czary.

Zapadł zmrok. Lew Croaker siedział głęboko zatopiony w fotelu samochodu, którym podróżowali wzdłuż zachodniego wybrzeża Florydy. Mijały ich pędzące samochody, sznur purpurowych tylnych świateł niczym śledzących oczu. Alix poszła właśnie do toalety w jednym z barów przy szosie. Czuł drgania nawierzchni drogi, jakby był jej częścią.

Pozostawił już za sobą Savannah River. Przed nim rozciągała się Georgia, a potem Południowa Karolina, Północna Karolina i dalej autostrada numer sto dziewięćdziesiąt pięć na północny wschód. Nie jedli nic od Jacksonville, nie było też sensu zatrzymywać się po drodze w małych miastach, zostawiając ślady dla kogoś, kto może podążać za nimi. Duże miasta zwykły połykać nowo przybyłych i przejezdnych; nikt nie zwracał na nich uwagi.

Alix chciała, żeby zwolnił, jak tylko przekroczą granicę Florydy, lecz Croaker dalej przyciskał gaz do deski. Myślała pewnie, że jest uparty, ale on nie chciał jej mówić, co znalazł w fordzie Czerwonego Potwora. Był to szyfrowy przekaźnik Phonix, o którym kiedyś czytał. Jego widok przyprawił go o zimne dreszcze. Nie sądził, by ktoś wynajęty przez Raphaela Tomkina wiedział, co robić z Phonixem, a cóż dopiero, by miał go w swoim samochodzie.

Phonix był stosunkowo nowym przyrządem, który samoczynnie zamieniał

wypowiadane słowa w szyfr. Pomiędzy pojedynczymi sygnałami przesyłany był sam kod, tak aby szybka transmisja stała się właściwie nie do rozszyfrowania dla kogoś wścibskiego.

Siedział teraz samotnie w mroku nocy, wspominając długą, oszalamiającą ucieczkę. Zastanawiał się znowu, dokąd zaprowadzi go obsesja na punkcie zamordowania Angeli Didion. Poświęcił pracę, przyjaciół i kobietę, którą właśnie zaczynał poznawać i kochać. Cała jego egzystencja została zachwiana. I po co?

Z chęci zemsty na Raphaelu Tomkinie. Croaker był nadal przekonany, mimo zgromadzonych dowodów, że to on zamordował Angelę Didion. Trzeba było jeszcze ustalić, jak i dlaczego. Ale teraz miał swój klucz. Alix Logan była jedynym świadkiem i wbrew wszystkiemu nadal żyła. I znowu zadał sobie pytanie: „Dlaczego?”

Drżąc, raz jeszcze to przeanalizował. Na zdrowy rozum nie miała prawa być wśród żywych. Zobaczył, jak wyłania się z oświetlonych drzwi. Zapalił silnik. Żyła. Trzymana w ten sposób przez parę potworów. „Dlaczego? I dlaczego w jednym miejscu? Z pewnością mogli ją przewieźć dokądkolwiek. Przed kim ją chronili? Przed Croakerem? Ale Croaker nie żył, został zmasakrowany i zginął bez śladu, gdy jego samochód zjechał z szosy w Key West. Za czym podszeptem? Tomkina?”

Nagle przypomniał sobie Matty'ego Bużkę. Właśnie dzięki niemu zdobył nazwisko i adres Alix Logan. Za lichwiarską wprawdzie cenę, ale o co w końcu chodzi, do licha, przeżył przecież, prawda?

— Zostań tu — powiedział do Alix, biegnąc sprintem do baru. W środku wygrzebał parę monet i zadzwonił. Odebrała kobieta. Początkowo udawała, że nigdy nie słyszała o Mattym Bużce. Użył pierwszorzędnego sposobu perswazji. Matty'ego nie było w domu, głos nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, kiedy wróci. Odkąd Matty wrócił z Aruba, starał się unikać ludzi. Croaker odpowiedział, że rozumie, że z nim jest tak samo. Nie miał numeru telefonu, który mógłby podać, a w tych okolicznościach i tak by jej go nie zostawił. Powiedział, że ponownie zadzwoni.

— Jedźmy — rzekł, gdy znalazł się za kierownicą. Po chwili włączył się do ruchu.

— Jestem zmęczona — stwierdziła Alix, złota dziewczyna obok niego. Zwinęła się w kłębek.

Była niczym zjawa ze snu, która ożyła i siedziała u jego boku. Gibka, jasnowłosa, piękna. Widywał takie kobiety tylko z daleka. Teraz, gdy była tak blisko, spodziewał się, że w każdej chwili może zniknąć. Kiedy to się nie stało, przestraszył się. Nie chodziło o to, że pożądał Alix dokładnie tak jak

Niebieski Potwór, choć musiał przyznać, że w tym, co czuł, był element pożądania.

Chodziło raczej o opiekuńczość. Fakt, że była przy nim bezpieczna, sprawiał, że czuł się bardziej ożywiony. Nie chciał iść z nią do łóżka, lecz niczym ojciec dorastającej córki pragnął oglądać jej nagość, pieścić ją wzrokiem. Tak jakby obecność jej nagiego ciała, ta zgoda na bezbronność, potęgowała jego uczucia, czyniła je pełniejszymi.

Ale tej nocy nie myślał o złotowłosej dziewczynie leżącej niczym zwinięta kotka na fotelu u jego boku; myślami powrócił do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył Phonixa. Oblał go zimny pot.

Ostatecznym celem pijanego Japończyka było znalezienie wrażliwego rozmówcy. Chociaż prawdą było, że odwaga, którą Japończycy znajdowali w alkoholowym upojeniu, pozwalała im uwolnić serce od ciężaru, nie można było tego dokonać samemu. Naprawdę liczyło się wzajemne zrozumienie, uścisk serdecznej dłoni.

Nicholas wiedział, że Sato czeka. Był to rozstrzygający moment ich spotkania; wiele zależało od tego, co powie teraz Nicholas. Gdyby skłamał — z jakiegokolwiek powodu, nie ufając, że Sato jest po prostu jednym z nich — nigdy nie nawiązaliby kontaktu. Mimo to, co Sato wcześniej powiedział na temat ich przyjaźni. To były tylko słowa, a Japończycy nie przykładali zbyt dużej wagi do słów. Tym, co liczyło się dla nich najbardziej, co szanowali ponad wszystko, były czyny. Czyny bowiem nigdy nie kłamały.

Nicholas wiedział, że muszą sobie teraz zaufać, na dobre i na złe. Znajdowali się w głębokiej wodzie, pod sobą mieli tylko otchłań. Gdyby nie było pomiędzy nimi zaufania, ich wrogowie już mogliby uznać się za zwycięzców.

— Myślę, Sato-san, że pod pewnymi względami jesteśmy do siebie podobni. Być może to jest przyczyną, że Nangi-san nie lubi mnie. Być może wyczuł już tę więź... Gdy byłem młodym człowiekiem... młodym i głupim — dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie szeroko — poznałem kobietę. Była bardzo doświadczona jak na swój wiek; z pewnością bardziej niż ja. Ale wtedy moje, mhm, studia wykluczały wczesną inicjację w pewnych podstawowych życiowych sprawach.

Sato z zarumienionymi policzkami, wspartymi na obu pięściach, chłonął jego słowa; był najwyraźniej ogromnie zadowolony.

— Posiadała moc, której nie potrafiłem wytłumaczyć, wciąż nie potrafię, chociaż sądzę, że teraz lepiej rozumiem. Ale było tak, jak pan bardzo wymownie określił. Jakby jakieś okrutne demony rzuciły na mnie czary. Byłem

wobec niej bezsilny. Promieniowała czystym zwierzęcym erotyzmem. Nadal nie potrafię w pełni uwierzyć, że taka kobieta mogła istnieć. A mimo to muszę wyznać, że właśnie to pociągało mnie w niej. Rozumie pan, że ona nie mogła być szczęśliwą osobą. W jaki sposób? Nie istniało dla niej nic poza miłosnym aktem. Nie, nie była to Pustka. Obaj wiemy, że w Pustce tkwi moc oraz istotny rodzaj spokoju, który stanowi dopełnienie ducha. Lecz Yukio gasła, gdy nie prowadziliśmy erotycznej gry. Nie patrzyłem na nią od tej strony do momentu, gdy pewnego kwietniowego dnia spacerowaliśmy przez Jindaiji. Lubilem to miejsce w Tokio bardziej od innych, ponieważ ojciec zawsze zabierał mnie tam, zamiast do Ueno. Przypuszczam, że też lubił ten ogród botaniczny. Chociaż minął już czas *somei-yoshino*, *bonbon* nadal wisiały na drzewach. Kończyło się *hartami*, trzeci z tradycyjnych dni, gdy opadają kwiaty wiśni. Zamierzaliśmy pójść tam dzień wcześniej, gdy płatki były w rozkwicie, lecz Yukio czuła się źle i zostaliśmy w domu, oglądając w telewizji stare filmy. Szliśmy krętymi ścieżkami Jindaiji i czułem, jakbyśmy znajdowali się wysoko, na zboczach góry Yoshino, a sto tysięcy drzew wiśni szeptało o nas na wietrze. Nigdy przedtem nie płakałem podczas *hartami*, chociaż oczywiście moja matka płakała wiele razy, a raz ujrzałem łzy w oczach ojca. Wtedy, również było to trzeciego dnia, zastanawiałem się, dlaczego był tak wzruszony, skoro dzień wcześniej kwiaty były piękniejsze. A teraz płakałem, zrozumiałwszy, czym było to, co dostrzegł mój ojciec, a czego ja jako dziecko nie zauważyłem. Chociaż rzeczywiście *sakura* miały za sobą pełnię rozkwitu — gdy spadały tego dnia, wiadomo było, że jutro nie nadejdzie, że było to ostateczne odejście — wydawało się, iż świadomość tego wzmagala ich piękno. Niewysłowiony smutek nieodłącznie towarzyszący tej chwili był wręcz namacalny. I po raz pierwszy zrozumiałem mistykę przegranej z honorem, którą my, Japończycy, tak wysoko cenimy. Spostrzegłem, że smutek tej chwili czynił ich s t a r a n i a naprawdę heroicznymi.

Nicholas przerwał na chwilę. Nawrót tych odległych wspomnień porwał go równie silnie, jak wcześniej pochłonął Sato. Była szansa, by zrzucić z siebie ich brzemię.

— Wtedy stało się coś dziwnego. Odwróciłem się i spojrzałem na Yukio. Jej piękna głowa uniosła się ku różowobiałej chmurze opadających kwiatów. Widziałem wyraźnie zarys długiej szyi, wgłębienie między obojczykami. Dwa blade *sakura* przywarły do jej jedwabnej bluzki, tak jakby tam właśnie było ich miejsce. I zrozumiałem, że ostatnie, najcenniejsze z płatków wiśni i Yukio są na swój sposób podobne, że posiadały te same cechy, które czyniły je wyjątkowymi. To nie nicość ją ogarniała, gdy nie kochała

się, lecz raczej straszny, bolesny, nieukojonny smutek, który wykraczał poza wszystko, z czym się w życiu zetknąłem. Po upływie tylu lat stwierdzam, że nadal zastanawiam się, czy właśnie dlatego ją kochałem i dbałem o nią bardziej niż o kogokolwiek. Chyba wiedziałem wtedy, że mając czas, jestem jedynym, który może usunąć ten smutek z jej serca.

— Mówi pan o niej tylko w czasie przeszłym, przyjacielu.

— Zginęła zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Uto-
nęła w cieśninie Shimonoseki.

— Ach — mruknął Sato. — Tak młodo. Jakie to smutne. Ale jest wśród Heiké. *Kami* skazanego klanu zatroszczą się o nią. — Opuścił wzrok i brzegiem rękawa starł resztki sake rozlanej na łąkowym blacie.

Wielki tułów Sato wydawał się równie niezdamny i zgarbiony jak tułów brunatnego niedźwiedzia z Hokkaido. Była między nimi przepaść nie do pokonania, lecz jednocześnie stali się sobie teraz bliżsi niż wielu innych ludzi. Wspólny smutek był jak braterskie więzy krwi. Łączyło ich zarówno to, co zostało przemilczane, jak i to, co zostało powiedziane.

— Linnear-san. — Gdy znowu przemówił, jego głos był łagodny, zabarwiony odrobiną ojcowskiego uczucia. — Czy nigdy nie przyszło panu na myśl, że gdyby utraciła ten niewymowny smutek, nie kochałby jej pan już? Mogłaby bez niego nie przetrwać? Może to panu pomoże, gdy znowu pan o niej pomyśli.

Ale Nicholas nie o tym myślał. Wiedział, że następnym krokiem do pozbycia się ciężaru wspomnień będzie powiedzenie Sato o niesamowitym, wręcz bliźniaczym podobieństwie Akiko do Yukio. Próbował wydobyć to z siebie, ale słowa więzły w gardle.

W otwartych drzwiach pokoju mignął cień Kotena. „Sprawdza swojego szefa — pomyślał. — Widzisz, że jeszcze go nie udusiłem, nie wyciąłem staro-
chińskiego znaku na jego policzku”. Wzdrygnął się, powrócił do teraź-
niejszości. Przez błogosławioną chwilę zamieszkali w świecie wolnym od zemsty i dziwnych morderstw.

Siedzący naprzeciwko Sato wstał zataczając się.

— Chodź, przyjacielu. — Skinął dłonią i potykając się o *tatami*, niezdamnie rozsunał *fusuma* na drugim końcu pokoju.

Do środka wdarła się nocna bryza. Ruszając za nim, Nicholas znalazł się o stopień niżej, na ścieżce wysypanej gładkimi kamykami, która wydawała się lśnić w świetle księżyca. Wokół było pełno kwiatów: peonie, pachnące róże, kępy irysów oraz ostrokrzew. Dalej obok pnia bukszpanu dostrzegł chryzantemy.

Sato stanął pośrodku ogrodu, jego pierś wznosiła się, gdy wdychał świe-
że powietrze. Burza pozbawiła je resztek zanieczyszczeń, przynaj-

mniej na parę godzin, które pozostały do świtu. W oddali, za bukszpanem, niebo było różowozółte, pokryte tatuażem neonów Shinjuku.

— Życie ma smak, Linnear-san. — Oczy Sato płonęły, odbijając chłodny blask księżycy zmieszany z cieplejszym światłem, wylewającym się przez rozsuniętą *fusuma*. — Jest jak bogato zdobiony gobelin. Nie chcę tracić go przedwcześnie. — Zamrugał ociężale powiekami niczym pijak. — Jest pan czarodziejem, Linnear-san. Pojawił się pan w naszym życiu zupełnie przypadkowo. Człowiek uczy się, że nie można odwrócić się od *karmy*, prawda?

Skrzyżował ręce na ramionach.

— Niech mi pan powie, Linnear-san, czy studiujecie historię?

— Mój ojciec, pułkownik Linnear, studiował — odparł Nicholas — i mnie również tego nauczył.

— Więc z pewnością pamięta pan cesarza Go-Daigo, który w początkach czternastego stulecia usiłował pozbyć się regentów z rodu Hojo. Wkrótce stało się dla niego jasne, że jedynym sposobem, aby to zrobić, jest całkowite zniszczenie „tych wschodnich dzikusów”, jak ich nazywał. Jednakże nie miał wyraźnego planu i sam nie był dowódcą wojskowym. Nie wiedział, co robić. Aż jednej nocy przyśniło mu się, że stoi w pobliżu wielkiej rozłożystej sosny, starszej niż wszystkie, jakie widział do tej pory. Pod konarami siedziało trzech ministrów stanu, każdy zwrócony twarzą w inną stronę. Po południowej stronie drzewa leżała sterta mat. Było to najwyższe rangą miejsce. Przed Go-Daigo pojawiło się dwoje dzieci i powiedziało mu, że nigdzie na długo nie uzyska gwarancji własnego bezpieczeństwa. Mimo to prosiły go, aby na pewien czas zasiadł pod drzewem na Miejscu Przywódcy Państwa.

Gdy cesarz obudził się, uświadomił sobie, że bodhisattwowie, Nikko i Gakko, usiłovali przekazać mu we śnie wiadomość. Przyszło mu na myśl, że gdyby ustawił znak określający „południe” obok znaku określającego „drzewo”, powstałoby „drzewo kamforowe”. Dlatego wezwał swojego Mistrza Nauk i spytał, czy w pobliżu byli mistrzowie w sztukach walki o nazwisku Kusunoki, „drzewo kamforowe”. Kapłan odparł, że jedyny wojownik o nazwisku Kusunoki, jakiego znał, mieszkał na zachodzie w prowincji Kawa-chi.

— Nazywał się Masashigi Kusunoki i mógł odnaleźć wśród swych przodków ministra dworu Tachibanę no Moroe — wtrącił Nicholas. — Cesarz wezwał go i Kusunoki natychmiast przybył. Został mianowany dowódcą. Był zwolennikiem cesarza Go-Daigo. Dowodził przegraną bitwą nad rzeką Minato w tysiąc trzysta trzydziestym trzecim roku, w pobliżu miejsca, w

którym dziś znajduje się Kobe. Pod koniec straszliwej, siedmiogodzinnej walki opuścił pole bitwy i w pobliskiej zagrodzie popełnił *seppuku*.

— Przegrana z honorem, prawda, przyjacielu? — Sato usiadł na okrągłej kamiennej ławie. — Ale właśnie takie wydarzenia — ludzie tacy jak Kusunoki — tworzą osnowę gobelinu, którym jest nasza historia.

Sato pochylił się do przodu; poryw wiatru poruszył połami jego kimona.

— Linnear-san, ubiegłej nocy śniło mi się drzewo kamforowe. Bodhisattwowie nie byli obecni, ale dwie ukryte w cieniu postaci były tam jednak. Czy może mi pan, przyjacielu, wyjaśnić znaczenie tego snu?

— To naprawdę złe czasy, Sato-san — ostrożnie rzekł Nicholas. Sato otwierał mu drogę, której potrzebował. Ale czy nie było w tym pułapki? Raz jeszcze przeanalizował sytuację, zanim zaczął mówić dalej. — Jesteśmy — włączam w to siebie, ponieważ wraz z tą fuzją stałem się częścią rodziny *keiretsu* i tym samym po części jestem odpowiedzialny za jej przetrwanie i pomyślność — osaczeni z zewnątrz i od środka.

Sato potwierdził skinieniem głowy.

— Tak. Karząca ręka *Wu-Shing* i ci, którzy chcieliby wyrzucić wam tajemnicę miniprocessora T-PRAM.

Nicholas odczekał chwilę.

— Niezupełnie. W rzeczywistości w tej chwili istnieją równie poważne zagrożenia dla naszej fuzji i dalszej stabilności *keiretsu*.

Zauważywszy, że Nicholas nie powiedział: waszej *keiretsu*, Sato rzekł:

— Zatem musiał pan zdobyć swoją wiedzę o tym podczas podróży do Ameryki.

— Tak. — Nicholas skinął głową. — Mówiąc dosadnie, w *keiretsu* jest *muhon-nin*, zdrajca.

Sato znieruchomiał. Wyraz jego oczu był nieugięty. Zniknęło gdzieś rozmazane przez sake spojrzenie.

— No, no! Dla którego z waszych konkurentów pracuje ten *muhon-nin*?

— Dla żadnego — odparł Nicholas. — Zdrajca jest raczej pracownikiem jednego z waszych, mhm, konkurentów. KGB.

Nicholas nareszcie spostrzegł wyraźną reakcję na szerokim obliczu. Twarz Sato zrobiła się bezbarwna. Ręce zaczęły drżeć tak, że musiał spleść palce.

— Rosjanie. — Jego głos był cichy jak szept. Ilez jednak miał w sobie

emocji! — Tak, rozumiem. Rosjanie pragnęliby dostać w swoje ręce prototyp T-PRAM.

— Poza tym — powiedział Nicholas, bacznie obserwując starszego mężczyznę — to, czego poszukują, mogłoby być czymś zupełnie innym.

Sato wzruszył ramionami.

— Na przykład? — Nicholas skupił na sobie całą uwagę rozmówcy.

— Kusunoki był lojalistą. Tak jak ja. Jego cesarz prosił go o wiele, a jednak zrobił to bez wahania. — Nicholas rozpoczął dobijanie targu. Nie miał zamiaru udzielić ostatniej informacji, nie otrzymawszy koniecznych gwarancji. — *Wu-Shing* to sprawa życia i śmierci. A — jak pan już powiedział, Sato-san — życie ma smak. Ja także nie chcę patrzeć, jak traci je pan przedwcześnie.

Odwrócił się i otworzył podniszczone drewniane pudło, które przyniósł ze sobą. Odemknawszy trzy zatrzaski, wyjął *dai-katana*, swój wielki miecz, wykuty przed prawie dwustu laty. Miał trzydzieści cali długości.

Gdy Sato zobaczył, co znajdowało się w środku, otworzył szeroko oczy, przenosząc spojrzenie z czarnej, pokrytej laką pochwy na twarz Nicholasa. Potem w milczeniu osunął się przed nim na kolana. Ukłonił się tak nisko, że czołem dotknął ziemi.

Nicholas odpowiedział pełnym szacunku gestem i rzekł:

— Mój ojciec nazywał ten miecz *Iss-hogai*, „dla życia”. Jak pan wie, jest on duszą samuraja.

Podniósł ukryty w pochwie miecz i położył go między nimi.

— Mój *kami* mieszka tutaj, Sato-san. — Nie musiał mówić starszemu mężczyźnie, dlaczego przywiózł ze sobą do Japonii *dai-katana*; nie po to, by go pokazywać, lecz aby go użyć. — A gdy *Wu-Shing* oznacza życie i śmierć, fuzja naszych *kobunów* jest istotna dla naszej przyszłości. Proszę, aby pan...

— Fuzja! Fuzja! — wybuchnął Sato. — Robi mi się niedobrze na myśl o tej fuzji. Ma pan moje słowo, że gdy Nangi-san powróci z Hongkongu, fuzja zostanie bezzwłocznie przeprowadzona, zgodnie z już nakreślonym porozumieniem.

Nicholas był przez chwilę tak oszołomiony, że zapomniał o tym, co właśnie miał powiedzieć. Był przygotowany na dyskusję, nie na kapitulację.

— W takim razie rozstrzygnęliśmy to między sobą. — Nicholas stwierdził, że ma sucho w ustach. — Czynem i słowem.

Sato bez chwili wahania położył swą prawą dłoń na jego ręce. Nicholas przewiązał przeguby kawałkiem sznura i tak złączone spoczęły na mieczu.

Gdy Nicholas rozwiązał sznur, Sato rzekł:

— Przed paroma chwilami miał pan powiedzieć, czego jeszcze, oprócz pamięci T-PRAM Sphynxa, mógłby poszukiwać zdrajca z KGB. Czy też był to tylko taki manewr?

— KGB rzeczywiście jest w to zaangażowane — odparł Nicholas. — Mam niepodważalne informacje z pierwszej ręki.

— Czego zatem chcą? — spytał dość ostro Sato.

— *Tenchi*.

W tym momencie obaj usłyszeli ruch w głębi domu i odwracając głowy, ujrzeli, jak Akiko, otoczona aureolą światła, zstąpiła na gładkie kamyki ogrodu, w którym kłęczeli.

Po przyjeździe z Yoshino Akiko ogarnęło przerażenie.

Nikt nie uważał za stosowne powiedzieć jej, że Nicholas wraca tak szybko. Przeklinała teraz Kotena, iż nie uprzedził jej o tym, że Sato podejmuje gościa.

— Akiko! — Sato poderwał się niczym szczeniak łaszący się do swego pana. — Spodziewałem się ciebie dopiero jutro po południu.

— Ciocia czuła się bardzo źle — odparła machinalnie. — Mój dłuższy pobyt nie miał żadnego sensu.

— Pamiętasz chyba pana Linneara? Poznaliście się na ślubie.

Akiko spuściła wzrok, podchodząc po kamykach błyszczących w świetle księżycy. Gdy stąpała, ich biel odcinała się wyraźnie od jej czarnego cienia.

— Oczywiście, że pamiętam. Tak mi przykro z powodu śmierci pana Tomkina. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania.

Przez dłuższy czas wydawało się, że zajęta jest jedynie wpatrywaniem się w ukrytą w cieniu twarz Nicholasa. Prawie nie zwracała uwagi na Sato, który krzątał się przygotowując jej napoje i jedzenie. Pomyślała, że mąż chce się jej pozbyć, zastanawiała się, o czym dyskutowali, zanim wtrąciła się do ich rozmowy.

Ku oburzeniu Sato usiadła na kamiennej ławie, którą zajmował wcześniej tego wieczoru. Była ubrana w podróżne, obszyte brokatem kimono w stada białych czapli przecinających ciemnoniebieskie tło. Japończycy na czas podróży ubierali się w swoje najlepsze stroje. Trzymała w dłoni wykonaną z kości rączkę papierowego *janomegasa*, kierując jego ostrze w stronę kamyków.

Sato mówił przez cały czas, ale Akiko i Nicholas czuli się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi. I w nakładających się polach ich potężnych *wa* coś się działo, coś, czego Akiko nie potrafiła przewidzieć. Miała zawroty

głowy, czuła się lżejsza od powietrza. Wydawało się, że nie ma *hara*, nie potrafiła utrzymać się na ziemi, była zupełnie bezsilna.

Poczuła w sercu pierwsze bolesne ukłucie panicznego strachu i wiedziała, że musi natychmiast uczynić coś, aby zapobiec utracie Pustki. „Co się ze mną dzieje?” — pytała.

Oszołomiona, wypila gorącą sake, którą przyniósł jej Sato; usłyszała, jak słabym, zduszonym głosem, który z trudem mogła rozpoznać, prosi o następną porcję. Tę również szybko wypila krztusząc się.

Nadal obserwowała Nicholasa, wodziła wzrokiem po jego twarzy, jakby dotykała go palcami. Odnosiła wrażenie, że jest w jego objęciach, poczuła drżenie ud, ucisk w gardle. Czuła laskotanie z tyłu szyi, jakby ktoś ją pieścił, aż drobne włoski na jej skórze uniosły się niczym sierść zwierzęca.

Przymknęła oczy, usiłując się opanować, ale pomyślała, że musi go znowu zobaczyć. Szybko uniosła powieki. Wciąż tam był. Sato nadal paplał, Budda jeden wie, o czym.

Lata wirowały przed oczyma Akiko niczym liście miotane orzeźwiającym wiatrem. Lata mozolnych ćwiczeń, obsesyjnego poświęcenia. Serce przepelniała wypalona miłość; pragnienie zemsty, które tliło się w tych gorzkich popiołach, rozniecone przez nienawiść, strzeliło jasnym płomieniem. *Zemsta należy do mnie.* Jakże często podczas bolesnych lat dorastania te słowa dodawały jej odwagi; pozwalały zamknąć oczy, zasnąć i w ten sposób przeżyć następny dzień. Bez tych słów, które przywarły do niej jak koc podczas mroźnej nocy, mogłaby nie dotrzeć do tego dnia.

I nigdy nie doświadczyć tej chwili, nie poczuć, jak strzała przesywa jej serce. „Drogi Amido!” — wykrzyknęła bezgłośnie. Zaczęła teraz drżeć, uświadomiwszy sobie, do czego doprowadził ją Nicholas. W myślach szukała gorączkowo drogi ucieczki, po to, aby uniknąć tego, co — jak podejrzewała — było prawdą, od której nie można uciec.

„Och, Buddo — pomyślała — pragnę go. Pragnę go tak bardzo, że tracę wzrok”.

Tokio

JESIEŃ 1949 ROKU

- JESIEŃ 1963 ROKU

Ikan mieszkała w bladezielono-karmelowych murach *Fuyajo*. Zamek Który Nie Zna Nocy był jej domem od ósmego roku życia.

Tamta jesień, teraz tak odległa, była czasem złych wróżb i słabych zbiorów w całym kraju. Przygarbieni chłopci; brak pieniędzy i słaba nadzieja na przetrwanie do końca roku.

Powiadają w Japonii, że ciężkie czasy są najlepszymi przyjaciółmi tradycji, bowiem właśnie w takich okresach ludzie najczęściej powracają do zwyczajów swoich przodków.

Tak było tamtego roku z rodziną Ikan. Zbiory jej ojca nie były lepsze od zbiorów sąsiadów, co znaczy, że wcale nie były dobre. Tak jakby tego roku ziemia odmówiła daru swych płodów.

Ikan po raz pierwszy wyczuła, że naprawdę coś jest nie w porządku, gdy wróciła z pola z pękiem trzciny i ujrzała płaczącą matkę.

Następnego dnia odjechała z farmy brudną, zdezelowaną ciężarówką cuchnącą kapustą i pomidorami, z małą torbą zawierającą żałośnie skromną ilość jej rzeczy. Zbawca jej rodziny zmierzał w kierunku okolic Yoshiwary.

Podobnie jak wiele młodych dziewcząt w poprzednich stuleciach, Ikan miała zostać sprzedana do domu publicznego, aby uratować rodzinę przed hańbą bankructwa.

W przeciwieństwie do ludzi Zachodu Japończycy patrzyli na prostytucję z szacunkiem zmieszonym z dziwną goryczą. Shogun Ieyasu Tokugawa stworzył legalne zapotrzebowanie na *baishun*, wyprzedaż wiosny, pod którą to nazwą prostytucja znana była w Japonii; podobnie uczynił z wieloma innymi instytucjami.

Ponieważ Tokugawa miał obsesję własnej władzy — jedynej siły zdolnej położyć tamę walkom prowincjonalnych *daimyo*, które przez wiele lat przed jego panowaniem utrzymywały feudalną Japonię w stanie ciągłej wojny domowej — wymagał, aby każdy *daimyo* co dwa lata, razem ze swymi

samurajami, odbywał pielgrzymkę do Edo (obecnie Tokio). Mieli tam przebywać przez rok. Ten *sankinkotai-seido* służył dwóm celom. Po pierwsze, dokonywał wyłomu we władzy *daimyo* utrwalonej w jego rodzinnym *ryochi*, po drugie, długa, często żmudna podróż pomagała opróżnić ich szkatuły pełne zgromadzonych bogactw.

Daimyo i bogatsi samurajowie mogli korzystać z usług swoich kochanek. Ale biedniejsi samurajowie zmuszeni byli zwracać się do prostytutek; jak mawiał sam Ieyasu, prostytucja była potrzebna po to, aby uniemożliwić popełnianie cudzołóstwa.

W roku tysiąc sześćset siedemnastym, w rok po śmierci shoguna, władca feudalny w Edo wysłał petycję do rządu Tokugawy o pozwolenie na utworzenie w mieście usankcjonowanej strefy dla *baishun*. Znalazł opustoszałe miejsce porośnięte trzcina — stąd nazwa Yoshiwara. W następnych latach znak określający słowo „trzciniasty” zastąpiono innym znakiem, a Yoshiwara stała się znana jako „pole szczęścia”.

Pierwotna dzielnica „czerwonych świateł” uległa zniszczeniu w pożarze i w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku została przeniesiona do Asakusa, dzielnicy Edo. Przestała funkcjonować w kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku.

Ikan została pouczona przez swojego mistrza, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku rząd ogłosił, iż całe zbiory ryżu podlegają konfiskacie przez cesarskich samurajów. Wieśniakom kazano żywić się prosem.

Wstrząśnięci chłopcy zmuszeni byli znaleźć zatrudnienie dla swych żon przy szyciu i tkaniu, a małe dzieci wysyłać do niewolniczej pracy w mieście. Jednak nawet to nie wystarczało i często jedną dziewczynkę przeznaczano na sprzedaż do burdelu, aby jej rodzina mogła przetrwać.

Nie było w tym nic hańbiącego. Wręcz przeciwnie, na te dziewczęta patrzono z mieszaniną wielkiego szacunku — za poddanie się swojemu *giri* z dziecinną pokorą — oraz żalu, było bowiem powszechnie wiadomo, że wprawdzie prostytutka mogła w rzadkich przypadkach zostać kochanką bogatego samuraja, lecz z chwilą gdy przekraczała fosę otaczającą Yoshiwarę, porzucała wszelką nadzieję na to, że kiedykolwiek będzie żoną i stworzy własny dom. Nastrój tajemniczości przyciągał mężczyzn w ramiona gejszy, tak jak widok kwiatów wiśni sprowadzał ich każdej wiosny do Ueno.

Ikan rozpoczęła swe życie w *Fuyajo*, najstarszym z takich domów w Yoshiwarze, jako *kamuro*, praktykantka obsługująca *oiran*, renomowane prostytutki, gdy nie była zajęta myciem i pastowaniem podłóg.

Pracowała bez przerwy, jednak zawsze znajdowała czas, by obserwować i uczyć się; często wczesnym ranem naśladowała gesty i delikatne ruchy *oiran*, po czym padała wyczerpana na swój *futon*. Gdy Ikan miała dwadzieścia lat, przeszła przez żmudne egzaminy. Po zaliczeniu ich osiągnęła poziom *shinzo*, na którym rozpoczęła kursy *baishun*. Obejmowały one śpiew, trudną sztukę *haiku*, *ikebana*, *chano-yu*, taniec, studia literackie oraz, rzecz jasna, sztukę miłości.

Szkolenie trwało pięć lat. Potem musiała zdać kolejny egzamin. Miał on decydujące znaczenie; gdyby go nie zdała, powróciłaby do *kamuro* i spędziła resztę swych dni w *Fuyajo* na wnoszeniu śmieci.

Na egzaminie nie miała poważniejszych problemów i w wieku siedemnastu lat awansowała do godności *oiran*. Przez cztery lata solidnie pracowała. Jej otwarty i ciekawy umysł chłonał wszystko. Od bardziej doświadczonych kobiet uczyła się dawać wszystkie odmiany rozkoszy: intelektualnej, estetycznej oraz fizycznej. Odkrywała wciąż nowy świat.

W dzień dwudziestych pierwszych urodzin Ikan została *tayū*, najważniejszą w trójstopniowej hierarchii *oiran*. Nigdy w historii Zamku Który Nie Zna Nocy nie było tak młodej *tayū* i dlatego z tej okazji wydano przyjęcie na jej cześć.

Właśnie w tej najbardziej uroczystej atmosferze, gdy sake lala się strumieniami, a muzyka *samisenów* płynęła w powietrzu gęstym od dymu, Ikan po raz pierwszy spotkała Hiroshiego Shimadę.

Nie był przystojnym mężczyzną, lecz jego siła ducha pociągała Ikan.

Shimada wyłowił ją z tłumu prawie natychmiast. Jego oczy spoczęły na majestatycznym pięknie alabastrowego ciała, a serce rozplynęło się w zachwycie. Poczul, jak głośny krzyk wyrывa się z jego wnętrza i na chwilę musiał oprzeć się na kulistym drewnianym słupku poręczy schodów. W głowie zawirowało, jakby wypił sake, w ustach czuł dziwny, metaliczny smak.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby się zakochać. Nie można zakochać się w gejszy, do gejszy przychodzi się po ukojenie, odprężenie oraz noc pełną uciech. A jednak w chwili gdy po raz pierwszy zobaczył Ikan, jej oszałamiająca uroda wyparła ze świadomości wszelkie myśli o innych kobietach, łącznie z własną żoną.

Wokół Ikan panowała atmosfera, której nie można się było oprzeć. Nawet pozostałe *oiran* szeptały o tym sekrecie między sobą. Osiągnęła to, o czym marzyły wszystkie: niewysłowione zespolenie zwiewności i zwierzęcości,

które oczarowywało mężczyzn. Opanowywała wszystkie zmysły. Jej klienci kochali ją równie mocno, kiedy czytała im z *Genji monogatari*, układała lilie doskonałego dnia lub pisała *haiku* na ich cześć, jak i wtedy, gdy szła z nimi do łóżka.

Shimada pieścił miłosnym spojrzeniem każdą fałdę jej kimona. Błyszczący kok czarnych włosów przekłuwały trzy przezroczyste, wykonane z żółwiej skorupy *kanzashi*; *kushi*, prosty tradycyjny grzebień z drzewa *tsuge*, tkwił we włosach z tyłu głowy.

Kiedy przez spękane wargi wymówił do niej pierwsze słowa, sam ruch jej odwracającej się ku niemu głowy sprawił, że przeszył go dreszcz pożądania.

Nie miał szansy, by znaleźć się z nią sam na sam; spotkanie nie zostało przecież umówione, zgodnie ze ścisłymi zasadami obowiązującymi w *Fuyajo*. Ale następnego tygodnia, gdy mógł znaleźć trochę wolnego czasu w swym przepełnionym rozkładzie zajęć, powrócił do Yoshiwary.

Drżąc przystanął na progu bładozielono-karmelowej budowli. Krople deszczu uderzały o stożkowe schronienie *amagasa*. Spojrzał w górę, obserwował, jak spadają z okapu tuż pod zakrzywionymi dachówkami. Podobnie jak czynili to samurajowie w dawnych czasach, przebrał się, zanim wyruszył do dzielnicy „czerwonych świateł”. Nie chodziło o to, że wstydził się tutaj przychodzić lub że chciał ukryć swą obecność w *Fuyajo* przed żoną. Wręcz przeciwnie, właśnie do niej Zamek Który Nie Zna Nocy wysyłał rachunki za jego wizyty. Chodziło raczej o niepewną sytuację członków administracji politycznej i gospodarczej. Musiał postępować ostrożnie i z rozwagą. Jako wiceminister Ministerstwa Handlu i Przemysłu miał wielu wrogów i nie chciał dostarczać argumentów tym, którzy pragnęli doprowadzić do jego politycznego upadku.

Wiał porywisty wiatr. Shimada zadrżał i mocniej naciągnął pelerynę. Ten pies gończy z Naczelnego Dowództwa Sił Sprzymierzonych, pułkownik Linnear, węszył już za kośćmi obciążających dowodów i chociaż Shimada zakopał swoje głęboko i starannie, nie rezygnował z czujności. Wiedział, że w zamęcie końca wojny, gdyby prawda wyszła na jaw, nie mógłby szukać pomocy u premiera. Właściwie, znając Yoshidę, wiedział, że on pierwszy wydałby go trybunałowi wojennemu *gaijinów* na ofiarę.

Wojna. Myśl o niej przyprawiała Shimadę o dreszcze. Zawsze przypominała mu się wojna. Jakże żałował, że Japonia nie obrała innego kursu. Gdy wracał myślami do przeszłości, widział swoje idee wściekłego ekspansjonizmu, swe bliskie powiązania z podżegaczami wojennymi w *zaiatsu*. Ich

odkrycie oznaczało tylko jedno — *seppuku*. O ile takie wyjście było honorowe, to czyny, które popełnił, nie miały z honorem nic wspólnego. Ręce miał skalane tajnymi działaniami na rzecz swych przyjaciół w *zaibatsu* zarówno przed, jak i podczas wojny. Był ważną postacią w Ministerstwie Uzbrojenia. Uniknął trybunału badającego zbrodnie wojenne dzięki sprytowi w ukrywaniu własnej przeszłości oraz podjętej w ostatniej chwili decyzji swego zwierzchnika, by rozwiązać ministerstwo i przekształcić je w Ministerstwo Handlu i Przemysłu.

Shimada spojrzął na swoje ręce. Dłonie były śliskie od potu. Dla uspokojenia wykonał głęboki oddech. Postanowił w drodze do domu wstąpić do shintoistycznej świątyni i błagać bogów oraz *kami* o dar pewności siebie i błogosławieństwo zapomnienia. Wiedział, że gdyby nie *gaijin* Linnear, mógłby żyć spokojnie.

Nagle drzwi do *Fuyajo* otworzyły się i załało go chłodne światło. Shimada pośpiesznie wszedł do środka.

Początkowo nie chciał od niej nic więcej oprócz podania herbaty. Skomplikowany rytuał *chano-yu* był równie kojący jak masaż lub kąpiel w parującej wannie.

Obserwowanie, jak Ikan celebrytuje tylko dla niego tę ceremonię, sprawiło, że wszelkie kłopoty, obawy i wątpliwości, które nękały go w świecie za „polem szczęścia”, rozplynęły się niczym lzy w sadzawce. Stwierdził, że ich miejsce wypełnia rozkoszne zadowolenie, przejrzystość umysłu, jakiej nie spodziewał się zaznać kiedykolwiek.

Każdy ruch Ikan — obrócenie czarki do herbaty lub muśnięcie kosmyka włosów — był kwintesencją wdzięku i harmonii. Czuł, że jego podniecenie wzrasta, w miarę jak docierał do każdej warstwy znaczeń tego, co robiła i mówiła. Jej słowa nigdy nie były banalne i przyziemne. Nie poruszała tematów obojętnych. Przeciwnie, każde pytanie, które zadawała, i każda odpowiedź, której udzielała na jego pytania, były zarówno fascynujące, jak i mądre.

W świecie poza *Fuyajo* wspomnienia, niczym rosnący nowotwór, uczyniły Shimadę starszym, niż był w rzeczywistości. Lecz tutaj Ikan potrafiła przepędzić złe wspomnienia i w jej obecności, jak wąż zrzucający skórę, odradzał się na nowo.

Ikan nie widziała w nim człowieka, którym był w zewnętrznym świecie. Przy niej nie musiał intrygować, nie musiał zaciekle osaczać swoich wrogów. Widziała w nim raczej człowieka, którym mógłby być w innych warunkach, w innym świecie.

Przy niej był łagodny i serdeczny. Wzruszał ją jego zachwyty nad wszystkim,

co robiła. Odgadła w nim głęboką potrzebę pokrzepienia i miłości, a ponieważ wierzyła, że wszyscy mężczyźni w głębi serca byli tylko dziećmi, nie chciała zbyt głęboko wnikać w źródło tej potrzeby. Ikan wiedziała, że w Shimadzie było coś niezwykłego, gdy przyniósł jej na drugie spotkanie zestaw tradycyjnych *kanzashi* zrobionych z drzewa *tsuge*, w stylu podobnym do jej *kushi*. Miała teraz pełny zestaw do spinania włosów.

Kiedy wręczał jej ten wspaniały dar, zachowała spokój, na jej ustach pojawił się słodki, delikatny i stosowny uśmiech, oczy spuściła w dół i cicho podziękowała za prezent. Ale serce się tłukło w jej piersi i czuła, jak krew pulsuje w żyłach. Doświadczała zupełnie nowego uczucia. Była oszołomiona.

Później, w nocy, gdy w uścisku leżeli na grubo tkanym *futonie*, gdy mieszał się ich pot, gdy czuła przyspieszony rytm jego serca tuż przy swoim sercu, gdy delikatnie wszedł w nią po troskliwych i rozkosznych godzinach zmysłowych przygotowań, wiedziała już, czym było to uczucie. Miłością.

Decyzja, aby mieć dziecko, była jej decyzją. Jako *tayu* miała ten przywilej — a przynajmniej taki był zwyczaj ustanowiony przed wielu laty przez tych, którzy kierowali *Fuyajo*. Wynikał on z pragmatyzmu. Uważano, że tak jak w hodowli rasowych koni wyścigowych, wiele wyjątkowych cech *tayu* było wrodzonych, wymagały jedynie właściwego szkolenia, aby je wydobyć i wzmocnić.

Zwykle działo się to w późniejszym okresie kariery *tayu*. Istniały bowiem obawy o deformację figury po porodzie. Taka decyzja prowadziła do wymuszonej bezczynności, a tym samym do utraty dochodów. Jednak Ikan miała tak niezmierną wartość, że chciwość tych, którzy kierowali *Fuyajo*, uspokoiła w końcu ich początkowe wątpliwości.

Ikan miała pewność, że chce urodzić dziecko Shimady. On natomiast domagał się, aby nie spotykała się z nikim innym, i płacił za przywilej posiadania jej na wyłączność. Nie przejmował się tym; co o rosnących rachunkach myślała jego żona, to już zupełnie inna sprawa.

Żona Shimady była kimś, o kim Ikan nigdy nie myślała. Dlaczego miała by o niej myśleć? Ta kobieta była częścią innego świata, świata, który nigdy nie mógł stać się udziałem Ikan. Jaki sens miały takie myśli? Była także świadoma tego, jaki wpływ wywierała na Shimadę; przypuszczała, że po narodzinach ich syna — bowiem nie miała wątpliwości, że urodzi mu syna — jego duma będzie tak wielka, że spełni każde jej życzenie. Pragnęła

tylko jednego: zostać jego kochanką. Musiałby kupić jej wolność, ale na pewno stać go było na zapłacenie takiej ceny.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że urodzi córkę, która na zawsze przywiąże ją do *Fuyajo* i która sama będzie związana z Zamkiem Który Nie Zna Nocy.

Dziecko, które urodziła, było dziewczynką, wrzeszczącym, pozbawionym włosów niemowlęciem, które nie miało między nogami nic oprócz małej szparki.

Przez trzy dni Ikan szlochała na *futonie*. Marzenia o wspaniałej przyszłości rozwiały się w jednej chwili. Nikogo nie chciała widzieć, do nikogo się nie odzywała, ignorowała wszystkie wiadomości przesyłane jej przez zaniepokojonego Shimadę. Te ostatnie paliła od razu, jakby dotykając ich mogła się zarazić.

Prawie nie sypiała. Cały dzień leżała skulona, odwrócona do ściany, z twarzą płonąca od przepelniającego ją wstydu i nienawiści. Odmawiała nawet jedzenia, perwersyjnie pragnąc żywić się tylko swoją nienawiścią.

Drugiego dnia stwierdziła, że nie potrafi już dłużej znieść tak bolesnych i okrutnych przeżyć. Były niezgodne z tym, czego ją nauczono, a przecież dziecko było takie bezbronne i samotne.

Znowu zaniósła się płaczem; gorące i gorzkie łzy spływające po policzkach doprowadzały do kresu wytrzymałości. Zaczęła dostrzegać — jak ktoś, kto widzi czerwone, nabrzmiałe słońce pojawiające się po długim wyczerpującym sztormie — że nienawiść czuła do siebie samej. I znów ogarniała ją okropna rozpacz, a wraz z nią straszne uczucie wstydu.

Jakże ta miłość wypaczyła jej charakter, doprowadziła do takiego stanu. W swym egotyzmie była pewna, że urodzi chłopca — czyż nie spędzała dwóch godzin dziennie w świątyni shintoistycznej położonej dwie przecznice dalej, zjednując sobie bogów, szukając ich pomocy? — i zepchnęła w ciemne zakamarki świadomości konsekwencje urodzenia córki. Tylko dlatego, że całe żeńskie potomstwo *tayu* stawało się własnością *Fuyajo*, aby szkolić się, a gdy dorośnie, zastąpić swe matki w roli nowych *oiran*, a gdyby bogowie sprzyjali — jako *tayu*.

Trzeci dzień rozmyślała nad tym, przyjmowała teraz trochę jedzenia, gdy je proponowano, lecz nadal nie chciała nikogo widzieć. Pod koniec dnia, gdy zapaliła już kadzidło i pomodliła się do Amidy Buddy o radę, poprosiła, aby pokazano jej dziecko.

— Ta mała nie ma jeszcze imienia, pani — powiedziała starszuszka, która gotowała i opiekowała się nimi podczas choroby, i przekazała małe zawiniątko

w drżące ręce Ikan. — To przynosi pecha — dodała niepotrzebnie.

Ikan spojrzała na maleńką twarz swej córki, wciąż pomarszczoną i czerwona.

— Karmiła ją Reiko, jedna z *kamuro*, która nie zdała egzaminu — powiedziała cicho kobieta, gdy uniosła wzrok na zmartwioną twarz swojej pani. — To ciągle głodne maleństwo. — Zachichotała, mając nadzieję, że rozładuje tym ciężką atmosferę, którą wyczuła, gdy weszła do izby.

Ikan nieprzytomnie skinęła głową. Właściwie nie miało znaczenia, kto karmił dziecko; jej na to nie pozwolą.

— Zapaliłam pałeczki kadzidła — ciągnęła dalej staruszka. — Zrobiłam, co tylko mogłam, aby uchronić to niewinne dziecko przed złą *karmą*. Ale wybacz mi, pani, ona musi otrzymać jakieś imię.

Ikan słyszała, lecz trudno było odgadnąć, co działo się w jej duszy. Rozchyliła blade usta i wyszeptowała:

— Tak. Imię. Dam ci imię. — W pokoju rozległo się westchnienie, jakby jesienny wiatr przedostał się przez szczelinę w okiennym skrzydle i wirował dookoła.

Oczy Ikan były pełne łez, obraz maleńkiej twarzy zamazywał się. Powiedziała ledwie słyszalnym szeptem:

— Nazwij ją Akiko.

Akiko była wyjątkowo zdrowym dzieckiem, silnym i krzepkim jak chłopiec. Wcześniej zaczęła wstawać i chodzić, jakby czuła, że aby przetrwać, będzie musiała polegać na własnych siłach. Mimo że Ikan pokochała dziewczynkę, nie okazywała jej swego uczucia. Przeciwnie, opiekę nad dzieckiem pozostawiła starej kucharce i innym dziewczętom, które były nim zachwycone.

Ikan zachowywała rezerwę, jakby bała się swego dziecka, zwłaszcza w chwilach, gdy ci, którzy kierowali *Fuyajo*, gromadzili się w pokoju, pozostawiając swoje dary obok śpiącego niemowlęcia.

Shimada często przychodził do Zamku Który Nie Zna Nocą i, tak jak przedtem, spędzał z Ikan długie, rozmarzone noce. Ikan stale odmawiała spełnienia jednej jego prośby: aby mógł spojrzeć na swą córkę, przytulić ją, powiedzieć jej parę pierwszych słów, tak żeby wiedziała, iż to on jest jej ojcem.

Czerpała z tego wyjątkową przyjemność. Na pozór była usłużna, gotowa spełnić każde jego życzenie, nie musiał nawet nic mówić — przecież w tym właśnie kurtyzany wykazywały największą zręczność. Jednocześnie w głębi

duższy zachłystywała się jedynym w swoim rodzaju bólem, który mu sprawiała, i — niczym w związku sadystki z masochistą — ten ból w niewytłumaczony sposób zbliżył ich, a przynajmniej pozwolił dokładniej zrozumieć samych siebie.

Akiko pamiętała, że tylko raz spotkała się z ojcem; miała wtedy trzy i pół roku. Dzień ten był niezwykle, jak na wiosenną porę, ciepły; bawiła się z Yumi, starą kucharką, po czym, jak zawsze o tej porze, wróciła do pokoju matki. Ale zamiast matki, czekającej, by uczesać jej włosy, spotkała mężczyznę w brązowym garniturze. Miał lekko zgarbione plecy, grube rysy, szpakowate włosy, niezbyt obfite wąsy i gęste, strzępiaste niczym chmury brwi. Uśmiechnął się, gdy ją ujrzał, wtedy Akiko dostrzegła lekko pożółkłe zęby.

— Akiko-chan — powiedział kłaniając się.

Odpowiedziała tym samym gestem. Była dostatecznie blisko, by czuć zapach papierosowego dymu. Zmarszczyła nosek i potarła go palcem.

— Przyniosłem ci prezent, Akiko-chan. — Pochylił się ku niej i wyciągnął dłoń, na której spoczywał misternie rzeźbiony *netsuke*; miał kształt konia z opuszczoną głową i przednimi nogami uniesionymi jakby do lotu lub do odparcia niewidocznego ataku. Wykonany był z drzewa tulipanowca.

Akiko stała wpatrzona w breloczek, ale nie zrobiła żadnego ruchu, aby go wziąć do ręki.

— To dla ciebie. Nie chcesz go?

— Chcę — wyszeptwała.

Wyciągnął więc dłoń i umieścił *netsuke* w małej piątce Akiko.

— To dla ciebie ode mnie. Nasz sekret.

Skinęła głową.

— *Domo arigato*.

Uśmiechnął się do dziewczynki, chwycił jej drugą dłoń.

— A teraz mamy dla siebie całe popołudnie.

Był okres *hanami*. Zawiózł ją pociągiem do małego parku na obrzeżach miasta; szpalery starych wiśni zdobiły łagodnie nachylone zbocza.

Pamiętała zapach w pociągu, mnóstwo zestawów śniadaniowych i wciąż, po tylu latach, uczucie silnej klaustrofobii wywołane widokiem stłoczonych ludzi. Shimada mocno trzymał ją za rękę, ale Akiko wciąż czuła się niespokojna i zaczęła płakać. Podniósł ją i tulił do piersi, kołysząc łagodnie w takt poruszającego się pociągu.

W parku zatrzymali się przed wozem, z którego sprzedawano słodkie, galaretkowate *tofu*; kupił małe papierowe różki wypełnione słodyczami.

Niebo było przejrzyste i tak wyraziste, że przypomniało Akiko kawałek zielonego szkła, który kiedyś znalazła nad brzegiem morza — z brzegami zaokrąglonymi i wygładzonymi przez fale przypliwów i odpływów.

Shimada uniósł palec do góry i pokazał jej pomarańczowo-zielony latawiec z dziką głową tygrysa. Akiko śmiała się, gdy nurkował i kreślił pętle na wietrze.

Łapczywie zjadła swoje *tofu*. Shimada wytarł jej policzki śnieżnobiłą chustką. Czowała jej miękki dotyk na skórze.

Jednak przede wszystkim zapamiętała kwiaty wiśni. Było tak cicho, że Akiko sądziła, iż słyszy, jak jasnoróżowe płatki płyną w przejrzystym powietrzu. Sprawiały wrażenie zawieszonych w czasie; wszystko poruszało się w zwolnionym tempie, cały świat dostroił się do ich płynnego ruchu.

Uniosła głowę i głośno roześmiała się z zachwytu. Odskakiwała od Shimady i wracała, chwytając za nogawki spodni, ciągnąc do przodu, pragnąc na swój własny, niemy sposób zachęcić go do tańca.

Nigdy więcej nie zobaczyła Shimady i dopiero później zrozumiała, dlaczego. Podczas chwil z nim spędzonych nie domyślała się, że jest jej ojcem. Nigdy nawet nie pytała o to. Jednak gdy wspominała to spotkanie, zrozumiała, iż już wtedy dostrzegła, że był inny niż wszyscy mężczyźni, których poznała w swym krótkim życiu. Shimada był wyjątkowy, tak jak wyjątkowe było to wspomnienie, tak wyraziste mimo upływu czasu.

Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego odebrał sobie życie w niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak obserwował ją z uśmiechem, płaszącą w ostatnich godzinach życia kwiatów wiśni. Zdawało jej się, że nigdy nie potrafi mu tego wybaczyć, a potem, gdy poznała już straszną prawdę, myślała, że nigdy nie potrafi wybaczyć sobie.

Jeżeli chodzi o Ikan, po śmierci Shimady nigdy nie była już sobą. Niczym kwiat podczas *hanami*, osiągnęła pełnię swojej urody i utraciła ją równie szybko, jak on gubi swoje płatki. Silna melancholia otuliła ją jak całun, rzeźbiąc zmarszczkami piękną twarz. Piła ogromne ilości sake, często w trakcie spotkań z klientem traciła przytomność, jakby rzeczywistość była dla niej nie do zniesienia.

Ci, którzy kierowali *Fuyajo*, byli, rzecz zrozumiała, zatrwożeni, a potem, gdy jej stan pogarszał się gwałtownie, przepełnieni gniewem. Była jeszcze młoda, sądzili więc, że skoro przekroczyła już granicę, przed którą seksualne zespolenie było rzeczą najważniejszą, mogła wykorzystać swoje możliwości, by jako najlepszy *sensei* tego domu szkolić młodsze kobiety.

Ale stało się inaczej. Wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, gdy Akiko miała trzynaście lat, nie zdołano podnieść Ikan z jej *futonu*. Strach przeleciał przez *Fuyajo* niczym złe *kami*, sprawiając, że dziewczęta stały się nerwowe. Rozmowy zamieniły się w szept, gdy przyjechał lekarz i długo, powoli wspinał się po schodach do jej pokoju. Grupa dziewcząt, które siłą powstrzymały Akiko przed wejściem na górę, przyglądała się z przerażeniem. We wspaniałej cielesnej powłoce Ikan nie było już życia. Stary lekarz kręcił głową i głośno mlaskał. Siadł na brzegu *futonu*, spojrzął na jej bladą twarz i pomyślał, że w życiu nie widział tak wspaniałej i pięknej kobiety.

Znalazł u jej boku pustą butelkę po sake i małą fiolkę. Była opróżniona, tylko na dnie pozostał ślad białego proszku. Lekarz wetknął mały palec do środka, po czym przyłożył do języka. Ponownie pokiwał głową, nadal wydając głośne odgłosy językiem.

Usłyszał za sobą ruch i szybko wsunął fiolkę do kieszeni. „Chyba powinienem coś uczynić” — pomyślał. Gdy ci, którzy kierowali *Fuyajo*, spytali go o przyczynę śmierci, wzruszył ramionami w geście rezygnacji i powiedział, że zmarła na atak serca, co było w pewnym sensie prawdą.

Nie miał żadnych skrupułów okłamując ich, a nawet fałszując świadectwo zgonu. Właściwie to czuł, że postępuje szlachetnie. Czytał gazety informujące o szokującym samobójstwie wiceministra Shimady i wiedział o ujawnieniu dowodów, które przyczyniły się do tego. „Ta kobieta zniosła wystarczająco dużo — pomyślał. — Niech jej śmierć będzie spokojną i zwykłą śmiercią, która nie odbije się echem złośliwych plotek”.

Ci, którzy kierowali *Fuyajo*, natychmiast wyjaśnili Akiko, co się stało. I wtedy zrozumiała, jak ułoży się jej życie od tej chwili do dnia, w którym umrze, być może dokładnie w ten sam sposób jak matka. Świadomość tego była dla niej zupełnie nie do zniesienia.

Tej nocy zebrała swoje rzeczy, tak jak zrobiła to Ikan przed wyjazdem z rodzinnej farmy na głębokiej prowincji, oraz kilka rzeczy matki, które kochała i których nie chciała zostawić w *Fuyajo*. Upchnąwszy je w małej, podniszczonej bambusowej walizce, pod osłoną ciemności wymknęła się z budynku. Przed wykryciem uchronił ją fakt, że *Fuyajo* kipiał nocnym życiem.

Szybko przeszła przez wąską ulicę i skręciwszy za rogiem, popędziła ciemną alejką. Poruszała się szybko i pewnie. Zostawiła Yoshiwarę daleko za sobą. Nie obejrzała się ani razu i nigdy tam nie wróciła.

Szukali jej, oczywiście. Mieli do tego wszelkie prawa. Była niezwykle wartościowym towarem, zainwestowali w nią wiele lat. W kierowanie *Fuyajo* nie byli zamieszani yakuza, a *Boryokudan* nie miał w nim żadnego udziału. Jednak ci, co założyli Zamek Który Nie Zna Nocą, byli twardymi ludźmi interesu, a ich potomkowie, na których spadł obowiązek kierowania burdelem, byli bardzo podobni do swoich przodków. Mimo że wojska okupacyjne zaczęły likwidować Yoshiwarę, a *Fuyajo* trzeba było przenieść, nie potraktowali ucieczki Akiko pobłażliwie, chcieli jak najszybciej położyć jej kres. W tym celu wysłali dwóch bandytów, którzy mieli sprowadzić ją do domu lub, jeżeli nie byłoby to możliwe, wymierzyć karę za zdradziecki postępek.

Akiko po raz pierwszy nabrała podejrzeń, że jest śledzona, gdy spostrzegła dwa cienie: jeden przed sobą, a drugi dwie przecznice dalej. Nigdy by ich nie zauważyła — śledzący ją ludzie poruszali się bowiem bezszelestnie — gdyby nie kotka. Cztery małe kocięta ssały jej nabrzmiałe sutki, gdy Akiko, potykając się, wkroczyła na jej terytorium; wystraszone zwierzę podniosło się i wyginając grzbiet syknęło na intruza odsłaniając zęby i zwracając pełne nienawiści oczy w stronę bladego światła.

Akiko westchnęła ciężko, serce zabiło boleśnie w jej piersi i odskoczyła na bok, z dala od rozwścieczonej kotki. Wtedy właśnie dostrzegła podejrzane cienie i z przerażenia aż otworzyła szeroko oczy.

Przywarła do chłodnego muru, spojrzała przed siebie, potem do tyłu. Nic. Cisza. Brak jakiegokolwiek ruchu robił niesamowite wrażenie, w pobliżu nie było nawet *koban*, budki telefonicznej, aby zadzwonić na policję.

Nadal znajdowała się w dzielnicy Asakusa, pełnej starych tradycyjnych traktów, ostatnich tokijskich pozostałości po minionych czasach. Budynki były tu małe i niskie, zrobione z drewna i woskowanego papieru, takie, jakie kiedyś budowano w całej Japonii, bez wież ze stali i szkła, wyrastających w innych dzielnicach miasta.

Akiko, z sercem wciąż podchodzącym do gardła, odsunęła się od jeżącej sierści kotki, pewna teraz, że sięga po nią długie ramię *Fuyajo*. Postanowiła jednak, że w żaden sposób nie da im się sprowadzić z powrotem do tego znieawidzonego miejsca. Prędzej zginie, niż na to pozwoli. Najpierw jednak zrani kogoś dotkliwie.

Poczuła nagły przyływ dzikiej furii. Szybko uklękła, a gdy to zrobiła, kątem oka dostrzegła ciemny błysk, plamę, która niczym pędząca chmura na moment przesłoniła tarczę księżyca.

Bez wahania otworzyła bambusową walizkę i wyjęła pistolet. Był dość mały, miał kolbę obitą macicą perłową, kaliber dwadzieścia dwa, dobrze

nasmarowany i w dobrym stanie. Był naładowany, sprawdziła to, zanim wyjęła go ze schowka pod *futonem* matki. Akiko nie potrafiła pojąć, dlaczego Ikan posiadała taki przedmiot, ale w dniu, w którym odkryła go przed ponad rokiem, miała dość zdrowego rozsądku, aby nikomu, nawet matce nie mówić o tym. Tego wieczoru nie chciała go zostawić. Teraz wiedziała, dlaczego.

Zbliżali się. Akiko błyskawicznie zamknęła walizkę i stanęła spokojnie z pistoletem ukrytym za plecami. O dziwo, nie czuła lęku. Urodziła się do nocnego życia i ciemność nie napawała jej trwogą, co zdarza się wielu ludziom. W ukradkowym świetle nocy czuła się jak w domu. Lubiła anonimowość, którą obdarzały ją jej cienie. Noc w *Fuyajo* zastawała ją podczas wyostrzającej zmysły wędrówki przez liczne pokoje, gdy potajemnie wspinała się po tylnych schodach i czołgała przez kanały wentylacyjne, żeby obserwować niezliczone pary.

Jeden podszedł. Gibki i szczupły, zlewał się z ciemnością tak idealnie, że był tuż przy niej, gdy zdała sobie sprawę z jego obecności. Odwróciła głowę, przerażona, wydała mimowolnie słaby, zduszony okrzyk. Była na siebie zła, że nie wyczuła go wcześniej.

— Czego chcesz? — spytała ochryplym szeptem, odrobinę głośniejszym od nocnego wiatru, który szeleścił liśćmi cyprysów ponad jej głową.

Głos mógł go zdradzić, więc zachował milczenie.

Akiko poczuła, jak strach powoduje drżenie jej serca. Oczy miała szeroko otwarte, źrenice rozszerzyły się do granic możliwości, gdy wpatrywała się w ciemność, pragnąc wyłowić drobny błysk, który sprawi, że mężczyzna przestanie być tylko widmem.

— Wiem, że tam jesteś — powiedziała cicho, pragnąc, by głos jej brzmiał zwyczajnie. — Jeśli się zbliżysz, zabiję cię. — Mimo swojej brawury zaczęła dygotać. Czuła, jak zimno przenika ją na wskroś, a wszystko dokoła wydało się obce i odpychające.

Powstrzymując łzy, podjęła decyzję. Wiedziała, że dłużej czekać nie może. Przez jej mocno napięte mięśnie przebiegały dreszcze jak w gorączce. Teraz albo nigdy; musiała po prostu zaufać własnym oczom. Nie widziała, aby ruszał się z plamy cienia w pobliżu niej, co musiało oznaczać, że tego nie zrobił. Wizje duchów i stworów zmieniających swój kształt były dobre dla dzieci.

„Boję się — powiedziała do siebie najspokojniej, jak tylko mogła. — Ale on mnie zabije, jeżeli mu na to pozwolę, albo — w najlepszym przypadku — zaciągnie mnie z powrotem do *Fuyajo*, co z pewnością będzie gorsze niż śmierć”.

Właśnie wyciągała pistolet zza pleców, gdy wyczuła czyjąś obecność z lewej strony i pomyślała: „Drugi!” Poczowała ucisk w krtani, próbowała odechnąć. Gdy to się nie udało, wezbrał w niej paniczny strach i krzyknęła, unosząc pistolet błyskawicznym i ledwo dostrzegalnym dla oka ruchem; palec wskazujący już naciskał, naciskał spust... „zrobić cokolwiek, byle tylko doprowadzić tlen do wyczerpanych płuc!”

Huk wystrzału sprawił, że krzyknęła z gniewu i przerażenia. Fala dźwięku dotarła do bębenków uszu niczym cios, aż zachwiała się; ostry zapach prochu oraz gorące, palące i natychmiastowy, który owionął ją niczym technieniem śmierci, przyprawiły o mdłości.

Światło oślepiło ją; zwymiotowała pod drewnianą ścianą. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Osunęła się powoli. Coś miała na oczach; uniosła do góry wolną dłoń i otarła czoło. Włosy były splątane i mokre.

Noc. Ciemna krew, jej metaliczny odór wdzierał się w nozdrza sprawiając, że krztusiła się, bez przerwy ocierała twarz i płakała.

Jakiś cień wyrósł nad nią. Instynktownie uniosła pistolet do góry; zupełnie straciła panowanie nad sobą i lufa chwiała się na wszystkie strony. Usiłowała ponownie dosięgnąć spustu, ale palce nie reagowały na jej polecenia; potem pistolet wypadł z ręki. Była załamana, nadal szlochała i szepotała przez łzy:

— Nie zabierajcie mnie tam, nie chcę tam wracać.

Ktoś podniósł ją z ulicy, przez moment poczuła podmuch wiatru na gorącym i zakrwawionym policzku; potem skrzywienie, trzask, hałas zasuwanego rygla i ogarniające ją ciepło domu, nieznanego miejsca. Tylko jedno było oczywiste: to nie był *Fuyajo*.

Głowa opadła jej w dół...

Pośród sieci wyschniętych kolczastych gałęzi ukazała się ogromna ospowata twarz.

Akiko krzyknęła, próbowała zakryć ramionami twarz, aby się obronić. Miała uczucie, że równocześnie spada i mknie do przodu, wiruje jak liść na wietrze, traci bezpieczeństwo... czego?

Mężczyzna o ogromnej jak księżyc twarzy przesunął się i zniknął. Poczowała się tak, jakby spadł jej ciężar z piersi.

— Czy teraz już lepiej? — Głos był cichy i wesoły, z wiejskim akcentem.

— Nie mogę... oddychać. — Jej odpowiedź brzmiała jak pisk gryzonia; zdała sobie sprawę, że usta i gardło ma tak wysuszone, iż nie może wydzieścić śliny.

— Po pewnym czasie będziesz mogła wszystko robić. — Księżycowy człowiek uśmiechnął się, albo tak się jej tylko wydawało. Wciąż miała

trudności z widzeniem, jakby spoglądała przez szybę pokrytą strużkami ściekającej wody.

— Nie widzę cię wyraźnie — wyszeptła przez spękane wargi.

— Gdy, przestaniesz płakać — powiedział łagodny głos — nie będziesz już miała z tym problemu.

Potem zapadła na pewien czas w niespokojną drzemkę. Strach nie pozwalał na zbyt głęboki sen.

Męczyły ją koszmary naznaczone piętnem wojny. Powieki drżały bezustannie, a wargi poruszały się i krzywiły.

Gdy przebudziła się w końcu, znowu zbliżała się noc i chociaż od jej przeżyć minęło ponad osiemnaście godzin, wydawało się, jakby czas stanął w miejscu.

— Gdzie zdobyłaś tę broń?

Było to pierwsze pytanie, jakie jej zadał. Znała oczywiście odpowiedź, ale wysiłek potrzebny, aby otworzyć usta i przelożyć myśli na słowa, wydawał się ponad siły.

Postawił przed nią olbrzymią, zakrzywioną drewnianą misę z *larmen dosanko* i siadając ze skrzyżowanymi nogami na *tatami* obok *futonu*, na którym leżała, splótł palce pod brodą. Przyglądał się jej w milczeniu.

Akiko usiadła. Zapach dymiącej zupy z makaronem był tak oszałamiający, że na chwilę zapomniała o nocnych przeżyciach. Dopiero gdy skończyła jeść, zauważyła smukły kształt pistoletu, który leżał obok mężczyzny. Właśnie o broń mu chodziło, gdy zadał pierwsze pytanie.

Spojrzała na zmięty *futon*. Był z jasnego materiału, ale w niektórych miejscach mocne rdzawe plamy uczyniły piękną bawełnę twardą i sztywną jak skóra. Ten widok spowodował, że serce Akiko znowu zaczęło walić jak młot; siedzący naprzeciw mężczyzna musiał coś dostrzec w jej oczach, ponieważ uśmiechnął się i rzekł:

— Nie musisz się mnie bać, *kodomo-gunjin*.

Akiko dotknęła końcami palców prawej strony czoła, blisko linii włosów. Zaspokojenie głodu sprawiło, że uświadomiła sobie bolesne pulsowanie w tym miejscu. Wyczuła wybrzuszenie bandaża.

— Dlaczego nazywasz mnie małym żołnierzem?

— Chyba — rzekł cicho, pochylając się, aby popchnąć pistolet w jej kierunku — tylko dlatego, że nosisz tę broń.

Podniósł głowę. Nic dziwnego, że początkowo myślała o nim jak o księżycowym człowieku, bowiem twarz mężczyzny, z ospowatymi policzkami i płaskim nosem, była okrągła jak księżyc w pełni. Miał sumiaste wąsy

opadające wzdłuż kącików ust, lecz włosy bardzo rzadkie. Cała twarz wydawała się miękka jak surowe ciasto. Ukłonił się.

— Na imię mi Sun Hsiung. Jak mogę się zwracać do ciebie?

— Już mnie przecież nazwałeś, prawda? *Kodomo-gunjin*.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Jak sobie życzysz.

Pochyliła się do przodu i podniosła pistolet z *tatami*. Teraz sprawiał wrażenie dość ciężkiego. Nie patrząc na niego, powiedziała:

— Co się stało... ostatniej nocy?

Sun Hsiung ułożył ręce na kolanach.

— Strzeliłaś do... mężczyzny, który cię trzymał. Wystrzeliłaś jedną kulę, która przeszła przez jego lewe oko. Odlupała brzeg kości tuż nad okiem i utkwiała w mózgu.

— On... nie żyje?

— Tak.

Z trudem przełknęła ślinę.

— A ten drugi?

— Zbliżał się do ciebie, gdy się pojawiłem. Sądzę, że chciał cię zabić, musiałem go powstrzymać.

Akiko otworzyła usta, aby zadać nowe pytanie, ale rozmyśliła się momentalnie, mówiąc:

— Mogą przysłać następnych.

Sun Hsiung wzruszył ramionami.

— Być może.

Objęła palcami spust i ważyła pistolet w dłoni.

— Ich również zastrzelę.

Sun Hsiung przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Nie pytał, kim byli ci mężczyźni, kto mógł przysłać następnych bandytów, a nawet o to, dlaczego tych wysłano.

— Myślę, że byłoby to bardzo niemądre.

— Dlaczego? To przecież uratowało mi życie — odparła z wyzywającym spojrzeniem.

Hsiung wstał i odszedł w milczeniu, pozostawiając ją, aby mogła wszystko spokojnie przemyśleć. To nie pistolet uratował życie Akiko, ale jego interwencja. Gdy zastanowiła się nad tym dostatecznie głęboko, by dostrzec wszystkie okoliczności zdarzenia, wstała i poszła do niego.

Był na zewnątrz, z tyłu domu; pielęgnował swój ogród z małymi, przepięknymi drzewkami *bonsai*. Stała na jego skraju, jak olbrzym, który przez pomyłkę wtargnął w zminiaturyzowany świat.

— Chcę się uczyć — powiedziała cicho.

Lampion z papieru ryżowego obracał się na czarnym żeliwnym haku, a jego światło padało na ramiona ciężko pracującego Sun Hsiunga. Nie odwrócił się i nie zrobił żadnego ruchu, który by świadczył, że ją słyszał lub że w ogóle zdawał sobie sprawę z jej obecności.

— Chcę, żebyś nauczył mnie tego, co wiesz.

Spojrzała w dół, na broń, którą wciąż trzymała w dłoni. Ciężar i ciepło pistoletu dawały jej dziwne poczucie bezpieczeństwa. Był również czymś, co należało do matki.

Ostrożnie i powoli przeszła między malutkimi drzewkami do miejsca, gdzie pracował.

— Proszę — wyszeptała; ukłękła najostrożniej jak tylko mogła na wąskiej kamiennej ścieżce i ukloniła się w pas. W otwartej dłoni trzymała broń. — Weź to jako zapłatę. To wszystko, co mam.

Sun Hsiung odłożył błyszczące narzędzia i powoli odwrócił się. Uklonił się i biorąc pistolet, cicho powiedział:

— *Domo arigato, kodomo-gunjin.*

Tamtej nocy omal nie zabiła siebie i bandyty. Właśnie dlatego miała zabandażowane czoło. Gdy w końcu zdjęła bandaż, na czole była czerwona pręga, która z czasem zmieniła się w małą bruzdę pomarszczonej skóry. Kula, która trafiła napastnika, drasnęła również ją. Był zbyt blisko. Cieszyła się, że oddała pistolet Hsiungowi.

Początek szkolenia zaskoczył ją. Dni zaczynały się o piątej rano. Uczennica i *sensei* zaczynali swoje ćwiczenia w ciemności, wzmacniając oddech oraz układ sercowo-naczyniowy. W bladym świetle świtu przechodzili do *tai chi chuan*, powolnych, ociążałych ruchów, które jak w balecie, wznosiły wycucie równowagi i poprawiały koordynację.

Od rana do popołudnia Sun Hsiung zostawiał ją samą w domu, by czytała fragmenty książek, które jej przynosił. Akiko była doskonałym czytelnikiem, ze znakomitą pamięcią i bogatym zasobem słów. Była pilną uczennicą, wręcz oczarowaną nauką.

Gdy Sun Hsiung powracał ze swych codziennych zajęć poza domem, przynosili się do ogrodu *bonsai* — każde z blokiem papieru ryżowego, małym pędzelkiem z borsuczej sierści i słojem tuszu. Początkowo Akiko była zażenowana. Serce wciąż było pełne gwałtownych uczuć i często musiała je tłumić. W głowie wirowały gorączkowe myśli, gdy przywoływała wspomnienia z tamtej nocy; strach znikł, zamiast niego rosła gwałtownie zimna, wykalkulowana nienawiść.

Początkowo wzdrgała się przed pomysłem malowania. Mogła pogodzić się z dość łagodnymi *tai chi*, długimi godzinami intelektualnego odpoczynku, ale to... to po prostu przekraczało jej siły.

Gdy po raz pierwszy otrzymała blok i pędzelek, powiedziała mu o tym. Sun Hsiung spojrział na nią i rzekł:

— *Kodomo-gunjin*, obawiam się, że przesadziłem nazywając cię tak. Musisz nauczyć się panować nad sobą, zanim poznasz zasady wojennej sztuki.

— Ale m a l o w a n i e ... — Powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o zbieranie śmieci.

Sun Hsiung zastanawiał się w milczeniu, czy nie popełnił błędu. Myślał, czy ta młoda, zapalczywa istota może opanować najtrudniejszą lekcję, lekcję cierpliwości. Wzruszył ramionami. Zdecyduje o tym jej *karma*; jego *karmą* było nauczyć ją. Potem...

— Zanim rozpoczniemy obronną część szkolenia, musisz oczyścić serce z nienawiści — powiedział. — Aby to zrobić, będziesz potrzebowała drenu, który ją usunie. Kładę pędzel w twojej dłoni, patrzę, jak nienawiść sączy się z twego serca.

— Ale oni nie będą długo czekać i wkrótce znowu za mną przyjdą.

— Nie jesteś już sama na świecie, *kodomo-gunjin* — odparł stawiając obok słój z tuszem.

Odwróciła od niego oczy i przyglądała się ogromnej śnieżnobiałej powierzchni papieru leżącego na kolanach.

— Ale ja nie potrafię malować — powiedziała płaczącym głosem. Sun Hsiung uśmiechnął się do niej.

— Więc rozpoczniemy od podstaw.

Podczas kolejnych miesięcy malowanie stało się jej ulubionym zajęciem, z radością witała dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Każdego dnia, dokładnie o tej samej porze, unosiła głowę, by zobaczyć przez okno, czy słońce pada na bambusową ścianę maleńkiego ogrodu i sprawdzić, czy można już zacząć malować. Potem, pełna entuzjazmu, zamykała książkę i zbierała przybory. Z niecierpliwością oczekiwała na nową lekcję.

Początkowo przygnębiało ją nadejście popołudniowego deszczu. Porzucali wtedy malowanie i zaczynali inne lekcje. Później, gdy nabrała większej wprawy w malowaniu, na deszcz czekała równie niecierpliwie. Wtedy siadali po prostu w otwartej *fusuma*, gdzie było ciepło i sucho, i malowali korzystając z rozproszonego światła, ukośnych, przerywanych strumieni deszczu jako tła do obrazów.

Czyż mogła kiedykolwiek przypuszczać, że niepogoda będzie wywoływać u niej takie uniesienia? Gdy inni wędrowali mokrymi ulicami, pochyleni pod swymi *amagasa*, drżący i przemoczeni, ona była wciąż pochłonięta malowaniem.

Najpierw nie zdawała sobie sprawy, że nienawiść w jej sercu stopniowo wygasa. Wypływała przez twórczy dren. Zgodnie z intuicją Sun Hsiunga okazał się być dla niej właściwym lekarstwem. Jej obrazy złagodniały, nabrały wyrazu. Zrobiły wrażenie nawet na nauczycielu, który tyle czasu poświęcił na jego poszukiwania.

Sun Hsiung uznał, że Akiko może już rozpocząć trudniejszą część szkolenia. Spadł gęsty śnieg pokrywając nieczułym dywanem zielenie i brązy Japonii; tego dnia nie pozwolił jej zasnąć przez całą noc; rozpoczął długi proces. Uczynił to z pełną świadomością tego, czym może się skończyć dla nich obojga. Nigdy wcześniej nie miał ucznia-dziewczyny i gdyby odznaczał się innym temperamentem, już wtedy czułby pewien niepokój.

Nieraz zastanawiał się, jak łatwo przyszło mu pogodzić się z faktem, że Akiko jest odmiennej płci. W jego ojczystych Chinach tak inaczej pojmowano rolę kobiet. Sun Hsiung pamiętał, że ojciec uważał inteligentne kobiety, które przejawiały jakikolwiek talent, za nieznosne.

— Prędzej czy później — mawiał swemu synowi — otworzą usta i odpowiedzą ci zuchwale, a wtedy cóż ci przyjdzie z ich talentu?

Zarówno w Japonii, jak i w Chinach kobietę obowiązywało poddanie się woli ojca do chwili zamążpojscia. Potem musiała być posłuszna mężowi, a po jego śmierci — swemu najstarszemu synowi.

Najgorszym grzechem żony była niezdolność do rodzenia dzieci. W takim przypadku, zgodnie ze starymi zasadami, oczekiwano od niej, że odejdzie. W pewnych sytuacjach mogła wybrać: albo zgodzić się na to, by kochanka urodziła mężowi dziecko, albo zaadoptować dziecko jednego z krewnych męża.

Niewierność żony dawała podstawę do natychmiastowego rozwodu, lecz mężczyzna mógł mieć tyle kochanek, ile tylko chciał. Ustawa wprowadzona w życie w Japonii w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku ustanawiała pierwszy stopień pokrewieństwa pomiędzy rodzicem i jego dzieckiem oraz drugi stopień pokrewieństwa między mężczyzną i jego kochanką. Wprawdzie unieważniono ją dziesięć lat później, jednak zwyczaj utrzymywania kochanki pozostał.

Gdy cesarz Mutsuhito zakończył swoje panowanie w 1912 roku, rozeszły się pogłoski, że syna, który odziedziczył po nim tron jako cesarz Taisho, urodziła nie żona, lecz kochanka. Taisho panował krótko; w tysiąc dziewięćset

dwudziestym szóstym roku jego syn, Hirohito, objął rządy.

Przypominając sobie tę historię, Sun Hsiung poczuł, jakim jest odszczepieńcem. Przed wielu laty uciekł z Chin zrażony represyjnymi obyczajami panującymi w chińskim społeczeństwie. Nie zależało mu na czyjejkolwiek służalczości, a już na pewno nie na służalczości partnerki. Mniej lub bardziej świadomie szukał w sobie i ludziach siły i różnił się znacznie od japońskich samurajów, którzy — dzień i noc upajając się swą siłą — pragnęli jedynie ciągłych holdów ze strony delikatnych kobiet.

Spojrzał na sylwetkę ćwiczącego Małego Żołnierza; w złotawym świetle lampy cienka warstwa potu sprawiała, że jej skóra błyszcząca i wydawała się opalona.

Zastanawiał się, czy tak samo patrzyłby na męskie ciało. Czy byłby świadom gry mięśni pleców, marszczenia skóry na udach, gdy rozciągała się i skręcała w *tai chi chuan*? Wykonywała je z taką wprawą, że trudno było mu uwierzyć, iż ćwiczyła sześć miesięcy, a nie sześć lat.

Ukradkiem obserwował ruchy jej pośladków, gdy unosiła jedną nogę i robiła obrót wokół własnej osi; był głęboko zawstydzony instynktami, które w nim budziła. A jednak nie potrafił ich stłumić.

Dotąd zawsze panował nad swym pożądaniem; kiedy czuł taką potrzebę, po prostu odwiedzał nową dzielnicę *koryukai* i gasił swoje pragnienie. Jednak to on zawsze decydował, wybierał noce erotycznych ćwiczeń, by doznać rozkoszy i dać ją swoim partnerkom.

Teraz, po raz pierwszy od czasu gdy był młodym, niedoświadczonym chłopcem, nie potrafił stłumić pożądania; narastało spontanicznie, chwytając w swą zdradliwą sieć. Był zły na siebie, próbował bronić się przed tym atakiem, zając umysł czymś innym; umysł nie miał jednak z tym nic wspólnego. Był przecież mężczyzną, który czerpał z życia wszystko, co ze sobą niosło, i w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że mało kto decydował się żyć wyłącznie w świecie własnych myśli.

To jego ciało przemawiało teraz i w głębi duszy wiedział, że musi w jakiś sposób zareagować na jego wezwanie. Tego rana, gdy jego uczennica nadal odsypiała nocne lekcje, wymknął się z domu i oddał uciechom „trzciniowego świata”. Choć czuł, jak z pieścotami *tayu* napływa fala rozkoszy, chociaż dwukrotnie doznał orgazmu, nie przyniosło mu to ulgi. Wszystko było zbyt powierzchowne; podczas gdy w górze szalał sztorm, w głębi panował bezruch i cisza.

Nie mógł powiedzieć, że nie podobała mu się wizyta na „polach szczęścia”.

Zobaczył chmury i poznał smak deszczu, lecz nie dało mu to spokoju. Nasycił ciało, nie doznał jednak spełnienia.

Zastanawiał się nad tym w drodze do domu; kiedy przekreślił klucz w zamku i przekroczył próg swego sanktuarium, natychmiast zrozumiał powód dręczącego go niepokoju.

Gdy szedł przez pogrążone w ciszy pokoje, dotarł do sypialni swojej uczennicy. *Fusuma*, tak jak zawsze, była częściowo rozsunięta. Przystanął, aby spojrzeć na Akiko, która spała z twarzą odwróconą na bok, w jego stronę. Leżała na plecach, z jedną nogą wyprostowaną, drugą zgiętą w kolanie, tak jakby gotowała się do skoku.

I gdy oczy upajały się jej widokiem, poczuł, jak emocje, niczym stalowe szpony, rozszarpują jego serce.

Jaką tajemnicę kryć mogła w sobie kobieta tak młoda jak ona, by wyzwać w nim takie pożądanie? Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć, mimo swego doświadczenia.

Gdy ukląkł tuż przed progiem pokoju, zachwycony pogodą jej *wa*, poczuł pulsowanie w dolnej części podbrzusza, rodzaj odpływu, przy którym — jak opowiadali nurkowie nad Awabi — nikt nie powinien kąpać się w jeziorze.

Więc jednak, teraz z nim. Wyciągnął szyję i wpatrywał się uważnie w twarz śpiącej Akiko, żeby nabrać pewności. Odniosł bowiem wrażenie, że sięgnęła przez dzielącą ich przestrzeń i dotknęła jego ciała. Wcale nie uważał, iż jest to niemożliwe. Zbyt dużo wiedział o *jaho*, aby to wykluczyć. „Ale u kogoś takiego jak Mały Żołnierz? Jak to możliwe, nie uczyła się tego przecież”.

A jednak nie mógł zaprzeczyć temu, co działo się w jego ciele. Rozejrzał się. Dzień zbliżał się ku końcowi. Długie cienie wędrowały po domu jak przeciągające się koty; szybko zapadał zmrok. Nadciągała noc.

Leżąca tak blisko Akiko poruszyła się; wyciągnęła obie nogi, uniosła ramię nad głowę i przeciągnęła się jak wielka kotka. Otworzyła oczy i utkwiała w nim wzrok, jak gdyby we śnie obserwowała go przez zasłonę swych powiek.

— Przyjdź tutaj — zamruczała bezwstydnie. A kiedy Sun Hsiung nie uczynił żadnego ruchu, nie powiedział słowa, jej powieki zadrżały. Uświadomił sobie, że ucisk w podbrzuszu nasila się promieniując w dół ku nasadzie członka. Nagle poczuł mrowienie w jądrach, jakby jedwabista dłoń chwyciła go za prącie, które zaczęło sztywnieć i rosnać.

„Nie!” — wykrzyknął wewnętrzny głos, ale nie było już ratunku. Jak lutanek przepłynął leniwie przez próg; jej ręce uniosły się do góry i niczym

wężę poczęły sunąć po jego muskularnych ramionach. Długie palce pieściły kark.

Sun Hsiung nie czuł już rąk i stóp. Miał jedynie świadomość niezwykle rozkoszy pulsującej w łądźwiach.

Dziewczyna magicznym ruchem majestatycznie rozsunała poły jego kimona, lewą ręką zataczała koła na piersiach i brzuchu. Z powiekami ciężkimi nie tylko od snu wpatrywała się w niego, jej źrenice były tak rozszerzone, że wydawało się, iż oczy w ogóle nie mają tęczówek. Usta złagodniały, stały się czułe, rozchyliły się nieznacznie; czuł jej słodki oddech. Nie chciał widzieć jej nagej. Ale w końcu nie potrafił się oprzeć miłosnej prowokacji. Powoli, delikatnie rozchyłał cienkie bawełniane kimono i jej płonące ciało cal po calu ukazywało się jego oczom, najpierw miejsca, które już widział przez chwilę, potem bliskie im kuszące rejony, a w końcu bardziej intymne części, które zaczęły już rozpalać jego namiętność.

Wstrzymał oddech, gdy najpierw jedna, a potem druga pierś wysunęła się z maskującego cienia kimona. Uniosły się do światła, zwieńczone brodawkami i aureolą sutków tak ciemną jak nadchodząca noc. Jeżeli Fuji była najdoskonalszą górą na świecie, to z pewnością nie było piersi równie doskonałych jak te.

Z uwielbieniem pochylił głowę, a z jego ust wyrwał się lekki okrzyk. Zamknęła gwałtownie oczy, gdy poczuła jak usta Hsiunga obejmują najpierw jedną brodawkę piersi, a potem drugą. Gładziła jego szyję wprawnym ruchem, który tak długo obserwowała w *Fuyajo*; wyczuwała teraz odpowiednie wiązki nerwów i wędrując po nich końcami palców, wiedziała, jak rozpalać je elektryzującą energią lub koić euforycznym odrętwieniem.

Ale to nie wystarczało; była niecierpliwa i prawą dłoń niczym zmiję wsunęła pomiędzy ich ciała; pragnęła rzeczywiście uchwycić to, po co sięgała w ostatnich chwilach snu, gdy coś w jej wnętrzu uświadomiło jej bliskość mężczyzny, a w końcu odebrała emanujące z Hsiunga seksualne pragnienie. Jeszcze w mrokach podświadomości wyciągnęła do niego dłoń, po czym, świadomie już, posłała swoją *wa* przez bezkres dzielącej ich przestrzeni.

Trzymała teraz w ręce to, czego wcześniej dotknęły jej myśli; objęła dłońią ciężką mosznę, podczas gdy palcami delikatnie muskała miękką skórę tuż poniżej.

Sun Hsiung, pochłonięty widokiem piersi, poczuł nagle gwałtowną inwazję jej palców i pomyślał, że chyba umrze z rozkoszy. Poruszała go do żywego, serce biło coraz szybciej. Czuł się niezwykle ocieślały, jak człowiek w skórze malajskiego niedźwiedzia. Umysł nie pracował już prawidłowo,

wszystkie kryształowe korytarze, które z takim powodzeniem prowadziły go przez labirynt logiki, zawaliły się nagle. Znalazł się w kleszczach niewyobrażalnej siły. Zdumiewające poczynania dziewczyny potęgowały podniecenie, aż z ust Hsiunga wyrwał się mimowolny jęk. Z głębokim pomrukiem zdarł kimono z siebie i Akiko. Obrócił ją na *futonie* i położył stwardniałe dłonie na jej udach; pomału przesunął je do środka po niewiarygodnie miękkim ciele. Nieskończenie powolnym ruchem rozsunął nogi dziewczyny i z uwielbieniem wpatrywał się w wilgotne płatki kwiatu, który ukazał się jego oczom.

Nozdrza pochwyciły piżmowy zapach jej ciała. Czuł, jak członek podrywa się w jej dłoniach, jak rozrasta, usiłując wyzwolić się z uścisku. Krew uderzała mu do głowy. Powietrze było gęste jak miód, tak jakby Akiko przesyciła je wonią swej skóry.

Delikatne łono było w zasięgu jego ust. Nigdy jeszcze nie czuł takiego pożądania. Całym sobą pragnął doznać tych paru chwil, które teraz miały nastąpić.

Włosy, właśnie zaczynające się pojawiać, rosły tylko wzdłuż środkowego pasma jej wzgórka łonowego; brzegi pozostały gładkie i nagie niczym skóra małego dziecka. Bez chwili wahania kciukami rozsunął błyszczące wargi.

Gdy Akiko poczuła w środku rozgrzany sztylet jego języka, wygięła biodra, wydając z siebie niewyraźny okrzyk rozkoszy. Czuła, jakby słońce spłynęło z nieba i wciskało się pomiędzy jej uda. Spozobrzała również, że ruszając się, zwiększa swoją rozkosz.

Przesunęła się nieznacznie do góry i wyciągnęła szyję, by przycisnąć usta tuż poniżej jąder. Poczowała silne drżenie członka; z gardła wyrwał się wibrujący jęk. Przywarła mocniej do jego ciała, aby odwzajemnić doznania.

Nos i język Hsiunga sunęły po śliskiej powierzchni jej łona; jego oczy były nieprzytomne — tak ogromna była ekstaza, której doświadczał. Zupełnie zapomniał o porannej wizycie w *koryukai*, czuł się tak, jakby wcale nie kochał się z *tayu*, jakby od wielu lat nie był z kobietą.

Jego język wędrował tam i z powrotem, jakby nie było mu dosyć jej smaku. Poczował drżenie łona. Gorączkowo skupił się na jego wnętrzu, powiększonym teraz i pulsującym w przepyszny wyrazie poddania się pieszcotom. Słyszał pod sobą westchnienia i jęki Akiko, czuł elektryzujące muśnięcia piersi o swój brzuch, podczas gdy jej usta pracowały bezustannie.

Pragnął, by przeżyła dzięki niemu swój pierwszy prawdziwy orgazm, ale nie wiedział, jak długo potrafi się powstrzymać. Nie dotknęła jeszcze żołądźci

napiętego członka, jednak był przekonany, że niedługo i tak będzie musiał wytrysnąć nasieniem.

Ogarnęły ją spazmy, napięte mięśnie przeżyły się tuż pod powierzchnią skóry, uda rozrzuciła szeroko, pośladki miała twarde jak skały. Czuł, jak w jej wnętrzu narasta ostateczne drżenie.

I wtedy, niespodziewanie, poczuł, jak wyslizguje się spod jego ciała, jak obraca go na plecy, i obserwował ze zdumieniem, jak siada na nim wprowadzając do pochwy koniec jego członka.

Westchnął ciężko i mimowolnie poderwał biodra z *futon*, gdy pierwsze elektryzujące zetknięcie z jej ciałem groziło, że wybuchnie.

Poruszała biodrami w przód i w tył drażniąc żołądź, najpierw wierzchołek, potem dolną część, w przód i w tył, w rytmie, który zapierał dech w piersiach. Potem osuwała się coraz niżej, tak że musiał położyć dłonie na jej biodrach przedostając się przez naturalną barierę jej tkanek.

Po czym — jak wybuch armatniej kanonady — przebił się, trzon jego członka wsunął się do końca. Poczuł, jak nabrzmiały wargi, a potem pieszczące i nagłające palce dotykają jąder.

Pochyliła się nad Hsiungiem, mocno ocierając piersiami o jego ciało; małe białe zęby odsłoniły się nieznacznie, gdy poruszała biodrami, wywołując w nim niewyobrażalne napięcie.

Sun Hsiung zacisnął zęby; żyły na szyi naprężyły się niczym stalowe liny. Wydał z siebie przeciągły jęk; wszedł teraz w nią głęboko; wpatrywał się w twarz Akiko, pragnął poczekać na nią.

I znowu zaczęła drżeć, tym razem potężne niszczące fale wstrząsały jej rozpaloną pochwą. To była ostatnia kropla i poczuł, jak roztapia się w ekstazie; cała energia, wszelkie jej rezerwy spływały wzdłuż falujących mięśni ud do łędźwi, zbierając się niczym żywe srebro w jądrach. Gdy zaciskająca się na nich dłoń nagliła go do ruchu, gdy jej pochwa drgała wokół rosnącego prącia, poczuł potężną serię dreszczy, ogarnęło go niewymownie rozkoszne ciepło połączone z olbrzymim pragnieniem wbicia się w nią głębiej, niż wbijał się w inne kobiety.

Krzyczała. Obraz jej bioder zamazał się w pośpiesznym ruchu, gdy tarła i uderzała o jego ciało. Czuł na twarzy jej słodki oddech zabarwiony jego własnym zapachem piżma, wilgotne rozpuszczone włosy jak czuły welon spływały mu na oczy. Potężna fala przemknęła przez brzuch Akiko, mięśnie jej ciała zagrały spazmatycznym dreszczem i poczuł, jak chwytają go jedwabiste palce i głaszczą znowu z taką czułością, że w cudowny sposób poczuł nawrót słabnącego już orgazmu. Narastał w nim znowu, jakby był kobietą,

odradzał rozkosz w innej postaci, z której istnienia przez całe życie nie zdawał sobie sprawy.

Coś w jej wnętrzu — to samo, co kazało jej we śnie sięgnąć po Hsiunga i pieścić go — uniosło go razem z nią i wspólnie przeżywali jej orgazm, zjednoczeni w tańcu dusz, którego on doświadczył przedtem tylko w najwyższym uniesieniu podczas walki, gdy rzuca się życie na szalę, a obok czyha śmierć.

Sun Hsiung, drżący niczym liść na sztormowym wietrze, pozwolił, by wspaniała moc dziewczyny runęła na niego z całą siłą. Niosły ich skrzydła ekstazy i jego wzwidziony członek ponownie wystrzelił wewnątrz jej falującego łona całym nagromadzonym ładunkiem rozkoszy.

Po wielu latach wspomnienie tego wieczoru nadal było świeże. Pojawiła się przed nim, teraz będąc już kobietą, i kłaniając się powiedziała:

— *Sensei*, chciałabym nauczyć się jeszcze jednego. — Sun Hsiung poczuł skurcz w żołądku i chłód w sercu, bowiem niemal od początku wiedział, że w końcu przyjdzie ten moment. Obawiając się jego nadejścia, wymazał z pamięci jego widmo. Aż do teraz. Teraz właśnie nadszedł.

— Czego? — spytał słabym głosem; lampa, oświetlająca niewielki skrawek pomieszczenia, świeciła migotliwym blaskiem.

Akiko dotknęła czołem *tatami*. Jej błyszczące czarne włosy, ciasno ściągnięte do tyłu i związane w długi koński ogon — na chiński, nie znany jej, lecz miły Sun Hsiungowi sposób — spływały przez ramię i górną część pleców. Miała kimono w barwach purpury, złota i ognistego pomarańcza, dostosowanych do koloru jesiennych krzewów przed domem.

— Chciałabym nauczyć się ukrywać moją *wa* — odparła głosem spokojnym i pozbawionym emocji. Dowiodła już, że jest niezwykle utalentowaną uczennicą. — Odkąd odkryłam w sobie ten dar, bardzo chciałam to umieć.

— Dlaczego, *kodomo-gunjin*?

— Ponieważ bez tego czuję, że czegoś mi brak. Sun Hsiung skinął głową.

— Rozumiem. — Chciał dodać coś jeszcze.

— Nie musisz mnie ostrzegać, *sensei* — rzuciła uchwyciwszy istotę jego myśli.

— To jest groźniejsze, niż możesz sobie wyobrazić. — Ich oczy spotkały

się. Akiko poddała się teraz całkowicie jego woli, całym swym istnieniem dostroiła się do jego słów, czując ich wagę, mimo że nic nie mogło odmienić jej *karmy*.

— Nie boję się śmierci ani umierania — powiedziała łagodnie.

— Śmierć cielesna wcale nie jest najgorsza z możliwych. — Nagle zaczęło wydawać się, że pokój pokryty jest siecią bioluminescencyjnych pasm stanowiących strukturę ich nastrojów, pulsujących życiem, tworzących z miejsca, w którym byli, centrum energii. — Sił, których poszukujesz, nie potrafimy nawet zrozumieć; są tak żywiołowe, że można je opanować tylko częściowo. A w chwilach gdy nie panujesz nad nimi, mogą cię zmienić; mogą zniszczyć wszystko, czego się tutaj nauczyłaś.

W odbijającej się echem ciszy, która ich ogarnęła, Akiko schyliła głowę.

— Rozumiem. Zabezpieczę się starannie przed takim ryzykiem.

— W takim razie tu jest miejsce, do którego musisz pójść — rzekł Sun Hsiung podsuwając jej po *tatami* złożoną kartkę papieru.

Następnego rana, gdy skończyła się pakować, zabrał jej blok malarski i pędzelek.

— Nie możesz tego zabrać tam, gdzie idziesz, Mały Żołnierzu.

Akiko po raz pierwszy pojęła głębię ciemności, w której się miała pograżyć.

— Zasmuca mnie to, *sensei*.

Były to ostatnie słowa, które Sun Hsiung słyszał z jej ust. Wypili wspólnie ostatnią czarkę herbaty. W chwilę później zarzuciła torbę na ramię i kłaniając się ceremonialnie, opuściła jego dom.

Przed pożegnaniem udowodniła, że jest prawdziwą mistrzynią *chano-yu*. Sun Hsiung przez długi czas siedział przed maleńką czarką zimnej herbaty; ciemnozielone liście przywarły do jej dna niczym nie chcąc zginąć winorośl.

Powoli i ostrożnie, jakby był z delikatnego kryształu, przeszedł na kolanach po *tatami* w miejsce, w którym leżał jej blok malarski z czarnym śludem pędzelka z borsuczego włosa.

Sięgnął po blok; przyciągnął go do siebie. Usłyszał płaczliwy krzyk siewki dobiegający przez częściowo rozsuniętą *fusuma*; nie zdawał sobie sprawy z chłodu, który panował w pokoju.

Mocno przycisnąwszy blok do swej piersi, zaczął się powoli kołysać.

I w końcu po policzku Hsiunga spłynęła słona łza i spadła bezgłośnie na brzeg bloku, po czym błyskawicznie wchłonęła ją kartka papieru; znikła na zawsze.

KSIĘGA CZWARTA

發
機

FA CHJ

Naciśnij spust

Hongkong — Waszyngton — Tokio — Maui — Raleigh — Hokkaido

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

Obawiam się, panie Nangi, że wiadomości są o wiele gorsze, niż mogliśmy sobie obaj wyobrazić.

Nangi siedział, popijając jasnozłotą jaśminową herbatę, i wpatrywał się w okna, które wychodziły na ogrody botaniczne w Mid-Levels na wyspie Hongkong. Tuż za nimi, na zboczach Victoria Peak, usytuowana była Victoria Gap.

Znajdował się wysoko nad centrum, w biurach dyrekcji All-Asia Bank, wieżowcu ze stali i szkła, mieszczącym się pośrodku Des Voeux Road Central.

— Niech pan mówi dalej — rzekł spokojnie Nangi, strzepując popiół z papierosa do kryształowej popielniczki, która leżała przed nim na biurku.

Alan Su rzucił okiem na olbrzymi płowóżółty skoroszyt, który ścisnął kurczowo w rękach, chociaż najwyraźniej nie musiał tego robić. Otarł górną wargę, po czym przeczesał palcami włosy. Był niskim i krępy Chińczykiem pochodzącym z Szanghaju, spokojnym zazwyczaj i trzeźwo myślącym. Teraz jego oczywisty niepokój wypełniał pomieszczenie jak zapach dziwnych perfum.

Zaczął wędrować po antycznym Bhokara.

— Dla przykładu, mamy trzy czwarte udziałów w projekcie budowy mieszkań Wan Fa na Nowych Terytoriach w Tai Po Kau. Pierwszy dług hipoteczny został już zrefinansowany i trzeba będzie zrobić to ponownie, na co nie możemy sobie teraz pozwolić.

Należałoby w tej chwili zasiedlić siedemdziesiąt sześć procent mieszkań, aby nie zbankrutować. Mieszkania powinny być wynajmowane po szesnastu tysiącu miejscowych dolarów za miesiąc; będzie dobrze, jeżeli uda nam się uzyskać pięć tysięcy. Od czasu deklaracji chińskich komunistów nikt nie chce mieszkać w tak „niestabilnym” rejonie, który „w każdej chwili mógłby zostać spustoszony”.

Alan Su przestał przemierzać pokój na chwilę dostatecznie długą, aby ci-
snać skoroszyt na stertę innych, leżących na wypolerowanym tekowym
blacie biurka.

— Lista strat ciągnie się niemal bez końca. — W jego głosie była szczerza
odraza. — Anthony Chin nie mógł wyrządzić nam większych szkód, nawet
gdyby w tajemnicy pracował dla jednego z naszych konkurentów.

— Może pracował?

— W tym mieście... kto wie, może? — Ramiona Su uniosły się i opadły.
— Ale wątpię. Kilka innych banków wpadło tak jak my, choć żaden na taką
skalę. — Pokręcił głową. — Nie, myślę, że pan Chin był tylko chciwy, a chci-
wość, proszę pana, jest najgorszym wrogiem trzeźwego sądu.

Nangi pochylił się i dołał sobie herbaty, po czym usadowił się wygodnie
w wysokim, obitym czarną skórą fotelu Alana Su; w zamyśleniu spoglądał
na tarasowatą sieć wieżowców w kolorze bieli i jasnej ochry, które niczym
betonowy las wyrosły ze zboczy Victoria Peak.

— Niech mi pan powie, panie Su, kiedy było ostatnie duże
— trzęsienie ziemi?

Alan Su, na moment zażenowany pytaniem, zamrugał oczami pod
szkłami drucianych okularów.

— No cóż, sądzę, że przed dwoma laty.

— Uhm. — Nangi nadal koncentrował swą uwagę na gąszczu drapaczy
chmur.

— Jedno duże trzęsienie, z epicentrum w niekorzystnym miejscu, znisz-
czyłoby sporo z nich, czy zgodzi się pan ze mną? Rozpadłyby się wszystkie
jak sarta dziecięcych klocków. Wielu ludzi straciłoby życie, wiele rodów
wygasłoby nagle, wiele fortun uległoby zniszczeniu.

Odwrócił głowę, by spojrzeć Alanowi Su prosto w twarz.

— Dla kogo jeszcze pan pracuje, panie Su?

— Ja... Proszę wybaczyć, panie Nangi, ale nie rozumiem, o czym pan
mówi.

— Och, niech pan przestanie — odparł Nangi, myśląc, że wszyscy Chiń-
czycy są podobni — nie czas teraz na nieśmiałość. K a ż d y w Hongkongu
ma więcej niż jedną posiadłość; to o wiele bardziej zyskowne.

Przerwał, aby nalać herbaty do drugiej czarki.

— Weźmy, na przykład, Anthony'ego China. Był nie tylko prezesem All-
Asia Bank w Hongkongu, był także porucznikiem Chińskiej Czerwonej Armii.
— Przesunął czarkę na drugą stronę biurka.

— To niemożliwe! — Alan Su przerwał wędrówkę po pokoju. — Znałem go od lat. Nasze żony robiły wspólnie zakupy!

— Zatem musiał pan wiedzieć o jego finansowych machinacjach — odparł ironicznie Nangi, wskazując na stertę skoroszytów pełną obciążających dowodów. Zespół śledczy, który zatrudnił, dobrze wykonał swoją pracę.

— O niczym nie wiedziałem! — żarliwie zawołał Su. Nangi pokiwał głową.

— Tak jak nie wiedział pan o jego prawdziwej przynależności. Alan Su przez chwilę wpatrywał się w Nangiego, usiłując stłumić

instyktowną nienawiść do Japończyka i ujrzeć w nim kogoś, kim naprawdę był. Wiedział, że tylko jasność spojrzenia mogła go teraz uratować.

— Wynika więc z tego, że podejrzewa pan również, iż jestem komunistą.

— Och, tego może się pan nie obawiać — powiedział Nangi. Uśmiechnął się. — Napije się pan ze mną, panie Su?

— Bieg tutejszych zdarzeń nie powinien mnie już dziwić. — Su wypił łyk herbaty, która zdążyła wystygnać, po czym uniósł czarkę w geście ukazującym przestrzeń pełną błyszczącego szkła aż po smukłe palce Mid-Levels. — Weźmy na przykład te wieżowce. Nawet duże trzęsienie ziemi nie jest konieczne, aby runęły. Jest bardziej niż prawdopodobne, że zostały zbudowane bez dostatecznej ilości stalowego zbrojenia w betonie. Ulubiony trik polega na ułożeniu sześciu prętów w świeżo wylanym betonie, który zawiera dwukrotnie więcej piasku, niż powinien — wtedy, kiedy pracę obserwuje inspektor nadzoru. Potem, gdy przejdzie dalej, tych samych sześć prętów zostanie wyjętych z twardniejącego betonu i użytych w następnym przekroju oglądanym przez inspektora. Gdy już sobie pójdzie, raz jeszcze zostaną wyjęte i użyte na następnej budowie. To prawdziwa gra, ponieważ inspektorowi nadzoru zapłacono już, aby nie sprawdzał terenu budowy zbyt dokładnie.

Nangi zmarszczył brwi.

— Nie należy igrać z życiem. I milionami dolarów.

Su wzruszył ramionami.

— Jeżeli mogę kupić w Wan Chai dwunastoletnią dziewczę, dlaczego nie miałbym kupić także inspektora budowlanego?

— Różnica polega na tym — rzekł oschle Nangi — że ta dwunastoletnia dziewczę, za którą zapłacił pan ciężko zarobione pieniądze, mogłaby pewnie zawstydzić w łóżku pańską żonę.

— Zatem żądza — a jest ona formą chciwości — pozbawiła mnie zdolności trzeźwego sądu.

Nangi wstał nagle.

— Ile miesięcznie płaci panu Royal Albert Bank, panie Su?

Alan Su omal nie upuścił porcelanowej czarki. Opanował się jednak. Czuł, jak krew głośno pulsuje mu w uszach, słyszał jęklivy krzyk swych przodków i pomyślał: „Wielki Buddo, co będzie teraz z moją rodziną? Zrujnowany i bez pracy w okresie największej recesji na przestrzeni trzech dekad”.

Miał wrażenie, że sylwetka Nangiego na przemian traci i odzyskuje ostrość; przesadnie powolnym i ostrożnym ruchem nałogowego pijaka postawił pustą czarkę na blacie biurka obok sterty płowożółtych skoroszytów.

— Niech pan przestanie — rzekł Nangi. — To przecież dość proste pytanie.

— Ale odpowiedź jest trudna. Błagam, aby...

Nangi pochylił się, wsparty sztywnymi ramionami o tekowe biurko, i przerwał mu:

— Nie chcę wysłuchiwać pańskich wyjaśnień, panie Su. Potrzebuję tutaj kogoś, komu mógłbym całkowicie zaufać. Albo pan potrafi temu podołać, albo nie.

Spojrzał mu prosto w oczy.

— Pan wie, jakie będą konsekwencje, panie Su, jeżeli nie sprostą pan zadaniu.

Stał wyprostowany, chociaż czuł, że kolana uginają się pod nim. Mógł oczywiście wyjść stąd zaraz, złożwszy rezygnację. Ale dokąd by go to doprowadziło? Czy ma gwarancję, że Royal Albert go zatrudni? Rynek pracy skurczył się znacznie w wielu dziedzinach — przede wszystkim bankowości — odkąd niegodziwi komuniści złożyli swoją przekłętą deklarację. Pomyślał o żonie, sześciorgu dzieciach, ciotce i dwóch stryjach — jeden był wdowcem — oraz sam już nie wiedział, jak wielu kuzynach ze strony żony, za pomyślność których był odpowiedzialny.

Oczywiście mógłby jeszcze spróbować zrobić dobrą minę do złej gry. Ale podejrzewał, że byłoby to nierozsądne, równałoby się rezygnacji. Nangi był twardy. I był Japończykiem. Gdyby zachował się wobec niego uczciwie, mógłby być znośnym pracodawcą.

Zdecydował się powiedzieć prawdę.

— Royal Albert Bank płaci mi dziesięć tysięcy dolarów Hongkongu miesięcznie za informowanie ich o wszystkich transakcjach All-Asia. —

Wstrzymał oddech. Czuł, jak przyspieszone bicie serca dopływa falą do jego uszu.

— Rozumiem — Nangi stukał gumką nowego ołówka o blat biurka. Potem uniósł wzrok. — Od tej chwili, panie Su, pańska pensja zostaje podwojona. „Wspaniali bogowie zachodniego wiatru” — pomyślał Su. Wzdłuż jego linii włosów pojawiło się wąskie pasmo potu. — Za sześć miesięcy dokonamy ponownego przeglądu i na podstawie analizy ogólnej sytuacji banku zostanie ona skorygowana w górę... lub w dół. To samo dotyczy sytuacji po upływie roku. — Przyglądał się badawczo twarzy Su. — Jeżeli w tym czasie bank osiągnie zysk przewidywany w harmonogramie, który opracuję dla pana przed odjazdem, zgodnie z podpisanym bezterminowym kontraktem otrzyma pan dziesięć procent akcji giełdowych All-Asia.

Nangi z zadowoleniem spostrzegł, jak krew odpływa z szerokiej twarzy.

— Natychmiast zerwę wszelkie powiązania z Royal Albert Bank. — Głos Su był słaby i piskliwy. Oczy wydawały się szkliste.

— Nic podobnego — odparł Nangi. — Będzie pan brał co miesiąc swoje dziesięć tysięcy i w ciągu sześćdziesięciu dni poprosi pan o podwyżkę. Bóg jeden wie, że zasłużył pan sobie na nią.

Twarz Su spochmurniała.

— Nie bardzo rozumiem, proszę pana. — Uczucie ulgi, którego doznał, niczym wiosenny potok zmaćło jego myśli.

— Od dzisiaj, panie Su, będzie pan dostarczał ludziom z Royal Albert Bank dokładnie te informacje, które ja panu podsunę. Jednocześnie będzie mnie pan powiadamiał o tym, co się dzieje u naszych konkurentów. Chcę znać każdą większą i mniejszą transakcję, nad którą pracują. Chcę znać ich nakłady kapitałowe, zasięg działania, cele inwestycyjne w najbliższym roku, pięciu i dziesięciu latach. — Zadarł głowę ku górze. — Czy rozumie pan to wszystko, panie Su?

Su doszedł już do siebie na tyle, by zdobyć się na uśmiech. „Och, bogowie wszystkich czterech stron świata — modlił się bezgłośnie — dziś wieczorem złożę dary wam wszystkim i każdemu z osobna”.

— Jestem z panem, Nangi-san — powiedział po angielsku. — To zaczyna wyglądać na zadanie, które sprawi mi ogromną przyjemność.

Wtem na jego twarzy pojawił się niepokój.

— Nie może pan jednak oczekiwać, że osiągnę te wielkie cele przy przesładującym nas braku gotówki. Bank znajdzie się u progu niewypłacalności, gdybyśmy musieli wypełnić nasze zobowiązania przy zwiększonym tempie wypłat. Jeżeli nawet groźba naporu na nasz bank nie spełni się — niech wszyscy bogowie usłyszą i sprawią, by tak było! — trzeba

będzie więcej niż dwunastu miesięcy, abyśmy wydostali się z tarapatów i ruszyli choć odrobinę do przodu.

— Dwie sprawy nam w tym pomogą — powiedział niezrażony Nangi. — Po pierwsze, w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin uzyskamy dostęp do dodatkowych kapitałów.

— Mogę zapytać o źródło tego kapitału? — wtrącił Su.

— Niech pan tylko przygotuje się do rozsądnego zainwestowania jego części, z założeniem maksymalnego zysku w jak najkrótszym czasie.

Su kręcił już na to głową.

— W tym tkwi duże ryzyko. Zbyt duże jak na położenie, w którym aktualnie jesteśmy.

— Nie tak duże przy informacjach, które będzie pan uzyskiwał z Royal Albert Bank. — Nangi wstał i uśmiechnął się. — Niech pan im siedzi na karku, panie Su, jak pies w świątyni dosiadający wielkiego smoka. Pozwólmy, żeby to oni podejmowali całe ryzyko i wykonywali całą pracę, podczas gdy pan dopilnuje, aby nasz kapitał rósł bez żadnego ryzyka. — Skinął głową. — Gratuluję! To wielki dzień dla pana. Może pójdziemy go uczcić?

Tania obsługiwała terminal SAPICR, gdy nadszedł zaszyfrowany sygnał. Miała po prostu szczęście. Ale gdyby odebrał go ktoś inny, co było bardzo prawdopodobne, opatrzyliby niezrozumiały zapis gwiazdką i natychmiast po swym powrocie Tania otrzymałaby stosowną informację.

Sprawa „Miecznika”, zgodnie z jej własnym trochę ironicznym określeniem, była jej „dzieckiem”. Głównie ona ją kontrolowała, ponieważ była osobistą sprawą Mincka, a nie problemem służbowym.

Cóż, nie było to do końca prawdą. Sprawa „Miecznika” jeszcze przed rokiem była problemem służbowym, który — zdaniem Tani — powinien zostać wtedy rozwiązany. Właściwie, jeżeli chodzi o ludzi z Red Section i pozostałych sekcji Familii, został rozwiązany. Jedynie Tania i Minck wiedzieli, że jest inaczej.

W chwili gdy Tania przekonała się, że sprawa „Miecznika” przekroczyła granicę, której nigdy nie powinna była przekroczyć, stając się sprawą osobistą, zrobiła się czujna. Jednym z jej zadań, niepisanych — tym bardziej więc istotnym — była ochrona Mincka. Według niej wybrał moment szczególnie niebezpieczny na tego rodzaju historię, choć wiedziała, że gdy uczucia osobiste kolidują ze sprawami służbowymi, żaden czas nie jest dobry.

W ten sposób została strażniczką „Miecznika”, uznając jednocześnie to przedsięwzięcie za szalone. Niektóre sprawy bardziej od innych nadawały się do zachowania w tajemnicy. Lecz niczego nie można było ukrywać w nieskończoność.

Gdy dowiedziała się, że Minck nie decyduje się na ostateczne zakończenie sprawy, zmieniła taktykę, przekonując go do idei zamkniętego sklepu. Stwierdził, że to wykluczone. „Miecznika” nie można było zamknąć w czterech ścianach.

Potem zdecydowała się na sześcian, ośmiu ludzi na dwie zmiany. Ale Minck powiedział, że to również będzie przykre dla „Miecznika”. „To ogranicza wolność” — dodał. Tania milczała, wiedząc, że taki właśnie ma być cel sześcianu. Zazwyczaj stosowano go w poważniejszych przypadkach, ale mógł równie dobrze zdać egzamin w układach przyjacielskich, takich jak z „Miecznikiem”.

Zrobiła w końcu to, o co prosił ją przede wszystkim: przydzieliła do tego dwóch ludzi. Ale nie wypuściłaby sprawy z ręki w taki sposób. Utrzymywała z nimi stały kontakt. „Miecznik” był bardzo trudny do upilnowania i Tania nie chciała, by popełniono jakiś błąd. Jedyny moment, kiedy przestała się tym zajmować, nastąpił wtedy, gdy sam Minck się uspokoił. Myślał, że nawet ona nic nie wie. Ale wiedziała.

Obserwowała maszerujące w karnych szeregach jarzące się zielone litery. Gdy komunikat dobiegł końca, pulsujące litery zawisły przez chwilę na ekranie monitora. Wtedy wcisnęła przycisk dekodera. Pojawiło się słowo „NAPRAWDĘ?” Wystukała sześciocyfrowy identyfikator sekwencji docelowej. Rozszyfrowana informacja została zapisana na ekranie. Miała teraz dokładnie jedną minutę na jej przemyślenie. Gdyby w tym czasie nie przycisnęła klawisza „print”, żeby otrzymać wydruk, SAPICR usunąłby szyfr, jakby nigdy nie istniał.

Gdy przeczytała lapidarny komunikat, pobladła; była tak oszołomiona, że w określonym czasie nie podjęła decyzji w sprawie wydruku i komunikat zniknął z ekranu monitora. Nie miało to większego znaczenia, ponieważ jego jarzące się słowa mocno zapadły w jej pamięć.

Przeklinała bezgłośnie Mincka i jego problemy osobiste, ponieważ zaszyfrowana informacja spowodowała, że sprawa „Miecznika” zmieniła charakter: była problemem potencjalnym, a stała się rzeczywistym. Wcisnęła klawisz „send”, układając jednocześnie swoją odpowiedź. Gdy tylko pojawiła się data, przypomniała sobie, że kody dostępu zmieniają się co tydzień i nadszedł właśnie dzień, aby zdobyć nowy. To oznaczało wizytę u Tony'ego Theersona.

Wstała i zeszła dwa piętra niżej. Cudowny Chłopiec miał swoją kwaterę w nie wykorzystywanym do innych celów rogu kondygnacji. Jego jedyny

kompan to gąszcz kartonowych pudeł i drewnianych skrzynek, etykiet wysyłkowych oraz ogromnych rolek brązowego papieru pakowego. I urządzenie szyfrujące.

Chociaż Minck nakazał mu pracować nad sowieckimi szyframi Alfa-trzy niemal przez całą dobę, własne kody Red Station były również dziełem jego diabelnego mózgu. Twierdził, że są nie do złamania; Tania wierzyła mu.

Gdy weszła, siedział na wojskowej prycy, którą zamontowano przy stanowisku pracy na jego prośbę. Tania podejrzewała, że Tony nie ma w ogóle życia prywatnego; z pewnością często tu sypiał. Również ze względu na różnicę czasu między Waszyngtonem a strefami, które kontrolował — głównie Rosją i Azją — miał skłonność do zasypiania i budzenia się o dziwnych porach.

— Cześć — rzekł lakonicznie.

— Chcesz kawy?

Wyciągnął nagie ramię; miał na sobie koszulkę z napisem „Depeche Mode” i wytarte błękitne dżinsy.

— Proszę tylko wbić igłę w tę żyłę, pani doktor.

Tania roześmiała się, podchodząc do automatu z kawą. Napełniła dwa kubki. Dała mu jeden.

— Miałaś ciężką noc?

Wypił łyk mocnej, palonej we Francji kawy, zamykając ekstatycznie oczy, i jęknął:

— Napój bogów. — Wypił następny łyk. — Mam cholerne problemy ze złamaniem tego nowego szyfru. — Myślał o Alfa-trójce. Odstawił pusty kubek. — Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby mi się to udało. — Wstał i przeciągnął się, ziewając szeroko.

— Obawiam się, że znowu nadszedł czas na zmianę kodu — powiedziała Tania. Prawie nie tknęła kawy, wolała herbatę, ale nie chciała sprawić wrażeń niekoleżeńskiej.

Cudowny Chłopiec ponownie jęknął.

— Chcesz powiedzieć, że minął kolejny tydzień? O, Boże. — Przeczesał palcami włosy. — Muszę wziąć prysznic.

— Najpierw praca, higiena osobista potem — odparła Tania odstawiając kubek. — Jestem na linii.

— Dobra. — Theerson pogrzebał w pudle z dyskietskami. Wyciągnął jedną i podał jej. — Ten kod jest doskonały.

— Wszystkie są takie — odparła kierując się do drzwi. — Tania życzy powodzenia.

Chrząknął i powiedział zgorzkniale:

— Będzie mi potrzebne do złamania tego potwornego szyfru.

Wychodząc zobaczyła jeszcze, jak zakłada słuchawki i siada do pracy. Dla Cudownego Chłopca praca była na pierwszym miejscu. Tania postanowiła skreślić parę słów do Mincka z propozycją, aby wysłał Theersona na przymusowe wakacje.

Gdy wróciła dwa piętra wyżej do konsoli SAPICR-u, włożyła dyskietkę, którą dał jej Theerson, i uderzyła w przycisk „enter”. Pojawiły się słowa „PLIK DANYCH” i Tania wpisała „MIECZNIK”. Czekala, aż zakończy się cykl, po czym wprowadziła swoją odpowiedź. Komputer automatycznie skorzystał z nowego szyfru, gdyż SAPICR zastąpił w odbiorniku stary kod nowym.

PRZESYŁAJ CO GODZINĘ AKTUALNE DANE. WKRÓTCE RUSZYMY. W CIĄGU TRZYDZIESTU SZEŚCIU GODZIN UDZIELIMY WSPARCIA. ZAKOŃCZ SPRAWĘ „MIECZNIKA”, GDY SYTUACJA POWRÓCI DO RÓWNOWAGI, A TY BĘDZIESZ PEWIEN, ŻE JESTEŚ BLISKO CELU.

Odeszła, aby sporządzić raport.

Nicholas siedział na pozbawionej oparcia kamiennej ławie w ogrodzie Sato. Był tam chyba od godziny, od czasu gdy gospodarze udali się na spoczynek. Udał, że idzie do pokoju, tak aby nie musieli dzielić z nim jego bezsenności. Ale nawet nie zawracał sobie głowy zdejmowaniem ubrania, oczekiwał tylko piętnaście minut, po czym powrócił do opustoszałego teraz ogrodu.

Światło docierało tu nieskończenie powoli. Nicholas żałował trochę, ponieważ wcześniej jedynie zimna poświata księżyca nieznacznie rozpraszała cienie, co sprawiało, że dominował zapach kwiatów. Teraz, gdy zaczął więcej dostrzegać, woń kwiatów wydawała się słabnąć.

Zdał sobie sprawę z jej obecności w chwili, gdy przekroczyła próg gabinetu Sato i zstąpiła na błyszczące kamyczki ogrodu. Atmosfera przedświt była gęsta od białej mgły. Panującą ciszę przerywały tylko odgłosy budzących się ptaków.

Nie musiał odwracać się, nie musiał słyszeć jej głosu; wiedział, że to Akiko. Ich *wa* zetknęły się przed paru godzinami i to wystarczyło, by zawładnęła jego myślami. Ten sposób odczuwania był równie prymitywny, co wyszukany. Jak powiedział Akutagawa-san, życie w mieście zabiło go we współczesnych ludziach.

Również dlatego zdawał sobie sprawę, że Akiko była niebezpieczna. Nie

wiedział dokładnie, w jaki sposób, ani też czy dla niego w szczególności. Wiedział, że była mistrzynią. Niewiele osób potrafiłoby ustalić to na podstawie obserwacji — również inni mistrzowie, pozbawieni zdolności i wiedzy Nicholasa. Ale on był inny.

— Nicholas-san...

Jej niski głos przyprawił go o dreszcze i tylko siłą woli zachował spokój. Czuł mocne pulsowanie w skroniach; krew nagłą falą uderzyła mu do głowy.

— Gdzie jest pani mąż?

— Chrapie na swym książęcym łóżu.

„Co takiego było w jej głosie?” Nicholas usiłował wyczuć wszystkie brzmienia i niuanse, nawet te, których obecności sama Akiko mogła nie dostrzegać. Czy nie było w nim drwiny?

— Czy pani miejsce nie jest u jego boku? — Zabrzmiało to jak rozdrażniony komentarz zazdrosnego kochanka i przeklinał siebie w duchu.

— Moje miejsce — odparła, jakby nie słysząc subtelnej aluzji — jest tam, gdzie ja chcę być. — Przerwała, sprawiając wrażenie niepewnej, czy ma mówić dalej. — Czy sądzi pan, że to niejapońskie z mojej strony?

Pokręcił głową.

— Nietradycyjne, być może, ale nie niejapońskie.

W ciszy, która nastąpiła po tym stwierdzeniu, powiedziała:

— Czy nie odwróci się pan twarzą do mnie? Czy tak trudno spojrzeć mi w oczy?

Jej słowa sprawiły, że włos mu się zjeżył na karku; podziwiał, jak starannie je dobrała. Serce biło mu szybciej. Powoli odwrócił głowę. Był do głębi poruszony.

Pierwszy przebłysk świtu pokrył jej twarz rumieńcem promiennego światła. Ubrana była w jasnożółte kimono z wyhaftowanym szarozieloną i srebrną nitką szpalerem sosen. Nad jej lewą piersią szybowała samotna złota czapla. Włosy miała rozpuszczone. Spływały połyskliwą granatowo-czarną kaskadą na plecy. Nie miała żadnej biżuterii. Paznokcie, błyszczące bezbarwnym lakierem, były krótko obcięte, jakby dostosowane do jej ćwiczeń. Dostrzegł nieznaczące drżenie twarzy oraz przelotny tik górnej powieki. W chwilę potem Akiko znowu panowała nad sobą.

— Czy było to takie trudne? — powiedziała z westchnieniem, a łagodny wiatr porwał jej słowa. Mgła snuła się wokół nich.

— Jesteś piękna, Akiko. — Nie miał zamiaru czynić takich wyznań. Natychmiast poczuł się tak, jakby przegrał bitwę.

Podeszła do niego po wysypanej kamykami ścieżce. Odniósł wrażenie, że wylania się z kresu nocy.

— Dlaczego mam uczucie, jakbym była już przedtem z tobą?

To, co powiedziała, przeraziło oboje. Tak jakby Sato przyłapał ich nagi, gdy się obejmowali. Jej twarz pokryła się rumieńcem, szybko odwróciła wzrok. Znowu zadrżała.

Nicholas stracił poczucie rzeczywistości. Zagubiony w białej mgle, widział tylko ją. Wyrosła przed nim Yukio, jak *kami* obdarzony drugim życiem. Potem on także sięgnął po równowagę Pustki, poszukując w niej odpowiedzi, która nie istniała. Jak we śnie podniósł się z twardej kamiennej ławy i zbliżył do Akiko na wyciągnięcie dłoni. Walczył ze sobą, chcąc wyrzec słowa drzemiące w jego świadomości od chwili, gdy opuściła wachlarz zasłaniający twarz. Były słowami, które pragnął wypowiedzieć i które być może uwolniłyby od wewnętrznej udręki, lecz z pewnością uczyniłyby go bezbronnym.

„Co zrobić?” To była właśnie ta chwila. W japońskim społeczeństwie było bardzo niewiele okazji, by znaleźć się sam na sam z żoną innego mężczyzny. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie Akiko. „Czego chce ode mnie? Czy to Yukio? Czy chce, żebym wymówił jej imię? Jeżeli tak, dlaczego mnie tak torturuje?” Dręczyły go pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Każde kolejne stanowiło nową zagadkę. Wydawało mu się teraz, że całe jego życie było zagadką, kapryśnym splotem wydarzeń, od których stale uciekał.

— Kim jesteś? — spytał ochrypłym głosem. — Muszę to wiedzieć.

Spojrzała mu badawczo w oczy.

— A kim według ciebie jestem? — W jej słowach nie było niechęci; wy-czuł raczej głęboko skrywaną rozpacz, której nie potrafił nazwać.

— Nie wiem.

Dzieląca ich odległość zmniejszała się w niewytłumaczalny sposób, wydawało się, że dzieje się to wbrew ich świadomości.

— Powiedz mi — wyszeptała. — Powiedz.

Czuł jej oddech, zapach; jej ciało pałało pod jedwabnym kimonem. Oczy miała na pół przymknięte, wargi lekko rozchylone, jakby rozdarta uczuciem, nad którym nie potrafiła zapanować.

— Yukio... — To, że wymówił jej imię, było irracjonalne, irracjonalna była myśl, że to ona przed nim stoi. A jednak wypowiedział je ponownie: — Yukio, Yukio... — Spozrzegł, że jej oczy zamykają się, powieki drżą z podniecenia. Poczuł, jak jej tułów wtapia się w niego, głowa odchyła, długi łuk szyi zlewa się z obrazem, ze wspomnieniem, które nosił w sobie przez tak wiele lat.

Płonął, gdy wyciągnął ku niej rękę, nie wiedział, czy po to, by ją objąć,

czy żeby powstrzymać przed upadkiem. Skóra Nicholasa zamieniła się w rozpalony pancerz. Gorączka trawiła jego mózg. Nie panował nad sobą.

Jego wargi opadły na wargi dziewczyny. Spijał z nich miłosny nektar, czując w ustach żądło jej języka.

Akiko po raz pierwszy w życiu otworzyła się na świat. Żaden element długiego, żmudnego treningu nie wywołał w niej takiego wybuchu.

Była tak oszołomiona, że w dwójnasób dziękowała jego silnym ramionom. Straciła oddech, gdy wypowiedział jej imię. To b y ł o jej imię! Jak to możliwe? Ale smakował cudownie; pragnęła go aż do bólu. Nogi miała jak z waty, niezdolne, by ją utrzymać. Myślała, że ekstaza, w którą wprawił ją jego dotyk, możliwa jest tylko w trakcie orgazmu.

„Co się ze mną dzieje?” Ciemna strona jej świadomości, odsunięta gwałtownie, głośno domagała się posłuszeństwa. „Cóż za dziwna siła wdarła się do moich myśli? Co wyróciło moje plany dokonania zemsty? Co sprawiło, że w ten sposób myślę o zniechęconym ; wrogu? Dlaczego go okłamuję? Przecież nie jestem Yukio, jestem Akiko”.

I wtedy, gdy otoczyła ją potęga jego *wa*, gdy serce waliło w piersiach jak oszalałe, a twarda pierś uciskała jej piersi, odpowiedź eksplodowała w jej myślach z siłą fajerwerku.

Jako Akiko była niczym. Przyszła znikąd, zmierzała donikąd. Jako Yukio była kimś. Istniało dla niej coś więcej niż *kyomu*, to, o czym nauczał Kyoki: nihilizm.

Od chwili gdy wyszła spod serdecznej kurateli Sun Hsiunga, czuła, że jest *doshi gatai* — poza zbawieniem. Czegóż więcej mogła oczekiwać bez żadnego innego oparcia w swym życiu?

Teraz nagle, wraz z pojawieniem się Nicholasa, Yukio stała się rzeczywistością. Nie była już ideą, nie była już środkiem do celu, dwuwymiarowym schematem. Żyła.

Siła miłości Nicholasa wyrwała ją ze świata umarłych.

Justine zobaczyła go drugiego dnia pobytu w hotelu. Po raz pierwszy miało to miejsce w pobliżu baru na basenie w cieniu zadaszenia i sądziła, że musiała się pomylić. Ale za drugim razem zdarzyło się na mającej kształt półksiężycy plaży, gdy przedzierała się w głąb oceanu, z rurką i maską w ręce oraz czarnymi płetwami na nogach. Tym razem nie miała żadnych wątpliwości. To był Rick Millar.

Początkowo nie mogła w to uwierzyć. Znajdowała się przecież sześć tysięcy mil od Nowego Jorku, we wspaniałym turystycznym kurorcie, pośród rozciągającej się na dwudziestu trzech tysiącach akrów plantacji drzew ananasowych.

Była w zachodniej części Maui*, w jednym z najbardziej odosobnionych miejsc na wyspie, daleko od szpaleru wysokich hoteli w Kaanipali, w których zatrzymywała się większość turystów przybywających do tego rajskiego miejsca.

Obserwowała go jak sparaliżowana; woda zafalowała wokół jej bioder, gdy dał nura w fale kierując się ku niej. Miał szczupłe i wygimnastykowane ciało, wąskie w biodrach i szerokie w ramionach, lecz nie tak wspaniale umięśnione jak Nicholas. Ale przecież Rick był tenisistą, a nie maszyną do zabijania.

Pałace lży spływały spod drżących powiek; odwróciła się ku morzu i zamglonym konturom Molokai*.[* Maui, Molokai – wyspy na Oceanie Spokojnym w Archipelagu Hawajów.]

– Justine...

– Trzeba mieć cholerny tupet, żeby tu przyjechać.

– Słyszałem wcześniej o słynnym tupecie panny Tobin. Wszystko, co mówili o nim, było betką w porównaniu z rzeczywistością. – Jego głos był rozmyślnie beztroski i żartobliwy.

– Czy przywróciłeś Mary Kate na jej stanowisko?

– Ono nie należało do niej, Justine. – Był bliżej, niż tego chciała. – Powiedziałem ci, że znalazłem kogoś lepszego na jej miejsce.

Odwróciła się w jego stronę, jej oczy płonęły.

– Wykorzystałeś mnie, ty draniu!

Rick zachował spokój.

– Twój problem polega na tym, że jesteś wystraszonego dzieckiem w ciele dorosłej kobiety. Daj spokój, Justine. Nie wykorzystałem ciebie bardziej niż kogokolwiek. To niewłaściwe określenie. Mary Kate nie dawała z siebie wszystkiego. W świecie poważnego biznesu nie wyrzuca się kierownika – na żadnym szczeblu – dopóki nie zatrudni się jego następcy. Nie dbałbym o interes mojej firmy, gdybym załatwił to w inny sposób.

– Ale my jesteśmy przyjaciółkami.

– To przypadek. Ale jeżeli to dla ciebie coś znaczy, to przepraszam, że musiało do tego dojść. – Uśmiechnął się, badając grunt. – Zapewniam cię, że nie było w tym złych zamiarów. Widziałem niektóre z twoich prac, rozmawiałem z paroma moimi kierownikami, którzy korzystali z twoich usług w ubiegłym roku. Wszyscy uważali, że jesteś świetna. – Ponownie się

uśmiechnął. — Prawdę mówiąc, wszyscy ostrzegli mnie przed twoimi humorami.

— Widzę, że nie powstrzymało cię to. — Żalowała teraz, że płakała, gdy się pojawił.

— Za bardzo podobały mi się twoje prace. Masz niezwykły zmysł w sprawach dotyczących reklamy. To nieoceniona zaleta. — Patrzył przez chwilę w bok z niewinnym wyrazem twarzy. — W każdym razie myślałem, że zdołam cię poskromić. Traktowałem to jak wyzwanie. — Znowu skierował spojrzenie na nią. — Dałbym wszystko, żebyśmy mogli zacząć od początku.

— Czy dlatego mnie śledziłeś?

Pokręcił głową, nie poddając się; wielka fala przedarła się przez rafę koralową do półkolistej zatoki na końcu przylądka.

— Wcale nie. Stwierdziłem, że biuro wydaje się puste bez ciebie.

Gdy fala runęła w dół, woda podeszła im pod brody i zwałała z nóg, rzucając sobie w ramiona.

Nangi ułożył kalekie nogi na szezlongu, rozparł się w nim i spoglądał na Morze Południowochińskie nacierające na bladożółtą plażę w Shek-O. Znajdował się na południowym brzegu wyspy Hongkong, bliższym Aberdeen niż Dzielnicy Centralnej, „śródmieścia” i finansowego ośrodka Kolonii Korony Brytyjskiej.

Shek-O było jednym z czterech lub pięciu rejonów Hongkongu — miasta obfitującego w ogromne bogactwo i skrajną nędzę — zarezerwowanych dla ludzi naprawdę bogatych.

Ale od czasu gdy był tutaj półtora roku temu, wiele się zmieniło.

Nangi był teraz sam w willi zdobionej marmurami oraz sztukaterią i obserwował, jak młoda chińska dziewczyna biegnie przez plażę, by rzucić się w łagodne fale. W pobliżu nie było nikogo, mimo że na kryształowym blacie stołu stał dzban z mrożoną herbatą oraz dwie wysokie szklanki.

Widział, jak głowa dziewczyny podskakuje w wodzie. Nie upięła włosów ani nie włożyła czepka. Czarny koński ogon sphywał na jej nagie plecy, rozrastając się w wodzie niczym morski stwór.

Wu-Shing. Słowa te natrętnie wdzierały się do jego myśli; był to poważny problem. Trzy śmierci; trzy pytania wymagające odpowiedzi. Nangi zastanawiał się, jaki może być związek pomiędzy morderstwami *Wu-Shing* a *Tenchi*.

W tych dniach, za każdym razem, gdy zdarzało się coś, czego nie można było wytłumaczyć, natychmiast myślał o *Tenchi*. Było to dość logiczne. Był przekonany, że Rosjanie zrobiliby wszystko, żeby wydrzeć *Tenchi* Japonii...

gdyby wiedzieli, czym jest *Tenchi*. Jeżeli chodzi o Amerykanów, potrafił sobie wyobrazić, jak próbują storpedować operację. Od czasu zakończenia wojny Ameryka była uzależniona od Japonii będącej na Wschodzie jej antykomunistycznym psem łańcuchowym. Lecz Ameryka chciała Japonii służyć, żeby niczym trzcina naginała się do woli zwycięskiego państwa. Prawdą było też, że Japonia uzależniona była od Ameryki.

Ale *Tenchi* zmieniłby całą sytuację. Nangi obawiał się, że gdyby Amerykanie zwęszyli coś w sprawie operacji, ruszyliby równie szybko jak Sowieci, aby pokrzyżować im plany. Nie można było do tego dopuścić.

Po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci Japonia została zupełnie osamotniona i, rzecz dziwna, było to przerażające doświadczenie. Nangi miał rosnącą świadomość, że nie może już kurczowo trzymać się swych marzeń o tym, czym kiedyś był Nippon. Wszystko to nie istniało już, wymazane przez promienie atomowego słońca oraz okres błyskawicznego wzrostu, w którym on sam odegrał tak istotną rolę.

Przymknął oczy; wiedział, że w życiu nie ma łatwych odpowiedzi, że rzeczywistość różni się od czystych i pięknych wyobrażeń. „Po kolei — pomyślał. — Muszę pokonać chińską przeszkodę, zanim znowu pomyślę o tajemnych karach”.

Od chwili przyjazdu był w willi sam, teraz jednak usłyszał odgłosy miękkich kroków, otwierania i zamykania drzwi będące zapowiedzią, że rozpoczyna się jego zadanie.

Sięgnął po dzban i nalał sobie do szklanki mrożoną herbatę. Była orzeźwiająca i smakowała wybornie. W tym parnym dniu stanowiła najlepsze pokrzepienie.

Gdy wrażliwym słuchem wyłowił nadejście swojego gościa, nie odwrócił głowy, pozostał na miejscu; nadal popijał herbatę i spoglądał na dziewczynę, która wylaniała się teraz z falującego morza niczym nimfa wodna.

— Dzień dobry, panie Nangi.

Zgodnie z umową rozmawiali tutaj tylko w języku angielskim. Był obcy dla nich obu, ale jednakowo go nie znosili.

— Panie Liu. — Nangi skinął głową, nie widząc nikogo przed sobą. Usłyszał skrzypienie stojącego obok szezlonga, melodyjny brzęk kostek lodu w szklance i dopiero wtedy odwrócił głowę.

Przodkowie tego mężczyzny musieli być kiedyś czystej krwi Mandżurami, bowiem miał charakterystyczną dla nich, długą, wysoko sklepioną czaszkę. Był wysoki jak na człowieka Wschodu. Wiedział o tym i wykorzystywał tę zaletę; nawet siedząc onieśmiał swoich rozmówców.

Liu uśmiechał się pijąc herbatę. Oparł głowę na szezlongu.

— Jaki klimat dla biznesu panuje obecnie w Japonii, panie Nangi? — Liu miał zwyczaj w rozmowie poruszać tematy w taki sposób, jakby omawiane były już poprzednio.

— Bardzo dobry — odparł krótko Nangi myśląc: „Dopóki nie będę gotowy, nie powiem nic, co dałoby mu materiał do rozmyślań”. — Prognozy są oszałamiające.

— Ach — zaczął Chińczyk poruszywszy głowę — zatem pańska *keiretsu* nie jest tak bardzo zaangażowana w przemysł ciężki, który zapoczątkował wielki gospodarczy skok waszego kraju. — Odłożył zaparowane okulary i splótł palce na małym brzuchu. — Rozumiem, że gałęzie tego przemysłu takie jak produkcja stali, przez długi czas będąc motorem waszego gospodarczego rozwoju, w dobie ogólnoświatowej recesji są w poważnych tarapatach finansowych.

Nangi nie mówił nic przez chwilę, zastanawiając się, jakie informacje miał ten człowiek. Mógł wiedzieć o najgorszym, albo po prostu sondował, żeby potwierdzić nieoficjalne raporty. Było ważne, aby udzielić mu odpowiedzi nie zdradzając niczego.

— Nie mamy żadnych problemów z naszym stalowniczym *kobunem* — rzekł ostrożnie. — Przynosi nam same zyski.

— Doprawdy... — Tym jednym słowem Liu dał jasno do zrozumienia, że nie wierzy w prawdziwość jego słów. — A górnictwo węglowe, przemysł włókienniczy, petrochemia, hm?

— Ten temat mnie nie interesuje.

Liu odwrócił głowę jak pies, który wyczuł zwierzybę.

— A jednak, panie Nangi, chciałbym wiedzieć, dlaczego zamierza pan sprzedać część swojej firmy, która pana zdaniem przynosi same zyski.

— Nie interesuje nas już produkcja stali. — Być może powiedział to odrobinę za szybko. Ale teraz przynajmniej orientował się, jak wiele wie chiński rozmówca. Wiedział przeraźliwie dużo i Nangi musiał mieć się teraz na baczności.

— Myślę, że prawdziwe problemy Japonii właśnie się zaczęły — powiedział Liu niczym nauczyciel wyjaśniający uczniowi. — Wasz złoty wiek nieograniczonej światowej ekspansji gospodarczej dobiegł końca. W latach, które przeminęły, mogliście eksportować gotowe wyroby na rynki zagraniczne, gdzie błyskawicznie pokonywały rodzimych konkurentów. Przyniosło wam to nie tylko zyski — to oczywiste — ale również stale rosnący poziom zatrudnienia w kraju. Ale teraz czasy się zmieniły.

Liu rozplół palce, które rozsunęły się jak rozgwiazdy i znowu zamknęły, układając się z powrotem na brzuchu.

— Weźmy dla przykładu jeden z waszych największych sukcesów: samochody. Japońska inwazja na krajowy rynek samochodowy Stanów Zjednoczonych wywołała falę bezrobocia w tym kraju i doprowadziła niedawno jedną z ich gigantycznych korporacji na krawędź finansowego upadku. Wie pan równie dobrze jak ja, jak powoli reagują Amerykanie. — Uśmiechnął się blade. — Ale prędzej czy później nawet największy śpioch musi się obudzić, a gdy jego potęga jest równie ogromna jak potęga Ameryki, przebudzenie może być dość gwałtowne. Rząd USA wielokrotnie już uderzał w was ograniczeniami kwot przywozowych. Zaczynacie teraz rozumieć, co to znaczy natrafiać na bariery na arenie międzynarodowej. Aby przetrwać, musicie eksportować kapitał i technologię, budując nowe zakłady Nissana w Tennessee zamiast w Kanadzie. To oznacza mniejsze zatrudnienie w Japonii, mniejsze zyski. Wasza era wolnego handlu skończyła się.

Mimo że prawdą było to, co mówił Liu, Nangi wyczuł w jego słowach wyraźne ślady zawiści. „Chińczycy bardzo by chcieli zająć naszą pozycję w gospodarce” — pomyślał oschle.

— Jest jeszcze Yawata — ciągnął Liu. Miał na myśli wspaniałą japońską stalownię, najstarszy i największy krajowy zakład na wybrzeżu, który rozpoczął działalność w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. — Myślę, że to ciekawe. To historyczny relik, a mimo to wasz rząd włożył od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku ponad trzy miliardy dolarów w jego unowocześnienie i udoskonalenie technologii. I co mu to dało? Obecnie Yawata jest w o wiele gorszej kondycji, niż była po szoku naftowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Wtedy rząd mógł przynajmniej przedsięwziąć ekonomiczne środki zaradcze, usprawniając zarządzanie, ostro ograniczając zużycie paliwa. Wszystkie te kroki pozwoliły stalowni nadal funkcjonować. Lecz dzisiaj te środki nadal działają, a ponieważ światowe rynki skurczyły się poważnie, liczba pracowników Yawaty spadła z sześćdziesięciu jeden tysięcy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku do mniej niż dwudziestu czterech tysięcy obecnie. Trzy wielkie piece Nippon Steel są w tej chwili wygaszone, a wiele ich zakładów pomocniczych zostało zamkniętych. Sądzę, że zarządzający amerykańskim przemysłem stalowym byliby zachwyceni powrotem do siedemdziesięcioprocentowego poziomu zdolności produkcyjnej, na którym działa obecnie Yawata. Ale Japonia nie jest po prostu przygotowana do takiego zmniejszenia produkcji. Cóż jednak możecie uczynić? W Ameryce firma Bethlehem

może na pewien czas zwolnić swoich pracowników. W waszym kraju nie pozwala na to system polityczny i społeczny.

Liu przerwał, jakby oczekiwał, że Nangi skomentuje jego słowa. Gdy nie uczynił tego, Liu sprawiał wrażenie lekko wytrąconego z równowagi i kiedy odezwał się znowu, ton jego głosu był trochę ostrzejszy.

— Końcowy wniosek z tego małego przemówienia — rzekł szorstko — jest taki, że pańska *keiretsu*, podobnie jak większość pozostałych, przechodzi organizacyjny wstrząs. A to, jak obaj wiemy, wymaga kapitału. W sytuacji, gdy przepływ gotówki stał się wolniejszy, sięgacie głęboko do swych rezerw.

— Jesteśmy wiarygodną firmą.

— Być może. — Liu wzruszył ramionami. — Ale wątpię, czy macie teraz dostatecznie duże rezerwy, aby uratować All-Asia Bank.

„Jeżeli chce zaoferować mi pomoc konkurencji, będę musiał trzasnąć go w łeb moją laską” — pomyślał Nangi.

— Po co komunistom All-Asia Bank?

— Och nie, nie chcemy mieć w nim żadnych udziałów — powiedział ze swadą Liu. — Wolelibyśmy raczej kawałek pańskiej *keiretsu*.

Nangi był oszołomiony, mimo że w swych domysłach szedł różnymi tropami.

— Oczywiście mamy zamiar zapłacić wysoką cenę za ten przywilej — Liu przerwał ciszę, która zapadła; osobiście zżymał się na konieczność przestrzegania drobiazgowych zasad prowadzenia rozmowy na równych prawach, jakby nie miał do czynienia z barbarzyńcą. — Nie z wyjątkiem wysokiej ceny. Oczywiście jest, że *keiretsu* potrzebuje wsparcia; my zapewnimy nowy zastrzyk kapitału.

— Nie jestem tym zainteresowany — odparł Nangi, niemal dusząc się nienawiścią do tego człowieka i wszystkiego, co sobą reprezentował.

— Proszę, niech pan uprzejmie pozwoli, że złożę do końca moją ofertę, zanim ją pan pochopnie odrzuci. — Liu zmusił się do uśmiechu. „Cóż — pomyślał — czego można oczekiwać od Japończyków. Nie mają naszych wielowiekowych zasad dobrego wychowania; przywłaszczyli sobie z naszej kultury tylko to, czego potrzebowali, by wyrwać się z poziomu śliniących się zwierząt. Och, Buddo, nie zaszli jednak daleko!” — Nasza oferta jest następująca. Wy zrzekacie się jednej trzeciej udziałów w swojej *keiretsu*, a my dostarczymy wam w sześciu półrocznych ratach sumę pięciuset milionów dolarów.

W pierwszej chwili Nangi nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Ale gdy popatrzył w tę długą mandżurską twarz, nie miał już wątpliwości. „Pięćset milionów dolarów!” Myślami natychmiast ogarnął wszystkie możliwości,

które stwarzał tak ogromny zastrzyk kapitału. „Mój Boże — myślał gorączkowo — jeżeli będziemy ostrożni i odważni — tak, obdarzeni odrobiną szczęścia — możemy skoczyć na sam szczyt”.

Była to suma znacznie wyższa od tej, którą miał nadzieję wydostać z Tomkin Industries, gdyby doszło do ich fuzji; na większy kapitał nie mógł liczyć z żadnego innego źródła. Był całkowicie przekonany, że Liu wiedział o tym. Poza tym tylko Chińczycy mogli dostarczyć dużą ilość gotówki, żeby przeprowadzić All-Asia przez nagły kryzys wywołany masowym dokonywaniem wypłat. To, przede wszystkim, musi mieć na uwadze. Wiedział, że jeżeli padnie All-Asia Bank, wkrótce cała *keiretsu* pójdzie jego śladem. *Tenchi* ustawił ich w delikatnym położeniu, bez wystarczająco dużego kapitału. Wiarołomstwo Anthony'ego China mogło być ostatnią kroplą, która przepełni czarę i pograży całe stworzone przez nich imperium. Nangi do końca swych dni przeklinałby China i jego potomstwo.

Ale musiał najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, co naprawdę Chińczycy pragnęli uzyskać dzięki tej umowie. Nigdy nie rozstawali się tak łatwo z tak ogromnymi sumami pieniędzy. Zyski, tak. Ale mogli je mieć w wielu różnych dziedzinach przy o wiele niższych nakładach. Umysł Nangiego pośpiesznie szukał odpowiedzi, której Liu nigdy nie dałby mu z własnej woli. Istniały jeszcze inne pytania i inne odpowiedzi, których Chińczyk będzie musiał mu udzielić, a być może, jeżeli zada właściwe pytania, Liu nieświadomie podsunie mu rozwiązania.

— Niech mi pan powie, panie Liu, co pańscy ludzie proponują zrobić z waszą jedną trzecią udziałów?

— Zrobić? — powtórzył tamten, przesuwając się na szeszlongu. — Nie rozumiem.

Do młodej Chinki dołączyła następna i Nangi miał trudności z oceną, która z nich miała na sobie bardziej skąpy strój. Pomiedzy dziewczynami stał teraz wiklinowy kosz, niczym skrzynia pełna skarbów, z którego jedna wyjęła butelkę wina i rozlała do kieliszków jasnożłoty płyn. Gdy położyły się na kocach, widział miękkie pagórki ich piersi.

— To bardzo proste — odparł Nangi, nie odrywając oczu od dziewczyn; patrzenie na nie sprawiało o wiele większą przyjemność niż widok leżącego obok mężczyzny. — Zanim rozważę możliwość, mhm, dopuszczenia do *keiretsu* firmy z zewnątrz — bez względu na cenę — muszę wiedzieć, co zamierzam uczynić ze swoją lokatą kapitału.

— Jak to co? — Pieniądze, to oczywiste — rzekł Liu. — Co innego mogliby zrobić?

Nangi uśmiechnął się blado, rozkładając ręce.

— Potrafi pan chyba zrozumieć moją ostrożność. Miałem niewiele kontaktów z członkami... pańskiej firmy.

— Doskonale rozumiem — odparł trochę bardziej przyjaźnie Liu; zaczął wyczuwać, że Nangi powoli ustępuje. — Gdybym nie dostrzegł pańskiej ostrożności, podejrzewałbym, że kierują panem inne pobudki. W końcu nie jest to transakcja, którą zawiera się codziennie. Pod pewnymi względami jesteśmy młodym krajem, panie Nangi. Świat wokół Boskiego Królestwa jest dla nas nowy. Mówiąc prościej, w Pekinie są obecnie u władzy ludzie, którzy pragną wysondować możliwości przymierza państw Wschodu. Sądzą, że partnerstwo w interesach — ściślej zaś biorąc interesy — to rozsądna droga do tego, aby rozpocząć współpracę.

Dwie Chinki pakowały swoje rzeczy. Słońce paliło nawet tutaj, w cieniu werandy. Gdy rozmawiali, lód w dzbanku roztopił się, a woda świeciła oślepiającym blaskiem nie kończących się złotych pasm.

— Chociaż jest to niezwykła okazja — Liu ciągnął dalej, ocierając chustką czoło — czas jest bardzo istotny i obawiam się, że z chwilą gdy opuści pan Chiny, nasza propozycja przestanie być aktualna.

— Z pewnością oczekuje pan, że w mgnieniu oka podejmę decyzję w tak poważnej sprawie dotyczącej mojej *keiretsu*? — powiedział Nangi przenosząc spojrzenie z dziewcząt, które otrzepywały z piasku lśniące, nasmarowane olejkiem uda, na Liu.

— Wręcz przeciwnie, panie Nangi — odparł Liu, palcem o długim paznokciu opukując jedwabny garnitur tuż powyżej miejsca, w którym znajdowało się serce — nie oczekuję niczego. To raczej pan musi poradzić sobie — i to szybko — ze wszystkimi nieszczęściami All-Asia. Masowe wypłaty z kont są jak gwałtowny pożar, panie Nangi. Z chwilą gdy Chińczycy coś sobie uświadomią, często po zdumiewająco krótkim czasie sprawy wymykają się spod kontroli. Królewska Policja Hongkongu zdaje sobie sprawę z tej szczególnej cechy i stara się zapobiec gromadzeniu się tłumów. Ogień sam w sobie nie jest szczególnie niebezpiecznym żywiołem. Ale rozniecony na stacji benzynowej, no cóż... — Liu rozłożył ręce. — Może się więc pan nie śpieszyć z podjęciem decyzji, panie Nangi. Nie chcę, żeby pan czuł z naszej strony jakąkolwiek presję. — Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Jednakże, starając się służyć panu przyjacielską pomocą, pozwoliłem sobie przygotować niezbędne dokumenty.

— Rozumiem. — Przez dłuższy czas Nangi myślał o ukrytym znaczeniu tego gestu.

Liu nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia z siebie.

— Mimo że Zachód postrzega nas w sposób osobliwy, kierujemy dobrze naoliwioną maszyną.

— Owszem, dostrzegam to — odparł Nangi, nienawidząc tego człowieka z jeszcze większą pasją.

— O, nie, panie Nangi. Wybaczy pan, że to powiem, ale wcale pan tego dostrzega. — Liu przerwał, gdy dwie chińskie dziewczyny, wracające z plaży, zaczęły ocierać z piasku stopy na najniższym stopniu werandy. Głęboko osadzonymi, ptasimi oczami obserwował wyższą z nich, tę, która była na plaży, gdy przyjechał Nangi — jakby spojrzeniem potrafił przeniknąć cienie oraz kaskadę gęstych włosów spływających na jej ramię. Po chwili dziewczyny w milczeniu przeszły obok mężczyzn i zniknęły w środku willi.

— Wkrótce zjemy obiad — rzekł Liu. — Miejscowe langusty i garrupy oraz duszoną łapę niedźwiedzia, tutejszy przysmak. — Nadejście kobiet spowodowało przelotną zmianę w jego zachowaniu i Nangi zastanawiał się nad jej istotą.

— Ale, wracając do tematu — ciągnął dalej trochę bardziej ożywionym głosem. — Nasze działania w Hongkongu są bardzo dobrze skoordynowane. O wiele lepiej i na szerszą skalę, niż Brytyjczycy śmieliby sądzić. — Jego ramiona uniosły się i opadły. — Czemuż by nie? Hongkong jest przecież naszą własnością. Prawdziwy rząd Chin nigdy nie uznał traktatu podpisanego pod przymusem, gdy inne czasy sprawiały, że ludzie postępowali haniebnie. Tolerujemy brytyjskie rządy, ponieważ taki układ jest dla nas korzystny. Nie przeczę, że są bardzo lukratywne. Zaprzeczanie faktom byłoby niemądre. — Wstał gwałtownie. — Ale zdradzę panu małą tajemnicę. — Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął wielostronicowy, złożony we dwoje dokument. Zanim zaczął ponownie mówić, położył go ostrożnie na stole.

Oczy Liu wydawały się świecić wewnętrznym blaskiem.

— Niedawna hossza na rynku handlu gruntami to nasze dzieło. — Pokiwał głową. — Tak, to prawda, panie Nangi. Sześćioletnia spirala wzrostu cen nieruchomości została sprowokowana przez nas. Widzi pan, cały czas zamierzaliśmy ogłosić, że władze Kolonii nie mają prawa rządzić Hongkongiem. Ale najpierw musieliśmy przekonać Brytyjczyków o powadze sytuacji, w której znajdą się pewnego dnia.

Liu uśmiechał się z wyrazem złośliwego triumfu.

— Widzi pan, że obecnie to my jesteśmy panami sytuacji. Mówimy: „Skacz” i Królowa skacze. Cały świat widział to. Jej Wysokość utraciła twarz przyjeżdżając tu pośpiesznie i poniżając się przed nami po to, by zabezpieczyć

ciągłość interesów swego kraju w tej części świata. Lecz upokorzenie nie byłoby takie ogromne, a sytuacja Wielkiej Brytanii tak okropna, gdybyśmy nie pokazali, jak za pomocą paru starannie dobranych słów potrafimy wstrząsnąć zachodnią gospodarką Kolonii, jaki możemy mieć wpływ na finanse tak wielu ludzi.

Liu złączył palce na karku.

— Nawet pan, panie Nangi, musi przyznać, że nasz ostatni plan pięcioletni jest genialny; jedyny sposób na osiągnięcie naszego celu: ostatecznej całkowitej kontroli nad przepływem pieniędzy do Hongkongu i z Hongkongu.

Nangi sięgnął po złożony dokument i zaczął go pilnie studiować, żeby odzyskać spokój. „Boże na niebiosach — myślał — jeżeli władze Korony zwęszą coś w tej sprawie, dostaną zbiorowej apopleksji. Z pewnością szef policji oraz minister bezpieczeństwa straciliby zajęcie. Jak mogli dopuścić, aby tego rodzaju malwersacje odbywały się tuż pod ich nosem? Musiały być na ogromną skalę! Och, Panno Święta, cóż za głupcy! Moi ludzie zostali zupełnie wyprowadzeni w pole. A ja byłem przekonany, że są dobrze poinformowani. Dlaczego urzędnicy mieliby być inni?”

Ale rozmyślanie nad pytaniami bez odpowiedzi było stratą czasu i Nangi szybko zwrócił swe myśli ku innym sprawom. Przede wszystkim kontrakt. Przy pierwszym czytaniu wydawał się bezlitosny, lecz w gruncie rzeczy uczciwy. Nie było ukrytych znaczeń ani żadnych klauzul, których Liu nie poruszył wcześniej w rozmowie.

Nangi uniósł na moment głowę, nabierając powietrza w płuca.

— Spostrzegłem na trzeciej stronie, że pierwsza rata wpłynie dopiero po dziewięćdziesięciu dniach od podpisania kontraktu.

Liu, zachwycony, że dotarli już tak daleko, potwierdził skinieniem głowy.

— Zgadza się. Istnieje wiele, mhm, obiektywnych przeszkód w zebraniu i przelaniu tak dużej ilości pieniędzy.

— Złota.

— Skoro tak pan sobie życzy... Zostanie to dokonane za pośrednictwem Sun Wa Trading Company.

— Ale pańska... mhm... firma jest z pewnością dostatecznie duża, by dokonać płatności po podpisaniu kontraktu.

Teraz na pociągłej twarzy Liu pojawił się wyraz cierpienia. Ręce, które zdjął z karku, wyglądały jak szpony.

— Żałuję bardzo, ale przyśpieszenie harmonogramu płatności jest niemożliwe. Moja firma ma wiele wcześniejszych zobowiązań, które najpierw

muszą być zrealizowane. Po prostu przez następnych dziewięćdziesiąt dni nie będziemy dysponować wystarczająco dużym kapitałem. Nangi wyprostował się, chwytając białą jadeitową głowę smoka wieńczącą jego łaskę. „Dochodzimy do sedna sprawy — pomyślał. — Muszę go wymanewrować w tym punkcie albo wszystko na nic”.

— Panie Liu, jak sam pan powiedział, moja sytuacja vis-à-vis All-Asia Bank jest krytyczna. Jeżeli będę zmuszony czekać trzy miesiące na wasze pieniądze, utracę tę część mojej *keiretsu*. Nie leżałoby to w naszym wspólnym interesie. — Nangi myślał rozpaczliwie: „Jaka szkoda, że nie doszło jeszcze do fuzji z Amerykanami, mógłbym wtedy ściągnąć ich kapitał”. Wiedział jednak, że jest to niemożliwe. Nawet gdyby *kobun* Sato połączył się ze Sphynxem, nie wierzył, żeby ich firma potrafiła zapewnić wystarczającą ilość pieniędzy przed ostatecznym terminem. Doprowadzało go to do szału, ale Liu miał jednak rację. Musiał zapobiec niebezpieczeństwu masowych wypłat, zanim wybuchnie panika. W przeciwnym razie żadna ilość sprowadzonego kapitału nie uratuje banku.

Liu nie odpowiedział, końce jego palców uderzały o siebie w dziwnym rytmie.

— Czas jest istotny zarówno dla mnie, jak i dla pana — rozpoczął Nangi, starannie dawkując emocje zawarte w głosie. — Jeżeli zdecyduję się podpisać kontrakt — a zgodnie z tym, co pan powiedział, muszę to zrobić, zanim opuszczę Hongkong — powinien on zawierać klauzulę, która określa dostarczenie dostatecznej ilości kapitału, aby zapewnić pokrycie dla przewidywanego naporu na bank oraz krótkoterminowych obligacji — powiedzmy przez sześć następnych miesięcy — które bank zobowiązany jest spłacić. — Usuwając z twarzy i głosu wszelkie ślady emocji, Nangi przygotował się do skoku na głęboką wodę. Wiedział, że teraz albo pójdzie na dno, albo przepłynie. — Chodzi o trzydzieści pięć milionów dolarów USA płatne nie później niż w dwanaście godzin po podpisaniu umowy.

Liu milczał przez chwilę. Na tle cichych odgłosów fal słyszeli pokrzepiające brzęki naczyń w kuchni. Liu wymagał od wszystkich swoich kobiet umiejętności gotowania, dobrego gotowania. Uderzał paznokciem o ściągnięte wargi.

— Ostro się pan targuje. To znacząca suma.

— Nie powinien się pan dziwić — rzekł, ryzykując, Nangi. — To pan mnie do tego zmusił.

Liu z trudem stłumił uśmiech. Nangi potraktował to jako znak, że Chińczyka rozpira duma, i pomyślał: „Prowadzę go we właściwym kierunku”.

— Być może uda się załatwić coś takiego. — Liu skinął głową, jakby

podjął ostateczną decyzję. — Dobrze. Sądzę, że moglibyśmy odjąć tyle od pierwszej płatności na rzecz *keiretsu*. „O nie, nie zrobisz tego” — pomyślał Nangi.

— Trzydzieści pięć milionów stanowi dodatek do ceny zakupu, całkowicie niezależny i bezzwrotny. Nie chcę, by operacje finansowe banku były w jakikolwiek sposób związane z *keiretsu*. W końcu, jak pan dobrze wie, ograniczyłyby to nasze potencjalne zyski. — Chińczyk tkwił nieruchomo jak posąg, a jego pergaminowa skóra błyszczała w świetle. W końcu poruszył się niczym wąż budzący się z długiej śpiączki i przygotowujący się do połknięcia kolejnej porcji pożywienia.

— Możemy tak zrobić — rzekł Liu. — W takim jednak wypadku żądałobyśmy, aby przydzielił nam pan trochę większą część swojej *keiretsu*. Pięćdziesiąt jeden procent.

Nangi nie okazał panicznego strachu, który w tym momencie ścisnął jego serce. „Pięćdziesiąt jeden procent! Jezu, Józefie i Mario — pomyślał. — Stracimy z Sato kontrolę nad własnym przedsiębiorstwem!”

— Pan wie, że nie powinienem w ogóle składać tej oferty. — Głos Liu stał się życzliwy. — Mój rząd nie rzuca tak łatwo równie wielkich pieniędzy na, mhm, międzynarodowe rynki. — Pochylił się do przodu. — Ale widzę, że jest pan bardzo podobny do pańskiej firmy, i to mnie cieszy. Razem możemy zdobyć fortunę tutaj i w pana kraju. — Wstał. — Ten dzień był długi dla nas obu. Sądzę, że jest pan równie głodny jak ja.

Uśmiechnął się do Nangiego.

— Ta oferta jest zupełnie wyjątkowa. Chciałbym pana na to uczulić. Ostateczny termin upływa jutro, o szóstej po południu. I to wszystko. — Niczym idealny gospodarz uniósł dłoń. — A teraz bierzmy się do jedzenia.

Podczas obiadu Nangi więcej czasu poświęcił obserwowaniu kobiet Liu niż swojego gospodarza. Liu odebrał to jako dobry znak. Było to dla niego sygnałem, że Nangi jest wyjątkowym rozpustnikiem; uspokojony, chichotał do samego siebie.

Wejdźmy do środka.

Potrząsnęła głową, jej długie włosy błąkały się po policzku i ramionach Nicholasa.

— Chcę zostać tutaj. Jesteśmy teraz tworem żywiołu. Tu jest nasze miejsce.

Nicholas czuł przy sobie jej miękkie i posłuszne mu ciało; nieufność paraliżowała jego myśli. Ona była żoną innego człowieka. Ten człowiek był jego przyjacielem. Upili się wspólnie, dzielili swymi tajemnicami, poprzyśięgli sobie przyjaźń. Racjonalna część jego świadomości przywołała bolesne wspomnienia. Drżał na myśl o tym, gdy jej nagie ciało osuwało się po nim. A Justine? Czy nie była to kwestia honoru? Wiedział, że jego miłość do niej nie zmniejszyła się, pozostała nie tknięta tą chwilą i tym, co ona niosła. Dreszcze tłumionej namiętności rujnowały spokój jego duszy. Powinien położyć temu kres, wstać i odejść do bezpiecznego schronienia domu Sato. Ale nie uczynił nic takiego. Justine była odległym płomieniem, drżącym w sztormowym wietrze chwilowych emocji. Z ust wyrwało mu się technienie modlitwy do niej, a jednocześnie coraz silniej przyciągał do siebie to drugie stworzenie.

Nie mógł się powstrzymać. Ciało tęskniło za Akiko, jakby była strawą, napojem, tlenem wypełniającym płuca. Tak samo jak nie potrafił zatrzymać bicia serca, nie potrafił oderwać się od niej.

Żółtozielone kimono Akiko leżało za jej plecami, tworząc wzgórze i doliny; fałdy materiału rzucały głębokie cienie, jakby chciały ukryć jego tajemnice. Oboje owinięci byli j e g o kimonem — kimonem Sato.

Skórę miała gorącą i wilgotną. Paznokciami wpijała się w Nicholasa, małymi zębami wgryzała się w jego ciało, jakby to również było miłosnym aktem. Każde z nich pragnęło, by te chwile nie miały końca, więc hamowali swoje rozgorączkowanie, powstrzymując się aż do bólu.

Ich powściągliwość sprawiła, że Akiko zaczęła skomleć i jęczeć. Czuł, jak jej drobnym ciałem wstrząsają niepohamowane dreszcze; gdy jego dłoń po raz pierwszy zetknęła się z wilgotnym wzgórkiem łona, jej biodra zadrżały konwulsyjnie. Zamknęła oczy i chwyciła go tak mocno, aż zbieleły jej palce.

Mgła wokół nich wydawała się gęstnieć i ciemnieć. Nie było już widać nieba, a powietrze zrobiło się ciężkie i przejmująco wilgotne, jakby w zapowiedzi nadciągającej burzy. Nagle rozległ się rozdzierający grzmot i wczesny ranek wydawał się zmieniać w zmierzch.

Akiko, drżąc, wygięła się w łuk, rozchyliła uda; dłonie miłosnym ruchem gładziły jego plecy i pośladki. Językiem sunęła po wgłębieniu w jego szyi.

Wtem z gardła dziewczyny wyrwał się zwierzęcy krzyk i jęcząc powiedziała:

— Muszę... muszę... — Okręciła się wokół ciała Nicholasa, aż gorące usta pochłonęły go, przesuając się cal po calu i zamykając w końcu na samym

członku. Chciał pieścić ją w ten sam sposób, lecz nawet wtedy, gdy dreszcze ekstazy przebiegały przez jej ciało, była dostatecznie przytomna, by odpuścić go, trzymać wewnątrz swego łona z dala od oczu Nicholasa. Nie mogła pozwolić, by zobaczył, co się tam znajdowało, tego wizerunku szczerzącego zęby we władczym uśmiechu. To bowiem położyłoby wszystkiemu kres. Yukio zniknęłaby na zawsze i oboje nie mogliby uczynić nic, co sprawdziłoby ją z powrotem. Dowiedziałby się... i próbowałby ją zniszczyć.

Więc ssła go jeszcze mocniej, starając się pochłonąć całego, korzystała ze wszystkich znanych jej technik, aby sprawić mu rozkosz. Puścił ją, podając się pieczytom.

Jakże pragnęła dotyku jego warg i języka — teraz, gdy sama obejmowała go ustami. Wyobraziła to sobie i gwałtownie zdrząła. Potem poczuła, jak palce powracają do środka pochwy. Głęboko westchnęła; jej seks pulsował mocnym rytmem drugiego serca.

Zaczęło padać, gdy puściła go niechętnie. Nicholas obrócił się na nią natchmiast, mokrym członkiem muskając jej uda i brzuch. Delikatnie objęła kochanka, kierując ruchem jego ciała. Jego usta opadły na ciemną brodawkę piersi, potem na drugą, tam i z powrotem. Nie potrafiła zwolnić oddechu.

Nad ich głowami rozległy się coraz bliższe grzmoty, deszcz się nasilił. Nie było prawie w ogóle wiatru i strumienie wody spływały pionowo w dół, uderzając w gładkie kamyczki rozsypane dokoła. Tylko siebie widzieli wyraźnie.

Akiko z delikatnością kurtyzany pocierała wilgotnym, rozchylnym łonem o jego ciało. Błagała w myślach, aby nie pieścił już jej, a mimo to nadal dłońmi drażniła ich oboje, stopniowo zwiększając napięcie i rozkosz, aż stały się nie do zniesienia.

Wyrzucając z siebie gwałtowne westchnienie, Nicholas wyrwał się z jej uścisku i powoli w nią wszedł. Akiko chwyciła ustami powietrze i drżąc niepohamowanie, wygięła się łukiem w jego stronę. Ocierała się mokrym ciałem o ciało Nicholasa, rozkoszując się szorstkimi dotknięciami jego włosów.

Wbił się w nią głęboko i Akiko poczuła się złączona ze wszechświatem. Czowała, jak cały ciężar spływa jej z serca, cała nienawiść topnieje jak śnieg w gwałtownie rosnącej temperaturze pierwszego wiosennego dnia, a cała ciemność znika z pola widzenia.

Kołysała się w deszczu i burzy jak wiotka trzcina na brzegu rzeki. Ptaki, wołając, przelatywały nad nią, wiatr marszczył wszystko wokół, deszcz uderzał w nią, a ona ugięła się pod jego naporem. Woda przepływała pod nią

wartkim strumieniem, a małe drążące ziemię owady laskotały jej korzenie. Była częścią rzeki, lasu, morskiego brzegu, głębi tego świata.

Spadała i unosiła się jednocześnie, noc stawała się dniem, a dzień nocą. W uszach bił kosmiczny zegar, zmieniając sekundy w stulecia, minuty w wieczność. Jej oddech był odgłosem tworzenia się skalnego podłoża, metamorfozą węgla w diament, skamieniałego detrytusu w paliwo.

Westchnęła, i zmieniały się pory roku, zadrżała, i nowe wyspy pojawiały się na łonie Pacyfiku. Rzuciła się konwulsyjnie, krzycząc dziko, podczas gdy on strzelał w nią bezustannie, gdy ich lędźwie pracowały bez wytchnienia, gdy orgazm następował po orgazmie, a świat na mgnienie oka przestał dla nich istnieć.

Niebieski Potwór trzy razy zmieniał samochód w drodze na północ. Po raz pierwszy w Miami, gdzie droga numer jeden przechodziła w drogę numer sto dziewięćdziesiąt pięć. Po raz drugi w Savannah, gdy ten drań i Alix Logan zatrzymali się, żeby coś przegryźć. Po raz trzeci tuż przed Beaufort, w Południowej Karolinie. Urządzenie do szyfrowania znajdowało się w oprawie zamka i można je było z łatwością przenosić z samochodu do samochodu. Teraz Niebieski Potwór czułby się bez niego jak człowiek pozbawiony ubrania.

Ten drań pędził jak szaleniec i Niebieski Potwór musiał zachować podwójną ostrożność, ponieważ jechał sam: nie było miejsca na błędy. Gdyby zgubił ich teraz, jego misja skończyłaby się; wiedział, że ani on, ani ktokolwiek inny nie byłby w stanie szybko ich odnaleźć.

Czekał stosownej chwili. Palił camele bez filtra i był cierpliwy; ostry, gryzący zapach tytoniu nie pozwalał mu zasnąć. Nie zażywał żadnych tabletek.

Niebieski Potwór był znacznie lepszy, niż przypuszczał Croaker, i dotarł przed hotel w cztery i pół minuty po tym, jak Croaker i Alix Logan zniknęli w westybulu ze stali i szkła. Był to hotel sieci wschodniej; znajdował się tuż za Raleigh i wyposażono go w trzy poziomą arkadę handlową, biegnącą nad sześciopasmową szosą, z której zjazd wiał się betonowym łukiem.

Jesse James, Niebieski Potwór, zjechał swym wynajętym kremowym samochodem z drogi numer siedemdziesiąt.

Spostrzegł samochód, który, jak podejrzewał, był ich samochodem – ostatnim modelem kasztanowego czterodrzwiowego ford.

Pędząc w kierunku zjazdu, zjechał ze środkowego pasa, czym wywołał oburzenie kierowców oraz pisk opon i klasonów samochodów jadących lewym pasem.

Pokazał im środkowy palec. Po incydencie o pięć mil wcześniej nie miał cierpliwości do tych kmiotków z Północnej Karoliny. „Cholerny przyszczaty szczeniak” — pomyślał James o kierowcy zakurzonej furgonetki ubranym w słomiany kowbojski kapelusz i kurtkę z drelichu, gdy wóz wtoczył się na parking. Prawdopodobnie nie miał nawet siedemnastu lat i było jasne jak słońce, że nie potrafił jeździć samochodem.

Splunął przez otwarte okno. Przez tego dzieciaka o mały włos nie zgubił kasztanowego forda. „Wyobraźcie sobie. Przejechać taki kawał drogi, siedząc temu draniowi na karku, po to tylko, żeby go zgubić na cholernych światłach, dlatego że gogusiowaty szczeniak nie raczył zahamować, aby mnie przepuścić”. James na myśl o tym wciąż kipiał ze złości.

Potem byстрыm okiem wypatrzył kasztanowego forda na hotelowym parkingu i wykonał swój manewr. Zaparkował o trzy wozy dalej i odszedł spokojnym długim krokiem. „Nie ma sensu się teraz śpieszyć — rzekł do siebie. — Albo to jest ten samochód, albo zgubiłem ich na dobre”.

Serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył tablicę rejestracyjną. Floryda. Podeszedł, stanął obok forda i położył dłoń na masce silnika. Była jeszcze ciepła. To z pewnością oni.

Ukląkł, udając, że zawiązuje sznurówkę, stał błoto, którym ten przebiegły skurczybyk wysmarował tablice, i odnotował kombinację liter i cyfr. Potem wstał i ruszył stromą betonową ścieżką w kierunku bocznego wejścia do hotelu.

Młody porucznik nazywał się Rusiłow i im częściej widywał go Protorow, tym bardziej go lubił. Ten człowiek przejawiał inicjatywę. Problem z większością żołnierzy przechodzących przez ściśle kontrolowany sowiecki system polegał właśnie na tym. Na braku inicjatywy.

Wszystko było w porządku, jeżeli dostali plan. Wykonywali go w najdrobniejszych szczegółach lub ginęli usiłując tego dokonać. Nie można było ganić takiego poświęcenia. Chyba że pracowało się dla Wiktora Protorowa. Wtedy ten rodzaj automatycznego myślenia mógł wysadzić całą siatkę, zniszczyć potencjalnego dezertera przychodzącego z drugiej strony albo zdemaskować wtyczkę w innym wydziale. Protorow miał zbyt wiele

wtyczek, żeby zadowalała go klasa żołnierzy, których mu normalnie przydzielano. Biurokraci, rzecz jasna, byli całkowicie wykluczeni.

Raziło go, że musiał brać te surowe i zasadniczo bezmyślne talenty i poddawać je obróbce. W jego zręcznych dłoniach glina matki Rosji była przerabiana na ludzi przydatnych Dziewiątemu Wydziałowi.

W tym celu został dyrektorem szkoły na Uralu. Była znacznie mniejsza niż ta, którą prowadziło samo KGB — szkoła pełna amerykańskich ulic, amerykańskich pieniędzy, mlecznych koktajli i hot dogów, rozmów o Yankees i Dodgers, Giants i Dallas Cowboys. To był bajkowy świat, który poza tym okazał się potencjalnie niebezpieczny. Zbyt wielu pozostających „w uśpieniu” rosyjskich agentów przywykłych do amerykańskiego stylu życia dzięki tej szkole nie odezwało się na dźwięk budzika. Życie na Zachodzie stanowiło syrenią pieśń najwyraźniej zbyt pociągającą, by mogli się jej oprzeć wszyscy ci, którzy nie mieli najbardziej zahartowanych charakterów.

Protorow wolał w swojej akademii podtrzymywać sowiecki etos, rozwijając jednocześnie umysły swych uczniów, rozszerzając ich horyzonty. Krótko mówiąc, uczył ich niezależnego myślenia.

Gdyby starzy biurokraci na Kremlu wiedzieli, do czego jest zdolny, bez wątplenia w trybie doraźnym zamknęliby go. Ale chodziło o to, że obawiali się Dziewiątego Wydziału, a zwłaszcza jego, Wiktora Protorowa. Poza tym zawdzięczali mu zbyt wiele zwycięstw w trzecim świecie. Znacznie wygodniej było odczuwać dumę z jego najnowszych sukcesów w Argentynie — wpuszczenia Anglii w pułapkę idiotycznej i wyczerpującej wojny — oraz w Salwadorze — sprowokowania jastrzębiej amerykańskiej administracji do czegoś, co z łatwością mogło stać się następnym Wietnamem. Tak czy owak nie byli biegli w sprawdzaniu swoich obaw.

Piotr Aleksandrowicz Rusiłow był absolwentem uralskiej akademii Protorowa. Ale był wyjątkowy pod wieloma względami. Po pierwsze, ukończył szkołę jako najlepszy uczeń w klasie. Po drugie, doskonale przystosował się do akcji w terenie. Protorow stwierdził na podstawie gorzkich doświadczeń, że akademickie życie miało niewiele wspólnego ze straszliwą presją akcji prowadzonych w terenie. Wielu absolwentów nie potrafiło się przestawić i byli przenoszani „na emeryturę” do działu administracyjnego Dziewiątki, w którym nigdy już nie kontaktowali się z Protorowem bezpośrednio.

Gospodin Rusiłow wyróżniał się także pod innym względem. Był sierotą. Państwo — albo, mówiąc ściślej, Protorow — wcześniej przejęło opiekę nad nim. Był pierwszorzędnym efektem planu wychowywania nowych kadr.

W życiu Protorowa była tylko jedna kobieta; chyba dlatego, że poślubił swoją pracę, a może również dlatego, że seks nigdy wiele dla niego nie znaczył. Była kimś, o kim wolałby zapomnieć, lecz nie potrafił. Jelena była żoną żydowskiego dysydenta. Gdy Protorow, wtedy jeszcze szef Pierwszego Wydziału, wysłał męża Jeleny do obozu, zaciągnął ją do łóżka. Sprawilo mu to o wiele większą przyjemność, niż wcześniej sobie wyobrażał.

Nie potrafił ocenić, czy stało się tak pod wpływem szczególnych okoliczności towarzyszących temu wydarzeniu, czy też było coś w samej Jelenie. Sądził, że jest człowiekiem beznamiętnym, zdolnym do trzeźwego i obiektywnego spojrzenia na każdą sytuację. Jednak tego właśnie nigdy nie zdołał zrozumieć. Wspomnienie o Jelenie tkwiło w nim jak lodowa kra pokrywająca arktyczne wody i drwiąca swą nieprzejrzystością.

Ale czy to mu się podobało, czy nie, Jelena była wszystkim, co miał w rzeczywistości, a potem, gdy posłał ją do więzienia na Łubiance, w pamięci. Aż do chwili, gdy pojawił się Rusiłow. Nie wiedział nawet, jak to się stało, ale zaczął patrzeć na swojego protegowanego jak na członka rodziny. Nawet słowo syn nie byłoby przesadą. Wiedział, że gdyby odszedł z Dziewiątego Wydziału, co miało wkrótce nastąpić, Rusiłow dobrze by nim kierował.

Teraz, gdy otrzymał sygnał od pułkownika Mironienki, że spotkanie na szczycie KGB-GRU ma się odbyć za tydzień, jego czas w Dziewiątym dobiegał końca. Ale do tego momentu musiał przeniknąć tajemnice *Tenchi*. Tengu, jego drugi agent w *ryu* Tenshin Shoden Katori, został zamordowany w tajemniczych okolicznościach; stało się to, kiedy uciekł z wygraną, której Protorow poszukiwał od chwili, gdy otrzymał informację, że to właśnie *ryu* kształcąca *ninja* strzegła dokumentów dotyczących *Tenchi*. To niepowodzenie pokrzyżowało mu plany. Ale bynajmniej nie ostatecznie.

— Obywatelu pułkowniku?

Protorow uniósł wzrok, pytanie zakłóciło bieg jego myśli. Podobało mu się, że młody człowiek zwrócił się do niego per „obywatelu pułkowniku”, a nie „towarzyszu”. Ranga była istotna w Dziewiątym Wydziale i Protorow wbrew panującej na Kremlu hipokryzji wcale tego nie krył.

Rusiłow wszedł do dźwiękoszczelnego pomieszczenia przez drzwi, które przypominały wejście do podziemi. W rękach trzymał plik komputerowych wydruków.

— Wierzę, że Sakow IV dał nam nareszcie jakiś trop.

Protorow błyskawicznie opróżnił biurko z dokumentów układając je w sterty. Rusiłow położył wydruki na pustym miejscu. Były otwarte na czwartej stronie. Obydwaj mężczyźni wpatrywali się uważnie w informację nadaną z komputera na pokładzie satelity zwiadowczego. Mieli przed sobą siatkę ze zdjęciem obszaru geograficznego o wymiarach około dziewięćdziesięciu na sto dwadzieścia mil. Strefa lądu i wody była dobrze znana Rosjanom. Był to wycinek morza między północnym brzegiem Hokkaido a wysuniętą najbardziej na południe wyspą archipelagu Kuryłów, Kunashir. Część tego terytorium należała do Japonii, część do Sowieców.

Młody porucznik wskazał palcem, mówiąc:

— Proszę tutaj spojrzeć, obywatelu pułkownika — koniec palca wędrował w stronę cieśniny Nemuro. — Tam nic nie ma. Zupełnie nic niezwykłego. A teraz — uniósł dłoń i przytknął ją do następnej strony — tutaj. — Palec zawisł nad małym punktem w cieśninie.

— Co to jest? — spytał Protorow, dobrze znając odpowiedź. Nie chciał pozbawiać Rusiłowa owoców jego zwycięstwa. To byłoby nieuczciwe.

— Promieniowanie ciepła — odparł porucznik.

Protorow spojrział na niego. Musiał przyznać, że młody człowiek potrafił się opanować. W jego głosie nie było śladu triumfu, chociaż na pewno musiał go odczuwać. — Bardzo silne.

— Erupcja wulkanu — zasugerował Protorow. To było najbardziej wiarygodne wyjaśnienie.

— Ależ nie, jest na to za bardzo skupione. Poza tym tutaj znajduje się znany uskoki tektoniczny biegnący na północ. — Jego palec przesunął się na południowy wschód.

— Rozumiem. — Protorow usiadł. — Cóż to jest w takim razie?

— *Tenchi*.

„O, tak” — pomyślał Protorow. Było dokładnie tak, jak powiedział. Ponieważ wiedzieli z wiarygodnych źródeł, że *Tenchi* było monumentalnym przedsięwzięciem przemysłowym lub wydobywczym. To, czego Protorow i jego grupa szukali przez cały czas, było pewną anomalią, niezgodnością z dotychczasowymi pomiarami. Teraz Protorow czuł, że ją znalazł. Gdy spojrział na zdjęcie, coś jeszcze przyciągnęło jego uwagę. W myślach dokonał

błyskawicznych obliczeń, po czym zastanawiał się nad czymś przez chwilę, nie mówiąc słowa.

— Poruczniku — rzekł w końcu — gdzie dokładnie umiejscowiłby pan tę intensywną aktywność cieplną?

— Trudno powiedzieć, obywatelu pułkowniku. — Rusiłow pochylił się nad odczytem. — Jak pan wie, te zdjęcia zostały zrobione na dużej wysokości. I nasi technicy musieli łączyć je w całość.

— Jednak mimo wszystko — naciskał Protorow — chcę poznać pańskie zdanie.

Rusiłow nie śpieszył się. Wyjął jubilerską lupę, przez którą badawczo przyglądał się zdjęciu. W końcu uniósł się, opuszczając lupę w otwartą dłoń.

— Gdybym miał się tym zająć, obywatelu pułkowniku — rozpoczął — musiałbym stwierdzić, że część promieniowania dociera z terytorium jańskiego.

Serce Protorowa zabiło trochę szybciej.

— A reszta?

— Wydaje mi się, że reszta dociera z terytorium Rosji.

Alix Logan była pod prysznicem. Croaker siedział w fotelu w dużym, gustownie umeblowanym pokoju. Pił burbona z wodą, przyniesionego przez chłopca z obsługi hotelowej.

Był zmęczony; głowa opadła mu na fotel, przymknął oczy. Wciąż czuł lekkie zawroty głowy po osiemnastu godzinach spędzonych w samochodzie. Wolałby odlecieć z Key West samolotem, ale byłoby to tym samym, co umieszczenie sobie na plecach tabliczki z napisem: „Proszę za mną”.

Kiedy rozważył wszystkie możliwości, samochód okazał się najlepszym rozwiązaniem. Dawał im przynajmniej możliwość zmiany celu podróży, kiedy tylko chcieli.

Słyszał stłumiony odgłos płynącej z prysznicza wody. Ponownie pomyślał o tym, co czuł, gdy Alix Logan siedziała obok; rozjaśnione słońcem włosy opadające bezustannie na jego ramię, głębokie zielone oczy, gibkie, jędrne ciało modelki, skóra opalona i gładka jak aksamit.

Wywołało to wspomnienia o Angeli Didion, drugiej modelce i najlepszej przyjaciółce Alix Logan. Sława, którą zdobyła, niezliczone plotki o jej życiu — wszystko to nie miało jednak żadnego znaczenia w chwili, gdy wszedł do jej mieszkania i znalazł ją martwą; rozciągniętą na łóżku, nagą, jedynie z

cienkim złotym łańcuszkiem oplatającym biodra.

Nie była już pięknoscią, wspaniałą boginią seksu, spełnieniem marzeń każdego mężczyzny. Odarta tak brutalnie z życia, była jedynie młodą dziewczyną, wzruszającą w swej zupełnej bezbronności. Wtedy wzruszyła Croakera bardziej, niż gdy żyła.

Dobrze pamiętał tę chwilę. Jakże chciał wskrzesić ją ruchem czarodziejskiej różdżki, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego. Nie dla siebie. Po prostu dla niej. Pograżona w wiecznym śnie, była tylko ludzką istotą, o wiele bardziej ludzką niż jako dziewczyna z okładek „Vogue” i „Cosmopolitan”, na których istniała w dwuwymiarowym, nierealnym świecie.

W pewnym sensie wydawało się to zbyt błahym powodem, żeby zaczynać długie i męczące poszukiwanie, zbyt błahym, by ryzykować utratę życia. Gdyby jednak spojrzeć na to w inny sposób, była to jedyna uczciwa rzecz, jaką można było zrobić. A Lew Croaker nauczył się, co znaczy honor i uczciwość, od swego najlepszego przyjaciela, Nicholasa Linneara.

Alix otworzyła drzwi i wyszła z wypełnionej parą łazienki. Ciało miała owinięte grubym ręcznikiem; drugi, mniejszy, niczym turban owijał jej włosy.

Croaker otworzył błyskawicznie oczy; przez chwilę widział nie ją, ale Angelę Didion i raz jeszcze postanowił, że nie dopuści, by Alix zginęła, co z pewnością nastąpiłoby, gdyby Niebieski Potwór zwęszył, gdzie się znajdują.

— Teraz twoja kolej — powiedziała, posyłając mu jednocześnie spojrzenie, które wydawało się przenikać go na wylot. — Wyglądasz jak żywy trup.

Croaker chrząknął i dokończył drinka.

— Zabawne. Czuję się jeszcze gorzej.

Z rękami na kolanach usiadła na jednym z podwójnych łóżek.

— Dlaczego to robisz? Chciałabym to wiedzieć. Zabiją cię, jeżeli cię złapią. Chyba wiesz o tym?

— Chodzi o Angelę.

— Nawet jej nie znałeś. Zakochałeś się w tej twarzy tak jak inni.

— W ogóle tego nie rozumiesz — powiedział, przesuwając się w fotelu.

— I nigdy nie zrozumiem — odparła prowokująco — dopóki mi nie wytłumaczysz.

— Zginęła w moim rewirze. — Poruszył lodem w pustej szklance, wpadając się w jego kostki nie widzącymi oczami. — Ktoś ją zabił; chcę się

dowiedzieć, kto. Ponieważ była takim samym człowiekiem jak wszyscy. Zasłużyła przynajmniej na to, by znaleziono mordercę.

Alix zaśmiała się.

— Ja lepiej wiem, na co zasłużyła. — Przerwała na moment, jakby zbierając siły. — Była suką, Lew. Była małostkowa, mściwa, chorobliwie zazdrośna i zupełnie zepsuta.

Croaker spojrział na nią.

— To nie ma żadnego znaczenia. Dla mnie była nie gorsza i nie lepsza od innych.

Alix nalala sobie drinka z butelki Old Grand-Dad.

— Trzeba było spędzić z nią trochę czasu — powiedziała, pociągając spory łyk. — Wystarczyłoby parę dni.

Croaker wyjął jej szklankę z dłoni i dopił to, co zostało.

— Byłaś w niej zakochana?

— To nie twój parszywy interes! — wybuchnęła gniewnie. Jej dłonie zaciśnęły się w zbielełe pięści, a usta ściągnęły w wąską, brzydką linię. Potem, stopniowo, rysy jej twarzy zaczęły się zniekształcać.

— Czy myślisz, że tylko dlatego, iż uratowałeś mi życie, możesz oczekiwać odpowiedzi na każde pytanie? — Kończąc rozplakała się. Spalone słońcem ramiona podnosiły się i opadały, dłońmi zakryła twarz.

Croaker obserwował ją przez pewien czas, tłumiąc pragnienie, by wyciągnąć do niej rękę i dodać otuchy. Znał ją dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że odepchnęłyby go.

Po chwili otarła oczy. Sprawiała wrażenie o wiele spokojniejszej niż przedtem.

— Prawdę powiedziawszy — odezwała się cichym głosem — to Angela była we mnie zakochana. — Rozwinąwszy ręcznik, rozczesywała palcami mokre włosy. Zaczęła je wycierać. — Nie pamiętam mojej matki, a Angela była silna. Przypuszczam, że było w niej sporo z mężczyzny. Nie, żeby była męska. To wcale nie o to chodzi. Mówię o czymś wewnątrz. O osobowości lub czymś takim. — Usidliła mnie. Naprawdę nie wiem, jak inaczej to określić. Wiedziała pracując z nią, że to suka. I wiedziała, że zażywa narkotyki: opium i kokę. Niezła kombinacja, co? Ale myślałam... Och, nie wiem, co myślałam. Sądzę, że byłam ślepa na to wszystko, potrzebowałam matki, kogoś, kto mnie nauczy i obroni.

Alix przestała zajmować się swoimi włosami, ponownie usiadła z rękami

na kolanach. Wyglądała bardzo młodo, prawie jak mała dziewczynka, niewinna, zrobiona z kręconej różowej waty.

— Walczyliśmy ze sobą przez cały czas. Pod wieloma względami uczyniła z mojego życia piekło.

— Mogłaś odejść — wtrącił Croaker.

Ale Alix pokręciła głową.

— Jak już powiedziałam, nie znałeś Angeli. Gdy czegoś chciała, trzymała to długo, aż do znużenia. Gdybym spróbowała odejść, zrujnowałaby moją karierę zawodową. Mogła to z łatwością zrobić; była w tym prawdziwą specjalistką. Widziałam kiedyś, jak zrobiła to z młodą, obiecującą modelką, która pewnego dnia odezwała się do niej niewłaściwie. Angela wykonała jeden telefon i nikt w branży nie wymówił już więcej nazwiska tej dziewczyny. Angela miała władzę faraona.

Opuściła głowę tak nisko, że Croaker mógł dostrzec miękką plamę światła na jej karku.

— Ale prawdę powiedziawszy nie miałam w sobie dość siły, aby ją opuścić. Ona... przerażała mnie i, to dziwne, ale sądzę, że poddana jej manipulacji czułam się pewniej niż sam na sam z otaczającym mnie światem.

Zapadła przeciągająca się cisza, wypełniająca pokój dziwnym chłodem.

— Co się stało potem?

— Potem wszystko się zmieniło — odparła Alix głosem tak cichym, że Croaker musiał pochylić się, żeby ją dobrze zrozumieć. — Angela poznała Raphaela Tomkina.

Tex Bristol. Jesse James uzyskał nazwisko tego drania od komendanta portu w Key West. Komendant oraz kilku mężczyzn, którzy byli w basenie portowym, widzieli, jak jego łódź odbiła od brzegu tuż za łodzią Alix Logan.

James nie wiedział, kim naprawdę jest ten drań, ale obiecał sobie, że wkrótce się tego dowie. Spytał w recepcji o Bristola, sądząc, iż nie miał żadnego powodu, aby w tej fazie ucieczki zmieniać swoje personalia. Mylił się. Powiedziano mu, że tego dnia nie meldował się żaden człowiek o nazwisku Bristol i imieniu Tex, ani też nikt o tym nazwisku.

Niebieski Potwór użył wyjaśnienia „C”, tłumacząc wszystko po kolei i pokazując odznakę. Był prywatnym detektywem, sprawa o cudzołóstwo, tutaj są rysopisy tych dwojga, nic ekscytującego, po prostu gromadzenie

dokumentów rozwodowych. Dostał numer ich pokoju. „Jeden pokój. Bardzo przyjemne — pomyślał James. — Cóż takiego ma w sobie ten drań, czego ja nie mam?” Ruszył windą do góry.

Drzwi rozsunęły się i Jesse James wyłonił się na trzecim piętrze hotelu.

Croaker wyszedł właśnie spod prysznic. Czuł się o trzydzieści lat młodziej. Wytarł się do sucha ręcznikiem, włożył lekkie spodnie, ciemną koszulkę z zielonym napisem KEY WEST IS BEST oraz podniszczone gumowce, które przyniósł ze sobą do łazienki.

Alix miała na sobie dżinsowe szorty oraz różową jedwabną bluzkę. Nagie stopy ułożyła na narzucie łóżka. Siedziała wsparta plecami o dwie poduszki i czytała książkę w miękkiej okładce, którą znalazła po drodze, w miejscu, gdzie zatrzymali się, by zjeść lunch.

— Ta książka jest równie okropna jak to, co jedliśmy po południu — powiedziała, odrzucając ją na bok. — Wampir w bagnistej rzece. Kto tu kogo nabiera?

Właśnie wtedy drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem głośnym jak wystrzał z karabinu.

Sato odnalazł swego gościa w ogrodzie. Na deszczu.

— Mój drogi przyjacielu — zawołał z suchego schronienia swego gabinetu — zamarnie pan tam na śmierć.

Nicholas nie od razu odpowiedział. Siedział na kamiennej ławie, z opuszczonymi ramionami, zwrócony twarzą w stronę kołyszących się gałęzi bukszpanu. Blisko szerokiego pnia, po suchej łacie ziemi niecierpliwie wędrowała tam i z powrotem szara siewka. Co jakiś czas zadzierała do góry łepkę, a jej błyszczące oko wydawało się przeklinać wstrętne żywioły.

Nicholas natomiast prawie nie dostrzegał ulewy. Kimono całkiem przeiękło i całe jego ciało było mokre. Nie miało to żadnego znaczenia. Wiedział teraz, że Akiko i Yukio były dwiema różnymi istotami.

Dłużej nie mógł się oszukiwać. Twarz mogła kłamać, mogły kłamać wypowiedane szeptem słowa, nawet znaczące spojrzenie. Ale ciało było inne. Odpowiedź na intymny dotyk, słabnięcie, otwieranie się na pieśczętę były jedyne w swoim rodzaju. Nie można było ich zafałszować.

Na myśl o tym, że ponownie ją utracił, przepelnił go niewymowny smutek. Oczywiście było niemożliwe, aby żyła. Logika nakazywała sądzić, że zginęła z ręki Saigo, tak jak opisał to Nicholasowi, rozkoszując się wrażliwością, jakie każde jego słowo robiło na znienawidzoną kuzynię.

Jednak Nicholas chyba po raz pierwszy w życiu nie zważał na zasady logiki. Odrzucił lata nauki i zrozumienia na rzecz jednej rozpaczliwej nadziei. Było to śmiechu warte i smutne zarazem.

Gardził sobą za radość, którą czerpał z cudzołożnego zespolenia. Chociaż Akiko nie była Yukio, jednak kochał się z nią nie tylko ciałem. To, kim była i dlaczego wyglądała jak jego utracona miłość, stało się drugorzędne wobec świadomości, że otworzył dla niej swoje serce. Skoro nie była Yukio, czy mógł ją mimo wszystko kochać? Jakim cudem było to możliwe? A może jakaś istotna część Yukio w niewytłumaczalny sposób zamieszkiwała duszę Akiko? Jakkolwiek było, czuł się splugawiony, wygnany z własnego wnętrza. Jego występki pozbawił go wycucia centrum, a bez tego czuł się bezsilny w ogarniętym szaleństwem świecie.

— Linnear-san. — Usłyszał głos Sato przedzierający się przez głośny szmer ulewnego deszczu. Po chwili starszy mężczyzna był u jego boku, okrywając ramiona Nicholasa przezroczystą folią. — Kontemplację trzeba dostosować do żywiołów, którym przynosi zaszczyt — rzekł cicho. — Zostawię pana samego.

— Nie, Sato-san, proszę, niech pan zostanie. — Nagle Nicholas nie chciał być sam. Czuł się już zbyt osamotniony, osierocony niemal. Wszystkie młodzińcze marzenia prysły. Dzika nadzieja zginęła wśród grzmotów. „Ale czymże jest człowiek bez nadziei?” — pomyślał.

— Ten ogród uspokaja o każdej porze dnia. — Sato przysunął się do Nicholasa. Otworzył usta, by ciągnąć dalej, lecz zamknął je, gdy grzmot przetoczył się po niebie. — Często myślałem, że to krzyk bogów. Piorun. Burza obudziła mnie dziś rano. Drzemałem, nasłuchując jej krzyków. Prawie ludzkich, nie sądzi pan?

— Rzeczywiście, nawet bardzo — odparł Nicholas. „Muszę się przyznać — pomyślał. — Muszę przywrócić spokój mojej duszy”. — Sato-san...

— Chińczycy nauczyli naszych przodków geomancji — powiedział Sato, ubiegając Nicholasa — abyśmy mogli na zawsze pozostać w harmonii z siłami natury. Nie jesteśmy tygrysami, chociaż może bardzo pragniemy nimi być. W tym niższym gatunku jest doskonałość, do której my, ludzie, możemy tylko dążyć.

Gdy spojrzął na Nicholasa, miał przejrzyste i łagodne oczy. Niespodziewanie położył dłoń na ramieniu swojego gościa i spytał:

— Czy wejdzie pan teraz do środka i pozwoli, bym zaparzył dla pana herbatę?

Obserwując, jak wyprostowany niczym strzała Rusiłow znika za stalowymi drzwiami, Protorow pomyślał o tym, że po wielu latach pełnej poświęceń pracy w służbie ideologii jego życie nabrało osobistego wyrazu. Fakt, że nie założył własnej rodziny, z pewnością traktował jako dowód bezgranicznego oddania sprawie ostatecznego triumfu idei komunizmu.

Ale teraz miał Rusiłowa. Jak to się stało? Silne uczucie, jakim darzył tego młodego człowieka, sprawiło, że poczuł się bezbronny. A to zrodziło w nim strach.

Wiktor Protorow nie bał się od ośmiu lat. Od momentu śmierci swojego starszego i jedyne go brata. W tym czasie był szefem Pierwszego Wydziału, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo wewnętrzne. Wtedy właśnie zaświtała mu w głowie myśl o stworzeniu własnego, niemożliwego do zdobycia królestwa w ramach Dziewiątego Wydziału, bastionu, z którego we właściwym czasie miał uderzyć, poprowadzić ojczyznę do zwycięstwa.

Zimą tego roku — szczególnie ostrą, pełną codziennych opadów gęstego śniegu — miał do spełnienia wiele misji. Wszystkie były ważne. Jego wydział był za słabo obsadzony; nie miał jednak wtedy dostatecznych wpływów, żeby zażądać większej liczby ludzi. Nauczył się radzić sobie, ale ze względu na dotkliwy brak personelu oraz nie sprzyjającą pogodę zmuszony był osobiście nadzorować więcej misji, niż powinien.

W efekcie znajdował się poza Moskwą, daleko na północy, gdy aresztowano Mincka. Protorow wiedział o jego obecności na terenie Rosji i bardzo pragnął go dostać. Szybko trafili na jego ślad. Brat Protorowa, chociaż o trzy lata starszy, niższy rangą, porucznik, dowiedział się o pobycie Mincka w więzieniu na Łubiance.

Wiktor Protorow zawsze lepiej sobie poczynał niż Lew, zarówno w szkole, jak i w towarzystwie. Wiedział, jak rozmawiać z ludźmi, wiedział, jak zdawać egzaminy, wiedział, kim chce być. Lew był zawsze marzycielem, niezdecydowanym, jaką drogą pójść, jak pokierować swoim życiem. Zawsze obawiał się popełnienia błędu.

Popełnił go tego mrocznego, śnieżnego popołudnia. W czasie gdy przez żenująco niesprawny system łączności telefonicznej przekazywano

Protorowowi informację o ujęciu Mincka, Lew poszedł do więzienia na Łubiance, żeby przesłuchać szpiega. Bez wątpienia chciał udowodnić młodszemu bratu, że było coś, co potrafi zrobić równie dobrze — i samodzielnie.

Nie udało mu się. Minck zdołał go jakoś obezwładnić i używając jako zakładnika, wydostać się z więzienia. Potem, jak rzeźnik, zabił Rosjanina.

Zostawili go w zamieci, bojąc się ruszyć ciało przed przyjazdem Protorowa. Kiedy po upływie wielu godzin wrócił do Moskwy, krwi zobaczył niewiele; zakrzepła na mrozie, zasklepiając ranę. Wciąż jednak w lewej skroni Lwa, tam gdzie trafiła kula, widoczny był ziejący otwór. Protorow nie chciał już oglądać tyłu głowy, wiedząc, że rana będzie o wiele gorsza niż w punkcie wlotowym. Celowo jednak obrócił ciało Lwa i wpatrywał się w obraz rzezi. Płatki śniegu przywierały do jego powiek przesłaniając widok. Wytrwale spoglądał na ciało brata, zarządzając jednocześnie oblawę na Mincka i towarzyszkę jego ucieczki, Tanię Władimową.

Być może właśnie wtedy Protorow pomyślał po raz pierwszy, że posiadanie rodziny rodzi zbyt wiele bólu. Może w tym właśnie momencie postanowił, że sam nie będzie jej miał. Poczucie zupełnego osamotnienia, straszliwej bezbronności było przygniatające. Przyłapał się na tym, że nienawidzi tego Amerykanina; nigdy nie sądził, że potrafi tak bardzo zniechęcić innego człowieka.

Sześć miesięcy później wyrwał swojego agenta „z uspienia”. Poleciał zabić żonę Mincka, która spała — sama i bezbronna — w domu położonym w sielskim Marylandzie. Wystarczył jeden strzał z bliska oddany w lewą skroń z pistoletu, który Protorow oraz Minck dobrze znali.

Wciąż jednak było mu mało. Wojna trwała nadal. Bez końca.

Protorow, samotny w swym sanktuarium, westchnął. Przesunął okulary na czoło, dłonią potarł twarz. Stwierdził, że jest spocona. Tengu, jego drugi agent w *ryu* Tenshin Shoden Katori, został zabity, ale kolejny agent Protorowa — ostatni w tym rejonie — czynił postępy.

W tym momencie rozległ się brzęczyk miniaturowego urządzenia rozszyfrowującego, gotowego na przyjęcie szyfru Alfa-trzy. Satelita miał mu właśnie znowu przesłać poufne informacje.

Croaker chwycił Alix za szczupły nadgarstek i mocno szarpnął. Usłyszał krótki, piskliwy okrzyk bólu i zaskoczenia. Z całej siły przetoczył ją na drugi koniec łóżka, w bezpieczne miejsce.

Jednocześnie wsunął dłoń pod łóżko, gdzie leżał pistolet i nie mierząc dokładnie, jednym strzałem zgasił światło w pokoju.

Teraz ciemności rozpraszał jedynie prostokąt światła sączącego się przez otwarte na korytarz drzwi. Do pokoju wpadł cień napastnika.

„Cholerny z niego byk” — pomyślał Croaker przyciskając wścibską głowę Alix do dywanu. Poderwał się w chwili, gdy poczuł jego bliską obecność.

Unióśł ramię i wymierzył mocny cios łufą pistoletu w kość policzkową; z satysfakcją poczuł, jak broń dosięga celu, rozcina skórę i mocno ociera się o kość.

Napastnik mimo silnego uderzenia nacierał dalej. Z wielką siłą na oślep uderzył Croakera, wytrącając mu pistolet z ręki. Broń przeleciała na drugi koniec pokoju i zniknęła w ciemnościach.

„Chryste — pomyślał Croaker — nie mamy teraz wyjścia”. Poczuł mocny cios w ramię. Na oślep kopnął w górę; nie trafił, kolano zetknęło się z goleniem napastnika, wymierzył ponownie, tym razem celnie, sięgając nogą pachwiny.

Usłyszał syk i jęk; ciężar, który go przyciskał, zelżał wystarczająco, aby mógł wyrwać się spod niego.

— Chodź! — krzyknął i chwycił niezdarnie dłoń Alix. Pociągając ją za sobą ruszył zalanym oślepiającym światłem korytarzem do drzwi prowadzących na schody.

Bieгли po żelbetowych stopniach, aż w końcu wypadli w łagodny mrok nocy. Samochód byłby najlepszym wyjściem, ale Croaker zostawił kluczyki w pokoju.

Rozejrzał się pośpiesznie. W pobliżu było niewiele osób, z wyjątkiem wejścia do hotelu, przy którym ustawiali się miejscowi mieszkańcy wchodzący do dyskoteki w hotelowym westybulu, jednego z nielicznych nocnych klubów w tym rejonie. Croaker pociągnął dziewczynę w tamtą stronę, chociaż z pewnością nie byli stosownie ubrani. Ludzie w strojach wieczorowych obserwowali ich nadejście raczej z rozbawieniem niż z niepokojem. Croaker od razu zrozumiał, że nie mają szans wejść do środka. Wyglądali jak żebracy na balu maskowym, skierował się więc w inną stronę. Pędził po wygiętym pochyłym zjeździe w kierunku drogi numer siedemdziesiąt, wymijając sznur powoli nadjeżdżających samochodów i spychając Alix dalej od światel reflektorów. Nie oglądał się, by sprawdzić, czy ściga ich Niebieski Potwór; zakładał najgorsze.

Jeżeli był dostatecznie zawzięty i — co Croaker musiał przyznać — dostatecznie sprytny, żeby śledzić ich przez całą drogę z Key West, nie byłby na tyle głupi, aby zgubić ich teraz.

Przebiegli przy żółtym świetle na drugą stronę sześciopasmowej drogi; samochody zaczęły już ruszać, kierując się ku zjazdom.

— Chryste — dysząc powiedziała Alix. — Dokąd idziemy?

Croaker nie odpowiedział. Pomyślał, że rozsądnie będzie pozwolić, by wierzyła, że on wie, co robi. Przed nimi wznosiła się przyciemniona bryła kompleksu handlowego — widoczne były jej zasłony i czarne cienie — niczym milczące, bezludne miasto w sercu ciemności.

Croaker poprowadził ją rampą wyjazdową; weszli w szerokie, nieskazitelne aleje sklepowych pasaży. Na kamiennej posadzce nie było słyhać ich kroków. Croaker czuł ulgę, bo był w gumowcach, ale Alix była boso i chociaż ze względu na pogodę było to nawet plusem, obawiał się ostrych przedmiotów, na które mogła nadepnąć. „Cóż — pomyślał — teraz nic już nie można poradzić. Musimy biec dalej”.

Zatrzymał się w głębi kompleksu. Choć oboje byli w dość dobrej formie, potrzebowali mimo wszystko chwili wytchnienia. Pierś Alix falowała z wysiłku i strachu. Rozglądała się dokoła szeroko otwartymi oczami. Sklepy z obuwiem, butiki z odzieżą, miejscowy sklep Searsa; nie kończące się rzędy szklanych wystaw z oszałamiającą różnorodnością towarów po obu stronach skuliły się — zamknięte i nieskore do pomocy.

— Co teraz zro...

Croaker szybko położył jej dłoń na ustach i powiedział do ucha:

— Żadnych rozmów. Dźwięk się rozniesie i sprowadzi go do nas jak drogowca. Dobrze? — Pokiwała energicznie głową i Croaker odsunął dłoń.

Rękawem otarł pot z twarzy, usiłując wyłowić chociaż szmer, ale nie słyszał nic poza odległym cichym szumem samochodów na drodze numer siedemdziesiąt.

Przymglone światło ze sklepowych wnętrz wzdłuż pasażu spływało im na ramiona gęstymi smugami. Lecz wokół nich nadal, niczym nieprzeniknione szpalery drzew, czaiły się cienie. Znajdowali się w gąszczu z metalu i szkła.

Alix chwyciła Croakera za ramię i zbliżyła usta do jego ucha.

— Na co my tutaj czekamy? — wyszeptwała. — Chodźmy stąd, zanim nas znajdzie.

Croaker toczył z sobą w myślach spór o to, czy powiedzieć jej prawdę. Wiedział, że prawdopodobnie lepiej będzie ukrywać ją przed Alix tak długo, jak to możliwe. Z drugiej strony ona tkwiła w tym równie głęboko i było rzeczą nieuczciwą utrzymywać ją w nieświadomości. Poza tym, jeżeli nie

będzie wiedzieć, może w ostatniej chwili uczynić coś głupiego i wszystko zepsuć. Przynął usta do jej ucha i cicho rzekł:

— Mam dla ciebie wiadomość. Twój poprzedni strażnik śledził nas przez cały czas i nie ma zamiaru zrezygnować. Nawet zakładając, że znaleźlibyśmy samochód i potrafiłbym go uruchomić, nie udałoby się nam go zgubić. Nie teraz.

Jej duże, przejrzyste oczy czytały w oczach Croakera. Zrozumiała.

— Nie! Już było jedno zabójstwo!

— Taak — westchnął Croaker — i będzie znacznie więcej, jeżeli go nie powstrzymam. — Spojrzał na nią. — Trzeba to zrobić, Alix. Wiesz o tym!

Po chwili spuściła z niego wzrok. Policzki miała mokre; usłyszał jej szept:

— Szkoda, że mnie uratował. Szkoda, że nie utonąłam tamtego dnia w Key West.

— Wcale tak nie myślisz — odparł machinalnie.

— Żebyś wiedział, że myślę! — wybuchnęła. Jej oczy błyszczały. — Co to za życie? Może mi powiesz...

Croaker pchnął ją z całej siły, aż przejechała na plecach po chłodnej kamiennej posadzce, i wtedy świst zmienił się w głośnie pang! rykoszetu. Dostrzegł miejsce, w którym kula wyłobiliła kawałki kamienia. Rzucił się za Alix; podniósł ją na kolana, potem na nogi i ciągnął za sobą pasażem. Skręcił w prawo i znowu w prawo. Dotarli do pogrążonego w mroku wejścia, gdzie oboje przycupnęli. Alix drżała i ociekała potem.

Croaker rozejrzał się, po czym znowu sięgnął po jej rękę. Ale dziewczyna pokręciła głową.

— Nie, nie mogę dalej uciekać. To nie ma sensu. Sam powiedziałaś, że wszędzie nas znajdzie.

— Wstawaj! — powiedział ostro.

Znowu pokręciła głową; złote loki przysłaniały jej twarz.

— To nic nie da. Nie mam już siły.

— Więc znajdź ją, na litość boską! — syknął, pochylając się i podciągając ją na nogi.

— Jestem zmęczona, Lew. — Miała przymknięte powieki. — Chce mi się spać.

Spostrzegł, jak znużenie ogarnia jej ciało, i zastanawiał się, czy tak właśnie się czuła, zanim rzuciła się tamtego dnia ze swej łodzi w turkusowe fale oceanu.

Chwycił policzki Alix w kleszcze swoich palców.

— Posłuchaj — powiedział zbliżając twarz do jej twarzy — będziesz spać, gdy ci powiem, żebyś spała, i ani chwili wcześniej!

— Chryste! — krzyknęła ze łzami w oczach — ty cholerny rycerzu bez swej damy! Nie rozumiesz, że nic mnie to już nie obchodzi?

— Ale mnie obchodzi! — Szarpnęła ją. — A teraz chodź! — Rzucili się w lewo, gdy następna kula ze świstem wbiła się w mur z prawej strony tuż za nimi.

— Po co to wszystko? — spytała, gdy biegli. — On ma przecież broń.

— Taak, zdążyłem zauważyć.

— Nie znoszę broni — rzuciła Alix.

Croaker nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Taak — odparł — ja również. Zwłaszcza wtedy, gdy jej nie mam. — Ale dziewczyna miała niestety rację. Niebieski Potwór miał nad nimi przewagę, której Croaker nie mógłby się przeciwstawić. Broń przeciwko gołym rękom — nieuczciwa walka. Ale co w końcu w życiu było uczciwe?

Gdy biegł, przypomniał sobie Nicholasa, który powiedział mu, że nigdy nie używa broni. Croaker wiedział jednak, że jego przyjaciel jest jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi na ziemi. Na czym w takim razie polegał jego sekret? Gdy zadał Nicholasowi to pytanie, ten tylko uśmiechnął się zagadkowo i rzekł: „Są sposoby”.

„Co on, do licha, przez to rozumiał? — zastanawiał się Croaker. — Z pewnością mógłbym skorzystać teraz z tych sekretów”. Gdy padł trzeci strzał, mijając go o włos, zbeształ siebie: „Pomyśl! Rusz mózgiem, który otrzymałeś w spadku po swoim starym!”

Wokół nie było nic oprócz kamienia, metalu i szkła. Co mógł... „Ach! Mam!” Nie było czasu, żeby zastanawiać się, czy to dobry czy zły pomysł, był jedynym, na który wpadł, a Niebieski Potwór był tuż za nim i zbliżał się, by go zabić.

Rzucili się za róg. Croaker puścił dłoń Alix i ruszył sprintem. Tuż za następnym zakrętem zatrzymał się i ściągnął przez głowę koszulę. Owinąwszy ją wokół lewej ręki uderzył w szklaną tafłę szyby.

Dźwięk tłuczonego szkła zaparł dech w piersi Alix; nadbiegła zza rogu.

— Co ty, u licha, robisz?

— Cofnij się! — rzucił, dając dłonią znak, by schowała się za niego. — Tak daleko, jak możesz, nie tracąc mnie z oczu. — Alix zrobiła, co jej kazał, a on ukląkł przeszukując błyszczące kawałki szkła. Gdzieś w mrocznym

wnętrzu sklepu rozbrzmiewał dzwonek alarmowy. Wiedział, że teraz nie ma innego wyjścia. Na scenie pojawi się policja, a w interesie ich obu było, by trzymała się od tej sprawy z daleka.

Croaker znalazł to, czego potrzebował, obydwie kawałki, jeden wąski i długi, drugi krótszy, postrzępiony. Z wielką ostrożnością umieścił mniejszy kawałek w prawej ręce, trzymając ostre jak brzytwa krawędzie z dala od wnętrza dłoni, po czym podniósł większy kawałek lewą, owiniętą ręką.

Przesunął się za wewnętrzny brzeg narożnego filaru i płasko przywarł do niego, z dala od jaskrawych kawałków stłuczonego szkła, wciąż tkwiących w okiennej ramie.

Nadeszła teraz chwila prawdy. Tak jak czynili wszyscy policjanci z telewizyjnych seriali, mógł wystawić głowę, aby zobaczyć, gdzie jest Niebieski Potwór. Wtedy prawdopodobnie przeciwnik odstrzeliłby mu ją; Niebieski Potwór nie używał ślepych naboju. Prawdziwe życie stwarzało problemy, którymi scenarzyści w Hollywood wydawali się nigdy nie zaprzętać sobie głowy.

— Hej, kolego! — zawołał ze swego ukrycia. — Zabawa skończona. Za chwilę będą tutaj gliny! Lepiej, żebyś był wtedy jak najdalej stąd!

— Możecie mi wszyscy skoczyć — dobiegł głos zza rogu i Croaker pomyślał: „Mam go!”, wyżejając słuch i cofając lewą ręką napiętym łukiem; mięśnie drżały z wysiłku w oczekiwaniu na błyskawiczne wyzwolenie energii, mózg potwierdzał istnienie tylko jednej szansy.

Potem wstrzymał oddech, błyskawicznym ruchem wysunął do przodu lewą nogę, rzucił się tułowiem w przód, odtrącając myśl o sobie jako celu; jego przedramię już szybowało z piorunującą szybkością, a owinięte palce puściły swój ładunek w najwyższym punkcie zakreślonego przezeń łuku, gdy nadany ruchem pęd, w połączeniu z siłą, zmienił kawałek szkła w połykającą pocisk.

— To tylko ty tak sądzisz, kolego! — wyrzucił z siebie ostrym krzykiem, dostarczając mózgowi Niebieskiego Potwora, w chwili najwyższego napięcia, podwójnego impulsu do analiz.

Spostrzegł zamazany obraz Niebieskiego, który odskoczył do tyłu na odgłos i widok tego, co się działo; kawałek szkła rozpadł się na dwie części na grzbiecie jego nosa.

Croaker nie miał czasu żałować, że nie wymierzył celniej. Krew spływała strumieniami po twarzy Niebieskiego Potwora. Uniósł rękę ku górze, próbując odzyskać zdolność widzenia. Lecz z jego słuchem i drugą ręką wycelowaną

w brzuch Croakera było wszystko w porządku, gdy w chwilę wcześniej usłyszał zbliżającego się przeciwnika. Strzelił raz, drugi, po czym błyskawicznie skierował lufę pistoletu w zbliżającą się głowę.

Croaker miał szczęście: pocisk przeleciał tuż za jego lewym uchem. Wytracony z równowagi impetem wystrzałów zatoczył się w chwili, gdy przekładał mniejszy kawałek szkła z prawej dłoni do lewej i w ten sposób stracił okazję do pierwszego pchnięcia. Był teraz blisko Niebieskiego Potwora, który już odzyskał zdolność widzenia; mógł sobie wyobrazić dziurę, którą kula magnum trzysta pięćdziesiąt siedem wyrwie w jego ciele. „Z wnętrzości dużo nie zostanie” — pomyślał.

Gdy palec przeciwnika zaczął naciskać spust, Croaker zapomniał o bólu rozdzierającym głowę i całą siłą woli sprawił, że odzyskał zdolność ruchu. Błyskawicznie zatoczył płaski łuk lewą ręką ponad wylotem lufy pistoletu, z całej siły zadając pchnięcie i szarpnięcie ostrzem w górę.

Ból, który go przeszył, sprawił, że wydał z siebie potężny jęk; niewyraźnie tylko poczuł, jak ciało i ścięgna ustępują pod naciskiem, który wywarł wbijając kawałek szkła w pierś Niebieskiego Potwora. Krew spływała mu z dłoni i mieszała się z krwią Jesse Jamesa.

Napierał na jego ciało, gdy pistolet wystrzelił niespodziewanie, odłupując z sufitu kawałek tynku. Uświadomił sobie, że coś ciągnie go za ramię, poczuł delikatny oddech na policzku, a w uchu usłyszał głos natrętny niczym pszczoła.

— Chodź! — błagała Alix, rozpaczliwie ciągnąc go za rękę. — O Boże, Lew, oni tu za chwilę będą!

Obrócił się ciężko. Miał jedynie mglistą świadomość tego, kim była i dlaczego niepokoiła go teraz, gdy był taki zmęczony i chciał tylko zamknąć oczy i... „Wstawaj!” — w jego myślach rozległ się krzyk. „Zabierz ją stąd, zanim będzie za późno! Za późno na co... Chcę tylko obrócić się, zamknąć oczy i... Na litość boską, nie zasypiaj!”

Był teraz na czworakach, krew spływała na czystą i błyszczącą posadzkę w arkadach. Alix szarpała go za ramię, ciągnęła zapamiętałe w górę. Pasaż zaczęło zalewać pulsujące szkarłatne światło, rozległy się dźwięki syren. Skręcił razem z dziewczyną, pozwalając, by wyprowadziła go z labiryntu; przystawał po drodze pragnąc, by usztywnione nogi ruszały się, próbując ignorować łomot w głowie, głuche i głośnie bicie własnego serca oraz cierpki, metaliczny smak w ustach, który przyprawiał go o mdłości.

Czerwień, czerń, czerwień; światło wirowało, aż czerwień zaczęła stopniowo blednąć, po czym poczuł na rozpalonych policzkach chłodny, niewiarygodnie delikatny nocny wiatr. Odzyskując przytomność umysłu, powiedział:

— Kluczyki. Alix, zdobądź te przeklęte kluczyki do samochodu!

Mangi obrócił w łóżku tułów ignorując bezużyteczne nogi. Wyciągnął w ciemnościach dłoń i dotknął szczupłego ramienia Chinki. Potrząsnął nią dość mocno. Pochylił głowę w stronę zasłony czarnych jak smoła włosów i wprost do ucha powiedział:

— Obudź się, śpioszku. — Usłyszał tylko chrapliwy oddech.

Odwrócił się od niej i usiadł na łóżku. „Dobrze” — pomyślał.

Odrobina białego proszku, pozbawionego smaku i zapachu, który wsypał jej do szampana, spełniła swe zadanie. Teraz nadszedł czas, by zabrać się do pracy.

Gdy szybko nakładał koszulę i spodnie, w willi panowała cisza. Buty i skarpetki zostawił na potem; z głębokiej kieszeni ukrytej w jedwabnych fałdach podszewki marynarki przełożył kilka małych przedmiotów do kieszeni spodni.

Przeszedł przez pokój pokryty wstęgami niebieskawego cienia, wziął laskę i ostrożnie otworzył drzwi. Na korytarzu było ciemno i cicho. Powoli i niezdarnie przesuwiał się, starając się nie myśleć o mocnych nogach atlety, które dawałyby mu w tej sytuacji przewagę.

Gdy dotarł do zamkniętych drzwi, za którymi Liu i wysoka dziewczyna zniknęły przed nie więcej niż piętnastoma minutami, zatrzymał się. Odkręciwszy smoka z białego jadeitu na końcu laski, nałożył na nią jeden z małych przedmiotów wyjęty z kieszeni. Wcisnął guzik, zerknął do wewnętrznego mechanizmu, z satysfakcją przyglądając się jego sprawnemu działaniu, i powoli, z ogromną ostrożnością obrócił klamkę znajdujących się przed nim drzwi. Zamarł, gdy smuga różowego światła lampy prześliznęła się przez wąską szparę między drzwiami a framugą.

Gdy nie zdarzyło się nic więcej, zaczął dalej popychać drzwi do środka. Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy dobrze ocenił reakcję Liu w chwili, gdy ten obserwował wysoką dziewczynę na werandzie. Mógł teraz dosłyszeć słaby i zmieniający się śpiewny rytm chińskiej mowy. Zaskakujące, że nie był to dialekt kantoński. Nangi miał wystarczająco dużo bieżących interesów w Hongkongu, by nauczyć się tego języka, nigdy bowiem nie czuł się pewnie pozostawiając swój los biznesmena w rękach tłumaczy. Tego dialektu jednak nie znał.

Nie spodziewał się wcale, że Liu będzie się nim posługiwał. Był komunistą z głębi łądu, gdzie dialekt kantoński na pewno nie był *lingua franca*. Ale te dwie dziewczyny z plaży z pewnością były miejscowe. Mogły oczywiście być z Chiu Chow albo jakiejś innej prowincji. Lecz mimo to...

Nangi ułożył swoją łaskę na dywanie i powoli wsunął ją przez szczelinę w drzwiach. Potem zaczął nasłuchiwać. Po długiej chwili wyłowił znane sobie słowo i poczuł przyspieszone bicie serca. Lecz był na tyle ostrożny, że czekał na następny wyraz lub zdanie, które przyniosłoby potwierdzenie jego domysłów.

Gdy w końcu padło, bezgłośnie westchnął. Mówili po chińsku, nie było żadnych wątpliwości. Było nieprawdopodobne, by Liu znalazł w Kolonii uliczkę, która mówiłaby jego ojczystym językiem.

Nangi, skulony niewygodnie w korytarzu, cierpliwie odczekał chwilę pełnego jęków zespolenia i zmęczenia będącego jego konsekwencją, aż wznowili rozmowę. Kiedy w końcu usłyszał miękki szelest prześcieradeł, wyciągnął łaskę. Ledwie dostrzegalna plama nagiej stopy zbliżyła się do drzwi, gdy zamykał je, zmuszając się do tego, by uczynić to powoli i nadzwyczaj ostrożnie, z obawy by żadna z będących wewnątrz osób nie odkryła tego ruchu.

W końcu wstał i przeszedł korytarzem na tyły willi. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Wcześniej, wieczorem, widać było gwiazdy, lecz teraz nadciągnęły chmury, przesłaniając ich blask. Powietrze było ciężkie od zbliżającego się deszczu. Nangi wyjął i zapalił papierosa. Wciągnął dym głęboko w płuca i wypuścił z długim westchnieniem zadowolenia, po czym rzucił niedopałek na piasek; zszedł po kamiennych stopniach schodów i przedostał się na drugą stronę krętej drogi.

W głębokim cieniu znalazł małe czerwone alfa romeo zaparkowane pod dwoma ogromnymi liściastymi drzewami.

— Zamarznieś na śmierć — rzekł czystym dialektem kantońskim.

— Co? — Kierowca samochodu odwrócił głowę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Nangiego.

— Za chwilę spadnie deszcz — ciągnął dalej Nangi. Gestem dłoni wskazał na samochód. — Lepiej podnieś dach.

Obserwowali się wzajemnie przez chwilę, jak para zwierząt mających przystąpić do walki o terytorium.

— Boję się, że wybrałeś niewłaściwy samochód do śledzenia.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł mężczyzna obraźliwym tonem.

Nangi pochylił się tak szybko, że tamten nie zdążył zareagować.

— Wiem, kim jesteś — rzucił pośpiesznie — a raczej czym jesteś. Albo wynajęli cię komuniści...

— Gardzę komunistami — wtrącił mężczyzna.

— W takim razie pracujesz dla Sato.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— To ja jestem tym, który ci ostatecznie zapłaci.

Białka oczu mężczyzny lekko zabłysły, gdy skierował je na Nangiego.

— Chcesz powiedzieć, że Sato nie zapłaci mi reszty?

— Chcę powiedzieć, że będziesz robił to, co ci od tej chwili każę, a ja nie poinformuję pana Sato o twojej nieporadności.

— O czym ty mówisz? — zaprotestował mężczyzna. — Czy myślisz, że te gady wiedzą, że tu jestem? Na pewno nie.

— Ale ja wiem — odparł Nangi — a ty zostałeś wynajęty, żeby właśnie mnie śledzić.

— Jeśli nawet to prawda, to co z tego?

— Zobaczmy, czy rzeczywiście jesteś taki dobry — powiedział Nangi odkręcając głowicę laski. Wyciągnął małą plastikową kasetę i trzymał ją w dłoni niczym bezcenny klejnot. — Czy mówisz po chińsku?

Mężczyzna spojrzał na niego i rzekł:

— Nie ma sprawy. Problemy to moja specjalność.

— „Twoja specjalność?” Cóż ty za książki czytałeś?

— Raymonda Chandlera.

„Och, Panno Święta! — pomyślał Nangi. — Jemu się chyba zdaje, że jest prywatnym detektywem”. Posłał swemu rozmówcy badawcze spojrzenie, zastanawiając się, czy może mu zaufać.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie w skórzanym kubelkowym fotelu i powiedział:

— Posłuchaj, daj mi tę taśmę, ja to załatwię. Chcesz ją mieć z samego rana, to ją dostaniesz. — Spojrzał w górę. — Bogowie czuwają. Popatrz, niebiosy mają się otworzyć. To pewne.

— W porządku — odparł Nangi, podjąwszy decyzję. Nie miał innego wyboru. Na tym etapie nie chciał angażować Alana Su i wydawało się, że nie ma innej możliwości. Podał mikrokasetę mężczyźnie. — Przynieś ją do mojego pokoju w hotelu „Mandarin” o siódmej. Czy dajesz mi wystarczająco dużo czasu?

Skinął twierdząco głową, po czym, jakby po namyśle, powiedział:

— Hej, panie Nangi, nazywam się Chiu Szczęściarz. — Białka jego oczu ponownie błysnęły. — Jestem z Szanghaju. - Moja rodzina posiada jedną trzecią magazynów w Sam Ka Tsuen i Kwun Tong. Prowadzimy restaurację

i kabarety dla turystów — wie pan, eleganckie lokale wokół Wan Chai z obsługą w toplesie. Handlujemy dywanami, brylantami, jadeitem. Jeśli nie pojawię się punktualnie, jedź do mojego ojca, Pak Tai Chiu. Mieszka w willi z dachem pokrytym zielonymi dachówkami przy Bellevue Road wychodzącej na Repulse Bay.

Nangi znał zwyczaje tych ludzi na tyle, by zrozumieć, jak wiele o sobie wyjawiał Chiu Szczęściarz.

— Przyjdiesz rano do pokoju numer dziewięćset jedenaście, Chiu — powiedział, gdy zaczęły spadać pierwsze krople deszczu — będę miał dla ciebie coś jeszcze do roboty. — Pokazał palcem. — A teraz podnieś lepiej dach samochodu, bo inaczej utoniesz za parę minut.

Dzwonek telefonu, dobiegający z głębi domu, choć stłumiony, przeszkodził w kontemplacji, w której pogrążyła ich ceremonia herbaty.

Do tej chwili w pokoju panowała idealna harmonia. Dwaj mężczyźni klęczeli na zielonkawożółtych trzcinowych *tatami*, obydwa w udrapowanych kimonach. Pomiędzy nimi znajdowały się starannie rozmieszczone przyrządy *chano-yu*: porcelanowy czajnik z dwiema dopasowanymi czarkami i packa. Prostopadłe do nich leżała pochwa z twardego drzewa, w której spoczywał *dai-katana* Nicholasa, *Iss-hogai*.

Na prawo od nich znajdowała się *tokonoma*. W smukłej, półprzezroczystej wazie tkwiły dwie peonie, kwiaty, które — Sato wiedział o tym — Nicholas uwielbiał. Nad pączkami kwiatów wisiał zwój z ręcznie wypisanymi następującymi słowami: *Bądź uparcie lojalny /Gdy inni pragną spełnić chwalebne posługi/ Skoncentruj się na czystości swych intencji /Gdy ludzie wokół ciebie pogrążają się w egoizmie.*

Tylko to było ważne w gabinecie. Połączenie sił promieniujących z tych słów i przedmiotów stworzyło aurę harmonii, która jest tak rzadka w życiu i do której dąży każdy człowiek. Obaj utracili poczucie doniosłości tej chwili, gdy zabrzmiał dzwonek telefonu, a potem wszedł Koten. Wykonał głęboki ukłon i czekał, aż jego pan uświadomi sobie jego obecność, to, że wtargnął i tym samym zburzył tę harmonię.

Sato uniósł głowę; jego oczy powoli odzyskiwały ostrość widzenia. On i Nicholas byli razem w Pustce, co zdarzyło się bardzo niewielu ludziom na tym niedoskonałym świecie, w jego burzliwej historii. Rytm bicia serca i rytm oddechu były wciąż niezwykle powolne. Był chyba w mistycznym

transie dobrze znanym i wysoko cenionym na Dalekim Wschodzie.

— Stokrotnie przepraszam, Sato-san. — Piskliwy i lekko komiczny głos Kotena, który dobiegał z wielkiego, poruszającego się z hałasem ciała, nigdy nie przestał bawić Sato. — Dzwoni człowiek, który nie chce się przedstawić. Musi z panem rozmawiać.

— Dobrze — odparł Sato lekko ochryplym głosem. Nicholas nie uczynił żadnego ruchu i Sato zazdrościł mu. Wstał i wyszedł z gabinetu za Kotenem.

W czasie gdy był sam, Nicholas powoli powrócił z Pustki. Trwało to dłużej niż w innych okolicznościach, ponieważ część jego osobowości nie chciała jej opuścić. Ogromna harmonia, której był częścią, wciąż wypełniała gabinet niczym poświata. Po pewnym czasie uniósł głowę i zaczął studiować słowa wypisane na zwoju wiszącym w *tokonomie*.

Były osobliwie niepoetyczne, a jednak pasowały do człowieka, którego Nicholas poznał w osobie Sato. Był mistrzem *kanryodo*, jednym z ostatnich prawdziwych samurajów-biurokratów. To smutne, lecz wkrótce miało zabraknąć dla niego miejsca na świecie. W miarę jak Japonia dążyła do współczesnego świata, wymierali ostatni mistrzowie *kanryodo*. Na ich miejsce przyjdzie nowa generacja: ukształtowani na wzór zachodni przedsiębiorcy, którzy rozumieją światową ekonomię, nie będący już wcale prawdziwymi Japończykami, lecz obywatelami świata. Japonia będzie ich potrzebować w nadchodzących dekadach — tych maklerów myślących perspektywicznie, analizujących trendy — jeżeli ma przetrwać swoją trudną młodość. Oni byli ludźmi, którzy na długo zapamiętają zasady Reagana i Mitterranda, gdy już od dawna nie będą pamiętali zasad Ieyasu Tokugawy.

Nie widząc, Nicholas wiedział, że Koten, olbrzymi *sumatori*, wszedł do gabinetu.

— Czy jest pan bliższy znalezienia mordercy?

Miał osobliwy, bezpośredni styl mówienia, który — przynajmniej poza *dohyo* — był odarty z grzeczności i tradycyjnych subtelności.

— Jeżeli Sato-san nie potrafi przypomnieć sobie wszystkich minionych zdarzeń, mogę chronić jedynie jego oraz Nangi-sana.

Koten nie odpowiedział. Nicholas odwrócił się i spostrzegł, że olbrzym przeszywa go gniewnym wzrokiem. Roześmiał się.

— Nie przejmuj się, będziesz miał jeszcze okazję, by użyć swych pięści. — Czuł pewną ulgę mogąc znowu swobodnie rozmawiać.

— Jeżeli jest pan dobry — powiedział Koten — będziemy razem pracować. Nikt nas nie pokona.

Nicholas nie powiedział słowa; Amerykanin na jego miejscu chwaliłby się swoim męstwem.

— Nikt nas nie pokona — powtórzył Koten. Potem, gdy usłyszał, że wraca Sato, wycofał się na korytarz.

Zachowanie starszego mężczyzny zmieniło się znacznie, gdy ponownie wszedł do gabinetu. Jego ociężałość zniknęła. Zastąpiło ją silne podniecenie, nad którym z trudem panował.

Błyskawicznie przeszedł przez pokój i usiadł blisko Nicholasa, przełamując barierę między gospodarzem i gościem.

— Mam wiadomości — rzekł cichym, lecz natrętnym głosem — dotyczące *Tenchi*. Oczywiście *keiretsu* uzyskała urzędową ochronę projektu, ale mówiąc między nami, zwerbowałem kilku członków Tenshin Shoden Katori, *ninja* takich jak pan, do pomocy w strzeżeniu naszej tajemnicy. — Przerwał na moment i rozejrzał się. Skinął głową i wstał.

Przeszli razem do ogrodu przez rozsuniętą *fusuma*. Pszczoły sfruwały na peonie. Szara siewka już dawno uciekła ze swego miejsca pod drzewem bukszpanowym. Słońce chowało się i wychodziło zza srebrzysto-pąsowych chmur.

— Niedawno zabito tam mistrza i ucznia. Teraz mój człowiek, który w *ryu* nazywa się Feniks, poinformował mnie, że właśnie wczoraj pozbawiono życia drugiego ucznia. Z tego, co mi mówił, wygląda, że do *ryu* przeniknęli szpiedzy.

— Szpiedzy? — jak echo powtórzył Nicholas. — W Tenshin Shoden Katori? Jest pan tego pewien?

Sato potwierdził skinieniem głowy.

— Lecz Feniks nie dzwonił z Yoshino. Jest na północy. Na Hokkaido. — Twarz Sato przybrała ponury wyraz. — Obawiam się, że rozpoczęła się ostatnia runda naszej walki z Rosjanami, Linnear-sanie. Miał pan zupełną słuszność co do ich zaangażowania w tę sprawę. Trochę trwało, zanim Feniks ocenił sytuację. Śmierć *jonina*; on był ich duchowym przywódcą. — Sato zadarł do góry głowę. — Czy znał go pan? Zupełnym przypadkiem nosił takie samo nazwisko jak bohater, o którym kiedyś rozmawialiśmy: Masahigi Kusunoki.

— Od czasu gdy byłem w Tenshin Shoden Katori, minęło wiele lat — odparł Nicholas.

Przez chwilę Sato patrzył na niego dziwnie, po czym wzruszył ramionami.

— Jego śmierć była zupełnie nieoczekiwana, na pewien okres w ich szeregach zapanował chaos. Feniks musiał użyć wszystkich swych umiejętności,

aby tak szybko zaprowadzić porządek. Wydaje się, że w tym czasie sowieccy agenci robili swoje.

Jego muskularne ramiona ugięły się jak pod niezmiernym ciężarem.

— Nie wolno nam dopuścić do infiltracji *Tenchi*, Nicholasie. Świadomość, że Rosjanie są tego tak bliscy, napełnia mnie przerażeniem. Jeżeli odkryją *Tenchi*, zdobędą siłę, aby nas — nas wszystkich — zniszczyć.

— Co się stało? — spytał Nicholas znacznie spokojniejszym głosem.

— Feniks podąża śladem jednego z ich agentów w *ryu*. Człowiek ten uciekł na północ ze ściśle tajną dokumentacją *Tenchi*. Jest teraz na Hokkaido. Feniks pozwolił mu uciec, chociaż w trakcie ucieczki agent zamordował jednego z jego uczniów. Sądzi, że doprowadzi go do miejscowej centrali sowieckiego wywiadu. Ale nie może pan sobie nawet wyobrazić, jak niebezpieczny jest ten manewr. Tego agenta t r z e b a powstrzymać wszelkimi środkami, zanim zdoła przekazać dokumentację.

„Wiktor Protorow — pomyślał Nicholas. — Muszę być u boku Feniksa, gdy przeniknie na teren bazy Rosjan. Sato odzyska swoje tajemnice, a ja dostanę Protorowa”.

— Gdzie dokładnie znajduje się teraz Feniks?

Sato spojrzał na niego.

— Rozumiem pańskie zamiary. Ale jeśli pan pojedzie, ja również będę musiał...

— To niemożliwe — odparł ostro Nicholas. — Z czysto taktycznych względów...

Sato uniósł dłoń.

— Przyjacielu — powiedział cicho. — Zbyt wiele morderstw zostało już tutaj popełnionych, abym mógł pozwolić, żeby to nadal trwało. Trzy ludzkie istoty — ludzie, których uważałem za przyjaciół oraz cennych współpracowników, niezbędnych w moim *kobunie* — umarli przeze mnie. To ciężkie brzemię dla każdego.

Gdy pan wyjechał, odbyły się nieoficjalne pogrzeby. Panna Yoshida była samotna, więc w jej przypadku nie było problemu. Ale pozostali — Kagami-san oraz Ishii-san — mieli rodziny. Oczywiście zastosują się one do moich poleceń, by trzymać policję z dala od tej sprawy. Nie potrzebujemy kręcących się tutaj funkcjonariuszy *Kempeitai*.

Nie podoba mi się to. Chcę, żeby ci ludzie mieli normalne pogrzeby w rodzinnej ziemi. Czy ich *kami* mogą być spokojne, zanim to nastąpi?

Nicholas pomyślał o popołudniu spędzonym z panną Yoshidą, kiedy klęczała nie opodal miejsca, gdzie pochowano jego matkę i ojca.

Postanowił, że przyjdzie na uroczystość, by zapalić laseczki kadzidła przed kamieniem nagrobnym i odmówić modlitwy na jej cześć i za spokój duszy.

— Wiem, dokąd to wszystko prowadzi — powiedział — i nie mogę na to pozwolić. Zostanie pan tutaj, w bezpiecznym miejscu.

Sato wybuchnął pustym śmiechem.

— Tak szybko zapomniał pan o *Wu-Shing*, przyjacielu?

— Właśnie dlatego jest tutaj Koten — odparł nieustępliwie Nicholas. — Czy wątpi pan w jego kwalifikacje?

— To nie ma nic wspólnego z Kotenem i kimkolwiek innym.

— Jestem odpowiedzialny za pańskie bezpieczeństwo, Sato-san. Tego właśnie pan chciał; dlatego składaliśmy ślubowanie.

Sato skinął ponuro głową.

— Prawdą jest to, co pan mówi, Nicholasie. Ślubował pan chronić mnie, a ja ślubowałam, że bez dalszych przeszkód dokonam fuzji naszych *kobunów*, ale na tym kończy się nasza przysięga. To ja ostatecznie decyduję o moim życiu i śmierci. Musi pan się z tym pogodzić, wie pan o tym.

Zamilkli. Para siewek poderwała się z krzewów i przeleciała obok Sato, pędząc ku chmurom. Wiatr wzmagął się i powietrze na powrót stawało się parne. „Jeżeli wiatr nie zmieni nagle kierunku, znowu spadnie deszcz, i to obfity” — pomyślał Nicholas.

— Zatem przysięga, która nas wiązała, jest zerwana.

Nicholas obawiał się, że był to rozpaczliwy manewr, który nic nie da.

— Może pan odejść. — Sato uśmiechnął się. — Proszę to zrobić. Nie będę miał panu za złe.

— Mogę pana zmusić do pozostania tutaj.

— I dokąd by pan poszedł, przyjacielu? Tylko ja wiem, gdzie Feniks nas oczekuje. Mógłby pan zwiedzić całą Hokkaido i nie znaleźć ani jego, ani sowieckiego agenta.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza.

— Zatem jednak zostanie pan ze mną?

— Nie mam chyba innego wyboru — odparł Nicholas.

— Dobrze. Zabierzemy ze sobą Kotena i polecimy na północ. Stamtąd wynajętym samochodem dotrzemy do celu.

— Którym jest? — spytał ostrożnie Nicholas.

— *Rotenburo*, gorące łaźnie na świeżym powietrzu. — Sato uśmiechnął się z nieklamana serdecznością. — Dlaczego nie? Przyda się panu chyba trochę relaksu!

W środku nocy przeraźliwie zadźwięczał telefon. Justine, która miała kłopoty z zaśnięciem, zerwała się z łóżka. Miała sucho w ustach i czuła ból w gardle, jakby walczyła z czymś albo bezustannie krzyczała przez sen.

Wyciągnęła rękę w kierunku nocnego stolika, na którym stał zegarek. „Chryste, jest pół do czwartej!” Podniosła słuchawkę, żeby przerwać to natrączywe dzwonienie. Usłyszała trzaski.

— Justine?

— Rick, co ty...

— Tylko mi nie mów, że zapomniałaś.

Przyłożyła dłoń do głowy.

— Nie...

— Haleakala. Drzemiący wulkan. Obiecałaś, że będę mógł cię tam zabrać.

— Ale jest trzecia nad ranem. Na litość boską, Rick...

— Jeżeli wyruszymy teraz, dotrzemy tam ze wschodem słońca. Wtedy właśnie należy być przy kraterze.

— Ale ja nie chcę oglądać wschodu słońca, ja...

— Przekonasz się dopiero, jak tam będziesz. Wstań, marnujemy cenny czas. Musimy tam być przed pół do szóstej.

Justine miała właśnie znowu zaprotestować, ale nagle poczuła się na to zbyt zmęczona. Wydawało się, że łatwiej będzie po prostu dotrzymać mu towarzystwa. „Poza tym — pomyślała — może będzie wesoło”.

Było zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Po pierwsze, już sam kręty podjazd po zboczu wulkanu był fascynujący. Do wierzchołka były dwie mile. W miarę jak wspinali się wyżej, zmieniał się krajobraz. Rick przestrzegł, by ubrała się ciepło: w spodnie, sweter oraz kurtkę, jeżeli ma. Idąc do samochodu w chłodnym, lecz balsamicznym powietrzu nocy, czuła, że przesadziła z ilością ciepłej odzieży. Mało prawdopodobne wydawało się, by w tym tropikalnym rajku było miejsce, w którym temperatura wahała się w granicach trzydziestu pięciu stopni Fahrenheita.

W miarę zbliżania się do wierzchołka, w miejscu gdzie palmy ustępowały miejsca kolczastym pustynnym kaktusom, a długie szpalery majestatycznych sosen bardziej pasowały do Maine lub Vermont, musiała podkręcić szybę i włożyć kurtkę.

W pobliżu krateru Rick włączył ogrzewanie. Minęli już teren porośnięty drzewami i wjechali na czarne pustkowie. Dawno temu potężne języki wypływającej z głębi ziemi lawy spływały tędy powoli w dół, zalewając wszystko na swej drodze. Teraz tu i ówdzie spod ciemnych kopców wyglądały odporne

na mrozy kępy trawy. Poza nimi nie było nic. Gdy samochód mijał kolejne zakręty, Justine spoglądała na faliste zbocza Haleakali schodzące aż do brzegu morza. Biegnąca łukiem plaża zaczynała właśnie migotać dziwnym fosforyzującym blaskiem.

Podczas długiego podjazdu nie odezwała się do Ricka ani słowem; siedziała skulona, jakby oczekiwała, że uderzy ją w twarz. Zanim wjechał na szeroki parking o czarnej nawierzchni, jej ciałem wstrząsały dreszcze. Złożyła to na karb niezwykłego zimna.

Gdy wysiedli, spostrzegła wyłaniające się niczym widma kształty: pajęczne sieci bram, wież oraz urządzeń elektronicznych do badań klimatycznych i sejsmograficznych.

Napisy nakazywały, by posuwać się powoli. Ostrzegały ludzi mających kłopoty z sercem, by w ogóle nie wspinali się tak wysoko. I rzeczywiście, gdy zaczęli iść, Justine zakręciło się w głowie, poczuła, że do płuc nie dociera odpowiednia porcja tlenu. Ostry wiatr szarpał nimi, porywał kawałki papieru, dodatkowo utrudniał oddychanie.

Doznała ulgi, gdy dotarli do schronienia. Był nim budynek zbudowany ze skał i kamieni, którego cała wschodnia fasada została wykonana z wielkich tafli szkła.

Z podobnego do orlego gniazda punktu obserwacyjnego patrzyli na martwy krajobraz kraterów Haleakali. Przypominał on bardziej krajobraz Księżyca, który widziała kiedyś na zdjęciu, niż cokolwiek, co mogła skojarzyć z planetą Ziemią. Bez punktu odniesienia trudno było ocenić odległość. Pięć mil sprawiało raczej wrażenie pięciu tysięcy jardów. Było to fantastyczne.

Ludzie zgromadzili się w tym małym domu, tak jak robili to przed wiekami Hawajczycy, aby obserwować wschód słońca. Legenda głosiła, że w tym właśnie miejscu słońce zostało schwytane, trzymane w roli zakładnika i zwolnione dopiero wtedy, gdy obiecało, że odtąd będzie wolniej przesuwać się nad Wyspami Hawajskimi, aby po brzegi wypełnić je swym światłem.

Niebo było zupełnie ciemne. Nic nie zwiastowało końca nocy, ale słońce zbliżało się i wszyscy czuli jego obecność w niemal fizyczny sposób.

I wtedy, niczym z hutniczego pieca, z krateru Haleakali wystrzeliła do góry jaskrawoczerwona iskra. Rozległo się zgodne westchnienie, gdy na świat przyszło światło — czyste, szczere i nieugięte. Było barwy nie znajdującej ziemskiego odpowiednika; Justine zaparło dech w piersiach. Czowała się tak, jakby przestało istnieć przyciąganie ziemskie i zrzuciwszy cumy miała za chwilę odpłynąć.

Po zniszczonej płaszczyźnie krateru pełzał błądy płomień. Długie, powłóczyście cienie, niewiarygodnie czarne, znaczyły powierzchnię lawy niczym świeżo wyżłobione szczeliny. Nie było szarości — jedynie czerń i biel.

Potem — nikt z nich nie wiedział dokładnie, kiedy się to stało — nad Haleakalę powróciło brylantowe światło, przy którym się narodzili i które tak dobrze znali i, jakby to był zaaranżowany przez człowieka pokaz, niezwykle widowisko skończyło się.

— Czy teraz wybaczysz mi, że wyciągnąłem cię z łóżka?

Justine i Rick opierali się o drewnianą poręcz. Pozostali sami na stanowisku obserwacyjnym. Słyszeli za sobą stłumiony odgłos uruchamianych silników. Samochody ruszyły w stronę ciepłych podmuchów morskiej bryzy.

— Jestem zmęczona — powiedziała. — Zabierz mnie z powrotem.

Na zewnątrz, na brzegu krateru, zobaczyła samotną parę. Szli przytuleni do siebie. Justine przystanęła, by ich obserwować; przyciągali jej uwagę. Kobieta, wysoka i szczupła, miała miedzianorude włosy ściągnięte w długi koński ogon. Mężczyzna był wysoki, muskularny, o ciemnych włosach. Kobieta poruszała się z gracją tancerki. Mężczyzna miał w sobie podobną miękkość, ale Justine dostatecznie długo żyła z Nicholasem Linnearem, żeby rozpoznać kolejnego przedstawiciela jego niebezpiecznej rasy.

— Czemu się tak przyglądasz? — Rick spojrział w tym samym kierunku, po czym błyskawicznie odwrócił głowę.

„Chcę tego” — powiedziała do siebie Justine, wciąż wpatrzona w obejmującą się parę. Stali skąpani w słońcu niczym bogowie. Palące łyzy cisnęły się jej do oczu. Pomyślała: „Nie rozplączę się na jego oczach, nie mogę”.

Odwróciła się i zesła szybko po schodach, a gdy dotarła do parkingu, z trudem łapała powietrze. Jakby dla kontrastu, tutaj wszystko wyglądało banalnie i nieinteresująco. Wsiadła do samochodu, zamknęła oczy i oparła głowę o szybę. Tuż poniżej poziomu parkingu Rick zatrzymał samochód i wysiadł.

— To srebrne miecze — powiedział. — Rosną jedynie w górach. — Wskazał na ogrodzony skrawek terenu; z ciemnej ziemi wyrastały pionowo ku górze dwie lub trzy rośliny. Zgodnie z nazwą ich kolczaste liście były srebrzystoszare. — Powiadają, że potrzebują dwudziestu lat, aby wydać kwiaty, a gdy tylko zakwitną, giną.

Gdy Rick wypowiadał te słowa, Justine wpatrywała się w piękne rośliny i mimo swego postanowienia nagle załapała się łzami. Z jej drżących ust wyrwał się rozdzierający szloch, opadła na fotel i tak siedziała z głową wtuloną w kolana.

— Justine, Justine.

Nie słyszała go. Myślała o tym, jak smutne było życie srebrnych mieczy, a potem oczywiście o tym, jak absurdalne było to stwierdzenie. Nie. To jej życie było smutne. Na pogrzebie swego ojca czuła tylko ulgę, delektowała się nią.

Ale teraz, gdy poznała prawdę, tęskniła za nim. Wychował ją na swój własny sposób, sądziła, że ją nawet kochał. Gdy odszedł, nie czuła żaloby, nie miała poczucia, że coś ubyło z jej życia. Tak przynajmniej myślała. Była taka mądra. Och, tak. A tak naprawdę była dziecinna. Nie potrafiła zrozumieć własnych uczuć, nie rozumiała uczuć innych. Dlatego właśnie nie mogła się na nic przydać Geldzie; Nicholasowi również.

Ale to nie była pora, by o tym myśleć. Jeszcze nie teraz. Była to chwila jej smutku, smutku małej dziewczynki, która tęskniła za tatusiem, która zawsze za nim tęskniła i która nigdy już nie będzie mogła mu powiedzieć, jak bardzo jest jej przykro, że razem nie spędzili czasu tak, jak należało.

Życie było niesprawiedliwe i świadomość tego przenikała ją aż do głębi. Nie potrafiła powstrzymać płaczu. Nie chciała. Jej żałoba była spóźniona, zarówno dla ojca, jak i dla oszołomionej i bezbronnej dziewczynki, którą była aż do tej chwili. Dokonywało się w niej przeobrażenie, w końcu pokonywała tę krętą drogę przez ciernie i osty oddzielającą dzieciństwo od dojrzałości.

Powoli, gdy pozwoliła, by długo powstrzymywany smutek przepłynął przez nią, gdy poczuła go całym sercem i duszą, zdruzgotana fizycznym niemal bólem, zaczęła dojrzewać.

Nangi leżał w swym łóżku w pokoju numer dziewięćset jedenaście, w hotelu „Mandarin” na wyspie. Z okien widział Victoria Harbour oraz, tuż za wieżą zegarową przystani Gwiezdnego Promu, południowy kraniec półwyspu Kowloon i wybrzeża Azji. Gdzieś daleko na północ, bez wątplenia w Pekinie, mieszkali szefowie Liu. Z nimi — z nim również — trzeba było postępować w rozsądny sposób.

Sądził, że głównym problemem jest czas. Nie miał go wiele i dopóki Chińczycy wiedzieli, że tak jest, trzymali go za gardło.

To, czego żądali za pośrednictwem Liu, było oczywiście nie do przyjęcia. Nie do pomyślenia była rezygnacja z kontroli nad własną *keiretsu*. Żeby dostać się na takie wyżyny, walczył przez całe dorosłe życie, pokonał masę przeszkód, licznych konkurentów, a wielu przeciwników posłał do grobu.

Czy było teraz inne wyjście poza podpisaniem tego dokumentu? Nangi zdawał sobie sprawę, że przekłety Anthony Chin uwikłał All-Asia Bank w transakcje, które przynosiły coraz większe straty, wiedział, że firma nie może dotrzymać swoich zobowiązań. Niczego nie cenił tak bardzo jak swojej *keiretsu*. Gdyby ją utracił, byłoby to znakiem *karmy*, pokutą za grzechy popełnione w poprzednim wcieleniu.

Mimo to był spokojny. Życie nauczyło go cierpliwości. Miał tę rzadką umiejętność znaną Japończykom jako *nariyuki no matsu*, wyczekiwania na odwrócenie biegu wydarzeń. Tak jak Gotaro dawno temu na ich prowizorycznej tratwie, tak teraz on miał wiarę: wierzył w Chrystusa i cuda, których dokonał. I ta wiara dawała mu pewność, iż nie utraci swojej *keiretsu*, że jego bystry umysł przeprowadzi go przez ten kryzys, tak jak przez wszystkie inne w jego życiu.

Nariyuki no matsu.

Pukanie do drzwi. Czy to znak, że zdarzenia zmieniają swój bieg? Czy też nieszczęścia będą nacierać na niego, aż zepchną go w otchłań rozpacz?

— Proszę wejść, otwarte — powiedział.

Pojawił się Chiu Szczęściarz. Zamknął za sobą drzwi. Ubrany był w zielonkawy garnitur z jedwabnej surówki. W świetle dnia okazał się człowiekiem wysportowanym i muskularnym. Miał ładną, dość wąską twarz oraz żywe i inteligentne oczy. „Ogólnie rzecz biorąc, Sato dokonał trafnego wyboru” — pomyślał Nangi.

— Jest punkt siódma — powiedział Chiu Szczęściarz stojąc przy drzwiach. — Pragnę zrobić dobre wrażenie... po wczorajszej nocy.

— Czy skończyłeś tłumaczenie?

Chiu Szczęściarz skinął potakująco głową.

— Tak, proszę pana. Było tylko miejscami trudne, ponieważ, jak pan bez wątpienia wie, w języku chińskim akcent jest znacznie ważniejszy od słów.

— Nie musisz być taki ceremonialny — powiedział Nangi.

Chiu Szczęściarz skinął głową i szczerząc zęby w uśmiechu, przeszedł przez pokój.

— Na taśmie było wiele momentów bez słów. Pewnego dnia, jeżeli bogowie mi pozwolą, poznam tę kobietę. Musiała urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą, jeżeli sposób, w jaki manipuluje tym śmierdzącym komunistycznym sukinsynem, może stanowić jakąś wskazówkę.

— Pozwoliłem sobie zamówić śniadanie dla nas obu — powiedział Nangi, z pomocą rąk zsuwając nogi z łóżka. — Usiądź i dotrzyмай mi towarzystwa, dobrze? — Zaczął zdejmować małe talerzyki z podgrzewacza i ustawić je na stole.

— *Dim sun* — mruknął Chiu Szczęściarz.

Nangi zauważył, że tradycyjne chińskie śniadanie serwowane u Japończyka wywarło na nim wrażenie. Młody mężczyzna usiadł na jednym z obitych satyną krzeseł obok stołu i wziął pałeczki.

Podczas jedzenia Chiu Szczęściarz mówił, o czym dowiedział się z nagrania.

— Przede wszystkim chciałbym się zorientować, ile pan wie o naszym towarzyszu Liu.

Nangi wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że znam podstawowe fakty. Nie jestem w Hongkongu kimś obcym, ale nie mogłem liczyć na wiedzę prezesa mojego banku, Alana Su. Nie jest wtajemniczony w to, co tu robimy. Chcę, żeby tak było aż do samego końca. — Nangi przerwał na chwilę, porządkując myśli. — Liu ma silną pozycję w Kolonii Korony Brytyjskiej. Jego rozliczne interesy na Wyspie i Kowloonie przysporzyły Hongkongowi mnóstwo pieniędzy: transport morski, bankowość, poligrafia... Sądzę, że jedna z jego firm posiada większość lokali w Kwun Tong.

Chiu potwierdził skinieniem głowy, wsuwając do ust krewetkę. Żuł ją i wyrzucał z siebie szybkie, urywane chińskie słowa:

— Tak, rzeczywiście. Ale czy wiedział pan również, że jest szefem syndykatu, którego własnością jest „Frantan”?

— Kasyno gier hazardowych w Makau?

— Dokładnie. Komuniści uznali, że najwygodniej jest pracować pieniądze za pośrednictwem „Frantan”, ponieważ pozwala im to zamieniać złoto na dowolnie wybraną walutę bez potrzeby udzielania odpowiedzi na kłopotliwe pytania. Niektórzy z tutejszych *tai-panów* robią to samo, chociaż nie we „Frantan”.

Mózg Nangiego pracował zawzięcie, rozważając możliwe warianty. Zaczął już wyczuwać, że sprawy przybierają inny obrót.

— Towarzysz Liu i ta kobieta, Soczysta Pien, są od wielu lat kochankami, to jasne. — Chiu przesunął w ustach wieprzowy rożek, żując go ze smakiem i mówiąc jednocześnie dalej: — Ten taplający się w błocie robak wymyślił dla niej tak wiele kwiecistych określeń, że zakręciło mi się w głowie. Ma dość gorące serce.

— A ona? — zapytał Nangi.

— Ach, kobiety — odparł Chiu Szczęściarz tonem, który tłumaczył wszystko. Odsunął na bok puste talerzyki, ustawił przed sobą pełne. Chwytał butelkę sosu sojowego i z wigorem potrząsnął nią nad talerzem z kłuskami. — Z mojego doświadczenia wynika, że z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Rodzą się ze skłonnością do oszukiwania, tak jak jeleń rodzi się z

parzystymi kopytami. Oddają się oszustwu z taką łatwością, jakby robiły sobie fryzurę. Czy pan nie ma podobnych doświadczeń?

Nangi nie odpowiedział; zastanawiał się, do czego zmierza młody człowiek.

— No cóż, ja mam — powiedział Chiu tak, jakby Nangi wtrącił swój komentarz. — A ta nie jest wyjątkiem.

— Czy kocha tego komunistę?

— O, tak. Sądzę, że go kocha. Chociaż nie potrafię pojąć, jakie nadzieje wiąże pan z tym zawszonym sierocym capem. Lecz sądzą, że to, co ona do niego czuje, nie ma żadnego znaczenia. — Opróżnił kolejny talerz i przysunął sobie następny. W ruch poszedł sos sojowy i pasta z chili. — A to dlatego, że jest dla mnie oczywiste, iż jeszcze bardziej kocha pieniądze.

— Aaa — mruknął Nangi. Poczul, że sytuacja się odwraca. — A gdzie zaspokajają to palące pragnienie? U naszego przyjaciela Liu?

— Tak, właśnie u niego. — Chiu potwierdził skinieniem głowy. — Rozwinęła w sobie zamięłowanie do słodczy. Ten zżerany syfilisem pies lubi robić jej prezenty. Ale obawiam się, że nie jest tak szczodry, jak życzyłyby sobie nasza Soczysta Pien.

— Więc wypuszcza się z domu.

— Tak mi powiedziano.

Nangi był bliski gniewu; stąpał po cienkiej linii.

— Kto wie, czym się zajmujesz?

— Nikt oprócz pana. — Wreszcie skończył jeść. Odsunął od siebie ostatni talerz. Jego twarz błyszczała od tłuszczu i potu. — Ale coś, co powiedziała do Liu, sprawiło, że zasięgnąłem informacji. Soczysta Pien mieszka w Mid-Levels, przy Po Shan Road. Ten teren należy do Triady Green Pang. — Wyciągnął białą jedwabną chustkę i starannie wytarł twarz. Uśmiechnął się szeroko. — Tak się składa, że mój Kuzyn Numer Trzy jest bardzo wysoko notowany w Green Pang.

— Nie chcę mieć długów wdzięczności wobec kogokolwiek z Triady Green Pang — powiedział Nangi.

— Nie ma sprawy — odparł wylewnie Chiu. — Kuzyn Numer Trzy zawdzięcza swój awans w Green Pang mojemu ojcu. Z radością pomoże. Bez żadnych zobowiązań z pańskiej strony.

Nangi pomyślał, że dalsza rozmowa z tym człowiekiem przyprawi go o kulturowy szok.

— Mów dalej — powiedział.

— Wygląda na to, że ktoś jeszcze oprócz towarzysza Liu uprawia to pachnące poletko.

- Któż taki?
- Nie jestem cudotwórcą. Potrzebuję trochę czasu, aby to sprawdzić. Starannie zacierali ślady. — Rzucił Nangiemu chytre spojrzenie. — Kuzyn Numer Trzy i ja musimy dokonać w nocy wizji lokalnej.
- Czy Green Pang musi być w to zamieszana?
- Nie mam wyboru. To ich teren. W Mid-Levels nie mogę ruszyć palcem nie informując ich o tym.
- Nangi skinął głową. Dobrze znał potęgę triad w Hongkongu.
- Co takiego powiedziała Soczysta Pien, że zacząłeś się tym zajmować?
- Redman — odparł Chiu Szczęściarz. — Charles Percy Redman. Wymienila jego imię. Zna go pan?
- Nangi myślał przez chwilę.
- *Tai-pan* morskiego transportu, czy tak? Brytyjczyk. Jego rodzina pochodzi z Hongkongu.
- Tak, to Redman — powiedział Chiu. — Ale prawie nikt nie wie o tym, że jest agentem rządu Jej Królewskiej Mości.
- Redman — szpiegiem? Panno Święta! — Nangi był szczerze wstrząśnięty. — Ale jaki on ma związek z Soczystą Pien? Czy ona naciąga go w jakiś sposób?
- Na to chyba wygląda, prawda?
- „To wszystko jest bardzo interesujące — pomyślał Nangi — ale w jaki sposób może mi pomóc w starciu z komunistami? Zaczyna brakować czasu. Jeżeli do szóstej wieczór nie dam Liu telefonicznego potwierdzenia, umowa jest nieaktualna. Nie mam kapitału, All-Asia upadnie i w końcu upadnie również *keiretsu*”.
- Czy jest coś jeszcze? — zapytał.
- Nic — dopóki nie wśliznę się do łóżka Soczystej Pien i nie zobaczę, co ma między nogami.
- To, co wszystkie — zauważył zgryźliwie Nangi. — Muszę coś mieć przed szóstą.
- Dziś wieczorem? — Chiu otworzył szeroko oczy. — Nie da rady, szefie. Pien jest w domu i nigdzie nie wychodzi. Wysłała *amah* po zakupy. Myślę, że przygotowuje nocny deser dla swojego przyjaciela. Jutro wczesnym raniem, to wszystko, co mogę zrobić. Przykro mi.
- Nangi westchnął głęboko.
- Obawiam się, że na pewno znacznie mniej niż mnie.

Noc. Krople deszczu bębniły wokół nich. Niebo było czarne i nieprzeniknione; jedynie drobny skrawek, na którym księżyc w pełni sunął upiornie niczym twarz dawnego kochanka, miał perłowszary odcień. Ciepła woda falując lekko obmywała ich nagie ciała. Światła żółtych lampionów kołyszących się na drzewach odbijały się w wodzie jasnym blaskiem. Para, która unosiła się wokół nich, rozpraszała je, tworząc wspaniałą poświatę.

Podwójny pas sztucznych świateł, zakrzywiony niczym sznur lśniących pereł wokół szyi egzotycznej afrykańskiej księżniczki, prowadził w kierunku czarnego, garbatego cienia wznoszącego się nad pofałdowanym terenem. Za nim musiało znajdować się morze, bowiem Nicholas już teraz czuł jego słonawy posmak.

Sato poruszył się obok Nicholasa, robiąc wokół delikatne fale.

— Niech pan powie, czy ten widok nie jest jednym z najpiękniejszych w świecie i nie sprawia, że Japonia jest wyjątkowa — powiedział cicho.

Nicholas spojrział w ślad za jego gestem i zobaczył urwiska stromo opadające ku Pacyfikowi. Na falującym łonie oceanu rytmicznie kołysały się maleńkie pomarańczowe latarnie zwisające z dziobów i ruf łodzi, którymi rybacy wypłynęli na połów kałamarnic.

— Wydają się tak małe i nieuchwytnie jak świetliki — powiedział Nicholas. Oczy mu się zamykały. To był długi i ciężki dzień, pełen niepokoju o życie przyjaciela. A teraz gorąca woda czyniła cuda, jego napięte ciało rozluźniało się; ścięgnięta karku i ramion stawały się wiotkie, ustępowało napięcie nagromadzone podczas dnia.

Nie oznaczało to, że obawy związane z wyrażeniem zgody, aby Sato pojechał z nim, zniknęły zupełnie. Ale będąc tu i wiedząc, że Koten strzeże *rotenburo* od frontu, czuł się pewniej niż na początku.

Sato rozkoszował się błogim ciepłem. Wyciągnął długie nogi w łagodnie wirującej wodzie i z zadowolenia westchnął głęboko. I właśnie wtedy poczuł, że coś miękkiego i ciepłego uderza z dziwnym uporem o jego lewą łydkę.

Pochylił się wyobrażając sobie, że jest żurawiem szybującym nad rwącym nurtem wąskiego ujścia rzeki do morza. Jego palce chwyciły coś, co początkowo uznał za pęk morskich wodorostów. Zaciekawiony, powoli pociągnął do góry. Poczuł opór.

Deszcz zelżał. Pędzące chmury stały się widoczne; jarzące lampiony oświetlały ich kłębiące się kształty. Chmury rozsunęły się teraz i chłodny, opalizujący blask dziobatego księżyca zwiędził zarysy tego, co Sato wyciągał z parującej wody.

Jego mięśnie naprężyły się z wysiłku i musiał posłużyć się drugą ręką,

mimo że Nicholas pośpieszył mu z pomocą. Monstrualny ciężar osunął się pod wodę, na jego nogi.

Powoli, niczym widmo, wynurzał się z głębi; Nicholas szarpnął ostro i wydał z siebie jęk.

— O, Buddo! — wyszeptał Sato. Jego ręce trzęsły się tak bardzo, że krople, niczym deszcz, pryskały z podnoszonego ciała, spadały z wielkiego tygrysa wytatuowanego wokół jednego ramienia i spływającego po muskularnych plecach; wyciągnięte szpony jego tylnych łap wbijały się w kręgosłup. Poruszone ciało stwarzało złudzenie, że kolorowy tatuaż ożył.

— Feniks, co oni z tobą zrobili? — powiedział cichym głosem Sato.

Akiko myślała o obietnicy złożonej Saigo. Albo, dokładniej mówiąc, jego *kami*.

Obróciła się na swym *futonie*, przeciągając ręką po oczach. Czerwone światło rozproszyło ciemność. *Giri*. Wiązał ją niczym stalowe kajdany. Nie po raz pierwszy żałowała, że jest Japonką. Jakże wolni muszą czuć się Amerykanie lub Anglicy nie odczuwający *giri*. Akiko wiedziała, że gdyby nie miała poczucia *giri*, nie byłaby nim związana. Ale była Japonką. W jej żyłach płynęła krew samurajów. Nie, nie krew osławionego Ofudy. Wybrała to nazwisko z chwilą osiągnięcia pełnoletności z tego samego powodu, z jakiego Justine wołała nazywać się Tobin zamiast Tomkin; pragnęła ukryć swą przeszłość.

Lecz czy był kiedykolwiek taki czas, gdy myślała o sobie jak o Akiko Shimadzie? Nie знаła nawet nazwiska swojej matki. W *Fuyajo* używano jedynie imion, a te częstokroć nie były prawdziwe. Ikan. Czy matka nosiła to imię od urodzenia? Czy przybrała je w *Fuyajo*? Czy też — co było równie prawdopodobne — nadali je ludzie, którzy kierowali Zamkiem Który Nie Zna Nocy?

Włożyła ręce między uda, obejmując łono. Wciąż czuła drżenie, rozszerzenie wewnętrznych tkanek, które wywołał Nicholas. Nigdy już nie będzie taka jak przedtem. I, co było przerażające, nie była pewna, czy chce taka być.

Cóż zatem stanie się z jej przysięgą? Zemsta tak bardzo ukształtowała jej życie, nadała mu sens wtedy, gdy myślała, że nie ma żadnego. Bez zemsty kojącej duszę i dającej pocieszenie mogłaby zwiędnąć i umrzeć. Ci, którzy wygnali ją z *Fuyajo*, od dawna nie żyli, pogrążyli się w bezkresnym śnie tej nocy, której zawisła nad nimi jej zemsta; byli starymi ludźmi i ich śmierć nie stanowiła zadośuczynienia.

Nie mogła nic poradzić na ich długowieczność; według niej widzieli w swym życiu zbyt wiele dni. Mimo wszystko zemściła się.

Życie musi mieć jakiś sens. Jej celem była zemsta. W swym poprzednim wcieleniu musiała być kimś złym, skoro jej *karma* w tym wcieleniu była tak bezlitosna.

Nicholas Linnear zagroził teraz tej harmonii. Zdawała sobie z tego sprawę od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła go w Jan Jan. Stopił serce, które — jak sądziła — było z granitu i lodu. W swej arogancji myślała, że jest poza zasięgiem miłości.

Myliła się.

Gdy płakała na *futonie* w pustym domu swego męża i zdobywcy, błagała Amida Buddę jedynie o zwolnienie z obowiązku oraz śmierć. Myśl — o, Buddo! — świadomość, że potrafi kochać jak każdy inny śmiertelnik, napełniała ją przerażeniem. Nadała swojemu życiu pewien kierunek, wierząc w określoną prawdę o samej sobie.

Lecz teraz ból, który czuła i który przenikał do głębi jej serce, ilekroć myślała o Nicholasi Linnearze — a więc bezustannie, spalał ją w ogniu objawienia. Poprzysięgła bowiem sobie, że go zniszczy.

Myślała o tym, by złamać swe przyrzeczenie, pozwolić, by wokół niej zapanował spokój. Marzyła o odroczeniu wyroku.

Ale wtedy rozsunęła nagie uda i spojrzała na delikatne wnętrza swego łona. Po obu stronach wiły się ziejące ogniem, rogate smoki, fantastycznie wykonane wielobarwne tatuaże.

Wiedziała, że dla niej nie ma spokoju ani miłości. Kyoki naznaczył jej duszę piętnem równie mocnym jak ciało. Nie było nadziei na odroczenie wyroku.

Zaznała już wytchnienia, chwili ciszy podczas burzy, i w tym czasie rozkoszowała się radością innego życia. Była związana *giri*, duszą i ciałem. To, co się zaczęło, musiało zostać doprowadzone do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Raz jeszcze pomyślała o Saigo, gdy silny i przystojny stał na leśnej polanie na Kyushu, a promienie słońca muskały jego ramiona i srebrzyły włosy. „Jakże jego obecność zmieniła moje życie” — pomyślała.

Wstała i szła przez pogrążony w ciszy dom. Już teraz wydawał się wymarły. Grube smugi słonecznego światła w poszukiwaniu wejścia odbijały się od zamkniętych okien. Ale to był dom umarłych; słońce nie miało już nad nim władzy.

Akiko sunęła z pokoju do pokoju, jakby utrwalając po raz ostatni w swych myślach każde miejsce i każdy przedmiot. Dotykała wszystkiego, wszystko przesuwiała. W ten sposób natknęła się na miniaturowy magnetofon,

który służył Kotenowi do podsłuchiwania rozmów jej męża.

Gdy przewinęła taśmę i wcisnęła klawisz „play”, usłyszała wszystko to, co Feniks powiedział Sato.

Deszcz marszczył powierzchnię *rotenburo*, uderzał w głowy, rozpryskiwał się na ramionach. Żaden z nich jednak nie czuł tego.

Bursztynowe światła łodzi rybackich mrugały w oddali wśród ulewy, gdy Nicholas i Sato holowali zwłoki Feniksa, powoli wyciągali je z rozgrzanej wody.

— Amido! — wyszeptał Sato. Wśród szmeru deszczu pośpiesznie wydoستاł się z basenu, zakrywając krocze częścią ubrania; w mroku i wilgoci poszukiwał następnego.

Najszybciej, jak mógł, powrócił do miejsca, w którym *ninja* leżał rozciągnięty obok *rotenburo*, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i szeroko rozrzuconymi ramionami. Sato położył prostokątny skrawek materiału na intymnej części jego ciała.

— Tak się nie godzi — wymamrotał przykucnąwszy obok Nicholasa. W pobliżu nie było nikogo; deszcz wystraszył ludzi. — Tak nie można umierać.

— Nie on o tym decydował — odparł Nicholas i wskazał dłonią. — Niech pan spojrzy. — Dziura ziejąca czernią zniekształcała tył głowy Feniksa. — Tego nie zrobił samuraj.

Sato ze smutkiem spoglądał na zwłoki, białe i wzdęte, opluwane sztorowym deszczem.

— To mogła być egzekucja dokonana przez KGB — powiedział odrobinę niepewnym głosem. — Miałem kiedyś kuzyna pracującego w *Kempeitai*. Wiedział wszystko o tych sprawach i wiele mi wyjawiał. Mózg przestrzelony na wylot — to w ich stylu.

— Ktokolwiek to zrobił — zauważył Nicholas — musiał być naprawdę dobry. Ten człowiek był mistrzem *ninjutsu*.

Sato ukrył twarz w dłoniach.

— Miał dla nas informacje. Być może stał się nieostrożny. Był pewny, że Sowietci nie wiedzą o jego pościgu.

Musiał zostać tutaj zaskoczony. Inaczej nigdy by nie zginął. To nie mogło się stać w otwartej walce. Oni byli tutaj, czekali na niego. — Sato uniósł głowę. Jego zaczerwienione oczy wyrażały zdumienie.

Odpowiedź, której właśnie miał udzielić, nie sprawiła Nicholasowi zadowolenia.

— Może jest zdrajca w pańskiej *keiretsu*, a może jeszcze bliżej. Wewnątrz pańskiego *kobunu*.

— To niedorzeczne — odparł Sato. — Nikt z mojego *kobunu* — a b s o l u t n i e n i k t — nie wiedział, dokąd jądę. Feniks zadzwonił do domu. Tylko pan tam był, Akiko...

— I Koten.

— Koten? — Czy Sato zrobiły się okrągłe. — Och, Buddo, nie! — Potem zastanowił się. — Był w pobliżu podczas trzech lub czterech ostatnich telefonów Feniksa. — Potrząsnął głową. — Ale nawet jeśli, robiłem wszystko, by mieć pewność, że jestem sam podczas naszych rozmów.

— Chce pan powiedzieć, że nie mógł podsłuchiwać?

— No cóż, nie. Chcę powiedzieć... — Sato uderzył pięścią w otwartą dłoń. — Koten jest mistrzem *sumai*, najstarszej odmiany jego sztuki: walk *sumo*. Feniks znał go i ufał mu. — Wzniósł ku niebu oczy. — *Muhon-nin!* — wykrzyknął.

Ze stygnącego ciała Feniksa powoli unosiła się w górę para, krążyła między nimi i wydawało się, że skręcony wielobarwny tatuaż, który pokrywał ramię i plecy, unosił się razem z nią niczym jedyna, wciąż żywa jego część.

— Zapłaci za to! — powiedział Sato. — Wie, dokąd zaprowadziły nas Feniks. Zmuszę go, żeby nam powiedział!

Zanim Nicholas zdołał go powstrzymać, Sato poderwał się i pobiegł. Poza tarasowato wznoszącym się terenem *rotenburo* zniknęły światelka rybackiej floty i teraz tylko ciemność usiłowała pograżyć ich w swym wirze. Ukośne strugi deszczu zamazywały światła lampionów kołyszących się na drzewach wokół basenu; niektóre z nich już zgasły, stłumione przybierającym na sile wiatrem.

— Sato-san! — biegnąc zawołał Nicholas. Na próżno. Wiatr porywał słowa, a on i tak nie zamierzał słuchać głosu rozsądku. *Tenchi* był dla niego zbyt ważny; nie było czasu na ostrożność.

Nicholas pędził przez otwartą przestrzeń między drzewami kamforowymi, które rosły wzdłuż ścieżki prowadzącej do basenu. Wokół rozlegało się tylko wycie wiatru i dźwięk mocno uderzającego o ziemię deszczu.

Nicholas skoncentrował się, gdy skręcił do słabo oświetlonej szatni. Koten, mistrz *sumo* oraz jeszcze straszliwszego *sumai*, potrzebowałby nie więcej niż trzech sekund, aby pozbyć się Sato, tak więc Nicholas był bardzo za niepokojony.

Tym tylko można było wytłumaczyć fakt, że do ostatniej chwili nie usłyszał delikatnego dźwięku; dopiero ruch cienia dostrzeżony kątem oka był tym, co go zaalarmowało.

W samą porę; okręcił się wokół osi i uchylił, wykonując obrót w prawo. Usłyszał furkot ruchliwego owada i krótki podmuch wiatru w chwili, gdy przelatywał obok. Ciche t a n k tuż za nim, po lewej stronie, wskazało miejsce, z którego wykonano rzut *shurikenem*. *Ninja!* Oznaczało to, że pogromca Feniksa, *muhon-nin*, który uciekł z Tenshin Shoden Katori, wciąż był tutaj. Więc nadal istniała szansa, aby uratować *Tenchi* i nie dopuścić do niego Rosjan!

Nicholas szedł za głosem intuicji. Gdy ruszył za swoim przeciwnikiem, napięte mięśnie błyszczały od kropel deszczu i potu. Chciał jak najszybciej zbliżyć się do niego, aby zniweczyć przewagę mającego długi zasięg *shurikena*.

Krażył w labiryncie korytarzy *rotenburo* przypominającym tunel; sunął, a czasami czołgał się na brzuchu, stale jednak pamiętał o tym, by rytm ruchów czynić rwanym i nierównym. Dwukrotnie słyszał, jak *shuriken* ze świstem spada blisko jego ciała. Wzmógł czujność. Ale sytuacja była zła i pogarszała się w miarę upływu czasu. „Gdzie jest Sato?” — pomyślał. Świadomość jego nieobecności rozpraszała uwagę, a w walce każda chwila dekoncentracji była niebezpieczna.

Wsunął się za róg metalowych szafek ustawionych w szeregu; myślał o tym, by dotrzeć do swojej szafki, do swego *dai-katana*, gdy poczuł spadający na ramię cios. Przeklinając swą nieuwagę, pośliznął się do przodu na wilgotnej posadzce; zdawał się tracić równowagę. Ogromny zbliżający się cień przesunął się tuż nad nim.

Nicholas skręcił tułów i błyskawicznym ruchem uniósł prawe ramię; grzbiet jego usztywnionej w łokciu ręki wbił się w ciało i kość przeciwnika. Usłyszał głuchy jęk i jednocześnie jakiś ciężar runął na lewo od niego. Obrócił się, zgięty w kolanach i kostkach, użył stylu chryzantemy, by przywrócić siłę korpusowi swego ciała. Na postać, która skuliła się pod osłoną szafek, spadł grad jego ciosów.

Z satysfakcją poczuł, jak jego ręce głośnie wałą w ciało wroga; zadał całą serię uderzeń. Nagle otrzymał cios w bok głowy, a gdy ponownie sięgnął dłoń, leżąca postać zniknęła.

Wstał chwiejąc się; jego zmysły poszukiwały tropu. Instynktownie ruszył *getsumei no michi* i odnalazł ducha swojego przeciwnika. *Ninja* oddalał się od Nicholasasa. „Dlaczego?”

Wtedy poznał odpowiedź i poczuł w sercu skurcz niepokoju. Wyrzucając z siebie okrzyk *kiai*, który wstrząsnął murami *rotenburo*, Nicholas, wiedziony panicznym strachem, popędził mrocznym wnętrzem.

Sato stwierdził, że wewnątrz *rotenburo* jest opustoszałe. „Gdzie jest Koten? Gdzie jest ten *muhon-nin*? — pytał samego siebie, a gniew trawił go niczym płomień. Zaciśnął zęby, czuł się zdradzony i to uczucie sprawiło, że adrenalina napłynęła do jego krwi.

Wypadł na zewnątrz, w deszczową noc. W pobliżu nie było nikogo, nawet właścicieli. Pragnął wykrzyknąć: „Koten! Zabiję cię; będziesz ginął powoli, tak żebym mógł obserwować twoją twarz, gdy będzie odpływać z niej życie”.

Wbiegł na parking. Pod latarniami pozostały dwa lub trzy samochody. Otarł dłonią oczy. Wszystkie były puste. Wtedy jego wzrok spoczął na wynajętym wozie, którym przyjechali tutaj z lotniska.

„Koten!”

Siedział w królewskim bezruchu, suchy pod oceanem deszczu. Sato bez namysłu pobiegł w stronę samochodu, pośliznął się na mokrym asfalcie o mało nie skręciwszy karku. Na chwilę zatkało mu dech w piersiach. Podniósł się i resztę drogi pokonał długimi susami.

— Koten! — wykrzyknął. Chwycił chromowaną klamkę i gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Rozległ się ostry trzask, tak wyraźny jak trzask suchej gałęzi pękającej na leśnym podłożu, i noc wybuchła ognistą kulą pomarańczowo-purpurowych płomieni. Samochód poderwał się w górę niczym balon i rozpadł na gorące, poskręcane kawałki metalu oraz drobne jak szpilki odłamki klejonej szyby. Wybuch natychmiast rozszarpał gumowy manekin umieszczony na przednim siedzeniu.

Po głośniejszym armatni wystrzał eksplozji wśród szalejącej burzy wzbił się ku niebu pióropusz gęstego czarnego dymu.

Ciało wyglądało okropnie, jak powalone zwierzę, rzucając głęboki cień na otaczające kamienie. W pobliżu, niczym gwiazdy, połyskiwały kawałki szkła; przypominały malutkie tęcze.

Trzech umundurowanych ludzi z policji w Raleigh City stało w pobliżu; robili notatki. Czwarty, siedząc w otwartych drzwiach wozu policyjnego, rozmawiał przez radio.

Dwa samochody zatrzymały się z piskiem opon z tyłu. Wysiedli z nich policjanci i zaczęli ustawiać bariery przed gromadzącymi się grupkami gapiów.

Sierżant Harry Saunders skończył rozmawiać przez radio z kapitanem, rzucił mikrofon na fotel i wysiadł z wozu. Jego twarz przybrała surowy wyraz, gdy powoli, spokojnym krokiem wracał do swych trzech kolegów.

— Równie dobrze moglibyście spalić te notesy — powiedział, gdy się zbliżył. — Wasze notatki nie przydadzą się do niczego.

— Co przez to rozumiesz? — spytał Bob Santini, nadal gryzmołąc w swoim notesie.

— Za chwilę ktoś tu przyjedzie, żeby przejąć śledztwo. Kapitan mówi, że teraz to już nie nasza sprawa.

Santini uniósł głowę i spojrzał groźnie na Saundersa.

— Chcesz powiedzieć, że zabito człowieka, a my tak po prostu zostawiamy to innym?

Saunders wzruszył ramionami.

— To zabawne, bo zadałem kapitanowi to samo pytanie. — Twarz mu stężała. — I wiesz, co mi powiedział? Bez względu na to, co byśmy zrobili, nic by to nie dało. — Wymierzył palcem w kierunku zwłok. — Ten biedny skurczysyn nie ma odcisków palców, żadnego życiorysu. Jest niczym, dużym, okrągłym zerem.

— To tajniak — stwierdził Ed Baine. — To zaczyna być ciekawe.

— Cóż, zainteresuj się czymś innym — odparł Saunders — ponieważ, gdy się stąd zwiniemy, ani nasze żony, ani twoja dziewczyna nie mogą wiedzieć nic o tym, co tutaj zaszło.

— O, cholera — z udawaną urazą rzekł Spinelli — żadnych rozmów do poduszki. To co ja mam potem robić?

— Rób to, co zawsze robisz, palancie — rzucił Baine. — Obróć się na drugi bok i śpij.

Saunders odwrócił głowę.

— Skończcie z wygłupami — powiedział *sotto voce* — mamy gościa.

Wszyscy odwrócili głowy i ujrzeni idącą pasażem postać w prochowcu. To, co zobaczyli, nie spodobało się żadnemu z nich.

— O, Chryste Panie — rzucił półgłosem Spinelli — to jakaś pieprzona baba.

— Kto tu dowodzi, panowie?

— Sierżant-detektyw Harry Saunders, proszę pani — odpowiedział Saunders, robiąc krok naprzód.

— Spocznij, sierżancie — powiedziała z poważnym wyrazem twarzy. — Nie mam zamiaru rzucić się na pana. — Szybko rozejrzała się dokoła. — Czy dotykano tutaj czegoś?

— Nie, proszę pani.

— Leży tak, jak go znaleźliście? Dokładnie?

Saunders potwierdził skinieniem głowy, po czym przelknął ślinę, zły na siebie za to, że zaschło mu w gardle w jej obecności.

— Czy mogę spytać, kogo pani reprezentuje?

Odwróciła się.

— Może pan o to spytać swojego kapitana, sierżancie Saunders. Może on chętniej zaspokoi pańską ciekawość.

Saunders zacisnął zęby, powstrzymując się od kąśliwej uwagi, gdy Spinelli posłał mu z daleka afektowany uśmiech.

— Sierżancie. — Klęczała teraz obok zwłok. — Pańska pomoc nie będzie mi już więcej potrzebna. Może pan i pańscy ludzie wycofacie się do barier i pomożecie kontrolować tłum. Wezwę was w razie potrzeby.

— Tak jest — odparł Saunders z przesadną grzecznością i odwróciwszy się gwałtownie, dał znak głową pozostałym trzem, którzy w milczeniu ruszyli za nim pasażem centrum handlowego do miejsca, w którym były zaparkowane ich błyskające czerwonymi światłami wozy; kroki policjantów niesły się słabym echem.

Gdy odeszli, Tania Władimowa utwierdziła się w swoich przypuszczeniach co do tożsamości ofiary. Ciało było rzeczywiście ciałem Jesse Jamesa. Szybko rozłożyła mały zestaw przyrządów i zabrała się do zdejmowania odcisków palców z pokrwawionego kawałka szkła, które wciąż wystawało z piersi Jamesa. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na rozważanie przyczyn tak złego obrotu spraw. Lecz nie musiała wcale analizować sytuacji, żeby wiedzieć, co było ich przyczyną.

Szaleństwem było pozwolić, by Alix Logan żyła. Szaleństwem i — z punktu widzenia bezpieczeństwa — zaniedbaniem. „Ale mężczyźni są słabi — pomyślała — nawet mężczyźni tak potężni i inteligentni, jak C. Gordon Minck”; przecież to Minck był tym, który upierał się, by zachować Alix przy życiu, wbrew energicznym protestom Tani. I nie robił tego z przyczyn humanitarnych, ale dlatego, że regularnie kochał się z nią, latając w tajemnicy do Key West, w czasie gdy oficjalnie żeglował swą łodzią po Chesapeake. Alix Logan, niczym Szeherazada, omotała Mincka, a czyniąc to, odsunęła dzień swojej egzekucji.

Pożałujsta, ostańcie na swojom mieście, gospodin Linnear. Proszę pozostać na swoim miejscu, panie Linnear.

Spostrzegł, jak z mroku wyłonił się wylot lufy — mroczny i niewiarygodnie duży.

— Jeżeli uczyni pan jeden ruch, zastrzelę pana.

Nicholas nie zdradzał znajomości rosyjskiej mowy i zrobił krok w kierunku broni. Noc eksplodowała po raz drugi: bryła asfaltu z jękiem podrywała się do góry tak blisko, że jej odłamki niczym żądła kłuły jego kostki i golenie.

— Wiem, że rozumie pan, co mówię *gospodin* Linnear. Następny strzał oderwie panu głowę.

Na lewo od Nicholasasa leżały skręcone pozostałości wynajętego samochodu. Dym snuł się wokół nagiego szkieletu niczym wypuszczone na wolność węże.

Kiedy Nicholas usłyszał stłumiony wybuch, skurcz ściągnął jego ciało w reakcji zwierzęcia walczącego o swe życie. Wyśliznąwszy się w mrok nocy, zastał gasnące płomienie pożaru. Czerniałe kawałki Seiichiego Sato tliły się na asfalcie w trzech różnych miejscach. Krople deszczu były w zwęglone ciało i spalony metal, spływały czarnym strumieniem na nawierzchnię parkingu.

Natychmiast ukrył się w cieniu cedrowego okapu *rotenburo*. Rosjanin, mający bystry wzrok i jeszcze czulszy słuch, i tak go odnalazł. Nicholas podejrzewał, że był człowiekiem, który dokonał egzekucji Feniksa, gdy Koten uczynił go niezdolnym do obrony.

Trzymał jeden z najnowszych modeli kałasznikowa, AKL-1000, krótki dwulufowy karabin, który miotał pociski przeznaczone dla żywych celów. Był tak mały, że można było posługiwać się nim jedną ręką. Nicholas nie był w stanie przeciwstawić mu się w żaden sposób. Wyszedł więc z cienia w strugi deszczu.

— Tak lepiej — powiedział głos, wciąż po rosyjsku. — Nie muszę teraz zgadywać, gdzie pan jest.

— Z czymś takim rzeczywiście wystarczy tylko zgadywać.

— Właśnie.

Nicholas widział go teraz. Był wysokim, barczystym mężczyzną — najprawdopodobniej żołnierzem, sądząc z postawy i sposobu, w jaki się poruszał — w długim przeciwdeszczowym płaszczu spiętym czarnym pasem. Nie miał kapelusza i Nicholas wyraźnie widział jego twarz w rozlewającym się ostrym świetle lamp: haczykowaty nos, brwi, które w późniejszym wieku staną się krzaczaste i zdominują dość przystojną twarz, szeroko rozstawione bladoniebieskie oczy.

Rosjanin uśmiechnął się nieznacznie.

— Interesują mnie inteligentni ludzie... bez względu na ich ideologiczne dewiacje. — Pochylił głowę w formalnym ukłonie. — Piotr Aleksandrowicz Rusiłow.

— Spodziewałem się raczej Protorowa. — W tej chwili Nicholas miał do dyspozycji tylko słowa i zamierzał wykorzystać je do maksimum.

Twaz Rusiłowa spoważniała, znikł jej przyjazny wyraz.

— Co wiesz na temat Protorowa?

— Skąd wiedziałeś, że znam rosyjski? — skontrował Nicholas. — Wy-
mieńmy informacje.

Rosjanin splunął, robiąc ruch swoim AKL-1000.

— Nie jesteś w stanie się targować. Przesuń się bliżej światła.

Nicholas uczynił tak, jak mu kazano. Wyczuł za sobą ruch w drzwiach budynku i w chwilę później pojawił się Koten. Zmienił się. W ską-
pym świetle jego już i tak ogromny brzuch sprawiał wrażenie, jakby po-
większył się jeszcze bardziej, a ramiona były niezwykle szerokie, powięk-
szone nienaturalnym mięśniem. Potem, gdy Koten wyszedł spod ociekają-
cego okapu, Nicholas spostrzegł, że z jego ramion zwisa czyjeś ciało.

Stawiając drobne kroki, z łatwością przemieszczał się ze swym ciężarem;
był poza polem widzenia Rusiłowa. W końcu niczym pies myśliwski ułożył
ciało u stóp Rosjanina.

— *Ninja* odszedł bezpowrotnie. — Słuchanie Ko tena, gdy mówił po ro-
syjsku, wywoływało osobliwe uczucie. — Ten człowiek — wskazał na Nicho-
lasa — uderzył go o jeden raz za dużo.

Rusiłow nie spojrzał nawet w dół.

— Czy znalazłeś to?

Koten wyciągnął ciasno zwinięty ceratowy woreczek. W jego ogromnej
pięści wyglądał mikroskopijnie.

— Upuścił to, gdy umierał — powiedział, po czym roześmiał się piskli-
wie, widząc wahanie Rosjanina. — Proszę, weź. — Wysunął go w otwartej
dłoni. Był równie mały jak przedtem. — Deszcz wymył go do czysta.

Rusiłow wolną ręką szybko wsadził zwój do kieszeni. „A oto *Tenchi*” —
pomyślał Nicholas. Pamiętał słowa Sato: „Jeśli odkryją *Tenchi*, zdobędą
siłę, aby nas, nas wszystkich, zniszczyć”. Czym był *Tenchi*, że poznanie
przez obce mocarstwo jego tajemnic mogło doprowadzić do wybuchu woj-
ny? Nicholas wiedział, że musi to odkryć. I to szybko.

Koten przesunął spojrzenie swych ciemnych oczu na Nicholasa i spytał:

— Czy mam się nim teraz zająć?

— Trzymaj się od niego z daleka — ostro odparł Rusiłow.

Koten spojrzał na niego groźnie.

— Właśnie go upokorzyłeś, Piotrze Aleksandrowiczu — powiedział Ni-
cholas.

— Jesteście obaj zbyt niebezpieczni, aby ustawiać was naprzeciw siebie.

— Czyżby? — Ta wymiana słów zaczynała go wciągać. Skąd, u licha, ten

agent KGB wiedział o nim tak dużo? — Z pewnością nie możecie mieć mnie w swoich kartotekach. Jestem zwykłym obywatelem.

— Och? — Rusiłow uniósł ciemne brwi. — Co w takim razie tutaj robisz?

— Sato-san i ja jesteśmy, byliśmy, zarówno przyjaciółmi, jak i partnerami w interesach.

— I to wszystko. — Głos Rosjanina był pełen ironii.

Nie było sensu dłużej rozmawiać w ten sposób.

— Ta bomba w samochodzie nie była chyba przeznaczona wyłącznie dla Sato. Nie mogłeś mieć żadnej pewności, że to właśnie on będzie przy samochodzie, gdy otworzą się drzwi.

— Jeżeli uszedłeś cało, tym lepiej. Kiedy zdobyliśmy to —dotknął kieszeni, do której wrzucił pakunek — żaden z was nie był nam potrzebny. Gdyby ktoś przeszkodził naszemu agentowi...

— Feniks albo ja...

— Och, sądzę, że Koten znalazłby jakiś sposób, żeby cię powstrzymać. Ale, tak jak mówiłem, gdyby ktoś przeszkodził naszemu agentowi, musieliśmy wydać na was wyrok.

— Jeżeli chcesz żyć — zauważył Nicholas — dobrze byś zrobił, gdybyś zastrzelił mnie teraz.

— Mam taki zamiar.

— Zatem nigdy nie poznasz zmian, których dokonaliśmy ostatnio w *Tenchi*.

— My? — Rusiłow po raz pierwszy sprawiał wrażenie niepewnego.

— Jak myślisz, dlaczego Tomkin Industries dokonuje fuzji jednego ze swoich przedsiębiorstw z Sato Petrochemicals? Zapewniam cię, że nie tylko dla czystej przyjemności.

— Kłamiesz — odparł Rosjanin. — Nic o tym nie wiem.

„Oczywiście, że nie wiesz — pomyślał Nicholas — ale pewności mieć nie możesz. I jeśli nie doprowadzisz mnie do Protorowa, może się to okazać poważnym błędem. Czas szybko mija; nie miejsce teraz na pomyłki”.

— Więc jest jednak coś, o czym nie wiecie. — Część jego szkolenia dotyczyła sztuki przemawiania. Tak jak *kiai* stosowany jest jako wojenny okrzyk, aby przerazić i w pewnych wypadkach sparaliżować przeciwnika, tak istniała jego subtelniejsza odmiana, *ichi*. W tym wypadku oznaczała „pozycję” ze względu na to, co posługujący się nim mógł uzyskać akcentem i intonacją. Była niezmiernie trudna do opanowania. To, w połączeniu z faktem, że na *ichi* często oddziaływały inne czynniki, będące poza kontrolą

walczącego, czyniło ją prawdziwie ginącą sztuką. Akutagawa był, między innymi, nauczycielem *ichi* i dostrzegł w Nicholasie zdolnego i pełnego dobrej woli ucznia. — Zacząłem już sądzić, że gospodin Protorow jest wszechwiedzący. — Pomyślał, że *ichi* mogła uratować mu teraz życie.

— Zabij go — warknął Koten. — Zastrzel go teraz albo pozwól, że zabiję go dla ciebie.

— Milcz — rzucił Rusiłow, przez cały czas nie spuszczać oczu z Nicholasasa. Zadarł głowę. — Podejdźcie tutaj, towarzyszu Linnear — powiedział, gdy nad ich głowami przetoczył się ze wschodu na zachód piorun. Krople deszczu, posrebrzone przez światła, uderzały w nich. — W końcu spełni się wasze życzenie.

A Nicholas pomyślał: „Protorow!”

JESIEŃ-ZIMA 1963 ROKU

- WIOSNA 1982 ROKU

Oto jak Akiko uratowała życie Saigo i jak on odplacił jej tą samą monetą. Jesień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku była zimna i ponura, pełna niezwykle obfitych opadów deszczu, deszczu ze śniegiem, a nawet śniegu — przedwczesnego i mającego barwę srebra — który umierał na ziemi niczym wyrzucona na brzeg ryba.

Na Kyushu, dokąd Sun Hsiung wysłał Akiko na następną fazę jej szkolenia, farmerzy pracowali ciężko, stojąc na pokrytych plamami drewnianych drabinach; rozwijali delikatne zwoje lnianej gazy na swych cennych drzewach, aby uchronić je przed surową ręką zimy.

Niezwykły był widok farmerów zajmujących się tym o tak wczesnej porze roku i, podobnie jak nieoczekiwana niepogoda, źle wróżyło to na nadchodzącą zimą; na wsi mówiono szeptem o jej spodziewanej surowości od czasu, gdy lato uleciało z dnia na dzień niczym dym spalonego drewna.

Mgła spowiła tę część Kyushu tak starannie, że Akiko po przyjeździe nie mogła dostrzec ani góry Aso, ani kominów rozległego kompleksu przemysłowego położonego w dolinie na północny zachód od miasta.

Natychmiast znienawidziła Kumamoto. Kiedyś, w czasach feudalnych, miasto mogło mieć pewien urok, lecz w dobie potężnego gospodarczego skoku niebieskawa patyna zanieczyszczeń przemysłowych pokrywająca stare budynki przywodziła tylko wspomnienie tego, jak cichym zakątkiem było dawniej.

Mimo to Akiko pogodziła się z pobytem w szkole *Kanaku na ninjutsu*. Jej symbolem było koło, w którym tkwiło dziewięć czarnych diamentów. Pośrodku znajdował się ideogram *kanji* wyrażający *komuso*. Gdy ujrzała go, wiedziała, co oznacza *Kuji-kiri*. Czarne *ninjutsu*.

Miała trudności, mimo osobistej pieczęci Sun Hsiunga na jej liście polecającym. *Sennin*, człowiek o zaciętej twarzy, niemal chorobliwie chudy,

pozwolił, by czekała przez pół dnia, zanim wezwał ją do swej izby.

Później niezwykle wylewnie ją przeproszał. Akiko nie potrafiła niczego wyczytać z jego oczu, nawet zwykłej iskry, która odróżniała ludzi od mniej wrażliwych ziemskich stworzeń. I klęcząc przed nim na trzcinowej *tatami*, zaczęła odczuwać w końcu smutek; potrzebowała trochę czasu, aby go dokładnie określić. Z zaskoczeniem odkryła, że tęskni za Sun Hsiungiem i częścią swej osobowości żałowała, że opuściła jego przytulny dom.

A jednak istniało silniejsze, bardziej naglące pragnienie, które wyciągnęło ją z wygody i ciepła. Jej *karmą* było być tutaj teraz, wiedziała o tym i nie podawała tego w wątpliwość. Pozostała jej jedynie akceptacja.

Sennin ze swej strony pogardzał nią od pierwszej chwili i w duchu przeklinał jej poprzedniego nauczyciela za to, że powoływał się na swoje przywileje w *ryu*. Nie było mowy o tym, aby ją odesłać, chociaż *sennin* gorąco tego pragnął.

Stwierdził słusznie, że jego jedyną nadzieją jest to, iż trening i życie tutaj będą dla tej kobiety zbyt surowe, zbyt wyczerpujące, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Wzdrygnął się i usiłował nie myśleć o jej obecności w *ryu*, nieuniknionym rozluźnieniu dyscypliny i rytuałów, jakie spowoduje jej *wa*.

Nawet teraz wyczuwał osobliwie kobiecy wpływ jej ducha, doświadczał go niemal jak bolesne naruszenie zespolenia sił, nad którego doskonaleniem on oraz ludzie mu podlegli pracowali tak długo i z takim trudem. Dlatego też uśmiechnął się najżyczliwiej, jak tylko potrafił, i krzycząc w głębi duszy z rozkoszy, powierzył ją opiece ucznia, który, w najgorszym razie, wypędzi ją z Kumamoto.

Sennin obserwował bez drgnienia powiek, jak Akiko kłania się ceremonialnie i wstaje. Gdy spoglądał na wycofującą się dziewczynę, uśmiechnął się do siebie; w myślach rozważał najlepszą z możliwości dotyczących losu nowej uczennicy: Saigo ją zniszczy. Nie dosłownie, rzecz jasna, bowiem gdyby tak się stało, *sennin* straciłby twarz wobec Sun Hsiunga, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie, nie. O ile znał choć trochę swoich uczniów, dokonał trafego wyboru. Saigo był opętany przez osobliwego i nieco przerażającego demona, który tkwił w nim tak głęboko, że *sennin* zrezygnował już z prób odprawienia egzorcyzmów.

Niech „Nawiedzony”, jak wielu *senninów* nazywało Saigo, wygna niepożądaną kobietę; niech to ona dokona tego wyboru. W sposób, który nikomu wokół nie przyniesie ujmy. Tak, żeby *sennin* nie został obarczony winą przez

Sun Hsiunga, a dziewczyna mogła z honorem powrócić do spraw, do których najlepiej się nadawała: do ceremonii parzenia herbaty i, być może, układania kwiatów.

W chwili, gdy Akiko podeszła doń w *dojo* i powiedziała o jego zadaniu, Saigo zrozumiał, jak niewielkimi względami musi darzyć go *sennin*. „Pomoc uczeniocy — pomyślał ponuro — to praca wyrzutka”. Rzucił jej pełne nienawiści spojrzenie. Wzbierał w nim gniew i oburzenie.

Akiko natychmiast wyczuła, że skierowano ją do paszczy lwa. Jej *wa* skurczyła się pod wpływem zetknięcia z lodowatą niechęcią promieniującą z Saigo. Wiedziała, że aby przeżyć, musi najpierw pozyskać go sobie, a potem, kolejno, zrobić to samo z każdym człowiekiem w *ryu*.

Większość czasu tego popołudnia spędziła obserwując go, gdy zabrał ją na obchód *ryu*, które okazało się państwem w państwie, tajemniczym *dojo* pośrodku przemysłowego miasta, odzianym w szaty brudno-brązowego i pozbawionego okien magazynu.

Gdy skończyli, w pobliżu nie było innych uczniów i *senninów*.

— Chcę, żebyś została tutaj, gdy ja wyjdę załatwić swoje sprawy. — Akiko skinęła przyzwalająco. — Nie odzywaj się, gdy mnie nie będzie, a zwłaszcza wtedy, gdy wrócę.

— Co się dzieje?

Saigo bez słowa ostrzeżenia wymierzył jej mocny cios w policzek. Akiko zatoczyła się do tyłu i upadła na bok. Saigo stał nad nią z szeroko rozstawionymi nogami, zupełnie rozluźniony.

— Czy chcesz mi zadać jakieś pytanie? — powiedział drwiącym głosem, z odcieniem zjadliwości, który sprawił, że Akiko wzdygnęła się. Nie odezwała się i nie poruszyła.

Chrząknąwszy z zadowoleniem, odwrócił się i wyszedł.

Kiedy została sama, natychmiast pograżyła się w *shinki*. Wymagało to wyłączenia *tandenu* — części nazwanej przez pewnego mistrza drugim mózgiem — układu sterowania swoimi odruchami. W ten sposób odizolowała się od miejsca, w którym przenikał ją palący ból. Po chwili intensywnego skupienia nie czuła go już. Wstała powoli, wpatrując się w drzwi, przez które wyszedł Saigo.

Wyczuła oczywiście, jak jego duch przeszywa ją na ułamek sekundy przedtem, nim złowieszczą emanacja przekształciła się w fizyczne działanie. Mogła z łatwością uskoczyć przed jego ciosem, ale cóż dobrego by to przyniosło? Gniew Saigo podsyciłby się tylko, on sam ruszyłby za nią z jeszcze większą zjadłością. Poza tym rozumiała, że był człowiekiem tak niepewnym własnej męskości, iż musiał dominować fizycznie nad ludźmi ze swojego

otoczenia, zarówno mężczyznami, jak i kobietami. Gdyby kiedykolwiek miała się do niego przystosować, musi najpierw doprowadzić do tego, aby okazał jej swoje naturalne skłonności. Dopiero wtedy mogła obrać strategię, a potem go ujarzmić.

Saigo zniknął na kilka godzin. Przez ten czas niebo pociemniało zupełnie; dzień wypalił się niczym resztki gromnicy. Była pora kolacji i Akiko poczuła, że jest głodna. Ponieważ w pomieszczeniu nie było jedzenia, bezszelestnym, miękkim krokiem weszła do *dojo*, otworzyła torbę i ubrała się w jednolicie czarne *gi*. Czterdzieści minut poświęciła medytacji, koncentrując się na sobie, medytacji, która doprowadziła ją ostatecznie do *shinki kiitsu*, zespolenia duszy, umysłu i ciała, które jest tak istotne w dotarciu na sam szczyt w każdej sztuce walki. Czowała, jak brzemień wszechświata gromadzi się w jej podbrzuszu. *Shitahara*.

Zaczęła oddychać. Wdech: *jitsu* — pełnia. Wydech: *kyo* — pustka. *Atakuj dokładnie w chwili, w której wyczuwasz kyo w swoim przeciwniku* — mawiał Sun Hsiung. — *Atakuj dokładnie w chwili, w której wyczuwasz w sobie jitsu. W ten sposób zapewnisz sobie zwycięstwo.*

Jednak powtarzał jej bezustannie: *Jeżeli będziesz tak głupia i egoistyczna, że dopuścisz do siebie myśl o zwycięstwie, to jesteś zgubiona. Skup swą świadomość na saika tanden, oddechu Pustki. Z tego centralnego punktu nicości można obserwować i tworzyć wszelką strategię.*

Poświęciła dziewięćdziesiąt minut przepisowym ćwiczeniom, zwiększając ich stopień trudności, aż spociła się obficie. Pracowała nad swą szybkością i zgraniem ruchów w czasie, koordynując te dwa elementy: zmieniała je, po czym łączyła w zestawy trzech, potem sześciu, a następnie dziewięciu błyskawicznych ataków i technik obronnych.

Potem powróciła do *saika tanden*, ponieważ wciąż była uczennicą, wciąż uczyła się, ponieważ pewne istotne sprawy trzeba było świadomie rozważać, nie licząc na to, że zupełnie mimowolnie staną się drugą naturą.

Wyciągnęła z torby kawałek mocnej bawełnianej materii — jedyny dar Sun Hsiunga — złożyła we dwoje i zręcznymi, oszczędnymi ruchami owinęła wokół brzucha tak, że jego górny brzeg z obu stron sięgał dolnych żeber. Był bardzo mocno zaciśnięty, był opaską, krępował ciało. Starła się wciągać powietrze jak najgłębiej. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami; jej ciało było miękkie, ramiona wygięte i rozluźnione, tors tak mocno pochylony w przód, że czubek nosa miała mniej więcej nad pępkiem. *Saika tanden*. Przy każdym wdechu.

Była wciąż pochłonięta oddychaniem, gdy jej czuły słuch zarejestrował cichy odgłos kroków za metalowymi drzwiami. Po chwili rozległ się zgrzyt kłódki.

Jitsu, kyo. Pełnia, pustka. Wdech i wydech.

Usłyszała, że Saigo wchodzi do *dojo*, i uniosła głowę. Skupiła na nim spojrzenie.

— Wstań — rzekł szeptem. — Podejdź do mnie.

Zrobiła dokładnie tak, jak kazał; podniosła się i odwinęła materiał, którego strzegła jak skarbu, chociaż był zupełnie zwyczajny i można go było kupić w każdym sklepie. Złożyła go z uszanowaniem, wsadziła pod luźną bawełnianą bluzę i ruszyła ku Saigo.

— Słuchaj — powiedział głosem tak niewyraźnym jak dobiegające z od dali brzęczenie moskitów. Oboje stali nieruchomo. Nawet gdyby Saigo nie ostrzegł jej wiele godzin wcześniej, Akiko wiedziałaby, że nie powinna wydać z siebie żadnego dźwięku.

Czuła tylko lekko drażniący drzewny pył unoszący się w powietrzu, pozostałość po pierwotnym przeznaczeniu tego budynku. Przez grube ściany i masywne deski podłóg nie przedostawały się żadne odgłosy z biegnących trzy piętra niżej ulic. W środku było cicho jak w grobowcu.

Ktoś kaszlnął. Znowu. Akiko usłyszała ciche odgłosy kroków dobiegające zza zamkniętych drzwi. Spojrzała na Saigo, który całym sobą skupił się na tym, co znajdowało się za nimi.

„Kto tam jest?” — zastanawiała się Akiko. Nasłuchiwała.

— Co to jest? Gdzie my jesteśmy? — wyszeptał kobiecy głos.

— Chodź. — Męski głos; po czym bardziej natarczywie, choć równie ciche: — Chodź! — Poczucie ich obecności rozwiało się, lecz Akiko miała przynajmniej pozorny obraz dwóch dusz: męskiej i kobiecej. *Yin i yang.*

Twarz Saigo zapłonęła nienawiścią, upodabniając go do gargulca. Pomyślała, że targa nim potężna nienawiść. Pożerała go od środka. Nienawiść była uczuciem, które potrafiła zrozumieć.

Być może właśnie w tym momencie spostrzegła, że są bratnimi duszami: Akiko i Saigo. Byli dla siebie stworzeni.

Po chwili zniknęła kredowa bladeść jego twarzy i był znowu gotów coś powiedzieć. Ale o dziwo, nie wspomniał o tym incydencie.

— Czekaaś — rzekł.

— Czy nie tego właśnie się spodziewałaś? — Obserwowała jego oczy; były jak nieruchome kamienie tkwiące na dnie jeziora o tafli gładkiej niczym jedwab. Jeśli prawdą było, że oczy są zwierciadłem duszy, to Saigo z pewnością urodził się bez niej. Nie widziała w nich żadnych oznak życia, jedynie

wir uczuć, martwy ciężar niczym zwłoki na szubienicy.

Skinął głową i Akiko spostrzegła, że jest zadowolony. Czuł — błędnie — że jego uderzenie sprawiło, iż dziewczyna pogodziła się ze swoją rolą. Ktoś inny o podobnej osobowości rozluźniłby się w takiej chwili, lecz Saigo nie zrobił tego. Akiko odnotowała ten fakt.

— Jest późno — powiedział. — Czas iść. Ubierz się.

Nie odwrócił się, gdy wydostawała się ze swojego *gi*. Przez cały czas patrzył na nią kamiennym spojrzeniem. Nigdy nie czuła zażenowania swą nagością, czego najwyraźniej doświadczała większość Japonek. Jednak miała ostrą świadomość obecności Saigo, jego badawczego wzroku.

To, co w nim wyczuwała, nie było czystą lubieżnością, przynajmniej nie w sensie zwykłego pożądania. Ze zrozumieniem tego nie miałyby problemu. Z drugiej jednak strony nie miała odczucia, że odbywa się zimna i wyrachowana inwentaryzacja wszystkich części jej ciała. To również miałyby dla niej jakiś sens. Ale Saigo był człowiekiem zupełnie innego pokroju; nie zetknęła się do tej pory z nikim podobnym.

Gdy wycierała się już zupełnie rozebrana, odwróciła się i stanęła twarzą do niego.

— Co cię we mnie tak fascynuje? — Mówiąc to, okręciła ręcznik wokół ramion tak, aby nic nie uszło jego uwagi.

— Jeżeli mówisz o seksie, to poznałem już jego smak — odpowiedział. Wydawał się wpatrywać w punkt położony poniżej jej pępka. Być może w punkt, w którym zaczynały się skręcone i błyszczące włosy łonowe.

— Nie oddaję się tak swobodnie — powiedziała bez żenady. — Co sprawa, że myślisz, iż oddałabym się tobie?

— Jesteś naga, prawda? Prawie mnie nie znasz.

— Gdybym była taka, jak myślisz, i naprawdę dobrze cię znała — zauważyła Akiko — byłaby na to znacznie większa szansa.

— Chcesz powiedzieć, że to nie jest zaproszenie?

— Jeżeli mnie pragniesz, to już twój problem — odparła i zaczęła naciągać na siebie ubranie. — To ty nie pozwoliłeś mi rozebrać się na osobności.

Obserwował ją przez chwilę, po czym odwrócił się gwałtownie. Podszedł dużymi krokami do metalowych drzwi, otworzył je i zajął się odpinaniem kwadratowego symbolu *ryu*. Odłożył go na bok i zaczął zdrapywać purpurowy lakier, tak żeby na drzwiach nie pozostały żadne ślady jego obecności.

Akiko była ciekawa, lecz wiedziała, że lepiej nie pytać, dlaczego kłopotał się wymazywaniem wszelkich śladów obecności *ryu* w magazynie. Te drzwi na trzecim piętrze były jedynymi, które prowadziły na podest schodów i dalej na zewnątrz, były jedynymi, którymi się przejmował.

Ubrawszy się Akiko podniosła torbę i przeszła obok niego. Obserwowała, jak starannie zamyka drzwi na kłódkę.

— Nie mam gdzie przenocować — powiedziała.

Dał jej klucz, wyjęty z kieszeni, i rzekł:

— Jest dodatkowa sypialnia. Nie dotykaj niczego w domu. — Zapisał jej adres. — Czekaj na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę.

Po upływie trzech tygodni znaleźli się na prowincji, w otoczeniu manderynkowych gajów. Duża część południowej wyspy była nadal rolnicza i zachowała w znacznej mierze stare zwyczaje. Saigo stwierdził, że to mu się podoba.

Nawet tak daleko na południe leżały grube zwały błyszczącego śniegu; jego cieniutka lodowa skorupa, delikatna jak porcelana z dynastii Ming, skrzypiała pod stopami. Jarzył się w blasku księżyca, rozpraszając upiorną ciemność.

Ich oddechy wisiały w powietrzu, słowa białeły kłębamii pary, połączone ze sobą niczym łańcuchy wysp.

W tym czasie w życiu Akiko wiele się zmieniło i zastanawiała się, czy to samo można powiedzieć o nim. W przypadku prawie każdej innej osoby znalazłyby odpowiedź.

Zaczęło się przed trzema tygodniami, gdy Saigo wrócił późno w nocy, zupełnie bezgłośnie otwierając drzwi do domu. Akiko śniła, ale nawet wtedy jego duch wdarł się na poziom, na którym snuły się jej myśli, podczas gdy świadomość spała.

Otworzyła oczy; była zupełnie przebudzona. Nigdy to nie było dla niej zaskoczeniem, ponieważ urodziła się z tą zdolnością, lecz innych wprowadzało w zażenowanie.

— Spałaś? — spytał stojący w cieniu, w drzwiach, Saigo.

Gdyby był rzeczywiście taki dobry, znalazłyby odpowiedź na to pytanie, więc Akiko odparła:

— Nie. Chciałeś, żebym czekała na ciebie.

Wszedł na palcach do pokoju i ponownie poczuła, jak przeszywa ją jego duch, bezładne emanacje żalosego dziecka. Nie cofnęła się przed nim, nie dała też żadnego, najslabszego nawet znaku, że wie o jego zamiarach. Pozbawiłoby to ją największej władzy, jaką miała nad nim. To by go również

przestraszyło, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Gdy uderzył ją i złagodził tym poczucie własnej słabości, powiedział:

— Na zewnątrz jest paczka. Idź i przynieś ją tutaj. — Jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

Akiko wstała. Zaskoczona ujrzała na werandzie młodą dziewczynę w swoim wieku. Opierała się o framugę; drżała. Objąwszy ją ramieniem, wprowadziła do środka.

Dziewczyna uderzyła o framugę i ciężko opadła na Akiko, która musiała ją podtrzymywać. Gdy powoli odzyskiwała przytomność, Akiko przyglądała się jej w ciepłym świetle lampy.

Miała piękną twarz, lecz równie otępieła jak zmysły Saigo. Źrenice wielkich oczu były mocno rozszerzone, a z na pół rozchylonych ust emanował delikatny zapach piżma.

— Ona jest odurzona narkotykami — stwierdziła Akiko.

— Rzeczywiście. — Zareagował tak, jakby powiedziała: „Ona jest Japonką”. — Połóż ją do łóżka — dodał z odrobiną znużenia w głosie. — Będzie dzieliła z tobą pokój.

Akiko bez słowa zrobiła, jak jej kazał. Kiedy ułożyła dziewczynę do snu na bawełnianym *futonie*, starannie okrywając wełnianymi kocami, wróciła do salonu. Obserwowała Saigo: osunął się na *tatami*, broda opadła mu na pierś, głowa kiwała się. Miał półprzymknięte oczy.

Akiko przez moment zastanawiała się, co się stanie, jeżeli teraz go zaatakuje. Wiedziała, że może to zrobić, i gdyby to miało być jej strategią, nie znalazłaby lepszej okazji. Saigo był w fazie całkowitej *kyo*.

Lecz w tej właśnie chwili jego głowa poderwała się gwałtownie i Saigo przeszył ją wzrokiem niczym żmija. Wyczuwając wyraźne niebezpieczeństwo, porzuciła myśl o podjęciu ataku i osunąwszy się na podłogę, uklękła przed nim, otwarte dłonie ułożyła na kolanach.

Powieki opadły mu na oczy i w końcu zasnął. Akiko również drzemała. Gdy obudziła się tuż przed świtem, Saigo spał, siedząc naprzeciwko, jego oddech był głęboki, regularny i powolny. Jednak Akiko nie potrafiła wyzbyć się uczucia, że nadal ją obserwuje.

Trening w *dojo* był ogromnie trudny. Gdy Akiko zbliżała się, wydawała się zamierać wszelka aktywność. Wszyscy odnosili się do niej grzecznie, lecz gdy była w pobliżu, ginęła harmonia i nikt lepiej niż ona nie zdawał sobie z tego sprawy.

Czuła, że *sensei* nie ufał jej, a uczniowie nie darzyli sympatią. Gdyby nie groźba utraty twarzy, nie udzieliliby jej żadnej pomocy. Nigdy nie czuła się tak samotna, zdana na własne siły, zupełnie odcięta od wszystkiego i wszystkich. Jakby była górą lodową w tropiku, której nie mogło stopić słońce.

Jeżeli w ogóle dla nich istniała, to tylko jako rana, która nie chciała się goić.

Pragnęła, żeby odeszła, i ona wiedziała o tym. Jednak nie chciała ustąpić pod naporem siły ich połączonej woli. Mężczyźni nigdy nie narzucali jej sposobu życia i nie miała zamiaru pozwolić im na to teraz. Chyba już od chwili swoich narodzin walczyła przeciwko takim staraniom. Jej wola ukształtowana była przez straszliwe odcienie stali — tysiące jej warstw, które składały się na *katana*, miecz honoru. Czy naprawdę sądzili, że mogą ją złamać?

Ale jakże usilnie próbowali! Początkowo *sensei* umieścił ją w grupie najsłabszych uczniów, młodych mężczyzn, którzy — jak sądziła — w ciągu sześciu miesięcy zostaną zmuszeni do opuszczenia *ryu*. W ciągu godziny dokonała zdumiewająco dokładnej oceny ich możliwości. Wszyscy byli na niższym od niej poziomie. Był to rozmyślny policzek, lecz zamiast dopuścić do siebie uczucie upokorzenia, postanowiła obrócić to posunięcie instruktora na swoją korzyść.

Jak każdy nowy uczeń w określonym *ryu*, podczas lekcji siedziała w milczeniu, z uwagą obserwując ćwiczenia, a potem przykłady technik atakująco-obronnych.

Wszystko to było sztuką, której nauczył ją Sun Hsiun i którą opanowała do perfekcji już przed wielu laty. Sprawiała wrażenie uczennicy, która próbuje przyswoić sobie coś nowego i skomplikowanego. Chwilowo zadowolona się daniem im tego, czego od niej oczekiwali.

Gdy nadeszła jej kolej, by przećwiczyć ruchy, *sensei* ustąpił miejsca jednemu z uczniów. Następny rozmyślny policzek, ponieważ wszyscy, którzy byli przed nią, trenowali bezpośrednio z mistrzem.

Dostała wypolerowaną drewnianą żerdź, mniej więcej dwa razy cieńszą od *bokkena* — drewnianego miecza do ćwiczeń *kendo* — i trzy razy dłuższą. Stała na gładkiej drewnianej podłodze; drewno otaczało ją. Nie zlekceważyła tego faktu, czerpiąc wskazówkę z właściwości twardego materiału, które Japończycy cenili najbardziej: elastyczności oraz wytrzymałości.

Przeszła do *shinki kiitsu* i unosząc żerdź w ostatniej możliwej chwili, z łatwością zwała ucznia z nóg, gdy ją zaatakował.

W ciszy, jaka panowała w klasie, *sensei* posłał przeciwko niej następnego chłopca. Wynik był identyczny, chociaż zmieniła formę obrony.

Teraz *sensei* wysłał przeciwko niej dwóch swoich uczniów jednocześnie. Akiko nadal klęczała, patrząc prosto przed siebie. Nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, gdzie znajdował się drugi przeciwnik. *Shinki kiitsu*

ujawniło Akiko jego strategię. Lekko, lecz pewnie chwyciła obiema dłońmi drewnianą żerdź dokładnie w jej środku; było to istotne, ponieważ posługiwała się techniką obrotową i zachowanie równowagi miało decydujące znaczenie.

Nie zmieniła pozycji, choć w ten sposób rezygnowała z wykorzystania kilku technik obronnych. Wystarczyły jej skrzyty tułowia i ruch dłoni.

Koncentrując się na Pustce, wyczuliła atak z tyłu. Szarpnęła ramionami, pochylając prawą stronę ciała i unosząc ją do góry, aby zwiększyć pęd, a tym samym i siłę. Żerdź ze świstem uderzyła w klatkę piersiową ucznia, wyrzucając go w powietrze.

Drugi jej koniec w tym właśnie momencie rozpoczął błyskawiczny ruch w górę, wbijając się lekko swym zaokrąglonym zakończeniem w gardło drugiego napastnika. Ten twardo opadł na pośladki; na jego twarzy odmalował się wyraz oszołomienia.

Dopiero gdy osłabła ogromna koncentracja, Akiko zdała sobie sprawę z zainteresowania, jakie wzbudziła w pozostałych częściach *dojo*. To, co uważała za wyizolowany incydent, było obserwowane przez trzy czwarte *ryu*.

Lecz jeśli sądziła, że *sensei* jej klasy uhonoruje ją ćwiczeniem ze sobą, myliła się. Ponownie starał się ją delikatnie upokorzyć. *Sensei* nakazał jej wstać. Odebrał jej żerdź, a potem zaprowadził na drugą stronę *dojo*, do miejsca, w którym trenowała klasa Saigo. Zostawił ją pod opieką następnego instruktora, osobnika o odpychającej twarzy z głębokimi śladami po ospie na policzkach i brodzie.

Nowy *sensei* uklonił się przed nią ceremonialnie.

— Witam — powiedział, choć ani przez moment nie traktował swych słów poważnie. Tak jakby była *gaijinem* w swym własnym kraju. Wyciągnął zrogowaciałą, żółtą jak lój dłoń i dodał: — Proszę, zechciej łaskawie przyjąć *kokyu suru*. *Kokyu suru* było nazwą pozycji atakującej, ale tak jak wszystkie japońskie słowa i zwroty miało następne znaczenie; znaczyło również „oddychaj”.

— Jin-san.

Wywołany uczeń wystąpił naprzód, kierując ukłon w stronę swojego mistrza.

— *Hai*.

— Wygląda na to, że Ofuda-san została nieumyślnie umieszczona w niewłaściwej klasie w wyniku administracyjnego przeoczenia. Nie chcemy, żeby taka sytuacja ponownie miała miejsce. Czy byłbyś uprzejmy utwierdzić nas w przekonaniu, że Ofuda-san znalazła wśród nas właściwe miejsce?

— Mówiąc to, wycofał się na brzeg kręgu utworzonego przez resztę klasy.

Kątem oka Akiko spostrzegła, że Saigo stoi rozluźniony i spokojny. Czy był ciekaw, jak jej się powiedzie w bardziej zaawansowanej klasie? Czy pragnął, by to jego, a nie Jina wybrano do sprawdzenia umiejętności dziewczyny?

W tym kręgu *dojo* nie kłaniano się — jak uczyniono by w każdej innej dyscyplinie walki w Japonii. Dla *ninja* kodeks *bushido* — credo samuraja — był bez znaczenia. Jednak wysoko cenili honor...

Jin-san stanął zwrócony twarzą do Akiko; stopy rozstawił na szerokość ramion. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymał przed sobą na wysokości bioder; lewa spoczywała na prawej.

Było coś niepokojącego w tej postawie, coś, czego Akiko nie potrafiła do końca określić. Potem ruszył i gdyby nie fakt, że umiała czytać w jego myślach, przewidując fizyczny atak, walka dla niej skończyłaby się, zanim miałaby okazję do odparowania ciosu.

Z trudem jej się to udało. Zdobyta wcześniej wiedza pozwoliła przygotować świadomość i zogniskować uwagę na nieznanym. Dlatego właśnie spostrzegła błysk *manrikigusari* — „łańcucha o sile tysiąca ludzi” — składającego się z dwóch stóp kutego ręcznie żelaznego łańcucha z trzyipółcalowymi, tępo zakończonymi ciężarkami przymocowanymi do każdego końca.

Teraz wiedziała, co ją niepokoiło w postawie przeciwnika; było to *gohono-kamae*, jedna z pozycji otwierających, lub *kamae* w walce łańcuchem.

Jin-san był już w połowie odległości, która ich dzieliła, z ramionami rozciągniętymi tak, że *manrikigusari* zwisał luźnym łukiem pomiędzy pięściami. Wiedziała, że będzie próbował *makiotoshi*, owinięcia łańcucha wokół jej szyi, ponieważ istotne było nie tylko to, żeby ją pokonać, ale również by uczynić to szybko i zdecydowanie.

Akiko nie popełniła błędu i nie usiłowała chwycić za łańcuch. Wiedziała, że w zamian za swój wysiłek może spodziewać się tylko, iż ciężarek wyląduje na jej oku, albo — gdyby była dostatecznie szalona, by zdobyć się na chwyt oburącz — że Jin zmiażdży jej kłykcie.

Dlatego też starała się zupełnie zignorować *manrikigusari* jako cel. Przed atakiem tylko nieznacznie ugięła tułów, i to w bok, nie — jak oczekiwał — do tyłu. Pozwoliło to zwiększyć dynamikę ruchu, gdy weszła w pole jego ataku, wykorzystać lewy bok jako klin w połączeniu ze swym własnym pędem naprzód, aby uderzyć w *ekika*, wrażliwy punkt tuż pod pachą. *Ate* wyrwało Jina z rytmu i koncentracji. Został w ten sposób odcięty od Pustki i Akiko bez trudu powaliła go na ziemię.

Ospowaty *sensei* nic nie powiedział, gdy Jin-san wstał chwiejnie i schronił się w otaczającym ją kręgu. Akiko wyczuła wielki skok napięcia wśród przyglądających się walce.

Pamiętała, że w kilku minutach, które potem nastąpiły, było coś zupełnie niezmiernego. Ileż razy przeżywała kolejne ruchy instruktora, obserwując jakby w zwolnionym tempie, jak odwraca się ku tłoczącym się uczniom i wypowiada słowa:

— Saigo-san.

W zachowaniu się Saigo nie było absolutnie nic — żadnego zawahania, chwili kontaktu wzrokowego — nic, co pozwoliłoby wyczuć jego zamiary. Ale wiedziała w chwilę później, gdy podeszli do siebie, że obecny i przyszły kształt ich związku zostanie dokładnie określony.

Była też świadoma, że losy ich obojga spoczywają całkowicie w jej rękach. Saigo zwyciężył ją już w swych myślach, dlatego nie odczuwał pragnienia dominacji nad przeciwniczką. On zrobi po prostu to, o co poprosił go jego *sensei*: pokona ją w jak najbardziej przekonujący sposób. Upokorzy ją publicznie.

Od Akiko więc zależało wywrócenie przebiegu jej *karmy* — jeśli miał w ogóle nastąpić — i wykorzystanie tej chwili, by zapobiec wybuchowi niewyczerpanego źródła nienawiści, która niczym wulkaniczna lava kipiała w jego wnętrzu. Saigo był bardzo niebezpieczny i Akiko nigdy o tym nie zapominała. Z łatwością mógł zranić ją poważnie, gdyby pozwoliła na wytryśnięcie tego źródła. Nie wierzyła, że *sensei* potrafi wyczuć ów moment dostatecznie wcześniej i że w porę wkroczy. Saigo porwany ogniem własnej siły mógłby ją bez trudu zabić — nie wiedząc nawet o tym.

Wszystko to błysnęło jej w myślach, podczas gdy Saigo wchodził w wewnętrzny krąg, w którym przed paroma chwilami padł przed nią Jin-san. Widząc jego napiętą, zawziętą twarz, wiedziała, że poprzysiągł sobie nie dopuścić do tego, by spotkała go taka sama zniewaga.

Potrzebował trzech minut, żeby pokonać Akiko, lecz przez ten czas w mikrokosmosie ich świadomości wrzała rzeka wiecznego poznania. Wykorzystywane strategie odsłoniły warstwy świadomości; nie było nic, za czym można było cokolwiek ukryć. Stali się sobie bardziej bliscy niż kochankowie, dzieląc ze sobą więcej nawet, niż dzieliły bliźnięta. Pustka połączyła ich bez reszty, gdy wykonywali manewry, gdy wpatrywali się w mroczne tunele swoich dusz.

— Tak — rzekł ospowaty *sensei* bez śladu rozczarowania, jakie czuł po porażce swoich uczniów poniesionej z jej ręki — dasz sobie tutaj radę, Ofuda-san.

Później Saigo zaproponował, aby poszli na kolację. Drzemiąca młoda kobieta, którą sprowadził do domu zeszłej nocy, została przeniesiona na jego *futon*. Akiko nie skomentowała tego w żaden sposób, ani też faktu, że dziewczyna nigdy nie jadła i w dzień prawie nie otwierała oczu. Była odurzona narkotykami, gdy przyszła, i taka pozostawała nadal.

W restauracji Saigo nie rzekł ani słowa, przez długi czas dłubiąc bez apetytu i zainteresowania w zdobionej żółtymi płetwami *sashimi* i sałatce z *daikon*. Życie wokół nich toczyło się wśród oszałamiającej i wymuszonej wesołości, gdyż ludzie, którzy tak długo i ciężko pracowali co dzień w gigantycznych fabrykach usytuowanych tuż za miastem, czuli się zmuszeni, by zamknąć w jednym wieczorze hulankę godną całego tygodnia.

Akiko widziała wiele kobiet, które wykonywały ten sam zawód co jej matka. Te oczywiście reprezentowały inny poziom, lecz koniec wciąż pozostawał taki sam. Obserwowanie ich sprawiło, że poczuła się dziwnie, jakby znalazła się z powrotem w *Fuyajo* i zerknęła przez szczeliny w ścianach sypialni w trakcie nie kończących się nocy.

Jednak czuła, że sama się zmieniała, bowiem przyszło jej na myśl, że skrajne wyrafinowanie matki było tylko fasadą, że w pewien niepojęty sposób była nie lepsza od tych kobiet tutaj, którym brakowało pozycji społecznej, godności oraz najcenniejszego z japońskich towarów — honoru.

Ikan nie miała rodziny, żadnych przodków, których pragnęła czcić, męża, by ją bronił, dzięki któremu mogłaby kierować własnym losem i losem swojego potomstwa. Miała tylko Akiko i ta odpowiedzialność okazała się dla niej zbyt wielka.

Ona bowiem, podobnie jak te kobiety, nie miała przyszłości, ku której jej dziecko mogło rosnąć, rozwijać się pomyślnie i odnaleźć siebie.

— Akiko-san.

Zwróciła swą uwagę z powrotem na Saigo.

— *Hai?*

— Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Wiedziała, o czym mówił, ale ze względu na niego lepiej chyba było zaprzeczyć.

— Nie wiem, o co ci chodzi, Saigo-san.

Saigo myślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Mogłaś mnie pokonać w naszej konfrontacji w *dojo*. Mimo to zdecydowałaś inaczej.

Pokręciła głową.

— Proszę, uwierz mi. Nie potrafiłam ci się oprzeć w walce.

— Czułam to.

Jej ciemne oczy wytrzymały spojrzenie pogrążonych w cieniu oczu Saigo.

— Być może to, co czuleś, było ogromnym pragnieniem, aby nie ponieść porażki na oczach równych sobie. Honor rządzi tobą, jest twoją bronią i źródłem twego lęku. Jakżebyś zdołała pozbawić cię jednego i drugiego?

I teraz, po upływie trzech tygodni, krocąc po zasypanych śniegiem alejkach pomiędzy rzędami uspionych drzew pomarańczowych, które oczekiwały przyszłorocznego słońca, Akiko wiedziała, że obrała właściwą drogę.

Michi było japońskim słowem określającym ścieżkę, ale mogło oznaczać podróż, jak również obowiązek, kogoś nieznanego, obcego.

Akiko poczuła nagle, że musi być pierwszą osobą, która doprowadzi do sytuacji, w jakiej wszystkie znaczenia tego słowa wchodzą w grę jednocześnie. Jej życie z Saigo było bowiem zabarwione tymi wszystkimi znaczeniami i nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

W milczeniu minęli szpaler wysokich, cienkich jak bicze bambusów. Gałąź jednego starego drzewa była pokryta grubą warstwą zmarzniętego śniegu. Z pewnością w każdej chwili mogła pęknąć pod jego ciężarem. Lecz nie. Porywisty wiatr spowodował, że gałąź zakolysała się w górę i w dół, a drzewo było tak elastyczne, że w końcu wystrzeliła w górę i niczym najlepszy łuk wyrzuciła swój ładunek. Śnieg wypełnił drobnym pyłem mroźne powietrze i obsypał ich orzeźwiającym proszkiem. Spostrzegli ślad, jaki zostawił po sobie: bambusową gałąź, wolną teraz od nadmiernego ciężaru.

Ruszyli dalej zgarbieni, z dłońmi zaciśniętymi w kieszeniach płaszczy, a wiatr przelatywał ze świstem nad ich głowami.

Saigo zatrzymał się w zacisznym gąszczu sosen. Z dołu, z ich lewej strony, dobiegał wesoły szmer rzeki. Z tego miejsca nie było widać ani przemysłowego molocha za Kumamoto, ani widmowej góry Aso z jej pióropuszem gorącego popiołu. Przez chwilę można było uwierzyć, iż można rozstać się z takimi widokami, że gruba warstwa strukturalizmu życia znikła na krótki moment.

Saigo osunął się na kolana, plecami do sękatego pnia wielkiego sędziwego drzewa. Akiko uklękła obok niego. Nie odwrócił się ku niej, lecz nadal wpatrywał się wprost przed siebie w łamigłówkę krzyżujących się gałęzi, białych od śniegu i lodu.

Akiko przyglądała się jego dumnemu profilowi. Pod wieloma względami

Saigo nadal był dla niej zagadką. Ale, z drugiej strony, obawiała się, że sam dla siebie stanowił zagadkę jeszcze większą. Był wprawdzie jak na młodego człowieka niezwykle wpatrzony w swoje wnętrze, nie samopoznanie było jednak tym, co go zajmowało. Wieczny płomień jego nienawiści musiał być stale podsycany. Akiko całkiem słusznie sądziła, że Saigo zginąłby, gdyby pozbawiono go uczucia nienawiści. Była głównym pokarmem dla jego ducha, jak mleko matki.

Podejrzewała już, że jest wcieleniem zła. A jednak ciągnęło ją ku niemu. Czy działa się to mimo tych podejrzeń, czy też ze względu na nie? Gdy była blisko, czuła przerażenie, jakby choroba trawiąca jego duszę była zaraźliwa. Ale jednocześnie wyraźnie zmniejszało się poczucie bezcelowości, które czasami uderzało w jej serce ze zdradliwością przeciwną.

Będąc z Saigo, odzyskiwała swą przynależność. Czas i miejsce łączyły się w znaczenie, Saigo bowiem miał duszę człowieka wyjętego spod prawa, a nie wyrzutka, którym była w swoim mniemaniu. Wyrzutek nie miał pozycji, nie miał godności, nie miał honoru. Przypomniła sobie, co czuła tej nocy w restauracji, gdy spostrzegła gejsze z uczernionymi zębami i twarzami pokrytymi białą mąką ryżową. Przyszło jej wtedy na myśl, że niezbyt często wspomina matkę; a gdy przywoływała jej obraz, z bólem ślaniała się na nogach, jakby usiłowała uwolnić się od szczególnie obrzydliwego potwora. Ikan nie miała żadnej pozycji, z wyjątkiem pozycji *tayu oiran*, która oczywiście nic nie znaczyła poza terenem Yoshiwary. Odkąd Akiko uciekła stamtąd, jej pogarda dla kurtyzan była bezgraniczna.

Czyż Ikan nie sprzedano, w efekcie, w niewolę? Czyż sam fakt, że pracowała w Polu Szczęścia, nie czynił jej niepożądaną w roli żony? Gdzie w tym sposobie życia było miejsce na godność? Gdzie miejsce na honor?

Akiko nie potrafiła nawet wywołać w sobie gniewu na matkę; jej uczucia przekroczyły już fazę, gdy czuła oburzenie niezdolnością Ikan do pogodzenia się z jej istnieniem. Pełna była jedynie pogardy dla tego, czym była matka i co robiła.

Ikan była wyrzutkiem, a Akiko, nie wiedząc nawet o tym, była ulepiona z tej samej gliny. Ale teraz Saigo ukazał jej, że istnieje inna droga, którą może pójść. Bowiem człowiek wyjęty spod prawa miał pozycję, godność i honor. Wiekowa japońska tradycja porażki z honorem — triumfu ideałów nad czynami — dowodziła tego ponad wszelką wątpliwość.

Siedzący obok Saigo poczuł, że chwytają go spazmy. Czuł wewnętrzne rozdarcie. Wzbierała w nim niechęć i piorunujące pragnienie, aby ją zranić.

— Musi istnieć jakiś kres — powiedział.

Wiatr porwał jego słowa i uniósł między pokryte śniegiem sosny. Wciąż nie odwracał się do niej. Głowa drżała mu lekko. Akiko wyczuła napięcie w jego ciele.

— Zastanawiałaś się chyba, kim jest dziewczyna, którą przyprowadziłem do domu przed paroma tygodniami. — Opuścił głowę; podbródek dotknął prawie jego piersi. — Jest osobą, którą kocham. — Akiko czuła, jakby nóż w jej żebrach obracał się powoli, tak jak tego pragnął. — Ma na imię Yukio i zdradziła mnie. Zdradziła mnie z kuzynem: z *gaijinem!* *Iteki!* — Ostatnie dwa epitety wyrzucił z siebie z taką gwałtownością, że Akiko musiała przymknąć oczy przed siłą jego gniewu.

Wargi Saigo skrzywiły się w uśmiechu, który przypominał raczej wściekły grymas.

— Możesz zadać sobie pytanie, jak to możliwe, aby *gaijin* był moim kuzynem. Cóż, moja matka, Itami, miała brata, gwałtownego i zarazem lojalnego człowieka o gorącej krwi samuraja. Nazywał się Tsuko. Zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, po śmierci jego zwierzchnika, powierzono mu dowództwo garnizonu w Singapurze.

Służył tam swojemu cesarzowi długo i dobrze aż do września tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, kiedy próbował utrzymać miasto przed atakami przeważających liczebnie wojsk brytyjskich. Jego żołnierze zostali otoczeni. Zginęli, broniąc honoru Japonii, jak przystoi prawdziwym samurajom. Tsuko zginął jako ostatni, kilkakrotnie postrzelony przez *iteki*, gdy swoim *katana* rozcinał ich kończyny i głowy. Brytyjczycy, jak wszyscy barbarzyńcy, nie mają pojęcia o honorze.

W momencie śmierci mój wuj miał żonę, kobietę, która była dość piękna, lecz wątpliwego pochodzenia. To znaczy, podejrzewano, że przynajmniej po części była Chinką. Musiała oczarować Tsuko, bowiem najwyraźniej ignorował te pogłoski.

Wiem, że nie mogła być Japonką. W żyłach kobiety, która nie pomści śmierci swego męża, nie płynie samurajska krew. Zamiast to uczynić, Czeong poślubiła człowieka, który dowodził atakiem wroga na Singapur. Być może osobiście wystrzelił jedną z kul, które śmiertelnie zraniły mojego wuja. Nie obchodziło jej to.

Saigo uniósł głowę.

— Potomkiem Czeong i tego barbarzyńskiego pułkownika jest Nicholas Linnear.

Usłyszawszy to nazwisko Akiko poczuła, jak dreszcz przeszył jej ciało.

„Czy to możliwe — pytała samą siebie — czy to możliwe, aby zrządzenie losu doprowadziło mnie do człowieka, który naprawdę może mi pomóc?” Był to ten sam pułkownik Linnear, ten sam *iteki*, jak nazywał go Saigo, który naciskał na publiczne ujawnienie tak zwanych niedyskrecji o ojcu Akiko, zabijając go w ten sposób. Skoncentrowała się jeszcze bardziej, pragnąc teraz chłonąć każde słowo.

— To właśnie on przyszedł do naszej *ryu* razem ze swoją kochanką, Yukio — ciągnął dalej Saigo. — Byliśmy oboje kochankami, zanim ją poznał. Podobnie jak ten mieszaniec, jego matka, uczyniła z Tsuko, Nicholas jakoś uwiódł duszę Yukio. Muszę narkotyzować ją, bo inaczej próbowałaby do niego uciec. Teraz tylko ja ją mam.

— Czy wciąż... kochasz się z nią?

Saigo odwrócił gwałtownie głowę, spojrział nienawistnie nieprzytomnymi oczami i rzekł wyzywająco:

— Biorę ją, kiedy tylko zechcę. — Odwrócił się i ponownie zaczął wpatrywać się w sieć cienkich gałęzi. — Zdradziła mnie, nie zasługuje na nic więcej.

Akiko przypomniała sobie jego słowa: „M u s i i s t n i e ć k r e s ”.

— Teraz pragniesz ją zabić.

Saigo przez pewien czas milczał, po czym powiedział:

— Pragnę zemsty. Za siebie, za moją matkę. A przede wszystkim za Tsuko.

Akiko pomyślała: „*K'ai ho*, widzę lukę, muszę błyskawicznie w nią wejść”.

— Dwa tygodnie temu nagle wyjechałeś. Przez cztery dni nie widziałam cię ani w domu, ani w *dojo* — powiedziała cichym głosem.

— Byłem w Tokio — odparł. — Uczestniczyłem w pogrzebie mego ojca.

— Przymknął powieki. — Chciałem cię zabrać, ale nie mogłem.

Skłoniła przed nim głowę.

— Czuję się zaszczycona.

— Był wspaniałym człowiekiem. — Napięcie ponownie zawładnęło jego ciałem. — Ale w końcu zniszczyli go barbarzyńscy najeźdźcy... Pułkownik Linnear. *Iteki* skazali go na śmierć przez uduszenie. Teraz rozpocząłem swą zemstę. Zaaplikowałem pułkownikowi truciznę, która jest wchłaniana przez pory w skórze i nie można jej wykryć. Działa powoli. Dzień po dniu narasta śmiertelne zagrożenie.

— A potem?

Saigo pokiwał głową.

— Masz słuszość. Yukio musi umrzeć. Lecz o tym nie może dowiedzieć się mój kuzyn Nicholas. On musi się zastanawiać i... czekać, aż nadejdzie

właściwy moment. Wtedy stanę przed jego obliczem i zanim zadam śmiertelny cios, powiem mu o losie jego ukochanej. W ten sposób wszystkie niepokojne *kami*, które unoszą się nade mną, żądając zemsty i wytchnienia, zyskają ukojenie.

Śmierć, śmierć, coraz więcej śmierci. Otaczała ich tak, jakby dryfowali po morzu czaszek. *Giri*, który ciążył na Saigo, wydawał się brzemieniem o niewyobrażalnym dla Akiko znaczeniu. Nic dziwnego, że jego dusza była zdeptana w drobny pył. Jak dobrze widziała teraz bliźniacze podobieństwo ich *karmy*.

Bez namysłu wyciągnęła dłoń; palce sunęły w górę po jego ramieniu. Saigo odwrócił gwałtownym ruchem głowę, w jego oczach błysnęło wyzwanie.

— Pozwól mi odegnąć twoje *kami*, choćby na chwilę — powiedziała Akiko.

Coś wydawało się topnieć w jego wnętrzu, opadła zasłona i dumny wojownik padł w jej objęcia niczym dziecko na kojącą pierś matki.

Zimno nie stłumiło ich zapału, a Saigo, po raz pierwszy w życiu pod wpływem kobiecej pieczyoty, poczuł gorący przypływ krwi do członka. Przedtem w jego zespoleniu z Yukio zawsze był element przemocy i często brał ją od tyłu, tak jak to robił z młodymi męskimi kochankami; nie było więc w tym nic, co można by nazwać kochaniem się.

Ale z Akiko było inaczej. Być może dlatego, że pozwolił, by go wzruszyła, by przejęła inicjatywę. To on był tym, który przyzwalał na akt miłosny, reagował na jej ruchy, używał zrogowaciałych dłoni, stworzonych, by zadawać ból i śmierć, do długich, płynnych pieczyot.

W chwili gdy poczuł pod swoimi ustami ruch wilgotnych warg Akiko, kiedy uświadomił sobie, że jej język wyłania się sondując jego usta, był twardy jak skała i ekstatycznie roznamiętniony jak nowicjusz.

I rzeczywiście, pod tym względem był nowicjuszem. W jego sercu nie było miejsca na czułość i litość. Miłość była czymś nieznanym. *Michi*.

Piersi Akiko nabrzmiewały pod dotknięciem jego palców, podniecenie promieniowało z jej stwardniałych sutków. Saigo był tak rozpalony, że niemal natychmiast chciał w nią wejść. Lecz Akiko swymi ustami, wprawnymi, doświadczonymi dłońmi i zaciśnięciem drżących ud przekonała go, aby tego nie robił.

Pod koniec ucisnęła dolną część jego wzwiedzonego członka tak mocno, jak tylko mogła, aby nie trysnął nasieniem wcześniej, niż tego oboje pragnęli. Jednocześnie końcem języka drażniła brodawki jego piersi, szeroko rozstawionymi palcami gładziła krocze i pieściła żołądz penisa delikatną skórą swoich ud.

Krażyła po nim trzymając go w elastycznym uścisku, aż tarcie stało się nie do zniesienia; namiętność pożerała go z taką siłą, że zrobiło jej się żal ich obojga. Zbliżyła jego członek do swego łona.

Saigo wszedł w nią wydając z siebie długi, przeciągły jęk, powieki mu drżały, pierś falowała, w końcu jego szczupłe biodra zderzyły się z biodrami dziewczyny i pograżył się w niej całkowicie.

Nie pozwoliła mu na żaden ruch z obawy, że jedno uderzenie byka przełaloby czarę jego wezbranych uczuć. Objęła dłońmi pośladki kochanka, wpijając się w jego ciało tak mocno, jak tylko mogła. Potem zaczęła napinać i rozluźniać wewnętrzne mięśnie. Skurcze będące wynikiem jej starań wywoływały znacznie mniejsze tarcie niż jego ruchy. „Wytrzyma dzięki temu dłużej — myślała — chociaż był na granicy orgazmu, gdy we mnie wchodził”.

Akiko czuła, że podniecenie wzbiera w niej nie tylko dzięki płynnemu erotycznemu zetknięciu ich ciał, ale także przez to, co malowało się w rysach twarzy mężczyzny. Delektowała się rozkoszą, jaką mu sprawiała; przynajmniej chwilowym odegnaniem *kami*, które prześladowały go dniem i nocą.

Pot zamarzał im na plecach, ściskając lodową obręczą, zamieniał w wytwory zimowego krajobrazu. W miejscach, w których ich ciała stykały się ze sobą, skóra była mokra i śliska.

Oczy Akiko straciły ostrość widzenia, czuła, że jej myśli wędrują niczym we śnie. Była już blisko. Skoncentrowała się na Saigo. Przestał już cokolwiek widzieć i słyszeć, jego twarde i szczupłe ciało falowało nad nią bezustannie drobnymi ruchami. Na szyję wystąpiły żyły, zęby zacisnął mocno w wysiłku, by przeciągnąć te chwile ekstazy. Lecz nie zdołał.

— Ooch, tak! — wykrzyknęła, podświadomie wgrzyzając się w szyję kochanka, zatracona w rozkoszy.

Potem, przez długi czas, Saigo wydawał się nie być sobą. Pozostałości tego, czym dawniej był, pograżone w jej objęciach, nadal trwały niczym pięknie ukształtowane ruiny na zalanym krwią polu bitewnym.

Nadal trzymał się jej kurczowo, potrzebował dziwnie długiego czasu, by oddech powrócił do normalnego rytmu. Nawet wtedy, gdy obojgu zrobiło się zimno i musieli włożyć ubrania, nie chciał rozstać się z jej ciałem.

Naraz zaczął ronić bezgłośnie łzy. Gdy Akiko spytała, czym się dręczy, odparkł:

— Wspominałem to bambusowe drzewo, które wcześniej minęliśmy. Och, jak pragnąłbym być taki jak to drzewo, tak elastyczny, tak zdolny do uwolnienia się od największego ciężaru!

Ale później powoli stawał się tym, którego znała. Usiedli osobno; nawet ich ramiona i dłonie nie stykały się już ze sobą. Akiko miała wrażenie, że Saigo jest dziwnie zakłopotany tym, do czego doszło, jakby dopuścił się przekroczenia sobie tylko znanych, wewnętrznych norm. Chciała wierzyć, że wstydzi się jedynie leż, ale bała się, że tak nie jest.

Wydawało się jej, że Saigo żałuje tego, iż ma uczucia i potrzeby jak każdy inny człowiek. Akiko przebywała z nim dostatecznie długo, aby zrozumieć, że zbudował dla siebie teorię swojego wyizolowania z całej rasy ludzkiej.

Jeżeli w ogóle wierzył w jakiegoś boga, ono właśnie było jego bogiem. Bowiem jego odizolowanie dawało mu moc, tak jak Pustka dawała moc większości innych. Pozwalało mu przyjmować wszystko, co robił, za konieczne i słuszne. Bez tej wiary — niczym kapłan bez Buddy — czułby się osierocony.

Ale w tym jednym przypadku jego odwrócenie się zraniło ją straszliwie i nie mogła dłużej milczeć.

— Czy nasze zespolenie nie sprawiło ci radości, Saigo-san? Czy nie czułeś potoku miłości, tak jak ja czułam? — spytała obserwując jego twarz.

Skrzywił się szyderczo.

— Miłość! Ha! Nic takiego nie istnieje.

— A jednak powiedziałaś wcześniej, że kochasz Yukio — ciągnęła wytrwale Akiko, chociaż czuła, jak narasta w niej złe przeczucie.

— To, co czułem do Yukio, to nie twoja rzecz — uciął. — Jeżeli zaś chodzi o to, co powiedziałem, to użyłem zastępczego słowa. Tego, co czuję do niej, nie można wyrazić słowami, lecz z pewnością nie jest to miłość.

— A do mnie? — Nie mogła powstrzymać się, by nie zadać tego pytania, mimo lęku przed tym, co mógł lub czego nie mógł, powiedzieć. — Co czujesz do mnie, Saigo-san? Czy tego również nie można wyrazić?

— Pytania, pytania, coraz więcej pytań. Dlaczego wszystko, co potrafią robić kobiety, to stawiać pytania? — Chwiejnie poderwał się na nogi. Oddech tworzył chmury pary przed jego ustami. Znowu był w pełni wojownikiem. — Pytania uważam za sprawę nieznośną, Akiko-san. Wiesz już o tym, a mimo to uparcie je zadajesz.

— Jestem tylko człowiekiem — odparła smutnym głosem. — W przeciwieństwie do ciebie, *oyabunie*.

Saigo roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

— *Oyabun?* To dobre, Akiko. Bardzo, bardzo dobre. Widzisz we mnie

swego mentora, swojego pana. Cóż, muszę ci to przyznać, z pewnością wiesz, jak wprawić mnie w dobry nastrój.

Podejrzewał już jednak, że rzekomo nieruchome koło jego fortuny obróciło się względem boskiej osi. Jaskrawe błyski światła zaczęły wdzierać się przez powstałą szczelinę, zalewając jego świat, wytyczając granice w obcym dlań krajobrazie, a w mrocznych zakamarkach migotliwe płomienie lizały żalobne stopy tego, co było kiedyś.

Patrząc teraz na nią, nagle uświadomił sobie, że rzeczywiście nigdy nie kochał Yukio, nie rozumiał, iż uczucia mogą być zarówno ciepłe, jak i zimne.

Gdy zatopił spojrzenie w Akiko, poczuł nawrót głębokich dreszczy pożądania. Nie było w tym nic z gniewnej agresji, jaką odczuwał wobec Yukio i wielu męskich kochanków. Ze zdumieniem stwierdził, iż w przypadku Akiko w ogóle nie było gniewu, jedynie ta serdeczność, w której poniewczasie mógł rozpoznać otuchę. Teraz rozumiał, że wszystko, co jej tego dnia powiedział, uczynił nie po to, jak myślał, by ją zranić, lecz by zrzucić z siebie brzemię.

Niebo pociemniało od niskich napływających chmur. Powietrze było wilgotne i ciężkie jak ołów. Zbierało się na deszcz lub śnieg — zależnie od różnicy temperatur. Nadciągał przedwczesny zmierzch, purpurowy jak świeża rana.

— Od północnego zachodu nadchodzi burza — powiedział Saigo. — Czas już iść. — Chciał oderwać od niej wzrok, lecz był niczym dziecko, które odkryło smak słodyczy i gdy znalazło się już w sklepie, nie kwapiło się z wyjściem.

Jednak czuł jednocześnie potrzebę zerwania subtelnych więzów, które wciąż łączyły ich jak kawałek splecionego jedwabiu. Ważne było dlań odzyskanie poczucia własnej osobowości, świadomość, że nie cały został zmieniony przez to nowe uczucie; serce niezłomnego wojownika wciąż mocno bije w jego piersi.

Rozpoczął bez niej, jakby zapomniał o jej istnieniu. Potem, gdy Akiko wstała, by ruszyć za nim, spostrzegła, że coś, czego nie widziała ze swojego miejsca, przyciągnęło jego uwagę. Obserwowała, jak Saigo skręcił ze ścieżki w lewo, kierując się ku sosnom.

Po chwili wrócił. W lewej dłoni trzymał za kark wijącą się kulkę szarego futra.

— Eeja! Akiko, zobacz, co znalazłem! Małego wilczka!

Akiko podeszła do niego uśmiechając się. Dosłownie przez chwilę Saigo miał szczęśliwą, wolną od trosk minę małego chłopca. „Tak dobrze jest widzieć w nim tę iskrę — pomyślała. — Gdyby tylko można było przedłużyć tę chwilę”.

W tym momencie spostrzegła niewyraźny kształt pędzący ku niemu z niewiarygodną prędkością. Otworzyła usta, by wydać ostrzegawczy okrzyk, ale było już za późno.

Coś wielkiego, szarego spadło na kark Saigo, warcząc i szarpiąc pazurami. Mężczyzna zachwiał się i upadł na bok, zaskoczony gwałtownością napaści. Instynktownie wypuścił szczeniaka, ale matka, niepomna na to, atakowała dalej z szaloną zaciętością.

Akiko nadbiegła, widziała, jak wiją się na zaśnieżonej ziemi. Schyliła się, usiłując schwycić wilczycę za kark i odciągnąć od niego. Lecz Saigo musiał chyba natrafić na kawałek lodu, bowiem pośliznął się i runął z nasypu głową w dół razem z bestią. Podbiegła do brzegu skarpy. Ujrzała wygięte w łuk plecy Saigo i wykrzywioną cierpieniem twarz. Na pół zsuwając się, na pół biegnąc po usianym głazami zboczu, wylądowała na pośladkach i machnęła nogą, końcem buta trafiając w paszczę wilczycy.

Zwierzę, skowycząc, wyskoczyło wysoko w górę, a gdy opadło na ziemię, odwróciło się i długimi susami umknęło w sosnowy zagajnik, gdzie czekał zagubiony i oszołomiony szczeniak.

Akiko uklękła obok Saigo. Na jego twarzy, ramionach i przedramionach było mnóstwo zadrapań. Tuż nad lewym nadgarstkiem spostrzegła ślady kłów. Rany były niegroźne, ale kręgosłup miał wygięty w nienaturalny sposób, a rozbiegane i rozszerzone źrenice wyrażały ogromne cierpienie.

Z największą ostrożnością obróciła go na brzuch. Natychmiast stało się dla niej jasne, że podczas upadku uderzył górną częścią pleców o nagie skały, którymi usiany był nasyp.

Końcami palców delikatnie niczym chirurg sunęła po poszarpanym kręgosłupie. Co najmniej trzy, a może cztery kręgi zostały uszkodzone.

Odetchnęła głęboko. Sun Hsiung był między innymi mistrzem *koppo*. Dwoma palcami potrafił złamać każdą kość w ciele przeciwnika. To była najbardziej pospolita i powszechnie znana umiejętność *koppo*. Sun Hsiung nauczył ją też innego elementu *koppo*: *katsu*. *Katsu* było jedną z form intensywnej reanimacji.

Kiedyś zobaczyła, jak używa *seikotsu*, techniki pomocniczej *katsu*, i zaczęła go błagać, aby nauczył ją tej bardziej ezoterycznej i trudniejszej sztuki. *Seikotsu* było jednym ze sposobów nastawiania kości.

Spowolniła oddech. Wiedziała, że jeśli rozpocznie zabieg i popełni błąd, najprawdopodobniej skaże Saigo na życie z częściowym paraliżem. Dla niego byłby to z pewnością wyrok śmierci. Czy był jednak inny wybór? Nie mogła go ruszyć i nie mogła zostawić na czas potrzebny, by dotrzeć do

telefonu. Był w szoku i stracił przytomność. Nie mogła pytać go o zgodę, a gdyby nie działała błyskawicznie, zimno osłabiłoby naturalny system obronny i zabiłoby go.

Nie namyślając się dłużej, odrzuciła obawy i przystąpiła do pracy. Pracowała przez dwadzieścia minut z jedną tylko przerwą. Tak jak podejrzewała, naruszony był czwarty krąg. Nie wiedziała, czy któryś ze sposobów *seikotsu aiki* poskutkuje. Nie wiedziała, czy ma kontynuować zabieg.

Wtedy zamknęła oczy i szukała stanu nieświadomości, który był Pustką. Tutaj prowadził ją instynkt — i coś jeszcze: poczucie kosmicznej harmonii. Używając obydwu kciuków w *kyusho*, najważniejszych miejscach po obu stronach przetrąconej kości, uciskała do środka i na bok. Usłyszała trzask przypominający odgłos strzelającego z butelki korka. Dziękowała Buddzie za siłę i odwagę.

Jeszcze przez pewien czas klęczała nad nim. Głowa i ramiona opadały jej ze zmęczenia i zarazem ulgi. Jej gorący oddech zapobiegał tworzeniu się lodu na nagich plecach rannego.

Zebrała wszystkie siły i zarzuciła na ramię ciało nadal nieprzytomnego Saigo, układając je możliwie najwygodniej. Powstała ze swoim ciężarem i ruszyła w stronę domu.

I w ten właśnie sposób tu dotarłaś. Akiko potwierdziła skinieniem głowy.

— To Saigo powiedział mi o tobie, to właśnie on zaproponował, abym starała się dostać tam, gdzie on nie może.

— Uważam, że to zarozumiałość z jego strony — zauważył — ale bynajmniej nie zaskakująca. Nie był zdolny do pozostania tutaj. Nie sądzę, by potrafił zostać na długo gdziekolwiek.

Akiko poczuła się mocno dotknięta jego słowami, wiedząc, że Saigo celowo utorował jej drogę, której szukał dla siebie, a do której odmówiono mu dostępu.

Kyoki przerwał tok jej myśli.

— Czego tutaj szukasz, Akiko-san? Cóż ja mogę dać ci takiego, czego inni dać nie potrafią?

— Chcę nauczyć się, jak ukrywać moją duszę — powiedziała Akiko. — Jak okazywać doskonałą *wa* w chwili, gdy mam zaatakować mojego wroga.

Siedzieli na pokrytej kamiennymi płytami podłodze. Kyoki dołał herbaty. Popijając napój mówił, że zamek, w którym przebywali, został

wybudowany przez Ieyasu Tokugawę w pierwszym dziesięcioleciu siedemnastego wieku dla kobiety, która była półkrwi Portugalką i półkrwi Japonką. „Bardzo niezwykłą kobietą” — pomyślała Akiko. Na zewnątrz *komuso*, w trzcinowym nakryciu głowy, głośno grał na bambusowym flecie.

— Słuchaj — rzekł po pewnym czasie — jak to możliwe, aby młodej dziewczynie zagrażało tylu śmiertelnych wrogów?

Nie miała innego wyjścia jak powiedzieć o wszystkim: o Ikan i *Fuyajo*, o Shimadzie, swoim ojcu, oraz tych, którzy sprawili, że chwycił *wakizashi* w swoje ręce, kierując go dwoma potężnymi pchnięciami ku podbrzuszu, niszcząc swój *hara*. Swoje życie. *Seppuku*.

Kyoki przymknęła oczy.

— To miłe zetknąć się z tak bezgranicznym dziecięcym oddaniem u osoby tak młodej. — Podniósł leżący obok obsyty złotą nicią wachlarz i zaczął poruszać nim łagodnie przy policzku. Było to kobiece i, jak sądziła Akiko, nie przynosiło mu chluby.

Nagle przerwał wachlowanie i spojrzał uważnie na Akiko. Wachlarz wyglądał niczym motyl znieruchomiały obok jego głowy.

— Czy przeszkadza ci sposób, w jaki używam wachlarza, Akiko-san?

Musiała stłumić w sobie pragnienie okłamania go. Saigo ostrzegł ją przed tym. „Kyoki-san pozna i natychmiast poprosi, żebyś opuściła zamek”. Prawda zawstydziała ją. Poczula gwałtowny napływ krwi do twarzy.

— Wachlarz wydaje się niestosowny dla tak wielkiego wojownika, jak ty.

— Lub ty.

— Nie jestem wielkim wojownikiem, *sensei*.

— Ale masz ambicję nim być.

— *Hai*.

— Więc odrzucasz wachlarz z pogardą.

— Jako kobieta mam...

Z otwartymi ustami obserwowała, jak wachlarz zafurkotał w powietrzu i wbił się dokładnie w środek popiersia z kamforowego drzewa umieszczonego po przeciwnej stronie pokoju.

— Nie jako kobieta — rzekł Kyoki — lecz jako wojownik. — Wypił beztrasko następny łyk herbaty. — Przynieś, proszę, z powrotem moją broń — powiedział, gdy odstawił porcelanową czarkę.

Akiko wstała i przeszła przez pokój. Sięgnęła do góry, a gdy dotknęła wachlarza, rozłożonego niczym ręka Buddy, Kyoki powiedział:

— To nie *ogi*, nie zwykły wachlarz wyciągasz z mojego popiersia, Akikosan. To *gunsen*, broń bitewna.

Kiedy przyniosła mu wachlarz, dodał:

— Wszystkie jego żebra są wykonane z ręcznie kutej stali, sam wachlarz jest membraną ze stalowej siatki, która potrafi przeciąć skórę, ciało, trzewia... a przy właściwym uderzeniu nawet kości.

Gunsen falował teraz przy policzku: uległy motyl powrócił do swej pozwarki.

— Twój pokój jest na pierwszym piętrze — rzekł Kyoki. — Dokładnie pod moim.

Nie mam rodziców: niebiosa i ziemię czynię moimi rodzicami. Nie mam domu: *saika tanden* czynię moim domem. Nie mam ciała: stoicyzm czynię moim ciałem. Nie mam oczu: błysk pioruna czynię moimi oczami. Nie mam strategii: *sakkatsujizai** czynię moją strategią. Nie mam planów: *kisan*** czynię moimi planami. Nie mam zasad: *rinkiohen**** czynię moimi zasadami. [* Możliwość zabijania i przywracania życia ** Wykorzystanie sposobnej okazji *** Dostosowanie się do wszystkich okoliczności]

Akiko sama klęczała w Pokoju Wszystkich Cieni, gdzie w dwóch rzędach paliły się laski kadzidła i długie białe świece. Ich woń przenikała izbę. Powietrze wydawało się pochłaniać jej modlitwy.

Zamek Kyokiego wtulony był w górską dolinę trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt stóp nad poziomem morza, w *kogenie* Asama. Porośnięta była białymi brzoźami i modrzewiami, wieloma akrami gigantycznych jaskrawo kwitnących azalii oraz szpalerami drzew brzoskwiniowych. Otaczające ją góry — chłodne latem, mroźne zimą — rozciągały się niewiele ponad osiemdziesiąt mil od Tokio, na północny wschód od rozległej, stłoczonej supermetropolii, prawie dokładnie w centrum Honshu, głównej wyspy Japonii.

Nad *kogenem* dominował czynny wulkan Asama, osiem tysięcy dwieście dwie stopy nad poziomem morza. Jego zbocza w górnej części pozostawały wysuszone i zupełnie огоłoczone z roślinności przez częste erupcje.

Po przeciwnej stronie zamku Kyokiego, na północny wschód od skraju Asamy rozciągał się Onioshidashi — czarny i zniszczony krajobraz wulkaniczny trafnie nazwany „Diabelskim wystrzałem” po potwornej erupcji lawy

w tysiąc siedemset osiemdziesiątym trzecim roku.

W pobliżu był też park z willami bogatych ludzi, lecz żadnej z nich nie było widać z zamku nazwanego przez Kyokiego *Yami Doko* — Latawcem w Ciemnościach — wkrótce potem, jak tu zamieszkał.

Akiko miała równie nikłe pojęcie o tym, kiedy to było, jak o czymkolwiek z przeszłości mistrza. Patrząc na jego skośne oczy, szerokie i płaskie kości policzkowe oraz odcień skóry, mogła odgadnąć jedynie, że przynajmniej po części był Mongołem. Mogła sobie wyobrazić jego przodków, owiniętych w wilcze skóry i odzianych w metalowe kolczugi, jak zjeżdżali konno z chińskich stepów, pędzeni śnieżnym wiatrem, by napadać na wioski na równinach.

Pracowali według sztywno określonego planu, od którego nie było nawet najdrobniejszych odstępstw. Było to zupełnym przeciwieństwem dwóch lat spędzonych w *ryu* w Kumamoto. Każda chwila pobytu Akiko w Asamie była zaplanowana i musiała być drobiazgowo rozliczona. Każda luka stawała się pretekstem do ukarania. Nie tolerowano żadnych usprawiedliwień, tak samo jak chorób.

Akiko, która rzadko chorowała, szybko odzyskiwała zdrowie — w ciągu dziesięciu godzin. Kyoki leczył różnymi naturalnymi okładami i mieszankami ziół. Był utalentowanym *yogenem*, aptekarzem.

Nauka, nawet najbardziej wyczerpujące ćwiczenia fizyczne, trwała nieprzerwanie. Tygodniami mieszkali na odludziu, pozostawiając zamek daleko za sobą. Często zdarzało się to podczas niepogody, w samym środku zimy, albo późnym latem i wczesną jesienią, gdy południowe wybrzeże wyspy nękały tajfuny, posyłając w głąb łądu mroczne szkwały smagające ziemię niczym szpony smoka.

Było to celowe. Kyoki uczył ją, jak wykorzystywać żywioly, a nawet, w wielu przypadkach, jak je powstrzymywać. Brali ze sobą tylko *rokugu*, „sześć przyborów podróżnych” każdego *ninja*. Pięć mieściło się w szóstym, *uchitake*, wydrążonym bambusie dziesięciostopowej długości: lekarstwa, grafitowy ołówek, ręcznik, kapelusz oraz *musubinawa*, dwudziestosześciostopowy zwój liny zrobionej z kobiecych włosów, lżejszej i silniejszej niż zwykła lina.

Nocowali na drzewach i w krzewach, nad alpejskimi strumieniami, na skalnych wystęпах wzdłuż wodospadu Shiraito, oszalałymi piękną siecią wąskich rynien z wodą pnących się po stromym, inkrustowanym krzewami zboczu urwiska.

Tsuchigumo było techniką, która — jak twierdził Kyoki — została mu

przekazana za pośrednictwem ojca od Jinnai Ukifune, mordercy będącego na usługach Ody Nobunagi, potężnego feudalnego *daimyo*. Ukifune stanowił wyjątek wśród wszystkich *ninja*, ponieważ był karlem.

Tsuchigumo było, zgodnie z określeniem Kyokiego, „czuwaniem nietoperza pod krokwią”. Nauczył ją przyczepiać się do sufitów pomieszczeń, w których belki poprzeczne i im podobne można było wykorzystać za pomocą *nekode*, kocich pazurów z kutej stali. Całymi godzinami wisieli w ciemnościach nocy, wykorzystując tajemne techniki kontroli nad oddechem, aby spowolnić metabolizm i dzięki temu pozostać w bezruchu aż do świtu.

Potem spadali miękko i bezszelestnie na kamienną posadzkę, bez skurczów mięśni, gotowi — gdyby to była rzeczywista sytuacja — zadać śmiertelny cios niczego nie podejrzewającemu wrogowi.

Pewnego wieczoru, chyba w półtora roku potem, jak po raz pierwszy wkroczyła do zamku, Kyoki wezwał ją do sali, której nigdy przedtem nie widziała. Była duża i tak wysoka, że jej łukowe sklepienie ginęło w mroku. Przedzielała ją ściana z dziwnie wyglądającym otworem drzwiowym, przypominającym chińskie księżycowe wrota, zbliżone kształtem do koła.

W środku leżały *tatami*, pierwsze, jakie widziała w *Yami Doko*. Kyoki klęczał na jednej z nich, tuż pod łukiem księżycowych wrót. Przed nim stał lakowy serwis do herbaty oraz mały talerz ze stosem ciastek ryżowych.

Akiko skłoniła się nisko, zdjęła buty i uklękła naprzeciw niego. Księżycowe wrota wytyczały granicę między mistrzem i uczennicą.

W sali panował nastrój spokoju i pogody. Akiko — poszukująca, tak jak ją nauczał — wyczuła jedynie harmonię jego *wa*. Obserwowała, jak przyrządza zieloną herbatę; nie wiedziała, że posiadał tę umiejętność. Była zahipnotyzowana jego ruchami. Czowała się rozmarzona i spokojna. Niemal beztroska.

Kyoki odłożył bambusowy pędzel i obracając porcelanową czarękę o sto osiemdziesiąt stopni podał jej parującą herbatę. Nisko się jej uklonił i Akiko poszła za jego przykładem, wysuwając do przodu tułów. Dotknęła czołem *tatami* po drugiej stronie księżycowych wrót.

Rozległ się szmer, jak szelest jedwabiu ocierającego się o ciało albo...

Wiedziona impulsem, z gruczołami wściekle tłoczącymi adrenalinę, osłoniła ramieniem głowę i rzuciła się naprzód, tocząc się niczym piłka po *tatami*.

Za jej plecami, ze szczytu sklepienia księżycowych wrót, spadło metalowe ostrze rozcinając trzciniową matę i wbijając się w podłogę dokładnie w

miejscu, w którym o ułamek sekundy wcześniej znajdowała się odsłonięta szyja dziewczyny.

Akiko poderwała się na kolana i spojrzała szeroko otwartymi oczami na *senseia*, który spokojnie popijał herbatę.

— Jak? — spytała z niedowierzaniem. — Nie wyczułam nawet najmniejszego drgnienia w twojej *wa*. Nie czułam nic... zupełnie nic.

— Właśnie po to tutaj jesteś — odparł Kyoki. — *Jaho* maskuje moją *wa*.

— *Jaho* — powtórzyła za nim Akiko. — Magia?

Sensei wzruszył ramionami.

— Nazywaj to, jak chcesz. Znane jest pod wieloma nazwami. Nieważne, której używasz.

— Ona istnieje.

— Czy byłeś świadoma moich zamiarów?

— Mogłam zginać. Czy naprawdę dopuściłbyś do tego?

— W chwili gdy ostrze zostaje zwolnione, nie jestem już w stanie go zatrzymać — odparł. — Byłeś jak zwykle panią swojego losu. I cieszę się, widząc cię przy sobie. Nie jesteś pierwszą kobietą, która przybyła tu w poszukiwaniu tego, co przeznaczone było dla mężczyzn. Kobiety tradycyjnie pragną k o n t r o l o w a ć władzę i posiadać ją w ten sposób. To dwulicowa strategia, k o b i e c y fortel. W ten sposób w naszym społeczeństwie matka kontroluje syna, a żona sprawuje kontrolę nad mężem. Doprawdy, rzadko kiedy kobieta szuka bardziej b e z p o ś r e d n i c h środków do celu, aby przez własną siłę uzyskać całkowite panowanie nad mężczyznami. Jak już wspomniałem, kilka z nich próbowało tego dokonać. Wszystkie doznały niepowodzenia. Być może ty będziesz pierwszą *miko*. — Wstał, wyciągnął rękę dłonią zwróconą ku górze i powiedział: — Chodź. Czas rozpocząć twoją prawdziwą edukację.

Twarz pośród deszczu. Kyoki. Widziała go i nie widziała jednocześnie. Był tutaj przy niej i nie było go. Szybki jak *kami*, zamigotał jak oślepiające światło, po czym zniknął. Chociaż spędziła z nim wiele lat, chociaż posiadał klucz do jej świata i przekazał go jej, nadszedł czas, gdy zaczęła wątpić, że kiedykolwiek była w *Yami Doko*.

Wokół przestronnego domu wnosiły się Alpy Szwajcarskie. Leżała owinięta czystymi białymi bandażami. Nic nie widziała. Zwykle nie było słyhać nic interesującego. Karmiła się więc wspomnieniami. Kyoki stał się marzeniem,

tak ulotnym jak mgła. Lecz to, co jej przekazał, nie było marzeniem.

Każdego dnia odziane w białe stroje pielęgniarki wywoziły ją z domu na blade słońce, dokładnie na czterdzieści minut. Szwajcarzy w pewnych sprawach byli równie dokładni jak Japończycy. Jedną z nich był porządek dnia.

Pamiętała moment, gdy odyniec wypadł na nich z leśnego poszycia. Stała nieruchomo, kiedy chrząkające zwierzę zmierzało w jej kierunku. Zdawała sobie sprawę z siły jego kłów, wygiętych na zewnątrz opuszczonego ryja, ustawionych tak, by ją przeszyć. Nie zrobiła jednak żadnego ruchu. Jej umysł był jak spokojne jezioro. Otworzyła usta. Promieniował z nich *kiai*, znany jako *toate-no-ate*, uderzenie z dystansu. Odyniec okręcił się w powietrzu, wydając piskliwy skowyt, ucięty szybko, jak gdyby coś potężnie ścisnęło go za gardło. Upadł ciężko na bok i leżał nieruchomo, aż Akiko — zgodnie z tym, czego nauczył ją Kyoki — zdecydowała się przerwać swój okrzyk.

Pamiętała dotknięcie jego kimona na grzbiecie swej dłoni. Jego obecność podczas długich popołudni snu, gdy wydawał się majestatycznie kroczyć przez jej marzenia, jakby nawet sen w *Yami Doko* stanowił część jej treningu.

Tęskniła za jego lekcjami w sposób, w jaki młody mężczyzna tęskni za seksualnymi doznaniem, pragnie ich, marzy o nich i w końcu staje się nimi opętany. W ich związku była powściągliwość, której nie pamiętała z poprzednich kontaktów z mężczyznami. Kyoki nie był święty, ale Akiko nie pragnęła go. Pożądała bowiem bardziej tego, co posiadał. Miał *jaho*, i tęskniła za nią, dopóki *jaho* nie stała się jej kochankiem. Pamiętała ich rozstanie. Była z nim przez siedem lat, okres znaczący dla obojga; siódemka była magiczną cyfrą. Nadszedł czas, by wrócić do świata i dokonać swej zemsty.

Drżąca twarz w deszczu.

Podejrzewał trochę, że zamek za jej plecami popadnie w ruinę, znikając wśród świeżych kielkujących w magiczny sposób krzewów. Krople deszczu uderzały o jej ramiona w rytmie melodii *komuso*. Króliki czmychały przed nią z drogi, a samotny jastrząb szybował nad wierzchołkami drzew i, lecąc, szukał powietrznych prądów.

Kiedy odeszła z oszronionego *kogenu* Asamy i wmieszała się w tłum turystów i mieszkańców w gwarnych parkach Tokio, przyszło jej na myśl, że osobą, do której najbardziej tęskniła, był Saigo, a lekcje Kyokiego były jej „kochankiem” przez siedem lat, ponieważ nie mógł być nim Saigo. Akiko

celowo odpędzała tę myśl, żeby nie zadawać sobie tortur.

Powiedziano jej przez telefon, że nie ma go już w Kumamoto, więc odbyła podróż na peryferie Tokio, gdzie — jak jej kiedyś powiedział — mieszkała jego rodzina.

Nie kontaktowała się z Saigo przez siedem lat, jednak gdy błyszczące szyny kolejowe prowadziły ją do celu, miała wrażenie, że nie minęło więcej niż siedem minut. Jedno westchnienie czasu. Nie było między nimi dystansu, poczucia zmiany lub wyobcowania.

Saigo czasami mówił o swoich rodzicach, widziała smutek na jego twarzy, gdy wspominał o śmierci ojca, lecz nic z tego, co słyszała, nie przygotowało jej na przepychy tego domu. Po pierwsze, był duży — rzadka cecha japońskich domów; po drugie, był otoczony przepięknymi ogrodami. Przestrzeń była w tak wysokiej cenie, że Akiko doznała lekkiego oszołomienia, widząc jej tak wiele w posiadaniu jednej rodziny.

Jej zaskoczenie okazało się jeszcze większe, gdy stwierdziła, że „rodzina” składała się teraz z matki Saigo oraz tuzina służących. Żadnych braci i sióstr, żadnych innych członków rodziny.

Jego matka była drobną kobietą o delikatnych kościach i pięknej, władczej twarzy żony samuraja. Tradycja wiele dla niej znaczyła.

Jako mile widziany podróżny, Akiko została powitana przez służącą i zaprowadzona do pokoju, w którym druga służąca rozpakowała jej bagaże, a trzecia zaprowadziła do łazienki. Potem podano jej do jedzenia pletwę wieloryba z rusztu, wyśmienitą zimną sałatkę z wodorostów, *yakitori* z kurczęcia, ryż oraz bladozłotą herbatę o nie znanym jej smaku.

Gdy skończyła, był już późny wieczór. Pojawiła się czwarta służąca i zaprowadziła ją z powrotem do jej pokoju, w którym przygotowano już *futon*. W ten sposób spędziła pierwszych szesnaście godzin, nawet nie poznając pani domu.

Następnego dnia wstała i ubrała się w swoje najlepsze kimono, które wcale nie było odpowiednie, co ze smutkiem stwierdziła, gdy przejrzała się w lustrze. Brzegi obu rękawów były wytarte, a jedwab, z którego było uszyte, z trudem można było uznać za najwyższej jakości. W jej dotychczasowym życiu było nieskończenie mało miejsca na zajmowanie się kobiecymi drobiazgami.

Itami — w przeciwieństwie do niej — była wspaniale ubrana. „Ale z drugiej strony — pomyślała Akiko — byłaby ubrana tak samo nawet w towarzystwie największych dam Japonii”. Spotkały się w jednym z pokoi wielkości szesnastu *tatami*, do którego zaprowadzono Akiko, gdy tylko ubrała się i została starannie ufryzowana.

Młoda służąca, ta która pierwsza zaprowadziła ją do pokoju, zapukała cicho i grzecznie w *shoji*, a weszła dopiero wtedy, gdy została poproszona. Uklękła za Akiko i spędziła prawie godzinę szcztokując, czesząc i upinając włosy przyborami, które wręczyła jej Akiko: *kushi* z drzewa *tsuge*, który należał do Ikan, oraz pasujący do niego zestaw *kanzashi* sprezentowany Ikan przez Shimadę. Gdy służąca podała lustro, zaskoczyło ją, jak bardzo przypominała swoją matkę. Ile lat minęło od czasu, gdy miała takie włosy? Nie potrafiła przypomnieć sobie, nie potrafiła nawet powiedzieć, czy podobała się sobie w tej fryzurze.

Kobiety rozdzielal wspaniały zestaw do herbaty: porcelana była półprzezroczysta i cienka jak skóra. Zawilość ceremonii, której dokonywała Itami podając herbatę, służyła dwojakim celom. Łagodziła napięcie oraz uczucie skrępowania, jakich nieuchronnie doświadczali obcy sobie ludzie podczas pierwszego spotkania. Służyła również skupieniu ich uwagi na zen, na stworzeniu harmonii. Pod koniec ceremonii, jeśli nawet nie zostały przyjaciółkami w ścisłym sensie tego słowa, to nie były już obcymi sobie osobami.

— Cieszy mnie, że jesteś — powiedziała Itami. Miała przyjemny, modulowany głos, a jej sposób bycia, chociaż formalny w sensie wiekowej tradycji, był mimo to przesycony szczerą serdecznością, która pomogła Akiko rozluźnić się. — Mój syn mówił o tobie kilka razy. — Akiko wyczuła, że Itami chce powiedzieć coś więcej na ten temat. — Przybyłaś w szczęśliwym momencie — ciągnęła dalej gospodyni — bowiem Saigo ma przyjechać za tydzień. Zostaniesz tutaj, oczywiście.

— Nie mogłabym myśleć o tym, aby tak długo panią niepokoić — rzekła Akiko — lecz dziękuję za propozycję.

— Propozycja nic nie znaczy, jeśli nie zostanie przyjęta — odparła Itami. — Jak widzisz, ten dom jest duży. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że za duży dla jednej kobiety. Moje dni są czasem samotne; życie może być wypełnione nadmiarem kontemplacji. Twoje towarzystwo bardzo by mnie cieszyło. Czy wyświadczysz mi tę grzeczność?

— Oczywiście, jeżeli tylko pani tego pragnie. Nigdy nie widziałam tak pięknego domu. Z radością tutaj przebywam.

— Och, przesadzasz trochę — powiedziała Itami, lecz Akiko spostrzegła, że jest zadowolona ze szczerego komplementu.

Następnego dnia późnym popołudniem Itami powiedziała:

— Po przedwczesnej śmierci biednej Yukio bałam się, że Saigo odwrócił swe serce od kobiet. Tak bardzo ją kochał. Był zdruzgotany. Doszło do tego

po śmierci mojego męża i, no cóż... on i Saigo zawsze byli sobie bardzo bliscy.

Akiko pomyślała: „Dziecięce oddanie wiąże nas wszystkich, naginając do swojej woli”. Stwierdziła, że bardzo lubi starszą kobietę. Itami przyjęła Akiko bez zadawania serii pytań zwykle kierowanych do kobiety, która pociąga jej syna. „Jaka jest twoja rodzina? Skąd pochodzisz? Jaka jest pozycja społeczna twojego ojca? A jego ojca?” I tak dalej. Przeciwnie, Itami wydawała się akceptować ją taką, jaką była, i ten fakt głęboko wzruszył Akiko.

— Dzisiaj — powiedziała Itami — wszystko wygląda inaczej. Minęły już czasy, gdy niezmiennosc w Japonii była czymś pewnym. Współczesne czasy nie gwarantują tego.

Zapadła cisza, obie kobiety spacerowały wśród drzew cytrynowych i śliw. Nad ich głowami kołysały się na lekkim wietrze różowo-białe kwiaty. W górze przepływały białe chmury, pod którymi śmigwały szare siewki. Na ramionach czuły ciepłe i kojące promienie słońca.

— Jutro mój syn przyjeżdża do domu. — Itami zatrzymała się, by zerknąć na jaszczurkę, która wygrzewała się w słońcu. Akiko przystanęła obok. — Chyba byłoby najlepiej, gdybyś wyjechała wcześniej rano.

Akiko analizowała te słowa, jakby była archeologiem, który natknął się na coś, co mogło być istotnym znaleziskiem.

— Lubię Saigo — rzekła po pewnym czasie. — Bardzo go lubię.

— Tak, wiem o tym — odparła Itami. — Mimo to myślę, że byłoby najlepiej, gdyby nie było cię tutaj, kiedy przyjedzie.

— Dlaczego, Itami-san?

Starsza kobieta zwróciła się twarzą do Akiko.

— Mój syn jest złym człowiekiem, Akiko-san. Czasami myślę, że tak wczesna i tak tragiczna śmierć Yukio była błogosławieństwem. Nie chciałam, żeby wiązała się z moim synem. Kiedy spotkała Nicholasa. Linneara, miałam nadzieję, że to się skończy. Ale ona, podobnie jak ty, wróciła do Saigo. Nie chcę, żeby dwa razy został popełniony ten sam błąd.

— Czy lękasz się o moje życie, pani?

Itami spojrzała surowo w twarz Akiko i rzekła:

— Nie, Akiko-san. Lękam się o twoją duszę. Mój syn jest owocem gorzким jak piołun; ze swymi ideami jest trucicielem i najlepiej trzymaj się od niego z daleka, żebyś ty również nie została zatruta.

— Nie zaszkodziło mi to jak do tej pory — powiedziała beztrudnie Akiko.

— Byłoby błędem stroić sobie z tego żarty, moja droga. — Itami zaczęła ponownie spacerować. — Jeżeli zdecydujesz się zostać, nie będę usiłowała cię powstrzymać. Nauczyłam się, że szaleństwem są próby zmiany woli innego człowieka. Nie potrafiłam tego do końca z moim mężem i synem, ani nawet z moją bratową. Z pewnością nie leży w mojej mocy zmiana twojej woli. Mimo to mówię do ciebie z głębi serca i proszę, abyś przynajmniej mnie wysłuchała.

Raz jeszcze pochłonęła je cisza, którą w końcu przerwały słowa Akiko:

— Itami-san, pragnę go zobaczyć. Starsza kobieta skłoniła głowę.

— Oczywiście, że tego pragniesz, moje dziecko.

Na ślubie byli tylko we czworo: Saigo i Akiko trzymający się za ręce, Itami oraz kapłan shintoistyczny, który kierował uroczystością. Ceremonia odbyła się w ogrodzie północnym, wśród zapachu drzew cytrynowych i różnych krzewów. Dzień był jasny i przejrzysty jak kryształ. Słońce świeciło mocnym blaskiem, jego ciepło spływało w dół niczym błogosławieństwo.

Potem Saigo zabrał ją do Tokio i Akiko tylko od czasu do czasu widywała Itami. Nie mogła być na pogrzebie, gdy ciało zostało przysłane z Ameryki w zaplombowanej trumnie; Itami nie chciała, by ją otworzono, kiedy wysłuchiwała relacji o jego śmierci. Ale napisała do Akiko, stwierdzając, że wszystko, czego teraz pragnie, to pochować go obok ojca, który kochał Saigo w sposób, w jaki ona nie potrafiła i który wypaczył jego charakter tak, że nie umiała mu wybaczyć.

Jeśli chodziło o Akiko, nie było wątpliwości, że uczyni to, o co poprosił ją Saigo, zanim wyruszył do Ameryki. Nawet gdyby nie rozmawiał z nią o tym, wiedziałaby, co zrobić.

— Wiem, jak tego dokonać — powiedziała mu triumfalnie w dniu ósmej rocznicy ich związku. — Będzie to oznaczało dla mnie zmianę. Całkowitą zmianę. — Wyciągnęła ku niemu fotografię.

Przez dłuższy czas Saigo nic nie mówił, patrzył tylko raz na nią, raz na fotografię i znowu na nią.

— To go zniszczy — powiedział. — Całkowicie. Gdybym nie wrócił. — Jego twarz pokryła się zmarszczkami. — Ale ja wrócę.

Akiko wiedziała, że nie wróci. Saigo nie żył już w chwili, gdy wsiadał na pokład lecącego do Ameryki samolotu Japońskich Linii Lotniczych, aby stanąć do ostatecznej konfrontacji ze swoim kuzynem Nicholasem Linnearem. Lecz ta świadomość nie pozwalała jej go zatrzymać, ani nawet

wspomnieć o czekającym go losie. Saigo był wojownikiem, a odmówienie mu prawa do walki było równoznaczne z jego natychmiastowym zniszczeniem.

Gdy dotarła do niej ta wiadomość, od pięciu tygodni była już w Szwajcarii. Pogrążyła się w smutku, opracowując jednocześnie szczegóły zemsty, której pragnąłby Saigo.

Akiko chciała ćwiczyć podczas długiego internowania w szwajcarskiej klinice, lecz zabroniono jej tego przynajmniej przez pierwszy tydzień. Potem pozostawiono tę sprawę jej własnemu uznaniu; lekarze sądzili, że i tak nic nie może robić, dopóki zwoje bandaży czyniły ją niewidomą. Mylili się, ale przecież Szwajcarzy są szczególnie ograniczonymi ludźmi.

Akiko, prowadzona codziennie, tuż przed porą lunchu, do sali gimnastycznej, przez dziewięćdziesiąt minut wykonywała ciężkie ćwiczenia fizyczne, aby utrzymać swoje wspaniałe ciało w dobrej kondycji.

To samo robiła późnym popołudniem. Ponieważ przywykła do nocy, wstawała sama i kierując się słuchem, oddalała się od pielęgniarek, powracała do dalszej pracy na sali gimnastycznej.

Rozpaczliwie zajęła się sprawami ciała, oddając się temu całą dobę. Po pierwsze, odwracało to jej myśli od konsekwencji tego, co uczyniła. Gdyby lekarzom się nie udało, byłaby zgubiona. Przekonali ją o swoich zdolnościach; osobiście widziała przykłady ich pracy. Racjonalnie rzecz biorąc, była zadowolona. Ale teraz, gdy to się stało, teraz, gdy nie było już odwrotu, gdy Akiko, którą znała przez całe życie, nie istniała, wątpliwości znowu zaczęły ją dręczyć. „Co jeśli...? Co jeśli...? Co jeśli...?”

Harowała więc w ogrodzie swego umysłu i ducha, budując na fundamentach, których dostarczył jej Kyoki, na zasadach, które wpoił jej Sun Hsiung. Teraz, gdy Saigo został zabity, nic innego jej nie pozostało.

Nadszedł wreszcie ranek, ciemność zaczęła unosić swą zasłonę. Warstwa po warstwie czerń zmieniała się w odcienie szarości, przechodząc od barwy węgla przez szarość łupku do gołębiej bieli.

Ukazał się zamglony pokój, jego kształt wyłaniał się powoli spod przejrzystych zasłon. Zaciągnięto kotary, zgaszono górne światło. Włączona była tylko mała lampka; jej łagodny blask był ogniem dla jej oczu, odwykłych przez sześć tygodni od światła. Patrzenie sprawiało jej ból i musiała szybko

przymknąć powieki, sprowadzając z powrotem ciemność, tak aby nie zalało jej światło lampy.

Wszystko wydawało się obce i inne oraz odległe, jakby była przybyszem z innej planety. Podniosła lustro, włożone jej do ręki przez jedną z pielęgniarek, i skierowała ku niemu wzrok. To, co zobaczyła, nie było twarzą w deszczu, lecz pierwszym prawdziwym kwiatem jej zemsty. Ujrzała patrzącą na siebie Yukio, mrużącą gwałtownie oczy w pierwszych blaskach nowego dnia.

KSIĘGA PIĄTA

女

巫

MJKO

- 1. Czarodziejka*
- 2. Dziewczyna w służbie świątyni*

Nowy Jork—Hongkong—Hokkaido —Maui—Waszyngton—Tokio

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

Halo, to ty, Matty?

— A kto pyta?

— Croaker. Porucznik-detektyw. NJWP.

— Nieee. On jest sztywniejszy niż kłoda.

— W takim razie rozmawiasz z jego grobem. To twój szczęśliwy dzień,

Matty.

— Kto mówi, do cholery?

— Matty, mam tę dziewczynę, o której rozmawialiśmy w zeszłym roku.

Pamiętasz tę rozmowę? Alix Logan. Key West.

— Nie pa...

— Powiedziałeś, że sytuacja stała się bardziej gorąca niż dupa Lucyfera.

Rozległo się westchnienie.

— Chryste Panie, to ty, poruczniku! Żyjesz! Poszedłem już zapalić świeczkę do świętego Łukasza.

— Doceniam to, Matty, naprawdę doceniam.

— Gdzie, u licha, jesteś, poruczniku?

— Informacja, Matty — rzucił do słuchawki Croaker — potrzebuję informacji jak ziemia deszczu. Podliczam punkty, wszystkie. Potem jesteśmy kwita.

Matty Gaduła, główny „kabel” Croakera, myślał nad tym przez bardzo krótką chwilę.

— Mógłbym przez to zginąć — powiedział.

— Ja też omal nie zginąłem, mistrzu. Dostaniesz ochronę. Dopilnuję, żeby ludzie Tomkina nie zbliżyli się nawet do ciebie.

— Nie Tomkinem się martwię, poruczniku. Ten drań trafił do grobu przed tygodniem.

— Co t a k i e g o ? !

— Co jest, gazet nie czytasz, czy jak?

— Unikałem ich jak zarazy. Powiedziałem nawet Alix, że radio w samochodzie wysiadło. Wpadliśmy w kłopoty w Północnej Karolinie. Nie chciałem, żeby wiedziała, jak duże.

— Nie słyszałem, by coś wydarzyło się w Północnej Karolinie.

— W Raleigh.

— Nada *, Poruczniku. Przecież bym wiedział. [* Nic (hiszp.)]

Croaker odwrócił głowę i obserwował Alix siedzącą w samochodzie na poboczu. Byli bardzo blisko Tunelu Lincolna, niemal w Nowym Jorku.

— Co się stało z Tomkinem?

— Wykitował na jakąś tajemniczą chorobę. Taka-coś tam. Japońsko brzmiąca nazwa.

— Bardzo zabawne.

— Czyżby? Nie rozumiem.

— Nie przejmuj się. To taki żart. — Wtrącił się nagrany na taśmie głos i Croaker wrzucił do aparatu trochę drobnych. — Co z incydentem w Raleigh?

— Zupełna cisza.

— Taaaak.

— Nie jestem zaskoczony, poruczniku, Tomkin był tylko czubkiem całej sterty gówna. — Po drugiej stronie linii rozległ się gwar. — Poczekaj chwilę, dobrze? — Croaker słyszał jego stłumiony głos, gdy mówił do kogoś w pokoju: „Rób, co mówię, na litość boską, i spieprzaj do kina albo gdzieś indziej”.

Po chwili Matty był ponownie na linii.

— Przepraszam. Chciałem opróżnić pokój. To i tak jest wystarczająco ryzykowne. — Rozległ się jego kaszel. — Powiedziałem ci, że powęszę jeszcze trochę i zrobiłem to. Nie spodobało mi się to, co odkryłem. W rzeczywistości było mi cholernie przykro, że dałem ci namiary na Key West. Gdy gazety podały, że zginąłeś, naprawdę myślałem, że to moja wina, więc poszedłem prosto do świętego Łukasza.

— A ja przez cały czas myślałem, że to przyjaźń, czysta i prosta, Matty. —

— Życie takie nie jest, poruczniku. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Croaker nie mógł powstrzymać myśli o Nicholasie Linnearze i przyjaźni, która łączyła go z tym człowiekiem. Czy w ich wzajemnym stosunku były jakieś dodatkowe warunki? Miał pewność, że nie. To była jedna ze spraw,

które czyniły ich przyjaźń tak wyjątkową, tak wiążącą. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie teraz jest Nicholas i co robi. Według ostatnich wieści wrócił do West Bay Bridge. „Pewnie spędza gdzieś swój miodowy miesiąc” — pomyślał. Croaker wiedział, że już dawno odnalazłby swego przyjaciela, gdyby nie fakt, że chciał Nicholasa trzymać z dala od niebezpieczeństwa, przynajmniej dopóki nie potrafił go dokładniej określić.

Znowu skupił swą uwagę na rozmowie.

— Lepiej będzie, jak mi o wszystkim powiesz, Matty.

— To, co wiem, nie brzmi dobrze. Rząd jest w to zamieszany. Croaker przez chwilę myślał, że ktoś rzucił granat w jego stronę.

— Jaki rząd? — zapytał idiotycznie. Był wstrząśnięty.

— Nasz. Chryste, a jakież by inny?

— Nie rozumiem.

— Myślisz, że ja rozumiem? Wiem tylko tyle, że to przerosło już i ciebie, i mnie.

— Teraz pojmuję, dlaczego nie byłeś zaskoczony ciszą wokół wypadków w Raleigh. Tylko rząd mógłby mieć tego rodzaju wpływy. Czy wiesz, kto w rządzie?

— Znasz gościa o nazwisku Minck?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Ja też nie, dopóki nie wetknąłem głębiej nosa. Kieruje czymś, co nazywają w tej branży „zamkniętym sklepem”.

— Co to za branża?

— Szpiegostwo, oczywiście, cóż by innego, poruczniku.

— Co, u licha, ma to wspólnego z Tomkinem i zamordowaniem Angeli Didion?

— Powiedziałeś, że masz tę dziewczynę ze sobą. Ją zapytaj. Była świadkiem. Jedyńm świadkiem.

— Taak? Dlaczego w takim razie wciąż chodzi po tym świecie cała i zdrowa?

— Była sama w Key West? — spytał przenikliwie Matty.

— Nie. Dostała obstawę. Ale to dla jej bezpieczeństwa.

— Wiesz to na pewno?

— Szczerze mówiąc, wiem — odparł Croaker. — Pewnego popołudnia starała się uwolnić od tego. Jeden z nich powstrzymał ją. Widziałem całe zdarzenie.

— Coś tu nie gra — przyznał Matty. — Ale niech mnie licho porwie, jeśli wiem, co.

— Czy powiedziałeś mi już wszystko? — spytał Croaker, wrzucając do otworu ostatnią ćwierćdolarówkę.

— Jeszcze jedno. To nie na ten sam temat, ale ponieważ widzę, że byłeś przez pewien czas na księżycu, pomyślałem, że ci przekażę. Twój koleś Linnear został mianowany szefem Tomkin Industries.

— Żartujesz chyba!

— Dlaczego miałbym żartować? Jest teraz w Tokio, wiesz, w Japonii, dobija jakiegoś dużego interesu, który Tomkin miał zrobić z firmą zwaną Sato Petrochemicals.

„Chryste — pomyślał Croaker. — Co tu się dzieje? Cały świat staje na głowie”.

Szybko odzyskał jasność umysłu.

— Wyświadc mi jeszcze jedną przysługę, dobrze?

— Teraz będzie cię to kosztować, poruczniku. Jesteśmy kwita, jak sam powiedziałeś. Co to za przysługa?

— Potrzebuję mieszkania do spania dla siebie i dziewczyny. Twojego mieszkania.

— Tysiąc tygodniowo lub stosowna część tej sumy.

— Robisz się cwany, Matty. To nagły wypadek.

— Rozumie się, poruczniku, ale musisz również spojrzeć na te sprawy z mojego punktu widzenia. Czasy są ciężkie. Muszę z czegoś żyć, jak wszyscy inni.

— Zapominasz, że nie dostaję teraz wypłaty.

— Będę liczył twoje punkty.

— Ale z ciebie sukinsyn. Croaker mógł wyczuć jego uśmiech.

— Taaak — odparł Matty Gaduła. — Wiem.

Dokładnie o osiemnastej lokalnego czasu Tanzan Nangi, siedzący wyso-ko w biurach All-Asia Bank, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer, który Liu dał mu na zakończenie ich pierwszego spotkania.

Przez całe popołudnie posepnie obserwował ludzi — mrówki ustawiające się głęboko na dole w kolejkach przed wejściem do filii śródmiejskiej All-Asia po to, aby wybrać wieloletnie oszczędności. All-Asia stał się nagle jadowitym wężem, który w całości połknie ich pieniądze. Chińczycy wycofywali swoje wkłady. Mechanizm, dzięki któremu tak błyskawicznie pojawiały się tak ogromne tłumy ludzi, był dla Nangiego tajemnicą, ale nie miał wątpliwości co do tego, kto krył się za tym naporem. Komuniści dokręcali śrubę.

— Jak długo możemy wytrzymać? — spytał Alana Su o piętnastej, tuż po

zamknięciu banku. Wezwano policję do rozproszenia tłumu, który czekał w kolejkach w chwili, gdy zamykano bank.

— Przy tym tempie — odparł Su — nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Właśnie rozmawiałem z pracownikami naszych filii w Wan Chai, Tsim Sha Tsui, Aberdeen i Stanley. Wszędzie jest mniej więcej tak samo. Dziś wieczorem będziemy musieli zejść do skarbcza.

— Niech pan niczego jeszcze nie robi — powiedział Nangi z policzkiem wspartym na pięści. — Dopóki nie dam panu sygnału.

— Tak, słucham? — kobiecy głos był cichy i melodyjny.

— Proszę z panem Liu — rzekł Nangi, nienawidząc tej chwili, nienawidząc komunistów bardziej niż kiedykolwiek.

— A kto mówi?

O siódmej piętnaście, tego samego wieczoru, samochód wiozący Nangiego zatrzymał się przed budynkiem Sun Wa Trading Company przy Tai Ping Shan Street w Sheung Wan. Był to długi magazyn, pomalowany od frontu krzykliwym i połyskującym cynobrem. „Chińczycy — pomyślał Nangi — nie pojęli jeszcze subtelności pastelowych odcieni. Zamiast tego otaczali się dziecinnymi barwami podstawowymi. Byli równie przesądni w odniesieniu do barw, jak w odniesieniu do wszystkich innych rzeczy”.

Wysiadł na zatłoczonej ulicy, wdychając zapachy zmielonych przypraw, anyżu gwiazdkowego, suszonych ryb, soi i chili. Sprawily one, że niemal boleśnie zatęsknił za domem. Jednak wiedział, że część doznanego bólu wynikała ze świadomości tego, co właśnie miał uczynić. Wyprostował ramiona i skoncentrował się na tym, by iść jak najnormalniej, tak aby nie zaznać dalszego wstydu na oczach swoich wrogów.

Powietrze w środku było pełne pozostałości zmielonych przypraw, drażniło nozdrza. Na pierwszy rzut oka miejsce wydawało się opustoszałe; była to pora, kiedy stali pracownicy wyszli już do domów.

Nangi przystanął i rozejrzał się dyskretnie. W mroku spostrzegł cień, który poruszył się nieznacznie.

— Zaparzyłem świeżą herbatę specjalnie na tę okazję. — Był to bez wątpienia głos Liu.

Nangi ruszył w jego kierunku, uważając na rozrzucone dokoła skrzynie i kartony. Usiadł naprzeciw Chińczyka na prostym drewnianym krześle. Rozdzielał ich podniszczony stół. Na nim znajdowały się tylko dwie rzeczy: dwa identyczne dokumenty. Nangi nie musiał ich oglądać, żeby wiedzieć, co zawierają.

— Najpierw herbata — powiedział przyjaźnie Liu. — Chcę, aby odbyło się to możliwie bezboleśnie. — Teraz, gdy był bliski triumfu, promieniował po prostu koleżeństwem.

Pili obaj.

— To herbata „Czarny Tygrys” — rzekł Liu. — Z Pekinu. Co roku produkuje się jej bardzo niewielką ilość. Smakuje panu?

— Bardzo — odparł Nangi krztusząc się niemal.

Liu lekko pochylił głowę.

— Czuję się zaszczycony. — Pił nadal. — Rozumiem, że dziś po południu przed budynkiem All-Asia było jakieś zamieszanie — rzekł ze swadą Chińczyk.

Nangi postanowił go wypróbować.

— Nie było nic takiego — odparł.

— Wystarczyło jednak, by wezwać policję, czy tak?

— Policja zazwyczaj jest wzywana, gdy w jednym miejscu Kolonii zbierze się więcej niż dwudziestu Chińczyków — zauważył ironicznie Nangi. — Daje to odrobinę zajęcia rządowi Jej Królewskiej Mości.

— Nawet żarłoczna wrona wie, kiedy odfrunąć z przydrożnego pola, panie Nangi.

Wszystko to sprawiało wrażenie starannie wyreżyserowanej szarady. Tak jakby Liu poczuł się zmuszony prawić wytarte komunały Chińczyka-aforysty. Ale po co? Przecież wiedział, że nie zrobią wrażenia na Japończyku. Potem przyszło Nangiemu na myśl, że szarad nie rozgrywa się nigdy, jeżeli nie ma publiczności.

Cienie spowijały krokwie wewnątrz Sun Wa Trading Company. Na zewnątrz zapadł zmrok, tak że nawet wysoko umieszczony świetlik stał się ciemny i nieprzenikniony. Na podłodze leżał drzewny pył, zapach przypraw był tak intensywny, że drażnił nozdrza. Jeśli nawet coś poruszyło się w ciemnościach, Nangi nie mógł tego dostrzec. Mimo to czuł, że nie są sami.

— Jak dotkliwy był napór na bank, panie Nangi? — Liu nalewał kolejną porcję herbaty. Wydawało się, że koniecznie pragnął wytyczyć granicę swojej przewagi.

— Jestem pewien, że zna już pan odpowiedź, panie Liu — odparł ostrożnie Nangi. — Każdy napór na bank sam w sobie jest dotkliwy. To oczywiste.

— Dla mnie zaś oczywiste jest to, panie Nangi — rzekł Liu i popijając herbatę — że nie poradzicie sobie bez naszej natychmiastowej ! interwencji.

— Mnie również przyszło to na myśl. Właśnie dlatego zadzwoniłem.

Być może tego przede wszystkim chciał Liu: upokarzającego przyznania racji, bowiem skinął teraz głową, jakby przyjmował komplement. Pochylił głowę nad kontraktem.

— Ufam, że znajdzie pan tu wszystkie wymagane przez siebie klauzule zredegowane w zadowalający sposób. — Mówił tak, jakby to on poszedł na wszelkie ustępstwa w negocjacjach, jakby to on, a nie Nangi, miał nóż na gardle.

Nangi przez chwilę nie uczynił żadnego gestu. Wykonanie natychmiastowego ruchu kosztowałoby go utratę twarzy. Zgadając się na to spotkanie już i tak oddał więcej, niż zdołał uratować. Kiedy upłynął stosowny czas, wziął dokument i zaczął czytać. Każde zdanie sprawiało, że jego serce zamierało, każda klauzula, którą zmuszony był podpisać, przyprawiała go o mdłości. W chwili, w której przytknąłby pióro do papieru, faktyczna kontrola nad *keiretsu* zostałaby przekazana pracodawcom Liu w Pekinie.

Chińczyk umieścił staromodne wieczne pióro dokładnie pośrodku blatu. Nangi musiałby po nie sięgnąć.

— Nie planujemy żadnych natychmiastowych zmian w polityce firmy — powiedział Liu. — Nie ma absolutnie powodu do niepokoju.

— Myślałem o tych trzydziestu pięciu milionach dolarów — rzekł Nangi. — Muszą być dostarczone do jutra, do ósmej rano.

Liu, niewzruszony, skinął głową. „Gdzie się podziały wcześniejsze zobowiązania jego »firmy«?” — pomyślał Nangi.

— Gdyby pan mógł poprosić pana Su i innego urzędnika banku, którego pan wyznaczy, by pojawili się w głównym skarbcu filii śródmiejskiej All-Asia Bank; suma ta zostanie im przekazana.

„O tak — pomyślał Nangi — domyślam się, że jesteś dość dobrze zaznajomiony z naszymi skarbcami, dzięki towarzyszewi Chinowi”. Powiedział tylko:

— To w zupełności wystarczy.

Po czym, rozmyślnie ignorując wieczne pióro, które Liu położył na stole, wyciągnął własne i podpisał ostatnią stronę na obu kontraktach. Liu, zabrawszy z powrotem swoje pióro, zrobił to samo. Przesunął górny egzemplarz ku Nangiemu.

— Może jeszcze trochę herbaty? — Jego oczy błysnęły w mroku.

Nangi odmówił. Złożył dokument, który parzył i „brudził” jego ręce. Miał właśnie wstać, gdy Liu powstrzymał go ruchem dłoni.

Z kieszeni na piersi Chińczyka wyłoniła się błyszcząca czerwona koperta. Liu bez słowa wręczył ją Nangiemu.

Nangi spozrywał pytająco.

— My, Chińczycy, mamy pewien zwyczaj, panie Nangi. Jest bardzo cywilizowany. Suma w tej kopercie jest zapłatą za przeniesienie, przeniesienie prawa własności, władzy, niech pan to nazwie, jak pan chce. W przypadku fizycznego przeniesienia nie ma mowy o utracie twarzy, ponieważ doszło do wymiany. Coś za coś.

Nangi skinął głową z uszanowaniem, jak ludzie wymieniający uprzejmości na ławce w parku, lecz w głębi duszy wszystko się w nim gotowało. Gniew wzbierał, powodując przyspieszone bicie tętna. Nic w jego zachowaniu nie zdradziło wewnętrznego postanowienia. Dla Liu i kogoś, kto — ukryty w cieniu — mógł ich obserwować, był nadal biznesmenem stojącym w obliczu klęski.

Ostrożnie wsunął czerwoną kopertę obok dokumentu, który, niczym ołowiany ciężar, spoczywał na jego sercu. Odsunął się od stołu, biorąc łaskę, wstał i niezdarnie wyszedł z budynku Sun Wa Trading Company, przed którym czekał na jego samochód z szoferem.

W nocnym życiu nie było nic, co by go interesowało, więc wrócił prosto do hotelu. Jedzenie miało smak popiołu i stawało mu w gardle; czuł się tak, jakby żuł kontrakt, do podpisania którego zmusił go Liu i jego pracodawcy. Ze stoickim spokojem jadł dotąd, aż opróżnił talerz; potem nie pamiętał nawet, co zamówił. Nie miało to żadnego znaczenia.

Rozebrał się, położył na łóżku i utkwił spojrzenie w suficie, w rzece minionych zdarzeń. Jak zawsze, pochłonęła go *kanryodo*. „Kto raz stanie się wojownikiem, wojownikiem jest zawsze” — pomyślał. Niemożliwe było zawieszenie *katana*, nawet jeżeli — tak jak w jego przypadku — był to miecz bardziej symboliczny niż prawdziwy.

Z fali wspomnień wyłoniła się twarz Makity, który zamiast pozwolić usunąć sobie chory żołądek, popełnił *seppuku*. Poprosił wtedy Nangiego, aby mu asystował, a on, przystając na to, wziął długi miecz swego mentora i jednym błyskawicznym uderzeniem z góry zakończył straszliwe cierpienie po dwóch ciężkich *wakizashi*, pierwszym poziomym i drugim pionowym, które Makita zdołał sobie zadać sam.

I chociaż było to rzeczą zaszczytną, chociaż nie miał wyboru innego niż spełnienie życzeń swojego opiekuna, jego twarz była szara jak popiół, gdy wpatrywał się w zakrwawione ostrze, w leżącą na *tatami* głowę swego przyjaciela i przybranego ojca; trząsał się cały. Czuł, że skórę ma rozpaloną i suchą, nie mógł przelknąć śliny.

„Chrystus z pewnością nie mógłby sobie tego życzyć!” — pomyślał i uciekł do kościoła, gdzie w konfesjonale, wstrząsany gwałtownymi spazmami, wyrzucił z siebie to, co uczynił. Jednak nawet spowiedź nie mogła go oczyścić. Następne sześć godzin spędził na kolanach przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa, modląc się o przebaczenie.

Sato był tym, który przyszedł po niego i przekonał, by opuścił to sanktuarium, gdzie nie mógł wdrzeć się rzeczywisty świat.

— Nie możesz siebie winić w żaden sposób — powiedział łagodnie. — Zrobiłeś to, co trzeba, to, co zrobiłby każdy samuraj. Stałeś u boku przyjaciela w momencie, gdy byłś mu najbardziej potrzebny. Czegóż więcej możesz od siebie wymagać? To był *giri*.

Przepelniał go ból i wstręt do samego siebie.

— To nie był chrześcijański czyn, Seiichi-san.

Sato nie miał na to odpowiedzi, mógł tylko wyprowadzić go stamtąd.

Myśli o Makicie nieuchronnie doprowadziły Nangiego z powrotem do *mabiki*, trwającego dziesięciolecia procesu odchwaszczania, który prowadził w MITI. Ilu „uśmiercił” w ten sposób, niszcząc wszelkie szanse, jakie mieli na awans w japońskiej biurokracji? Zawsze zadawał sobie to samo pytanie, ponieważ niepokoiło go to, czego dokonał.

Shimada był pierwszą ofiarą, był początkiem *mabiki*. Zapłacił za swoją chciwość i krótkowzroczność. Nie dostrzegł nadchodzących zmian, więc Nangi skazał go na upokorzenie bądź śmierć. Shimada wybrał honorowe wyjście: popełnił *seppuku*. Otworzył w ten sposób Makicie drogę do natychmiastowej nominacji na wiceministra w MITI.

Przypadek Shimady był najtrudniejszy. Potem *mabiki* stało się dla Nangiego łatwiejsze do przeprowadzenia, jego idea łatwiejsza do przyjęcia. Reguły *kanryodo* zahartowały serce.

I teraz, pocąc się w hotelowym pokoju, w obcej kolonii, która z nieustępliwością wiciokrzewu kurczowo trzymała się azjatyckiego kontynentu, utraciwszy wielkie marzenie, zastanawiał się, czy mordował w imię Chrystusa.

Nie był pewien, czy dzwonek telefonu wyrwał go z drzemki czy z głębokiego zamyślenia. W każdym razie obrócił się i chwycił za słuchawkę. Jarzące się na tarczy zegarka wskazówki pokazywały za trzynaście czwartą. Nangi nie przejął się tym.

— Tak, słucham?

— Mówi Chiu Szczęściarz — na linii rozległ się piskliwy głos. — Jestem na Po Shan Road, jedną przecznicę od mieszkania Soczystej Pien. — Jego głos był lekko zdyszany.

Nangi usiadł i zapytał:

— Czy jeszcze nie udało ci się tam dostać?

— Byłem już tam dwa razy. — Teraz Nangi rozpoznał podniecenie w głosie swego rozmówcy. — Sądzę, że lepiej będzie, jak pan tu przyjedzie, i to migiem!

— O co chodzi?

— Proszę wybaczyć moją szczerość, ale nie sądzę, żeby mi pan uwierzył, gdybym o tym powiedział przez telefon.

— Już jadę — rzucił Nangi. Serce zaczęło mu bić pośpiesznie. Pot wyschł na skórze. Przełożył nogi przez brzeg łóżka i sięgnął po laskę.

Piwnica była duszna i mroczna. Drzwi, przez które wszedł, zamknęły się z sykiem. Usłyszał za sobą odgłos pneumatycznej blokady i nie dodało mu to otuchy.

Sam, w zupełnych ciemnościach, ruszył w kierunku, gdzie — jak mówił jego *haragei* — był środek piwnicy. Potem stanął nieruchomo, wyęzając zmysły: biurko, kilka krzeseł, zgaszona lampa, jakieś maszyny, których nie był w stanie zidentyfikować w ciemnościach, drewniane rusztowanie, którego przeznaczenie także było dla niego tajemnicą.

Podsumował: był na Hokkaido, lecz nie wiedział, gdzie, ponieważ Koten zawiązał mu oczy, a wcześniej skrępował ręce i stopy. Potem został przeniesiony do czegoś, co — mógł się tego jedynie domyślać — było bagażnikiem samochodu Rosjan, i zamknięty na klucz. Jechali niecałą godzinę. Przyjmując za średnią prędkość samochodu czterdzieści pięć mil na godzinę, sytuowało go to w promieniu trzydziestu pięciu do czterdziestu mil od *rotenburo*. Wiedział, że to za mało.

Do jego świadomości dotarło buczenie wypełniające ciemną otchłań. Było tak delikatne, że normalny człowiek mógłby go nie wychwycić. Nicholas natychmiast ruszył w stronę źródła dźwięku, węszył jak zwierzę, oddychając szybko i płytko. Gdy znajdował się piętnaście stóp od szybu wentylacyjnego umieszczonego wysoko w ścianie, wyczuł coś i odwrócił się. Oddalił się od tej części pokoju. To tylko przedłużyło czas, jaki mu pozostał, zanim derywat chloroformu zacznie działać na jego organizm. Ale potrzebował teraz jak najwięcej czasu.

Nie rozumiem, dlaczego tak długo czekamy — rzekł zjadliwie lekarz. — Potrzeba tylko trzech i pół minuty, aby gaz wypełnił piwnicę. — Potrząsnął przegubem dłoni, na której był chronometr, tak by inni nie przeoczyli faktu, że upłynął już prawie kwadrans, odkąd gaz — ciekawa mieszanina środka nasennego z grupy chloroformów oraz silnego koncentratu pejotlu, zmodyfikowana tak, aby działała przy wdychaniu raczej niż przy połknięciu — został wtłoczony do pomieszczenia.

— Cierpliwości, doktorze — odparł uspokajającym głosem Protorow. —

W pełni doceniam pański zapal, by zatopić swe szpony w nowym kliencie, ale myślę, że wiem, co jest najlepsze w tym przypadku.

Lekarz wzruszył ramionami i zaczął fałszywie nucić „Rojalistę i rewolucjonistę”, ludową piosenkę, której nauczyła go babka, gdy był dzieckiem. Chciał pokazać pozostałym, że w przeciwieństwie do nich, nie jest bezwolną marionetką w rękach Protorowa.

Poza lekarzem i Protorowem obecni byli: Piotr Aleksandrowicz Rusiłow, Koten oraz dwójka młodszych poruczników, będących pod bezpośrednim dowództwem Rusiłowa. Najświeższe szyfry Alfa-trzy dostarczyły Protorowowi informację, że Jewgienij Mironienko, pułkownik GRU, otrzymał od swoich kolegów wystarczające dla Protorowa gwarancje, iż specjalne posiedzenie Sztabu Generalnego odbędzie się. Wszyscy starsi rangą generałowie mieli w nim uczestniczyć. Teraz trzeba było jedynie — stwierdzał najświeższy komunikat Mironienki — żeby Protorow przywiózł generałom dowód swojej siły.

„Dowód mojej siły — pomyślał teraz Protorow — *Tenchñ* Wtedy, po raz pierwszy w swojej historii, GRU i KGB zjednoczą się we wspólnej sprawie. Kreml zadrży od stuku naszych butów, starcy ugną się przed nami jak łany pszenicy, czasy biurokratów staną się wspomnieniem, cała Rosja ruszy do marszu. Zaświta dzień Drugiej Rewolucji!”

Z wielkim trudem skrywał swoje podniecenie. Nawet Rusiłow nie może podejrzewać, że na horyzoncie szykują się kolosalne zmiany. Jeszcze nie teraz. „Będzie miał Dziewiąty pod swą całkowitą kontrolą — pomyślał Protorow. — Nie chcę dawać mu zbyt dużo zbyt wcześnie”.

— W porządku — opróżnić piwnicę — rozkazał.

Jeden z młodszych poruczników w odpowiedzi na sygnał dany dłonią przez Rusiłowa zamknął jeden zawór i otworzył drugi. Dwa wentylatory o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych wyciągnęły szkodliwe opary. Gdy czerwone światło zgasło, a zapaliło się zielone, Protorow rozkazał odblokować drzwi.

Koten wszedł pierwszy, za nim Rusiłow oraz dwaj młodszy porucznicy. Lekarz i Protorow zamykali pochód. W środku nie czuli żadnego zapachu. Powietrze było znowu czyste. Mężczyźni rozproszyli się w piwnicy niczym grupa na polowaniu: aroganccy w świadomości swej elitarniej pozycji, a jednak obawiający się świeżej i niezwykle niebezpiecznej zdobyczy.

— Wydaje się dostatecznie spokojny — powiedział lekarz, poprawiając okulary na nosie. — Nie sądzę, aby było inaczej.

Uznając go w myślach za głupca, Protorow dał znak Kotenowi.

Gdy ogromny *sumo* przechodził przez piwnicę, Protorow stanął naprzeciw miejsca, w którym znajdował się Nicholas.

— Oddech głęboki i równomierny — powiedział lekarz krążąc dokoła leżącego ciała. — Powieki nie drżą, puls spowolniony, kolor skóry właściwy dla stanu głębokiej nieświadomości. — Recytował medyczne spostrzeżenia jak litanie; było jednak coś, czego nie rozumiał i nie potrafił wytłumaczyć.

Protorow dał znak Rusiłowowi, aby przesunął się tuż za Nicholasa.

— W porządku — rzucił do Kotena.

Nicholas wstrzymał oddech dostatecznie wcześniej, by gaz nie pozbawił go przytomności. Nie było to dla niego trudne. Co najmniej osiem oddzielnych form *ninjutsu* miało u swych podstaw sterowanie układem wegetatywnym i układem oddychania, które praktykowali tybetańscy mistrzowie jogi. Dotyczyło to także regulacji temperatury ciała.

Lekarz zaskowyczał i uskoczył w bok, gdy Nicholas uderzył zbliżającego się *sumo*, kierując pięty w kolana Kotena, a nie, jak uczyniłby ktoś nie znający siły zapaśników, w potężny brzuch.

Koten okazał się niewiarygodnie szybki. Uchylił się, by uniknąć bezpośredniego ciosu. Ale nie do końca. Tym samym zdołał uchronić się przed złamaniem obu stawów. Znajdując się częściowo na linii ataku, zmniejszył siłę uderzenia. Mimo wszystko jednak upadł.

Nicholas zdawał sobie sprawę z obecności Protorowa wykrzykującego rozkazy, lekarza wycofującego się poza obszar walki i dwóch młodszych stopniem żołnierzy, którzy ruszyli w jego stronę. Był pewny, że da sobie z nimi radę. Jednak na peryferiach świadomości tkwiło nie uzupełnione równanie. Był zajęty Kotenem i większa część świadomości analizowała stale zmieniające się pomysły podstępów przeciwko czterem przeciwnikom.

„Jest ich czterech!?”

Była to ostatnia spójna myśl Nicholasa, zanim Rusiłow wbił sześciocalową igłę w jego umięśnione ramię. „Za późno” — pomyślał z goryczą. Pięć czarnych plam zawirowało przed oczami; zobaczył wszystkich pięciu napastników zbliżających się do niego, poczuł pięć razy uderzenie Kotena w głowę. Pięć plam rozrosło się w pięć czarnych studni, w które spadał jak kamień. Z oddali docierało do niego echo słów bez znaczeń, pytań bez odpowiedzi. Potem potężna dawka narkotyku trafiła do kory mózgowej i Nicholas stracił przytomność.

— Dobra robota — powiedział Protorow do Rusiłowa. — Widzi pan, doktorze — ciągnął dalej — wbrew temu, co piszą w pańskich książkach, nie mamy do czynienia ze zwykłą ludzką istotą. Ten człowiek mógłby pana unicestwić jednym dotknięciem palca.

Lekarz nie odpowiedział, drżał. Pomyślał: „Zupełnie tego nie rozumiem. Powinien już dawno stracić przytomność”.

— Może znowu udaje.

Protorow parsknął.

— Nie sądzę. Nie jest w stanie zneutralizować wstrzyknięć do krwiobiegu.

Kiwnął głową w kierunku drewnianego rusztowania ustawionego pod częścią czarnej ściany.

— W porządku, Koten. Zwiąż go — powiedział cichym głosem.

Musisz powrócić do źródła... jego źródła”. Słowa Masashigi Kusunokiego nasuwały się jej nieświadomie, wnikając do odtwarzanej rozmowy Sato z Feniksem. Akiko przeszłuchiwała tę część taśmy, jakby to mogło dać jej lepsze rozeznanie. Bez przerwy zastanawiała się nad treścią nagrania, starając się odgadnąć jego tajemnicę.

Siedziała w pokoju Kotena z czołem przytkniętym do podciągniętych w górę kolan, ramionami obejmowała nogi. Była naga. W świetle lampy wyławiającej z mroku jej postać skóra Akiko błyszczła niczym nasmarowana olejkiem, a cienie znaczyły smugami miejsca niedostępne dla światła. Ukryte i odsłonięte ciało Akiko było fizycznym odzwierciedleniem zagadki, która w niej tkwiła.

„Ludzie, którzy go wysłali, którzy go wyszkolili, stanowią wielkie zagrożenie dla Japonii”. Słowa Masashigiego.

„Masashigi. Co mnie opętało, by najpierw pójść do Gyokku?” Nie wiedziała, a może nie potrafiła sobie przypomnieć. Pamiętała jednak pierwszy moment, gdy zobaczyła Masashigi Kusunokiego. Tak, jakby odnalazła związek ze swoją przeszłością, c z ę ś c i ą przeszłości. Tak jak w prywatnym życiu należała do Saigo, tak w swoim życiu wojownika wydawała się należeć do Masashigiego. Od trzech tygodni była żoną Saigo, przed sześcioma opuściła zamek Kyokiego.

Gyokku było miejscem, w którym Masashigi ujął się za nią po raz pierwszy. Wyjechali oboje, gdy pozostali *senninowie* zaprotestowali i otwarcie wyrazili swój sprzeciw; nie pozwolili jej — kobiecie — zostać.

Pojechali do Tenshin Shoden Katori w Yoshino.

Dlaczego to dla niej zrobił? Cóż takiego widział w niej ten *sensei*? Co czyniło ją tak wyjątkową? Jakże się pomylił! Jego lojalność przyniosła mu jedynie śmierć; śmierć z rąk osoby, której bronił.

Akiko pamiętała uśmiech, który niczym lilie ozdobił twarz Kusunokiego w momencie, gdy przekraczał granicę życia i śmierci. Dlaczego? Dlaczego ktoś miałby się uśmiechać w takiej chwili? W życiu Masashigiego nie było miejsca na smutek. Był zestrojony ze światem, w zgodzie ze sobą i kosmosem. Nie mógł witać śmierci z radością. Był w pewnym sensie — przynajmniej tak o nim myślała Akiko — świętym człowiekiem. To było kolejnym powodem, dla którego wybrała go na swą pierwszą ofiarę. Jeśli maskowanie *wa*, którego nauczył ją Kyoki, udałoby się w przypadku takiego człowieka, udałoby się w przypadku każdego.

Było coś w powietrzu — może zapach przypraw — czego Akiko nie potrafiła określić. Uniosła głowę i rozejrzała się dokoła, jakby podejrzewając, że nie jest sama. Powietrze za na pół rozsuniętą *fusuma* zaiskrzyło się przez chwilę. Papiery na biurku w głębi pokoju poruszyły się. Ale to był przecież tylko wiatr, prawda?

Akiko zadrżała lekko. „Dlaczego się w tym wszystkim zagłębiam? — pomyślała. — Ludzie, którzy go wyszkolili i wysłali, stanowią wielkie zagrożenie dla Japonii”. Masashigi-san mówił o *muhon-ninie* Tsutsumu. Ona sama uśmierciła drugiego *muhon-nina*, Tengu, zwracając do *ryu* to, co ukradł.

Teraz wiedziała, że w Tenshin Shoden Katori był trzeci zdrajca. Masashigi Kusunoki powstał przed nią jak widmo i nakazał jej uczynić to, czego ją nauczył: wypełnić powołanie, które on jeden w niej dostrzegł. Pomyślała o Sato, Feniksie i Nicholasie, który był na północy, na Hokkaido. Przede wszystkim o Nicholasie.

Wstała i weszła do sypialni. Z dna dolnej szuflady, do której Sato nigdy by nie zajrzał, wyjęła kimono z jasnoszarym wzorem na ciemnoszarym tle. Górna połowa z jednej strony była pokryta ciemnobrązową plamą w miejscu, na które trysnęła krew starego mistrza.

Powoli i z czcią naciągnęła je na siebie. W ciągu paru chwil była gotowa. Ruszyła na północ.

Gdy Nicholas obudził się, stwierdził, że jest przywiązany do koła. Wywał się raptownie ze stanu podświadomości, ale nie otworzył oczu, nie zmienił rytmu oddychania i w żaden inny sposób nie okazał tym, którzy, jak przypuszczał, byli z nim w piwnicy, że odzyskał przytomność.

Czymkolwiek go naszpikowali, był to bardzo silny środek, ponieważ jego działanie jeszcze nie ustąpiło. Czuł lekki zawrót głowy. Nie był wcale pewny, czy może trzeźwo myśleć. Mimo to logika nakazywała, aby spróbować ocenić aktualną sytuację.

Był przywiązany skórzanymi pasami za palce, przeguby, w pasie, za uda i kostki. Wisiał wysoko nad podłogą. Przypomniawszy sobie niewyraźny zarys rusztowania.

Najbardziej niepokoił go Protorow. Był dostatecznie inteligentny, by zrozumieć, jakim człowiekiem był Nicholas. On jeden spośród Rosjan podejrzewał, że Linnear dzięki swojemu treningowi nie podda się działaniu gazu. Znakomicie podszedł Nicholasa pozwalając, by Koten — oczywiście główne zagrożenie — odwrócił jego uwagę, podczas gdy sam pozostał w polu jego widzenia. Brakowało tylko młodego oficera Rusiłowa, który kierował akcją w *rotenburo*. Nie brakowało go w rzeczywistości — znajdował się za plecami Nicholasa. Nie było czasu nawet na to, by zadziałał *haragei*. Nicholas uzmysłowił sobie, że chyba robi się na to za stary. Powinien był wyczuć obecność Rusiłowa. Nie docenił Sowietów, a zwłaszcza Protorowa, i zapłacił za to.

Otworzył oczy.

— Ach — odezwał się przyjaźnie Protorow — czy jest pan zadowolony z odpoczynku?

„Skąd on tyle o mnie wie? — spytał samego siebie, próbując zgiąć palce. Pasy nie pozwalały na to. — Interesujące — pomyślał. — Przygotował to dla mnie. Z pewnością byłoby to niepotrzebne dla więźnia pozbawionego moich umiejętności”.

Nicholas zdawał sobie sprawę z tego, ile osób było w piwnicy oprócz niego i Protorowa, jak również z tego, gdzie stały. Było dwóch mężczyzn: Rusiłow i lekarz. Rusiłow stał tuż za nim, na prawo od szefa swojego wydziału, lekarz był blisko lewego ramienia Nicholasa. Strzykawka i apteczka leżały obok na taborecie.

Protorow nie był zainteresowany odpowiedzią. Rozłożył gruby plik wydruków z komputera, który ciągnął się za nim niczym ogon. Trzymał jedną stronę w górze, przed twarzą Nicholasa. Nicholas wpatrywał się w znaki, próbując się skupić. Pomyślał, że widział coś podobnego w kilku czasopiśmie, takich jak: „Scientific American” oraz „Smithsonian”, na rysunkach wyszczególniających trasy lotów różnych satelitów NASA.

— Czy ten obszar nie wydaje się panu znajomy, gospodin Linnear? — Protorow mówiąc do niego używał dotychczas wyłącznie języka rosyjskiego. — Powinien. To północna połowa Honshu, całość Hokkaido, cieśnina Nemuro, południowy kraniec Kuryłów.

Protorow nie odrywał od niego oczu.

— Tutaj — powiedział, uderzając palcem w jeden z kilku oznaczonych na czerwono punktów — daleko od brzegu, znajduje się pęknięcie pomiędzy dwiema płytami tektonicznymi. Tu i tu, na samej Honshu, znajdują się miejsca, w których w przyszłym tygodniu nastąpią trzęsienia ziemi o dużej sile, ponad siedem stopni w skali Richtera. Początkowy wstrząs został już zarejestrowany tutaj, na północny wschód od Tokio.

Protorow strzelił palcami i Rusiłow, niczym asystent prestidigitatora, zmienił pokazywany wydruk. W tym kadrze skalę powiększono i odtworzony został szczegółowy wycinek mapy z pierwszej strony.

— A tutaj — ciągnął dalej Protorow, ponownie wskazując palcem — jest następny gorący punkt. Ale raptem okazuje się, że nie znajduje się on pod żadnym z poznanych dotychczas uskoków tektonicznych. Przeciwnie, jest dokładnie w miejscu, w którym wcześniej nic się nie działo. Nie ma żadnej n a t u r a l n e j przyczyny jego istnienia.

Papier zaszeleścił jak niespokojny owad.

— Jak pan to wytłumaczy, gospodin Linnear?

— Może mi pan powie, na co, u licha, patrzę?

Protorow cmoknął przykładając język do podniebienia.

— To byłoby zbyt łatwe.

Z czasów swojej młodości Nicholas przypomniał sobie zetknięcie się z japońskimi zakonnicami. Ich widok był dla niego absurdalny. Japoński duch był synonimem harmonii z naturą, żywiołami kosmosu. Jego zdaniem chrześcijaństwo nauczało boskiego porządku, który został ustalony przez samego człowieka, chociaż jego wyznawcy twierdzili inaczej. Historia Kościoła rzymskokatolickiego była splamionym krwią proporcem wzniesionym w imię własnej dominacji.

Nicholas stwierdził, że wszyscy katolicy są aroganccy, a żaden nie był bardziej arogancki niż zakonnice i księża. Wyznawali wycinkową moralność, która nie uwzględniała żadnych naturalnych elementów. Ani natura człowieka, ani też natura jego środowiska nie interesowała członków kościelnej hierarchii. Ich moralna prostolinijność czyniła ich głuchymi i ślepyimi.

Przyszło mu teraz na myśl, chociaż to porównanie mogłoby rozwścieczyć Protorowa, że jego oprawca miał te same odrażające cechy, jakie z takim poczuciem słuszności popierał Kościół. Protorow nie różnił się tak bardzo od księdza, chociaż sam nie mógłby nigdy tego zrozumieć; komunizm był

równie zaślepiiony w swej moralnej prostolinijności jak katolicyzm.

— Jeśli się tego nie dowiem, gospodin Protorow — rzekł Nicholas — nie będę mógł panu udzielić logicznej odpowiedzi.

— Czy chce pan powiedzieć, że nie rozpoznaje pan w tych konturach tego, co można byłoby zobaczyć z daleka? — Protorow potrząsnął arkuszami wydruków, podrywając ciągnący się za nim ogon. — Powiedzmy z dwudziestu dwóch tysięcy trzystu mil nad powierzchnią ziemi. To oznaczałoby orbitę geostacjonarną satelity utrzymującego się nad tym jednym punktem na Pacyfiku.

Protorow podszedł bliżej.

— Czy widzi pan to, gospodin Linnear? Cieśnina Nemuro. Granica pomiędzy Japonią i Związkiem Sowieckim. — Jego oczy błyszczały gorączkowo. — A czy widzi pan również obszar zaznaczony na czerwono? Znajduje się u dołu cieśniny, na terytorium Japonii... i naszym!

Protorow skinął głową i Nicholas wiedział, co nastąpi. Z ciałem nie mógł już teraz nic zrobić, lecz ze świadomością było zupełnie inaczej. Błyszcząca stalowa igła wbiła się w jego ramię prawie tuż obok miejsca, w którym zrobiony został pierwszy zastrzyk. Skóra wzduła się jak balon, płyn ze strzykawki zalał pęcherzyki płuc. Nicholas topił się, chciało mu się krzyczeć. Serce zaczęło bić szalonym rytmem.

Dyscyplina.

Wziął swoją świadomość za rękę, jak ojciec bierze przerażone dziecko, i wkroczył tam, gdzie nie było miejsca na lęk. *Getsumei no michi*.

Gdzieś poza nim Protorow, którego głos rozpląwał się stopniowo, wołał:

— Co pan wie o *Tenchi*? Ile wie Minck? Powie mi pan to, gospodin Linnear. P o w i e mi pan to przed swoją śmiercią.

Czy dowiem się teraz, dlaczego naprawdę pojechałeś za mną aż na Hawaje?

Rick Millar siedział na skraju przezroczystej plastikowej tratwy, którą wypożyczyli w domku na plaży hotelowej. Jego długie opalone nogi zwisały do wody. Miał na sobie krótką piankę surfingową, którą kupił w Lahaina.

— Sądzę, że znasz już odpowiedź — odparł.

Justine uśmiechnęła się. Czowała się bardziej beztroska niż przez wiele poprzednich miesięcy.

— Pochlebia mi fakt, że chciałeś mnie uwieść.

Millar roześmiał się dobrodusznie.

— To nie było tylko pożądanie, wiesz o tym. Chcę, żebyś wróciła do firmy bez względu na to, co stanie się z nami.

— To już się stało — powiedziała Justine. — Naprawdę cieszę się, że przyjechałeś.

Rick obserwował ławicę złotych rybek płynących tuż nad rafą, nad którą dryfowali.

— Musisz go bardzo kochać, skoro jesteś tak lojalna wobec niego.

To, o czym najczęściej teraz myślała, co było jej najbliższe, było wspomnieniem chwil, gdy niespokojna i wystraszona budziła się w środku nocy i mogła wyciągnąć rękę, dotknąć dłoni Nicholasasa. Była to dłoń niepodobna do żadnej innej. Leżała gładząc jej brzeg o naskórku twardym jak stal. Ten ruch uspokajał ją, niczym tulenie się do pluszowego misia, i wkrótce z powrotem zapadała w sen.

Ale to były dawne czasy i dawna Justine. Nie wierzyła, że strach i niepokój nadal będą częścią jej życia.

Wpatrując się w zalany słońcem Molokai Channel, w którym czarnobiałe grzbiety wspaniałych wielorybów pruły powierzchnię wody, widziała swą niedojrzałość, jakby stanowiła część innej osoby: wyraźnie i bezstronnie.

Była już poza nią.

Stwierdziła, że zawsze lękała się miłości... prawdziwej miłości — takiej, jaką darzyła Nicholasasa. Całe jej dorosłe życie było ciągiem spotkań z mężczyznami, którzy nie mogli w żaden sposób zapewnić jej stabilnego życia we dwoje. Pociągali ją na ogół tacy, którzy pragnęli ją wykorzystać i zostawić. W efekcie sprawiali, że powracała do swej samotności, w której czuła się bezpieczniej.

Przyszło jej na myśl, że w takich właśnie chwilach prowokowała ojca, by wtrącił się w jej życie. Widziała w tym swoistą gwarancję, że ojciec wciąż ją kocha, że troszczy się o nią na tyle, by oderwać się od pochłaniającej go bez reszty pracy i zrobić coś dla niej.

Jak mała dziewczynka oczekiwała manifestacji ojcowskiej miłości. Dopiero teraz to zrozumiała.

Oszołomiona Justine siedziała w hawajskim słońcu, wpatrując się nic nie widzącymi oczami w wyspę, która kiedyś była domem dla trędowatych. Wydawało się ironią losu, że musiała przebyć całą tę drogę, aby znaleźć się blisko Molokai. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, dlaczego tutaj przyjechała. Znajdowała się mniej więcej sześć tysięcy mil od domu. O tyle bliżej była Japonia i... Nicholas.

— Nie chciałabyś popływać? — spytał łagodnie Millar.

Justine wyciągnęła dłoń i ścisnęła jego ramię.

— Idź, jeżeli masz ochotę. Dołączę do ciebie za parę minut.

Skinął głową i ześliznął się z brzegu tratwy. Odpływał powolnym i spokojnym kraulem, wszystkie jego mięśnie wykonywały zgodne ruchy.

Justine obserwowała go leniwie z zadowoleniem; nigdy przedtem nie widziała go takim. Millar był przystojnym mężczyzną, godnym pożądania pod każdym względem. Ileż jej przyjaciółek, związanych z kimś lub nie, dałoby wszystko, aby być teraz na jej miejscu. Roześmiała się głośno. Przyjemnie jest wzbudzać namiętność takiego mężczyzny, ale jeszcze przyjemniej było delektować się doskonałością swojej miłości do Nicholasa. Czowała teraz z cudowną siłą jego obecność, jakby to on był tym, który płynął tak blisko niej.

Starcie z Nicholasem wydawało się jej teraz absurdalne i pozbawione znaczenia, podczas gdy wcześniej przybrało gigantyczne rozmiary walki bogów. Stało się tak, ponieważ zrozumiała, że nie z Nicholasem toczyła tę walkę, lecz z sobą. W miarę upływu czasu musiała przyznać, że popłoch, z jakim przyjęła jego oświadczenie, spowodowany był całkowitą pewnością, że człowiek, którego zamierzała poślubić, stanie się kolejnym wcieleniem jej ojca.

Teraz rozumiała, że lękała się dlatego, iż nieświadomie tego pragnęła. Przecież Nicholas nie był ojcem; to, co zrobi ze swoim życiem, zależało jedynie od niego... a teraz również od niej. Mieli życie w swoich rękach. „Jak by Nicholas to określił?” Mieli swoją własną *karmę*. Uśmiechnęła się raz jeszcze na myśl o tym. Tak, *karmę*.

I jej *karma* nakazywała być przy nim, bez względu na to, czy był szefem Tomkin Industries, czy też występował w innej roli. Nie bała się już oddania serca drugiemu człowiekowi, nie bała się dzielenia z kimś życia. W rzeczywistości wiedziała, że tego właśnie pragnie.

Z łatwością dopłynęła do miejsca, w którym Rick unosił się na wodzie i oglądał zabawne harce olbrzymich wielorybów.

— Koniec rozmyślania? — spytał beztrzesko.

— Rozmyślanie. — Roześmiała się radośnie. — Tym zajmują się dorośli, prawda? Mam więc sporo do nadrobienia.

Uważnie zmierzył ją wzrokiem, zaskoczony tym, co usłyszał.

— Czy wrócisz, żeby objąć stanowisko wiceprezesa do spraw projektowania?

Justine spoważniała.

— Rick, zanim podejmę decyzję, muszę uzyskać od ciebie pewne gwarancje.

Skinął głową.

— Zrobię, co będę mógł.

— Dobrze. — Przyglądała mu się w zamyśleniu. — Tak szybko wyjechałam, że nie miałam czasu skontaktować się z Mary Kate, chociaż zostawiłam wiadomość u jej służby. To oznacza, przynajmniej na razie, że będę musiała ci zaufać. — Przerwała z rozmysłem, aby sprawdzić, czy Rick będzie się broił, a gdy nic nie powiedział, ciągnęła dalej: — Jeśli zwolniłeś ją z pracy bez uprzedzenia i wbrew jej woli, jeśli próbowałeś ulokować mnie na jej stanowisku, zanim to się stało, to — tak jak powiedziałam ci wcześniej — nie chcę mieć z tą pracą nic wspólnego. To jest nieodwołalne.

— W porządku, to oczywiste. Twoje słowa dotarły do mnie głośno i wyraźnie. Mary Kate nie była z nas zadowolona, prawdą jest, że my z niej również. Nasze drogi się rozchodziły, gdy spotkałem się z tobą. Próbowałem jej pomóc, Justine. Chciałem, żeby rozwiązywała problemy. Ale prawdą jest, że tego nie robiła. Była dostatecznie bystra, by to zrozumieć, to wszystko.

— Więc rozmawialiście o jej odejściu, zanim zjadłeś ze mną ten pierwszy lunch?

— Tak.

— Rick, to dla mnie ogromnie ważne, więc nie chcę, by nastąpiła w tej sprawie jakaś pomyłka. Wystarczy jeden telefon do Mary Kate.

— Myślę zatem, że powinnaś zadzwonić do niej, Justine. Chciałbym, żebyś wierzyła w to, co ci mówię, ale potrafię zrozumieć, że możesz mieć pewne wątpliwości. Twoja przyjaciółka nie powie ci nic ponad to, co już wiesz ode mnie. Kropka.

Justine uznała, że nadszedł czas, by rozładować napięcie. Uśmiechnęła się i opryskała go wodą.

— W takim razie sądzę, że przyjmę twoją ofertę.

Unieśli się niczym korkowe boje na wzburzonej fali, która jak nacierający przeciwnik wpadała na rafę koralową, rozrywając się na jej najężonym grzbiecie.

— Ale teraz jadę do Japonii.

Millar wiedział, co to oznacza. Justine powiedziała mu o Nicholasie, o tym, gdzie jest i co między nimi zaszło. Uśmiechnął się i był chyba w tym uśmiechu cień smutku. Był to uśmiech, jaki piękny rybak posyła dzielnemu marlinowi, który pokonał go w walce zrywając w końcu żyłkę. Mógł żałować, że nie złowił go, ale podziwiał stworzenie, które mu umknęło. Mógł

cieszyć się nawet, że tego dnia górą była wolność.

— Wiesz, przez wiele lat zazdrościłem Japończykom ich metod reklamy. Mam nadzieję, że wrócisz z teczką pełną ich tajemnic zawodowych.

Roześmiali się oboje.

Chiu Szczęściarz nie odpowiedział, tylko położył palec na ustach i dał Nangiemu znak, żeby ruszył za nim. Przecznicę dalej, przy Po Shan Road, wznosiły się wysokie konstrukcje budynków mieszkalnych Mid-Levels, zbudowane dla bogaczy z Hongkongu. Mieli wrażenie, że poruszają się w obrzymim widmowym lesie.

Ciężka mgła wisiała w powietrzu. Nie było widać gwiazd ani księżyca. Nangi dziękował za to, nie chciał, żeby ktoś zauważył go, jak o czwartej nad ranem grasuje po Kolonii.

Chiu szybko sprowadził go z chodnika, gdy podeszli do jednego z wieżowców. Ruszyli bezszelestnie wąską, skrytą w cieniu alejką, pełną walających się puszek i innych śmieci.

Zeszli po niskich schodach i otworzyli metalowe drzwi. Znaleźli się wewnątrz budynku, w podziemiach. Światło docierało ze słabych żarówek podwieszonych do giętkiego przewodu biegnącego wzdłuż betonowego stropu. W korytarzu dwaj młodzi Chińczycy grali w fan tan. Unieśli wzrok, najwyraźniej rozpoznali Chiu Szczęściarza i powrócili do swojego zajęcia. Nikt nie wyrzekł słowa. Nangi nie musiał pytać swojego towarzysza, kim byli ci młodzi ludzie. Green Pang. Wiedział, że niedługo powinni spotkać Trzeciego Kuzyna Toka, numer czterysta trzydzieści osiem, który wciąż musiał ukrywać się w mieszkaniu Soczystej Pien.

Triady, które skutecznie przeniknęły do większości zdominowanych przez Chińczyków struktur Kolonii — obejmowało to również skorumpowane oddziały Królewskiej Policji Hongkongu — były częściowym akronimem *San Ho Hiu*, Stowarzyszenia Trzech Harmonii. Kiedyś było ono najpotężniejszym z tajnych chińskich stowarzyszeń. Zostało założone przez gorących patriotów do prowadzenia ciągłej kampanii partyzanckiej przeciwko mandżurskim najeźdźcom, którzy w tysiąc sześćset czterdziestym czwartym roku obalili dynastię Ming.

Walczyły obecnie ze sobą ogniem i mieczem na wąskich ulicach Hongkongu o prawo do sprawowania rządów. Niepohamowany rozwój miasta był tym, co tak skutecznie rozbiło chińską rodzinę. Urbanizacja oraz zbyt gwałtowne uprzemysłowienie rolniczej dotąd gospodarki. Triady oferowały teraz rodzinę zastępczą i zapewniały większy prestiż; większy niż kiedykolwiek mogła zapewnić obsługa przecinarki, która kroїła trzy tysiące nogawek džinsów podczas jednej zmiany.

„Oto są wzniosłe przyczyny, by zostać ulicznym bojówkarzem w Green Pang lub 14 K, jej odpowiedniku w dialekcie kantońskim” — pomyślał Nangi.

Wysiedli z windy na czternastym piętrze. Chiu zatrzymał się przed drzwiami, wyciągnął z kieszeni spodni zestaw wytrychów i zabrał się do otwierania drzwi. Zamek ustąpił po paru sekundach.

Mieszkanie było urządzone w ciepłej różowo-żółtej tonacji; połączenie tych barw rozdrażniło Nangiego. Został zaprowadzony do jednego z trzech przestronnych pokoi. Spozrzegł błysk odbity w oku i takie było jego milczące powitanie z Trzecim Kuzynem Tokiem; barczystym mężczyzną o groźnej, poranej bliznami twarzy. Nangi nie zauważył żadnego podobieństwa między nimi. Nie przypuszczał też, że ktoś o tak wysokiej randze będzie młodym człowiekiem.

Kuląc się podeszli do Toka; ten odsunął się, kiedy już byli blisko. Nangi spostrzegł, że Chińczyk kurczowo trzyma czarnego nikonu z pięcioletowym obiektywem.

Pomiędzy sypialniami znajdowały się drzwi; były nieznacznie uchylone. Nangi mógł rozróżnić szept i zerkając Chiu Szczęściarzowi przez ramię, przypatrzeć się drugiej sypialni.

Zobaczył skrawek lustra, ramę toaletki z tekowego drzewa, zastawionej małymi kryształowymi flakonami perfum oraz kilkoma pudełkami szminki. Na ścianie dostrzegł ramę; obraz lub zdjęcie było poza zasięgiem jego wzroku. Pod ścianą stało łóżko z różową atlasową kołdrą i żółtymi prześcierałkami. Sterty poduszki i... dwa ciała, zupełnie nagie. Kontrastowały ze sobą tak samo jak zestaw kolorów.

Soczysta Pien leżała w omdleniu, a jej żółtawe ciało błyszczało w przyćmionym świetle lampy. Człowiekiem dzielącym z nią łóżko wcale nie był Liu, lecz Indoeuropejczyk mierzący — jak ocenił Nangi — znacznie ponad sześć stóp, o rudych włosach, dość wysokim czole, starannie przyciętych wąsach oraz jasnych i inteligentnych błękitnych oczach.

„Gdzie ja widziałem tę twarz?” — zastanawiał się Nangi. W tym momencie nikt nie mógł mu przypomnieć. Skoncentrował się więc na obserwacji i podsłuchiwaniu. Rozmawiali po angielsku.

— W przyszły wtorek będą przewozić trzy czwarte tony — mówiła Soczysta Pien. — Jak zwykle zadaniem Liu będzie wprowadzenie ładunku do Kolonii.

— Czy możemy go przechwycić? — spytał rudowłosy mężczyzna. — Minęło dopiero sześć tygodni od ostatniej obławy.

— W tym ładunku jest coś więcej niż złoto. — Oczy Pien błyszcząły. — Mają również zostać przekazane informacje. Ściśle tajne informacje.

— Na jaki temat?

Dziewczyna zachichotała i pogładziła jego owłosione udo.

— Jak bardzo chciałbyś wiedzieć?

— Ja? Właściwie nic mnie to nie obchodzi.

Nangiemu zaświtało w głowie, że mężczyzna mówi z wyraźnie szkockim akcentem.

— W takim razie to, że nie mogę ci powiedzieć, nie ma znaczenia. — Głos Soczystej Pien zamienił się w głęboki pomruk, gdy jej calce zsunęły się z muskularnego uda mężczyzny. Objęła go. — Ślubowałam zachować to w tajemnicy.

Rudowłosy mężczyzna miał przymknięte oczy.

— Gwiżdżę wprawdzie na to, kochanie, lecz rząd Jej Królewskiej Mości mógłby być trochę zainteresowany tymi ściśle tajnymi informacjami.

Gładziła go delikatnie palcami.

— Ale co ja mam zrobić, postawiona w ten sposób przed przykrym dylematem? Nie mogę nadużyć ich zaufania.

Rudowłosy mężczyzna wydał z siebie głęboki jęk.

— Skoro zwróciłaś się do mnie o pomoc, kochanie, myślę, że powinnaś mi powiedzieć — rzekł przez zaciśnięte z rozkoszy zęby.

— Jest taki duży. — Soczysta Pien spuściła oczy. — Stale mnie zdumiewa to, jak duży się robisz. — Uniosła głowę. — Ponieważ jest taki duży, powiem ci.

Nangi zrozumiał, że to wszystko było erotyczną grą. Od samego początku miała zamiar mu powiedzieć. „Więc tak właśnie Soczysta Pien uzupełnia swoje dochody — pomyślał. — Zaufana najpotężniejszego Chińczyka-komunisty w Kolonii zdradza”.

Masowała go teraz jeszcze mocniej. Nie spuszczała wzroku ze swojej dłoni.

— Informacje zawierają nowe zadania dla ponad połowy wyższych rangą komunistycznych oficerów operacyjnych pełniących tajne misje w rządzie Kolonii, departamencie policji oraz służbie bezpieczeństwa.

— Wielki Boże!

Nangi nie był pewien, czy rudowłosy mężczyzna zareagował na informację, czy też na zabiegi Soczystej Pien. Zaczynał rozumieć powód, dla którego tak ją nazywano.

Chinka nasunęła się z gardłowym śmiechem na leżącą postać, jednym błyskawicznym ruchem wprowadzając w siebie jego sztywny członek. Zamknęła oczy i opadła na niego, drżąc mocno w chwili zetknięcia się z owłosionym brzuchem kochanka.

— Ciągnij za moje piersi — wyrzuciła z siebie ciężko oddychając. — Uwielbiam, gdy to robisz.

Uniósł posłusznie dłonie i Pien krzyknęła przeraźliwie. W tym czasie, w sąsiednim pokoju, Trzeci Kuzyn Tok strzelał migawką czarnego nikonu; teleobiektyw zapewniał wyraźne i dokładne ujęcia twarzy uczestników miłosnej gry oraz ich złączonych, ociekających potem ciał. Klęczący obok Chiu zwiększał poziom głośności w mikroskopijnym magnetofonie wyposażonym w mikrofon o niskiej charakterystyce rozproszenia dźwięku.

Pośladki rudowłosego mężczyzny podrywały się z różowo-żółtego łóżka nierównym rytmem, jakby chciał zrzucić z siebie swego jeźdźca. Nie zapamiętał się jednak jeszcze tak bardzo, by stracić poczucie rzeczywistości.

— Nie chcę skompromitować Liu. Zrozum to.

Soczysta Pien dyszała ciężko i jęczała.

— Wiem o tym... Ochchch... on również o tym wie. Wszystko idealnie przygotował. — Jej głos przeszedł w krzyk. — Och, teraz, teraz, teraz, mój wspaniały ogierze! Napelnij mnie po brzegi!

Nangi i Chiu Szczęściarz powoli, krok po kroku, wycofali się tą samą drogą, którą przyszli. W korytarzu podziemi ci sami dwaj członkowie Green Pang nadal byli pochłonięci swoją fan tan.

Na zewnątrz, w brudnej alejce, Nangi otarł chustką czoło.

— To w ogóle nie chodzi o nią — powiedział. — To sam Liu! Działa na dwa fronty. Panno Święta, z pewnością doigra się śmierci.

— Nie doigrał się do tej pory. — Chiu Szczęściarz wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To bardzo sprytny człowiek... i zarazem bardzo groźny.

Nangi starał się, jak mógł, stłumić swoje uniesienie, to tak obce mu i potencjalnie niebezpieczne uczucie.

Czuł teraz, że sprawy na dobre zmieniają bieg. Myślał pośpiesznie. Musiał być pewien, i potrzebował w tym celu pomocy.

— Chiu, skąd możemy mieć pewność, że informacje, którymi ta kobieta karmiła swego kochanka, nie były komunistycznym fałszem? — zapytał.

— Normalnie nie byłoby szans, by je uzyskać — odparł młody Chińczyk. — Moje źródła informacji z pewnością nie są dobre, a może pan sobie chyba wyobrazić, że Trzeci Kuzyn Tok mógłby dokonać w tej sprawie niewiele więcej. — Znowu uśmiechnął się szeroko i Nangi zastanawiał się, co go tak bawiło. Miał się wkrótce przekonać.

— Ale w tym wypadku nie potrzebujemy dodatkowej weryfikacji — ciągnął dalej młody człowiek. — Bowiem, widzi pan, ten obcy diabeł uwięziony w objęciach Pien to Charles Percy Redman we własnej osobie. A nikt w Hongkongu, a już na pewno nie Soczysta Pien, nie śmiałby zaryzykować dostarczenia mu fałszywej informacji. Ma tak dobre kontakty, że błyskawicznie dowiedziałby się o tym i informator już nigdy nie ujrzałby światła wschodzącego dnia.

Nangi, trzymając dłoń w kieszeni na piersiach, dotknął śliskiej powierzchni czerwonej koperty, którą dał mu Liu, ogromnie upokarzając go w ten sposób. Teraz dopiero pozwolił, by zawałdnęło nim uniesienie.

Co to znaczy, że nie potrafisz tego odczytać?

— Tylko to, Protorow-san — odparł Koten.

— To po japońsku, czyż nie? — Protorow, który nigdy nie zadał sobie trudu, by nauczyć się trudnego języka japońskiego, nie potrafił jednak zrozumieć braku tej umiejętności u innych.

— I tak, i nie.

— Nie płacę ci za układanie zagadek.

— Zrobiłem to, co mi kazano — powiedział ogromny mistrz *sumo*. — Przeniknąłem do *kobunu* Sato, współdziałałem z pana porucznikiem Rusiłowem w *rotenburo* i w efekcie straciliśmy waszego ostatniego szpiega. Wykonałem swoje zadanie.

— Twoim zadaniem — odparł Wiktor Protorow — jest dokładnie to, co ci mówię. Musisz odczytać mi dokumenty z Tenshin Shoden Katori. Od tego zależy twoje życie.

— Muszę zatem zginąć, Protorow-san, ponieważ nie potrafię przetłumaczyć tego dokumentu. Naprawdę. To pismo zawiera chińskie ideogramy, na których oparty jest również mój język. Jednak wykorzystuje ono ideogramy, które z *kanji* wyrzucono jako, być może, zbyt złożone, trudne lub umożliwiające mylną interpretację. — Rozłożył dłonie o krótkich i grubych palcach. — Jeśli o mnie chodzi, mógłby to równie dobrze być język arabski. Niewątpliwie jest to szyfr *ryu*. Gdyby mi pan pozwolił kierować akcją w *rotenburo*,

pański szpieg byłby teraz tutaj, a nie sześć stóp pod ziemią. Bez wątpienia mógłby to przetłumaczyć. — Jego ramiona uniosły się i opadły. — Ale teraz...

Protorow trzasnął dłonią w blat stołu i zacisnął w pięści kartki papieru. „To niesprawiedliwe! — pomyślał. — Tajemnica *Tenchi* była dosłownie w jego ręku, owoc najważniejszej tajnej operacji, jaką kiedykolwiek zorganizował, miecz, którego potrzebował, by olśnić generałów GRU, wstrząsnąć Armią Czerwoną i rozpocząć swój przewrót, i nie mógł jej odczytać. Niewiarogodne!”

Przez chwilę myślał, że może oszaleć z powodu zawiedzionych nadziei. Potem zrobił kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić pośpiesznie bijące serce. Raz, dwa, trzy. Jego umysł zaczął pracować.

— Linnear to *ninja* — powiedział cichym głosem Ko ten. — Odbył przeszkolenie w Tenshin Shoden Katori. Nie jest wykluczone... — zawiesił głos.

Nadzieja eksplodowała w myślach Protorowa niczym błysk pioruna. Tak! Linnear był teraz jego jedyną nadzieją. Od czasu gdy przebywał w *ryu*, upłynęło wiele lat, mimo to... tradycja rzadko ginie w Japonii. Protorow wiedział, że istnieje przynajmniej jakaś szansa, iż szyfr się nie zmienił. Z pozorów wydawało się to rozpaczliwym hazardem, ale działał teraz pod silną presją czasu. Mironienko zbierał generałów. Za sześć dni spotkają się i musiał tam być, by przedstawić im swój plan. Musiał im dostarczyć informacje o *Tenchi*, bo inaczej na zawsze utraci ich zainteresowanie. Przy neandertalczykach zasiadających w GRU mogło już nigdy nie być następnego otwarcia, przynajmniej na KGB.

Protorow okręcił się na pięcie i szybkim krokiem wyszedł z małego pokoju, by wezwać lekarza z jego magiczną igłą.

— Muszę z nim teraz rozmawiać.

— Teraz? — Oczy lekarza pod grubymi szklami zrobiły się okrągłe i przeżone. — Ale powiedział pan przecież, że daje mi czterdzieści osiem godzin na proces rozmiękczenia.

— Nie mam już na to czasu — uciął Protorow. — Rzeczywisty świat, doktorze, jest nieskończenie zmienny. Musi się pan przyzwyczaić do tych nagłych zmian.

— Ale nie wiem, co zdołam zrobić w tak krótkim czasie — odparł lekarz równając krok z Protorowem. — Otrzymuję sprzeczne sygnały z jego kory mózgowej, nie potrafię się w nich połapać. Nie mogę zagwarantować, jak silnie działają na niego moje środki, jeżeli w ogóle działają.

— Niech pan zatem podwoi dawkę — rozkazał Protorow. — Niech pan ją potroi, nie obchodzi mnie to, jeśli tylko będzie teraz mówił.

Lekarz zaniepokoił się.

— Ale tak silna dawka z pewnością zabije go w ciągu piętnastu, maksimum dwudziestu minut.

Protorow skinął głową.

— To wszystko, czego będę potrzebował, doktorze. Proszę natychmiast się nim zająć.

Nazywa się Gordon Minck. Często przyjeżdżał do Key West, żeby być ze mną.

— Co dokładnie rozumiesz przez „być ze mną”?

— Uwielbiał sposób, w jaki go dosiadałam — odparła dość wulgarnie Alix Logan. — Czy to wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie?

— Sądzę, że tak — powiedział Croaker.

Siedzieli w samochodzie jadąc Tunelem Lincolna, w drodze do mieszkania Matty'ego Gaduły.

Przez chwilę zastanawiał się nad jej odpowiedzią.

— Przepraszam — powiedział. — Nie wiedziałem, że to bolesny punkt.

Alix oparła głowę o fotel i przymknęła oczy. Gęste blond włosy spływały niczym morska piana wzdłuż policzków.

— A co sobie myślałeś? Facet, który jest silny i przystojny, silny — och, nie wiem, jak to powiedzieć — duchem, robi do mnie maślane oczy. Jest niebezpieczny, widać to na jego twarzy jak bliznę lub ślady po ospie.

„Powinienem był cię zabić — mówi mi — ale nie potrafię. Nie chcę nawet myśleć o tym, że nigdy już nie ujrzę tej twarzy”.

— Och, jakie to urocze — wtrącił Croaker. — Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

— Milcz — ucięła Alix. — Teraz ci mówię, prawda?

Światło jarzeniówek i cienie padały na nich w rytmiczny sposób jak nuty odmierzane metronomem.

— „Nie chcę cię tracić — mówił — ale pracuję w branży, w której nie mogę sobie pozwolić na popełnienie pomyłki”. Spojrzał na mnie w taki sposób, że zrobiło mi się zimno. „Czy będziesz taką pomyłką, Alix?”

„Nie, nie będę” — powiedziałam. „Obiecujesz?” — zapytał. „Tak” — odparłam i naprawdę tak myślałam. — Zaczęła płakać. — I zobacz teraz, co narobiłam. — Szlochała. — To wszystko twoja wina. — Słysząc było płacz zagubionego i zdezorientowanego dziecka.

Croaker nie sądził, że musi odeprzeć ten zarzut, był zbyt irracjonalny. Zmienił temat.

— Więc kim jest ten tajemniczy człowiek?

— Minck — powiedziała Alix. — Minck, Minck, Minck. — To słowo było niczym nowa zabawka, z której nie chciała zrezygnować. Potem podjęła decyzję. — Gordon Minck jest człowiekiem, który zabił Angelę Didion.

Croaker omal nie wjechał samochodem w ścianę tunelu.

— Co takiego? — Zaczęła boleć go głowa i pod powiekami zapaliło się przeraźliwe czerwone światło. — Musiałaś się pomylić. — Jego głos był jak szelest wysuszonych liści, nie głośniejszy od szeptu. To wszystko, na co mógł się w tej chwili zdobyć. „Lecz jeśli ona ma rację?” — spytał samego siebie. Te wszystkie miesiące ukrywania się, życia w obawie przed zdemaskowaniem. W nowojorskim Wydziale Policji był pariasem; istniał już tylko jako Tex Bristol. Kłamał, kradł, przekroczył prawo, którego tyle lat temu przysiągł przestrzegać i bronić. „Co mi się stało? Cóż za szaleństwo mnie opętało?” Czuł się jak ofiara malarii, która właśnie obudziła się z majaczeń w nie kończącej się gorączce. Tak wierzył w tę prawdę: w to, że Raphael Tomkin z zimną krwią zamordował Angelę Didion. Tak bardzo był tego pewien. Wskazywały na to wszystkie fakty. A teraz pędziły jak małeńka przerażona ryba, rwąc się, gdy ponownie usiłował je powiązać ze sobą, przywrócić pewność, że to on ma rację, a Alix się myli.

Alix pociągnęła nosem i wytarła go chusteczką.

— Było tak — powiedziała, ignorując fakt, że jej przerwał. — Tomkin popełnił błąd, rozmawiając z Angela o swoich powiązaniach z Minckiem, a Angela, ta suka, miała pamięć pojemną jak ocean. Pamiętała w s z y s t k o . To było częścią jej oszukańczej gry, sposobu, w jaki mogła uzyskać, co tylko chciała, od prawie każdego. Pamiętała to, czego oni nie chcieli ujawniać.

I oczywiście nadszedł dzień, gdy przypomniała Tomkinowi, że wie o tym. Nie rozumiem właściwie, dlaczego. Być może był diament, który chciała mieć, a którego on jej nie dał, może nie przychodził dostatecznie często, a może wpadał zbyt często. Z Angela tak właśnie było, sama nie wiedziała, czego chce.

Tak czy inaczej, zawsze potrafiła dostrzec słaby punkt i zdawała sobie sprawę, że znalazła taki u Tomkina. Chciała czegoś od niego i powiedziała mu, że jeżeli tego nie uczyni, zwróci się do gazet z tym, co ma na niego. To była jej Standardowa Procedura Operacyjna.

Jednak nie sądzę, aby tym razem naprawdę rozumiała charakter bestii, którą drażniła. Tomkin umilkł natychmiast, nie chcąc wdawać się z nią w kłótnię; od razu spostrzegł, że nie zdoła nad nią zapanować. Zadzwoił więc

do Mincka, a Minck wysłał swoich ludzi, żeby ją uciszyli. Nie było targowania się, nie było zastanawiania się nad tym. Czymkolwiek zajmowali się Minck i Tomkin, była to zbyt poważna sprawa.

Tomkin musiał oczywiście być tam, gdy to się stało. Angela była tak paranoicznie podejrzliwa, że nie otworzyłaby drzwi ludziom Mincka. Tomkin stał pierwszy. Lecz w chwili gdy zdjęła łańcuch, weszło ich trzech.

— Czy Tomkin faktycznie tam był, gdy zginęła? — Croaker drżał, wypowiadając te słowa, wiedział, jak ważna jest dla niego jej odpowiedź.

— Był w mieszkaniu, ale nie w sypialni. Był przy barku, zażywał „środek znieczulający”. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że rozlał na ladę tyle samo szkockiej, ile wlał do szklanki. Widziałam to z garderoby Angeli, w której się ukryłam. Kiedy poszła otworzyć drzwi, wychodziłam właśnie z łazienki. — Jej oczy zrobiły się smutne, jakby straciły swą intensywną barwę. — Usłyszałam ostry skowyt Angeli. Brzmiało to tak, jakby chłostano psa. — Wzruszyła ramionami. — Nie wiem dlaczego, ale od razu ukryłam się w garderobie.

— Więc byłaś przez cały czas świadkiem.

— W tym, co jej zrobili, nie było nic podłego. — Głos Alix, tak jak jej oczy, stał się bezbarwny.

„Może — pomyślał Croaker — jest to sposób, w jaki broni się przed czymś, czego nikt nie powinien zobaczyć”. Chwycił jej dłoń, ich palce splotły się.

— Byli bardzo... fachowi w tym, co z nią zrobili. Trwało to chwilę. Pamiętam, że później byłam tym zaszokowana. Tak potworna rzecz... przekreślenie czyjśgo życia powinno trwać bardzo długo. — Przymknęła na chwilę oczy. Pierwsze łzy zabłysły na rzesach. — Później oczywiście zrobili tak, że nie wyglądało to na egzekucję. Następnie poszli do salonu i starannie posprząkali po Tomkinie. Nie znaleźli mnie, ponieważ wczłogałam się do tajnego schowka, który Angela wbudowała w garderobę, aby przechowywać w nim futra i biżuterię; uwielbiała być blisko nich. Musiałam zwinąć się w kłębek. Schowek tłumiał dźwięki i nic nie słyszałam. Byłam przerażona, bałam się, że w każdej chwili mogą mnie znaleźć.

Nie odkryli mnie wtedy, ale musieli wiedzieć o moim związku z Angela, ponieważ odnaleźli mnie w tydzień później, gdy przyleciałam do Key West. Wykonali swoje „zadanie domowe”. Wiedzieli, gdzie byłam tej nocy, wiedzieli, że wszystko widziałam. Ludzie Mincka to zawodowcy.

— Też się o tym przekonałem — wtrącił powściągliwie Croaker. Trzymał

obie dłonie na kierownicy. Więc prawda była blisko... ale nie na tyle. Roześmiał się do siebie z ironią i goryczą. Prawda w niczym nie była tak wyraźna jak czerń i biel. Tomkin nie zabił Angeli, zaaranżował tylko jej śmierć. Nie on rozkazał ją zabić, nie on wykonał ten rozkaz. Po prostu zgodził się na to. Stał za ścianą, gdy to się działo. „Winien zarzuconych mu czynów, wysoki sądzie”. Ten głos rozbrzmiewał głucho w myślach Croakera. Ale jaki był zarzut? Nie morderstwo drugiego stopnia, nawet nie zwykle zabójstwo. Tomkin był natomiast współwinny morderstwa. To nie on naciskał na komisarza, by zatuzszować morderstwo Angeli Didion. To żądanie nadeszło z samego Waszyngtonu. Od Mincka.

„Minck-skrytobójca — pomyślał z goryczą Croaker. — Za ile morderstw mógł być odpowiedzialny?” Zabójstwo Angeli Didion było po prostu jednym z wielu na bardzo długiej liście. Czuł się zdruzgotany i przygnębiony rozległą strefą cienia, w której się teraz znalazł; bezkształtnym i niematerialnym bagnie, gdzie wszystko było zamglone, zanim zupełnie znikło. W jakim pójść teraz kierunku, gdy sprawa zamordowania Angeli Didion zaczęła przekraczać jego możliwości? Nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że nigdy nie zdoła oskarżyć Mincka ani o to, ani o cokolwiek innego. Przegrał.

U wylotu tunelu na Manhattanie słońce uderzyło w nich niczym pięść, odbijało się od maski silnika jak gwiazdny płomień. Croaker-zjechał w prawo, w kierunku Trzydziestej Czwartej Ulicy, potem skręcił w lewo, minął kilka odległych od siebie przecznic, znów w prawo, a po zmianie świateł wjechał na Drugą Aleję prowadzącą do centrum. Miasto wciągało ich w labirynt swych brudnych ulic.

Croaker nieświadomie pałał gniewem zwróconym przeciwko Alix. Kobięce motywacje były dla niego takie mętne. Żałował z całego serca, że nie powiedziała mu o wszystkim wcześniej, chociaż nie wiedział, czy postąpiłby inaczej. Przecież musieli się stamtąd wydostać. „Psiakrew! Po dwakroć psiakrew!”

Alix dotknęła jego ręki. Spojrzał na nią.

— Przepraszam za to, co wcześniej powiedziałam. Wiem, że w tym, co się stało, nie ma twojej winy. — Przesunęła opalonymi palcami po włosach. — Nie mogłam już tego znieść; to było jak więzienie, a pod pewnymi względami nawet gorzej. Myślę, że w więzieniu wiesz przynajmniej, co cię czeka. W Key West, osaczona przez tych dwóch, nie wiedziałam, czego się spodziewać. Czy Minck nadal będzie przyjeżdżał? Czy jego uczucia nie osłabną? Czy jeden z nich mnie zabije?

Zaczęłam czuć się tak, jakby w mojej głowie był balon, który każdego

dnia napelniał się coraz większą ilością powietrza. Wkrótce zabrakłoby miejsca dla mózgu, a wtedy w ogóle nie potrafiłabym myśleć. — Wydała z siebie krótki, zduszony śmiech. — Niemądre, prawda?

— Nie — odparł cicho Croaker — to nie jest niemądre. — Zadziwiające, jak szybko zdołała rozładować jego złość. Wystarczyło tylko, że go dotknęła, skierowała na niego oczy, szepnęła cicho i cała ciemność rozwiała się w nim jak popiół.

Alix westchnęła lekko, tak jakby niezwykle istotne było to, że utwierdził ją w jej odczuciach.

— Lew, chciałam ci to wszystko powiedzieć od razu. Jest dla mnie ważne, żebyś w to uwierzył.

— Wierzę.

Pokręciła głową.

— Tylko tak mówisz.

— Ja nie rzucam słów na wiatr, Alix.

Wydawała się wierzyć w to, co powiedział.

Byłam w szoku, a ty zjawileś się jak, och, nie wiem, jak grom z jasnego nieba.

— Rycerz w błyszczącej zbroi. — To był żart, ale Alix nie potraktowała tego w ten sposób.

— O, tak. Chciałam bardzo w to wierzyć, ale bałam się. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Tkwiłam w tym tak długo. Cała ta wiedza w mojej głowie była jak mina z przykrótkim lontem. Czułam się tak jak wtedy, jeszcze w szkole, gdy byłam zdecydowanie najładniejszą dziewczyną w klasie. Och, nie myśl, że mam poprzewracane w głowie; wystarczyło mieć lustro, żeby to dostrzec. Chłopcy krążyli wokół mnie jak sępy. Początkowo delectowałam się tym. Która dziewczyna nie robiłaby tego? Biegałam na randki, zaliczałam kolejne, krótkotrwałe sympatie, ale później, gdy ich lepiej poznawałam, nadszedł moment, że nagle uświadomiłam sobie, dlaczego chcieli się ze mną spotykać. Nie interesowały ich rozmowy, poznawanie mnie. Uwielbiali, gdy widziano ich w moim towarzystwie, a po pewnym czasie próbowali wsunąć rękę pod moją sukienkę. Cały czas mieli erekcję; to była jedyna rzecz, o której myśleli. Doprowadziło to do tego, że przez pewien czas nienawidziłam swej urody. Tak jakbym miała grube kostki, długi nos albo płaskie piersi.

Położyła dłoń na ramieniu Croakera.

— Tak samo było z tobą, Lew. „Dlaczego tutaj jest? — pytałam samej siebie. — Czego naprawdę chce ode mnie?” — Znowu się roześmiała. — Przyszło mi nawet do głowy, że Minck nasłał cię, aby mnie wypróbować, ale

wkrótce zdałam sobie sprawę, że ta myśl była n a p r a w d ę szalona: zabięś przecież obu tych ludzi.

— Czy zależy ci na nim? — To pytanie nie było bezcelowe; odpowiedź na nie mogła stać się dla Croakera w przyszłości kluczową informacją, niczym dodatkowe zabezpieczenie lub trzymany w zanadru atut. Podjął już decyzję. Została mu jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia.

— Jak mogę na to odpowiedzieć? — odparła Alix, gdy zatrzymali się przed budynkiem mieszkalnym w stylu lat dwudziestych. — Cała ta historia odbywała się w jakiejś otchłani lub w przestrzeni kosmicznej. Nie mogę tego z niczym porównać. — Odwróciła głowę. — Nie poszłabym z nim do łóżka, gdybym nie czuła... czegoś. Jestem zupełnie inna niż Angela. Mimo to nie mam pojęcia, czym było to, co czułam. To prawie tak, jakbym uprawiając z nim seks ustanawiała więź, która była zarówno fizyczna jak, och, jak powinienam to nazwać, może psychiczna?.. — Wzruszyła ramionami.

— A nie emocjonalna?

— Możliwe, ale nie sądzę. Teraz mam już do tego pewien niewielki dystans. Myślę, że ustanawiając tę więź z moim — no cóż, był właściwie moim strażnikiem więziennym, prawda? — stawałam się kimś mniej niż więźniem.

— Ale to nie wychodziło w ten sposób.

— Odpowiedzią był szyderczy uśmiech.

— Czy naprawdę sądzisz, że mogło wyjść?

— Nie.

— Pewnie, że nie. To było naprawdę głupie z mojej strony. Przede wszystkim, nigdy nie powinienam była zaufać komuś takiemu jak on. Ale, mój Boże, Lew, byłam doprowadzona do takiej rozpacz. To mnie dosłownie miażdżyło od środka. Czułam, że...

Alix krzyknęła, gdy pocisk wpadł przez boczną szybę, zrywając trzy czwarte dachu sedana. Croaker zdążył już wykonać ruch i przyciągnął ją do siebie, nakrywając ciałem jej tors i głowę. Jednocześnie wyciągnął broń. Następny wystrzał wstrząsnął samochodem. Jakby potężna pięść sięgająca z nicości wyrzuciła w powietrze warstwy chromu, stali, aluminium i plastiku. Szyby pokryły się pajęczą siecią pęknięć. Odłamki, niczym gołębie skrzydła, załopotwały nad ich głowami.

Croaker poczuł swąd dymu. Po jego stronie nie było tylnych drzwi, z dachu nad ich głowami zostało także niewiele. Pochylił się do przodu i szarpnął za klamkę drzwi po stronie Alix, aż pisnęła pod naporem jego ciała. Przez otwarte drzwi wypchnął ją na chodnik jak worek ziemniaków.

Wyłączył zapłon, lecz trzeci strzał trafił już w samochód, rozrywając metalowy zbiornik paliwa. Rozległ się głuchy odgłos podobny do huku wyrzuconej kuli w grze w kręgle. Strzeliły w górę płomienie. Smuga oleistego dymu spowodowała, że Croaker zaniósł się kaszlem.

Odwrócił się w kierunku, z którego padały strzały, ale nie było dogodnego miejsca do obserwacji, miał niewielką swobodę ruchu, a dym robił się coraz gęstszy. Słyszał pulsujący dźwięk syren, coraz głośniejszych, zbliżających się do nich.

Wydostał się w ten sam sposób jak Alix i chwyciwszy jej dłoń, zaczął biec. Minęli wejście do budynku, w którym mieszkał Matty Gaduła, tak jakby nie miało to dla nich żadnego znaczenia.

Rzucili się w dół Drugiej Alei mijając po drodze furgon pogotowia policyjnego, wóz straży pożarnej oraz dwa samochody policyjne; wszystkie jechały Drugą Aleją pod prąd. Trałyby klaksony, zablokowany został ruch uliczny. Ludzie stali i przyglądali się, po czym zaczęli podchodzić w stronę miejsca wypadku. W ciągu paru sekund zebrał się spory tłum.

Obserwując napływających ludzi, Tania Władimowa przeklinała siebie za przedwczesny wystrzał. Nie wiedziała jednak, jak długo już tam stali. Poza tym dokładnie przed dziesięcioma sekundami rozległ się dźwięk jej sygnalizatora; nadszedł czas, by złożyła wizytę w Japonii. Nie była na to przygotowana, nie teraz, gdy znajdowała się tak blisko swojej zdobyczy.

Okoliczności jej nie sprzyjały; to one raczej rządziły jej działaniem, a nie ona nimi. Podała się. Rozłożyła swego attlow-soningena trzysta pięćdziesiąt osiem i włożyła do schowka pod wykładzinę dywanową samochodu. Nawet gdyby nie miała stawić się do wyznaczonego zadania, nie mogłaby ruszyć za Alix Logan i Lewisem Croakerem. Jej łącze z SAPICR sprawdziło odciski palców, które zdjęła w Raleigh, i wyrzuciło jego nazwisko. Zbyt dużo ludzi, zbyt wielu policjantów. Nadjeżdżali następni, coraz więcej syren. Nie oznakowane samochody detektywów pędziły, rozpraszając uliczny ruch, i wszystko rozstępowało się przed nimi niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Tania zapaliła silnik i ruszyła przez Tunel Midtown w kierunku Long Island Expressway i lotniska Kennedy'ego.

Odsunęła od siebie myśl o tym, czego nie zdołała tutaj osiągnąć. Przyspieszyła i zjechała na lewy pas. Po niespełna mili zwolniła. Zaczęła zastanawiać się nad sprawami, które musiała załatwić, i nad tym, w jakiej ma to uczynić kolejności.

Światło rozbłysło ostrym snopem. Było ogromnie denerwujące, ponieważ w dziwnym rytmie przeszywało jego mózg. *Dum-ti-dum-ti-dum-dum*.

Pograżał się w mlecznym luminescencyjnym blasku *getsumei no michi*. Blask powinien być równomiernie opalizujący i łagodny. I byłby taki, gdyby nie ten ostry snop światła. *Dum-ti-dum-ti-dum-dum*.

Starał się nie myśleć o niczym. To przynajmniej nie powinno być trudne. Mimo to nie potrafił. Na próżno sięgał do Pustki; ilekroć szukał do niej dostępu, ostry snop światła stał na przeszkodzie. Usiłował go odepchnąć; nie mógł. Spróbował *kiai*, to również nie poskutkowało. Nie miał już w sobie siły, bowiem biały snop światła stał, niczym elektrowstrząsy, przeszywał jego mózg. Nie mógł myśleć, nie mógł się skoncentrować, nie potrafił umieścić siebie w centrum wszechświata. Gdyby tylko miał swój miecz, gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, gdzie zostawił *Iss-hogai*.

Dum-ti-dum-ti-dum-DUM.

— *Iss-hogai* — wymamrotał zlany potem Nicholas, przywiązany do koła.

— Co to, u licha, znaczy? — spytał Protorow.

— To znaczy „dla życia” — odparł ponuro *sumo*. — To brzmi dla mnie jak nazwa samurajskiego miecza. — Był niezadowolony. Nie mógł już tego znieść. Chciał, żeby zostawili go sam na sam z Nicholasem. „Pięć minut wystarczyłoby w zupełności — pomyślał. — Chociaż nie mam pojęcia, co *ninja* miałby robić z mieczem samuraja”.

— To jego miecz? — zapytał Protorow, zwracający uwagę na każdy szczegół. — Rusiłow, czy odebrałeś mu jakąś broń?

— Nie, obywatelu pułkowniku.

— Czy widziałeś coś takiego?

— Nie, obywatelu pułkowniku.

Protorow zwrócił się do swojego klienta.

— Nicholasie — zapytał zupełnie innym tonem — gdzie jest twój *katand*?
Gdzie jest *Iss-hogai*?

— *DUM-TI-DUM-TI-DUM-DUM*.

Snop ostrego światła był jak kleszcze zaciskające się na jego mózgu.

— *Ro... Rotenburo*.

— To niedobrze — powiedział Koten. — Miecz samuraja jest jak podpis jego właściciela. Nie chcemy, by ktoś znalazł go i pytał o niego.

Protorow potwierdził skinieniem głowy, tak jakby myślał już o tym.

— Idź i przynieś go, Koten — rzucił.

— Jeżeli przyniosę go tutaj, istnieje ryzyko, że uda mu się dostać go w swoje ręce — *sumo* ostrzegł Protorowa.

— To nie będzie miało żadnego znaczenia. — Protorow rozważał różne możliwości. — Powiedz mi, on jest prawo- czy leworęczny?

Koten przysunął się bliżej Nicholasa i przyjrzał się warstwom naskórka na grzbietach obu rąk.

— Twierdziłbym, że praworęczny.

— Złam pierwsze trzy palce tej ręki.

Koten był zachwycony taką propozycją. Z czułością niemalże wyciągnął dłoń i chwycił wskazujący palec prawej ręki Nicholasa. Rozpiął pas i szarpnął palcem w bok. Nicholas jęknął, ciałem wstrząsnął dreszcz. Pot spłynął po nim jak woda ociekająca z pływaka.

Koten jeszcze dwa razy powtórzył tę czynność. Nicholas jeszcze dwa razy wydał z siebie jęk i rzucił się z bólu. Był mokry od potu. Podeszedł do niego lekarz, by sprawdzić puls i ciśnienie krwi.

— Teraz idź i zrób, jak kazałem — rzekł Protorow do Kotena. — Zaoszczędzisz nam zakłopotania, a on będzie mógł tylko tęsknie spoglądać na swoją broń.

Gdy Koten odszedł, Protorow wyciągnął dokumenty, które jego szpieg wykradł z Tenshin Shoden Katori. Wpatrywał się w prawą dłoń Nicholasa zawieszoną na pasach spinających dwa palce i przegub. Złamane palce spuchły już jak parówki, skóra na nich robiła się coraz ciemniejsza.

— Jak wpłynie na niego ból? — spytał lekarza.

— Powinien go trochę ożywić.

— Czy zakłóci czynności mózgu?

— W jego przypadku powiedziałbym, że nie, na pewno nie.

Protorow skinął głową i wyciągając dłoń, pochwycił mokre włosy Nicholasa. Podniósł jego głowę i bił w policzki tak długo, aż powieki uniosły się drżąc. Wtedy podsunął pierwszą stronę zaszyfrowanego tekstu przed kaprawę oczy swojej ofiary.

— Skup się — rozkazał cichym głosem. — Mam dla ciebie lekturę, Nicholasie. Coś, co ci się spodoba.

Nicholas zmarszczył brwi. Poczul we wnętrzu ciała potworny ból, jakby wbijał się w nie trójzęb o ostrzach pokrytych trucizną. Potem zaczął się oddalać, jakby był częścią snu lub halucynacji.

Skupienie uwagi wydało mu się istotne, próbował tego dokonać. Miał wrażenie, że płynie przez lepki gaz. Nie był w stanie pojąć, jak mógł nim oddychać, bowiem było oczywiste, że nie potrafi się w nim poruszać. Rzucił się i znieruchomiał. A może tylko myślał, że się rzuca.

Czerń i biel; rozdzielające się, zlewające, po to tylko, aby raz jeszcze się rozstąpić.

— Skup się. — Od strony jaskrawego snopa światła dotarła komenda,

która wydawała się pochodzić bezpośrednio z mózgu. Pomyślał więc, że to zrobi: skupi się.

Znaki przepływały obok niczym ławice ryb, niczym poszycie lasu, jak języki ognia, jak szumiący deszcz. Płynące strugą litery.

Nie, nie litery. I d e o g r a m y.

Zaczął czytać. Był twarzą w twarz z tym, czego tak długo szukał. *Tenchi*.

Trzy lata temu... „Hare Mani” zaginął na morzu podczas gwałtownego tajfunu... zginęło ponad pięćdziesiąt osób... załogi i pasażerów... największa katastrofa morska od dwudziestu pięciu lat... Podwodne operacje ratownicze zaczęły się natychmiast, gdy poprawiła się pogoda, w miejscu nadania ostatniego sygnału radiowego, w cieśninie Nemuro.

Odegnął od siebie tępy ból, odgrodził się od niego, zamknął wewnętrzne drzwi przed białym snopem: *dum-ti-dum-t...*

Cisza. Zszedł z *getsumei no michi*, która w ogóle nie dawała schronienia i dlatego nie była przydatna. Zaczął nieruchomieć: najpierw palce, z których kilku nie czuł. Posuwał się w głąb, księżyc unosił się ku zachmurzonym niebiosom, a jego jasna, przejrzysta twarz odzwierciedlała nie kończące się falowanie.

W ten sposób zaczął przychodzić do siebie, ogniskując się w środku wszechświata, mimo ogromnej ilości chemikaliów w swoim organizmie. W czasie gdy zaczął trudny proces rozkładania ich na nieszkodliwe pierwiastki, które zostaną potem usunięte — było to sztuką *ninjutsu* znaną jako *Ogawano-jutsu* — uczynił dokładnie to, o co prosił go Protorow: odkrył tajemnicę *Tenchi*.

Nie uszło jego uwagi, że to, co czyta, jest zapisane szyfrem. Szyfrem Tenshin Shoden Katori. Zrozumiał również to, że skoro jego wróg pokazuje dokumenty jemu, to musi nie mieć nikogo innego, kto mógłby je przetłumaczyć. I gdyby Nicholas zginął, oznaczałoby to koniec; Protorow nie miałby nic do przekazania i do wykorzystania.

Dlatego właśnie po przeczytaniu dokumentu Nicholas postanowił, że musi umrzeć. I w czasie gdy jego świadomość upajała się fantastyczną wiedzą o tym, czym było *Tenchi*, w czasie gdy przypomniał sobie pragnienie Sato, by Japonia zakończyła swoje dzieciństwo zależności od reszty świata, by wkroczyć w dojrzałość swojej samowystarczalności, rozpoczął proces umierania.

Stojący dosłownie o stopę od niego Protorow nie potrafił odgadnąć, czy Nicholas tylko patrzył na dokument, czy też go czytał. Znał kod, czy nie znał?

— Powiedz, co tam jest napisane — powtarzał bezustannie, potrząsając

wszystkimi czterema kartkami. — Powiedz, powiedz, powiedz! — Lecz oczy Nicholasa płaśły nadal i Protorow spostrzegł, że twarz jego klienta robi się szara. Wkroczył między nich lekarz.

— Dosyć — powiedział, przykładając stetoskop do serca Nicholasa, po czym natychmiast zdarł z siebie słuchawki i zaczął uciskać jego pierś pięścią wspartą na położonej na płask drugiej dłoni.

— Ostrzegalem pana przed tym! — zdołał wykrztusić. — Stracimy go.

— Nie! — wykrzyknął Protorow — Musi go pan uratować! To rozkaz!

Lekarz zaśmiał się ponuro.

— W przeciwieństwie do was, towarzyszu, wiem, że nie jestem bogiem. Nie potrafię wskrzesić umarłego. — Ręce mu opadły. Spojrzał na nie, po czym odwrócił się, by rzucić Protorowowi pełne nienawiści spojrzenie. — Nie mogę naprawić tego, co pan zrobił, pułkowniku.

— Niech go pan ożywi, doktorze! — Protorow stracił panowanie nad sobą. — On mi nic nie powiedział. Zupełnie nic!

— Zawsze istnieje ryzyko przy stosowaniu neurofarmakologii. Granica jest zawsze tak sub... — Zatoczył się, gdy Protorow uderzył go pięścią. — Zapłaci pan za to, pułkowniku — powiedział ocierając rozciętą wargę. — Centrala dowie się o tym.

— To ty! — Głos Protorowa był niskim gardłowym warknięciem. — To ty go zabiłeś! To twoja robota! — Ręce trzęsły mu się z wściekłości. *Tenchi*, szczyt GRU-KGB, wielki przewrót, wszystko rozwiało się niczym dym, równie efemeryczny jak życzenia. — Rusiłow! — wykrzyknął. — Zamknij go w areszcie. Jeżeli będzie sprawiał jakiegokolwiek kłopoty, pošlij mu kulę w łeb. — Chwycił lekarza za koszulę i szarpnął ku sobie. — To była twoja ostatnia czcza groźba — rzucił, zanim odepchnął go od siebie.

Trzymając rękę na kaburze pistoletu, Rusiłow z żelazną siłą chwycił mężczyznę za ramię.

Protorow obserwował, jak wychodzą. Bezskutecznie usiłował opanować wzbierającą w nim furję, która sprawiała, że trząsał się niczym drzewo w sztormowym wietrze. Nie potrafił w to uwierzyć. „Jak to się mogło stać?” — myślał. Było to oburzające i niepojęte. Nie c h c i a ł w to uwierzyć.

Odwrócił się w stronę zwiotczalego ciała Nicholasa. Patrzył na nie, jak na swoje własne niepowodzenie. Gardził nim z zawziętością, która graniczyła z bólem. Przypomniawszy sobie, jak strącił kiedyś ikonę, namalowany na drzewie złoto-biały krzyż, jaskrawoczerwony w miejscach, gdzie krople krwi

ściekały z otwartych dłoni, skrzyżowanych kostek i ukoronowanego cierniem czoła Chrystusa.

Ikona, spadając, złamała się, wtedy Protorow obcasem wypolerowanego buta wgniótł ją w podłogę. Scena, którą przedstawiała i która, przynajmniej dla właściciela, była symbolem wiary, dla niego nie miała logicznego sensu.

A jednak teraz bezmiar cierpienia jawił się Protorowowi obrazem Ukrzyżowania. Było to dla niego tak ogromnym wstrząsem, jakby obudził się rano i stwierdził, że amputowano mu obie nogi. Nagle świat nie był już taki jak dawniej i nigdy już taki nie będzie. Przeminał pewien spokój — doskonałość nie tylko ciała, ale i ducha — a jego miejsce zajęła udreka, wszechogarniająca i bezkresna. Aż do tej chwili w jego myślach nie było nigdy żadnej wątpliwości, że osiągnie wyznaczone cele. Wzniosłe czy nie, miały być jego. Był sprytny i bezwzględny. Kierował się intuicją, podobnie jak Einstein, zdolny dokonywać wielkich odkryć, które wyprzedzały mozolnie drepzczącą naukę. Wiedział, że nic bardziej nie zbliżyło się do prędkości światła niż myśl ludzka kierowana w ten właśnie sposób.

Teraz musiał stanąć wobec przytłaczającej świadomości, że to nie wystarczyło. Nie pozna tajemnicy *Tenchi*, nie dotrze na swój szczyt, dlatego też nie będzie żadnego przewrotu. Wiktor Protorow nie dostąpi zaszczytu wielkości. Nie zasiądzie na tronie historii. Nie zostanie przez nią nawet zauważony.

Protorow patrzył na Nicholasa Linneara ze zbrodniczym błyskiem w oczach i widział tylko swój własny upadek. Widział, jak bliski był ostatecznego zwycięstwa... i jak jest daleki. Była to świadomość, z którą nie potrafił się pogodzić.

Ogarnięty szaleem, szydził z chłodnego ciała, okładając je bezustannym gradem ciosów, wydawał przy tym z siebie tak głośnie i chrapliwe jęki, że nawet Rusiłow nie odważył się ponownie wejść do piwnicy.

Lecz nawet fakt, że dał fizyczny upust swej furii i cierpieniu, nie wystarczył. Ciało Nicholasa było skrępowane, całkowicie uwięzione. Bicie w ten sposób zmarłego przeciwnika — człowieka, przez którego wszystko stracił — upokarzało Protorowa i potęgowało jego męczarnie.

Wciąż chrząkając niczym odnieniec, odpiął skórzane pasy, którymi Nicholas przymocowany był do koła. Najpierw uwolnił palce i nadgarstki, potem uda i kostki. W końcu rozpiął pas zaciągnięty wokół bioder i ciało opadło na niego jak worek z cementem.

Drapiąc i kopiąc, zrzucił je z siebie. Starał się zaatakować na nowo, teraz,

gdy zostało uwolnione i gdy, przynajmniej w jego mniemaniu, gra była uczciwa.

O czym pomyślał, gdy w czasie kiedy szalał z furii, człowiek, którego zgon został stwierdzony przez eksperta neurofarmakologii, wyciągnął rękę i chwycił go z boku za szyję?

Śmierć dla człowieka Zachodu jest stanem, z którym trudno się pogodzić. Ponieważ nie dopuszcza się jej do świadomości, ponieważ nikt nie myśli o jej nierozzerwalnym związku z życiem, często najtrudniej jest zabić człowieka. Po prostu organizm nie chce umierać. Będzie się nieustępliwie chwycił życia, pobudzi ciało do wyczynów wymagających nadludzkiej, niemożliwej do wyjaśnienia siły i odporności, by dopiąć swego celu: nie umrzeć. W takich sytuacjach zupełnie normalni ludzie podnosili samochody, wykonywali niezwykle skoki, ich odporność przekraczała wszelkie granice.

Ponadto jest jeszcze samo ciało. Kula trafiająca w głowę może odbić się rykoszetem od czaszki. Podobnie żebro potrafi zmienić kierunek pchnięcia nożem.

Jednak na Dalekim Wschodzie, gdzie śmierć tradycyjnie nic nie znaczy, jest inaczej. Nadchodzi z prędkością błyskawicy, w ogóle nie dając organizmowi czasu na reakcję. Również stare nauki pozwalają napastnikowi wykorzystać ludzkie ciało przeciwko jego zdolnościom obronnym.

Dokładnie w ten sposób śmierć przyszła do Wiktora Protorowa, w ten sposób Nicholas naprawdę stał się straszliwie szybkim mieczem C. Gordona Mincka. Być może wiedział, w jakim celu został wykorzystany. Z pewnością było mu to obojętne.

Jego umysł był pusty, świadomość przejrzysta niczym górskie jezioro po ulewnym deszczu, gdy naciskał kciukiem lewej dłoni, łamiąc Protorowowi obojczyk i używając go jako noża, by przecięć tętnice, które niczym rozgałęzione drzewo wznosiły się od serca ku górze. Nie było w tym nic trudnego. W czasie dwóch uderzeń serca nastąpił koniec. Było to takie proste. Trzydzieści pięć lat treningu, i chyba tysiąc lat rozwoju samej dyscypliny, nauczyło go takim.

Nicholas powoli dochodził do siebie. Proces, w którym usunął krew z powierzchni swego ciała i w którym zatrzymał swój puls, był ogromnie złożony i wyczerpujący — zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Krew wypełniała stopniowo całe ciało Nicholas'a i skóra zarumieniała się.

Znowu się rozgrzewał; stygnące słońce odradzało się jak feniks z popiołów.

Z wolna koncentrował swoją uwagę na leżącej obok groteskowo skręconej postaci. Obaj byli zbroczeni krwią, związani w ostatniej próbie przereźnięcia mostu nad przepaścią, której nie można było pokonać.

Nicholas nie czuł wyrzutów sumienia. Chociaż uśmiercenie człowieka, czy nawet zwierzęcia, jeśli już o tym mowa — nie sprawiało mu zadowolenia, życie porwało go w swoje wspaniałe objęcia. On żył, a Wiktor Protorow był martwy. Nicholas zachłystywał się smakiem życia. Mknął w powietrznych prądach świata, pływał we wszystkich morzach, jeziorach i strumieniach. Kroczył przez lasy i biegł przez równiny. Wędrował po pastwiskach i pędził przez pustynie. Nie było takiego miejsca na ziemi, w którym by nie był w tej chwili. Raz jeszcze połączony z kosmosem, stał u wrót Pustki i czerpał z niej swą siłę.

A to dla Trzeciego Kuzyna Toka — powiedział Nangi przesuwając po stole sześć tysięcy dolarów Hongkongu w stronę Chiu Szczęściarza. — Chcę, żebyś nie szczędził *h'eung y au* — dodał, wiedząc, że kuszący zapach pieniędzy nadał słowom wspaniałą wydźwięk. — Ale pamiętaj także o położeniu nacisku na elementy patriotyzmu w całej tej sprawie. Chcę, żeby Trzeci Kuzyn Tok dobrze zrozumiał, kim są ci ludzie. W takim przypadku znajdą prawdziwą przyjemność w tym, co zrobią.

Chiu skinął głową.

— Doskonale rozumiem.

— Dobrze. — Nangi uśmiechnął się. Zasiał już ziarno niepokoju, telefonując anonimowo do kilku sierżantów policji — jednego w Wan Chai, drugiego w śródmieściu i trzeciego w Stanley — którzy, jak podejrzewali ludzie z Green Pang, pracowali dla komunistów. Gdy spytał Chiu Szczęściarza, dlaczego pozwalano im nadal działać, młody Chińczyk uśmiechnął się i rzekł:

— Jak to mówią, *quai loh*? Lepszy diabeł znany niż nieznany.

— Świetnie byś sobie poradził w Złotej Górze — powiedział Nangi, używając chińskiego określenia Stanów Zjednoczonych.

— Być może — odparł młody człowiek. — Ale nie mam zamiaru opuszczać Kolonii. Fortunę zrobię tutaj.

Nangi wcale w to nie wątpił.

Teraz, gdy gęsta mgła zmierzchu przysłaniała Hongkong niczym akşamitna opończa, wstał i powiedział:

— Umieram z głodu. Może zjemy razem obiad? Chiu Szczęściarz wyraził zgodę skinieniem głowy.

— Dokąd chciałby pan pójść?

— Chcę zjeść dobry chiński posiłek — odparł Nangi. — Zdaję się na ciebie.

Młodzieniec patrzył na niego przez chwilę, po czym skłonił się lekko i nie czyniąc następnego gestu, powiedział:

— Tędy, proszę.

Chiu zabrał go na prowincję, na północ Nowych Terytoriów. Stopniowo, w miarę jak zbliżali się do granicy Chin, miejscowości stawały się mniejsze, wysokościowce ustępowały miejsca dwu- i trzypiętrowym domom mieszkalnym powiązanym lukami łopoczącego na sznurach prania. Nagie dzieci biegały po ubitej drodze. Psy wściekle warczały walcząc ze sobą pośród stert śmieci.

Zaparkowali samochód i przeszli przez coś w rodzaju centralnego placu pełnego wędrownych handlarzy. Skręcili w boczną, niewiarygodnie wąską uliczkę.

— To jest restauracja, do której pójdziemy — powiedział młody mężczyzna wskazując brodą. — To najlepsze miejsce w Hongkongu.

Minęli ją i weszli na targowisko na otwartym powietrzu.

Nangi zauważył, że zostało usytuowane na długim nabrzeżu. Widział wodę, przycumowane łodzie rybackie, których załogi przygotowywały się do porannego wyjścia w morze.

— Te łodzie powracają zazwyczaj z ładowniami pełnymi nie tylko ryb — powiedział Chiu Szczęściarz, gdy szli pomiędzy rzędami straganów. — Dzisiaj jest zbyt mgliście, by to zobaczyć, ale niedaleko, po drugiej stronie zatoki, są komunistyczne Chiny. Przez cały czas sprowadza się tutaj uciekinierów.

Na wszystkich straganach sprzedawano żywe ryby. Obok stały zbiorniki pełne gęstej od wodorostów wody, w której sennie pływały duże, średnie i małe ryby, skorupiaki, takie jak: gigantyczne krewetki oraz małże, konchy i kraby. Można było zauważyć kałamarnice ze śniętymi czarnymi jak guziki oczami oraz langusty wielkie jak homary.

— Co pan lubi najbardziej?

— Jesteśmy w Chinach — odparł Nangi — i Chińczyk powinien wybierać.

Chiu dość poważnie potraktował swój obowiązek. W miarę jak posuwali się od straganu do straganu, pokazywał jeden okaz tu, dwa tam. Gdy sprzedawcy wyciągali je ze zbiorników, dotykał wszystkich, wahał i szturchał jak stara kobieta, by upewnić się, że wybiera najlepsze okazy. Potem zaczynał się targować, prowadząc grę bezustannej manipulacji i strategicznych manewrów,

która, niczym hazard, fascynowała i dodawała Chińczykom wigoru.

W końcu Chiu Szczęściarz poprowadził Nangiego z powrotem do restauracji, niosąc swoją zdobycz w plastikowych torbach, ciężkich i wybrzuszonych od morskiej wody.

Właściciel, gruby, spocony Chińczyk, przywitał młodego człowieka z szacunkiem, z jakim zazwyczaj traktuje się składającego wizytę władcę. Nangi dziwił się temu, ale wiedział, że dobre maniery nie pozwolą mu zapytać o to Chiu.

Tego wieczoru zjedli obiad złożony z co najmniej dziewięciu wyśmienicie przyrządzonych morskich potraw: od soczystych, podsmażonych małży po opiekaną na ruszcie langustę, duszoną w niesamowicie ostrym sosie z chili, który sprawił, że nawet Nangiemu lzy napłynęły do oczu i zateśknął do stosunkowo łagodnego *wasabi*, tradycyjnego japońskiego zielonego chrzanu, który tak bardzo lubił.

Ucztowali przez ponad trzy godziny i prawdziwie chińskim zwyczajem nie rozmawiali w tym czasie o niczym poważnym. Chińczycy — w przeciwieństwie do Japończyków, którzy w sprawach interesu byli o wiele bardziej fanatyczni — sądzili, że nic nie powinno ich odrywać od delektowania się smakiem posiłku. Pod tym względem byli Francuzami Dalekiego Wschodu.

Kiedy w końcu wrócili do hotelu, Nangi kazał Chiu Szczęściarzowi iść za sobą. Do skrzynki na korespondencję za pulpitem recepcjonistki wetknięta była kartka z przekazaną telefonicznie wiadomością. Nie było numeru telefonicznego. Na kartce papieru był adres, data — jutrzejsza lub raczej, ponieważ było już po północy, dzisiejsza — i godzina: druga w nocy. „Panno Święta — zmartwił się Nangi — co ja mam teraz zrobić?”

— Dziś w nocy mam się spotkać z jakimś człowiekiem — powiedział do Chiu, gdy dotarli do jego pokoju. — Za niecałe dwie godziny. — Odczytał adres. Miejsce spotkania wyznaczono przy Wong Chuk Hang Road.

— To w Parku Oceanicznym — powiedział Chiu. — Normalnie byłby zamknięty o tak późnej porze, ale w tym tygodniu jest otwarty przez całą dobę w związku z Festiwałem Smoczyc Łodzi. Festiwal odbędzie się właściwie pojutrze, piątego dnia piątego miesiąca, także po to, by zebrać pieniądze na luna park. Twierdzi się, że turyści go uwielbiają.

Nangi wszedł do garderoby i przetrząsał ją przez chwilę. W tym czasie był niewidoczny dla drugiego mężczyzny. Wrócił z dwiema identycznymi brązowymi kopertami. Wręczył jedną Chiu Szczęściarzowi.

— Muszę jedną z tych kopert zabrać dziś ze sobą — rzekł. — Kopia, którą masz teraz, była przeznaczona dla gubernatora. Chciałem, żebyś w czasie mojego spotkania był u niego. Czuliśmy się wtedy bezpieczniej. Ale teraz...

— Niech pan poczeka — rzucił Chiu. — Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Oczywiście.

Przez ponad pięć minut Chiu rozmawiał urywanym, nieprawdopodobnie szybkim dialektem. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Nangiego.

— Wszystko załatwione. Nie ma sprawy.

— Co jest załatwione?

— O drugiej nad ranem — odparł Chiu — będę siedział naprzeciw gubernatora Hongkongu.

Nangi był oszołomiony.

— Nie... nie rozumiem. Jak to możliwe?

— Mój ojciec zajmie się tym. Tak jak powiedziałem, nie ma sprawy.

Nangi przypomniał sobie sposób, w jaki Chiu Szczęściarz został przyjęty w restauracji w Nowych Terytoriach. Pomyślał o wpływach Trzeciego Kuzyna Toka. Pomyślał o Green Pang. A na końcu o pięciu Smokach, pięciu szefach triad Hongkongu, najpotężniejszych ludziach w Kolonii. Kim mógł być ojciec Chiu Szczęściarza, skoro był w stanie skontaktować się z gubernatorem o tej porze? Jak wielką musiał mieć władzę! Jakie musiał mieć wpływy! Nangi uklonił się lekko.

— Jestem twoim dłużnikiem.

— A ja pańskim. Zyskałem dużo szacunku w oczach mojego ojca. „A teraz do rzeczy” — pomyślał Nangi.

— Będziesz u gubernatora — rzekł. — Bóg jeden wie, o czym będziecie rozmawiać.

— Rozmowę zajmie się mój ojciec.

Nangi zastanawiał się.

— Jeśli nie zadzwonię do ciebie do trzeciej, musisz założyć najgorsze. Przekaż wtedy gubernatorowi wszystkie dowody przeciwko Liu.

— To wywoła sensację — odparł Chiu. — Skandal na najwyższym szczeblu. Komuniści doznają ogromnego upokorzenia.

— Doznają go, to prawda — powiedział z zadumą Nangi.

— To im bardzo zaszkodzi.

Nangi potwierdził skinieniem głowy.

— Zaszkozi im tak czy inaczej.

Stali w pokoju zwrócenii do siebie twarzami. Nie mieli już wiele więcej do powiedzenia, a czasu było coraz mniej. Chiu Szczęściarz wykonał niewielki skłon.

— Do następnego spotkania... Starszy Stryju.

Nangi wstrzymał oddech. Zaszczyt, jaki go właśnie spotkał, był ogromny. „Starszy Stryj” było określeniem używanym dla zaakcentowania szacunku i pewnych więzów przyjaźni, którego nie można było dokładnie przełożyć na zachodnie pojęcia.

— Niech wszyscy bogowie mają cię w swojej opiece — powiedział szeptem Nangi. Mówił o niezliczonych bóstwach chińskich, z których w żadne nie wierzył, rzecz jasna, lecz które były bardzo ważne dla Chiu Szczęściarza. Potem w milczeniu modlił się za nich obu. „Z Bogiem” — pomyślał.

Park Oceaniczny, założony głównie z funduszy ofiarowanych przez Królewski Klub Jeździecki Hongkongu, był — jak odkrył Nangi — usytuowany na dwóch poziomach. Do parku wchodziło się przez bramy z turnikietami. Dalej ścieżki wiodły wzdłuż wspaniałych ogrodów kwiatowych i altan pełnych barwnych papug, które za pięć dolarów Hongkongu siadały wygodnie na ramieniu turysty, a fotograf robił zdjęcie upamiętniające tę chwilę. Na niskim wzgórzu znajdowała się kolekcja drzewek *bonsai* o zdumiewających kształtach. Były także małe pawilony, wzniesione przez Air New Guinea i inne linie lotnicze, prezentujące miejscową florę. Dalej — staw z łabędziami, liczne kaskady oraz, za nimi, otwarty basen, w którym odbywały się popisy delfinów i fok.

Nangi nie dotarł jednak tak daleko. Polecono mu w liście, aby kupił bilet na kolejkę linową. Trasa kolejki biegła pod bardzo ostrym kątem z „nizin” Parku Oceanicznego do „stacji podniebnej” umieszczonej na szczycie skalnego przylądka wcinającego się w Morze Południowochińskie. Czekał tam na szukających rozrywki gości sztuczny atol, pierwsza w świecie sztuczna fala i następny, większy basen.

Były cztery wagoniki kolejki linowej, małe przeszklone bańki, w których mogło usiąść sześć osób zwróconych twarzami do środka. Nangiemu polecono, aby wsiadł do kolejki z lewej strony. Dołączył do oczekujących na przejazd. W miarę jak wagoniki wracały z góry i zakręcały, aby odbyć podróż powrotną, przesuwał się do przodu.

Nie rozglądał się; zapłaciłby za to utratą twarzy. Mimo to wiedział, kto stał w pobliżu: z przodu, z tyłu, z obu stron. Widział turystów z Zachodu i z Japonii.

Widział chińskich nastolatków szczebioczących bez wątpienia o tym, jak ekscytujący jest pobyt w parku o tak późnej porze. „Albo też — pomyślał cynicznie — robili zakłady, który z wagoników zerwie się z liny i spadnie w dół niczym kamień”. Nie dostrzegł nikogo, kto wykazywałby najmniejsze zainteresowanie jego osobą.

Zastanawiał się, kiedy dojdzie do spotkania. Był teraz na czele swojej kolejki. Być może nie nastąpi to, dopóki nie dojedzie do przylądka. Czy wsiądzie do kolejki razem z chińską rodziną, która stała tuż za nim?

Wagonik nadjechał pusty. Zakręcił. Drzwi otworzyły się i umundurowany członek obsługi dał mu znak ręką, by podszedł. Nangi zorientował się, że obsługujący zagroził rodzinie za jego plecami wejście do wagonika.

Było tak ciasno, że miał trochę trudności ze znalezieniem miejsca siedzącego. Do środka błyskawicznie wsiadł mężczyzna. Nangi nie potrafił powiedzieć, skąd się pojawił. Drzwi zamknęły się. Wagonik drgnął i powoli ruszył do przodu. Nangi widział przed sobą maleńkie oświetlone wagoniki wznoszące się strzelistym łukiem, niczym szklane paciorki zawieszona na drucie.

Zatrzymali się jeszcze na chwilę na brzegu betonowej stacji. Wszystko sprawiało bardzo solidne wrażenie bezpiecznej jazdy, jak przechadzka po ogrodzie. Po chwili zostali wyrzuceni w przestrzeń z zapierającą dech w piersiach szybkością. Wagonik zakołysał się w tył i w przód, powodując zawrót głowy. Ruszyli w drogę znaczoną przez szklane paciorki.

Nangi zwrócił uwagę na swego towarzysza. Był krępyim Chińczykiem w bliżej nieokreślonym wieku. Mógł mieć pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Miał płaski nos, obcięte na jeża włosy, tak krótkie, że widać było przez nie opaloną skórę czaszki. W odpowiedzi na badawcze spojrzenie Chińczyk obnażył zęby, wszystkie złote, w uśmiechu lub grymasie. Nangi nie potrafił ocenić.

— Dzień dobry, panie Nangi — rzekł Chińczyk kiwając głową. — Nazywam się Lo Whan.

Nangi odpowiedział równie uprzejmie.

— Proszę mi powiedzieć, czy był pan już wcześniej w Parku Oceanicznym?

— Nigdy. Ale byłem w Hongkongu wiele razy.

— Doprawdy. — Ton głosu Lo Whana wskazywał, że nie było to dla niego istotne. Odwrócił się w krzesło z tworzywa sztucznego, takim, jakie spotyka się w szpitalnych poczekalniach. — Ja sam byłem tu wiele razy. Nigdy

nie mam dosyć tego widoku! Rzadko nadarza się okazja, by oglądać go o tej porze.

Widok wielkiej płaszczyzny Morza Południowochińskiego, czarnych zgarbionych i górzystych sylwetek małych wysp znaczących punktami rozległą przestrzeń niczym głązy w kamiennym ogrodzie Zen, był rzeczywiście efektowny. Długie statki, jak klejnoty osadzone w ciemnym, wspaniałym materiale, obwieszane jarzącymi się jak oczy światłami tu i tam pruły morską otchłań. Światło księżyca nadawało temu metaliczny wygląd, a szable chłodnego blasku ześlizgiwały się po lustrze oceanu jak po stalowej kolczudze.

— Ma pan szczęście — powiedział Lo Whan.

Nangi nie wiedział, czy miał na myśli ten widok, czy też coś bardziej tajemniczego.

Chińczyk zacisnął dłoń na brzuchu, gdy wspinali się nad stromym zalesionym zboczem. Gdyby spadli teraz z liny, nie mieliby żadnych szans, piargi pod nimi pograżyłyby w zapomnieniu każdego, kto runąłby na nie.

— Dotarło do mnie — rzekł Lo Whan — z odległych źródeł, że właśnie ma zostać przekazana pewna informacja. — Jego oczy rozbliły się. — Sądzę, że użyto zwrotu „informacja o decydującym znaczeniu”. Ponadto doniesiono mi, że informacja ta dotyczy pewnych, mhm, powiązań z kantonem i terytorium na północ od niego, które mogą, być może, zostać w określonych okolicznościach skompromitowane.

Nangi potwierdził skinieniem głowy.

— Jest tak w istocie.

— Rozumiem.

Nangi wyciągnął egzemplarz kontraktu, który podpisał razem z Liu. Rozłożył go i ostrożnie umieścił na pustym krześle po swojej prawej stronie.

Lo Whan, zauważywszy, co leży na krześle, spojrział tylko na Nangiego i nie zrobił żadnego ruchu, chociaż informacja, która dotarła do niego okreśną drogą, zawierała zastrzeżenie, aby przyniósł egzemplarz dokumentu będący w posiadaniu Liu. Oczy miał nieruchome jak kamienie.

Nangi wręczył mu brązową kopertę. Ostrożnie, jakby jej zawartość mogła być zabójcza, Lo Whan długim paznokciem rozciął pieczęć. Wysuwał po kolei z koperty materiały i przyglądał się im. Było to szesnaście czarno-białych zdjęć formatu 8 na 10 cm, bardzo wysokiej jakości i dokładności, miniaturowy odzwierciedlacz, w którym spoczywała nie zmontowana kopia taśmy nagranej przez

Chiu Szczęściarza podczas spotkania w mieszkaniu Soczystej Pien, oraz dwunastostronicowa transkrypcja nagrania magnetofonowego.

Lo Whan włożył okulary w złotych oprawkach i przez następnych dziesięć minut ignorował Nangiego i swoje otoczenie, pochłonięty lekturą.

Zanim starannie przestudiował wszystkie materiały, wyładowali na „podniebnej stacji”. Wyszli na zewnątrz, z dala od tłumów, i ruszyli wzdłuż skalistego przylądka.

— Interesujące — rzekł Lo Whan, niosąc obciążające dowody pod pachą niczym firmowe portfolio. — Ale na pewno niewarte ceny, jakiej pan żąda. — Chińczyk wzruszył ramionami. — Możemy w każdej chwili sprowadzić Liu na łono ojczyzny.

— Nie sądzę, aby było to takie łatwe — odparł Nangi, z trudem omijając kamienie. Ścieżka, którą Lo Whan celowo wybrał, była nimi usiana. — Liu tkwi tutaj na dobre. Wszyscy go znają. Jeżeli wycofacie go teraz, w obliczu skandalu, który — zapewniam pana — wyniknie, wasz kraj dozna wielkiej porażki propagandowej; straciecie całą przewagę nad Anglią, którą zdobyliście w ciągu minionych dwóch i pół roku, a najgorsze z wszystkiego jest to, że skompromitujecie się strasznie.

Wiatr dmuchał lekko w ich twarze, niosąc ze sobą delikatną woń soli i fosforu. Światła statków płynących w oddali jak semafony przesyłały nieznanne informacje nieznanym odbiorcom. „Są jak Lo Whan i ja — pomyślał Nangi, wpatrując się w płynące okręty. — Mogą wiedzieć dokąd płyną, ale nie mogą naprawdę tego zobaczyć”.

Lo Whan zamyślił się głęboko. Marzył o tym, aby w ciągu kilku następnych chwil Liu pośliznął się w swojej wannie i skreślił kark. „Uchroniłoby to nas przed kompromitacją i mógłbym pozbyć się tej cwanej japońskiej małpy, posyłając go przez morze na tę wysepkę, tam gdzie jest jego miejsce”. Ale wiedział, że nic takiego się nie stanie i nie jest to nawet możliwe.

Wszystko to, co powiedział Nangi, było prawdą. Gorzką prawdą. Nie mógł pozbyć się Liu, nie teraz, gdy Japończycy mieli te informacje. Jedno słowo do gubernatora, a ten zadzwoni do jednego z ministrów rządu Jej Królewskiej Wysokości. Do tego ani Lo Whan, ani jego zwierzchnicy nie mogli dopuścić.

Potem wpadł mu do głowy pewien pomysł. Nie śpieszył się, mimo że miał poczucie upływu czasu. Nie mógł wykorzystać go w takim stopniu, w jakim pragnął. Zbyt długie zwlekanie sprawiłoby, że straciłby twarz w tej walce na inteligencję. Lecz im dłużej zastanawiał się nad swoim pomysłem, tym bardziej

podobał mu się i tym bardziej czuł, że wykorzystując go, zdobędzie przewagę nad tym orientalnym barbarzyńcą.

— Zważywszy na okoliczności — rozpoczął ostrożnie — nie chcemy, aby panu Liu przydarzyło się cokolwiek niestosownego. Chcemy, aby pozostał dokładnie tam, gdzie jest, bez przeszkód z czyjejkolwiek strony. — Sięgnął teraz do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął z niej bliźniaczy egzemplarz kontraktu.

— Ten dokument zostanie unieważniony — powiedział — w chwili, gdy zgodzimy się w jednym punkcie. Wszystkie dowody zgromadzone przeciwko panu Liu oraz tej Soczystej Pien zostaną zniszczone: kopie, oryginały, negatywy. Mają zostać dostarczone pod podany przeze mnie adres. Ponadto podpisze pan zobowiązanie, że począwszy od dzisiaj nie podejmie pan żadnych kroków przeciwko żadnemu z nich ani nie zatrudni, bezpośrednio lub pośrednio, nikogo, kto by to uczynił.

— Ale ja nie chcę unieważniać tego kontraktu — odparł Nangi. Było to szalenie ryzykowne, ale sądził, że potencjalne korzyści są z całą pewnością warte tego ryzyka.

Lo Whan skamieniał w bezruchu. Tak jakby Nangi wymierzył mu policzek dokumentem kontraktu. Za swoje zaskoczenie zapłacił kolejnym upokorzeniem i nie był tym zachwycony.

— Czego w takim razie pan chce?

— Chcę, abyśmy powrócili do pierwotnej umowy, którą zaproponowałem Liu. To znaczy, że w zamian za trzydzieści procent udziałów w *keiretsu*, udziałów nie dających prawa do głosowania, zgadzacie się dostarczyć określony w umowie kapitał w ciągu następnych trzech lat w półrocznych ratach, wpłacanych pierwszego stycznia i pierwszego lipca każdego roku.

— Zainwestowaliśmy już w pańską firmę ogromny kapitał, panie Nangi — zauważył Lo Whan — wartości trzydziestu pięciu milionów dolarów.

Ale Nangi już kręcił głową.

— To była jedynie zapłata za kłopoty, jakich wasz porucznik Chiu przysporzył All-Asia Bank. W chwili obecnej nie macie żadnego kapitału ulokowanego w mojej *keiretsu*.

Lo Whan utkwił spojrzenie w oczach Nangiego. Płonął z gniewu i doznanego upokorzenia. Nie miał zamiaru ponieść klęski na własnej ziemi. Miał tylko jedną, ostatnią deskę ratunku.

— Zastanawiam się — powiedział — czy przestał się pan interesować, dlaczego zadaliśmy sobie tak wiele trudu, aby zdobyć pokaźną część pańskiej *keiretsu*.

Nangi doznał niejasnego przeczucia, lecz stłumił je w sobie. „On blefuje” — pomyślał.

— Pan Liu — rozpoczął ostrożnie — określił już stanowisko komunistów. Wschodnie Przymierze.

— Tak. Obaj znamy, mhm, pewne wady Liu. — Zadał głowę. — Z pewnością nie sądzi pan, że powiedzieliśmy mu o wszystkim.

Nangi milczał.

— W Pekinie istnieją obecnie dwie frakcje. Po jednej stronie są maoiści, a po drugiej tak zwani wyznawcy kapitalizmu. Jak pan bez wątpienia wie, w latach pięćdziesiątych Sowietci odrzucili stalinizm. Mao, zaprzysięgły stalinista, ostro oskarżał Rosjan o rewizjonizm. To ideologiczne pęknięcie między dwoma krajami przetrwało aż do chwili obecnej. Jednakże ci, którzy są teraz u władzy, od pewnego czasu w tajemnicy szukali porozumienia z Kremlem. — Lo Whan przesiadł się, jakby było mu niewygodnie. — Pozostali, być może niezadowoleni z aktualnego biegu wypadków, pragną pójść w innym kierunku. Chodzą słuchy, że poszukują broni propagandowej, aby użyć jej przeciwko Sowietom, a tym samym — przeciwko ludziom będącym u władzy w Pekinie.

Nangi zrozumiał teraz, w jak niebezpiecznym położeniu był jego przeciwnik. Lo Whan nie musiał już dodawać, do jakiej należał frakcji. Jego szefowie nie byli jeszcze u władzy w Pekinie.

Serce biło mu szybko. Czy komuniści wiedzieli o *Tenchi*?

— Wydaje mi się — powiedział — że rządy Mao przyniosły niewiele dobrego.

— Nie będę z panem dyskutował o ideologii — odparł Lo Whan. — Pańska *keiretsu* może stać się kluczem do przyszłości naszego kraju. Informacja o Wschodnim Przymierzu nie była kłamstwem. Po prostu nie obejmowała wszystkiego.

Nangi czuł, jak wzbiera w nim poczucie triumfu. „On nie ma już więcej kart w tej grze; naprawdę przegrał. Może wiedzieć o istnieniu *Tenchi*, ale nie zna jego tajemnic. I nigdy ich nie pozna”.

— Nie pozostaje nam nic innego — rzekł — jak dokonać poprawek w dokumentach.

Plecy Lo Whana zgarbiły się. Poczł się jak stuletni starzec.

— Zatem skazał pan nas, i siebie, na pakt, który musi mieć iście szatańskie konsekwencje. Nie śmiem nawet myśleć o tym, jaki mógłby być wynik pełnego sojuszu pomiędzy moim krajem a Rosją.

Mówił dalej, ale Nangi nie słyszał go. Upajał się osobistym triumfem. Odwieczna wrogość pomiędzy tymi dwoma ludźmi była niemożliwa do pokonania.

Potrzebowali prawie czterdziestu minut, aby dokonać wszystkich potrzebnych zmian w obu kontraktach, podparafować je i ponownie podpisać dokumenty. Lo Whan wyciągnął notes i zaczął redagować ostatnią klauzulę, której treść ustnie nakreślił Nangiemu. W tym momencie Nangi przeprosił i, torując sobie drogę pośród czarnych głazów, poszedł zadzwonić do Chiu Szcześciarza.

Gdy wrócił, podpisali dwa egzemplarze, które sporządził Lo Whan. Nangi nie mógł już teraz mieszać się do spraw Liu i Soczystej Pien.

Mężczyźni odłożyli swoje dokumenty. Stali na skalistym przylądku, ubrani w gustowne jedwabne garnitury.

Dotarły do nich odgłosy oklasków z oceanicznego teatru, w którym orki przeskakiwały przez obcęże, a foki obracały pasiaste piłki na podniesionych do góry nosach.

Nangi wyjął ostrożnie czerwoną kopertę, którą dał mu Liu. Wręczył ją Lo Whanowi.

— A teraz — rozległ się z głośników głos mistrza ceremonii, odbijający się echem wśród skał — panie i panowie, porywający finał!

Tony Theerson, Cudowny Chłopiec pracujący dla C. Gordona Mincka, miał umysł bardziej dostrojony do binarnych skrótów operacyjnych maszyn niż do zawilości ludzkiego myślenia.

Naprawdę rzadko zdarzał się taki dzień, gdy Cudowny Chłopiec doznawał bardziej złożonego uczucia niż głód, pragnienie, zmęczenie lub lekki ucisk pełnego pęcherza. Podniecenie przychodziło wraz z ostatecznym rozłożeniem trudnego szyfru na równe rzędy słów, zdań, paragrafów — szeregował je w myślach, dając im wymyślone przez siebie nazwy — które potem przekazywał Tani Władimowej lub samemu Minckowi.

W rzeczywistości systematyczność doprowadzona do granic, które normalny człowiek uznałby za niedopuszczalne, była częścią jego stylu życia. Nieład panujący w biurze był tego wystarczającym dowodem. Jego pojęcie systematyczności tkwiło w bankach informacji komputerów oraz w genialnym umyśle.

Theerson został obdarzony bardzo trafnym przewiskiem. Nikt inny po tej stronie Atlantyku, z wyjątkiem Cudownego Chłopca, nie miał szansy na złamanie sowieckich szyfrów Alfa-trzy. Były one absolutnymi „łamiczami”, jak — nieprzypadkowo — Tony określał szyfry o najwyższym stopniu trudności, które dostawał do rozpracowania.

Podobnie jak wszystkich geniuszy, Theersona wyprowadzały z równowagi rzeczy albo nie znane mu, albo niemożliwe do wyjaśnienia. Całe jego życie było krucjatą, aby uczynić nieznanne znanym. Logika rządzi światem! — głośno mosiężna plakietka w jego biurze.

Tak więc gdy złamał w końcu najświeższy z Alfa-trójek, gdy angielskie słowa wypłynęły na ekran terminalu, pomyślał, że do tekstu wkradł się błąd. Skasował obraz na ekranie i ponownie wywołał program.

Otrzymał dokładnie taki sam komunikat.

To oznaczało, że nie ma błędu, ale ponownie sprawdził funkcje, wiersz po wierszu, aż dotarł do wszystkich danych wejściowych. Rezultat był wciąż ten sam: żadnego błędu.

Przez dłuższy czas siedział wpatrzony w komunikat. Jakby czytał wieści z Marsa. Nie było w tym żadnego sensu, żadnej logiki. „Jak słowa w rock-'n'rollowej piosence” — pomyślał.

— Niedobrze — powiedział. — Bardzo, bardzo niedobrze. — Nagle uświadomił sobie, jak wielki był dla niego wstrząs.

Z tą świadomością uruchomił drukarkę. Kiedy wystukała już wszystko, złożył wydruk i wymazał słowa z ekranu. „Czas zobaczyć się z Minckiem” — pomyślał.

Kiedy Theerson go znalazł, Minck zastanawiał się nad końcową fazą swej zemsty na Wiktorze Protorowie. Właściwie był z siebie ogromnie zadowolony. Wysłanie Tani Władimowej przeciwko swemu największemu wrogowi było krokiem, który pragnął uczynić wiele lat wcześniej, ale nigdy nie potrafił się na to zdobyć. Pojawienie się Nicholasa Linneara w jego życiu wszystko zmieniło.

W najskrytszych marzeniach Minck utożsamiał się z Wotanem, tym, którego Wagner przedstawił w cyklu „Pierścień Nibelunga” — jednookim i pełnym dumy, kochającym i mściwym bogu.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, aby ruszyć za Protorowem. Byłoby nie do pomyślenia, na przykład, aby sam wsiadł na pokład samolotu lecącego do Japonii, z webleyem w dłoni, by przyłożyć go do głowy wroga i pociągnąć za spust.

Wcale nie dlatego, że Minck był tchórzem. Daleki był od tego, by odczuwać lęk. Walka nie wzbudzała w nim strachu, trudy, zarówno emocjonalne, jak i fizyczne, były przez wiele lat częścią jego stylu życia.

Uważał raczej, że od osobistej zemsty ważniejsze są jego obowiązki wobec Red Section, wobec ludzi, którzy dla niego pracowali i tym samym byli uzależnieni od jego umiejętności kierowania nimi, obowiązek zapewnienia

im bezpieczeństwa w świecie, który pragnął rozerwać ich na strzępy, wreszcie obowiązki wobec kraju.

Była to rzeczywiście w dużym stopniu prawda, jednak lepiej było nie zastanawiać się głębiej nad innymi, mniej szlachetnymi motywami. Podejrzewał teraz, że jest chyba bliższy uznania się za boga Wotana, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Syndrom Walhalli dotknął na całym świecie wielu takich jak on. Minck był głęboko przekonany, że posiadał władzę równie potężną jak włócznia, którą Wotan wyciosał z Wielkiego Drzewa Świata, włócznia, z pomocą której panował nad wszystkimi stworzeniami, nawet nad gigantycznym Fafnirem, włócznia, którą wystarczyło dotknąć, by pozbawić życia. Agenci Red Section byli włócznią Mincka, byli jego siłą.

Tania Władimowa była wprawdzie częścią tej siły, ale za bardzo ją kochał, aby mógł powierzyć jej zadanie wejścia do jaskini Lwa tak przebiegłego jak Protorow. Zastanawiające było to, że kochał ją w dokładnie ten sam sposób, w jaki Wotan kochał swoją córkę, Brunhildę. Była mu bliższa niż jakakolwiek inna ludzka istota. Z nią rozgrywał swoje plany, zarzucał misterną pajęczą sieć. Nie potrafił znieść myśli, że mógłby posłać ją na śmierć z rąk swojego wroga. Wstrzymywał się, czekając cierpliwie, jak Japończyk, na właściwy moment. Moment, który właśnie nadszedł. Jego broń przeciwko mrokom nocy, Tania, musiała już wylądować w Tokio.

Nagle uniósł wzrok, czując, że ktoś stoi w otwartych drzwiach jego biura. Tylko nieliczni mieli pozwolenie wstępu na ten poziom, jeszcze mniej liczni mogli wędrować bez eskorty przez blok Mincka.

— Słucham, Tony — powiedział, przerywając ciąg swych myśli, jakby zakręcał kurek — czy masz coś dla mnie?

Coś nieuchwytnego w sposobie bycia Cudownego Chłopca zaalarmowało Mincka. Skinął na niego ręką.

— Chodź, chodź.

Theerson przeszedł po drewnianej podłodze i usiadł przed biurkiem Mincka w wyplatany z trzciny fotelu.

— Właśnie złamałem najnowszy Alfa-trzy. — Kartka papieru opadała i unosiła się w jego dłoni.

— Masz zamiar mi go pokazać, czy tylko używać jako wachlarza? — Minck dostrzegł, że Cudowny Chłopiec krzywi się i serce mu szybciej zabiło. „Co się stało?”

— Lepiej będzie, jak mi go pokażesz — powiedział, wyciągając dłoń.

Theerson nie śpiesząc się przekazał mu szyfr. Siedział wpatrzony w dłonie złożone na kolanach. Czuł się bezużyteczny i bezsilny. Minck przeniósł spojrzenie z Theersona na kartkę papieru. Przeczytał:

NAJNOWSZA PENETRACJA PRZEZ: LINNEAR, NICHOLAS, STATUS-AMATOR. OSTRZEŻENIE: ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNY! CEL PENETRACJI: TENCHI; TWOJA ŚMIERĆ. USANKCJONOWANA PRZEZ TO BIURO. DOSTĘPNE DANE O LINNEARZE PODANE ZOSTANĄ POTEM. AMERYKAŃSKIE WSPARCIE LINNEARA. SŁUŻĘ RADĄ PO PRZYLOCIE.

WOŁK

„Wołk — pomyślał Minck. — Wilk w owczarni”. Sparaliżowała go myśl o tym, że Tania Władimowa, jego Tania, była „Wykop Jamą”. Sowiecką wtyczką. „Ale jak to możliwe? O, Chryste!”

Trzasnął pięścią w stół z taką siłą, że Tony Theerson podskoczył jak dźgnięty igłą.

— Wyjdź stąd! — warknął Minck. — Zejdź mi z oczu!

Cudowny Chłopiec poderwał się i wycofał z pokoju. Widział już wcześniej — dwa razy — szalejącego Mincka i nie pragnął wchodzić mu teraz w drogę.

Minck zatrzymał go w drzwiach.

— Stój!

Theerson niechętnie odwrócił się twarzą do szefa.

— Jest coś, czego nie rozumiem. Tania wiedziała, że pracujesz nad szyframi Alfa-trzy, wiedziała, że jesteś najlepszy w ich łamaniu. Dlaczego, na Boga, miałaby z nich korzystać?

Cudowny Chłopiec wzruszył ramionami.

— Z jednego powodu: nie sędzę, aby miała inne wyjście. Alfa-trójki są wciąż najpewniejszymi szyframi, jakimi dysponują Sowietnicy. — Zadrzał, gdy wymówił słowo Sowietnicy. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to prawda. — Wiedziała, że mój sukces jest niepewny. Właściwie to rozmawialiśmy o tym dość niedawno. Teraz przypominam sobie, że zapytała nawet, jak sobie radzę z ostatnim szyfrem. — Skinął głową. — To był właśnie ten. Powiedziałem jej, że jest najtrudniejszy z dotychczasowych. Nie przypuszczałem, że mi się uda. Chyba w dwanaście godzin później dokonałem pierwszego odkrycia; przyszło jak olśnienie. Potem było to tylko kwestią mrówczej pracy, której znaczną część wykonały komputery.

Minck zastanawiał się nad słowami Cudownego Chłopca. Nie zawracał sobie nawet głowy tym, żeby powiedzieć coś tak głupiego jak: „To musi być jakaś pomyłka!” Zbyt dobrze znał Theersona; ten człowiek po prostu nie mylił się. Mógł nie być w stanie złamać jakiegoś Alfa-trzy, ale gdy już to zrobił, to wiedział, o czym mówi.

— Wykonałeś świetną robotę, Tony. — Głos Mincka był równie bezbarwny jak zimowy dzień.

Theerson pokiwał ze smutkiem głową.

— Przykro mi. Naprawdę przykro.

Minck milczał, machnięciem ręki kazał mu odejść. Gdy znowu został sam, wstał, zabrał ze sobą ohydny komunikat i przeszedł obok, do pokoju bez okien. Powitał go plac Dzierżyńskiego, szpetny tak, jak szpetna była dla niego cała rosyjska architektura. W górze ciemne niebo. Po drugiej stronie placu „Dziecięcy Świat”, gdzie rozdawano zapakowane w ozdobny papier prezenty. Na placu czarny ził wjeżdżał do małej jak mysia nora bramy Łubianki.

Powrócił tam, uciekając przed śmiercią po śniegu; wszystkie dźwięki stłumione, zdławione całe życie.

„Jak wiele informacji dostarczył nieświadomie Rosjanin? O ile kroków wyprzedzał go Wiktor Protorow?” — zastanawiał się Minck. Komunikat bowiem był wystarczająco jasny: Wołk składał mu raporty. „Tania i Protorow. Jak on to zrobił? J a k?”

Minck zacisnął zęby. Oddychał z trudem. Jakże „Wołk” musiał się uśmieć z jego pomysłu, aby wysłać go jako wsparcie dla Nicholasa; i w jaką musiał wpaść panikę, dowiedziawszy się, że wysłał Linneara przeciwko jego szefowi.

Widział wyraźnie jej twarz w chwili, gdy dowiedziała się, co uczynił, jak sprytnie wszystko zaimprovizował. Jakże mylnie odczytał jej niepokój! Jakie perspektywy stwarzała ta prawda dla rzeczywistości?

Krążył po pokoju. Otaczająca go Moskwa kryła się w przejmująco wilgotnych i mroźnych objęciach zimy.

„Co teraz zrobić? — zastanawiał się. — Jak, na Boga, mogę uratować całą operację?” Nie miał wiadomości od Linneara. Na pewno nie mógł posłać za nią innego agenta. Natychmiast zaczęłaby się mieć na baczności. Jego wezwanie, rozkaz powrotu miałyby taki sam efekt. Wiedziała, że na rozkładzie nie ma — nie mogło być — nic równie ważnego jak *Tenchi* i Protorow.

Niczym ojciec w chwili rozstania się ze swym dzieckiem, czuł się zdradzony. Mimo to nie potrafił się zmusić do nienawiści. Nic, cokolwiek by mu uczyniła, nie mogło zniszczyć jego miłości.

„Musi być jakieś wyjście — myślał intensywnie. — Wiele razy wychodziłem zwycięsko z przegranych sytuacji. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?” Ale znał odpowiedź na to pytanie. Nigdy przedtem nie stał w obliczu tak wielkiej katastrofy.

Świadomość, że miał „Wykop Jamę” wewnątrz własnej Red Section, była dla Mincka nie do zniesienia. To właśnie do niego zwracały się inne agencje, aby wyeliminować takie zagrożenia.

Nie przyszła mu do głowy żadna odpowiedź. Tania, chociażby ze względu na swoją pozycję w Red Section, znała wszystkich pracowników. Ludzie z pokrewnych Familii agencji nigdy by do niej nie dotarli. Oprócz ryzyka zaalarmowania Tani w pomysłcie wyjścia poza własną organizację tkwiło kolejne niebezpieczeństwo: Minck nie przeżyłby, gdyby ktokolwiek dowiedział się o infiltracji. „Nikt nie może wiedzieć o ohydnej zdradzie Tani Władimowej” — pomyślał.

Stawał się nerwowy, jego myśli biegly od jednej możliwości do drugiej, odrzucając każdą niemal w chwili, gdy zaczynał ją rozważać. Dlaczego Linnear nie wykorzystał kodu dostępu?

Rozległ się dzwonek interkomu. Minck zignorował go, ale dźwięk nie ucichł. Nie chciał, aby mu teraz przeszkadzano. Wyciągnął dłoń ku guzikowi przerywającemu połączenie. Zamiast na niego, trafił na guzik włączający i w pokoju rozległ się głos recepcjonistki.

— Ktoś chce się z panem spotkać.

— Nie chcę nikogo widzieć, czy to jasne?

— Tak, proszę pana. Ale ten dżentelmen nie wyjdzie stąd. Upiera się przy...

„Och, na litość boską” — pomyślał Minck.

— Czy ten „dżentelmen” ma jakieś nazwisko?

— Tak, proszę pana. Twierdzi, że pan go zna. To porucznik-detektyw Lew Croaker.

Na jego ciele było mnóstwo sińców, wszędzie tam, gdzie uderzali Koten i Protorow. Trzy palce dłoni miał połamane i bardzo spuchnięte. Ból jednak nie był problemem; wiedział, jak nad nim panować.

Ostrożnie podszedł do biurka Protorowa, włączył maszynę do cięcia papieru i wsunął do niej arkusze z zaszyfowaną informacją. Teraz istniała jedynie w jego głowie.

Doczłogał się z powrotem do miejsca, w którym leżał Protorow. Nadal głęboko oddychał. Spojrzał na obrzmiałe palce i zrozumiał, że nie było rady; nie mógł pozostawić ich w takim stanie.

W Tenshin Shoden Katori nauczył się *koppo*, wyspecjalizowanej dziedziny *ninjutsu*, która dotyczyła łamania kości. Gdy chwycił Protorowa, zastosował niektóre z tych technik. Teraz musiał wykonać na sobie odwrotną operację.

Kciukiem i palcem wskazującym ujmował po kolei palce badając je. Tak jak wprawne ucho włamywacza rozpozna, kiedy zapadki zamku kasy pancерnej opadną na swoje miejsce, tak on podczas badania rozpoznawał moment, gdy jego ciało mówiło mu, że znalazł właściwy punkt. Potem musiał określić dokładnie kąt, by móc nastawić złamany palec.

Człowiek Zachodu podświadomie zacisnąłby zęby, napiął mięśnie w oczekiwaniu na to, co ma nastąpić, zwiększając w ten sposób ból. Nicholas unosił się na *getsumei no mieni*, w czasie gdy ciało goiło się samo.

Gdy spojrział ponownie, stwierdził, że palce są nastawione. Oderwał kawałek szorstkiego, grubego materiału z bluzy Protorowa. Owinął nim złamane palce tak, aby opatrunek mógł spełniać rolę tymczasowej szyny. Pomógł sobie zębami przy zawiązywaniu, uważając, aby nie zatamować dopływu krwi.

Potem przeanalizował sytuację. Nie była dobra. Znalazł się w potrzasku. Miał szczęście, że do tej pory nikt nie wszedł, aby sprawdzić, co robi Protorow. Wiedział, że to nie może długo trwać. Był w samym środku istnej fortecy, w pomieszczeniu z jednymi drzwiami, grubymi jak drzwi bankowego skarbcza. Spojrzął w górę. Pomieszczenie, ze względu na swój charakter, miało powiększone kanały wentylacyjne. Gdyby nie połamane palce i pozostałości narkotyku, z pewnością potrafiłby dostać się do jednego z otworów wentylacyjnych usytuowanych wysoko pod sufitem i wyjść tą drogą na zewnątrz.

Potrzebował pomocy, ale w promieniu wielu mil nie miał żadnego sprzymierzeńca. Dlatego musiał stworzyć go sobie.

Skorzystał z *ichi* i zawołał Rusiłowa, naśladowując w możliwie najdokładniejszy sposób głos Wiktora Protorowa. Gdy porucznik pojawił się w drzwiach, Nicholas uniósł zwiotczone ciało Protorowa.

Reakcja Rusiłowa była możliwa do przewidzenia. Po odruchowym wyrzuceniu rąk do góry, aby zapobiec upadkowi ciała, rozległ się głuchy okrzyk; Rusiłow rozpoznał trupa. Przez chwilę stał jak sparaliżowany. To wystarczyło Nicholasowi, by uderzyć i uczynić go swoim więźniem. Gdy dotknął jego klatki piersiowej, Rusiłow poczuł, jak serce mu staje. Zdawało mu się, że mdleje, nie może oddychać. Równie dobrze mógłby połknąć toksyczną substancję. Krew odpłynęła z jego twarzy, a na górnej wardze i wzdłuż włosów pojawiły

się krople zimnego potu. Mimo to odwrócił głowę, aby raz jeszcze spojrzeć.

— To niemożliwe! — krzyknął. — Ty nie żyjesz!

— W takim razie właśnie dowiedliśmy, że istnieje życie pozagrobowe! — syknął Nicholas do jego ucha.

Rusiłow miał na sobie krew i w idiotyczny sposób próbował ją usunąć.

Nicholas zabrał mu rewolwer i starannie sprawdził, czy nie ma innej broni. Przy lewej łydce Rosjanina znalazł nóż.

— A teraz wyprowadzisz mnie stąd.

— To niemożliwe — odparł Rusiłow, a gdy Nicholas wzmocnił uścisk, dodał pośpiesznie: — To prawda! Jest skaner elektroniczny. Więźniowie są stemplowani niewidomym dla oka znakiem, odnawianym co tydzień. Gdybyśmy mieli przejść lub wyjechać przez którąś z bram, zostaniesz usmażony, a ja razem z tobą, jeżeli będziemy w tym samym pojeździe.

— Musi być jakiś sposób, aby go wcześniej usunąć — powiedział Nicholas.

— Jest. — Rusiłow potwierdził skinieniem głowy. — Protorow wiedział, jak to zrobić. Tylko on. Nigdy się stąd nie wydostaniesz, ze mną czy beze mnie.

Nicholas nie rozpaczał. Nauczono go przenikać cudze tajemnice i wiedział, że z każdego zbudowanego przez człowieka budynku istnieje wyjście, tak samo jak istnieje do niego wejście.

— Szybko! — rzucił do Rusiłowa. — Opowiedz mi o tym miejscu.

Rusiłow spełnił jego żądanie. Budynek, który Protorow wybrał na swą bazę, był pierwotnie zespołem stajni; przystosował je do własnych potrzeb. Istniały z niego dwa wyjścia i, jak powiedział Rusiłow, były nieprzydatne dla Nicholasa. Wewnątrz drewnianego budynku wzniesiono kamienne ściany i dobudowano dodatkową kondygnację, na której się właśnie znajdowali.

Rusiłow roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

— Możesz iść tylko w górę, do parapetów, i stamtąd skoczyć w gęsty las, przyjacielu. Może nie zginiesz, może będziesz miał szczęście i podczas upadku połamiesz jedynie nogi!

Nicholas zaczął intensywnie myśleć. Niewykłuczone, że Rusiłow opisał drogę jego ucieczki.

— Idziemy! — rozkazał. — Nikt, na kogo się natkniemy, nie może nabrać podejrzeń, czy to jasne? Zginiesz, jeśli podniesiesz głos, zginiesz, jeśli zrobisz podejrzany ruch. Jasne?

Porucznik potwierdził skinieniem głowy.

Na zewnątrz, na korytarzu, nie zobaczyli nikogo. Dwaj porucznicy zabrali lekarza na dół, do celi aresztu. Potem Rusiłow poprowadził Nicholasa ku schodom prowadzącym na dach. Po drodze minęli wiele bambusowych i aluminiowych tyczek długości około piętnastu metrów.

Nicholas zatrzymał się.

— Do czego one służą?

— Wszędzie dokoła są gaje bambusowe — odparł ponuro Rusiłow. — Farmerzy przechowywali je tutaj. Aluminiowe tyczki służyły do podpierania świeżych stert przed zimowymi wiatrami.

— Weź dwie — rozkazał Nicholas. A gdy Rusiłow to zrobił, dodał: — Nie te, bambusowe.

Na dachu Nicholas polecił Rosjaninowi rozebrać się i rozłożyć każdą część garderoby na kamieniach. Sam zaś, używając noża Rusiłowa, przeciął bambusowe tyczki na pół. Potem przystąpił do odcinania rękawów bluzy i kurtki porucznika. Przeciął na pół jego spodnie, wyciągnął z butów sznurówki.

— Co robisz? — spytał Rusiłow, skulony w narożu dachu.

Nicholas nie odpowiedział. Pociął gruby, skórzany pas Rosjanina na cztery długie paski. Używając pasków oraz sznurówek, zabrał się do konstruowania szkieletu, po czym przymocował do niego kawałki materiału. Pracował z miłym skupieniem ojca budującego pierwszy latawiec dla swojego dziecka.

To, co wykonał, było *hito washī*, niektórzy *ninja* nazywali to „ludzkim orlem”. Prowizoryczna lotnia.

Kiedy skończył, wrócił do miejsca, w którym kłęczał Rusiłow. Rozebrany z munduru i pozbawiony swoich dystynkcji, wydawał się mniejszy niż przedtem. Podobnie jak wielu wojskowych, bez instrukcji swojego dowództwa przestał prawie istnieć.

— Żegnaj, Rusiłow — rzekł Nicholas. Pochylił się i dotknął jego *juka*, jednego z *kyukonów*, południków dziewięciu organów. Umiejscowiony był tuż za uszami. Rusiłow upadł tracąc przytomność.

Potem Nicholas ustawił *hito washī*. Z południowego zachodu wiał sprzyjający wiatr, porywisty jednak i niebezpieczny. Wzruszył ramionami. *Karma*. Był ogromnie zmęczony i bardzo chciało mu się spać. „Już niedługo — pomyślał. — Teraz bądź ostrożny”.

Wspiął się na kamienny parapet. Księżyc nie świecił. Zabrano mu chronometr. Był środek nocy. Nie nadszedł jeszcze ten osobliwy okres przedświatu, gdy świat zabarwia się wyjątkowym, nie dającym się wyrazić odcieniem; Nicholas nie wiedział, jak dużo czasu pozostało do jego nadejścia.

Dwa mocne podmuchy nadeszły, gdy wciąż ustalał kierunek lotu. Potem, gdy już się ustawił, wiatr osłabł i tylko muskał jego twarz. „Prędejj! — pomyślał. — Prędejj!”

Jego włosy zaczęły falować, czuł coraz większy chłód. Wiatr wzmagał się. Nicholas zamknął oczy i poczuł go. A gdy ciało powiedziało mu, że nadszedł czas, użył potężnych mięśni nóg, by wybić się w ciemną otchłań. Wirował przez chwilę, po czym opadł w dół. Skorygował lot. Złapał silny prąd wstępujący.

Wzbił się w mrok nocy jak nietoperz.

Akiko dostrzegła Kotena w *rotenburo* i ruszyła za nim. Przyjechał z pustymi rękami, wyszedł z długim, wypolerowanym drewnianym futerałem. Dla Akiko, której oczy przywykły do takich widoków, wyglądał na futerał z bronią. Sądząc po jego długości mógł zawierać tylko *dai-katana*, najdłuższy ze wszystkich samurajskich mieczy.

Zesztywniała, pogrążona w głębokim cieniu. Koten przeszedł przez wąską elipsę światła lampionu, więc dobrze przyjrzała się futerałowi. Był tym samym, który widziała w ogrodzie, gdy leżał otwarty między Nicholasem i jej mężem. „Koten ma miecz Nicholasa!” — pomyślała.

Jechała za samochodem Kotena, a ponieważ ruch o tej porze nocy był niewielki, musiała zgasić światła swojego wozu, korzystając z przydrożnego oświetlenia oraz bliźniaczych rubinowych tylnych świateł samochodu Kotena. Raz czy dwa razy, gdy droga wiała się po zboczach wzgórz, myślała że go już zgubiła. Jednak za każdym razem, gdy docierała na szczyt, światła pojawiały się ponownie.

Jechali przez wiejską, pełną farm okolicę. Akiko musiała uważać, aby Koten jej nie zauważył. Ciemność, która przeszkadzała w jeździe, była też jej pomocna, utrudniała bowiem Kotenowi obserwację tego, co się działo z tyłu.

W niespełna trzydzieści minut po opuszczeniu *rotenburo* samochód Kotena zwolnił raptownie i skręcił w lewo na twardo ubitą polną drogę, która natychmiast ginęła wśród zarośli.

Akiko szybko zjechała na pobocze i wysiadła. Dalej ruszyła pieszo. Nie mogła ryzykować wjazdu samochodem, bowiem sam hałas mógł zaalarmować tropioną zwierzynę.

Droga była wąska i kręta. Akiko bez trudu obserwowała Kotena. Zatrzymał się na małej polanie otoczonej potężnym szpalerem szeleszczących drzew bambusowych. Wokół byli ludzie. Podeszła dostatecznie blisko, by

słyszeć, o czym mówią. „Nicholas uciekł!” — pomyślała.

„Ale co z Sato?” Nie przebywała w *rotenburo* wystarczająco długo, by odkryć coś istotnego oprócz tego, że jakiś człowiek, najwyraźniej stały klient, został zabity podczas tajemniczej eksplozji samochodu. „Kto?”

Nie wiedziała. Przyjechał Koten i odwrócił jej uwagę, ale i tak nie byłaby w stanie zadawać pytań bez wzbudzenia podejrzeń. Japońskie społeczeństwo było bardzo zamknięte. Istniało mocne poczucie przynależności. Nie była członkiem tej społeczności. Obca osoba pytająca o coś, co z łatwością można było uznać za morderstwo — a co w każdym razie było nie wyjaśnioną śmiercią — zwróciłaby uwagę i powiadomiono by miejscową policję. Akiko nie mogła sobie pozwolić na tego rodzaju zainteresowanie.

Teraz jednak musiała się zastanowić. Mówili tylko o Nicholasie. O Sato nie powiedziano ani jednego słowa; jego nazwisko po prostu nie padło.

Akiko wyciągnęła z tego wniosek: Sato nie żył. Być może on był tym człowiekiem, który poniósł śmierć podczas wybuchu, albo może zginął w tym zalesionym miejscu. Nie miało to znaczenia, ktoś zatroszczył się za nią o wykonanie części jej zemsty. Nie była szczególnie zadowolona, wolałaby wymierzyć ją własnoręcznie, ale pogodziła się z rzeczywistością.

Teraz jej celem był Nicholas. Zawróciła z brzegu polany i zaczęła przeszukiwać otaczający teren oraz położony w środku budynek, który bardzo przypominał stajnię, lecz — była tego pewna — stajnię nie był.

W końcu na południowy zachód od budynku odnalazła pozostałości *hito washi*. Przykucnęła, dotykając lotni i podziwiając jej wykonanie. Roześmiała się cicho, po czym ruszyła w ślad za nim.

Alix oczywiście próbowała go powstrzymać. Wyzywała go od najgorszych, poczynwszy od szaleńców na kretynach skończywszy. Płakała nawet, a w końcu błagała, aby tam nie szedł.

Dzięki temu Croaker domyślił się, że Alix naprawdę boi się o niego. Jednak wcale nie był tego pewien. Była przecież doskonałą aktorką. Mogła wyzwolić i gasić uczucia z taką samą łatwością, z jaką każdego rana nakładała makijaż i zmywała go przed nocą.

Potem przyszło mu do głowy, że dziewczyna nie ma najmniejszego powodu, by grać. Co uzyskalaby powstrzymując go przed wylotem do

Waszyngtonu? Wiedziała doskonale, kto próbował go zabić lub przynajmniej kto wydał taki rozkaz. Ta sama osoba poleciła zlikwidować ich oboje, łamiąc swoje przyrzeczenie.

C. Gordon Minck, człowiek, przed którym stał teraz Croaker.

— Gdzie my, u licha, jesteśmy — spytał, rozglądając się po tonącym w zieleni patio — w afrykańskim buszu? — Nie podobał mu się ton własnego głosu. Ale bał się nie tylko tego człowieka oraz wpływów, jakich użył, by przerwać poszukiwania, nagiąć prawo do własnych celów, ale także tego, co sam zamierzał uczynić Minckowi.

Minck zdołał się roześmiać i Croaker rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści. Z trudem panował nad emocjami.

— Powiniennem cię zabić tutaj gołymi rękami — powiedział cicho gardłowym głosem.

Minck wciąż próbował dojść do siebie po tym, jak zobaczył stojącego obok człowieka, którego jeszcze przed chwilą uważał za topielca. Niepewnym ruchem uniósł ku skroni dłoń, jakby tym gestem mógł odsunąć ból, który pulsował w niej niczym zdrajca.

— Musi się pan wziąć w garść, poruczniku.

Było to wszystko, co mógł w tej chwili zrobić. Potrzebował trochę czasu, aby uporządkować uczucia i myśli. Ten dzień gwałtownie stawał się jednym z najgorszych w jego życiu. Postanowił zachować maksimum uwagi, żeby sprawy nie przybrały jeszcze gorszego obrotu. Uczynił gest ręką i powiedział:

— Proszę usiąść.

— Który z tych foteli jest zaminowany? — spytał szyderczo Croaker.

— Co właściwie ma oznaczać to pytanie? — odparł Minck. Obiecał sobie, że nie będzie rywalizował z porucznikiem Croakerem na swoim własnym podwórku. Ale ból głowy burzył jego plany.

— Trzy razy usiłowałeś pozbyć się mnie, dwukrotnie próbowałeś zabić Alix Logan. Cóż innego spodziewałeś się ode mnie usłyszeć?

Minck ciężko opadł na fotel. Ból wzmógł się. Serce biło coraz szybszym rytmem.

— O czym pan mówi? — Głos drżał mu nieco, twarz pod ciemną opalenizną zrobiła się ziemista. Dopiero teraz zaczął pojmować prawdziwą grozę sytuacji. Wypowiedziana przez Croakera groźba odbijała się w jego mózgu urągłym echem. „Jakże mogłem nie dosłyszeć tego sygnału?” — zadawał sobie pytanie.

Croaker obserwował go z zaciekawieniem. Jego gniew tracił na ostrości.

— Alix i ja byliśmy ścigani od Key West. Raz w Raleigh, w Północnej

Karolinie, i raz w Nowym Jorku zostaliśmy zaatakowani. To usiłowanie zabójstwa, Minck.

Minck pokręcił głową.

— Nie rozumiem — rzekł — nie zwracając się do nikogo konkretnie. — Nigdy nie sankcjonowałem śmierci Alix. — Uniósł wzrok, jakby nagle zdał sobie sprawę z obecności Croakera. — Nigdy bym tego nie zrobił. Powiedziałem jej, że nie zrobię tego. Musi mi pan uwierzyć.

Słowa, o czym Croaker doskonale wiedział, nic nie kosztowały. Ale było coś w oczach Mincka, pewnego rodzaju błaganie, co go uderzyło. Spostrzegł, że Minck, którego widział oczyma Alix jako ogromnego pajaka zarzucającego swoją niemożliwą do rozerwania sieć ze świętej stolicy państwa, zaplątał się w strefie cienia tak samo jak on sam. Nagle okazało się, że obaj są zagubieni, obaj zdezorientowani, która droga prowadziła do góry, kto był dobry, a kto zły. W tym momencie znikło jakoś poczucie, że są przeciwnikami. Po raz pierwszy od czasu, gdy wszedł do mieszkania Angeli Didion i znalazł jej nagie, zimne jak lód ciało, zaczął rozumieć, że w tej sprawie było coś więcej niż tylko zamordowanie jednej modelki. Znacznie więcej.

— Kto w takim razie to zrobił? — spytał ochryplym głosem.

Minck został zmuszony do wyciągnięcia następnego nieuniknionego wniosku. Komu przekazał opiekę nad Alix? Komu powierzył czuwanie nad jej bezpieczeństwem? Tani Władimowej, oto komu. Tej samej Tani, która zniknęła z budynku — Bóg jeden wiedział, gdzie — na ostatnie czterdzieści parę godzin.

Chwycił za słuchawkę i poprosił o zrekonstruowanie posunięć Władimowej w ciągu ostatnich trzech i pół dnia. Uzyskał natychmiast połączenie z komputerem SAPICR-u. Powtórzył swoje pytanie i cierpliwie czekał na odpowiedź. Gdy nadeszła, spojrzał na Croakera.

— Tania — rzekł powoli.

— Kim, u licha, jest Tania? — spytał Croaker.

— Jest kobietą, która sankcjonowała śmierć was obojga — improwizował, nie mówiąc całej prawdy. Coś zaczęło kiełkować w jego umyśle. Ciemny i maleńki satelita, który potrzebował trochę przestrzeni i czasu, by urosnąć. Zarodek pomysłu. Początek ogromnej operacji ratowniczej, a nawet swego rodzaju cud, jeśli można było rzeczywiście powiedzieć, że takie historie się zdarzają. Minck nie wierzył w Boga, wynikało więc z tego, że nie mógł wierzyć w cuda. Być może do tej właśnie chwili.

— Co z Alix? — spytał normalniejszym tonem. — Czy dobrze się czuje?

— Jest oszołomiona, zła, zawiedziona i może jej życie zostało zrujnowane przez to całe bagno, ale czuje się dobrze.

Minck poczuł ulgę. Jeśli przez moment podejrzewał, że zachowując Alix Logan przy życiu, po prostu dawał upust swym zachciankom, teraz odrzucił całkowicie takie myśli. Ulga, którą poczuł, była rzeczywiście głęboka.

Odetchnął, lecz zanim zdołał coś powiedzieć, Croaker rzekł:

— Niech pan jednak nawet przez chwilę nie sądzi, że powiem, gdzie ona jest. Jeśli teraz zacznie pan działać przeciwko mnie, Alix pójdzie ze wszystkim, co wie, prosto do Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych. Wiem, że nie może pan sobie na to pozwolić. Zrobił pan wszystko, żebyśmy nie musiał tego uzasadniać.

Minck przez moment jakby ważył słowa Croakera.

— W porządku — powiedział w końcu. — Jeżeli pan chce, proponuję panu zawieszenie broni... pewnego rodzaju transakcję.

— Jaką transakcję? — Mimo iż spostrzegł, że Minck darzył Alix szczerym uczuciem, Croaker daleki był od tego, by ufać temu człowiekowi.

— To, co proponuję, brzmi następująco: nie uczynię panu krzywdy ani nie będę starała się odnaleźć miejsca, w którym przebywa Alix, jeżeli oczywiście sobie tego nie życzy. W zamian za to pan usiadzie, wysłucha, co mam panu do powiedzenia, i dobrze się nad tym zastanowi.

— A zatem?

„Świetnie — pomyślał Minck. — Ten człowiek jest inteligentny i zaradny jednocześnie. Zabił dwóch moich agentów i uniknął śmierci z rąk następnego, mojej najgroźniejszej, najbardziej wiarołomnej Tani. Być może potrafi dokonać tego, czego nie dokonałby nikt z moich ludzi”. Zaczął mówić o Tani Władimowej i jej ostatecznej zdradzie, o jej manipulacji operacją „Miecznik”, którą był areszt i ochrona Alix Logan. „Ten człowiek zdoła zniszczyć to, co wspólnie stworzyliśmy z Proto rowem”.

C. Gordon Minck zaczął odzyskiwać zapał i energię. Przepęniało go dziwne uniesienie, drżały końce palców. Czuł się jak człowiek, który wyrwał się z objęć śmierci.

Przekonanie Croakera do tego, co musiał zrobić, nie było trudne. Minck miał dwa istotne argumenty, które przedstawił siedzącemu naprzeciw człowiekowi, a których ten nie mógł odrzucić — był tego zupełnie pewien. Zdawał sobie sprawę, że gdyby sytuacja była odwrotna, czułby pokusę równie silną jak pokusa, którą zaczął dostrzegać u Croakera.

Chęć zemsty i patriotyzm. To były dwie przyczyny, dla których, jak podejrzewał Minck, Croaker zgodzi się na tę transakcję. Tania próbowała zabić jego i jego podopieczną, a tego Croaker nie mógł tolerować. Chciał ją teraz dostać i Minck nie mógł mieć mu tego wcale za złe. Wyjaśniał, że obaj chcą ją dostać. Chodziło jedynie o to, że Croaker był w stanie dopaść ją, podczas gdy on nie.

Poza tym istniał jeszcze rosyjski aspekt tej sprawy. Nikomu się to nie podobało, a już najmniej samemu Minckowi. Croaker popierał go całkowicie.

— Otrzyma pan pełny immunitet dyplomatyczny — zakończył Minck — i nową tożsamość, jeśli chodzi o sprawy celne i imigracyjne. Będzie pan miał tam pełne wsparcie, jeśli będzie panu potrzebne. — Odczekał chwilę. — I skontaktuje się pan ze swoim starym przyjacielem, Nicholasem Linnearem. — Rozstrzygający argument — to, co jak podejrzewał, będzie najlepszą informacją, zachował na sam koniec.

Croaker chwycił przynętę.

Lecz pół godziny po tym, jak detektyw otrzymał: nowy paszport, metrykę urodzenia, dokumenty, dolary amerykańskie, jeny japońskie oraz czeki podróżne American Express i został zawieszony na lotnisko Dulles International, by odbyć lot do Tokio — Minck załamał się nagle i po raz pierwszy od czasu uwięzienia na Łubiance gorzko się rozplakał. Myślał o tym, co mu uczyniono i co w rewanżu był zmuszony uczynić.

Obiekt miłości i nienawiści Mincka łądował tymczasem w Porcie Lotniczym Narita na peryferiach pokrytego smogiem Tokio. Tuż po starcie z lotniska Kennedy'ego Tania zażyła dwie tabletki i zapadła w głęboki sen, w którym dominowały obrazy z dzieciństwa. Protorow kroczył w jej snach majestatycznie niczym wartownik, konno i pieszo, z bronią i w żołnierskich butach; wszędzie, dokąd szła, był już i czekał.

We śnie powróciła do szkoły podstawowej w Reczitsa, mieście położonym najbliżej wsi, gdzie mieszkała jej rodzina. W domu dochodziło już do pierwszych starć. Jej starszy brat, Michaił, nie pochwalał tego, że ojciec jest milicjantem. Jako pracownik milicji kontaktował się z KGB. Odziani w czarne prochowce agenci pojawiali się od czasu do czasu w domu, aby przypomnieć mu, że ma donosić o wszystkich zauważonych przypadkach działalności antypaństwowej. Po upływie sześciu miesięcy Michaił opuścił ojca, a w ciągu roku, w wieku lat osiemnastu, stał się jednym z bardziej bojowych i

popularnych dysydentów działających w Rosji. Ale zanim to się stało, dyrektor szkoły w Reczitsa starym i zniszczonym samochodem odbył podróż do domu Tani, aby porozmawiać z jej rodzicami. Zaproponował stypendium we wspaniałej akademii z wyposażeniem, którego, co z żalem stwierdził, brakowało w szkole, którą kierował. Powiedział, że jest bardzo bystrą dziewczyną i zasługuje na taką szansę. Lecz wymagało to pewnych wyrzeczeń. Ta nowa akademія była na Uralu, dobrych czterysta sześćdziesiąt mil od domu. Matka Tani rozpląkała się na myśl o tym. Przecież odszedł już jej syn. Jednak ojciec był stanowczy. Powiedział, że jest tylko wiejskim milicjantem i chce, żeby przynajmniej jedno z jego dzieci skorzystało z dobrodziejstw, z których on nigdy nie korzystał. Więc załatwiono tę sprawę, ku wielkiej uldze dyrektora, bowiem sam Protorow bardzo naciskał, aby sprowadzić Tanię do jego akademii. Tania i jej rodzice nie mieli naturalnie pojęcia o charakterze programu nauczania tej nowej szkoły. Gdy już przyjechała tam i odkryła, gdzie jest i kogo z niej zrobią, co tydzień pisała posłusznie do domu. Nigdy nie wspomniała ani rodzicom, ani komukolwiek o rzeczywistym charakterze akademii, mimo że tak naprawdę pragnęła chyba powiedzieć o tym ojcu; wiedziała, jak bardzo byłby dumny i jak ta świadomość mogłaby pomóc w uśmierzeniu okropnego bólu, który sprawiła mu zdrada Michaiła.

Protorow. Próbowwała skontaktować się z nim z lotniska, czekając na nadejście bagaży, a potem raz jeszcze, gdy dotarła do pulsującego życiem, przeludnionego serca Tokio. Użyła czterocyfrowego kodu dostępu i dwa razy odpowiedzią była martwa cisza.

Nie było w tym nic niepokojącego, niepokojąca była obecność Piotra Aleksandrowicza Rusiłowa w jej hotelu. Zameldowała się, odesłała torbę do swojego pokoju, po czym pozwoliła, by porucznik wyprowadził ją na zewnątrz. Spacerowali pośród tłumu potrącających się mężczyzn odzianych w szare garnitury i noszących czarne, złożone parasole, jakby byli londyńczykami. Wielu miało białe maski na nosach i ustach, co stawało się coraz bardziej powszechnym widokiem w tym mieście.

Tania oceniła, że Rusiłow wcale nie wygląda dobrze. Miał bladą cerę i nabrał ostatnio nerwowego zwyczaju odwracania głowy, aby zobaczyć, co się dzieje za jego plecami. Nie podobało się jej ani jedno, ani drugie.

Ale jeszcze mniej spodobało się Tani to, co jej powiedział.

Jej skóra była jak karbowana bibuła, najdelikatniejszy gatunek papieru ryżowego marszczony pod potężną prasą, półprzezroczysty nawet po siedemdziesięciu dziewięciu latach.

— Jutro skończę osiemdziesiąt lat — powiedziała. W jej głosie nie było dumy, jedynie zdumienie, że życie może trwać tak długo.

Nawet teraz była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widział. Jako dziecko często porównywał jej urodę z urodą matki. Zawsze uważał, że jej doskonała symetria przegrywa z bardziej egzotyczną urodą Czeong. Być może w jego naturze leżała lojalność wobec matki. Ale było coś jeszcze: nienawidził jej za to, że jest matką Saigo, i to go zaślepiło.

— Czy jest jeszcze coś, co mogę ci przynieść?

Opuścił głowę.

— Nie, *Haha-san*. Matko.

Wiele zaszło między nimi od czasu, gdy potykając się, dotarł na próg jej domu i dzięki temu mógł ją teraz tak nazywać.

Mieszkała tam, gdzie zawsze, odkąd ją znał, na peryferiach Tokio, na północny zachód od miasta, niedaleko miejsca, w którym pobrali się Sato i Akiko. Nicholas odbył żmudną podróż z Hokkaido na południe, włamawszy się uprzednio do sklepu z konfekcją; potem, „uzbrojony” w nowe rzeczy oraz pewną ilość pieniędzy, dotarł do Hakodate. Mógł ukraść samochód, ale nie chciał zostawiać tak wyraźnego śladu tym, którzy mogli go śledzić, a nawet policji, która nieuchronnie przeprowadzi dochodzenie w sprawie włamania w sklepie. Będą prowadzić swoje śledztwo z drobiazgowością, z jaką Japończycy podchodzili do każdego zadania. Im mniej szans im dawał, tym pewniej się czuł.

Sporadycznie korzystał z autobusów i, gdy mógł, z autostopu. Unikał jednak głównych dróg i kolei, wiedząc, że łatwiej można było tam zostawić ślady.

W końcu w mieście, na południowym wybrzeżu wyspy, wsiadł na prom płynący z Tsugarukaikyo do Amori, na skalisty kraniec Honshu.

Nie mając dokumentów, nie mógł wynająć samochodu i na wszelki wypadek wołał znowu korzystać z autobusów; zygzakowatą trasą zmierzał powoli na południe.

Przerażała go myśl o ponownym spotkaniu z ciotką. To właśnie on zabił jej jedyne dziecko, to właśnie jego ojciec skazał jej męża na śmierć przez uduszenie, za co Saigo otruł z kolei pułkownika i, w wiele lat później, ścigał Nicholasa aż do Nowego Jorku.

Nie wiedział, jak go powita, nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego mógłby jej powiedzieć. Czym bowiem były słowa, j a k i e k o l w i e k słowa,

w obliczu ostateczności śmierci. Nicholas pomyślał, że słowa „I'm sorry” były chyba najbardziej nieodpowiednimi słowami w języku angielskim. Lecz ani w japońskim, ani w żadnym z języków tego świata nie było nic lepszego.

Dom zbudowany został przez architekta, który był już starcem, gdy Itami i jej mąż, Satsugai, zlecili mu jego budowę. Darzył on wciąż stare siedemnastowieczne style, które, jak powiedział, wciąż były najlepsze. Czas był na to dowodem, był świadectwem ich zwycięstwa.

Zaprojektował ten dom, wzorując się na domu w Kioto, zwanym Katsura Rikyu, cesarskiej willi sprzed stu lat, która wciąż była najwspanialszym przykładem połączenia dzieła ludzkich rąk z naturą, jaki można było spotkać w całej Japonii.

– Staram się – powiedział starzec – wycisnąć piętno swego ducha na naturze, tak aby dom pozostawał jej częścią.

– To, że efekt jego pracy był znakomity, w japońskim znaczeniu tego słowa, nie podlegało dyskusji. Być może wiele detali było zbyt subtelnych dla Nicholasa, gdy był młodszy, bowiem nie kochał domu w całości, lecz tylko jeden jego pokój: ten, w którym odbywała się *chano-yu*.

I do tego właśnie pokoju został zaprowadzony po powitaniu w drzwiach przez służących, których Itami poinformowała o jego przyjeździe. Wziął kąpiel. Rany opatrzył mu przygarbiony starzec, który wprawdzie mamrotał do siebie monotonna, lecz wiedział, co robi.

Czuł się teraz lepiej niż przez poprzednie dni. Klęczał w pokoju sam, zwrócony w stronę ogrodu. Ściana otwierała się na całą długość pokoju i na wysokość około sześciu stóp. Jednak górna połowa była przysłonięta ekranem-kratownicą wypełnioną papierem ryżowym, tak że w trakcie ceremonii herbaty można było oglądać jedynie dolną część ogrodu. Był to pomysł właściwy dla filozofii zen: mieć cuda natury jako część swojego otoczenia, ale jednak tylko jako część. Sądzono, że istniejąca za tą niewidoczną granicą przyniatająca gorzko-słodką delikatność kwiatów wiśni lub kwiecisty wachlarz jesiennych krzewów mogą naruszać skupienie potrzebne przy *chano-yu* oraz harmonię tego miejsca.

Światło słońca rozszczepione przez drzewa rozlewało się na kratkach ekranu, nadając mu barwę świeżo ubitego masła, ogrzewając pokój i dodając ciepła jego atmosferze. Samotny ptak, dziobiąc tu i ówdzie, kroczył po kamykach w ogrodzie.

Zerwała się lekka bryza i zakołysały się wierzchołki kryptomerii, sprawiając, że miękkie cienie przesunęły się za ekranem i na wypolerowanej drewnianej podłodze. Nicholas zadrżał w głębi serca; przypomniał sobie

niepewny lot na *hito washi*, obdarte ubranie nastroszone niczym pióra, pęd nocnego powietrza na twarzy, strach, że wiatr mógłby nagle ustać, a wtedy runąłby z całej siły na szpalery drzew bambusowych.

Radość i przerażenie mieszały się w nim jak alkohol, wywołując uczucie mrowienia.

Znowu był wyczerpany. Narkotyki ulotniły się, zostały usunięte z jego organizmu. Jednak nadal odczuwał ich wpływ na mięśnie, tkanki i mózg. Jedynym lekarstwem były ćwiczenia.

Pojawiła się w jego polu widzenia wraz ze stłumionym szelestem jedwabiu. Wstał i uklonił się. Serce podeszło mu do gardła. Był porażony wzbudzającym respekt majestatem jej urody. Nie chodziło o to, że czas nie zostawił na niej żadnych śladów, tylko o to, że Itami uczyniła go raczej swym przyjacielem niż wrogiem. Czas stąpał za nią niczym poskromione zwierzę, obecny, lecz nie mający żadnego związku z jej osobą.

— Itami-san. — Jego głos był piskliwym szeptem. — *Oba*.

— Usiądź, proszę, Nicholasie.

Uczynił to. Nie chciał zastanawiać się nad tym, co było w jej oczach, co było w jej myślach.

Gdy podano już herbatę i ryżowe ciasteczka, gdy zostali znowu sami, Itami powiedziała:

— Jak to dobrze, że wróciłeś. Moje serce uradował twój widok, *watashi no musuko*. Mój synu.

Coś w nim pękło; pochylił się, aż dotknął czołem błyszczącego drzewa. Ból rozdzierał jego serce. Płakał, nie był już w stanie dłużej tłumić w sobie uczucie; japońską część jego osobowości ogarnął wstyd, ale część zachodnia musiała uwolnić się od niego i żadna ziemską dyscyplina nie mogła odmówić jej do tego prawa.

— *Watashi no musuko*. — W głosie Itami było tyle czułości, że rzeczywiście mogłaby być jego matką. — Wiedziałam, że wrócisz. Modliłam się, żebyś zdobył się na odwagę.

— Bałam się, *oba*. — Jego głos był zdławiony, czuł gorzki smak łez. — Bałam się, z uwagi na to, co zrobiłem. Nie chciałem patrzeć na ból, który ci zadałem.

— Nigdy nie zadałeś mi bólu, Nicholasie — odparła łagodnie. — Zawsze byłeś dla mnie synem, bardziej niż kiedykolwiek było nim moje własne dziecko. On był słaby duchem, ciałem i duszą należał do swojego ojca. Satsugai rządził nim tak, jak słońce rządzi ziemią. To właśnie Satsugai określił życiową drogę Saigo; to jego paranoiczne idee przyswoił sobie Saigo.

Nicholas uświadomił sobie, że w żadnym momencie nie powiedziała o Saigo „mój syn”. To dziwne u matki. Uniósł głowę, ich oczy spotkały się. Nie odnalazł tam gniewu ani nawet smutku. Przeciwnie, była w nich rezygnacja i miłość... miłość do niego.

— Był do gruntu zły — ciągnęła dalej Itami. — Nigdy przedtem nie wiedziałam, że coś takiego jest możliwe. — Pokręciła głową. — Nie w przypadku Saigo. Miał w sobie niesamowitą czystość, która mogła być godna podziwu, gdyby została właściwie ukierunkowana. To, że tak się nie stało, było brzemieniem, z którym musiałam żyć. Powinnam wstydzić się tego, że pragnęłam jego śmierci, ale nie wstydę się. Jakżebym mogła? Wszystko, czego dotknął, więdło i umierało. Był niszczycielem ludzkich dusz.

— Mimo to — powiedział Nicholas — nie czuję dumy, że go zniszczyłem.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Postępowałeś z honorem. Jesteś nieodrodnym synem swojej matki.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Itami uśmiecha się do niego. Bez namysłu uczynił to samo. Jego twarz pojaśniała niczym niebo po burzy z piorunami.

Przez dłuższy czas nie robili nic innego, grzejąc się w ciepłe swoich serc, ponownie zapoznając się ze sobą, odnajdując nowy i niespodziewany poziom ich wzajemnego stosunku, którego istnieniu zaprzeczał przedtem ciężki bagaż przeszłości.

Cieszę się, że przyjechałeś właśnie teraz — powiedziała następnego dnia. — Mieliśmy jeden lub dwa wstrząsy ziemi, nic wielkiego, ale dość nieprzyjemne.

Nicholas przypomniał sobie pierwszy odczyt informacji z satelity, który pokazał mu Protorow i który wskazywał na narastanie aktywności sejsmicznej. Nic jednak o tym nie powiedział.

— Nie wybierałem czasu, *oba*, został wybrany za mnie.

Skinęła głową uśmiechając się nieznacznie.

— Właśnie dlatego musimy wszyscy nauczyć się „przekraczać rzekę w bód”, prawda, Nicholasie?

Był lekko zaskoczony.

— Nie wiedziałem, że czytałaś Musashiego.

— Czytałam i studiowałam. — Teraz śmiała się zupełnie otwarcie. — Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz, choć z pewnością nie ma drugiego człowieka na całym świecie, z którym bym dzieliła tak wiele tajemnic.

To ja kierowałam do Saigo pewnych biznesmenów; ludzi, których obraził ten Raphael Tomkin, ludzi, którzy pragnęli jego śmierci. Nicholas odwrócił się, by na nią spojrzeć.

— Nie rozumiem.

— Czy choć przez chwilę sądziłaś, *watashi no musuko*, że straciłam z tobą kontakt, gdy opuściłaś swój dom? Moja miłość jest równie długa jak historia mojej opieki. W czyjej córce się zakochałeś? Ile czasu potrzebowałby Saigo, aby odkryć tę informację? Ile trwałoby, zanim myśl o zegarmi-strzowskiej precyzji połączenia dwóch zadań, zawodowego i osobistego, zaświtałaby mu w głowie? Z pewnością uznał to za logiczne i oczywiste; nie potrafił się temu oprzeć.

Wspomnienia, niczym klatki filmu, przesuwały się w myślach Nicholasa.

— To ty... To t y wysłałaś go za mną? — Przyłożył dłoń do głowy; nie bardzo mógł uwierzyć w to, co słyszał.

— Mój drogi — powiedziała cichym głosem — on był niczym zraniony dzik albo bizon południowoafrykański. Był, i z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Nie mogłam z czystym sumieniem pozwolić, by trwało to nadal.

Zatrzymała się w marszu i po raz pierwszy dotknęła jego ciała w delikatnym, lecz wyraźnym geście, pełnym — tak jak w przypadku wszystkich japońskich gestów, bez względu na to, jak bardzo były niepozorne — głębokiego znaczenia.

— Czy myślisz, że wysłałabym go po to, aby cię skrzywdził? Wysłałam go na śmierć. Może i zabiłam go, jeśli ktoś zdecyduje się spojrzeć na to w taki sposób.

— Ale przy okazji zginęli inni, *oba*. Musiałaś przecież wiedzieć o tym.

Nie odpowiedziała. Zaczęła iść po trawie nakrapianej cieniem rzucanym przez rzeźbioną altanę z drzewa bukszpanowego.

— Cóż chciałbyś ode mnie usłyszeć, *watashi no musuko*? Życie jest niedoskonałe, ponieważ jesteśmy ludźmi, nie bogami. Bogowie z samej swej definicji nie żyją, lecz raczej istnieją.

Przystanąli. Itami położyła dłoń na sękatym pniu drzewa.

— Żałuję śmierci... każdej śmierci. Ale często, aby zniszczyć chorobę, trzeba usunąć zdrową tkankę. Wiem, że to niesprawiedliwe i z pewnością mi nie odpowiada. Ale nadszedł czas, że musimy nauczyć się „przekraczać rzekę w bród”. Nie my go wybieramy, a raczej, jak sam powiedziałeś, on nas wybiera.

Nie było to dokładne powtórzenie tego, co powiedział, lecz podejrzewał, że Itami wie o tym. W każdym razie jej słowa były znacznie bardziej trafne.

Nicholas wiedział, że na to, co zdarzyło się między nim i Saigo, żaden z nich nie miał w rzeczywistości wpływu. Pokolenie wcześniej zdecydowała o tym stała wzajemna wrogość ich ojców. Wiązało ich synowskie oddanie, sprawiające, że zakończyli to, co zaczęło się tak dawno temu.

Nie mógł powstrzymać się od myśli o tych, którzy zginęli wierni honorowi, kodeksowi, który nie był ich kodeksem; Eileen Okura, Terry Tanaka, Doc Deerforth, tylu policjantów i inni, których nazwisk nie znał. Oraz, tak, nawet Lew Croaker. Nicholas zrozumiał mądrość słów swojej ciotki, a nawet zgodził się z nimi. Mimo to coś go od nich odpychało, jakby wołając z oddali: To zbyt wiele; nawet wymazanie jednego życia jest zbyt wielką ceną za wykorzenienie giri.

— Byłam z tobą szczerą, Nicholasiu — powiedziała po chwili Itami. — Teraz ty musisz odwzajemnić się szczerością. Powiedz mi, dlaczego tutaj przyjechałeś? Przecież nie po to jedynie, aby po tylu latach znowu mnie zobaczyć.

— Tak, częściowo z tego właśnie powodu. — Lecz Itami znowu miała rację. Przez cały czas podróży na południe zadawał sobie to pytanie. Gdy dotarł już do celu, stało się bardziej natarczywe, aż w końcu, nawet we śnie, nie mógł się od niego uwolnić.

Akiko.

Nie była Yukio, a jednak miała jej twarz. Dlaczego? Z pewnością nie mogła urodzić się z rysami tak idealnie podobnymi do rysów jego utraconej miłości. Natura po prostu nie powtarzała swego dzieła w taki sposób, może z wyjątkiem bliźniąt.

— A jeśli — jak teraz sądził — jej twarz była dziełem człowieka, to niczym pies prowadzony na smyczy powracał do jedynej osoby, która mogła pragnąć jego unicestwienia; jedynej osoby, w której wyobraźni mogła zrodzić się taka psychiczna tortura.

Itami miała zupełną rację: on był do gruntu zły... Saigo. Więc instynktownie przyjechał tutaj, do domu swojego kuzyna, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, na które sam nie potrafił odpowiedzieć.

— Ale jest i inny powód, bardziej istotny, *oba*. Zetknąłem się ostatnio z kobietą o twarzy Yukio. Nie była Yukio i zarazem nią była. Ma na imię Akiko.

Itami odwróciła twarz ku gasnącemu słońcu.

— Znałam kiedyś kobietę o tym imieniu — odparła. — Kochałam ją. Ona darzyła mnie szacunkiem. Tak jak powinno być pomiędzy matką i synową.

Nicholas poczuł skurcz w sercu. To, co sugerowała Itami, wydawało mu się potworne, brudne, jeśli nie wręcz nikczemne.

— Była żoną Saigo? — zdołał z siebie wydusić.

Itami potwierdziła skinieniem głowy.

— Czy była uczennicą?

Itami doskonale wiedziała, jaką uczennicę miał na myśli. Dla obojga istniał tylko jeden rodzaj nauki.

— Tak — odpowiedziała szeptem. — Poznali się w Kumamoto. Uczyła się tam przez dwa lata, po czym wyjechała.

— Dokąd?

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Itami-san...

— To haniebna rzecz. — Jej głos był zimny, starczy i po raz pierwszy smutny. — Nie każ mi wymawiać tego słowa.

Nicholas odwrócił się i stanął przed nią.

— Muszę to wiedzieć. Muszę! Ona była dla twojego sy...

— Nie nazywaj go tak!

— Ona jest ostatnią bronią Saigo przeciwko mnie, czy tego nie rozumiesz? Jeżeli mi nie pomożesz, to boję się, że może jej się udać to, co nie udało się jemu.

Spojrzała przenikliwie na Nicholasa.

— Czy rzeczywiście tak jest?

Potwierdził skinieniem głowy.

— *Hai, oba.*

— W północnej części Alp Japońskich mieszka *sensei*. Ma na imię Kyoki.

— To nie jest imię — odparł oszołomiony Nicholas. — To stan osobowości: szaleństwo.

— Niemniej tam właśnie pojechała Akiko, tam właśnie nauczyła się mąskować swoją *wa*, nauczyła się *jaho*.

Itami skrzywiła twarz i odwróciła się.

— Proszę, powiedziałam wszystko, chociaż robi mi się od tego niedobrze.

Odczekał dłuższą chwilę, zanim znowu się odezwał. Z wielu powodów; przede wszystkim pragnął, aby doszła do siebie. Chciał także rozkoszować się tym spokojnym otoczeniem, które koilo jego duszę jak matczyzna pieszczota. Ostatnim powodem było to, że nie chciał, aby ich wspólnie spędzony czas dobiegł końca.

Lecz w końcu zdobył się na to.

— Muszę jechać, *haha*.

— Wiem.

— Czy pocałujesz mnie na pożegnanie, tak jak robiła, nauczona przez ojca, Czeong?

Itami odwróciła się. Jej oczy napełniły się łzami; były tak ogromne, że wydawały się obejmować cały świat. Przytrzymała go delikatnie rękami i unosząc się lekko na placach, przycisnęła usta do jego policzka, tak jakby robiła to już tysiące razy.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, *haha* — wyszeptała.

— Żyj długo, Nicholasie — szepnęła Itami. Ale była już sama w altance. Wraz z nadejściem zmierzchu nad jej głową rozległy się melodyjne trele ptaków.

Tokio było dla Justine równie oszałamiające jak Nowy Jork dla nastolatki z Nebraski. Nie było takie, jak się spodziewała, ani takie, jakim pragnęła, by było.

Tętniło wokół niej niczym neonowy ul, jego atmosfera była równie dławiąca jak powietrze w kopalni. Weszła w nią, czując narastające drżenie, i zanim została podwieszona do bram hotelu „Okura”, była gotowa okreć się na pięcie i wrócić do domu. Jedyną rzeczą, która temu zapobiegła, była obecność Nicholasa, albo — dokładniej biorąc — myśl o nim.

Craig Allonge przebywał w „Okurze”. Znała go trochę i w przypiływie desperacji pośpiesznie skreśliła do niego parę słów.

Poprosiła recepcjonistkę o dopilnowanie, by otrzymał tę wiadomość, gdy tylko wróci do hotelu. Potem pojechała do pokoju i rzuciła się na łóżko. Czowała się tak, jakby skórę miała pokrytą smarem. Włosy po długim locie były tłuste.

Wstała z jękiem i przygotowała bardzo gorącą kąpiel, potrzebne jej to było, by zmyć z siebie wszystkie warstwy brudu.

Namydlona moczyła się w wannie. Jej stwardniałe mięśnie rozluźniały się, gdy zadzwonił telefon. Aparat był w zasięgu ręki, podniosła słuchawkę. Mówił Allonge. Zainstalował się w tymczasowym biurze w gmachu Sato Petrochemicals i wrócił do hotelu, by przebrać się na lunch. Był mężczyzną nie noszącym marynarek, a nikt nie powiedział mu, jakimi formalistami potrafią być Japończycy.

Gdy Justine spytała o Nicholasa, Allonge nie wiedział, co odpowiedzieć. Wyczuwał niepokój w jej głosie i nie chciał jej niepotrzebnie denerwować mówiąc, że nie ma pojęcia, gdzie może być jego szef. Zamiast tego odrzekł, że sprawdzi i zaraz da jej znać. Rozłączył się i zadzwonił do biura Sato.

— Nie, nie było jeszcze żadnej wiadomości od pana Linneara. Czy Allonge-san pragnie rozmawiać z panem Nangi?

Powrót Tanzana Nangiego z Hongkongu był dla Allonge'a nowością.

— Tak, proszę mnie połączyć. — Gdy usłyszał Nangiego, powiedział mu o Justine.

— Niech pan ją ze sobą przyprowadzi — zaproponował Nangi. — Porozmawiam z młodą damą.

Nangi odłożył słuchawkę i odsunął się od biurka. Wysiadł dosłownie przed godziną z samolotu na lotnisku Narita i myślami nadal przebywał w Hongkongu. Myślał o Chiu Szczęściarzu oraz o jego wszechwładnym ojcu, ale bardziej absorbowały go myśli o Triadzie Green Pang. W ciągu miesiąca dokonają one napadu na Sun Wa Trading Company przy Tai Ping Shan Street. Użyta zostanie przemoc, zginą ludzie. Jednym z tych ludzi będzie pan Liu. Być może następną osobą — młoda kobieta zwana Soczystą Pien. Jakikolwiek okaże się jego finał, nie będzie miał nic wspólnego z Nangim. Będzie to raczej wojna triad, spór terytorialny. Tak przynajmniej opiszą to gazety, tak zrozumie to uliczny motłoch. Był to przyjęty styl życia Kolonii. Lo Whan także będzie musiał go przyjąć. *Karma*. Być może przed zawarciem umowy z Nangim powinien był poradzić się *feng shui-mena*.

W rzeczywistości napad został uzgodniony między Nangim i Chiu Szczęściarzem, zanim doszło do spotkania z Lo Whanem z Parku Oceanicznym. Z tego właśnie powodu rozdano wszystkie *h'eung y au* i przedstawiono Trzeciemu Kuzynowi Tokowi patriotyczny punkt widzenia. Nangi nie unieważnił swojej umowy z Lo Whanem, a będąca źródłem dezinformacji znajomość z Redmanem miała zostać zerwana w ciągu trzech tygodni. Lecz jego satysfakcja miała być krótkotrwała, bowiem rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Nangi obrócił się w fotelu. Zobaczył Kei Hagurę, jednego z wiceprezesów Seiichiego.

— Niech pan wejdzie, Hagura-san. — Nangi pomyślał, że mężczyzna najwyraźniej nie wygląda dobrze. „Być może powinien jechać na wakacje z żoną i dziećmi. Nic tak nie podnosi na duchu jak czas spędzany z rodziną”.

— Proszę wybaczyć, że pana niepokoję, Nangi-san. — Hagura kłaniał się bezustannie. Twarz miał białą i ściągniętą. Przez uchylone drzwi Nangi zauważył poruszenie w biurach na pięćdziesiątym drugim piętrze.

— Proszę, proszę, Hagura-san — rzekł Nangi lekko zirytowanym głosem. — Co mogę dla pana zrobić?

Hagura spuścił głowę, nie patrzył Nangiemu w oczy.

— Właśnie nadeszła depesza z naszego biura na Hokkaido. Zdarzył się... cóż... chyba wypadek. Nikt nie ma na razie pewności.

Nangi wyprostował się, serce biło mu pośpiesznie.

— Co za wypadek, Hagura-san? Jak groźny? Kto w nim uczestniczył?

— Obawiam się, że dotyczy to pana Sato. — Głos Hagury był drżący, jakby mężczyzna nabawił się zapalenia krtani. — Zdarzył się wypadek samochodowy.

— A Sato-san? — Głos Nangiego załamał się. — Jak się czuje?

— Nikt nie miał szansy — odparł Hagura. Nie chciał wymówić tego słowa, jakby jego niechęć mogła cokolwiek zmienić, jakby milcząc mógł zaprzeczyć faktom.

— Hagura-san — rozkazał Nangi. Wiceprezes zamknął oczy, pogodzony z sytuacją.

— Sato-san nie żyje, proszę pana.

Nangi starał się nie okazać tego, co czuł. Wiedział, że pozory miały teraz ogromne znaczenie. Ten *kobun* był niczym samuraj w służbie shoguna. Całkowicie pochłonięty swoim marszem. Mógł iść tylko naprzód; nie wolno mu było się cofnąć. Nawet zachwianie się w marszu było zabronione. A *Tenchi* nie mógł czekać.

— Dziękuję, Hagura-san. Rozumiem, jak trudne musiało to być dla pana.

Hagura uklonił się, przyjmując komplement.

— To był mój obowiązek, Nangi-san. — W głębi duszy był pod ogromnym wrażeniem *wa* Nangiiego. Czuł, jak jego harmonia nadal przenika atmosferę pokoju, użyczając mu swej siły. W obliczu tej tragicznej i zupełnie niespodziewanej wiadomości dodawało to na prawdę odwagi. Wieść o tym, co stało się tutaj, rozejdzie się po *kobunie*.

Gdy po odejściu Hagury został sam w gabinecie, załamał się. Łzy napłynęły mu do oczu. W gardle czuł ucisk, który czynił bolesnym przełykanie. Wyglądał przez wysokie okna.

„Najpierw Gotaro — pomyślał. — Potem Oba-chama, Makita. Ale nie Seiichi, tylko nie Seiichi. — Ilu istniało w życiu ludzi, z którymi można było rozmawiać? Ilu istniało w życiu takich, którzy rozumieli? Jeden lub dwóch, pięciu, jeżeli miało się wyjątkowe szczęście. — Z kim będę teraz rozmawiał? — pytał samego siebie. — Komu zaufam, z kim będę ustalał plany, rozkoszował się niedawnym triumfem w Hongkongu?” Wszystko to było udziałem Seiichiego. Teraz nie miał nikogo.

Czuł gniew oraz głęboki bezbrzeżny smutek. Tym razem bowiem obrócił swoją miłość w nienawiść do Boga, w którego wierzył, w którym pokładał całą ufność, i którego opiece polecił swą nieśmiertelną duszę.

„Jak mogłeś uczynić coś takiego? — złorzeczył w myślach. — Jaki jest tego sens?” Dostrzegał jedynie gorzkie okrucieństwo, niesprawiedliwość tak wielką, że aż przytłaczającą. Byli jak bliźnięta, Tanzan i Seiichi, znający swoje serca, ufający sobie mimo wszystkich kłótni, sporów, nieporozumień. I jak w każdym dobrym małżeństwie — starcia te były w końcu łagodzone ku ich wzajemnemu zadowoleniu. Nigdy więcej nie będą. Dlaczego?

Gdyby Nangi potrafił w tym momencie spojrzeć na siebie obiektywnie, zrozumiałby, że utracił coś więcej niż przyjaźń, którą najbardziej cenił. Utracił również orientalne zrozumienie akceptacji i rezygnacji, tę wiarę w kosmiczny sens życia. Utracił swoje miejsce w porządku rzeczy i to naprawdę było sprawą poważną.

Gdy Craig Allonge wprowadził Justine do ogrodu na pięćdziesiątym drugim piętrze, z powrotem nasunął maskę na twarz. Kierownik Tomkin Industries nie został z nimi długo. Dokonał prezentacji, po czym wyszedł na swój, powiązany z interesami, lunch.

„Więc to jest córka Raphaela Tomkina” — pomyślał Nangi, przyglądając się jej. Zastanawiał się, czy nadal jest zakochana w *gaijinie* Linnearze. Słyszał o ich lodowatym powitaniu na pogrzebie Tomkina.

— Czy mogę wyrazić moje osobiste wyrazy współczucia, panno Tomkin? — powiedział, pochylając głowę. — Znałem pani ojca osobiście i darzyłem go wielkim uznaniem.

Justine omal nie powiedziała, że jest panną Tobin, ale to nazwisko, które stworzyła dla siebie wiele lat temu, wydawało się już sztuczne i pozbawione znaczenia.

Zamiast to uczynić, skinęła głową.

— Dziękuję, Nangi-san. Pański wspaniały wieniec przyjęliśmy z największą wdzięcznością. — Rozejrzała się. — Pięknie tu.

Odpowiedział skinieniem głowy.

— Może napije się pani czegoś?

— Prosiłabym o dżin z tonikiem — powiedziała, siadając w jednym z foteli niedaleko szpaleru zielonych bambusów.

„Co tu się dzieje? — pytała sama siebie. — On wydaje się być stary i roztrzęsiony”. Wiedziała od Nicholasa, że nie może mu zadać pytania wprost. Popijała swojego drinka, rozmyślnie ignorując utykanie Nangiego, gdy szedł od baru do stojącego blisko niej fotela.

— Spotkać panią tutaj, w Tokio, to dla mnie w pewnym stopniu niespodzianka — powiedział, gdy usiadł. — Czy jest coś konkretnego, w czym

mógłbym pani pomóc? Wystarczy tylko poprosić. Wyznaczę młodą pracownicę, aby zabrała panią na zakupy do wszystkich najlepszych sklepów. W nocy, w towarzystwie męskiej eskorty, pojedzie pani...

— Przyjechałam tutaj, żeby zobaczyć się z Nicholasem.

Czuła się dotknięta jego przypuszczeniami, do których skłonił go po prostu fakt, że była kobietą, ale zachowała dość przytomności umysłu, aby tego nie okazać. Na zewnątrz była chłodna, spokojna i tym wiele zyskała w oczach Nangi.

Mimo woli był pod jej wrażeniem.

— Rozumiem. No cóż, to godna podziwu przyczyna odbycia tak długiej podróży.

Gdy przerwał, Justine poczuła, jak przenika ją chłód. Jakże pragnęła wykrzyknąć: „Co się stało? Czy nic mu nie jest?”

— Czy wie pan, gdzie on się w tej chwili znajduje? — Była zaskoczona pewnością swojego głosu. Nicholas byłby z niej dumny. Ale wraz z tą myślą oczy napęłniły się łzami. „Co się stało?” — raz jeszcze spytała samą siebie.

— Niestety nie — odparł Nangi. — Sam właśnie wróciłem z długiej podróży służbowej. Obecnie zbieram informacje o tym, co zdarzyło się podczas mojej nieobecności.

„Jest tak cholernie spokojny — pomyślała Justine. — Jak on to robi?” — nie zdawała sobie sprawy, że całkowicie mu dorównywała.

Z każdą chwilą rozmowy czuł dla niej coraz większy szacunek.

Ze względu na jej *wa* postanowił powiedzieć o tym, czego i tak dowiedziałyby się za parę godzin.

— Obawiam się, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, panno Tomkin. Sato Seiichi — użył japońskiej formy — zginął w katastrofie samochodowej w czasie mojej nieobecności.

— O, mój Boże — ręce Justine zacisnęły się na kolanach. — Czy był... sam? — jej głos był zupełnie cichy.

— Rozumiem pani niepokój — rzekł Nangi. — Tak, według informacji, jakie otrzymałem, podczas wypadku był sam w samochodzie.

Justine przymknęła oczy, jej powieka zaczęła nerwowo drgać. „Nieszczęśliwy wypadek — pomyślała. — Używa tego określenia tak, jak lekarze używają słowa *zgasał*, aby elegancko określić coś okropnego”.

— Jest mi... jest mi szalenie przykro, Nangi-san — powiedziała. — Proszę przyjąć moje kondolencje. Słyszałam wiele o jego odwadze w interesach i w życiu osobistym.

Nangi wpatrywał się w nią osłupiały. Gdzie była wylewność odrażającej uczuciowości, której spodziewał się po tej kobiecie-barbarzyńcy? Gdzie była budząca zakłopotanie wzmianka o serdecznych stosunkach łączących Sato i Nangiego, która upokorzyłaby go? Nie było ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego wyraziła w stosowny sposób stosowne uczucia, przynoszące zaszczyt zarówno im obojgu, jak i Sato.

— Dziękuję za wyrazy współczucia, Tomkin-san — odparł głosem złagodzonej przez emocje. — Może pani powróci do swojego hotelu, albo, jak już powiedziałem, wyznaczę pracownika naszej firmy, aby zabrał panią do miasta, jeśli pani sobie tego życzy. W każdym razie, gdy tylko uzyskamy informację o miejscu pobytu pana Linneara, zostanie pani powiadomiona.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to wolałabym zostać tutaj — powiedziała Justine. — Oczywiście, jeśli sądzi pan, że nie będę przeszkadzać.

— Ależ nie — odparł Nangi i zadzwonił po Kei Hagurę. Dobrze zapamiętał poprzednią lekcję; nie wezwał kobiety.

W gęstym lesie otaczającym dom Itami Nicholas rozpoczął poszukiwania, wykorzystując do tego kilka prostych narzędzi, które wraz z błogosławieństwem zabrał z kuchni swojej ciotki.

Szukał w każdej z kilku jam w ziemi, zabrało mu to trochę czasu. Las był gęstszy niż wtedy, gdy był tutaj jako młody chłopak. Ale mogło mu się to tylko wydawać, bowiem w miejscu, które darzy się niechęcią, jest się zawsze bardziej wyczulonym na otoczenie.

Niebo, w chwilach gdy mógł je dostrzec nad sklepionym baldachimem gałęzi i liści, wydawało się dziwne i żółte. Z pewnością dzień już się skończył, jednak ten kolor nie przypominał żadnego ze zmierzchów, jakie widział wcześniej. Powietrze także było inne. Ciężkie jak ołów, bezwietrzne, nie drżało ani jedno źdźbło trawy. Nawet owady były spokojne. Ptaków nie widział.

W końcu znalazł to, czego szukał, i przystąpił do pracy. Gdy skończył, wyruszył w drogę.

Po niedługim czasie znalazł odkrytą skałę i siadł na niej, by czekać.

I tak właśnie znalazła go Akiko — siedzącego w pozycji lotosu. Wszędzie wdzierała się ciemność, szare niczym lód długie cienie pełzały po leśnym

dywanie, po gładkich i muchomorach, mchu i dzikich kwiatach. Zapadał wieczór.

Skowronki i zięby ustępowały miejsca kozodojom i sowom, dziki i króliki — lisom i łasicom. Wszystko powoli zasypiało.

Zatrzymała się przed nim. Wyłoniła się z gęstych zarośli jak jeszcze jeden zbliżający się cień.

— Żałuję, że nie mogłam przynieść ci twojego *dai-katana* — powiedziała.

— Zabiłabyś mnie nim?

Odpowiedziała mu w najbardziej wymijający sposób.

— Zejdź ze swojego wyniosłego gniazda i porozmawiajmy.

Nicholas zszedł ostrożnie. Myślał o Masashigim Kusunokim.

Odkąd Sato wspomniał to nazwisko w związku z Tenshin Shoden Katori, tkwiło w jego podświadomości jak cierń. Wprawdzie opuścił Yoshino dość dawno, nie znał jednak nikogo ani w Japonii, ani poza nią, kto nosił to nazwisko. Jednak wiedział, że Sato nie kłamał i że on sam nie został okłamany. W jakim celu dokonano tej dezinformacji? Żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy. Masashigi Kusunoki istniał, lub raczej istniał, zanim został zamordowany, i nie istniał zarazem. Kim był i kto go zabił? Czy tą osobą była Akiko, jego uczennica, która siedziała przed nim na *tatami*, rozmawiając o doczesnych sprawach i ukrywając swoje zamiary, nauczona przez Kyokiego szaleńca, tak że *sensei* czuł jedynie promieniowanie jej *wa* i przestał się mieć na baczności? Czy nie to właśnie miała teraz zrobić z nim?

Trawa wspaniale służyła im za *tatami*. Ciemność, wślizgująca się ukradkiem nad wzgórzami i wierzchołkami drzew, okrywała ich — nocne stworzenia — całunem, kołysząc w swej zasnutej pajęczą siecią mroku kołysce. Znowu byli w domu, w ciemnościach nocy. Nikły ślad blasku gwiazd rozmywał się zimnym niebieskim światłem na ich twarzach.

— Odnalazłbym cię nawet bez tatuaży — powiedział.

— Nikt poza tobą nie zrozumiałby ich prawdziwego znaczenia. — Pochyliła lekko głowę.

— Wiem — przytaknął. — Znam legendę o Hsingu, człowieku, który zmieniał postać, o *akumie*, którego stworzył za pomocą *jaho*.

Akiko zaczęła się z niego śmiać.

— I uwierzyłeś w to wszystko?

— Wierzę w *Kuji-kiri* — odparł. — W *kobudera* i w *Wu-Shing*. Znałem jednego *maho-zukai*... — zawiesił głos, tak aby wiedziała, że jeszcze nie skończył. Akiko nie śmiała się już. — Znałaś go również, Akiko-san. To Sa-igo.

Przyniósł klucz w kieszeni i teraz wręczył go jej. Pomyślał, że go przyjęła, ale mogła nie być jeszcze gotowa, by go użyć. Ciągnął dalej:

— Teraz znam prawdę. Bliźniacze smoki przemówiły do mnie ognistymi językami. Zanim Hsing został zamordowany przez swych zazdrosnych współziomków, nadał swe piętno *akumie*. Hsing był mistrzem w wielu dziedzinach, sztuka tatuażu była tylko jedną z nich.

— Robił to, jak mówiono, aby móc zawsze rozpoznać swojego ucznia, tak aby w nieodwracalny sposób został on związany z kołem *karmy*.

— Czy miałaś mistrza, Akiko-san, który ciebie też nazaczył tak wprawnymi rękoma? Nie potrafię sobie wyobrazić, że poszłaś do zwykłego salonu przy bocznej ulicy. — Mógł oczywiście powiedzieć więcej, wymienić imię Kyokiego, ale czyniąc tak, straciłby ogromną przewagę.

— Więc wiesz o *Wu-Shing* — rzekła wkładając do zamka klucz, który jej dał. Skinęła głową. — To chyba ulga dla mnie, że ktoś inny wie o nim. Że tym kimś innym jesteś ty. — Mówiąc to, cały czas myślała: „Amido! Nie mogę w to uwierzyć. Patrząc na niego i moja miłość do niego jest tak silna, że muszę zaciskać dawną nienawiść pobielalymi z wysiłku palcami, muszę koncentrować się na niej w każdej chwili, bo inaczej wysypie mi się przez palce jak piasek”.

Akuma Hsinga jedynie wymierzył odwieczną zemstę. Tak jak ja. Moje nazwisko nie brzmi Ofuda...

— Nie — przerwał celowo Nicholas. — Brzmi Sato. A Sato-san, twój mąż, nie żyje.

Pochyliła głowę.

— Tak właśnie podejrzewałam. Przykro mi. — Jej oczy płonęły w okrutnym świetle gwiazd. — Przykro mi, że nie mogłam sama położyć kresu jego życiu, stosując czwarty rodzaj *Wu-Shing*.

— *Kung* — dodał Nicholas. Użył chińskiego słowa oznaczającego „pałac”, karę eunucha. — Wykastrowałabyś go, a potem zabiła.

— Na nic więcej nie zasługiwał — odparła jadowitym tonem. — Tak jak nie zasługuje jego przyjaciel, Tanzan Nangi. Musi dopiero doświadczyć mojej straszliwej potęgi. Razem spiskowali, aby zniszczyć mojego prawdziwego ojca, Hiroshiego Shimadę.

Nicholas był szczerze zaskoczony.

— Wiceminister Shimada był twoim ojcem? — Dobrze znał to nazwisko, i to ze względów osobistych, bowiem Shimada był jednym z głównych powojennych celów pułkownika. — Ale przecież jego żona urodziła mu jedynie dwóch synów.

— Moją matką była jego kochanka — odparła dumnie Akiko. — Była *tayu oiran* w Yoshiwarze. Była najlepsza ze wszystkich.

— Shimada popełnił *seppuku*. Był ogromny skandal...

— Sprytnie spreparowany przez Nangiego, Sato oraz ich mentora, Yoichiro Makitę.

Nicholas wiedział, że było to oczywiście nieprawdą. Dowody przeciwko Shimadzie były przygniatające i nie do odparcia.

— Wymyślili kłamstwa, półprawdy, insynuacje. Wystarczyło — nienawiść wykrzywiła jej twarz — wystarczyło aż *n a d t o* w atmosferze, która graniczyła z chorobliwą fobią w sprawach dotyczących wojny. — Nicholas wyczuł, jak Akiko zbiera siły. — Ale to właśnie twój ojciec, pułkownik Denis Linnear, domagał się podania tych kłamstw do wiadomości publicznej. Linnear chciał usunąć mojego ojca, odkąd stanowczo przeciwstawił się ingerencji ludzi Naczelnego Dowódcy Sił Sprzymierzonych w politykę Ministerstwa Handlu i Przemysłu.

Nicholas pamiętał, co powiedział mu jego ojciec w dniu, w którym wiceminister Shimada został znaleziony obok żony w kałuży krwi: „Nigdy nie ciesz się ze śmierci drugiego człowieka. Czerp raczej zadowolenie z faktu, że usunięte zostało źródło zła. W tym wypadku pewni ludzie w Ministerstwie Handlu i Przemysłu usiłowali na zawsze utrwalić sfery wpływów, utworzone wiele lat temu przez członków przedwojennych *zaibatsu*, w ich *kanmin Utai*, stowarzyszeniach kontroli. Jeżeli jakiś człowiek staje po stronie zła, mamy do spełnienia obowiązek. Musimy działać. Ludzkość nie mogłaby długo znosić życia bez procesu usuwania chwastów”.

— W oskarżeniach skierowanych przeciwko twojemu ojcu nie było nic fałszywego, Akiko — powiedział. — Nie możesz zaprzeczyć symetrii zbrodni i kary. — Lecz słowa Nicholasa wydawały się nie docierać do jego uszu; stwierdził, że jest mu niezmiernie trudno oderwać się od tej twarzy, która była tak blisko. Fakt, że wiedział, iż nie jest to w rzeczywistości Yukio, wydawał się nie stanowić żadnej różnicy. To była jego reakcja intelektualna, a to, co czuł, było reakcją emocjonalną, która całkowicie omijała intelekt i racjonalne przesłanki. Co w niej takiego widział, że reagował w ten sposób?

Nie usuwało to poczucia niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował; zasnawało jedynie chmurami najważniejszą sprawę, sprawiając, że półprzezroczysty obraz zamienił się w obraz mętny.

Był także zdumiony z zupełnie innego powodu. Mimo to, co powiedziała mu Itami, mimo to, co już wiedział o Akiko, co podejrzewał, szokiem dla niego samego było, że badał ją i czuł tylko promieniowanie jej *wa*. Harmonię.

Nie potrafił określić uczuć, jakimi go darzyła, ale bez względu na to, jakie były naprawdę, nie wyczuwał w niej agresji, urazy, nic negatywnego. I znów stwierdził, że zastanawia się, czy tego właśnie doświadczał tajemniczy Masashigi Kusunoki, zanim Akiko dosięgła go swoją *jaho* i uwolniła od życia.

— Oni wykorzystali pułkownika — odparła. — Musisz to zrozumieć. — Oczy jej były jak kamienie. — Karmili go swoimi śmieciami, a on to wszystko połknął.

— Niezależnie od tego, na jaką karę zasłużyli Sato i Nangi, nie miało to żadnego związku z trojgiem niewinnych ludzi, których przy okazji zniszczyłaś — powiedział, ignorując jej słowa.

— Nie wspominaj mi o niewinności — rzuciła. — W tej firmie nie ma w ogóle niewinności. Dwaj są winni; wszyscy są równie odpowiedzialni.

Nicholas wspomniał pannę Yoshida. Było mu tak samo żal tej kobiety siedzącej na wyciągnięcie dłoni, jak było mu żal Yoshidy. „Spójrz, co może się stać z życiem — pomyślał. — Potem nie ma już żadnej nadziei”.

Ale osiągnął jeden ze swoich celów: odkrył wszystko, czego teraz potrzebował. Ze słów Akiko wywnioskował, że nie pozwoli mu wstać i odejść, że bez względu na to, jakie mogłyby być jej osobiste uczucia, jest równie słabego ducha jak jej pierwszy mąż, że działa na nią zakłęcie *jaho*. Nigdy nie mógłby jej przekonać o prawdziwości swoich słów. Zgodnie z tym, co powiedział Akutagawa, *jaho* działała z tak niszczącą siłą na umysł i ducha, że zawsze istniało straszliwe ryzyko, iż raczej ulegnie się jej wpływom, niż, jak działo się ze wszystkimi sztukami walki, wykorzysta do własnych potrzeb.

Jego oczy miały teraz zupełnie nowy wyraz. Nareszcie bowiem zrozumiał, kim naprawdę była osoba, przed którą siedział. Była *miko*, czarownicą, która mogła w każdej chwili wyciągnąć ku niemu rękę, maskując prawdziwe zamiary, i zgasić płomień jego życia. Mogło to nastąpić w czasie pocałunku, w jej objęciach; nigdy nie poznałby różnicy, nigdy nie wyczułby błysku jej *wa*, zerwania harmonii przez wybuch agresji. Nigdy nie poznałby, że sięgnęła do Pustki.

Jej zamiary były na zawsze poza zasięgiem jego pojmowania i wiedział, że miał rację, czekając tak długo na drzewie. Był pewien, że stoi w obliczu śmierci. To, że przychodziła pod postacią jego pierwszej prawdziwej miłości, nie wydawało mu się ironią, lecz słuszne i właściwe. Gdyby miał teraz umrzeć, jej twarz widziałby ostatnią. Odszedłby, marząc o Yukio.

— Jest bardzo spokojnie — powiedziała cicho Akiko. — Zwierzęta w ukryciu, ptaki w gniazdach, owady śpią. Nawet wiatr przestał wiać. Wszystko dla nas.

Jej oczy jaśniały. Miał wrażenie, że widzi księżyc odbity w zwierciadle ich wypukłych powierzchni. Połyskiwały niczym najdroższy jedwab; tak bardzo przypominały oczy Yukio.

— Jesteśmy kochankami, Nicholasie. Ostatnimi prawdziwymi kochankami zamieszkującymi powierzchnię ziemi. Kiedy kochaliśmy się, nie tylko nasze ciała były splecione i zespolone ze sobą. Nasze dusze również. Chmury i deszcz zjednoczyły nasze dusze, Nicholasie. Mamy teraz własne tatuaże, równie niezatarte jak moje smoki. Poznaliśmy siebie na zawsze. Niezależnie od tego, w jakiej postaci doznamy reinkarnacji, bez względu na to, kim uczynią nas nakazy naszej *karmy*, nadal będziemy mogli siebie rozpoznać. Jako ludzie lub borsuki, siewki lub węże. Taniec dusz, który wykonaliśmy, zachowa naszą więź.

Czy przesunęła się bliżej? Nicholas nie potrafił powiedzieć. Jej słowa za-jaśniały tak jak jej oczy, jak światło gwiazd obejmujące ich swoim kręgiem, którego nie naruszały szerokie smugi cienia otaczających drzew. Czy pochyliła się teraz do przodu? Czy czuł na swoim ciele twardy ucisk jej wystających piersi? Czy czuł, jak zalewa go jej ciepło, czy czuł jej oddech, niczym woń bzu, na policzku? We wszystkich stanach, w które się wprawiał, zarówno wzniosłych, jak i zwyczajnych, czuł jedynie *wa* Akiko, niczym jarzącą się świetlną boję, równie niezmienną jak morze.

Pamiętał ich namiętą noc w ogrodzie domu Sato i pomyślał, że pragnie, aby jej gorączka porwała go na nowo. Sato. Czuł, jak jedna z rąk Akiko obejmuje jego plecy, osuwa się na ramię, a końce palców pieszczą kark. „Pamiętaj o Sato — pomyślał — bo właśnie go zawiodłeś. Zawiodłeś w swej świętej przysiędze, by go chronić”. Teraz pozostało mu tylko jedno wyjście.

— Nie!

Krzyk Nicholasa odbił się echem pośród nocy.

— Nie mogę do tego dopuścić! Nie mogę kochać cię, *miko*!

I gdy wyrwał się z jej objęć, wyciągnął krótki nóż, który zabrał z domu Itami. Był wprawdzie nożem kuchennym, jednak dobrze naostrzony był bronią honoru.

Nicholas bez wahania wbił ostrze w swój brzuch aż po rękkojeść. Trysnęła krew, czarna w ciemnościach, błyszcząca na jego kolanach, na trawie, na łonie Akiko. Twarz wykrzywiło cierpienie. Głowa mu drżała, gdy poziomym ruchem w prawo rozciął podbrzusze. Miejsce, w którym mieścił się *hara*.

Akiko doznała szoku. Jej oczy były otwarte szeroko.

— Amido! — szepnęła. Było tyle krwi! Wypływała z niego strumieniami, z centrum jego istnienia, pozbawiając go siły i życia.

Tak wiele sprzecznych emocji próbowało nią zawładnąć. Uniesienie i żal, szok i popłoch. Zadowolenie i strach. Czy to był koniec, jakiego właśnie pragnęła? Czy był to punkt kulminacyjny jej długich marzeń o zemście?

Wiedziała, że tak, ale zaczęła teraz podejrzewać, że nie tego chciała. Wydawało się, iż przez całe życie usiłowała uwolnić się od tradycyjnej roli kobiety jako sługi mężczyzny. Jej niezgoda na to wszystko, czym była matka, oraz wielka odraza do dumnej pozycji *tayu* leżały u podstaw tego dążenia. Tak samo jak postanowienie, aby szkolić się w najtrudniejszych sztukach walki: zajęciach dostępnych tylko dla mężczyzn. Przez całe życie walczyła, by zająć miejsce obok mężczyzn jako osoba im równa.

Ale teraz zaczynała dostrzegać, że ta obsesja doprowadziła do sytuacji, w której stała się pionkiem w grze pragnień i nienawiści tych mężczyzn, których uważała za najbliższych: Kyokiego, Saigo i, wreszcie, wiceministra Shimady. Zrozumiała, że jej ojciec, bardziej niż jakakolwiek inna osoba, określił kierunek jej życia. Podobnie jak zrobił to ojciec Saigo. Ona i Saigo byli zatem tacy sami. Dokładnie tacy sami. Do gruntu źli.

Zbyt późno dokonała tego odkrycia. Potrzebna była dopiero śmierć człowieka, którego — wiedziała o tym teraz — kochała tak, jak nie kochała żadnego mężczyzny i żadnej kobiety.

Otworzyła usta, by przemówić, otworzyła ramiona, by ukazać mu swoje zamiary, ale w tym momencie ziemia zaczęła falować pod nimi, jakby została zamieniona w wodę przez *jaho* niepojętą nawet dla niej.

Dotarła do nich kanonada, powtarzając się niesamowitym echem w mroku nocy, jej dźwięk odbijał się od przeszkód, których chwilę wcześniej nie było.

Świat naprawdę się rozpadał, otwierał niczym ziejąca paszcza. Dzikie kwiaty i krzaki, drzewa i łąki zostały pożarte, utopione w potwornej jamie, która nie miała dna.

Wyiewy siarki oraz odór płynnego metalu drażniły jej nozdrza.

Wtedy właśnie straciła równowagę, upadła, zaczęła się gwałtownie kołysać. Doznała takich zawrotów głowy, że nie miała pojęcia, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia. Mogła jedynie wyciągnąć ręce ku górze, rozciągnąć się na płask i wpijać dłonie w kruszącą się ziemię.

Nicholas runął w dół, kołysał się w objęciach pierwszego wstrząsu, którego epicentrum — zgodnie z przewidywaniami radzieckiego satelity — znajdowało się nie dalej niż pół mili na wschód.

Został odrzucony od miejsca, w którym klęczeli razem z Akiko, daleko od błyszczących kałuż krwi, gdy wbił nóż w świeżo zabitego lisa, opasanego wokół brzucha pod kimonem. Słusznie podejrzewał, że tylko potężny szok może osłabić działanie *jaho* na dostatecznie długą chwilę.

Uchwycił się mocno skał, ostrych od tworzących się w nich szczelin, które dzieliły je i otwierały z trzaskiem jak skorupki jaj.

Nicholas próbował wstać, lecz drgania ziemi wciąż były zbyt gwałtowne. Znowu upadł. Został rzucony dziesięć lub piętnaście jardów od miejsca, w którym się znajdował. Uniósł głowę w poszukiwaniu Akiko. Nie widział jej, ale w panującym chaosie to go nie zaskoczyło.

Znajdował się w środku oszalałego świata. W miejscach, gdzie rosły drzewa, nie było nic oprócz dziur podobnych do poranionych dziąseł. Drzewa wystawały teraz z udreżonej ziemi wysoko nad jego głową, jak strzały wstrzelone w nią przez gigantycznego łucznika; ich splątane korzenie otrząsały się z potężnych grud ziemi.

Nicholas po chwili zaczął czołgać się z powrotem tą samą drogą. Zabrało mu to trochę czasu. Musiał obejść wiele miejsc i kilka razy się zatrzymać, gdy wtórne wstrząsy, niczym gniewne okrzyki bogów, wprawiały w drżenie ziemię.

W końcu dotarł do szczeliny: potężnego, postrzępionego rozdarcia we wszechświecie. Widok otwartej przestrzeni w miejscu, gdzie dosłownie przez paroma chwilami była ubita ziemia, wzbudzał przerażenie. Sprawiał, że nawet ktoś, kto urodził się tu i trzęsienia ziemi nie były mu obce, przystawał i pogrążał się w zadumie. Nigdy nie można się było do nich przyzwyczaić i nie czuć pokory wobec tytanicznej demonstracji ich siły.

W głębokiej ciszy, jaka zapadła po zgrzytających odgłosach trzęsienia, wydało mu się, że słyszy głos. Powoli podczołgał się do brzegu szczeliny. Jej ściany były równie postrzępione jak powierzchnia.

Ujrzał ją na dole. Jej drobna owalna twarz rzucała się w oczy pośród rumowiska rozłupanych głazów i rozdartych drzew.

— Nicholasie.

Spostrzegł te oczy wciąż jaśniejące. Oczy Yukio. Przesunął się ku niej i poczuł, jak ziemia pod jego piersią ustępuje. Krusząc się runęła spod niego w dół. Akiko krzyknęła.

Z głową opuszczoną w piekielną ciemność szczeliny wycofał się ostrożnie,

cal po calu. Błądził wzrokiem w poszukiwaniu innej drogi. Może to drzewo tuż nad nią. Nie mógł jednak dojrzeć jego podparcia, i gdyby się pomylił, gdyby nie utrzymało ciężaru jego ciała, Akiko zostałaby natychmiast przez nie zmiażdżona.

— Nicholasie!

Coś w głosie dziewczyny przyciągnęło jego uwagę. Spojrzał w dół. Nie. To tylko jej głos. Wydawało się, że zmienił nie tylko tonację, ale i barwę.

— Nie ruszaj się — ostrzegł ją. — Nie mogę ryzykować zejścia na dół. Szczelina jest zbyt niestabilna. Znajdę jakieś pnącza i splecę linę, która cię utrzyma.

— Nie!

W jej okrzyku było tyle bólu, że Nicholas zamarł w bezruchu.

— Nie opuszczaj mnie znowu, Nicholasie!

Rozległ się huk, tym razem bardziej stłumiony, jakby rzeczywiście wydobywał się z wnętrza ziemi. „Czy dobrze słyszałem? — pytał samego siebie. — Czy powiedziała: »znowu«?”

— Dobrze, schodzę po ciebie! — zawołał.

— Nie, nie! Amido, nie! — Widział jej twarz oświetloną blaskiem gwiazd, który teraz, po trzęsieniu ziemi, był trochę silniejszy. Tak jakby świat budził się z głębokiej drzemki. — Zginiesz! — Ziemia drgnęła u dołu.

Nicholas opuścił się już do pasa w szczelinę, nagimi palcami nóg szukał mocniejszego oparcia. Spostrzegł, jak Akiko wyciąga rękę ku masywnym korzeniom spletanym niczym węzeł gordyjski. Nie miała jednak magicznego miecza i nie mogła go przeciąć.

Huk osiągnął swoje crescendo. Nicholas usłyszał okropny zgrzyt rozpadającego się świata. W głębi przesunęły się płyty tektoniczne, zwiększając nacisk ku górze. Ściany szczeliny zadrżały i rozsunęły się jeszcze bardziej. Nawet niebo wydawało się drżeć z bólu, gwiazdy zamrugały, gdy ziemia podnosiła się i opadała w rozdzierającej agonii.

Nie słyszał nic oprócz zgiełku, który przepelniał jego uszy. Myślał, że bębni mogą pęknąć pod wpływem intensywnych drgań. Zobaczył, jak drzewo osuwa się w dół. Otworzył usta w okrzyku, potem musiał skupić całą uwagę na tym, by wydostać się ze śmiercionośnej szczeliny, zanim zostanie rzucony w otchłań.

Kiedy znowu mógł spojrzeć, nie było drzewa, rozłupanych głązów, żadnych rynien i dolin, które zarejestrował w myślach, przygotowując się do próby zejścia w dół — tak jakby patrzył na zupełnie inny świat.

Z wyschniętej pustyni na nowo powstała pachnąca i żyzna dolina, a wszystko, na co spoglądał wcześniej, znikło. A wraz z tym zniknęła Akiko.

Pierwszą znaną osobą, którą Nicholas zobaczył, gdy opuścił szpital Toranomon w Tokio, była Tania Władimowa. Nie był specjalnie zaskoczony jej widokiem. Nie zawracał sobie przedtem głowy telefonowaniem do Mincka.

Wychodziła z windy w hotelu „Okura”. Obok drzwi stał Nicholas.

— Co ci się stało? — spytała, zatrzymując się w pół kroku.

Nadjechała winda Nicholasa i Tania weszła z nim do środka.

— Wyglądasz tak, jakby ktoś wrzucił cię do maszynki do siekania mięsa i zapomniał ją wyłączyć.

— Czy byłeś tutaj podczas trzęsienia ziemi? — To pytanie — wszystko, na co mógł zdobyć się w tej chwili — wcale nie było pytaniem tak głupim, jak się z pozoru wydawało.

— O, tak! — Skinęła głową. — Muszę przyznać, że to było dość przerażające. Japończycy przyjęli je z większym opanowaniem. — Ton jej głosu był lekki i zarazem wymuszony. Nicholas zastanawiał się, dlaczego. — A ty?

— Nie — odparł. — Uniknąłem najgorszego.

Tania czekała cierpliwie, gdy otwierał drzwi do swojego pokoju.

— Byłam kiedyś w Los Angeles, gdy nastąpił niewielki wstrząs — powiedziała ze swadą. — Było jak tutaj, naprawdę, chociaż ten wstrząs, tak mi powiedziano, był o wiele gorszy. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Tak jakby w ogóle nie nastąpił.

— Japończycy wcale tak na to nie patrzą — rzekł Nicholas wchodząc do łazienki. Odkreślił prysznic. Musiał przekrzykiwać szum płynącej wody. — Przyjmują trzęsienia ziemi jako część natury. Dla Kalifornijczyków jest niczym śmierć: wolą raczej o nim nie myśleć.

W piętnaście minut później, po wzięciu długiego, gorącego, a potem lodowatego prysznicu, Nicholas wyszedł z łazienki, owinięty ręcznikami. Zdarł foliową torebkę, w której chronił przed zmoczeniem świeżo zabandażowane palce.

— Właściwie to cieszę się, że tu jesteś.

— To dobrze — odparła patrząc na jego rękę. — Przyjechałam jako wysłanniczka Mincka. Cel naszego polowania zmienił się od czasu twojego spotkania z nim w ubiegłym tygodniu. Z Protorowa na *Tenchi*.

Być może to zmęczenie tak na niego działało, a może wciąż myślał o Akiko;

tak całkowicie stała się Yukio lub obrazem Yukio, który nadal — święty i czysty — tkwił w jego pamięci. Być może było to tylko tworem jego wyobraźni, ale czuł wyraźnie, że *kami* jego pierwszej ukochanej zawładnął w nieznanym sposób jej sobowtórem, napełniając miłością i współczuciem serce, w którym była przedtem tylko nienawiść i paląca żądza zemsty. Mogło to być głupie z jego strony, ale nie sądził, że tak jest. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze splatania się nici życia i śmierci. W każdym razie fałsz, który normalnie Nicholas wychwyliłby w jej głosie, umknął jego uwagi. Nie był w pełni skupiony na tej rozmowie. Myślami był gdzie indziej. Gdy rozluźnił swoje przemęczone mięśnie, stał się roztargniony, zdekoncentrowany i bardzo podatny na ciosy.

— I dobrze się składa — powiedział odwracając się od niej, aby wziąć świeże ubranie z komody — ponieważ Protorow przestał być zagrożeniem dla kogokolwiek.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Tania, chociaż dobrze знаła odpowiedź.

— Chcę powiedzieć — odparł Nicholas — że go zabiłem. — Odwrócił się w samą porę, by dostrzec wyraz zaskoczenia w jej oczach, gdy powiedział: — Również *Tenchi* przestało być dla mnie tajemnicą.

Tania poczuła, jakby uderzył w nią piorun. Po okropnych wieściach od Rusiłowa utraciła prawie całą nadzieję. Jaką mieli teraz szansę na szczyt KGB-GRU, gdy odszedł Protorow? Ona także знаła Mironienkę. Był jej pierwszym kochankiem. Doprowadziła do jego powiązań z Protorowem. Było to tuż przed ukończeniem akademii na Uralu. Mironienko wraz z kilkoma obiecującymi oficerami GRU zwiedzał przez trzy dni obiekty i urzędnictwo akademii.

Protorow stwierdził, że spośród wszystkich gości Mironienko będzie mu w przyszłości najbardziej przydatny; to było powodem, że przedłużył mu okres zaproszenia.

Protorow wysłał Tanię w nocy do pokoju Mironienki. Była seksualnie wygłodzona, gwałtowność jej uczuć mieszała się z fizycznym pożądaniem. Okazało się, że Mironienko nie mógł się oprzeć temu połączeniu, tak jak nie mógłby się oprzeć prawie żaden mężczyzna.

Tania była jego pierwszym łącznikiem z Protorowem. Po zakończeniu wizyty nie chciał się z nią rozstać, a ich romans trwał przez całą wiosnę, aż do lata.

Lato oznaczało koniec studiów Tani, a ponieważ Protorow miał dla niej następne zadanie — o wiele bardziej ryzykowne, zadanie, które tylko ona mogła wykonać — znalazł sposób na to, aby żona Mironienki zdała sobie sprawę z jego namiętności. Utemperowany Mironienko opuścił Tanię. Ale

po części dlatego, że kolejna interwencja Protorowa uratowała jego małżeństwo, jak r ó w n i e ż karierę, oraz po części dlatego, że miał podobne inklinacje polityczne: przeszedł do obozu Protorowa.

Protorow przeniósł w tym czasie Tanię poza akademię, pozwalając jej znaleźć własną drogę do organizacji dysydenckiej jej brata, Michaiła. On sam nie ponosił oczywiście żadnego ryzyka. Dość dobrze wiedział, że Tania sercem należała do ojca, że uważała postępowanie Michaiła za zdradę rodziny. Protorow nakazał swoim wykładowcom pracować nad tą sprawą podczas jej szkolenia.

Michaił uradował się jej widokiem. Oznaczało to, że Tania wydorosłała. Było dla niego po prostu niepojęte, że mogłaby być pracownikiem KGB.

Teraz, gdy odzyskała nadzieję, automatycznie porzuciła swój plan, by zabić Nicholasasa, zgłosić się z powrotem do Mincka i posłać mu kulę między oczy. Gdy tajemnica *Tenchi* będzie bezpieczna w jej głowie, skontaktuje się z Rusiłowem, by przygotował trasę jej ucieczki.

Nie powie mu oczywiście o swoim odkryciu. Już raczej pozwoli, żeby myślał, iż przyniosła wstyd kierownictwu pokonana przez Linneara. Po tym, co wydarzyło się w kryjówce na Hokkaido, uwierz w to bez trudu.

Potem przez granicę, przez łańcuch Wysp Kurylskich, do Mironienki. Wciąż był czas, aby zdążyć przed nieprzekraczalnym terminem szczytu, nie życzyła sobie, aby jakiś gorliwy i ambitny mężczyzna próbował dzielić się z nią jej triumfem. Nie, to ona sama otworzy szczyt KGB-GRU jako starannie wybrana następczyni Protorowa. Przewrót odbędzie się. Marzenie przecież nie umarło.

Starając się siłą woli opanować drżenie, które czuła w piersi, powiedziała:

— Im wcześniej mi o tym powiesz, tym szybciej będę mogła wysłać Minckowi sygnał i tym prędzej raz na zawsze zamkniemy tę sprawę.

Nicholas, ubrany już, odliczał banknoty i wkładał je do nowego portfela.

— Na szczęście z naszej strony nie będą potrzebne żadne działania. Jestem tego zupełnie pewny. Ale gdyby Sowietom udało się przeniknąć tajemnice *Tenchi*, byłaby to zupełna katastrofa.

Tania zacisnęła zęby w oczekiwaniu. Z trudem potrafiła opanować niepokój. Gdy Nicholas wszedł do łazienki, aby uczesać włosy, poszła za nim i stanęła tuż za drzwiami.

— *Tenchi* jest trafnie dobranym kodem. Oznacza „niebo i ziemię”. *Tenchi* jest w rzeczywistości superrobotem.

— Co takiego? — wykrzyknęła Tania. — Co to, film fantastyczno-naukowy?

— Pozwól, że zacznę od początku. Przed trzema laty „Hare Mam”, japoński tankowiec załadowany odpadami radioaktywnymi, zaginął podczas tajfunu, gdy przepływał przez cieśninę Nemuro pomiędzy Hokkaido a wysuniętym najdalej na południe punktem Kuryłów. Była to katastrofa na ogromną skalę, katastrofa, którą japoński rząd, jak możesz sobie pewnie wyobrazić, pragnął utrzymać w tajemnicy. Gdy tylko nastąpiła poprawa pogody, rozpoczęła się operacja ratownicza. Jak się okazało, odpady radioaktywne nie wydostały się z zaplombowanych pojemników i operacja przebiegała bez przeszkód. Ale trzeciego dnia nurkowie korzystający z niezwykle potężnej pompy próżniowej, która musiała być zakotwiczona w dnie morza, odkryli, że drgania mechanizmu utworzyły w nim bardzo wąską szczelinę. Zaczęła z niej wyciekać czarna, lepka substancja. Przypadkowo odkryli ropę przy wybrzeżu Japonii, w miejscu, w którym — jak ustalił cały sztab geologów — nie mogło być żadnych surowców.

Gdy wiadomość o tym przekazano premierowi, podniecenie osiągnęło szczyt. Wysłano w ten rejon oceanografów oraz geologów. To, z czym wrócili po trzech tygodniach, było wręcz nieprawdopodobne. Wyglądało na to, że złoża ropy naftowej jest bardzo głębokie. Było również rozległe. Gdyby rząd potrafił znaleźć sposób na jej wydobycie, nie musiałby już nigdy kupować nawet jednej baryłki ropy. Japonia byłaby samowystarczalna. Była to odpowiedź na modlitwy wielu ludzi.

Kłopot polegał jednak na jej wydostaniu. Ze względu na rodzaj skały oraz jej formację konwencjonalne metody wierceń przybrzeżnych były nieprzydatne. Poza tym złoża znajdowały się dość blisko znanego uskoku tektonicznego i Japończycy bali się, że wszelkie nieodpowiednie działania w tym rejonie mogą wywołać potężne trzęsienie ziemi.

I w ten sposób powstał *Tenchi*. Ma osiem przegubowych ramion i nóg. Może poruszać się po każdym terenie, bez względu na nierówności. Widzi, słyszy, a nawet czuje zapachy. Gdy zacznie wydobywać ropę z dna morza, będzie pierwszym urządzeniem tłoczącym miliardy ton paliwa na powierzchnię i dalej przez rurociąg ciągnący się setki sądni do kolejki oczekujących tankowców.

— Ale po co te wszystkie tajemnice? — spytała Tania. — Z pewnością można go było zbudować w świetle dnia.

— Być może — przyznał Nicholas. — Jednakże złoża ropy znajduje się nie tylko w granicach Japonii, choć o n i sądzą, że tak nie jest.

— Co ty mówisz? — powiedziała Tania; serce podeszło jej do gardła.

— Wyspy Kurylskie są przedmiotem sporów między Rosją i Japonią. Wiesz o tym, to nic nowego. Prawdziwe pytanie brzmi: czyją własnością jest ropa — Japonii czy Rosji? Uzyskasz na nie dwie różne odpowiedzi, zależnie od tego, czy rozmawiasz z Japończykiem, czy z Rosjaninem. — Odwrócił się od lustra. — Teraz rozumiesz już, dlaczego Protorowowi tak bardzo zależało na przeniknięciu tajemnic operacji. Rosjanie mogliby także stać się samowystarczalni.

Wyszedł z łazienki i rozejrzał się po pokoju. Ale Tania już wyszła.

W parę minut później, gdy wybierał się już do gmachu Shinjuku Suiryu, biur Sato Petrochemicals, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Taak?

— Pogoda była wspaniała w Key West, stary — rozległ się głos w słuchawce — ale towarzystwo wszawce.

— Croaker! — Głos wydobył się z niego niczym uchodzące z balonu powietrze. Kolana ugięły się pod nim, musiał usiąść. — Lew, to nie możesz być ty!

— Mogę, mój chłopcze, i jestem. Jestem w lobby. Nie chciałem przyprawić cię o zawal przychodząc bez zapowiedzi. Czy mogę wejść na górę?

— Właśnie wychodziłem. Spotkam cię na dole. — Tysiące pytań cisnęło się do jego głowy. „Lew Croaker żyje! Jak to możliwe?”

— Nieee. Lepiej, żebym wszedł na górę z tym, co mam.

— W porządku. Oczywiście. Zapadło milczenie.

— A co u ciebie? — głos zrobił się ochrypły.

— Nic nie jest już tak jak dawniej — odparł Nicholas. — Ale przecież to normalne.

— Ha! Opowiesz mi o tym. Zaraz tam będę.

Był trochę szczuplejszy, z pewnością bardziej opalony, jego mitchumowską twarz pokrywały wyraźnie coraz głębsze bruzdy. Mimo to dla Nicholasa wyglądał świetnie.

Objęli się jak bracia i tym razem Croaker nie miał nic przeciwko temu. Zdumiony był tym, jak bardzo stęsknił się za przyjacielem.

— Co to za bandaże? — spytał, wskazując palcem.

— Później — odparł Nicholas. — Teraz opowiedz mi o wszystkim.

I Croaker opowiedział. Zaczął od chwili, gdy tajemniczy samochód ze-
pchnął go z drogi w Key West, skończył na rewelacjach Alix Logan.

— Więc to Minck usankcjonował śmierć Angeli Didion? — spytał Nicho-
las z niedowierzaniem. — To nie był wcale Tomkin.

— On tylko o tym wiedział — zadrwił Croaker. — On tylko wpuścił mor-
derców do jej mieszkania. Sądzę, że to go rozgrzesza.

Nicholas spojrział na niego. Czuł dziwny ból.

— Przykro mi, że był taki słaby. Musiał chyba myśleć o tym, że stanowiła
potencjalne źródło przecieku. Narodowe bezpieczeństwo...

— W moim rejestrze pozostaje nadal mordercą — uciął Croaker. — Na-
rodowe bezpieczeństwo, niech skonam. Wielka mi sprawa.

— Nie zgadzam się z tobą, Lew.

Croaker natarł na niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiesz, co chcę przez to powiedzieć — odparł łagodnie Nicholas. —
Dlaczego tu jesteś?

Croaker zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Narodowe bezpieczeństwo — rzekł w końcu. Westchnął uznając swoją
porażkę. — Przepraszam, Nick.

— Daj spokój, Lew. To tylko znaczy, że wszyscy możemy być wykorzy-
stywani w imię miłości do ojczyzny.

— Czy naprawdę to właśnie spowodowało, że Tomkin ich wpuścił?

Nicholas spojrział na swego przyjaciela.

— Uczciwie mówiąc, nie wiem.

— No cóż, z pewnością jest to zupełnie obojętne dla Angeli Didion. Tak
czy inaczej, z grobu już nie powstanie.

— Nie możesz się stale zamartwiać jedną śmiercią, Lew. Bądź rozsądny.
Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. To więcej, niż zrobiliby ktokolwiek inny. My-
śle, że dusza Angeli może teraz spoczywać w spokoju.

Croaker usiadł ciężko z głową w dłoniach.

— Niczego nie zrobiłem. Niczego nie rozwiązałem. Zaszedłem donikąd.
Tylko miotalem się nieprzytomnie. Nikt nie zapłaci za śmierć Angeli, ani
teraz, ani później.

Nicholas zaniepokoił się.

— Co ci się stało w Key West, przyjacielu? Pytam poważnie.

— Nie wiem, Nick — odparł stłumionym głosem Croaker. — Niech mnie
cholera, jeśli wiem.

Nicholas nic nie mówił i Croaker był zmuszony ciągnąć dalej, aby przerwać dręczącą ciszę.

— Moje życie rozleciało się. Przypuszczam... — Przerwał i zaczął od początku. — Nie wiem, co się stało z dzieciakiem, który ukończył Akademię wśród pięciu procent najlepszych w klasie. Potem miałem prawo w jednej ręce, a służbowy rewolwer w drugiej. Wiedziałem, co z nimi robić. Wiedziałem, że jestem po właściwej stronie, a oni: mordercy, gwałciciele, narkomani, uzbrojeni zbóje i rabusie — są po stronie przeciwnej.

To było dawno temu, albo tak mi się tylko wydaje. Mam wrażenie, że tymczasem gdzieś utraciłem zdolność odróżniania przestępców od strażników prawa. Byłem w stu procentach pewien, że Tomkin zabił Angelę. Myliłem się... czy na pewno? Sam już nie wiem. Minck rozkazał, by ją zabito, i wiedziałem, że muszę stanąć z nim twarzą w twarz. Nie wiem, dlaczego. Czy chciałem go zabić? Zostać anarchistą występującym przeciwko prawu, którego ślubowałem przestrzegać: społecznym strażnikiem sprawiedliwości? Gdy stałem przed nim, wiedziałem, że przynajmniej po części chcę tego. Chociaż wiem, jaką suką była Angela, chociaż wiem, że może — i masz rację, z r o b i ł a b y t o — zepsuć tę całą szpiegowską transakcję, którą Minck gotował z Tomkinem. Ale efekt końcowy jest taki, że odebrali życie drugiemu człowiekowi; zabawili się w Boga. Oni zniszczyli ludzkie życie, Nick.

Uniósł głowę i Nicholas drgnął z bólu na widok ponurego wyrazu jego zaczerwienionych oczu. Płakał chyba... nad sobą, nad jedną utraconą duszą.

— Bez względu na to, jaka była, Nick, miała prawo żyć. Mam rację, przynajmniej jeśli o to chodzi, prawda?

Nicholas objął ramieniem przyjaciela i siedzieli tak razem na brzegu łóżka.

— Miała prawo żyć, Lew.

Croaker wydał z siebie krótki, pełen gniewu i zażenowania jęk.

— Więc zamiast własnoręcznie pozbyć się Mincka, skończyłem jako jego pracownik.

— Nie rozumiem.

— Taak, za chwilę dobrze zrozumiesz, zapewniam cię.

Croaker wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem niczym uwięziony w klatce tygrys. Był spięty i nie bał się tego okazać.

— Widzisz, chodzi o to, że ten drań, Minck, wydał wyrok na kogoś jeszcze. Wygląda na to, że ta Tania Władimowa jest wtyczką KGB umieszczoną w jego agencji. Nie widziałeś przypadkiem, by się tutaj ostatnio kręciła?

W głowie Nicholasa gotowało się. Zbyt wiele spadało na niego naraz.
— Tania? Sowieckim szpiegiem? — zapytał. — Ale dlaczego Minck nie skontaktował się z mną wcześniej?

Croaker wskazał na telefon.

— Czy pomyślałeś o tym, stary, by przesłuchać wiadomości?

— Szczerze mówiąc, nie. Miałem inne sprawy na głowie. Wróciłem do hotelu dopiero pół godziny temu. Wpadłem wprost na Tanię. Ona...

— Taak? Dokąd ona, u licha, poszła?

„O, mój Boże — pomyślał Nicholas. — *Tenchi*. Przekazałem jej wszystko, co z takim trudem usiłowałem ukryć przed Protorowem. Chyba w końcu wygrał”. — Ale myśl o tym, świadomość niemal pewnej wojny wywołanej iskrą terytorialnego konfliktu, była zbyt okropna.

— Chodź! — krzyknął Nicholas.

— Dokąd idziemy?

— Do Hamamatsu-cho.

Gdy Tania opuściła pokój Nicholasa, zbiegła siedem pięter w dół po schodach przeciwpożarowych; nie chciała czekać na windę i być zauważona. Gdy była już na ulicy, ruszyła na północ, aby jak najszybciej oddalić się od hotelu. Chciała wziąć taksówkę, ale bała się zostawić ślad. Gdy minęła trzy przecznice, wiedziała już, że postąpiła słusznie. Ulice dusiły się od samochodów i Tania pieszo poruszała się znacznie szybciej. Przeciskała się energicznie przez tłum niczym łoś uśiłujący płynąć pod prąd.

Przy Sakura-dori odnalazła stację Toranomom, na linii Ginza. Zeszła pod ziemię, zapłaciła za przejazd, przejechała jeden przystanek do Shimbashi, gdzie przesiadła się na linię J.N.R. do Hamamatsu-cho.

Wysiadła wraz z setkami innych ludzi, głównie turystów, aby czekać na pociąg kolei jednoszynowej jadący na lotnisko Haneda, a potem na lot na Hokkaido. Poświęciła trochę czasu na czekanie w kolejce do budki telefonicznej, w której — gdy nadeszła jej kolej — użyła specjalnego kodu, aby zawiadomić Rusiłowa o tym, że ucieka.

— Spadochron — rzuciła, gdy znalazła się na linii.

Była to pora dnia, po szale południowego lunchu oraz przed godziną wieczornego szczytu, gdy natężenie ruchu ulicznego w Tokio zmieniało się z minuty na minutę; rządził tym czysty przypadek.

Nicholas zdecydował się podjąć rozmyślne ryzyko i złapał taksówkę do Hamamatsu-cho. Popełnił błąd. Na Sakura-dori był korek, a żadna z pozostałych tras nie była lepsza. W pobliżu stacji Onarimon miał już dosyć i rzucawszy kilka banknotów jak płatki kwiatów na kolana kierowcy, wyskoczył z samochodu, a Croaker tuż za nim.

Onarimon była po drodze, gdy poruszali się ulicami miasta, ale teraz, pod ziemią, stwierdzili, że muszą się dwa razy przesiadać z pociągu na pociąg — raz w Mita na linię Toei Asakusa prowadzącą do Shimbashi, po czym na J.N.R., by ruszyć w ślad za Tanią do Hamamatsu-cho.

Gdy wyszli na zalany rozproszonym światłem słońca dworzec, stanęli przed potężnym tłumem ludzi, który płynął po schodach na peron stacji kolei jednoszynowej. Orgia barw, morze twarzy, rytmiczne fale gorąca.

— Może być tutaj — rzekł Croaker. — Albo dwadzieścia mil stąd.

— Przestań być takim optymistą — odparł oschle Nicholas — przejdź do schodów po przeciwnej stronie. Dokładnie za trzy minuty obydwaj zaczniemy, ja tutaj, ty tam. Dostaniemy ją gdzieś pośrodku.

Croaker spowaźniał.

— Naprawdę jesteś pewien, że ona jest tutaj?

— Nie znasz Tokio, Lew — odpowiedział Nicholas. — Musi się jak najszybciej dostać na Hokkaido. Lotnisko Haneda jest dla niej szansą, by się tam znaleźć.

— Ale z każdego dużego miasta zawsze prowadzi mnóstwo innych dróg. Skąd masz taką pewność, że to właśnie ta?

Nicholas naprawdę nie potrafił powiedzieć, ponieważ to było coś nieuchwytnego. Wywołał wspomnienie twarzy Tani w chwili, gdy powiedział, że *Tenchi* przestało być tajemnicą. Ten wyraz zaskoczenia teraz nabrał dla niego dodatkowego znaczenia. Wiedział, że nie była przygotowana na lot. Bez względu na to, jaki był plan Tani, gdy wpadła na niego w „Okurze”, zmienił się natychmiast, gdy powiedział jej o *Tenchi*.

— Lew — powiedział gorliwie — ona jedzie do domu. Do Rosji. Działa instynktownie, a instynkt nakazuje jej obrać najkrótszą i najszybszą drogę. To tylko przeczucie, ale sądzę, że trafne.

— W porządku, stary — rzekł Croaker uśmiechając się przez krótką chwilę. — Miałem już parę doświadczeń z twoimi przeczuciami. Zobaczymy się w połowie peronu.

Było gorąco i robiło się coraz goręcej. Tak bardzo, że Tania zaczęła się pocić. Coś się stało z kolejką jednoszynową. Zdarzyło się coś nie do pomyślenia: japoński środek transportu uległ awarii.

Przed chwilą, gdy spojrzała na zegarek, zaczęła żałować, że nie zastrzeliła Nicholasa Linneara tam, gdzie stał, przed lustrem w łazience. Ale doskonale wiedziała, dlaczego zawahała się, a potem zdecydowała się tego nie robić. Bała się go; bała się, że on jakoś wyczuje jej zamiary i powstrzyma przed dostarczeniem tajemnic *Tenchi* na szczyt KGB-GRU. Pocieszała się faktem, że spotkanie było najważniejsze i nie można było ryzykować.

Powstrzymała swą dłoń i już żałowała, że nie podjęła ryzyka. Uciekła i teraz była bezradna wobec pościgu. Myśl o Nicholasie Linnearze prowadzącym polowanie napawała ją przerażeniem.

Dlatego właśnie w chwili gdy spostrzegła go wchodzącego po schodach na końcu peronu, odwróciła się i zaczęła przeciskać się przez gęsty tłum w przeciwnym kierunku.

Obserwowała falujących stłoczonych ludzi w piętnastosekundowych interwałach, jak nauczono ją w akademii Protorowa; gdy tylko mogła, wykorzystywała do tego celu lustrzane powierzchnie.

Poczuła lodowaty chłód w sercu, gdy spostrzegła, jak Nicholas wchodzi na peron. Wydawał się przesuwac z wielką łatwością przez potracający się i spocony tłum. W przeciwieństwie do niej; ona musiała walczyć o każdy cal. Czowała się tak, jakby stąpała po grząskim piasku, jej nogi podnosiły się i opadały nerwowo, ale nie widziała specjalnych efektów tych szaleńczych wysiłków. Grząski piasek albo sen.

Ale Tania doskonale wiedziała, że nie było to ani jedno, ani drugie. Wyjęła więc dyskretnie swoją udoskonaloną berettę, płaską, przy bliskim zasięgu potężną broń.

Oglądała się przez ramię; widziała, jak robił to Rusiłow. Wtedy naśmiewała się z niego w głębi duszy, ale teraz nie dostrzegała w tym geście nic zabawnego.

Tak bardzo pragnęła uciec od swojego myśliwego, że niewiele uwagi zwracała na to, co się działo przed nią. Ci ludzie byli dla niej trzęsawiskiem, przez które musiała się przedostać. Przestali być jednostkami, byli raczej częścią całości powstrzymującej ją w sposób doprowadzający do szału. Pragnęła zabić ich wszystkich, zepchnąć bezładnie na błyszczący tor, który skręcał łukiem w stronę Fuji, zasnutej niebieską mgłą przemysłowych wyziewów, oraz bezpiecznego schronienia — samolotu na lotnisku.

Poczuła uderzenie w klatkę piersiową. Cofnęła się zdenerwowana, widząc zbliżającego się Nicholasa.

— Zostańcie na swoim miejscu, towarzyszeko.

Szorstki, nowojorski akcent. Odwróciła głowę, automatycznie unosząc berette; palec zaciskał się na spuście.

— Rzuć to — powiedział jej w twarz Croaker. — Nic już nie możesz z tym zrobić. Nie masz dokąd uciec.

Odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na zbliżającego się prześladowcę, i poczuła otwartą dłoń Croakera na swej broni. Oddała instynktownie strzał i gotowała się do następnego, gdy nie dalej jak o sześć cali przed jej twarzą wyrosło jak wieża czarne oko i eksplodowało z hukiem ginącego świata.

Mamy tutaj zostać, dopóki grupa wspierająca od Mincka nie zrobi, co do niej należy — rzekł Croaker, odchodząc od telefonu. Rzucił okiem na Nicholasa. — Skontaktowali się już z policją. Nikt nie będzie się nas czepiał.

Nicholas nie odpowiedział. Spoglądał na zakryte zwłoki Tani Władimowej. Policjanci byli już na miejscu zdarzenia, odgradzając widzów od uczestników. Parę chwil wcześniej Nicholas rozmawiał po japońsku z młodym sierżantem. Mieli jeszcze dopełnić całej serii formalności.

Ale myślał o czymś innym. Raz jeszcze zastanawiał się nad tym, co jego ojciec powiedział o odbieraniu życia i usuwaniu zła ze świata. Rozumiał teraz, że na tym właśnie polegał dylemat. Dlaczego aby zrobić jedno, trzeba było uczynić drugie? Czy nie było innego sposobu? Czy istniał dla Tani?

Nie było go dla Protorowa, wiedział o tym, dla Akiko także. *Karma*. Zdawał sobie sprawę, że wciąż jeszcze nie nauczył się akceptować życia na jego warunkach. Zbyt wiele czuł dla innych. A może tylko nie chciał rezygnować z kontroli nad nim? Tak czy owak był to mit. Życia nie można było kontrolować. Jednak wciąż próbował.

„Chyba nadszedł czas, by z tym skończyć” — pomyślał.

W Shinjuku Suiryu Building Nicholas spotkał się najpierw z Tanzanem Nangim, mimo że powiedziano mu po przyjeździe, iż Justine jest i czeka w środku. Uczynił tak, ponieważ chciał, aby przynajmniej jedna ważna sprawa w jego życiu została rozstrzygnięta, zanim znowu się z nią zobaczy. Chciał, aby

jego umysł był zupełnie wolny, tak aby w pełni mógł się skoncentrować na tym, co zamierzał.

Gdy opuścił Croakera, spędził trzy upalne i parne godziny jeżdżąc po całym mieście i teraz niósł pokrytą jedwabiem paczkę.

Bez niepotrzebnej zwłoki wprowadzono go do ogromnego biura Sato. Wymienili ukłony.

— Proszę usiąść, Linnear-san.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko — powiedział Nicholas — wolałbym usiąść w pokoju obok.

Nangi otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i zawahał się przez chwilę, jakby prośba Nicholasa naruszała ustalony przez niego schemat. Skinął głową, szybko przychodząc do siebie.

— Oczywiście — wymamrotał.

Przeszli przez wąski korytarz mieszczący *tokonomę*; w jej wysmukłym wazonie była jedna purpurowa peonia. Nicholas przeczytał poemat na zwoju umieszczony powyżej: *Żaden deszcz nie spada / Nie niosąc życia / Kwiatom / Nazboczach gór i dolin.*

Nangi poprowadził go obok małej alkowy do następnego, mniejszego pokoju, który nie był wcale gabinetem. Było to miejsce, którego Nicholas nie widział wcześniej, a wiedział, że musi znajdować się w biurze Sato.

Tuż przed progiem obydwaj zdjęli buty. Pokój miał powierzchnię dwunastu *tatami*. Ściany były ekranami *shoji*, choć bez wątpienia zakrywały tynk i drewniane listwy. Spokojne światło, łagodne i przymgłone, igrało na rozległej płaszczyźnie podłogi; srebrzysty szmer wody w strumyku docierał z niewidocznego miejsca. Pośrodku znajdował się niski stolik z laki, wzdłuż ściany stało kilka popiersi z czerwonej *kansu* oraz cedrowe biurko z telefonem. Za biurkiem krzesło z twardego cedru.

Uklękli po przeciwnych stronach błyszczącego czarnego stołu. Nicholas rozejrzał się, podziwiając pokój, podczas gdy Nangi poświęcił trochę czasu i znaczną ilość energii, aby zmusić swoje kalekie nogi, by zgięły się pod nim.

— Przyszedłem, aby wyznać o swoim zaniedbaniu, Nangi-san — po pewnym czasie rzekł Nicholas.

Nangi zaciekał się.

— Co pan przez to rozumie, Linnear-san?

— Gdy pana nie było, Sato i ja zawarliśmy transakcję. Pragnął, by fuzja nastąpiła szybko; ja chciałem pomóc jemu, i panu również, w walce przeciwko *Wu-Shing*.

— Zatem pan i Seiichi-san czuliście, że obaj możemy się obawiać tych ohydnych zbrodni?

— Tak. Obaj czuliśmy, że pan i on macie być ich ostatecznym celem.

— Miał pan jakieś dowody?

— Chodziło o to, iż Sato-san sądził, że coś z waszej przeszłości wyzwoliło tę wendetę. — Gdy Nangi nie odpowiedział, Nicholas zaczął mówić dalej: — Złożyłem przysięgę, że będę go bronił, Nangi-san. Właśnie dlatego pojechałem z nim do *rotenburo* na Hokkaido, aby odnaleźć Feniksa. Ale Koten zdradził nas, przechodząc na stronę Rosjan. Zabili Feniksa, i zabili Sato. — Mówił dalej, chciał zdać relację z tego, co zaszło w kryjówce Protorowa. Nie powiedział nic o tym, co zdarzyło się po jego ucieczce na lotni.

— Feniks był z Tenshin Shoden Katori. — Nangi celowo mówił spokojnym tonem. — Czy coś dostało się w ręce Sowietów?

— Przez chwilę. Ale nie mieli nikogo, kto mógłby przetłumaczyć szyfr w *kanji*.

— Rozumiem. — Ulga, z jaką powiedział to Nangi, była widoczna.

— Czytałem ten dokument, Nangi-san. Dotarłem do samego serca *Tenchi*.

W pokoju słychać było jedynie odgłos płynącej bezustannie niewidocznej wody.

Nangi przymknął w końcu powieki. Czuł się ogromnie znużony, niczym maratończyk, który wydobył z siebie resztki waleczności, aby dotrzeć do linii mety po to tylko, by usłyszeć, że trasa została przedłużona o następną milę.

Otworzył swoje ciemne, ptasie oczy i głosem cichym jak szelest piór powiedział:

— A teraz, gdy ma pan już w rękę potrzebny atut, co zrobi pan z tymi informacjami, jeżeli nie przystanę na pańskie żądania dotyczące fuzji?

— Miałem telefon od człowieka nazwiskiem C. Gordon Minck. Jest w rządzie Stanów Zjednoczonych. Znam go, w pewnym sensie. Załatwiałem dla niego pewną sprawę... ponieważ odpowiadało to moim celom. Ponieważ chciałem uratować *Tenchi*.

Nangi pokiwał głową.

— Uratować przed Rosjanami. Rozumiem. Jest pan obywatelem amerykańskim. I teraz amerykańskie służby wywiadowcze znają naszą głęboką tajemnicę. Na zawsze pozostaniemy na ich łasce.

— Nangi-san — powiedział łagodnie Nicholas — powiedziałem Minckowi, że Rosjanie nie dotarli do tajemnic *Tenchi* i że ja również do nich nie

dotarłem. Sato-san mówił mi kiedyś, że boi się tego, iż Amerykanie poznają *Tenchi*, boi się ich prawie tak samo jak Rosjan. Nie wiedziałem wtedy, co przez to rozumie, ale teraz wiem. Amerykanie nie życzyliby sobie, by Japonia uniezależniła się od nich. Zgadzam się z nim.

Nicholas nie mógł wyrzec bardziej zaskakujących dla Nangiego słów.

— Ale to niemożliwe — powiedział, przynajmniej raz wzburzony. — Jest pan Amerykaninem. Jest pan...

— *Iteki*? Czy nie tak właśnie widział mnie pan od początku, Nangi-san? Jako barbarzyńcę, mieszańca.

Nangi spojrział na blat stołu, ale zobaczył w nim jedynie własne odbicie. „Nienawidzę tego człowieka — pomyślał — i nie wiem nawet, dlaczego. Cierpiał dla tej *keiretsu*, zachował jej tajemnice, omal nie zginął za nie. Jego lojalności nie można zakwestionować. Próbował uratować życie Seiichiego”. Na myśl o swym zmarłym przyjacielu miał wrażenie, że nóż wbija się w jego wnętrzności, i na nowo wstrząsnął nim gniew na tego człowieka. Mimo to usiłował go zrozumieć.

— Moja dusza jest japońska — rzekł cicho Nicholas. — Wystarczy, że wyczuje pan moją *wa*, żeby się o tym przekonać. Panu Sato nie było tak trudno mnie zaakceptować, stać się moim przyjacielem.

— Sato-san miał wiele złych przyzwyczajęń — uciął Nangi i natychmiast pochylił głowę aż do samego stołu. Było mu wstyd. — Proszę o wybaczenie, Linnear-san. — Jego głos był łamiącym się szeptem, pełnym bólu i wstrętu do samego siebie. — Zasluguje pan na moją nędzną wdzięczność za to, co pan zrobił, aby chronić moją *keiretsu* i zachować *Tenchi*.

— Naprawdę przykro mi, że nie może pan jej dać w udziale. — Nicholas miał smutną twarz, gdy wstał. — Zobowiązanie do fuzji podjąłem z panem Sato. Nie będę żądał, by czuł się pan nim związany.

— Linnear-san. — Nangi siedział sztywno wyprostowany. — Proszę usiąść — powiedział, a gdy Nicholas nie uczynił żadnego ruchu, dodał: — Błagam pana. Niech pan nie powiększa wstydu, którym się już okryłem. Jeśli pan teraz wyjdzie, nigdy już nie odzyskam twarzy.

Nicholas usiadł, krzyżując pod sobą nogi.

— Nie pragnę okrywać pana wstydem — powiedział łagodnie.

Przypomniał sobie wszystko, co Sato opowiadał mu o tym człowieku.

— Bez względu na to, jakie porozumienie zawarł pan z Seiichim, zawarł je

pan także ze mną. Jesteśmy jedną i tą samą osobą. Pragnę honorować jego słowo. — Przycisnął dłoń do oczu. — Wychowałem się na *kanryodo*. Nie nawidziłem obcokrajowców, jakby byli zarazą.

— Niektórzy, może nawet większość, są tacy — odparł Nicholas.

Nangi spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Prawdę mówiąc, nigdy nie zadałem sobie trudu, aby pana zrozumieć. Widziałem to, co chciałem zobaczyć — ponownie spuścił wzrok — i czułem się dotknięty pańskimi serdecznymi stosunkami z moim przyjacielem.

— Nie przeszkadzało mu to pana kochać. Ale to oczywiste. — Nicholas podniósł swoją czarękę. — Jeżeli pan chce, zapalimy razem kadzidło na grobie Sato.

— Dobrze — odparł Nangi i nie wstydził się już zabarwić głosu smutkiem. Jego zdrowe oko było wilgotne. Uniósł kieliszek. — Za przyjaciół, którzy odeszli, za którymi będziemy tęsknić i których będziemy darzyć szacunkiem przez resztę naszych dni. — Wypili. — A co z *Wu-Shing*? — zapytał Nangi.

— Zagrożenie *Wu-Shing* minęło. Z tej strony nie musi się pan niczego obawiać. Córka wiceministra Shimady została unieszkodliwiona; ziemia ją pochłonęła. Jej zemsta pozostała nie. spełniona.

Wydawało się, że twarz Nangiego zapadła się. Głos przeszedł w szept.

— Shimada miał córkę? Wiem tylko o jego dwóch synach, którzy zginęli w katastrofie samolotowej. Ale c ó r k a ?

— Z *tayu oiran* z Yoshiwary.

— O, mój Boże! — Skóra pod zdrowym okiem Nangiego zaczęła drgać nerwowo. — Przypominam sobie pewne informacje o nim, które zgromadziłem. B y ł a w nich wzmianka o kurtyzanie. Ale żeby urodziła mu dziecko!

— Obawiam się, że moje następne informacje są jeszcze gorsze.

— Nie rozumiem, dlaczego.

— Córką Shimady była Akiko Ofuda Sato.

— Panno Święta, nie! To niemożliwe. — Otarł pot z czoła. — Czy Seiichi-san dowiedział się o tym?

— Nie.

— Dziękujemy Bogu za to małe błogosławieństwo. Musiała to wszystko zaplanować: zaloty, ślub. Jakże Seiichi-san ją kochał! — Obserwował swoje trzęsące się ręce, zaskoczony faktem, że stracił panowanie nad sobą. Uniósł wzrok.

— Mówi pan, że jej nie ma?

Nicholas potwierdził skinieniem głowy.

— Zginęła podczas niedawnego trzęsienia ziemi.

— Mogła wszystko zniszczyć. W s z y s t k o !

— Niewiele brakowało — przyznał Nicholas.

— Nie tylko Rosjanie i Amerykanie są zainteresowani *Tenchi* — rzekł po chwili Nangi. — Teraz, gdy jesteśmy współnikami, mam obowiązek powiedzieć panu, dlaczego pojechałem do Hongkongu. Celowo nie mówiłem o tym Seiichiemu przed wyjazdem, ponieważ nie mogłem z góry znać rezultatów podróży, a nie chciałem go niepokoić.

Nicholas wysłuchał z rosnącym zainteresowaniem jego intrygującej opowieści.

— Ale wygrałem wszystko, co było do wygrania — podsumował Nangi.

Nicholas milczał przez chwilę; porządkował w myślach to, co usłyszał.

— Ciekawe — rzekł w końcu.

— Co pan ma na myśli, Linnear-san?

— Czy Lo Whan mógłby mieć jakiś powód, by okłamać pana co do swoich motywów?

Nangi pokręcił głową.

— Nie. Zapłacił za to zbyt wielkim upokorzeniem. Błagał mnie o wyjaśnienie tajemnic *Tenchi*.

— Myślę, że powinniśmy mu je przekazać.

— Co takiego? — wybuchnął Nangi. — Po tym wszystkim, co pan powiedział? Oszalał pan chyba.

— Och, nie twierdzą, że od razu. W ciągu trzydziestu dni projekt *Tenchi* będzie w toku, ropa będzie płynąć; nic nie może nas wtedy powstrzymać. Niech pan powie Lo Whanowi, że w ciągu miesiąca dostanie to, czego chce.

— Ależ to zdrada! Komuniści...

— Czy wolałby pan doprowadzić do tego, żeby Rosjanie wzięli się pod rękę z Chińczykami? Jak pan sądzi, w jakim położeniu postawiłoby to Japonię? Sądzę, że nawet Ameryka nie mogłaby nas wtedy uratować. — Rozłożył ręce. — Nie rozumie pan, Nangi-san? Dostarczając tej frakcji tak potężne atuty, uzyska pan gwarancję, że Rosja i Chiny nie zblizną się do siebie o r a z zdobędzie pan niewiarygodnie mocne oparcie w Pekinie, Zakazanym Mieście. Frakcja Lo Whana wiele nam będzie zawdzięczać, a z czasem będą musieli spłacić ten dług. Od nas będzie zależeć wysokość ceny.

— Ale oni są Chińczykami — zaprotestował Nangi. — Oni są komunistami.

— Są również Azjatami.

Nicholas odwrócił się i podniósł owiniętą jedwabiem paczkę. Położył ją na stole.

— To dla pana — powiedział. — Sądzę, że w świetle tej rozmowy dokonałem w dwójnasób trafnego wyboru.

Nangi szeroko otworzył zdrowe oko i znowu pochylił się, dotykając błyszczącym czołem czarnego blatu stołu. Ostrożnie odwinął opakowanie. Znajdował się w nim natłuszczony bukszpanowy pojemnik. Uniósł wieko i zajrzał do środka. Brzemię wieku wydawało się znikać z jego twarzy. Z wielką delikatnością sięgnął do środka i wyciągnął dwie czarki. Były wykonane z przepięknej, półprzezroczystej porcelany.

— Dynastia Tang — wyszeptał. Obserwował, jak światło wchodzi do czarki i myślał o Oba-chamie. — *Domo arigato*, Linnear-san.

Byłoby niestosowne, gdyby powiedział coś więcej. Patrzył na swojego nowego partnera i, być może, w miarę jak go poznawał, przyjaciela.

— Zastanowię się nad pana sugestią. — Na ustach błąkał mu się błądy cień uśmiechu. — Sam z przyjemnością powitałbym konstruktywne rozmowy prowadzące do Wschodniego Przymierza.

Nangi potrzebował czasu, by dojść do wniosku, że ten cud wydarzył się, ponieważ zaufał duchowi drugiego człowieka. Gotaro, Oba-chama, Makita, Seiichi. A teraz Nicholas Linnear. Z ostrym aż do bólu podnieceniem czuł, jak życie zaczyna na nowo swój rytm; potężny silnik grzmiał w jego uszach.

— Ten *kobun* nie wytwarza już artykułów petrochemicznych, prawda, Nangi-san? — rzekł Nicholas, gdy miał wyjść i stali ramię w ramię przy drzwiach.

Nangi roześmiał się.

— Linnear-san, wierzę, że będę ogromnie zadowolony z naszej spółki. Żeby pan tylko zechciał pozostać tutaj, zamiast wracać do Ameryki. Tutaj jest pańskie miejsce, naprawdę. Japonia jest pańskim domem. Ale nie mówię nic, czego nie czułby pan w swoim sercu.

Uśmiechnął się ponownie.

— Żeby jednak dać panu odpowiedź: nie. Sato Petrochemicals było tym, czym było z nazwy, gdy Seiichi-san utworzył ten *kobun*, ale po szoku naftowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku uświadomił sobie, że petrochemia szybko stanie się w tym kraju upadającą gałęzią przemysłu. Wkroczył rząd — za pośrednictwem MITI. To znaczy ja, ponieważ wciąż

byłem wiceministrem w tym ministerstwie. Zanim Fujitsu, Matsushita, NEC oraz reszta zajęła się sztuczną inteligencją i automatyką, Seiichi-san i ja rozmawialiśmy już o tak futurystycznych problemach.

Powoli, tak żeby nie ściągać uwagi na nasze posunięcia, zaczęliśmy przesuwac cele i priorytety z przemysłu przeszłości w gałęzie mające przyszłość. Zachowaliśmy starą nazwę jako kamuflaż, a gdy wiele lat później rząd rozpoczął projekt *Tenchi*, byliśmy jako jedyni w stanie mu pomóc.

Nangi otworzył drzwi.

— Musi pan przyjechać pewnego dnia do Misawy i zobaczyć *Tenchi* na własne oczy. Ma pan do tego zasłużone prawo.

Nicholas odnalazł Justine na pięćdziesiątym pięttrze, w pobliżu basenu, w którym zabita została panna Yoshida. Nie powiedziano jej o przyjeździe Nicholasa.

Znieruchomiał, gdy zobaczył jej opaloną twarz, serce mu biło nerwowo i pomyślał: „Yukio należy do przeszłości. Oto jest moja przyszłość”.

— Świetnie wyglądasz.

— Nick! — Justine odwróciła się gwałtownie. — Mój Boże, nie słyszałam, jak wszedłeś!

Roześmiał się.

— Powinnaś się już do tego przyzwyczaić. — Podszedł do niej, twarz mu spoważniała. — Posłuchaj, Justine, jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Ale ona położyła dłoń na jego ustach.

— Nie, Nick, proszę. Przeleciałam trzynaście tysięcy mil, żeby powiedzieć ci, że cię kocham. Zachowywałam się jak zepsuta mała dziewczynka. Wyładowałam na tobie złość, którą czułam do siebie. To nie było uczciwe, przepraszam. Wiem, że cię zraniłam, a to, że sama czułam się zraniona, nie jest dostatecznym usprawiedliwieniem.

Nicholas odsunął jej dłoń nie wypuszczając jej z ręki.

— Justine...

— Cokolwiek musisz mi powiedzieć, nie ma to już żadnego znaczenia. Nie rozumiesz? Nie mógłbyś powiedzieć nic, co byłoby w stanie zmienić to, co do ciebie czuję. Nic nie mogłoby zmienić mojej miłości. Więc po cóż to mówić?

Zrozumiał, że Justine ma mimo wszystko rację. Chciał powiedzieć jej o Aki-ko, o Yukio. Dokładnie przypomniał sobie jej telefon tuż po ślubie Sato.

Jakże pograżony był wtedy w swojej przeszłości! Jak trudno mu było nawiązać z nią kontakt. Również z tego powodu było mu przykro, ale pomyślał, że Justine już dawno o tym wie.

Wzięła ją w ramiona i dziewczyna spostrzegła jego skaleczoną prawą rękę.

— Co ty robiłeś? — spytała biorąc ją w swoje dłonie.

Próbował zażartować.

— Chciałem złapać inną kobietę. Posiadała czarny pas w karate.

Spojrzała mu w oczy.

— A naprawdę? — szepnęła.

— Wetknąłem nos w nie swoje sprawy i rozwścieczyłem kogoś. Naprawdę.

— Czy powiesz mi kiedyś o wszystkim?

— Justine — odparł cicho, z twarzą w jej włosach. — To nie jest ważne.

Justine rozplakała się.

— Ale sprawiło ci ból. To ważne dla mnie.

Pogładził ją po włosach; przymknął powieki.

— Teraz nie czuję już bólu. Wszystko skończone.

Ich usta rozchyliły się jednocześnie, języki zetknęły się, badając swój smak. Poczuli falę gorąca, rosnącą namiętność.

— Och, Nick — zamruczała. — Jestem taka szczęśliwa. — Myślała o dwojgu ludziach na szczycie krateru Haleakali. „Mam teraz to, co oni” — pomyślała z zadowoleniem.

Powoli i delikatnie zaczęli poznawać się na nowo, fizycznie i emocjonalnie, dwoje niewidomych, którzy nagle odzyskali wzrok. Całowali się tak, jak często całują się nastolatki, jakby ten intymny kontakt był kontaktem ostatecznym, pełnym złożoności uczuć oraz drobnych przyjemności rozwijających się w lśniącą sieć erotyzmu. Pocałunek wyrażał więcej niż tylko pożądanie. Justine zawsze czuła, że całując składa się pocałunek sercu. Trudno było to powiedzieć o samym akcie miłosnym. Można było zespalać się, nie całując się w ogóle.

Miłość czekała na ustach Nicholasa, w dotknięciach jego gorącego języka wnętrza jej ust. Jak długo marzyła o tej chwili? Nigdy nie będzie wiedzieć na pewno, lecz zdawało jej się, że trwało to całe wieki. Czuła się pełna życia i wolna zarazem. To połączenie było dla niej czymś zupełnie nowym.

Delektowała się tą czystością, lecz tak wiele zmieniło się w niej, że pragnęła się tym podzielić z Nicholasem.

- Czy twój pobyt był, jak dotąd, pomyślny? — zapytała.
- Co masz na myśli?
- Tomkin Industries, rzecz jasna. Zdawał się nie dowierzać własnym uszom.
- Chcesz powiedzieć, że naprawdę cię to obchodzi?
- To przecież firma mojego ojca, prawda? Kieruje nią mój przyszły mąż, czyż nie? Myślę, że jej sukcesy lub niepowodzenia powinny mnie trochę interesować!

Nicholas uśmiechnął się, zaskoczony tym, jak ogromną sprawiło mu to przyjemność.

— Nangi zgodził się właśnie na fuzję Sphynx Silicon i *kobunu* Nippon Memory Chip należącego do Sato. Ale jest jeszcze coś. Sądzę, że w ciągu osiemnastu miesięcy, a najdalej dwóch lat, połączone zostaną nie tylko te dwa przedsiębiorstwa.

— Nick! — wykrzyknęła Justine. — To fantastycznie! — Objęła go. — Mój ojciec byłby z ciebie taki dumny.

— Widzę, że to również się zmieniło — rzekł, uśmiechając się szeroko.

Justine potwierdziła skinieniem głowy.

— Od czasu pogrzebu dużo myślałam... o nim... o sobie. Cała moja nienawiść zniknęła. Myślę, że teraz potrafię widzieć go bardziej obiektywnie; takim, jakim był naprawdę. Widzę złe i dobre strony. Żałuję, że potrzebna była jego śmierć, abym zrozumiała to wszystko. Chciałabym z całego serca powiedzieć mu o tym. Zobaczyć jego twarz, gdy mu to mówię.

Pogładził ją po rękę.

— Twój ojciec był człowiekiem o niezwykle silnej osobowości, Justine. Był zbyt silny dla wielu dorosłych. Nie jest więc szczególnie zaskakujące to, że przytłaczał swoje dzieci. Istotne jest, że zdajesz sobie sprawę, iż nie dominował nad tobą i Geldą rozmyślnie. Nie znał innego sposobu życia.

Potwierdziła skinieniem głowy i przywarła do niego.

— To jest następny powód, dla którego tak cię kocham, Nick. Ty mnie rozumiesz. Rozumiałeś jego.

Znowu się pocałowali, pograżali się w tym pocałunku nieświadomie, jakby nie mogli się sobą nasycić. Nicholas sondował jej serce swym *haragei*, taki miał bowiem zwyczaj. Ku swemu całkowitemu zaskoczeniu stwierdził, że w jej wnętrzu, w którym przedtem była jedynie ciemność i chaos, błyska płomiem *wa*, doskonałej harmonii.

Westchnął, gdy całował jej usta, i Justine wydała z siebie jęk, wtapiając się w jego ramiona. Nicholas widział chyba u niej namiastkę tego stanu, gdy spotykali się po raz pierwszy, wpadając na siebie na plaży w West Bay Bridge.

„Długa droga skończyła się teraz dla nas — pomyślał. — I właśnie zaczęła”.

— Zjemy dziś kolację — powiedział cicho, po długiej chwili w jej ramionach.

Oczy Justine zasnęła mgłą miłości i pożądania.

— A do tego czasu? — spytała.

— Jedź na zakupy — odparł. — Kup sukienkę u Matsudy. Wydaj fortunę!

— Taaak? Cóż to za okazja?

— Nie mogę ci powiedzieć — roześmiał się. — To niespodzianka.

— Och, przestań, Nick. — Podchwyciła jego nastrój, również się śmiała. — Powiedz.

— O, nie — odparł. — Mogę tylko zdradzić, że gdy wyjdiesz i „zrobisz” się jeszcze piękniejsza, będę trenował z przyjacielem. Wygląda na to, że bardzo pragnie uczyć się *aikido*. Obiecałem, że pójdę razem z nim. Dość blisko „Okury”, w którym wszyscy mieszkamy, jest *dojo*; byłem już w nim. Wysłałem go tam po południu, aby ustalił godzinę treningu. Spotkamy się z tobą w hotelu około siódmej.

— Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że niespodzianką jest ten przyjaciel?

Nicholas wzruszył ramionami, wciąż się śmiejąc.

— Nie wiem, możliwe.

— Och, kto to jest, Nick? To nie fair!

— Pomogę ci. Jest Amerykaninem. Kimś, kogo długo nie widziałaś. Kimś, o kim myślałaś, że już nigdy go nie zobaczysz.

Justine wykrzywiła twarz w grymasie zniecierpliwienia.

— Nie wiem, kto to mógłby być.

— Wkrótce go spotkasz.

— O, nie! — krzyknęła. — Przez całe popołudnie będę myślała tylko o tym. Nie będę mogła się na niczym skupić, z zakupami włącznie.

Nicholas postanowił powiedzieć jej. Twarz mu jaśniała.

— Justine, Lew Croaker jest cały i zdrowy i przebywa tutaj, w Tokio!

— Co? Żartujesz chyba! — Obserwowała jego twarz. — Ale gazety...

— Relacja w dziennikach była nieprawdziwa. To długa i pogmatwana historia, ale sprowadza się do tego, że ktoś próbował go zabić i chybił. Lew pozostał „trupem” tylko po to, żeby zrobić to, co miał do wykonania.

— O, mój Boże! — Złapała go za rękę. — To cudowne! Niewiarygodne! Och, muszę go ucałować za to, że nie dał się zabić!

Nicholas roześmiał się zachwycony, że reakcja Justine odzwierciedlała jego własną.

— O siódmej możesz z nim zrobić, co zechcesz, w rozsądnych granicach, ma się rozumieć!

Roześmiali się z tego oboje. Ulga i ustępujące napięcie zamieniły się w paroksyzmy beztroskiego śmiechu, który nie ustawał przez długi czas. Brzuchy ich rozboleły, ale mimo to nie przestawali się śmiać. Zbyt dobrze się z tym czuli.

Nicholas spotkał się z Croakerem w maleńkim przepięknym parku w *san-chome* Toranomom-cho. Weszli po schodach do budynku przy trzynastej przecznicy, który górował nad małą świątynią i wzgórzem Atago.

„Jak odległy wydaje się moment, gdy po raz pierwszy wchodziłem w te drzwi” — pomyślał Nicholas. Jak w innym życiu. On i Justine byli teraz tak bardzo inni. A Croaker stał obok.

Rozebrali się w szatni; Nicholas wskoczył w *gi*, Croaker w proste i luźne spodnie z białej bawełny oraz bluzę, które znalazł starannie złożone, gdy otworzył szafkę.

W *dojo* było bardzo cicho. Zajęcia się skończyły. W pobliżu nie było nikogo, ruszyli więc w poszukiwaniu Kenzo, tego, który omal nie pokonał Nicholasa, gdy był tutaj po raz pierwszy.

Opowiadał o tym Croakerowi, który zdradził, jak bezbronny czuje się bez pistoletu.

— Znasz nas, gliniarzy, Nick; nawet przysznic bierzemy z gnatem przypiętym pod pachą.

Przeszli przez samo *dojo* i byli teraz w mieszkaniu instruktora, ciągu małych, pokrytych *tatami* pokoi oddzielonych od siebie *shoji* z papieru ryżowego.

— Myślę, że robię się na to za stary. Jestem znużony troszczeniem się bardziej o mojego gnata niż o kobietę u mego boku. Wbijają ci to do głowy w Akademii, robili to przynajmniej za moich czasów. „Twój gnata jest jedyną rzeczą pomiędzy tobą a dziurą w twojej piersi. Nie możesz tego powiedzieć o swojej kobiecie”. — Próbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

— Czy to dotyczy także Geldy? — zapytał Nicholas.

— Geldy? Nie wiem. Ale mam wrażenie, że jeśli ona sama nie może dać sobie rady, razem sobie rady też nie damy. Nie nadają się po prostu na podporę dla kulawego. Wkrótce bym ją znienawidził. — W tej chwili miał przed oczyma obraz Alix w kryjówce, mieszkaniu Matty'ego Gaduły. Siedziała

z dłońmi zaciśniętymi między nogami, wpatrzona w mrok. Z zewnątrz dobiegał szum obojętnego ulicznego ruchu. Zastanawiał się, czy był to prawdziwy obraz. Czy naprawdę czekała na jego powrót? Czy odeszła z jego życia jak smuga dymu, którą czuł kiedyś obok, i nic więcej? Na okładkach „Vogue” i „Bazaar”, była kimś nieosiągalnym. Ale czuł jej głowę na swojej piersi, widział rozpacz zasnuwającą uwięzione przez nią oczy. Trzymał jej dłoń i jej drżenie mówiło mu o bezbronności dziewczyny. Zdumiewała go głębia własnej nadziei, że nie uciekła z mieszkania Matty’ego w ciemność bezkresnej nocy. Z dała od niego.

— Zatem masz dosyć bycia policjantem.

— Gdybym tylko wiedział, co to znaczy być policjantem — odparł Croaker. — Ale nie wiem.

— Wiedziałeś wystarczająco dobrze, gdy ściagałeś Tanię — zauważył Nicholas.

— Taak — odparł — wtedy wiedziałem.

Za ostatnią *shoji* pojawił się cień. Mógł być cieniem ludzkiej postaci.

— *Sensei?* — zawołał Nicholas. Nie było odpowiedzi. Wyciągnął rękę i rozsunął *shoji*.

— Jezu Chryste! — rzucił Croaker, wytrzeszczając oczy.

Kenzo zwiślał z sufitu głową w dół, z kostkami związanymi kawałkiem nylonowego sznura. Jego nogi były białe jak ściana, a twarz miała barwę zachodzącego słońca. Z rozchylonych ust wystawał poczerniały język.

Nicholas spostrzegł szramę na sercu Kenzo, równą jak cięcie brzytwą, i od razu wiedział, jakiej broni użyto, by go zabić.

— Niech to szlag! — krzyknął Croaker. — Powiedziałem ci, że czuję się bezbronny bez swojego gnata! — Odwrócił się i pobiegł przez drogę wyznaczoną przez otwarte *shoji* w kierunku schodów i szatni, w której zamknięty był jego pistolet, myśląc: „Glina, oto czym jestem; tym właśnie zawsze będę. Dopóki serce bije”.

— Nie! — krzyknął Nicholas, okręcając się na pięcie. — Lew, stój! — Pobiegł za przyjacielem.

Ale Croaker nie słyszał go. Był w obcym kraju i czuł się straszliwie bezbronny bez pistoletu. Znajdował się w drugim pokoju. Nicholas przyśpieszył gwałtownie, gdy Croaker wbiegł do pierwszego pokoju.

Ktoś chwycił go za bawełnianą bluzę, pociągnął do tyłu i w dół.

W powietrzu rozległ się świst, spostrzegł oślepiający błysk, poczuł krótki powiew przelatującego tuż obok owada.

— Och, Boże! — rozległ się głos Croakera, pełen zaskoczenia i bólu.

Krew i kłębowisko toczących się ciał. Nicholas wyskoczył skulony. Tylko prowadzony wprawną ręką *katana* mógł dokonać śmiertelnego cięcia w ciele Kenzo i tego właśnie się obawiał. Uderzenie, przed którym starał się obronić Croakera, było przeznaczone dla niego.

Zobaczył, jak przyjaciel klęczy na *tatami*, trzymając się za lewą rękę. Krew lała się z otwartej rany na nadgarstku, który nagle zamienił się w kikut. Stał przecięła swym straszliwym cieniem zarówno skórę, jak i kości.

W powietrzu był ten osobliwy srebrzysty odcień, lśnienie śmierci, nadciągające ostrze wiatru, które rozciąłoby go na pół, gdyby na to pozwolił. Wykonał *tobi ashi*, latający krok, wybijając się w górę ponad zbliżającym się atakiem.

Koten roześmiał się ochryple.

— Nic ci nie dadzą twoje akrobacje. Mam *dai-katana*!

I rzeczywiście było tak, jak zaczął podejrzewać Nicholas, gdy tylko zobaczył sprawne cięcie przez serce Kenzo. Koten dzierżył w ręku miecz Nicholasa, *Iss-hogai*. Nicholas zastanawiał się przez chwilę, jak *yokozuna*, wielki mistrz *sumo*, taki jak Koten, znalazł czas, by nauczyć się *kenjutsu*.

Miał na sobie *montsuki* i *hakama*, tak jakby zamierzał właśnie wejść do *dohyo*, aby rozpocząć pojedynek. Jego błyszczące czarne włosy były nieskazitelnie zaczesane w *ichomage*. Nawet *dai-katana* ze swym trzydziestocelowym ostrzem wydawał się mały przy jego wielkim brzuchu. Koten był potężnym mężczyzną i Nicholas musiał stale pamiętać o dyscyplinie, w której był mistrzem.

Sumo było trochę bardziej ograniczone w swym zakresie niż wiele innych sztuk walki. Możliwych było ponad dwieście połączeń trzydziestu dwóch technik podstawowych opartych na pchnięciach rękami — *tsuki*, całym ciałem — *oshi* oraz chwytaniu — *yorii*.

Koten był również ekspertem *sumai*. Każde zetknięcie z takim przeciwnikiem mogło być niebezpieczne, ponieważ ich wielkość w połączeniu z ogromnym *hora* dawała im atut nie spotykany normalnie u człowieka nie wspomagane przez mechaniczne środki. Nie uzbrojony Koten był z pewnością śmiertelnie groźny.

Sumo wysunął przed siebie miecz i poruszał się naprzód szybkimi, posuwistymi krokami. Był przygięty nisko — przykucnięty niemal — do ziemi, na której czuł się najpewniej i najmocniej.

Nicholas wypadł tyłem przez ostatnią *shoji* i znalazł się w samym *dojo*.

Rozejrzał się za *katana*, lecz ceremonialne miejsce, w którym zawsze spoczywały, było puste.

Koten ciął w dół, pod kątem. *Dai-katana* przeszył drewno i papier ryżowy, rozrywając *shoji* o cal od cofającej się nogi Nicholasa.

— Najpierw rozetnę twoje kostki — rzucił Koten — i sprawię, że krzykniesz z bólu. — Z łoskotem, jak odynieć, wypadł przez rozdartą *shoji*. — Innych przeciwników także zmuszałem do krzyku.

Iss-hogai przeciął powietrze z lewa na prawo, po czym, odwracając nagłe kierunek, z rozmachem uderzył koło stóp Nicholasa.

— Myślałeś pewnie, że *ozeki* nie wydają podczas zawodów żadnego odgłosu. Publiczność wyobraża sobie, że chrząkają jak zwierzęta. — Ponownie zamazany błysk ostrza. — To jest właśnie sekret popularności walk *sumo*. Pod przepisowym rytuałem, pod zasłoną dostojeństwa i cywilizacji, publiczność podnieca się tym, co — jak sądzi — widzi. Rogate jelenie nacieraające na siebie z brutalną siłą.

Paciorkowate oczy Kotena jaśniały, gdy masywne nogi niosły go naprzód, a nagie stopy z ogłuszającym łoskotem znaczyły śladami podłogę.

— Ale w przeciągu tego czasu, nie więcej niż trzydziestu sekund, nauczyłem się zmuszać moich przeciwników do krzyku. Zgiełk tłumu był tak potężny, że tylko ja go słyszałem, przyciśnięty do jego spoconego ciała.

Nicholas zrobił unik w prawo, po czym przedostał się za gardę Kotena. Ale *sumo* puścił miecz lewą ręką i uderzył przedramieniem w pierś Nicholasa. Nicholas ciężko upadł na podłogę.

Koten ponownie się roześmiał.

— Nie słyszałem, żebyś krzyczał tym razem, barbarzyńco, ale wkrótce to zrobisz. — *Dai-katana* opadł w dół, jego idealnie naostrzony koniec rozłupał wypolerowane drewniane deski u stóp Nicholasa.

Nicholas wiedział, czemu miało służyć to pokpiwanie. Celem Kotena było zmuszenie Nicholasa, by ruszył na niego, użył wszystkich znanych sobie *oshi* i wyczerpał swoje siły.

„Równie dobrze mógłbym mu dać, czego chce — pomyślał Nicholas. — Nadszedł czas, by Koten z n a l a z ł to, czego cały czas szuka”.

Koten roześmiał się, gdy Nicholas ruszył na niego, człowiek-góra zaatakowany przez owada, który mógł pewnie uządlić, ale nic poza tym.

Odparł *oshi* Nicholasa używając rękojeści miecza, zamiast, czego spodziewał się Linnear, odpowiedzieć pchnięciem na pchnięcie. Nicholas poczuł przygniatający cios w staw barkowy, chrzęst kości i wyraźny trzask jak przy zwichnięciu. Ból przebiegł jak ogień po jego ręce, czyniąc prawą stronę ciała zupełnie bezużyteczną.

— To właśnie Musashi nazywał „uszkodzaniem stawów”, barbarzyńco — rozkoszował się Koten. — Wykończę cię lekkimi uderzeniami. Jeszcze cię zmuszę do krzyku.

Natarł na Nicholasa markując cios długim mieczem i wykonując *oshi*, aby ciężko rzucić Nicholasa o podłogę. Przyklęknął nad nim na jednym kolanie. Ostrze ze świstem opadało w dół, złowieszczym łukiem tnąc powietrze.

Nicholas wykręcił się rozpaczliwie, unosząc do góry lewe ramię tak, że uderzyło w podniesioną rękę Kotena i skierowało cios w bok, z dala od jego ciała. Ale ze względu na uszkodzony bark i palce nie był w stanie prawidłowo dokończyć *suwari waza*.

Zamiast tego puścił przedwcześnie ramię Kotena. Prawym łokciem zadał *atemi* i usłyszał trzask żeber zapadających się pod siłą ciosu.

Koten krzyknął głośno. Wyprostował tułów i odsuwając się od Nicholasa, wykonał cięcie mieczem.

Stalowe ostrze błysnęło przed oczami Linneara. Nicholas przesunął dłoń wzdłuż przedramienia Kotena i wbił palce w jego przegub, w okolicach kości nadgarstka. Szarpnął. Zgodnie z zasadami *aikido* wykorzystał energię rozpedzonego przeciwnika. Kość pękła.

Teraz mieli równe szanse.

Koten musiał zrezygnować z chwytu miecza oburącz; jego prawe ramię zwisało bezwładnie przy boku, a złamany staw zaczął puchnąć.

Lecz jego drugi atak był nie do powstrzymania; wykonał pchnięcie barkiem w bark Nicholasa. Tym razem Nicholas krzyknął z bólu, który poczuł w zwichniętym ramieniu.

Przetoczył się w bok i podnosił pośpiesznie. Wiedział, że będzie zgubiony, jeżeli pozwoli, by Koten przygniótł go swoim ogromnym ciałem. Było to niebezpieczeństwo czyhające w walce z *sumai*; ogromne niebezpieczeństwo. Ich celem było sprowadzenie ciężaru oraz siły, którą z sobą niósł, możliwie blisko *ziemi*.

Nicholas odsunął się, gdy poczuł, że ostrze miecza spada tuż za nim. Uskoczył w bok nadziewając się na potężne *tsuki*, które zatkało mu dech w piersiach. Głowa mu opadła i zaczął odruchowo charczeć: płuca rozpaczliwie

staraly się odzyskać tlen, którego zostały pozbawione.

Drugie potężne *tsuki* w mostek zachwiało nim tak niefortunnie, że rozciągnął się na podłodze. Po chwili Koten był nad nim, przygniatał swym ciężarem klatkę piersiową, odcinając mu dopływ powietrza. Nicholas zaczął kaszleć, żółć napływała mu do gardła.

Koten przesunął długim błyszczącym ostrzem *Iss-hogai* po piersi Nicholas, kreśląc nim poprzeczną linię i zdzierając bawełnianą bluzę.

— Następnym ruchem przetnie skórę i puści krew — rzekł Koten jedwabistym głosem. — Głupi *iteki* Protorow nie dopuścił mnie do ciebie na Hokkaido. Szczęśliwym trafem dla ciebie, nieszczęśliwym dla mnie. Ale teraz mam cię. — Koten pochylił się do przodu wywierając jeszcze większy nacisk na klatkę piersiową Nicholas. — Potem twój *katana* rozetnie ciało. A w końcu kości i narządy. Wyszczrzył zęby w dzikim uśmiechu. — Powiedz mi, barbarzyńco, co czujesz, wiedząc, że zginiesz od własnego miecza?

Rozpoczął pierwsze cięcie; skóra pękała, odchyłała się niczym skóra owocu. Trysnęła krew, ciemna i gorąca.

Umysł Nicholas krzyczał o ratunek. Sięgając do „strefy nieświadomości” Pustki, pozwolił, aby organizm działał samodzielnie. Jego lewa ręka wystrzeliła prosto do góry — ze złączonymi palcami i sztywna jak ostrze miecza z kutej stali — w kierunku miękkiego punktu na skórze łączącej podbródek z szyją Kotena.

Nicholas uderzył tak, jak uczono go w *kenjutsu*, jak zadałby uderzenie mieczem: całą siłą mięśni, umysłu i ducha. Myślał nie o ciele Kotena, a raczej o tym, co znajdowało się w nim.

Kite rozcięło skórę, tkanekę chrzęstną i rozerwało krtań, usta oraz zatoki *sumo*.

Koten otworzył szeroko oczy, bardziej wskutek wstrząsu niż ze strachu. Na nic więcej nie miał już czasu. Był martwy, zanim wrażenia zdołały dotrzeć do mózgu i zostać zarejestrowane.

Wyjąca syrena. Lew Croaker, w szoku, leżał nieprzytomny na noszach wewnątrz karetki. Sanitariusze przytrzymywali prowizoryczną opaskę uciskową, którą sam zrobił; bali się ją zdjąć, żeby krwawienie nie rozpoczęło się na nowo.

Nicholas znajdował się obok; jedno ramię miał niżej od drugiego. Odmówił przyjęcia zastrzyku i siedział teraz wpatrzony w rannego przyjaciela i jego zmasakrowaną lewą dłoń, po której został jedynie kikut.

Na jego kolanach leżał *Iss-hogai* w czarnej ląkowej pochwie. Ścisnął go tak mocno, że lewa dłoń była aż biała. Dla życia. Jego nazwa wydawała mu się teraz ironiczna. W ostrzu wykutym przez Japończyka jest pewna „magia” — powiedział kiedyś do Justine. Ale jaki był pożytek z magii, która mogła uczynić coś takiego?

Przed szpitalem z trudem wysiadł z karetki, która zawiozła Croakera wprost na salę operacyjną. Oparł *dai-katana* o jasnozieloną betonową ścianę, wygrzebał z kieszeni monetę i wykręcił numer hotelu.

— Justine — powiedział znużonym głosem, gdy uzyskał połączenie — przyjeżdż i zabierz nas. Jesteśmy w szpitalu Toranomon. — Oparł głowę o chłodną ścianę. Lekarz wołał do niego natarczywie, przeciskając się przez zatłoczony korytarz, aby go zabrać. — Wszystko w porządku — powiedział do telefonu. — Ale tęsknię za tobą. — Odłożył słuchawkę i rozplakał się.

Przedmieście Tokio

WIOSNA, CZASY WSPÓŁCZESNE

W bezchmurny dzień, późną wiosną, w trzy tygodnie po zejściach w *do-jo*, Nicholas i Justine wrócili z zatłoczonego lotniska Narita, dokąd odprawdzili Croakera lecącego do Ameryki.

Jego ramię dobrze się goiło. Operacja, próba przysycia dłoni, która została obcięta tak równo, była nieudana. Minęło zbyt dużo czasu. Ale poza tym wszystko było dobrze. Żadnych powikłań, żadnej infekcji. Chirurg stwierdził, że opaska zaciskowa, którą sporządził z kawałków bawełnianej bluzy, uratowała mu prawdopodobnie życie. Był pełen optymizmu w swoich prognozach.

Zamiast jechać w stronę duszącego zgiełku Tokio, Nicholas skierował się na północny zachód zachód omijając samo miasto. Na tylnym fotelu nissana leżał *Iss-hogai*; nieruchomy, ukryty w pochwie, obecny niczym nieprzemijające brzemię.

Przejechali obok jeziora, nad którym Sato brał ślub, gdzie po raz pierwszy ukazała mu się Akiko, gdzie Yukio powróciła z grobu. Woda niczym szkło mieniła się złotem w jaskrawym świetle słońca. W pobliżu ujścia strumienia, który wpływał do jeziora, zerwały się czaple, znacząc ostrymi sylwetkami swych białych ciał ciemny, półprzezroczysty błękit wody.

— Jakie piękne miejsce! — wykrzyknęła Justine. Nicholas nie odpowiedział.

Zatrzymał samochód tuż przed bramą posiadłości Itami; wysiedli. Chciał przejść resztę drogi. Tak jakby nowoczesny środek lokomocji był tutaj nie na miejscu; wyraźnie czuł, że zbecześciłby tę ziemię wjeżdżając na nią samochodem.

Przeszli wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę; Justine dotknęła delikatnie jego lewej dłoni.

— Jak twoje palce? — spytała.

— Lepiej — odparł. Zawsze tak jej odpowiadał.

— Czy powróciło już uczucie?

— Jest lepiej. — Głos Nicholasa był łagodny. — Po prostu lepiej.

Justine spojrzała nań, zastanawiając się, co mogłoby teraz uspokoić jego myśli.

Minęli kamienną misę w kształcie starej monety. Była okrągła, miała wykute na brzegu znaki w punktach wskazujących cztery strony świata. Skąła. Deszcz. Ogień. Chmura.

Justine chciała podejść do niej; zesli ze ścieżki. Kwadratowe zagłębienie pośrodku misy wypełniała woda, na kamieniu leżał ręcznie wykonany bambusowy czerpak.

— Chce mi się pić — powiedziała.

Nicholas podniósł naczynie. Oboje napili się z niego. Woda była zimna i słodka. Przez chwilę zagłębienie było tylko częściowo wypełnione i gdy Nicholas pochylił się, by odłożyć czerpak na swoje miejsce, spostrzegł, że na jego dnie wykuty jest ideogram. *Michi*. Ścieżka; a także podróż.

Cudownym zrządzeniem dom i posiadłość nie odniosły większych szkód w wyniku trzęsienia ziemi. Jedna ściana zewnętrzna w południowej części domu zawałiła się i połamała kilka pobliskich drzew. To wszystko.

Mimo to dom nie był już taki sam. Bez Itami oraz legionu służących miejsce wydawało się naprawdę opustoszałe. Itami zmarła po półtoradniowym pobycie w szpitalu. Pogrzeb odbył się w dwa dni później, gdy Nicholas wyzdrowiał już na tyle, by w nim uczestniczyć. Zgodnie ze swoim życzeniem została pochowana w pobliżu grobów Czeong i pułkownika.

Siwowłosy lekarz powiedział Nicholasowi, że umierała bez cierpień. Od ponad trzydziestu lat sprawował opiekę lekarską nad Itami. „Umarła niedługo potem, jak się tam znalazła” — powiedział. Nicholas był wdzięczny losowi przynajmniej za to.

Justine obserwowała, jak wędrował po domu. Coś naszło go w chwili, gdy wysiadł z samochodu. Czuli to, gdy chwyciła go za dłoń, gdy spojrzała na jego wyrazisty, piękny profil, kiedy szli żwirową ścieżką do domu.

W małym pokoju, w którym odbywała się tylko *chano-yu*, Nicholas osunął się na kolana. Skrzywił się trochę, gdy ostry ból przeszył jego ramię. Wtedy w sposób, który był dla Justine zupełną tajemnicą, otrząsnął się z niego i twarz mu się rozpozgodziła.

Uklękła obok; pochyliła lekko głowę, aby zobaczyć coś więcej w pięknym ogrodzie, niż ukazywał opuszczony ekran.

— Dlaczego jest właśnie tak? — spytała. — Tam jest o wiele więcej do zobaczenia. — Ale nawet gdy wyjaśnił jej przyczynę, nie była pewna, czy dobrze rozumie. „Skoro tam jest — myślała — dlaczego z tego nie korzystasz?”

— Widziałem się kilka razy z Nangim — rzekł Nicholas. — Bardzo chce, żebyśmy zostali, przynajmniej przez pewien czas. Jest tyle spraw do załatwienia. — Odwrócił głowę. — Czy zgodziłabyś się, na miesiąc lub sześć tygodni? Tokio nie jest takie straszne, gdy się już człowiek przyzwyczai.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparła nadal go obserwując. Na jego twarzy malował się wyraz zadumy i spokoju, jaki widać na twarzach młodych chłopców po całodziennym wysiłku, gdy radośnie wyczerpani wracają do domu, aby bezpiecznie wypocząć.

— Cóż, tak naprawdę to chciałby, żebyśmy zostali na stałe. Powiedziałem mu, że to wykluczone.

— Dlaczego to zrobiłeś?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Dlaczego? To przecież niemożliwe. A tobie by się podobało? Tęskniłabyś za Nowym Jorkiem. I swoją nową pracą.

— Tęskniłabym bardziej za tobą, gdybyśmy wrócili do Stanów i zobaczyłabym, że pragniesz być tutaj. Poza tym sądzę, że mogłabym namówić Ricka, aby pozwolił mi otworzyć filię w Tokio. Jest urzeczony japońskimi metodami stosowanymi w reklamie.

— Nie chcę tutaj zostać — powiedział Nicholas. — Poza tym, gdzie byśmy mieszkali?

Justine uśmiechnęła się do niego.

— Może właśnie tutaj?

— O, nie! — odparł natychmiast. — Zbyt wiele tu wspomnień. Wszędzie dookoła jest przeszłość, wisi w każdym kącie jak pajęczyna.

— Podoba mi się tutaj — powiedziała, stając na nogi. — Przykro mi, że tobie nie.

W drodze powrotnej zatrzymali się nad brzegiem jeziora. Ptaki śpiewały, w powietrzu unosił się orzeźwiający zapach.

Justine delikatnie pogładziła grzbiet jego kontuzjowanej dłoni.

— Czemu się nie uśmiechniesz, Nick? Od tygodni jesteś pograżony w myślach. Martwi mnie, gdy cię takim widzę.

Nicholas rozłożył ramiona, dłońmi ku górze.

Patrzę na nie i zastanawiam się, do czego służą oprócz zadawania bólu i śmierci.

Położyła rękę na jego dłoni.

— Są również delikatne, Nick. Ich pieszczoty przenikają mnie na wskroś.

Pokręcił głową.

— To nie wystarczy. Nie mogę powstrzymać się od myśli o tym, co czyniły. Nie chcę zabijać. — Głos mu drżał. — Nie chce mi się wierzyć, że w ogóle mogłem to robić.

— Nigdy nie szukałeś okazji, by zabijać. Zawsze zabijałeś w obronie własnej.

— A jednak szukałem okazji do treningu, najpierw *bujutsu*, potem *ninjutsu*. Po co? — W jego oczach było błaganie.

— Jak myślisz, jaka odpowiedź cię zadowoli? — spytała cichym głosem.

— Właśnie o to chodzi! — krzyknął w udręce. — Nie wiem!

— Sądzę, że nie wiesz dlatego, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Nicholas opuścił głowę i rzekł stłumionym głosem:

— W takim razie nie mam odpowiedzi na to, po co okaleczyłem mojego przyjaciela.

— Och, Nick — powiedziała przyciskając usta do jego policzka — Lew nie obarcza cię winą; dlaczego obwiniasz sam siebie?

— Dlaczego? Dlatego, że gdyby nie ja, Lew nadal miałby dwie ręce!

— Nie, gdyby nie ty, już by nie żył. I nigdy by nie odkrył, kto naprawdę zamordował Angelę Didion. — Nicholas powiedział jej wszystko, co mógł, podczas długiego czuwania w trakcie operacji Croakera. — Wiesz, jak był tym opętany.

Nicholas z krótkim krzykiem wyrwał się z jej serdecznych objęć. Obszedł samochód, sięgnął ręką przez otwartą tylną szybę i wyciągnął *dai-katana*.

Pocałował Justine mocno w usta.

— Za chwilę będę z powrotem. Czekaj na mnie; słuchaj ptaków, obserwuj, jak światło słońca przepływa przez liście.

Odszedł od niej i wspinając się na niewielki trawiasty pagórek, skierował się w stronę jeziora. Woda iskrzyła się i tańczyła, gdy fale marszczyły jej powierzchnię. Pluskała cicho u stóp Nicholasasa, sącząc się do jego skarpet. Czuł jej przyjemny chłód. Wszedł głębiej, aż po uda, nie bacząc na ubranie.

Ból dławił go niczym kamień. *Iss-hogai* był darem pułkownika upamiętniającym dzień, w którym zmienił się z dziecka w mężczyznę.

„Lecz istnieje następna zmiana, której muszę dokonać” — pomyślał. Teraz zdecydowany był to uczynić, przygotowany na wszystkie możliwe do wyobrażenia sposoby. Wiedział jednak, że sprawi mu to ból. Nie tak wielki, jak ból z powodu przyjaciela, ale dostatecznie nieznośny.

— Dziękuję ci, ojczu — powiedział z patosem, gdy uniósł *dai-katana* nad głowę i rzucił z całej siły na środek jeziora.

Miecz uderzył w wodę swym końcem; nie było słycać plusku. Bezgłośnie zniknął w głębinach.

Nicholas stał potem długo zanurzony w chłodnej wodzie, czując, jak jej życiodajne łono otacza jego ciało.

Odetchnął głęboko powietrzem; za plecami słyszał wołające ptaki. Ujrzał, jak para śnieżnobiałych czapli podrywa się z powierzchni wody i wlatuje w białe niebo. Obserwował ich lot, dopóki one również nie znikły z pola widzenia.

Rozpoznał lekkość, która pojawiła się w jego duszy niczym orzeźwiająca bryza po parnym letnim dniu. Nadszedł czas, aby odłożyć śmiertcionośne zabawki, które na tak długo zdominowały jego życie. Nadszedł czas, aby żyć.

Odwrócił się w końcu i brnąc w wodzie, pokonał krótką odległość do brzegu. Justine czekała na niego tuż za wierzchołkiem pagórka. Na myśl o tym serce zabiło mu mocniej. Gdy ku niej szedł, pomyślał, że może jednak ma rację, tak jak rację miał Nangi. Japonia była jego domem. Czy naprawdę chciał go teraz opuścić?

Po raz pierwszy czuł prawdziwą siłę spokoju, którego doznawał w pokoju *chano-yu* w domu Itami. Tam jego duch naprawdę odzyskiwał równowagę. Mógł sobie wyobrazić w nim *tsukimi* — oglądanie księżycy; świętowanie Nowego Roku przy tradycyjnych ciasteczkach ryżowych *mochi*; *hanami* w kwietniu, gdy opadały kwiaty wiśni — wspaniałe i promienne, przypomnienie o tym, jakie jest życie: piękne i przemijające. *Sakura* były przecież równie śmiertelne jak mężczyźni i kobiety.

Do domu Itami — jego domu, gdyby tego chciał — współczesna Japonia jeszcze nie dotarła. Wciąż przebywały w nim feudalne *kami* — dumne, wspaniałe i wiecznie zwycięskie. Żył w nim honor i odwaga.

Chwytając dłoń Justine Nicholas pomyślał, że ten dom byłby idealnym miejscem, aby nauczyć nowego ducha, czym jest życie.